Boża klepsydra

Boża maszyneria - 2

Jack McDevitt

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Jack McDevitt to autor wielu bestsellereów science fiction. Jego styl wyróżnia się lekkością narracji, przygodową akcją i poważnym podejściem do zagadnień naukowych. Niniejsza książka stanowi luźną kontynuację wydanej przed kilku laty powieści „Boża maszyneria". Cały cykl składa się jeszcze z tomów: „Chindi", „Omega" i „Odyssey". Fabuła książki skupia się wokół nadrzędnego celu jaki przyświeca każdemu naukowcowi, czyli dotarciu do prawdy, poszerzeniu limitów ludzkiej wiedzy. Jak dużo jesteśmy w stanie poświecić dla odkrycia, z którym nie zetknął się do tej pory żaden człowiek? Nasz czas? Naszą reputację? Naszą karierę? A może nawet życie?

Na kilka tygodni przed spodziewanym zniszczeniem planety Deepsix w wyniku kolizji z gazowa planetą-gigantem, badacze odkrywają ruiny na powierzchni globu, które mogą oznaczać, że istnieje tam cywilizacja. Akademia nakazuje naukowcom z przelatujących w pobliżu statków, żeby ci wylądowali na powierzchni planety i przeprowadzili niezbędne analizy artefaktów. Dodatkowo do grupy naukowców dołącza popularny z powodu swojego ciętego języka i wyrazistych poglądów znany w całej galaktyce publicysta, który nigdy wcześniej nie opuścił Ziemi. Kiedy lądowniki ekspedycji zostają zniszczone, na skutek trzęsienia ziemi spowodowanego zbliżaniem się gazowego giganta, ekipa musi znaleśc sposób na opuszczenie planety zanim dojdzie do kolizji.

- Jack McDevitt
  - ○
  - ○ PODZIĘKOWANIA
  - ○
  - ○ PROLOG
  - ○ CZĘŚĆ I
    - ■ I
    - ■ II
    - ■ III
    - ■ IV
    - ■ V
    - ■ VI
    - ■ VII
    - ■ VIII
    - ■ IX
    - ■ X
    - ■ XI
    - ■ XII

- CZĘŚĆ II
  - XIII
  - XIV
  - XV
  - XVI
  - XVII
  - XVIII
  - XIX
  - XX
  - XXI
  - XXII
  - XXIII
  - XXIV
  - XXV
- CZĘŚĆ III
  - XXVI
  - XXVII
  - XXVIII
  - XXIX
  - XXX
  - XXXI
  - XXXII
  - XXXIII
  - XXXIV
  - XXXV
  - XXXVI
  - EPILOG
- POSŁOWIE GREGORY'EGO MACALLISTERA

Jack McDevitt
Boża klepsydra

DLA WALTERA CUIRLE
który nadal dba o efekty specjalne

PODZIĘKOWANIA

Pragnę podziękować gorąco Johnowi Spencerowi z Lowell Observatory za dane na temat kolizji; pisarzowi SF Sage'owi Walkerowi za porady dietetyczne; Lesowi Johnsonowi z NASA za pokazanie, jak można tego dokonać; Ralphowi Vicinanzie za szybką pomoc; redaktor wydawnictwa Eos, Caitlin Blasdell, która przejawia wszelkie właściwe instynkty. Maureen, za bezgraniczną cierpliwość. Sarze i Bobowi Schwagerom za ich pracę nad rękopisem. Brianowi A. Hopkinsowi za jego podpowiedzi. I szczególne podziękowania dla Henry'ego Menckena, za wspaniałe pół wieku.

Ostatniego dnia staliśmy pochyleni, walcząc z wiatrem na końcu świata, i obserwowaliśmy kłębiące się, rozjaśnione piekielną poświatę chmury. Gdzieś daleko, nad wschodnimi szczytami, których już nie było widać, wstawał świt. Był to jednak przerażający świt: zimny, śmiercionośny i ciemny.

Gregory MacAllister, Dziennik Deepsix

PROLOG
Październik 2204

— Tam poszli — wskazała Sherry.

Popołudnie było ciche i spokojne jak śmierć. Słońce świeciło na bezchmurnym niebie. Oczywiście nie było to zbyt jasne słońce. Mglisty Obłok Quiveras, w którym układ dryfował od trzech tysięcy lat, skutecznie to uniemożliwiał. Randall Nightingale rozejrzał się dookoła, przyglądając się drzewom, rzece i rozpościerającej się przed nim równinie, i zadumał się nad tym, jaką rzadkością jest letni dzień w miejscu położonym tak blisko równika.

W myślach odtwarzał krzyki. I trzaski, strzały z miotaczy.

Jego pilot, Cookie, sprawdzał broń. Tatia potrząsnęła głową, zastanawiając się, jak Cappy mógł zrobić coś tak głupiego jak oddalenie się od lądownika. Była ruda, młoda, milcząca. Na jej zwykle sympatycznej twarzy malowało się przygnębienie.

Andi przyglądała się linii drzew tak, jakby patrzyła na skradającego się tygrysa.

Capanelli i jego dwóch kolegów wyruszyli zaraz o świcie, wyjaśniła znów Sherry. Weszli do lasu mimo zakazu oddalania się od lądownika poza zasięg wzroku. I już z niego nie wyszli.

— Przecież musieliście słyszeć, co się dzieje — powiedział Nightingale. Trzej członkowie grupy mieli na sobie e-skafandry i rozmawiali przez komunikator.

Zrobiła zakłopotaną minę.

— Byłam w łazience. Tess zawołała mnie, kiedy coś zaczęło się dziać.

Tess była SI.

— Jak wyszłam, było po wszystkim. Nic się już nie działo.

Usta jej drżały i wyglądała, jakby zaraz miała wpaść w histerię. Tess zarejestrowała kilka sekund krzyków. I nic więcej.

Nightingale próbował ich wywoływać, ale słyszał tylko szum.

— Dobrze — oznajmił. — Idziemy.

— Wszyscy? — spytała Andi. Była solidnie zbudowaną blondynką, ciągle rzucającą dowcipami. Przypominała chłopaka. W tej chwili jednak była całkowicie poważna.

— W liczebności siła — odparł.

Ustawili się na marnej trawie i spojrzeli po sobie, jakby szukając wsparcia, po czym ruszyli w stronę linii drzew.

— Tam — rzekła Sherry. — Tam weszli.

Nightingale prowadził. Kroczyli ostrożnie, zbijając się znowu w grupę, z bronią gotową do strzału. Byli jednak naukowcami, nie

żołnierzami. O ile wiedział, żadne z nich nigdy nie wystrzeliło z miotacza pod wpływem emocji. Teraz, widząc jak bardzo są zdenerwowani, zaczął się zastanawiać, czy powinni bardziej obawiać się okazów rodzimej fauny, czy samych siebie.

Sączące się przez korony drzew światło osłabło, a temperatura powietrza spadła o parę stopni. Drzewa były wysokie i mięsiste, ich górne gałęzie tworzyły czaszę złożoną z pnączy i wielkich liści o kształcie pików. Wszędzie rosły jakieś rośliny przypominające kaktusy. Grunt był pokryty roślinnymi szczątkami. Wysoko w górze całe stada niewidzialnych stworzeń piszczały, szumiały, biegały, trzepotały. Wiedział, że większość zwierząt żyje w koronach drzew, nie na ziemi, jak to przeważnie bywa w przypadku lasów.

E-skafander zredukował zmysł powonienia, ale z pomocą przyszła mu wyobraźnia: nawet w tym dziwnym lesie miał wrażenie, że czuje sosny i miętę, jak w rodzinnej Georgii.

Biney Coldfield, kapitan statku i pilot trzeciego lądownika, odezwała się i poinformowała, że zbliża się i przyłączy do poszukiwań, gdy tylko wyląduje.

Potwierdził; pozwolił, by w jego głosie dało się wyczuć irytację. Capanelli przyprawił go o zażenowanie, ignorując ustalone wytyczne i zagłębiając się w okolicę o tak ograniczonej widoczności. Przez niego wszyscy wyszli na skończonych amatorów. A on sam pewnie już nie żyje.

Nightingale przyglądał się gruntowi, próbując odnaleźć odciski stóp czy jakiekolwiek ślady, jakie grupa Capanellego mogła zostawić, przechodząc. Niczego jednak nie dostrzegł. W końcu zwrócił się do pozostałych:

— Nie ma tu przez przypadek jakiegoś człowieka lasu?

Spojrzeli po sobie.

— Dokąd oni szli? — spytał Sherry.

— Chyba nie szli w żadne konkretne miejsce. Po prostu przed siebie. Podążali za szlakiem.

Nightingale westchnął. Prosto przed siebie.

Coś popędziło w koronach drzew. Na pierwszy rzut oka przypominało wiewiórkę, po chwili dostrzegł jednak dodatkowe kończyny. To był ich pierwszy dzień na Maleivie III.

Para ptaków zatoczyła nad nimi krąg i przysiadła na gałęzi. Miały czerwone upierzenie. Przypominały trochę kardynały, ale miały długie dzioby i turkusowe czubki. Kolory nie pasowały do siebie.

— Poczekaj chwilę — odezwała się Sherry.

— O co chodzi? — spytał.

Uniosła dłoń w geście nakazującym ciszę.

— Za nami coś jest.

Obrócili się jak na komendę i wycelowali broń. Z tyłu spadła

jakaś gałąź. Nightingale cofnął się i nadział na roślinę z kolcami.

Cookie i Tatia obrócili się i rozejrzeli.

— Niczego tu nie ma — zameldowali.

Ruszyli znów.

Marsz był trudny z powodu gęstwiny. Musieli cały czas przeciskać się przez krzaki i przebijać przez chaszcze. Zwrócił uwagę na kilka połamanych gałązek, które świadczyły o tym, że coś tędy przechodziło.

Wyszli na niewielką polankę i wtedy ich zobaczyli.

Cała trójka leżała nieruchomo. Ich bańki pola siłowego były wypełnione krwią. Na twarzach malował się zastygły wyraz bólu i przerażenia.

Sherry wyszła zza Nightingale'a, jęknęła i ruszyła do przodu.

Zatrzymali ją i przytrzymywali, dopóki się nie uspokoiła. Pozostali rozglądali się po drzewach, poszukując napastników.

— Bez względu na to, co to było — mruknęła Tatia — już tego tu nie ma.

Sherry uwolniła się i ruszyła w stronę ciał, idąc wolno i ostrożnie, aż wreszcie upadła przy nich na kolana. Patrzyli na nią: szeptała coś. Zakołysała się na kolanach do tyłu i spojrzała w niebo.

Podszedł do niej, położył jej rękę na ramieniu i stał w milczeniu, patrząc na tę jatkę.

Andi podeszła do nich. Od lat była bliską przyjaciółką Ala White'a. Westchnęła i zaczęła cicho szlochać.

Tatia stała dalej na skraju polanki, najpierw przyglądając się zwłokom, a potem tocząc stanowczym spojrzeniem po kręgu drzew.

Biney, nasłuchująca z trzeciego lądownika, zapytała:

— Co tam się dzieje, Randy?

Całą krew zatrzymało pole Flickingera, więc trudno było dostrzec poszczególne rany. Wszyscy wyglądali, jakby zostali zadźgani, pogryzieni, zmasakrowani, co tam jeszcze, wiele razy. Pomyślał, że rany wyglądają jednak na małe. Napastnicy musieli więc być mali. Napastnicy. Na pewno był więcej niż jeden.

Najwyraźniej powiedział to na głos.

— Mali? — spytała Biney. — Jak mali?

— Może rozmiaru szczura. Może trochę więksi. Wszystko jedno, czym były stworzenia: zdołały oderwać od ciała kawałki mięsa, ale nie zjadły ich, bo nie były w stanie wydobyć ich z e-skafandrów.

Miejsce najwyraźniej stało się polem bitwy. Na niektórych drzewach widać było zadrapania. Z delikatnych roślin spływał sok: zielona, kleista ciecz. Kilka gałęzi w górze było zwęglonych.

— Strzelali do góry — rzekł Nightingale.

Prawie odruchowo utworzyli krąg, stojąc plecami do siebie, i zaczęli przyglądać się drzewom i gałęziom.

— Ludożercze wiewiórki? — spytała Andi.

Kilka krzewów było spalonych. Jedno przewrócone drzewo. Ale żadnych ciał ani innych pozostałości po dużych drapieżnikach.

— Nie ma śladu tego czegoś, co to zrobiło.

— Dobrze — odparła Biney. — Zaraz siadamy. Będę tam za parę minut. A wy stamtąd odejdźcie. Natychmiast.

— Nie możemy zostawić ciał. I nie mamy tyle siły, żeby je ruszyć.

Cookie był jedynym pełnowymiarowym mężczyzną. Nightingale był wzrostu Andi, najniższej z kobiet.

— Dobrze. Czekajcie na nas. Przybędziemy jak najszybciej.

Na gałęzi przysiadło jeszcze parę ptaków. To te brzydkie kardynały.

— Wszystko w porządku, Andie? — spytał Nightingale, otaczając ją ramieniem.

— Bywało lepiej.

— Wiem. Tak mi przykro. Był dobrym człowiekiem.

— Wszyscy byli.

Tatia podniosła głowę.

— Tam — powiedziała.

Nightingale spojrzał, ale dostrzegł tylko drzewa.

E-skafandry tłumiły trochę dźwięki. Wyłączył więc swój, by lepiej słyszeć. Poczuł ukłucie zimna. Coś stąpało w ich kierunku.

Instynkt podpowiadał Nightingale'owi, żeby jak najszybciej uciekać z lasu. Nie mógł jednak tego tak zostawić. Miotacz ciążył przyjemnie w ręce. Spojrzał na niego, usłyszał, jak prąd szumi w rękojeści. Broń mogła powalić nawet nosorożca.

Odsunął Tatię na bok. Cookie szepnął, żeby się pochylił, ale Nightingale uznał, że pozycja lidera wymaga od niego, by prowadził. Kroczył na czele.

Coś przemieszczało się szybko w koronach drzew, kwicząc. Na poziomie gruntu przez gęste krzaki obserwowała go para oczu.

Cookie podszedł do niego.

— Myślę, że to jakaś jaszczurka, Randy. Czekaj…

— Co? — spytała Tatia.

Stworzenie pojawiło się na otwartej przestrzeni, długa, gadzia głowa z grzebieniem i grube cielsko barwy błota. Miało krótkie nogi i oczy z trzecią powieką. Otworzyło paszczę i patrzyło na Nightingale'a i Cookiego.

— Krokodyl — mruknął Cookie.

— Krokodyl?! — to głos Biney.

— Rząd się może z grubsza zgadza — rzekł Nightingale. — Ale wygląda bardziej jak mały smok.

— Czy to zabiło Cappy'ego?

— Nie sądzę.

Było za duże. Takie stworzenie zmasakrowałoby zwłoki. A wyglądało na to, że Cappy i inni mają mnóstwo drobnych ran kłutych.

Ogon stworzenia powoli podnosił się i opadał. Nightingale zastanawiał się, czy to jakaś forma wyzwania na pojedynek. Włączył e-skafander.

— Co o tym sądzisz, Cookie?

— Nie rób niczego, co mogłoby je sprowokować. Nie strzelaj, chyba że zaatakuje. Nie nawiązuj kontaktu wzrokowego.

Serce waliło mu jak młotem.

Smok prychnął, otworzył paszczę i pokazał wielkie gardło i mnóstwo ostrych zębów. Drapał ziemię pazurami.

— Jeśli zrobi choć krok w naszą stronę — rzekł cicho Nightingale — strzelaj.

Smok spojrzał w innym kierunku. Patrzył teraz ponad nimi, na górne gałęzie drzew. Otwierał i zamykał paszczę, jego długi, wężowy jęzor wił się. Po czym zaczął się cofać.

Cofa się!

Nightingale spojrzał w tę samą stronę.

— Co się dzieje? — spytał Cookie.

— Mógłbym przysiąc — rzekł Nightingale — że coś go przestraszyło.

— Żartujesz.

— Niespecjalnie.

Para włochatych pająków ścigała się w koronach drzew. Jeden przeskoczył nad polanką, chwycił się gałęzi i zawisł na niej, walcząc o życie, a gałąź ugięła się, pokonując prawie połowę odległości do ziemi. Poza tym nie było tam niczego. Nie licząc kardynałów.

Biney była wysoką kobietą, prawie równie wysoką jako Cookie. Jej rysy zdradzały brak poczucia humoru, w głosie pobrzmiewała stalowa oschłość. W dodatku kobieta poruszała się z wdziękiem futbolisty. Mogłaby być atrakcyjna. Gdyby trochę wyluzowała. Albo czasem się uśmiechnęła.

Przybyła z całą załogą, dwoma mężczyznami i kobietą, wszyscy z bronią gotową do strzału.

Przejęła dowodzenie, jakby Nightingale'a tu w ogóle nie było. Trzeba przyznać, że z ulgą pozbył się tego obowiązku. Takie zadania leżały bardziej w jej gestii.

Poleciła Tatii i Andi, żeby stanęli na straży, a reszcie kazała sklecić nosidła z gałęzi i wiszących pnączy. Kiedy były gotowe, położyli je na ziemi, umieścili na nich ciała i zaczęli męczącą operację wycofywania się.

Wydawała precyzyjne rozkazy, kazała im maszerować i trzymać się razem. Żadnego oddalania się, żadnego bezsensownego

zwiedzania.

Zagęszczenie drzew zmusiło ich do maszerowania gęsiego. Nightingale został oddelegowany do tyłu, za Cookiego, który zajmował się ciałem Cappy'ego. Podczas marszu trudno było nie spoglądać na ciała. Wyraz przerażenia na twarzy martwego człowieka przyprawił go nieomal o paraliż.

Biney przywiozła laser tnący, który teraz dzierżyła z ponurym zacięciem, wypalając poszycie. Nightingale, czy to dlatego, że był najniższy, czy też może z powodu jego stanowiska dyrektora projektu, nie musiał wlec nosideł. Kiedy zaproponował pomoc, Biney odpowiedziała mu na prywatnym kanale, że będzie bardziej użyteczny jako czujka.

Wypatrywał więc malutkich mieszkańców lasu, wszechobecnych pająków i kardynałów, oraz dziesiątków innych zwierząt. Beczułkowate stworzenie dosłownie przetoczyło się obok nich, najwyraźniej nieświadome obecności ekipy ratunkowej.

Była to intrygująca bestia, ale dalszych badań tej planety nie mieli w planach. Przynajmniej nie Nightingale. Wiedział, że Biney będzie się upierać przy tym, żeby nikt nie mógł powrócić na powierzchnię, aż incydent zostanie zgłoszony Akademii. I wiedział, jak Akademia zareaguje. Tak naprawdę nie mieli wyboru.

Powrót do domu.

Z prawej strony na gałęzi siedziało sześć kardynałów o wielkich stopach. W tym widoku było coś, co go zmroziło.

Ich dzioby były właśnie takich rozmiarów.

Czy to właśnie kardynały zobaczył smok?

Gdy je mijali, śledziły ich wzrokiem. W lesie zapadła nagle martwa cisza.

Na drzewach było ich pełno.

Gdy szli, ptaki za nimi wzbiły się w powietrze, przemknęły pod poszyciem i usiadły na gałęziach przed nimi.

— To kardynały — powiedział cicho do Biney.

— Co?

— To te kardynały. Spójrz na nie.

— Te małe stworzenia? — W głosie Biney dało się słyszeć szyderstwo.

Nightingale wybrał gałąź, na której siedziały cztery, nie, pięć kardynałów, przyglądających się im. Upatrzył sobie środkowego, ustawił moc na niską, gdyż ptak był niewielki, i zestrzelił go z gałęzi.

Jak na sygnał, ptaki wzbiły się w powietrze, z dziesiątków drzew. Tatia, z jego lewej strony, krzyknęła i zaczęła strzelać. Były jak szkarłatne pociski i nadlatywały ze wszystkich stron. Rozbrzmiały trzaski miotaczy i ptaki eksplodowały. Kaktus wybuchł i zaczął się gwałtownie palić. Powietrze zawirowało od piór i ognia. Jeden z ludzi

Biney, Hal Gilbert, upadł.

Miotacz był bronią wybiórczą. Należało go wycelować. To oznaczało, że przy takim ataku nie był specjalnie przydatny. Nightingale używał go jak mógł, nie spuszczając palca ze spustu, obracając się na wszystkie strony.

Z laserem Biney sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Nightingale dostrzegł, jak przecina powietrze, patrzył, jak całe legiony ptaków wirują gwałtownie i spadają. *Gińcie w płomieniach, skurwiele.*

Kaktusy wybuchały, trafione z miotacza.

Nagle coś wbiło mu się w plecy. Stłumił okrzyk, myśląc, że trafił go ktoś z towarzyszy, i opadł na kolana. Kiedy jednak sięgnął za plecy, jego palce zacisnęły się na czymś pierzastym, czymś, co zaczęło się szaleńczo szarpać, próbując się uwolnić. Zmiażdżył je.

Rana była w trudno dostępnym miejscu, pod łopatką. Próbował jej dosięgnąć, ale poddał się. Ból zelżał, gdy przycisnął ptaka do ziemi. Nightingale wystrzelił jeszcze kilka razy, aż coś go znów uderzyło. W szyję.

Obraz pociemniał, jego oddech stał się wolny, a świat zaczął wymykać mu się z rąk.

Tatia pochylała się nad nim. Uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła, że odzyskuje przytomność.

— Dobrze, że się obudziłeś, szefie.

Byli znów w lądowniku. Spoczywał na leżance.

— Co się stało? — spytał.

— Masz — podsunęła mu wyciągnięty skądś kubek. — Pij. — Cydr. Ciepły i słodki. Czuł sztywność w plecach i karku. — Musieliśmy dać ci środek przeciwbólowy.

Próbował spojrzeć za nią. Dostrzegł tylko Cookie'ego.

— Czy wszyscy wrócili?

— Wszyscy ludzie Biney. — Ścisnęła go za rękę. — Ale nie wróciła Biney. I Sherry. I Andi. — Głos jej się załamał.

— Tam były całe roje tego draństwa — rzekł Cookie. — Mieliśmy dużo szczęścia, że się wydostaliśmy.

— Straszne to było — zadrżała Tatia. — Wyglądało to, jakby coś je koordynowało. Atakowały nas i wycofywały się. I znów, atak i cofnięcie. Nadlatywały falami, ze wszystkich kierunków.

Cookie pokiwał ponuro głową.

Nathingale próbował wstać, ale środek przeciwbólowy jeszcze nie przestał działać.

— Ostrożnie — przytrzymała go. — Oberwałeś parę razy. Miałeś sporo szczęścia.

Nie rozumiał, na czym miało polegać to szczęście. Mój Boże, Biney zginęła. Jak to się mogło stać? I pozostali. Razem szóstka. Co za tragedia.

Poczuł smak cydru, który spłynął mu do gardła.

— Will mówi, że nic ci nie będzie.

Will to Wilbur Keene, który był z Biney. Skończył między innymi medycynę, i to był główny powód jego uczestnictwa w tej wyprawie.

— Goniły nas całą drogę — odezwała się Tatia. — Cały czas atakowały.

— Ciała dalej tam są?

— Czekaliśmy do zmroku — odparła. — Wtedy po nie poszliśmy.

— Will mówi, że one wstrzykują jakąś truciznę — rzekł Cookie. — Całe szczęście, że mamy e-skafandry. Powiedział, że ta trucizna działa na ludzi. Paraliżuje. Działa na układ nerwowy.

Spał. Kiedy się obudził, byli gotowi do odlotu.

— Kto jest w Tess? — spytał. Miał na myśli lądownik Cappy'ego. Pilot i wszyscy pierwotni pasażerowie już nie żyli. Ale nie chcieli go tu zostawiać.

— Nikt — odparł Cookie. — Ale to nie problem. Kiedy już wyruszymy, powiem Tess, żeby wracała do domu.

SI.

W kabinie było ciemno, jeśli nie liczyć delikatnej poświaty instrumentów. Tatia siedziała w milczeniu daleko od niego, wpatrując się w mrok.

Patrzył, jak światła na zewnątrz mrugają i odpływają w mrok.

— Dobrze, proszę państwa — przemówił Cookie. — Wygląda na to, że teraz nasza kolej.

Nightingale zrozumiał, że Cookie, jako ocalały członek ekipy dowodzenia, jest teraz kapitanem.

Uprząż, która mocowała go w pozycji na brzuchu, osunęła mu się na uda i ramiona. I całe szczęście, bo nagły podmuch wiatru uderzył w statek i zatrząsł nim, gdy startowali.

— Trzymajcie się — rzekł Cookie.

Nightingale nie widział za wiele z tego, co się działo, ale ruchy pilota sugerowały, że startują na ręcznym sterowaniu. Lądownik wyrównał lot i ruszył ku gwiazdom.

Milczeli. Nightingale gapił się na podświetlone instrumenty. Tatia siedziała z odrzuconą do tyłu głową i zamkniętymi oczami. Dopiero teraz prawda zaczynała do nich docierać. Nieobecność Andi była czymś nieomal fizycznym, prawie namacalnym.

— Tess — Cookie zwrócił się do pozostałego na powierzchni planety lądownika. — Kod jeden jeden. Zaakceptuj mój głos.

Nightingale słuchał wiatru szumiącego między skrzydłami. Tatia zmieniła pozycję, otworzyła oczy i spojrzała na niego.

— Jak samopoczucie, szefie?

— Nieźle.

— Jak sądzisz, przyślą następną ekipę?

Odruchowo wzruszył ramionami i poczuł szarpnięcie w karku. Zdrętwiał.

— Będą musieli. To jest przecież, na litość boską, żywa planeta. Kiedyś będzie tu kolonia.

Ale będą też konsekwencje polityczne. Dla niego, odpowiedzialnego za misję, dla jego ludzi — będą musieli ponieść koszty.

— Przepraszam — wtrącił Cookie. — Randy, Tess nie odpowiada.

— Niedobrze. Chcesz mi powiedzieć, że będziemy musieli tam wrócić po lądownik?

— Spróbuję zobaczyć z góry, co się dzieje.

Ekrany rozjarzyły się i Nightingale zobaczył nagranie, las w świetle dnia. Widok z ich lądownika. Stado kardynałów przeleciało przez ekran i znikło. Ludzie wychodzili z lasu. Kogoś prowadzono, kogoś niesiono. Chmara ptaków uderzyła w nich.

Nightingale zobaczył Remmy'ego, jednego z ludzi Biney, zalanego krwią, z dłonią przyciśniętą do lewego oka. Klęczał na jednym kolanie, strzelał. Biney pochylała się nad nim, osłaniając go.

Zobaczył siebie, zwiniętego w ramionach Hala. Na ekranie pojawił się Cookie, machając gałęzią.

Laser Biney chlastał wszystko, biały promień rozcinał popołudniowe powietrze. Ptaki spadały na ziemię wszędzie, gdzie tylko ich dotknął.

— Patrzcie — odezwał się Cookie. Laser ukąsił Tess, osmalił jej kadłub, po czym promień przemieścił się i rozpłatał moduł komunikacyjny. Moduł eksplodował deszczem iskier.

Cookie zatrzymał obraz.

— Jak zginęła Biney? — spytał Nightingale. — Była tam do końca.

— Stała na zewnątrz przy śluzie i odpierała atak, aż wszyscy znaleźli się w środku. — Cookie potrząsnął głową. — Będziemy musieli wrócić.

Nie. Nightingale nie chciał mieć już nic wspólnego z tym światem. W żadnym wypadku, nie wracają.

— Żeby odzyskać lądownik — rzekł Cookie, błędnie biorąc milczenie Nightingale'a za niezdecydowanie.

— Zostawmy go, Cookie.

— Nie możemy.

— To zbyt niebezpieczne. Nie dopuszczę do tego, żeby ktoś jeszcze zginął.

CZĘŚĆ I
PUNKT BURBAGE'A
Listopad 2223

I

Zbliżające się nieuchronnie zderzenie gdzieś daleko, w ciemnościach, w którym będzie brać udział gazowy gigant i planeta bardzo przypominająca naszą własną, przypomina trochę odwieczne zderzenie religii i zdrowego rozsądku. Jeden element jest nadęty i wypełniony gazem, drugi — mierzalny i stały. Jeden otacza wszystko dookoła, drugi jest po prostu czymś, na czym można się oprzeć. Jeden to łajdak — niszczyciel, który wychynął z mroków nocy, drugi — to ciepłe, jasno oświetlone miejsce, które łatwo mogą zniszczyć ogarnięte uświęconym szałem tłumy.

Gregory MacAllister, Szykuj forsę

Wrócili na Maleivę III, by obejrzeć koniec świata.

Badacze oczekiwali tego wydarzenia z niecierpliwością, jako że jego zaistnienie zostało przewidziane prawie dwadzieścia lat wcześniej przez Jeremy'ego Benchwatera Morgana, nerwowego, łatwo tracącego panowanie nad sobą astrofizyka, który — zdaniem jego kolegów — urodził się już stary. Morgan jest do dziś bohaterem różnych ponurych plotek: że jedno dziecko doprowadził do tego, iż musiało zażywać środki uspokajające, a inne do samobójstwa, że wpędził żonę do grobu, że nieubłaganie przyczyniał się do niszczenia karier ludzi mniej utalentowanych od niego, nawet jeśli nic na tym nie zyskał, że ciągle przypisywał sobie zasługi innych. Nikt naprawdę nie wie, ile prawdy jest w tych plotkach. W źródłach można jednak znaleźć, że koledzy nienawidzili Morgana i bali się go, podobnie jak jego obłąkany szwagier, który co najmniej dwa razy próbował go zabić. Kiedy Morgan wreszcie zmarł na atak serca, jego były przyjaciel i wieloletni antagonista, Gunther Beekman, wygłosił prywatnie komentarz, że drugą żonę Morgan nie raz stłukł na kwaśne jabłko. Zgodnie z pozostawionymi instrukcjami, nie było żadnej ceremonii pogrzebowej. Niektórzy mówili, że to ostatni akt zemsty: rodzina i współpracownicy nie mogli odczuć satysfakcji z tego, iż odmówili pójścia na pogrzeb.

Ponieważ to on wyliczył orbity i przewidział zderzenie, Akademia

nazwała na cześć Morgana planetę-najeźdźcę, która zaatakowała układ Maleivy III. Choć był to gest nakazany tradycją, wiele osób miało wrażenie, że zarządowi Akademii sprawiło to jakąś ponurą przyjemność.

Planeta Morgana była zbliżona rozmiarami do Jowisza. Jej masa stanowiła 296-krotność ziemskiej. Średnica na równiku wynosiła 131600 km, na biegunach około 5% mniej. Przyczyną tego spłaszczenia był jej ruch obrotowy, którego okres wynosił nieznacznie powyżej 9 godzin. Miała skaliste jądro, kilkanaście razy cięższe od jądra Ziemi. Poza tym składała się głównie z wodoru i helu.

Miała oś nachyloną pod kątem prawie 90 stopni w stosunku do płaszczyzny ruchu i pod kątem o połowę mniejszym w stosunku do płaszczyzny układu. Miała szaroniebieską barwę, a jej atmosferę charakteryzował spokój i bezruch. Nie posiadała pierścieni ani satelitów.

— Czy wiemy, skąd się wzięła? — spytał Marcel. Gunther Beekman, niski, brodaty tłuścioch, siedział obok niego na mostku. Skinął głową i powiększył rozmazaną plamkę na ekranie bocznym, poprawił ostrość i powiększył obraz jeszcze bardziej.

— A oto i podejrzany — rzekł. — To część Obłoku Chippewa, a jeśli tylko się nie mylimy, Morgan podróżuje od pół miliarda lat.

Za około trzy tygodnie, w sobotę 9 grudnia, o 17:56 czasu Greenwich, intruz uderzy prosto w Maleivę III.

Maleiva była ukochanym dzieckiem senatora, który przewodniczył komitetowi finansowemu, gdy prowadzono pierwsze badania, dwadzieścia lat temu. W układzie było jedenaście planet, ale tylko skazana na zagładę trzecia otrzymała nazwę z numerem rzymskim: od początku nazywano ją Deepsix. Jak na ironię, jak to często bywa, była jedną z nielicznych planet, na których występowało życie. Choć panowała na niej od trzech tysięcy lat epoka lodowa, kiedyś mogła stać się wspaniałą nową siedzibą ludzkiej rasy.

— To zderzenie to zaledwie początek procesu — oznajmił Beekman. — Nie możemy dokładnie przewidzieć, co się potem stanie, ale w ciągu paru tysięcy lat Morgan rozniesie ten układ na strzępy. — Odchylił się, zaplótł dłonie za głową i przywołał na twarz wyraz samozadowolenia. — To będzie niezłe przedstawienie.

Beekman był szefem projektu Morgan, planetologiem, który dwukrotnie zdobył Nagrodę Nobla, starym kawalerem, niegdyś mistrzem szachowym stanu Nowy Jork. Zwykle mówił o zbliżającym się zdarzeniu jako o „zderzeniu”, ale Marcela uderzyło porównanie rozmiarów obu planet. To prawie na pewno nie będzie zderzenie. Deepsix wpadnie w chmury Morgana jak moneta od niechcenia wrzucona do stawu.

— Dlaczego ona nie ma żadnych księżyców? — zwrócił się do Beekmana.

Beekman zastanowił się nad pytaniem.

— Prawdopodobnie z powodu tej samej katastrofy. To, co wyrzuciło ją z macierzystego układu, pozbawiło ją też wszelkich dodatków. Coś podobnego zobaczymy tutaj za parę stuleci.

— W jaki sposób?

— Morgan będzie przebywać w pobliżu. Przynajmniej przez jakiś czas. Wchodzi na bardzo niestabilną orbitę. — Wyświetlił schemat Maleivy i jej układu planetarnego. Gazowy gigant był tak blisko słońca, że nieomal ocierał się o koronę. Reszta układu przypominała Układ Słoneczny, planety podobne do Ziemi znajdowały się bliżej, gazowe giganty — dalej. Był tam nawet pas asteroid, w miejscu, gdzie z powodu obecności planety podobnej do Jowisza nie powstała żadna inna. — W końcu przemagluje wszystko — rzekł, nieomal z tęsknotą w głosie. — Niektóre z tych planet zostaną wyrzucone z orbit i wepchnięte na nowe, nieregularne i prawdopodobnie niestabilne. Jedna albo dwie polecą spiralnym torem w stronę słońca. Inne zostaną całkiem wyrzucone z systemu.

— To nie jest miejsce, gdzie chciałoby się inwestować w nieruchomości — zauważył Marcel.

— Istotnie — przytaknął Beekman.

Marcel Clairveau był kapitanem „Wendy Jay", statku, którym podróżowała ekipa badawcza projektu Morgan, by obserwować zderzenie, zarejestrować jego skutki, a potem wrócić i tworzyć prace o ekspansji energii, falach grawitacyjnych, Bóg raczy wiedzieć, o czym jeszcze. Było ich czterdziestu pięciu: fizycy, kosmologowie, planetolodzy, klimatolodzy i kilkunastu innych specjalistów. Byli grupą wybrańców, najsłynniejszymi autorytetami w swoich dziedzinach.

— Ile to potrwa? Zanim wszystko się nie uspokoi?

— Och, do licha, Marcelu, nie wiem. Za dużo zmiennych. Może nigdy się nie ustabilizuje. W takim sensie, o jakim myślisz.

Rzeka gwiazd przecinała niebo, rozszerzając się w mgławicę Ameryka Północna. Potężne obłoki pyłu rozświetlał daleki Deneb, biały supergigant, sześćdziesiąt razy jaśniejszy od Słońca. W obłokach pyłu tworzyły się kolejne gwiazdy, ale nie miały zapłonąć jeszcze przez jakiś milion lat.

Marcel spojrzał na Deepsix.

To mogła być Ziemia.

Znajdowali się po stronie dziennej, nad południową półkulą. Kontynenty były pokryte polami śnieżnymi aż do odległości dwustu lub trzystu kilometrów od równika. Na oceanach unosiło się mnóstwo dryfującego lodu.

Przez ostatnie trzy tysiące lat było tam dość zimno, gdyż Maleiva ze swoim układem planetarnym przesunęła się w Quiveras, jeden z lokalnych obłoków pyłu, i jeszcze go nie opuściła. Miało to nastąpić za osiemset lat. Pył zatrzymywał światło gwiazdy, a na planetach nastała zima. Gdyby kiedyś na Deepsix istniała cywilizacja, pewnie by tego nie przeżyła.

Zdaniem klimatologów poniżej piętnastu stopni szerokości geograficznej południowej i powyżej piętnastu stopni północnej śnieg nigdy nie topniał. Nie stopniał od trzech tysięcy lat. Nie był to jakiś szczególnie długi okres, wszak i na Ziemi zdarzały się epoki lodowcowe o podobnej długości.

Duże zwierzęta lądowe przetrwały. Widywano stada przemieszczające się po równinach i lasach okolic równika, które teraz stanowiły jeden pas zieleni rozciągający się przez dwa kontynenty. Na lodowcach także rejestrowano ruchy zwierząt, ale tylko w pasie równikowym spotykało się ich naprawdę dużo.

Beekman wstał, wziął głęboki oddech, wypłukał kubek po kawie, poklepał Marcela po ramieniu i uśmiechnął się radośnie.

— Czas na przygotowania — rzekł, ruszając w stronę drzwi. — Chyba wybiła godzina czarownic.

Gdy wyszedł, na twarzy Marcela wykwitł uśmieszek. Gospodarz lecącej na pokładzie „Wendy" grupy naukowej pozwolił sobie na wybuch czystego entuzjazmu. Podczas lotu wielokrotnie przeprowadzali symulacje zdarzenia, omawiali szanse na taką lub inną wersję wymiany energii, konsekwencji czasowych bądź własności tworzonej fali grawitacyjnej. Spierali się, czy w końcu dowiedzą się czegoś o strukturze i składzie gigantów gazowych, czy o charakterze zderzeń. Mieli nadzieję na zdobycie informacji, które rzuciłyby światło na takie zagadki jak nachylenie osi Urana czy niespotykanie duża zawartość żelaza w przypadku planety Erazm w układzie Wegi, czy też w przypadku Merkurego w macierzystym układzie. I dyskutowali o najważniejszej implikacji: będzie to jedyna okazja, żeby zajrzeć bezpośrednio do środka planety przypominającej Ziemię. Mieli w tym celu użyć specjalnych czujników, gdyż wybuch energii na ostatnim etapie miał być oślepiający.

— Wszystko się tu zacznie rozpadać — mówił któryś z nich, powtarzając to w kółko i wskazując na jakiś punkt na osi czasu. — A w tym momencie jądro będzie odsłonięte. Boże mój, wyobrażacie sobie, jak to będzie wyglądało?

Mądrość ludowa głosi, że nie można być dobrym badaczem, nie zachowując choć odrobiny dziecka w sobie. Jeśli rzeczywiście była to prawda, Marcel wiedział, że ma ze sobą dobrych naukowców. To były dzieci, które przyjechały oglądać przedstawienie. I bez względu na to, jak próbowały ten fakt ukrywać, udając, że przede wszystkim jest to

misja mająca na celu zbieranie faktów, nie mogły nikogo oszukać. Wypuściły się na wyprawę, za prawdziwą nagrodę mając życie pełne doznań. Wdzierały się w strukturę kosmosu, nakreślały jego zewnętrzne granice, rozwiązywały zagadki związane z czasem, a teraz miały siedzieć wygodnie i podziwiać największą kraksę w historii.

A Marcel cieszył się, że jest z nimi. To był najwspanialszy przydział, jaki otrzymał w życiu.

NCA „Wendy Jay" była najstarszym jeszcze działającym statkiem we flocie Akademii. Zbudowano ją prawie pół wieku temu, a wystrój jej wnętrz miał w sobie urok obcowania z czymś pochodzącym z poprzedniego stulecia.

Pasażerowie obserwowali Morgana za pośrednictwem całej baterii teleskopów i czujników; niektóre z nich zamontowano na kadłubie statku, inne na satelicie. W każdym dostępnym miejscu na statku, gdzie tylko było to możliwe, badacze przyglądali się mglistym, niebieskoszarym głębinom, które miały rozpaść się na zawsze. Gigantyczne błyskawice rozświetlały powierzchnię planety. Od czasu do czasu spadał jakiś meteor: smuga światła, znikająca w chmurach.

Mierzyli pole magnetyczne planety — wynosiło dwie trzecie wartości dla Jowisza — i nagrywali piski i trzaski jej radiowego tła.

Fizycy i planetolodzy w radosnym nastroju wędrowali korytarzami, odwiedzając się w swoich kwaterach, włócząc po centrum badawczym, zaglądając na mostek, nalewając sobie czegoś do picia w sali gimnastycznej. Kiedy Marcel poszedł do centrum kontroli misji, spotkał ich tam kilkunastu, stłoczonych wokół jakiegoś ekranu; na jego widok unieśli szklanki w górę.

Co za przyjemne uczucie: być powitanym toastem przez samą śmietankę. Nieźle jak na chłopca, który próbował wymigać się od szkoły i książek przez całe lata. Kiedy miał czternaście lat, jedna nauczycielka wzięła go na stronę i powiedziała, że właściwie to lepiej byłoby, jakby zaczął starać się o zasiłek. Ustaw się wcześnie w kolejce, doradziła.

Kiedy zakończyli obserwacje Morgana, przemieścili się bliżej Maleivy III i zaczęli rozmieszczanie sond i przestawianie satelitów. Jak to ujął Chiang Harmon, mieli zamiar „zmierzyć temperaturę ofiary i słuchać bicia jej serca aż do końca jej dni". Zespół chciał zarejestrować wszelkie dostępne dane fizyczne. Chcieli wyliczyć gęstość gwiazdy i zarejestrować fluktuacje jej albedo. Chcieli obserwować zmiany przypływów. Chcieli zbadać głębokość i skład jądra, przeanalizować skład atmosfery i zmierzyć ciśnienie powietrza. Chcieli wykreślić mapę huraganów i tornad oraz zmierzyć coraz większe natężenie wstrząsów, które ostatecznie miały zniszczyć planetę.

Przy śniadaniu, pierwszego dnia na orbicie Deepsix, Beekman

ogłosił wszystkim obecnym w mesie, a przez interkom pozostałym, że stosunek wodoru do helu, 80,41 do 14,1, pasuje idealnie do gwiazdy, która prawdopodobnie jest gwiazdą macierzystą Morgana. Zatem wiedzieli już z całkowitą niemal pewnością, gdzie powstała planeta.

Wszyscy zaczęli klaskać, a ktoś zasugerował, umyślnie zachrypłym tonem, że taka okazja aż prosi się o toast. Hałas zamienił się w śmiech, a Beekman zaczął rozlewać sok jabłkowy. Towarzystwo było jakieś niepijące.

Marcel Clairveau chciał znaleźć pracę w zarządzaniu, ale przypuszczał, że spędzi resztę życia pilotując statki nadświetlne dla Akademii. Wcześniej pracował dla Kosmik Inc., przewożąc ludzi i wyposażenie na Quraque i z powrotem; Kosmik Inc. przeprowadzała tam terraformowanie. Nie podobali mu się jednak ludzie zarządzający tą organizacją — niekompetentni autokraci. Kiedy doszło do tego, że wstydził się przyznawać, dla kogo pracuje, zwolnił się, popracował krótko jako instruktor dla Overflight, a kiedy trafiła się sposobność pracy w Akademii, skorzystał z niej.

Marcel był Paryżaninem, choć urodził się na Pinnacle. Był drugim dzieckiem urodzonym na planecie poza Układem Słonecznym. Pierwsze — dziewczynka, także urodzona na Pinnacle — otrzymało wszelkie możliwe prezenty, łącznie z bezpłatną edukacją.

— Niech to będzie dla ciebie nauczka — lubił powtarzać mu ojciec. — Nikt nie pamięta, kto był pierwszym oficerem Kolumba. Należy zawsze walczyć o pierwsze miejsce.

Powiedzonko stało się rytualnym żartem wymienianym między nimi, ale Marcel dostrzegał w tej uwadze sporo mądrości. Teraz pewna jego odmiana wisiała nad biurkiem w kajucie: „Wskakuj lub siadaj”. Nie była specjalnie poetycka, ale przypominała mu o tym, że nie należy pozostawiać niczego losowi.

Ojciec był rozczarowany bezcelowością młodzieńczych lat Marcela i umarł na długo przed jego ustatkowaniem się, w przekonaniu, że jego niesforne potomstwo nigdy niczego w życiu nie osiągnie. Umieścił Marcela w szkole w Lyonie, specjalizującej się w krnąbrnych uczniach. A tam nauczono go o Wolterze.

Trudno powiedzieć, czy sprawiła to nagła śmierć ojca, czy Wolter, czy nauczyciel matematyki, który (z do dziś niezrozumiałych dla Marcela powodów) uwierzył w niego w drugiej klasie, czy Valerie Guischard, która powiedziała mu bez ogródek, że nie zwiąże się z człowiekiem bez przyszłości — bez względu jednak na to, co było przyczyną, stało się: Marcel postanowił podbić świat.

To mu się akurat nie udało, ale został kapitanem statku nadświetlnego. Było już za późno na zdobywanie Valerie, lecz wiedział, że żadna kobieta nie odejdzie już od niego tylko dlatego, że

nie ma on nic do zaoferowania.

Statki międzygwiezdne okazały się jednak mniej romantyczne, niż przypuszczał. Jego życie, nawet podczas pracy dla Akademii, składało się z przerzucania pasażerów i ładunków z planety na planetę z monotonną regularnością. Miał nadzieję, że zostanie pilotem statków badawczych latających poza bąbel, do miejsc, których nikt nigdy nie widział, jak „Taliaferro", którego załoga wyleciała dwadzieścia jeden lat temu i odkryła Morgana. O takim właśnie życiu marzył. Tylko że to były niewielkie statki, a ich piloci przeważnie pracowali razem z resztą załogi. Byli astrofizykami, egzobiologami, klimatologami, ludźmi, którzy liczyli się podczas misji. Marcel potrafił pilotować statki kosmiczne, a w razie konieczności naprawić ekspres do kawy. Był wyszkolonym technikiem, jednym z niewielu pilotów, którzy potrafili podczas wyprawy dokonywać dużych napraw. Ta bardzo cenna umiejętność była jednak kolejnym powodem, dla którego Akademia wolała przydzielać go do lotów z dużą liczbą pasażerów.

Marcel odkrył, że prowadzi dziwnie spokojne życie.

Aż do afery z Morganem.

Ponieważ zderzenie miało być czołowe, coś w stylu kosmicznego wykolejenia pociągu, Maleiva III jeszcze nie odczuwała skutków grawitacyjnych zbliżającego się giganta. Na jej niebie był zaledwie trochę jaśniejszą gwiazdą.

— Tu na dole niewiele się zmieni — prorokował Beekman. — Aż do ostatnich czterdziestu godzin. — Wtedy — zatarł ręce z niecierpliwością — dopiero się będzie działo!

Znajdowali się po nocnej stronie. Delikatne chmury unosiły się pod nimi, oświetlone światłem gwiazd. Tu i ówdzie było widać oceany lub pokryte śniegiem lądy.

„Wendy Jay" poruszała się na wschód na niskiej orbicie. Na pokładzie statku panował wczesny ranek, ale większość badaczy była już na nogach i tłoczyła się wokół ekranów. Objadali się przekąskami i wypijali hektolitry kawy, obserwując, jak niebo rozjaśnia się w miarę zbliżania się statku do linii terminatora.

Załoga Marcela składała się z dwóch osób. Mira Amelia była technikiem-specjalistą, a Kellie Collier — drugim pilotem. Kellie przejęła mostek, kiedy Marcel poszedł spać. Spanie okazało się jednak trudne. Atmosfera na statku była zbyt podniosła, nie udało mu się więc zasnąć aż do pierwszej. Obudził się kilka godzin później, przewrócił się parę razy z boku na bok, aż wreszcie poddał się, wziął prysznic i włożył ubranie. Poczuł niezdrowe zainteresowanie zbliżającym się pokazem fajerwerków. Uświadomienie sobie tego faktu wywołało w nim irytację, gdyż zawsze uważał się za kogoś, kto jest ponad gapieniem się na wypadki.

Spróbował sobie wytłumaczyć, że po prostu wykazuje naukową ciekawość. Było to jednak coś więcej. Coś przeszywało go aż do kości, gdy myślał o tym, że cała planeta pełna żywych istot będzie zajmować się tym, co zawsze, gdy nastąpi katastrofa.

Włączył monitor i wybrał jeden z kanałów z kontroli projektu. Ekran wypełnił się nieskończonym łukiem oceanu. Śniegowa fala kołysała się niepewnie na skraju pokrywy chmur.

Znajdowali się nad pokrytymi śniegiem górami, które z tej odległości wyglądały jak niekończąca się biała równina.

Dostrzeżenie obłoku pyłu Quiveras nie było możliwe. Nawet na statku nadświetlnym jedynie wykrywacze informowały, że on tam jest. Efekt był jednak wyraźny. Wystarczyłoby go zabrać, a Maleiva III znów miałaby klimat tropikalny.

Przelatywali nad kontynentem o kształcie trójkąta, największym na planecie. Na północnym i zachodnim wybrzeżu dominowały wielkie łańcuchy górskie, a kilka z nich tworzyło coś na kształt nieregularnej centralnej osi. Ląd rozciągał się od około dziesięciu stopni szerokości północnej prawie do bieguna południowego. Południowe krańce nie były oczywiście widoczne dla nieuzbrojonego oka, gdyż pokrywały je masy antarktycznego lodu. Abel Kinder, jeden z klimatologów na pokładzie, powiedział mu, że przed epoką lodowcową istniał prawdopodobnie przesmyk lodowy między kontynentem a czapą polarną.

Znalazł Beekmana siedzącego w ulubionym fotelu na mostku, gawędzącego z Kellie i pijącego kawę. Patrzyli w dół, a ostatnie z gór znikły z pola widzenia. Stado zwierząt z uporem brnęło przez równinę.

— Co to jest? — spytał Marcel.

Beekman wzruszył ramionami.

— Jakieś futrzaste coś — odparł. — Miejscowy odpowiednik renifera. Tylko z białym futrem. Mam znaleźć w archiwum?

To nie było konieczne. Marcel po prostu chciał jakoś zacząć rozmowę. Wiedział, że zwierzęta na Deepsix są w dużym stopniu odmianami często spotykanych form. Miały podobne organy, mózgi, układy krwionośne, tendencję do symetrii. Spotykało się tu dużo egzoszkieletów. Ciężkie kości po obu stronach papierka. Większość roślin zawierała chlorofil.

Owady na Deepsix miały wszelkie możliwe rozmiary, aż do bestii wielkości owczarka niemieckiego.

Nie znano zbyt wielu szczegółów, gdyż — jak wszyscy wiedzieli — ekspedycja Nightingale'a, wysłana dziewiętnaście lat wcześniej, została zaatakowana przez miejscowe formy życia już pierwszego dnia. Od tego czasu nikt nie był na powierzchni planety. Badania ograniczono do obserwacji satelitarnych.

— To dość przyjemne miejsce — rzekł Beekman. — Pewnie stanowiłoby łakomy kąsek dla twoich byłych szefów.

Miał na myśli Kosmik Inc., a konkretnie wydział konstrukcji planet, zajmujący się wybieraniem i terraformowaniem planet, które następnie można było skolonizować.

— Za zimno — odparł Marcel. — Jak w lodówce.

— Blisko równika wcale nie jest tak źle. Poza tym to tylko chwilowe. Jeszcze paręset lat i wyjdzie z obłoku, i znowu będzie jak dawniej.

— Nie sądzę, żeby moi byli szefowie myśleli aż tak perspektywicznie.

Beekman wzruszył ramionami.

— Nie ma zbyt wielu planet, które by się nadawały, Marcelu. Myślę, że Deepsix byłaby całkiem przyjemnym miejscem do przejęcia.

Równiny ustąpiły miejsca lasom, a lasy — górom. Potem znów lecieli nad morzem.

Chiang Harmon odezwał się ze sterowni projektu, by ogłosić, że ostatnia z sond ogólnego przeznaczenia została wystrzelona. Marcel usłyszał w tle śmiech i czyjś głos:

— Gloriamundi.

— Co się tam dzieje? — zwrócił się do Beekmana.

— Nadają nazwy kontynentom — odparł Chiang.

Marcel był zdziwiony.

— Po co się trudzić? Niedługo ich tam nie będzie.

— Może właśnie dlatego — odparła Kellie. Była ładna, miała ciemną skórę i osobowość naukowca. Była jedyną znaną Marcelowi osobą, która naprawdę czytywała poezję dla rozrywki. — Będziemy mieli mapę, kiedy to wszystko się skończy. Powinniśmy na niej umieścić jakieś nazwy.

Marcel i Beekman poszli do centrum kontroli projektu, żeby trochę się poprzyglądać. Była tam połowa załogi: wywrzaskiwali pytania i kłócili się. Chiang wrzucał na ekran różne lokalizacje, jedną po drugiej. Były tam nie tylko kontynenty, ale też oceany i morza śródlądowe, łańcuchy górskie i rzeki, wyspy i półwyspy.

Trójkątny kontynent, nad którym właśnie przelatywali, otrzymał nazwę Transitoria. Inne też miały już swoje nazwy: Endtime, Gloriamundi oraz Północny i Południowy Tempus.

Wielki północy ocean nazwano Oceanem Coraggia. Pozostałe otrzymały nazwy: Nirwana, Majestatyczny i Nieprzenikniony. Akwen, który oddzielał Transitorię od dwóch Tempusów (połączonych wąskim przesmykiem) stał się Morzem Mglistym.

Dotarli aż do Przylądka Pożegnań i Zatoki Złych Wieści, położonej daleko w północno-zachodniej Transitorii, a także do Skały Wart i

Czarnego Wybrzeża oraz Zasmuconych Gór.

Gdy już zapełnili mapę, stracili zainteresowanie i rozeszli się. Dopiero wtedy Marcel zauważył zmianę nastroju. Trudno było określić dokładnie, co się stało, czy nawet zdobyć pewność, że nie był to tylko wytwór jego wyobraźni. Badacze spoważnieli, nie śmiali się już tak często i odnosiło się wrażenie, że trzymają się razem.

Marcel zwykle nie czuł się pewnie w obecności badaczy Akademii. Byli tak zajęci własnymi sprawami, a czasem zachowywali się, jakby każdy, kto nie jest zainteresowany, powiedzmy, szybkością, z jaką biegnie czas w silnym polu magnetycznym, nie był kimś, z kim warto utrzymywać kontakty. Nie robili tego specjalnie i przeważnie starali się zachowywać poprawnie. Niewielu z nich jednak było w stanie ukrywać swoje uczucia. Nawet kobiety przeważnie sprawiały wrażenie zaściankowych.

Dlatego też Marcel spędzał większość wieczorów w swojej kajucie, szperając w bibliotece statku. To był jednak szczególny dzień, pierwszy cały dzień spędzony na miejscu. Naukowcy świętowali, a on nie chciał, żeby go coś ominęło. Został więc do chwili, aż ostatni z nich włożył naczynia i szkło do stojaka i odszedł. Wtedy Marcel zaczął przyglądać się mapie Chianga.

Nietrudno było wyobrazić sobie Maleivę III jako planetę, na której żyją ludzie. Port Urazy na zwężeniu Gloriamundi. Kanał Niezdecydowania przekopany przez Tempusy.

Nie czuł senności. Po chwili poszedł na mostek. Wszystkim zajmowała się SI statku. Szybko znudziło go oglądanie nieskończonych lodowców i oceanów poniżej, więc zaczął czytać dreszczowiec polityczny, który zaczął poprzedniego wieczora. Słyszał, jak ludzie chodzą po korytarzach. Było to dość niezwykłe zjawisko, ale przypisał je ogólnemu podekscytowaniu, jakie panowało przez cały dzień.

Po półgodzinie zabrzęczał komunikator.

— Marcel? — głos Beekmana.

— Tak, Guntherze?

— Jestem z powrotem w centrum kontroli projektu. Masz chwilę? Zobaczyłem coś, co chcę ci pokazać.

Przed paroma monitorami zebrało się kilkanaście osób. Na wszystkich był ten sam obraz: las pokryty śniegiem i coś między drzewami — coś, co wyglądało jak mur. Trudno było dostrzec dokładnie.

— To maksymalne powiększenie — oznajmił Beekman.

Marcel zmrużył oczy, jakby to miało pomóc.

— Co to? — spytał.

— Nie mamy pojęcia. Ale wygląda jak… — …budynek. — Podeszła do nich Mira Amelia. — Ktoś tam jest.

— Może to po prostu rozproszone promienie słońca. Złudzenie optyczne.

Wszyscy gapili się na monitor.

— Sądzę, że to coś sztucznego — rzekł Beekman.

II

Archeologia pozaziemska wygląda atrakcyjnie, bo sprawcy takich działań wygrzebują radia tranzystorowe używane przez stworzenia, których nie ma już od ćwierci miliona lat. Zatem otacza je aura tajemniczości i romantyzmu. Jeśli jednak kiedykolwiek uda nam się przegonić fale radiowe i dogrzebać się do ich transmisji, bez wątpienia odkryjemy, że byli bandą takich samych matołów jak my. Ta refleksja pewnie nie wpłynie dobrze na ten splendor.

Gregory MacAllister, Refleksje bosonogiego dziennikarza

Priscilli Hutchins, tkwiącej w e-skafandrze, zaparło dech; rozejrzała się po wnętrzu zrekonstruowanej świątyni. Światło późnego popołudnia przedzierało się na ukos przez witraże transeptów, przez górne galerie, przez centralną wieżę. Kamienna platforma zajmowała miejsce ołtarza.

Osiem potężnych kolumn podpierało kamienny dach. Ławy, tak wysokie, że Hutch nie była w stanie z nich wygodnie skorzystać, rozmieszczono strategicznie w całej nawie dla wygody wiernych. Były drewniane i nie miały oparć. Zaprojektowano je dla stworzeń, które nie posiadały pośladków, przynajmniej w takim sensie jak ludzie. Wierni korzystali z ław balansując na nich korpusami i przytrzymując się przekształconymi żuwaczkami.

Hutch przyjrzała się obrazowi nad ołtarzem. Miał sześć dodatków i przestawiał stworzenia z grubsza owadopodobne. Ich oczy wyglądały jednak bardziej jak oczy kalmara. Kamienne promienie, przedstawiające światło, wychodziły z ich górnych kończyn.

Eksperci uważali, że obraz przedstawia Wszechmocną, stworzycielkę świata. Boginię.

Postać była żeńska, choć Hutch nie potrafiła określić, jak zespół ekspertów do tego doszedł. Miała pysk, kły i czułki, których funkcja nadal pozostawała nieznana dla badaczy. Każda z czterech górnych kończyn posiadała sześć zakrzywionych palców. Dolna para przechodziła w stopy, a przynajmniej coś w tym rodzaju, obute w sandały.

Postać miała nagą czaszkę, jeśli nie liczyć nakrycia głowy na czubku, zakrzywionego nad dwoma otworami usznymi. Nosiła okrycie wierzchnie przepasane szarfą i spodnie przypominające bryczesy. Środkowa para kończyn była jakaś skurczona.

— Szczątkowe? — spytała Hutch.

— Pewnie tak. — Mark Chernowski sączył chłodne piwo. Pociągnął długi łyk, rozkoszując się smakiem, po czym dotknął ust palcem wskazującym. — Gdyby ewolucja trwała nadal, niewątpliwie by zanikły.

Mimo dziwnych rysów i dziwacznej anatomii ze Wszechmocnej emanowała jakaś świetność, często odczuwana w przypadku mieszkańców niebios. Każdy z czterech inteligentnych gatunków, które odkryła ludzkość, jak również gatunek ludzki, przedstawiał różne istoty boskie na swoje podobieństwo, a także na podobieństwo paru innych. Na Pinnacle, gdzie przez długi czas nie znano wyglądu mieszkańców, trudno było określić, które wizerunki przedstawiają dominujący gatunek. Wszystkim jednak udało się uchwycić dostojeństwo boskiej potęgi.

Hutch zauważyła, że niektóre posępne cechy i nastroje daje się jakoś przenieść między kulturami, odtwarzając je w kamieniu. Choć były całkowicie obce.

Podeszli bliżej ołtarza. Było tam kilka rzeźbionych figur, niektóre z nich przedstawiały zwierzęta. Hutch dostrzegła, że są to stworzenia mityczne; takie okazy nie mogłyby powstać na planecie podobnej do Ziemi. Niektóre miały skrzydła za małe, by unieść właściciela. Inne — głowy niepasujące do korpusów. Wszystkie jednak zostały przedstawione w sposób, który sugerował znaczenie religijne. Jedno z nich przypominało nieco żółwia, a Chernowski wyjaśnił, że symbolizuje świętą mądrość. Postać węża miała przedstawiać boską obecność przepełniającą świat.

— Skąd my to wszystko wiemy? — spytała. — Plainfield powiedział, że nadal nie potrafimy odczytać pisma.

Chernowski napełnił kufel, spojrzał na Hutch, by upewnić się, czy jednak nie zmieniła zdania w kwestii smakowitej cieczy, i uśmiechnął się uprzejmie, gdy odmówiła.

— Całkiem sporo można wydedukować z kontekstu, w którym tradycyjnie umieszcza się obrazy. Choć oczywiście nadal mamy mnóstwo pytań i wątpliwości. Czy żółw przedstawia boga mądrości? Czy jest to po prostu symbol boskiego atrybutu? Czy to tylko dzieło sztuki z poprzedniej epoki, którego nikt w żadnym innym sensie nie brał poważnie?

— Chcesz powiedzieć, że to miejsce mogło być po prostu muzeum sztuki?

Chernowski zaśmiał się.

— Niewykluczone.

Zrekonstruowaną świątynię zbudowano kilka kilometrów od miejsca, gdzie znajdowała się oryginalna budowla, by zakonserwować ruiny.

Niektóre elementy były bardzo niezwykłe. Zwłaszcza, zdaniem Hutch, istoty ze skrzydłami.

— Tak — podchwycił jej spojrzenie. — Zdolność do lotu zapewnia jakiś rozmach, nie? — Przeniósł wzrok na stworzenie, które bardzo przypominało orła. Rzeźbę wykonano z czarnego kamienia. Miała rozłożone skrzydła i wysunięte szpony. — To jest ciekawe — rzekł. — O ile mi wiadomo, na tej planecie nigdy nie było orłów. Ani niczego choć z grubsza przypominającego orła.

Przyglądała się stworzeniu przez dłuższą chwilę.

— Często pojawia się na ramieniu Wszechmocnej — mówił dalej — i jest z nią blisko związane. Jak gołębica z bóstwem chrześcijańskim.

Robiło się późno. Wrócili na tył nawy. Hutch rzuciła ostatnie spojrzenie. Oglądała świątynię po raz pierwszy od jej ukończenia.

— Fantastyczne — rzekła.

Łazik czekał na zewnątrz. Spojrzała na niego, po czym przeniosła wzrok na świątynię, fascynującą w swojej surowości i prostocie.

— Minęło kilkaset tysięcy lat, Mark — podsunęła. — Parę rzeczy się mogło zmienić. Może kiedyś żyły tu orły. Skąd mielibyśmy wiedzieć?

Wsiedli do łazika i ruszyli w stronę beznadziejnie nudnej bazy misji, zbiorowiska beżowych przegródek, leżącego na zachód od oryginalnych ruin.

— To możliwe — przyznał. — Choć skamieliny mamy już dość dobrze opracowane. Ale to nie ma wpływu. Lepiej zgodzić się z Platonem, że istnieją pewne formy preferowane przez naturę, choć może nigdy nie zobaczymy ich w rzeczywistości.

Wstał i przeciągnął się.

— Jak sądzisz, co się stało z tubylcami? — spytała. — Dlaczego wymarli?

Dominująca rasa na Pinnacle znikła dawno temu. Prawie trzy czwarte miliona lat temu.

Chernowski potrząsnął głową. Był wysoki i kościsty, z siwymi włosami i ciemnymi oczami. Spędził całe życie na tej planecie i zarządził wszystko tak, by w swoim czasie go tu pogrzebano. Lubił opowiadać zwiedzającym, że jeśli dopisze mu szczęście, będzie pierwszy.

— Kto wie? — rzekł. — Pewnie się zestarzeli. Gatunki się starzeją, tak jak poszczególne osobniki. Wiemy, że pod koniec liczebność ich populacji drastycznie się zmniejszyła.

— Skąd to wiemy?

— Jesteśmy w stanie datować miasta. W późniejszych latach było ich mniej.

— Jestem pod wrażeniem — rzekła.

Chernowski uśmiechnął się i przyjął komplement jako coś naturalnego.

Hutch wyjrzała przez okno i przyjrzała się kupce zapadniętych kamieni, która kiedyś była oryginalną świątynią.

— Ile z tego to ekstrapolacja? — spytała. — Z tego, co widzieliśmy?

Pojazd zatrzymał się i wysiedli.

— Wiemy dość dużo na temat tego, jak wyglądała świątynia. Jasne, nie mamy pewności co do szczegółów, ale to dość dobre przybliżenie. Jeśli chodzi o rzeźby, odkryliśmy tu i tam wystarczająco dużo kawałków i fragmentów, żeby inteligentnie zgadywać. Podejrzewam, że gdyby tubylcy wrócili, w naszym modelu czuliby się jak w domu.

Prace archeologiczne na Pinnacle zaczęły się prawie trzydzieści lat wcześniej. W tej chwili na planecie przebywały ponad dwa tysiące osób, rozsianych na kilkudziesięciu stanowiskach.

Pinnacle była nadal pulsującym życiem światem, ale egzobiologowie niespecjalnie się nią interesowali. Żyjące na niej stworzenia zostały skatalogowane, formy życia wytwarzające elektryczność — zbadane, a jedyną pracą, jaka nadal pozostała do wykonania, było zbieranie danych. Nie spodziewano się już żadnych niespodzianek ani przełomów.

Nadal jednak dało się wyczuć dużą fascynację gatunkiem dominującym. Budowniczowie świątyni żyli na wszystkich pięciu kontynentach; ruiny miast znajdowano wszędzie z wyjątkiem czap polarnych. Ale znikli. Niewątpliwie byli najstarszą cywilizacją znaną ludziom. Mimo przechwałek Chernowskiego żaden z osobników tego gatunku nie był znany z imienia. Nie znano nawet, pomyślała, imienia ich najważniejszego bóstwa.

Hutch podziękowała mu za wycieczkę i wróciła do łazika. Postała kilka sekund, z jedną nogą w łaziku i drugą poza, gapiąc się na krąg starożytnych kamieni i zastanawiając się, w jakim stopniu wygląd świątyni wziął się z wyobraźni projektantów Chernowskiego.

E-skafander otulał ją jak ubranie, z wyjątkiem twarzy, gdzie tworzył twardą, owalną skorupę, umożliwiającą swobodne oddychanie i mówienie. Zapewniał ochronę przed skrajnymi temperaturami i promieniowaniem, równoważył także ciśnienie, więc można było z niego korzystać w próżni.

Nosząc go, odnosiło się raczej wrażenie, jakby się miało na sobie

skafander z luźno dopasowanej, miękkiej tkaniny. E-skafander czerpał energię z nośników słabych oddziaływań, więc mógł funkcjonować praktycznie w nieskończoność.

Kiedy w tym miejscu stała świątynia, klimat był o wiele bardziej przyjazny, a na otaczających ją terenach kwitło rolnictwo. Później miasto wraz ze świątynią zostało splądrowane i spalone, ale odrodziło się, i po napadach odradzało się kilka razy, by w końcu — zdaniem ekspertów — stać się siedzibą imperium.

Aż w końcu na trwałe obróciło się w proch. Zabrzęczał komunikator.

— Hutch? Jesteśmy gotowi.

To Toni Hamner, jedna z pasażerek. W tej chwili Toni kierowała zespołem załadunkowym.

Kilku ludzi Chernowskiego wyciągało rzeźbiony kamień z rozpadliny.

— Już lecę — odparła Hutch.

Parę minut później wylądowała przy lądowniku. Stał tam już inny łazik, z którego ładowano skrzynie. W skrzyniach były artefakty, prawie wyłącznie fragmenty świątyni, zabezpieczone pianką.

— Mamy trochę ceramiki do zabrania — rzekła Toni. — W tym statuę.

— Statuę? Czego?

Zaśmiała się.

— Nikt nie ma pojęcia. Ale jest w dobrym stanie.

Ładowaniem zajmowały się dwie osoby. Jeden z mężczyzn przyglądał się etykietom spedycyjnym.

— Kubki — rzekł. — Naprawdę w to wierzycie? Po tylu latach?

— John jest nowy — wyjaśniła Toni. — To wypalana glina — zwróciła się do niego. — Jeśli się to zrobi porządnie, taki przedmiot jest wieczny.

Była gibka, o skórze barwy oliwki, beztroska. Hutch przywiozła ją z Układu Słonecznego cztery lata temu, razem z mężem. Plotka głosiła, że jest może nawet zbyt beztroska. On się poddał i chciał wracać do domu, Toni zaś postawiła sprawę jasno: zamierza zostać jak najdłużej. Była ekspertem w dziedzinie przepływu energii i tu miała sposobność się wykazać. Jej czas na Pinnacle, kiedy mogła projektować i wdrażać własne systemy bez zbędnego nadzoru, był bezcenny.

Najwyraźniej Toni uznała, że mąż się przystosuje.

Skrzynie były ciężkie i zrównoważenie ładunku miało znaczenie zasadnicze. Hutch pokazała im, gdzie należy wszystko umieścić, a następnie wspięła się do kabiny. Pozostała trójka pasażerów siedziała już na miejscach.

Jednym z nich był Tom Scolari, specjalista od automatycznego przetwarzania danych, którego znała od lat. Scolari przedstawił ją

Embry Desjardin, lekarce, której kontrakt właśnie się skończył, i Randy'emu Nightingale'owi, którego przelotnie znała. Nightingale był pewnym zaskoczeniem, spóźnionym dodatkiem do listy pasażerów. Lot do domu, wyjaśniła, będzie trwać trzydzieści jeden dni. Oczywiście i tak już to wiedzieli.

Usiadła, włączyła komunikator i poinformowała oficera transportowego, że jest gotowa do lotu.

W głośniku zatrzeszczał jego głos.

— Masz zgodę na start — powiedział. — Miło cię było widzieć, Hutch. Wracasz niedługo?

— Następne dwa loty mam na Nok.

Nok był jedyną planetą, gdzie znaleziono żywą cywilizację. Tubylcy właśnie nauczyli się korzystać z prądu elektrycznego. Ale nadal toczyli wielkie wojny. Byli strasznie kłótliwi, żyli w ucisku, nie tolerowali oryginalnych myśli. Wierzyli, że są sami we wszechświecie (o ile w ogóle o tym myśleli), a nawet ich społeczność naukowa odrzucała całkowicie możliwość istnienia życia na innych planetach. Zabawne to było, jako że ludzie bywali pośród nich — wyposażeni w urządzenia do zaginania promieni świetlnych, które sprawiały, że stali się niewidzialni.

Hutch zastanawiała się, dlaczego cywilizacja na Pinnacle, martwa od setek tysięcy lat, jest o wiele ciekawsza niż ta na Nok.

Toni ostatni raz rzuciła okiem na artefakty, żeby się upewnić, czy je należycie zabezpieczono. Potem pożegnała się z ładującymi i usiadła.

Hutch uruchomiła antygrawitację, a gdy system zaczął gromadzić energię, wygłaszała procedury bezpieczeństwa. Technologia antygrawitacji umożliwiała manipulowanie masą lądownika w stosunkowo słabym polu grawitacyjnym (na przykład na planecie), pomiędzy rzeczywistą wartością a dwoma procentami tej masy. Hutch poleciła pasażerom, żeby pozostali na swoich miejscach, chyba że wyda im polecenie ich opuszczenia, nie szarpali się z uprzężą, dopóki sama się nie rozepnie, nie wykonywali żadnych gwałtownych ruchów, dopóki świeci się czerwone światełko i tak dalej.

— Dobrze — oznajmiła. — Jazda.

Uprząż owinęła się wokół ich ramion i osadziła ich na miejscach. Hutch skierowała silniki pomocnicze w dół i odpaliła je. Pojazd zaczął się wznosić. Pociągnęła wolant i lądownik łagodnie zaczął płynąć w powietrzu.

Przekazała stery SI, poinformowała pasażerów, że mogą wyłączyć e-skafandry, jeśli chcą, i wyłączyła swój.

Stanowisko archeologiczne przestało już być widoczne na tle otaczających je brązowych piasków.

„Harold Wildside” miał przepiękne kajuty. Przez ponad dwadzieścia lat spędzonych na pilotowaniu statków nadświetlnych Akademii Hutch przeżyła kilka poważnych zmian; najważniejszą z nich było odkrycie sztucznej grawitacji. Było jednak prawdą, że teraz ludziom Akademii wygodnie się podróżowało. Trudno mówić o luksusach, ale obecne kajuty dzieliła od dawnych cała przepaść — wtedy wszystko było jak najtańsze.

Dodatkowy zastrzyk pieniędzy na badania kosmiczne w dużej mierze zawdzięczali odkryciu obłoków Omega, dziwnych, śmiercionośnych obiektów, które dryfowały od środka galaktyki w cyklach liczących osiem tysięcy lat i najwyraźniej były zaprogramowane na niszczenie cywilizacji technicznych. Niszczyły w istocie linie i kąty proste w budowlach, które przyciągały ich uwagę. Czyli kształty niewystępujące w przyrodzie. Od ich odkrycia, które miało miejsce dwadzieścia lat temu, style w architekturze uległy olbrzymiej zmianie. Mosty, budowle, porty kosmiczne, wszystko, do powstania czego przyłożył rękę jakiś architekt, projektowano z wykorzystaniem krzywych i łuków. Kiedy obłoki Omega pojawią się w pobliżu Ziemi — a miało to nastąpić za jakieś tysiąc lat — nie znajdą wiele elementów, które przyciągałyby ich uwagę.

Obłoki stały się przyczyną długiej debaty. Czy były zjawiskiem naturalnym, jakąś formą, która wyewoluowała, by chronić galaktykę przed inteligentnym życiem? Czy też wytworem jakiejś diabolicznej inteligencji o niesamowitych możliwościach technicznych? Tego nikt nie wiedział, ale już sam pomysł, że wszechświat może dążyć do pozbycia się inteligentnych ras, wywołał refleksje u wyznawców bardziej popularnych religii.

Świątynia na pustyni była zaokrąglona, nie miała żadnych kątów prostych. Hutch zastanawiała się, czy to oznacza, że problem był znany od dawna.

Lądownik zacumował na pokładzie „Wildside”. Hutch odczekała, aż wszystkie kontrolki zapalą się na zielono, po czym otworzyła śluzę.

— Miło mi gościć was na pokładzie — rzekła. — Kwatery są na górze. Szukajcie swoich nazwisk. Kuchnia jest z tyłu. Jeśli chcecie się przebrać, wziąć prysznic, czy coś, mamy trochę czasu. Wyruszamy dopiero za godzinę.

Embry Desjardin miała długie, ciemne włosy i wystające kości policzkowe. W jej oczach było coś, co sprawiało, że każdy od razu wiedział, iż jest chirurgiem. Spędziła na Pinnacle ponad trzy lata, znacznie więcej, niż zwykle trwał pobyt personelu medycznego.

— Podobało mi się — wyjaśniła, zwracając się do Hutch. — Tu nie ma hipochondryków.

Tom Scolari był średniego wzrostu, rudy, dużo się śmiał i powiedział Hutch, że leci do domu, bo ojciec zachorował, matka jest

niepełnosprawna, i ktoś musi pomóc im w domu.

— A poza tym — mówił dalej, udając powagę — na Pinnacle jest mało kobiet.

Uścisnął dłoń Nightingale'a.

— Czy to pan jest ten Nightingale, który parę lat temu był na Deepsix?

Nightingale potwierdził, mruknął coś w stylu, że dobrze jest wracać do domu, i otworzył książkę.

Czekając, aż orbita „Wildside" dostosuje się do wektora startu, Hutch przeprowadzała testy przedstartowe, rozmawiała ze starym przyjacielem na pokładzie „Skyhawka", stacji kosmicznej Pinnacle, i czytała nadchodzące wiadomości o ruchu w przestrzeni.

Było trochę ciekawych rzeczy: statek wycieczkowy TransGalactic, „Wieczorna Gwiazda", leciał na Maleivę, wioząc półtora tysiąca turystów, którzy chcieli oglądać wielkie zderzenie. Całe wydarzenie miało być transmitowane na żywo przez sieć Universal News, choć transmisja mogła dotrzeć na Ziemię dopiero po paru dniach. Separatyści w Wyoming urządzili kolejną strzelaninę, a w Jerozolimie zaczęły się rozruchy.

„Gwiazda" była największa z planowanej serii statków wycieczkowych. Parę lat wcześniej mniejszy statek zabrał pasażerów w okolice czarnej dziury w punkcie Golema. Nie spodziewano się zbyt dużego zainteresowania. Żartowano, że w czarnej dziurze nie ma za wiele do oglądania. Ale zgłoszenia dosłownie zalały biuro rezerwacji i nagle okazało się, że na cudach wszechświata też można zrobić dobry interes; tak narodziła się nowa branża.

Historia z Maleivą przypomniała jej o związkach Randy'ego Nightingale'a z tym układem. Układ znów zajmował sporo miejsca w wiadomościach, a ona zastanawiała się, czy to ma jakiś związek z nagłą decyzją o powrocie do domu.

Bill poprosił o zgodę na włączenie silników.

— Już czas — dodał.

Pokładowa SI na wszystkich nadświetlnych statkach Akademii została nazwana na cześć Williama R. Dolbry'ego, będącego nie projektantem, ale pierwszym kapitanem statku, który powrócił pilotowany przez system pokładowy. Dolbry doznał ataku serca, gdy pilotował elegancki jacht z czterema przerażonymi pasażerami na pokładzie podczas samodzielnej podróży osiemdziesiąt lat świetlnych od Ziemi.

Wizerunek Billa (który nie był twarzą Dolbry'ego) przypominał kogoś, kto byłby świetnym kandydatem na prezydenta lub kongresmana. Miał okrągłą twarz, poważne oczy i elegancko przystrzyżoną siwą bródkę. Zaprojektowano go tak, by nie dało się

cały czas odczuwać jego obecności, bo projektanci nie chcieli, by kapitanowie w zbyt dużym stopniu na nim polegali. Złudzenia mogą dominować, a SI nadal nie miały ludzkiej umiejętności podejmowania decyzji w rzeczywistych sytuacjach.

— Dobrze, Bill — odparła.

„Wildside" przewoził wielki ładunek ceramiki i glinianych tabliczek. W sumie wpakowano tam jedenaście transportów. Pasażerów nie było wielu, ale ładunek to rekompensował.

Wiedziała, że kopie kubków i misek pojawią się potem w należącym do Akademii sklepie z pamiątkami. Będą wyglądać tak samo jak oryginał. Który jest wart tyle, ile równoważna wagowo ilość tytanu. A nawet więcej.

Szkoda.

— Dobrze, drodzy państwo — zwróciła się do pasażerów. — Za jakieś trzy minuty zaczynamy przyspieszać. Przypnijcie się. I zameldujcie się, jak skończymy.

Droga na Ziemię miała trwać długo, ale Hutch była do tego przyzwyczajona. Odkryła już, że po jakimś czasie pasażerowie zawsze znajdują jakieś wspólne tematy. Dostępne rozrywki były prawie nieograniczone, a podróż przypominała raczej wakacje. Znała przypadki, kiedy ludzie po odbyciu takiej podróży przez wiele lat regularnie się spotykali. Znała też przypadki zakochania się, rozpadu małżeństw, dokonywania przełomowych odkryć naukowych oraz prawie nieprzerwanych orgii.

Marcel był rozbawiony.

— Wydawało mi się, że tam nie ma żadnego inteligentnego życia. Czy tak nie było napisane w profilu?

Znajdowali się z powrotem w centrum kontroli projektu, otoczeni technikami i analitykami Beekmana. Sam Beekman wydał z siebie głębokie westchnienie.

— Wiecie, jak to jest podczas rekonesansu — rzekł. — A w tym przypadku ekipa zbierała się stamtąd w dość szybkim tempie.

— Dobrze — uśmiechnął się złośliwie Marcel. Przyglądanie się reakcji najważniejszego kierownictwa w chwili, gdy nadeszły wieści, sprawiło mu przyjemność. *Chyba coś przeoczyliśmy na Deepsix.* — Gunny, jak będziesz gotowy do transmisji raportu, daj znać.

Beekman pochylił się, a po dwudziestu minutach odezwał się:

— Przejrzeliśmy jeszcze raz nagrania, Marcelu. Spójrz na to.

Na ekranie pojawiło się pole śnieżne. Zdjęcie było zrobione z satelity, wyglądało na dość zwyczajne: krajobraz z falującymi wzgórzami, tu i ówdzie kawałek lasu. Miejsce sprawiało wrażenie wymarłego, ale cała planeta była wymarła.

— Czego mam szukać?

— Tu — rzekł jeden z naukowców, młody blondyn, który miał na imię Arvin, Ervin, czy jakoś tak.

Cień.

Budynek. Tym razem nie było wątpliwości.

— Gdzie to jest?

— Północna Transitoria. Kilkaset kilometrów na południe od wybrzeża.

Iglica. Wieża.

Powiększyli obraz. Wyglądała na zbudowaną z kamiennych bloków. Dostrzegł kilka okien.

— Jakie to jest wysokie?

— Trzy kondygnacje. Pod powierzchnią śniegu pewnie jeszcze ze trzy.

Gapił się. Wieża i śnieg. Zimne, puste, nieprzyjazne miejsce.

— Nie wygląda na zamieszkałą.

Marcel przytaknął. Wyglądała na starą, a otaczający ją śnieg na nietknięty.

— W oknach chyba nie ma szyb — powiedział ktoś.

Pojawiła się mapa z zaznaczonym miejscem. Znajdowało się na południe od Oceanu Coraggia. Niedaleko Zatoki Złych Wieści.

Dobra nazwa, pomyślał.

— Co jest pod śniegiem?

Beekman skinął na kogoś, kto nie był widoczny na ekranie. Pojawiła się siatka linii. Domy. Ulice. Może parki miejskie. Przez środek biegło coś, co mogło kiedyś być aleją albo kanałem. Raczej kanałem, bo parę przecinających go ulic wyglądało na mosty.

— Duże to.

Beekman skinął głową.

— Tam mogło mieszkać jakieś dwadzieścia tysięcy osobników. Ale w sensie rozmiaru dróg i budynków jest małe. Wydaje nam się, że ulice mają szerokość zaledwie paru metrów. Czyli są wąskie, niezależnie od standardu. I jest coś jeszcze — zaznaczył grubą linię, która wyglądała, jakby otaczała sieć. — To wygląda na mur.

— Fortyfikacje.

— Zapewne tak. I to fortyfikacje, które wyglądają, jakby pochodziły sprzed epoki cywilizacji technicznej. — Zrobił niepewną minę. — Szkoda, że nie mamy tu eksperta.

Wieża sprawiała wrażenie połączonej z murem.

— Niczego więcej nie widać spod śniegu?

— Nie. Wszystko jest zasypane.

Przedtem miał nadzieję, że wieża, którą wczoraj odkryli, okaże się jakimś dziwem natury, może złudzeniem. Ale to…

— W takim razie już mamy pięć miejsc — oznajmił Marcel. Pięć miejsc, gdzie objawił się rozum. — Czy na tej planecie są jeszcze

jakieś inne budowle, Gunther?

— Na razie nie znaleźliśmy, ale dopiero zaczęliśmy szukać. Na pewno będą. — Z roztargnieniem szarpnął brodę. — Marcelu, trzeba tam posłać ludzi. Dowiedzieć się, kim oni są. Albo byli.

— To niemożliwe — odparł Marcel.

Dyrektor projektu spojrzał mu w oczy. Beekman mówił cicho, łagodnie, żeby nie stwarzać wrażenia, że się nie zgadza.

— To jest szczególna sytuacja. Podpiszę rezygnację ze wszystkich procedur czy instrukcji, które zakazują nam działania. Ale musimy tam polecieć i przyjrzeć się.

— Gunny, chciałbym ci pomóc — odparł Marcel — ale to naprawdę niemożliwe. Nie mamy lądownika.

Beekmanowi szczęka opadła zupełnie dosłownie.

— To nie może być prawda — odparł. — W ładowni są trzy.

— To są wahadłowce. Przeznaczone do lotów ze statku na statek. Nie mogą latać w atmosferze.

— Jesteś pewien? — Był mocno rozczarowany. — Musimy coś wymyślić.

— Nie mam pojęcia, co — odparł Marcel. — Wyślij raport. Niech się Gomez martwi.

— Jak to możliwe, że nie mamy lądownika?

— Nie możemy przewozić zbędnej masy. Lądowniki są ciężkie. Podczas tej wyprawy nie planowaliśmy lądowania.

— Kto podjął taką decyzję? — parsknął Beekman. — Zresztą nieważne. Mamy nauczkę, jeśli chodzi o bycie przygotowanym na różne sytuacje.

— I tak nie masz nikogo, kto miałby wystarczające kwalifikacje do prowadzenia badań.

— Kwalifikacje? — Beekman zrobił minę człowieka walczącego ze stadem idiotów. — Mam na myśli rozejrzenie się po starej budowli. Poszukanie próbek pisma na ścianie, zrobienie paru zdjęć. Może znalezienie paru skorup. Jakich do tego trzeba kwalifikacji?

Marcel wyszczerzył się w złośliwym uśmiechu.

— Żeby nie potłuc skorup.

— Dobrze, w takim razie zawiadamiamy Akademię. Niech wyślą inny statek, jeśli chcą. Ale będą musieli się pospieszyć.

— Pewnie tak zrobią — odparł Marcel. Wiedział, że nie ma czasu, by druga misja zdążyła dolecieć z Ziemi. Będą musieli kogoś zawrócić.

III

Dziwi mnie, że męstwo i odwaga nie zostały wyplenione pośród ludzkiej rasy. Te cechy zwykle zanikają dość wcześnie i nie ma warunków, żeby przekazać je w genach. Następne pokolenia wychowują raczej ludzie, którzy w obliczu zagrożenia mdleją.

Gregory MacAllister, „Prosto i wąsko" (Wspomnienia).

Hutch nie była zachwycona perspektywą spędzenia kilku następnych tygodni na pokładzie „Wildside" z Randallem Nightingale'em. Jadał z innymi pasażerami, a czasem zaglądał do wspólnej świetlicy, ale nie miał zbyt wiele do powiedzenia i widać było, że czuje się niepewnie. Był niskiej postury, chudy, siwy, zaledwie o parę centymetrów wyższy od drobniutkiej Hutch.

Dla człowieka o samotniczych zapędach sytuacja była niewesoła. Lot między Quraquą a Ziemią zabierał zwykle dwudziestu pasażerów. Gdyby tak było i teraz, Nightingale mógłby łatwo skryć się w swojej kajucie i nikt by tego nie zauważył. Ale było ich tylko czworo. Pięcioro, licząc Hutch. Czuł więc presję i robił, co mógł, żeby się socjalizować.

Niestety, jedyne, co mu się udawało, to wytworzyć atmosferę napięcia i niepewności. Tam, gdzie się pojawił, śmiech zamierał i wszyscy nagle zaczynali rozpaczliwie szukać tematu do rozmowy.

Biosfera na Pinnacle liczyła sobie sześć miliardów lat, była więc najstarszą ze znanych. Nightingale spędził tam prawie dziesięć lat, rekonstruując jej historię. Większość prac teoretycznych już zakończono, więc Hutch nie dziwiła się, że naukowiec wraca do domu. Wydało jej się wszelako dziwne, ze wybrał właśnie ten moment.

Chcąc zaspokoić ciekawość, szukała okazji, żeby porozmawiać z nim sam na sam. Kiedy taka się trafiła, Hutch zapytała go niezobowiązującym tonem, czy ktoś w jego rodzinie zachorował.

— Nie — odparł. — Wszystko w porządku.

Ale nie powiedział już nic więcej. Nawet nie zapytał, czemu ją to interesuje.

Hutch uśmiechnęła się i wyjaśniła, że przyszło jej to do głowy, bo jego nazwisko pojawiło się na liście pasażerów zaledwie kilka godzin

przed startem.

Wzruszył ramionami.

— Zdecydowałem się w ostatniej chwili.

— Cóż, to dobrze, że wszystko w porządku.

Zakończywszy rozmowę, jeśli w ogóle można tak nazwać tę wymianę zdań, Hutch udała się na mostek i wyszukała pliki na temat misji Nightingale'a.

Układ Maleivy został po raz pierwszy zbadany przez załogę statku „James P. Taliaferro" dwadzieścia jeden lat temu. Wyniki tych badań wywołały poruszenie w naukowej społeczności, z dwóch powodów: na Maleivie III było życie, i właśnie ta planeta miała się zderzyć z gazowym gigantem. Ekspedycję pod dowództwem Nightingale'a przygotowano i wysłano w atmosferze entuzjazmu i kontrowersji.

O stanowisko dowódcy misji ubiegali się inni, lepiej wykwalifikowani. Akademia oświadczyła, że Nightingale został wybrany, bo jest energiczny. To człowiek o doskonałych umiejętnościach oceny sytuacji. To, że nie miał doświadczenia w badaniu nieznanych biosfer, było zrozumiałe, bo inni kandydaci też go nie mieli. Był młodszy niż wielu innych, których widziałoby na tym stanowisku wpływowe gremium, a tak się złożyło, że był też mężem córki jednego z członków komisji.

Cała misja okazała się jedną wielką katastrofą, a odpowiedzialność zrzucono na barki Nightingale'a.

Niewykluczone, że to, co zdarzyło mu się na Maleivie III, mogło się zdarzyć każdemu. Kiedy jednak czytała ataki na dokonaną przez niego ocenę sytuacji, słabo zamaskowane sugestie, że okazał się tchórzem, zaczęła się zastanawiać, czemu nie uciekł na jakieś odludzie i nie schował się przed wszystkimi.

Nikt dotąd nie przyzwyczaił się do szarej mgły korytarzy nadprzestrzennych, jaką widać było ze statku poruszającego się z nadświetlną prędkością, ani do wrażenia, że statek porusza się bardzo wolno. Podróżnicy obserwujący otoczenie odnosili wrażenie, że przemieszczają się w ciężkiej mgle, z prędkością kilku kilometrów na godzinę.

„Wildside" przemykał w ciszy przez mgłę, a Hutch łatwo mogła sobie wyobrazić, że jest gdzieś na północny wschód od Nowej Fundlandii i sunie po Atlantyku, nasłuchując, czy nie rozlegnie się odgłos rogów ostrzegających przed mgłą. Zaprogramowała ekrany na statku, udające okna, by wyświetlały widoki górskie, zdjęcia miast, co tylko zażyczyli sobie pasażerowie. Siedząc we wspólnej sali, patrzyła na Londyn widziany z lotu ptaka. Był środek dnia, wczesne popołudnie, środek zimy. Padał śnieg.

Szósty dzień lotu.

— Co tam jest? — spytał Scolari, który jadł z nią lunch.

— Nic — odparła. Potrząsnął głową.

— Coś musi być.

— Nic nie ma. Poza mgłą.

— A skąd się bierze ta mgła?

— Wodór i hel. I parę innych gazów. To nasz wszechświat, tylko w nieuporządkowanym i zimnym stanie.

— Jak to się stało?

Wzruszyła ramionami.

— Nic wielkiego się nie uformowało. To ma jakiś związek z różnicą grawitacji. Fizycy odpowiedzą, że prawdziwe pytanie brzmi: dlaczego my mamy planety i gwiazdy?

— Grawitacja jest tu inna? — spytał.

Jedli owoce. Hutch wybrała ananasa i banana z plasterkiem sera, na ziarnach zboża. Żuła przez chwilę, delektując się smakiem, po czym skinęła głową.

— Jest niższa, o wiele słabsza niż w naszym wszechświecie. Więc nic się nie tworzy. Chcesz zobaczyć, jak to wygląda?

— Jasne.

Hutch wydała Billowi polecenie, by wrzucił na ekran widok z przedniego teleskopu.

Widok Londynu zamigotał i zastąpiła go mgła.

Scolari przyglądał jej się przez jakąś minutę, po czym potrząsnął głową.

— Wygląda to, jakby dało się wyjść stąd i poruszać się szybciej pieszo.

— Gdyby było coś, po czym da się iść.

— Hutch, jak rozumiem, czujniki także nie działają?

— Zgadza się.

— Więc tak naprawdę nie wiemy, co tam jest. Co jest przed nami.

— Niczego nie może tam być. Ciała stałe się tu nie tworzą.

— A inne statki?

Dostrzegła, że pytający tak naprawdę się tym nie przejmuje. Scolari chyba nigdy się niczym nie przejmował. Wszyscy jednak byli zafascynowani podróżami nadświetlnymi. A zwłaszcza tym powolnym tempem. I złudzeniem cieni we mgle. Przyczyną występowania cieni były światła statku.

— Zgodnie z teorią — rzekła, przedstawiając mu opinię, którą już wiele razy wygłaszała — mamy własną, unikatową trasę. Tworzymy fałdę w chwili, gdy się zagłębiamy, i ta fałda znika, gdy wyskakujemy. Uważa się, że zderzenie z innym statkiem, czy choćby spotkanie go, jest niemożliwe.

Wszedł Nightingale, zamówił coś z automatu i przysiadł się.

— Ciekawy widok — zauważył.

— Możemy go zmienić.

— Nie, nie zmieniaj. — Wyglądał na zafascynowanego. — Tak jest dobrze.

Spojrzała na Scolariego, który wgryzał się w jabłko.

— Uwielbiam gotyckie klimaty.

Rozmowa najwyraźniej uwiędła.

— Planujesz powrót na Pinnacle, Randy? — spytała w końcu Hutch. — Czy będziesz się starać o inny przydział?

— Idę na emeryturę — rzekł takim tonem, jakby to było oczywiste.

Pogratulowali mu.

— Kupiłem domek nad morzem w Szkocji — mówił dalej.

— Szkocja! — Hutch była pod wrażeniem. — Co tam będziesz robić?

— Jest ukryty na odludziu, nad samym morzem — odparł. — Podoba mi się, że jest daleko.

— A co tam będziesz robić z czasem? — dopytywał się Scolari.

Nalał sobie kawy.

— Myślę, że przez pierwszy rok to pewnie nic.

Scolari pokiwał głową.

— To musi być przyjemne.

Zaczął opowiadać, że zgłosił się na posadę nauczyciela na Uniwersytecie Teksańskim i że dobrze będzie zobaczyć tych ludzi znowu po tylu latach. A potem zadał pytanie, które sprawiło, że Hutch mrugnęła:

— Randy, zamierzasz spisać wspomnienia?

To było jak wkroczenie na pole minowe. Scolari bez wątpienia wiedział, że Nightingale był w pewnym sensie sławny, ale mógł nie znać szczegółów.

— Nie. — Nightingale zesztywniał. — Nie sądzę, żeby wiele osób uznało moje życie za ciekawe.

Doświadczenie podpowiadało Hutch, że między nią a jej pasażerami tworzą się trwałe więzi. Lub też zaczynają się serdecznie nie znosić. Małe grupy na długich lotach zawsze zachowywały się według jednego lub drugiego wzorca. Parę lat temu miała na pokładzie socjologa, którego zadaniem było zbadać to zjawisko i nadać mu nazwę. Efekt kabla. Także i teraz spodziewała się, że grupa zacznie zachowywać się zgodnie z jednym z tych schematów.

Jak dotąd podróżnicy więcej rozmawiali niż zajmowali się rozrywkami. Nie nęciły ich gry i VR, którymi zwykle zajmowano się w podróży, a zamiast tego oddawali się konwersacjom.

Padło już kilka osobistych wyznań, co było znakiem, że pasażerowie stają się sobie bliscy, ale zwykle trwało to kilka tygodni. Trzeciego wieczora Embry zupełnie poważnie wyznała, że zastanawia się nad porzuceniem medycyny. Nie mogła znieść ludzi cały czas

skarżących się na swoje samopoczucie.

— Świat jest pełen hipochondryków — rzekła. — Bycie lekarzem nie jest wcale takie, jak się większości ludzi wydaje.

— Moja matka była hipochondryczką — rzekła Toni.

— Moja też. Więc powinnam była wiedzieć, jak to wygląda, zanim poszłam na studia medyczne.

— A dlaczego poszłaś?

— Mój ojciec był lekarzem. I babka. Więc jakoś… tego ode mnie oczekiwano.

— A co byś robiła, gdybyś zrezygnowała?

— Zawsze można pracować naukowo — podsunął Scolari.

— Nie. Tak naprawdę mnie to już nie interesuje. Znudziło mnie.

Toni Hamner, wbrew pierwszemu wrażeniu, jakie odniosła Hutch, okazała się romantyczką.

— Poleciałam na Pinnacle, bo tam było jakoś inaczej, a ja chciałam podróżować.

— I tak zrobiłaś — rzekła Embry.

— I spodobało mi się. Chodzenie po miejscach zbudowanych przez istoty, które nie były ludźmi. Tysiące lat temu. To jest archeologia.

— Więc dlaczego lecisz do domu?

— Kontrakt mi się skończył.

— Mogłaś przedłużyć — rzekła Hutch. — Płacą premie ludziom, którzy zostają.

— Wiem. Już raz przedłużałam. Teraz chcę robić coś innego.

— Aha — rzekła Embry. — Rodzina?

Toni zaśmiała się.

— Chcę choć sprawdzić, jakie są perspektywy.

Scolari skinął głową.

— Na Pinnacle się nie dało?

Zastanowiła się.

— Nie chodzi o to, że nie było tam ciekawych mężczyzn. Bo było ich mnóstwo. Ale sprawiali wrażenie, jakby ożenili się z pracą. Kobiety były traktowane jako element rozrywkowy.

Nigdy nie wspominała o swoich byłych.

Tylko Nightingale dotąd się nie odsłonił, a teraz siedzieli, patrząc na odwieczną mgłę, a on wyjaśniał, że — oczywiście — chciałby, żeby jego życie było tak ciekawe, by ludzie chcieli o nim czytać. I powiedział to z takim przekonaniem, jakby sam w to wierzył.

Scolari wrócił do mgły za oknem.

— Czy ktoś wie — spytał — jaka jest struktura tego miejsca? Jakie jest duże?

— O ile wiem — odparła Hutch — to pytanie nie ma…

Kontrolka wiadomości Billa zaczęła migać.

— …żadnego znaczenia — dokończyła. — Mów, Bill.

— *Hutch* — odezwał się — *nadeszła wiadomość z Akademii.*

— Wrzuć na ekran, Bill.

Mgła znikła i pojawiła się wiadomość. Embry weszła do pomieszczenia.

DO: NCA „HAROLD WILDSIDE”
OD: DYREKTOR OPERACYJNY
TEMAT: ZMIANA KURSU

HUTCHINS, ZAŁOGA „WENDY” ZNALAZŁA NA DEEPSIX RUINY. ZAWRACAJ NATYCHMIAST. ZRÓB ZDJĘCIA, ZNAJDŹ ARTEFAKTY, CO TYLKO ZDOŁASZ. MUSIMY ZDOBYĆ JAKIEŚ INFORMACJE O MIESZKAŃCACH. NIKOGO INNEGO NIE MA W ZASIĘGU. ZOSTAJESZ POWOŁANA NA GŁÓWNEGO ARCHEOLOGA NA OKRES PROWADZENIA BADAŃ. ZDERZENIE Z MORGANEM JEST BLISKIE, JAK WIESZ. ŻADNEJ BRAWURY.

GOMEZ

To był błąd. Hutch powinna była zapoznać się z wiadomością na osobności. Spojrzała na Nightingale’a, ale nie zdołała odczytać nic z jego twarzy.

— Aha — rzekł Scolari. — Jak to daleko?

— Jakieś pięć dni, Tom. W jedną stronę.

Rozległ się brzęczyk: posiłek Nightingale’a był gotowy.

— Nie sądzę, żebym miał ochotę tam lecieć — mruknął.

Do diabła. Nie miała wyboru. Dostała rozkaz. Nie mogła się wykłócać, bo wymiana poglądów zajęłaby kilka dni. Zajmowała się tym już na tyle długo, że wiedziała, jak ważnym znaleziskiem są ruiny na niezamieszkałej planecie. I przekazywali jej to zadanie. Gdyby była sama, wpadłaby w zachwyt.

— Muszę to zrobić — rzekła w końcu. — Przepraszam za wszelkie niedogodności. Dawniej, kiedy coś takiego się działo, Akademia rekompensowała pasażerom stracony czas.

Nightingale zamknął oczy, a Hutch usłyszała, jak wypuszcza powietrze z płuc.

— Pewnie wyślą po nas inny statek.

— Nie przypuszczam, żeby miało to sens, chyba że jakiś jest w pobliżu. Gdyby wysyłali coś z Ziemi, musiałoby lecieć prawie pięć tygodni. Do tego czasu wszystkie prace zostaną zakończone, a my

będziemy w drodze do domu.

— Mam ochotę złożyć pozew — upierał się Nightingale.

To była pusta groźba. Potencjalne zakłócenia w podróży i niedogodności były przewidziane w każdym kontrakcie.

— Rób, jak uważasz — rzekła cicho. — Moim zdaniem to potrwa jakieś trzy tygodnie.

Embry też nie była zadowolona.

— To jakaś paranoja.

— Przykro mi. — Hutch spróbowała się uśmiechnąć. — Zdarza się.

Scolari przewrócił oczami i opadł na fotel.

— Hutch — rzekł — nie możesz mi tego zrobić. Mam zaklepany tydzień w Alpach Szwajcarskich. Ze starymi przyjaciółmi.

— Tom. — Zrobiła minę, jakby czuła się niepewnie. — Przykro mi, ale będziesz musiał zmienić plany.

Patrzył prosto na nią.

Hutch usiłowała odzyskać panowanie nad sobą.

— Posłuchajcie — rzekła. — Wszyscy od dawna pracujecie dla Akademii. Wiecie, co oznacza takie odkrycie. I wiecie też, że nie pozostawiono mi wyboru. Składajcie skargi, jeśli uważacie, że to coś da. Napiszcie, a ja z przyjemnością wyślę.

Kiedy skończyła, Toni westchnęła.

— To nie mój styl spędzania wolnego czasu — oznajmiła — ale jakoś przeżyję.

W ciągu godziny Hutch przeprogramowała kurs; lecieli na Maleivę.

Przez resztę dnia trzymała się z daleka od pasażerów. Sympatyczny nastrój pierwszych dni oczywiście nie wrócił, ale złość i niechęć szybko im przeszła. Do rana wszyscy w mniejszym lub większym stopniu pogodzili się z nową sytuacją. Embry przyznała, że możliwość obejrzenia takiej kosmicznej katastrofy może wynagrodzić niedogodności. Scolari zaś chyba zaczął sobie uświadamiać, że w rzeczywistości jest samotnym młodym mężczyzną w towarzystwie dwóch atrakcyjnych pasażerek.

Hutch uznała, że nadszedł czas na następny krok.

Późnym rankiem we wspólnej sali byli wszyscy z wyjątkiem Nightingale'a. Toni i Embry grali w szachy, a Scolari i Hutch debatowali nad problemami etycznymi, jakie podsuwał im Bill. Omawiane właśnie zagadnienie dotyczyło następującego problemu: czy warto przekazywać innym wątpliwą postawę religijną, opierając się na założeniu, że wiara zapewnia bezpieczniejszą egzystencję psychologiczną. Hutch poczekała, aż partia szachów się zakończy, po czym poprosiła wszystkich o uwagę.

— Na takich lotach mamy zwykle komplet — zwróciła się do pasażerów — a połowa obecnych to archeologowie. Czy ktoś z was miał kontakt z archeologią?

Nikt się nie zgłosił.

— Kiedy dolecimy na Deepsix — rzekła — polecę na powierzchnię. Tylko po to, żeby się rozejrzeć, zobaczyć, co się da, może zebrać jakieś artefakty. Gdyby ktoś z was chciał polecieć, ochotnicy bardzo by się przydali. Praca jest dość łatwa.

Wyprostowała się na pełną wysokość. Pasażerowie spojrzeli po sobie, po czym zaczęli patrzeć na sufit albo ściany. Embry potrząsnęła głową.

— Nie, dzięki — rzekła. — Wolę popatrzeć stąd. Hutch, to jest miejsce, gdzie na przełomie wieków zginęło kilka osób. O ile pamiętam, zostały pożarte. — Wzięła z szachownicy królową i zaczęła jej się przyglądać. — Przykro mi. Naprawdę. Ale nie zamierzam ryzykować. Jeśli tam jest coś godnego uwagi, mieli dwadzieścia lat, żeby to obejrzeć. A teraz, w ostatniej chwili, chcą, żebyśmy tam polecieli i zajęli się tym. Jak zwykle.

— Przepraszam, Hutch — odezwał się Scolari — ale uważam tak samo. Jakiś biurokrata spieprzył sprawę, a teraz my mamy pędzić i ryzykować życie. — Nie patrzył na nią. — To nie jest rozsądne.

— Dobrze — odparła. — Rozumiem, pewnie czułabym to samo.

— Będziesz musiała robić zdjęcia — wtrąciła Toni. — Masz skaner?

Hutch miała całą skrzynię w ładowni. Więc przynajmniej to nie stanowiło problemu.

Toni odsunęła krzesło. Obserwowała uważnie Hutch, ale ta miała nieokreślony wyraz twarzy. W końcu Toni uśmiechnęła się i odezwała:

— Ja polecę.

Hutch sądziła, że skoro nikt inny się nie zgłosił, ona też znajdzie powód, żeby odmówić.

— Nie ma przymusu, Toni.

— To bez znaczenia. Wnuki kiedyś mnie o to zapytają. Nie chcę im opowiadać, że zostałam na statku i obserwowałam wszystko z jadalni.

Ta uwaga sprawiła, że Embry obrzuciła ją krzywym spojrzeniem.

Nightingale poszedł wcześnie do swojej kajuty, jak to zwykle robił. Wiedział, że inni czują się swobodniej, jeśli jego tam nie ma, i było mu z tego powodu przykro. Prawda była jednak taka, że banalne rozmowy go nudziły. Spędzał całe dni na pracy nad książką, co do której miał nadzieję, że będzie dziełem jego życia: Quraqua i Ziemia. Ewolucja inteligencji. Bardzo ironiczny był fakt, że ludziom udało się wyśledzić, jakie czynniki przyczyniły się do wykształcenia rozumu u

istot pozaziemskich w znanych im przypadkach, ale nie udało im się zadowalająco zastosować tej wiedzy w przypadku własnego gatunku. Przynajmniej do chwili, gdy pojawił się na scenie.

Cieszył się, że może spędzać wieczory z Harcourtem i DiAivą, swoimi wielkimi poprzednikami, zamiast słuchać niekończącej się paplaniny we wspólnym pomieszczeniu.

Ludzie, z którymi podróżował, nie byli specjalnie inteligentni, a czas był cenny. W miarę jego upływu Nightingale coraz bardziej doceniał melancholijną rzeczywistość. Człowiek nie żyje wiecznie.

Dziś wieczorem był zbyt rozkojarzony, żeby myśleć o czymkolwiek innym niż Deepsix. Maleiva III. Planeta bez przyszłości. Zamierzasz spisać wspomnienia? Intencje Scolariego były niejasne. Wyśmiewał się z niego? To pytanie zadawano mu z coraz większą regularnością, gdy zderzenie było coraz bliższe, a ludzie zaczęli sobie przypominać. *Czy to pan jest ten Nightingale, który stracił tam sześć osób?*

Chętnie napiłby się rumu. Doświadczenie podpowiadało mu jednak, że kiedy już go zdobywa, pije za dużo.

Niedługo to wszystko się kończy. Wróci na stały ląd, do willi, którą kupił w jego imieniu agent. Stała na cyplu, daleko od szosy, na końcu prywatnej drogi. Żadnych gości. Żadnych sąsiadów. Nikogo, komu trzeba odpowiadać na pytania.

Gdyby był sprytny, opuściłby Pinnacle całe lata temu, zanim to wszystko zwaliło cię na niego ze wszystkich stron. Ale nie dopilnował sprawy, przekonany, że skoro nie bierze w tym udziału, ludzie już o nim zapomnieli. Zapomnieli, że tam był.

Czy pan jest ten Nightingale, który aż tak spieprzył sprawę przy pierwszej misji, że już nigdy nie wróciliśmy na tę planetę?

Nie miał bliskich przyjaciół, ale nie wiedział, dlaczego tak jest. Nigdy nie było nikogo, z kim mógłby się podzielić sukcesem zawodowym. A teraz, w tym sterylnym otoczeniu, odkrył, że coraz bardziej zastanawia się nad swoim życiem i zaczyna odnosić wrażenie, że to podróż donikąd.

Gdy Maleiva III znów znalazła się na pierwszym miejscu w mediach, a opinia publiczna zaczęła się interesować wszystkim, co się wiązało z tą przeklętą planetą, jego sytuacja zaczęła się gwałtownie pogarszać. Zastanawiał się nawet nad zmianą nazwiska po powrocie na Ziemię. Tylko że wiązało się to ze poważnymi komplikacjami. Biurokracja była zatrważająca. Nie, wystarczy, jak nie będzie figurował w książce telefonicznej. Popełnił błąd, mówiąc tym ludziom, że jedzie do Szkocji.

Założy zaszyfrowaną skrytkę. Wszelkie pieniądze, wszelkie formalne transakcje, wszystko, co będzie miało do niego dotrzeć, trafi do tej skrytki. Będzie mógł odpowiedzieć albo nie, zależnie od chęci.

Nikt nie będzie wiedział, gdzie jest. Jeśli będzie ostrożny, nikt koło Banff, gdzie miał się osiedlić, nie odkryje, kim jest.

Czy to pan jest ten Nightingale, który zemdlał?

Tego strasznego dnia potwory wgryzły się w jego ciało. E-skafander zapewniał ograniczoną ochronę i choć nie powstrzymał ataku, uniemożliwił tym łajdakom wstrzyknięcie trucizny. Mimo to ich dzioby przedarły się aż do żywego mięsa. Nigdy nie pozbył się bólu w karku, choć fizycznie wszystko było w porządku. Jakaś psychiczna blizna, której lekarze nie mogli uleczyć.

Każdy postąpiłby tak jak on.

Cóż, może nie każdy. Ale on nie bał się, przynajmniej nie bardziej niż pozostali. I nie uciekł, nie zostawił nikogo. Przynajmniej próbował.

Na pokładzie luksusowego liniowca „Wieczorna Gwiazda" leciało półtora tysiąca pasażerów, którzy chcieli obejrzeć zderzenie. Jednym z nich był światowej sławy dziennikarz Gregory MacAllister, komentator i obserwator ludzkiej kondycji. MacAllister szczycił się pewnym rodzajem skromności. Na wyprawach myśliwskich nosił własną broń. Zawsze podkreślał, że współpracownicy powinni rozmawiać ze sobą jak równy z równym. Był zawsze bardzo uprzejmy wobec zwykłych ludzi, z którymi przyszło mu się kontaktować, jak kelnerzy, lekarze i kapitanowie statków z całego świata. Czasem rzucił jakiś dowcip o wieśniakach, ale wszyscy wiedzieli, że to tylko żart.

Był liczącą się osobą na niwie politycznej i odkrywcą najjaśniejszych gwiazd literackiego firmamentu. Był także z urzędu dyrektorem Towarzystwa Chicagowskiego, kuźni myśli politycznej i literackiej. Pracował w radzie Baltimorskiego Instytutu Leksykograficznego, a kiedyś redagował przemówienia premiera. Był wpływowym członkiem kilku towarzystw filantropijnych, choć publicznie głosił, że biedni ludzie są po prostu niekompetentni i leniwi. Odegrał poważną rolę w znalezieniu prawników, którzy pozwali radę szkoły Brantley w sprawie Księgi Rodzaju. Lubił uważać się za jedynego na świecie praktykującego demaskatora zwalczającego szarlatanów, oszustów, profesorów i biskupów.

Na podróż na pokładzie „Wieczornej Gwiazdy" zgodził się niechętnie. Nie, żeby nie czuł ekscytacji na myśl o obserwowaniu zderzenia planet, ale cała ta impreza trąciła mu rozrywką dla proletariatu. Takie imprezy były dla ludzi, którym brak podstawowych wartości. Coś jak pójście na publiczną plażę. Albo na mecz piłkarski.

W końcu jednak zgodził się, poddając się własnej ciekawości i chcąc wykorzystać możliwość oglądania na własne oczy tego niezwykłego zdarzenia w historii. Ponadto w ten sposób mógł zaprezentować solidarność ze zwykłymi ludźmi. Nawet jeśli ci zwykli ludzie mieli spore posiadłości na Cape Cod i na brzegu rzeki Hudson.

To całe rozwalanie planet może być w końcu zabawne, a nawet posłużyć za pretekst do paru kawałków o przemijaniu życia i niepewności, jaka wiąże się z dobrami materialnymi. Nie miał też nic przeciwko wymiernym korzyściom. Jedynymi ludźmi, którzy najchętniej zrównaliby wszystkich w posiadaniu materialnym tak, by nikt nie miał niczego, byli oczywiście ci, którzy i tak niczego nie mieli.

Niewątpliwy wpływ na jego decyzję o wzięciu udziału miała oczywiście lista pasażerów, na której znalazło się wiele ważnych w tym okresie postaci polityki i biznesu.

Choć MacAllister nigdy by tego nie przyznał, udogodnienia na pokładzie wielkiego statku zrobiły na nim wrażenie. Kajuta okazała się nieco ciasna jak na jego standardy, ale to było do przewidzenia. Statek był wygodny, a wystrój sugerował raczej powściągliwy dobry gust niż ostentacyjny tani przepych, jaki zwykle spotykało się na pokładzie wielkich nadświetlnych liniowców.

Z przyjemnością włóczył się po labiryncie sal jadalnych, barów i salonów. Kilka sal zamieniono w wirtualne werandy, gdzie w odpowiedniej chwili pasażerowie mieli obserwować katastrofę.

Choć MacAllister pierwotnie zaplanował, że będzie spędzał dużo czasu na pracy, zainstalował się w bistrze o nazwie Nawigator, przy sterburcie, na górnym pokładzie. Co wieczór otaczali go tam różni ważniacy i wielbiciele, zwykle drugorzędni politycy, ich doradcy, dziennikarze, paru dyrektorów i kilku pisarzy. Wszyscy bardzo chcieli się z nim zaprzyjaźnić i żeby wszyscy to widzieli. Pierwszego wieczora zaproszono go na obiad do stołu kapitana. Ponieważ jeszcze się całkiem nie urządził, odmówił.

Jeśli nawet MacAllister miał wrogów, którzy z zadowoleniem patrzyliby, jak odlatuje do układu Maleivy, a najlepiej, jak ląduje na skazanej za zagładę planecie, wiedział, że większość ludzkości myśli o nim jako o błędnym rycerzu, walczącym o dobro, demaskującym bufonów i zawsze utrzymującym się w czołówce ludzi, dzięki którym na Ziemi ocalał jeszcze zdrowy rozsądek.

Cieszył się reputacją doskonałego analityka, oraz — co ważniejsze — wzoru uczciwości. Nie opowiadał się ani po stronie postępu, ani po stronie konserwatystów. Nie można było go kupić. I nie można było go oszukać.

Kobiety często oferowały mu siebie. Z części tych ofert korzystał. Działał dyskretnie, przekonując się w duchu, że to niemożliwe, by zazdrosny mąż się dowiedział. Uwielbiał płeć przeciwną, choć uważał raczej, w epoce słabych mężczyzn, że miejsce kobiet jest w kuchni i w łóżku. Tam były najszczęśliwsze, a gdyby wszyscy zrozumieli tę prostą prawdę, życie stałoby się lepsze dla każdego.

W połowie drogi dowiedział się, że na Deepsix znaleziono budowle, i skomentował to w swoim dzienniku, który prowadził przez

całe życie.

Wiedzieliśmy o Maleivie III i zbliżającym się zderzeniu od jakichś dwudziestu lat, napisał, *a gdy zostało nam tylko parę tygodni, nagle dowiedzieliśmy się, że ten nieszczęsny świat ma jakąś historię. Teraz oczywiście będzie dużo wytykania palcami i szukania winnych, którzy przegapili taki istotny szczegół. Pewnie okaże się, że tym pechowcem jest pilot „Taliaferro", który ma to szczęście, że już nie żyje. Albo wykryją, że za niedopatrzenie polegające na niedokładnej analizie danych satelitarnych winę ponosi jakiś trzeciorzędny urzędnik. To będzie niezły cyrk.*

Teraz nie ma już czasu na badanie tej kultury — przepadła. Cały gatunek wyginie i nie będzie nikogo, kto by wiedział o nim cokolwiek poza tym, że pod pokrywą śniegu jest jakaś kamienna budowla.

Może niczego innego się nie spodziewaliśmy.

ARCHIWUM
DO: NCA „HAROLD WILDSIDE"
OD: DYREKTOR OPERACYJNY, PROJEKT DEEPSIX
HUTCHINS, PAMIĘTAJCIE, ŻE NA DEEPSIX SĄ DRAPIEŻNIKI. PIERWSZE ZAPISY Z PROJEKTU SUGERUJĄ ZACHOWANIE SZCZEGÓLNEJ OSTROŻNOŚCI. POINFORMOWANO MNIE, ŻE NAJWIĘKSZY EKSPERT W TEJ DZIEDZINIE, RANDALL NIGHTINGALE, JEST NA POKŁADZIE WASZEGO STATKU. ZABIERZCIE GO TAM.

GOMEZ

DO: NCA „WENDY JAY"
OD: DYREKTOR OPERACYJNY
TEMAT: STANOWISKA ARCHEOLOGICZNE
DO WIADOMOŚCI: GUNTHER BEEKMAN.
ZAWRÓCILIŚMY „WILDSIDE", ŻEBY PRZEPROWADZIĆ PRACE ARCHEOLOGICZNE NA DEEPSIX. DOWÓDCĄ MISJI BĘDZIE PRISCILLA HUTCHINS. PROSZĘ, BYŚCIE PAN I KPT. CLAIRVEAU UDZIELILI WSZELKIEJ NIEZBĘDNEJ POMOCY.

GOMEZ

IV

W krytycznym momencie krytycznej misji, kiedy jego ludzie najbardziej go potrzebowali, Randall Nightingale zemdlał. Uratowała go Sabina Coldfield i zaniosła w bezpieczne miejsce, co przypłaciła własnym życiem. Wszyscy teraz są zaskoczeni przegraną tej misji oraz tym, że nie podjęto dalszych prób zbadania komarów i trawy moczarowej na Maleivie III. Mówiono, że koszty były za duże, ale miano na myśli pieniądze. Tymczasem to rzeczywiście kosztowało za dużo, bo pochłonęło życie takich ludzi jak Coldfield, która była warta tyle co tuzin takich Nightingale'ów.

Gregory MacAllister, „Prosto i wąsko" (Wspomnienia)

Marcel już nie wierzył w to, że mieszkańcy Deepsix wymarli dawno temu. Czy w ogóle wymarli.

— Przypuszczam, że możesz mieć rację — rzekła Kellie. Oparła brodę na dłoni i przyglądała się obrazom, które zarejestrowano tego dnia.

Marcel zamierzał po zakończeniu misji zaproponować Kellie Collier uprawnienia dowódcy. Miała zaledwie dwadzieścia osiem lat i była trochę za młoda na to stanowisko, ale stanowiła wcielenie profesjonalizmu i nie widział sensu w zajmowaniu przez nią zawsze posady drugiego po Bogu. Zwłaszcza teraz, gdy podróże międzygwiezdne intensywnie się rozwijały. Było mnóstwo statków nadświetlnych, na których brakowało oficerów, to samo dotyczyło frachtowców handlowych, jachtów prywatnych oraz statków firmowych i dyrektorskich. Rozwijała się działalność patrolowa, szczególnie po zeszłorocznej utracie „Nagietka" i „Rancocas" wraz z załogami. Pierwszy uległ dezintegracji przy przejściu w hiperprzestrzeń; załodze udało się schronić w kapsułach, ale skończył im się tlen, zanim opieszała jednostka patrolu ich znalazła. „Rancocas" doznał awarii zasilania i zaczął dryfować. Łączność także nie działała, a kiedy zauważono jego nieobecność, było już za późno.

Ponieważ ludzie przeprowadzali się na nowo terraformowane

planety, gdzie dostęp do ziemi był nieograniczony, opinia publiczna domagała się poprawy warunków bezpieczeństwa. Patrol wkroczył więc w erę ekspansji. Trudno było przewidzieć, jak daleko może dojść taka młoda zdolna jak Collier.

Kellie przyglądała się niskim wzgórzom jednego z łańcuchów górskich w środkowej Transitorii.

— Nie ma żadnych wątpliwości — oznajmiła. — To jest droga. Albo kiedyś nią była.

Marcel pomyślał, że widzi to, co chce widzieć.

— Zarosła. — Usiadł przy niej. — Trudno powiedzieć. Może to stare koryto rzeki.

— Spójrz tu. Biegnie pod górę. To nie mógł być ciek wodny. — Rzuciła okiem na ekran. — Ale minęło już dużo czasu, odkąd była używana.

W ciągu pięciu dni, jakie minęły od pierwszego odkrycia, znaleźli wiele dowodów na to, że planeta była kiedyś zamieszkała. Co więcej, na trzech kontynentach odkryli pozostałości miast. Miasta były od dawna wymarłe, zasypane, zmiażdżone lodowcami. Wyglądało na to, że pochodzą z epoki, w której mieszkańcy nie znali jeszcze techniki. Dalsze spekulacje musiały poczekać do chwili, gdy przybędzie Hutch i poleci na powierzchnię planety, żeby obejrzeć to z bliska. Nie było jednak budowli, które wyraźnie odcinałyby się na tle krajobrazu, a śnieg nie był aż tak głęboki, żeby przykryć naprawdę duże budowle. Nie było mostów, tam, wieżowców, żadnych śladów większych konstrukcji. Tylko czasem, tu czy tam, jakiś fragment na śniegu. Dach, wieża, filar.

Na wyspie, którą nazwali Zmarzłocią, był kamienny krąg. Na środku ugoru blisko Zatoki Złych Wieści, niedaleko miejsca, gdzie tak nieszczęśliwie zakończyła się misja Nightingale'a, leżał wóz, a na Przylądku Rozczarowania w Tempusie był przedmiot, który mógł być pługiem.

Ale ta droga…

Miała jakieś trzydzieści kilometrów długości i można było ją prześledzić w całości: zaczynała się w dolinie rzeki, potem przebiegała koło brzegu małego jeziora, po czym wspinała się u podnóża góry. (Kellie miała rację: to nie mogła być rzeka). Znikała na krótko w leśnej gęstwinie, po czym wynurzała się znów blisko oceanu.

Droga biegła u podnóża jednej z wyższych gór. Wznosiła się na wysokość prawie siedmiu tysięcy metrów powyżej lasu. Jej północna część była zygzakowata, opadając jednostajnie z otoczonego chmurami szczytu na łagodne zbocze. Kiedy promienie słońca padały na skalną ścianę rankiem, dało się zauważyć jakąś kobaltową poświatę, więc nazwali ten szczyt Górą Błękitną.

— Trasa turystyczna — rzekł Marcel.

Kellie wzruszyła ramionami.

— Może. Szkoda, że nie możemy tam polecieć i obejrzeć.

— „Wildside" to załatwi, jak tylko się pojawi.

Założyła ramiona na piersi, jak wtedy, gdy dawała mu do zrozumienia, że chce o coś zapytać, ale tym razem nie zapytała.

— Mamy szczęście, że w pobliżu jest archeolog.

— Hutch? — Marcel uśmiechnął się. — Ona nie jest archeologiem. Jest raczej z naszej branży.

— Pilot?

— Tak. Pewnie nie było nikogo innego. Ona przynajmniej pracowała przy kilku stanowiskach.

Kellie pokiwała głową, wstała i przyjrzała mu się uważnie.

— Sądzisz, że pozwoli mi tam polecieć?

— Jeśli poprosisz, to pewnie tak. Zapewne się ucieszy, że ktoś chce pomóc.

Kellie była ładna, wysoka, miała ciemne, kuszące oczy, gładką, czarną skórę i delikatne włosy do ramion. Marcel wiedział, że nie ma problemu z uzyskiwaniem od mężczyzn tego, czego chce, ale próbowała nie używać swojego uroku na nim. To kiepski nawyk, powiedziała mu raz. Ale było to dla niej cos równie naturalnego jak oddychanie. Mrugała powiekami i próbowała patrzeć na niego od dołu, choć nadal siedział.

— Marcelu, powiedzieli, że przyda im się każda pomoc.

— Nie sądzę, żeby mieli na myśli ludzi.

Zatrzymała na nim spojrzenie.

— Bardzo chciałabym tam polecieć. Nie jestem ci tu potrzebna.

Marcel zastanowił się.

— Lądownik pewnie będzie pełen naukowców — rzekł. — Oni mają pierwszeństwo.

— Dobrze. — Pokiwała głową. — To uzasadnione. Ale jeśli tylko będzie miejsce…

Marcel czuł się niepewnie. Znał Hutch, niezbyt blisko, ale wystarczająco dobrze, żeby jej zaufać. Eksperci nie wiedzieli dokładnie, kiedy Deepsix zacznie się rozpadać. A na planecie były niebezpieczne zwierzęta. Kellie była jednak dorosłą kobietą, a on nie potrafił znaleźć żadnych powodów, żeby jej odmówić.

— Zapytam ją, zobaczymy, co powie.

Beekman był zatopiony w myślach, gdy Marcel usiadł przy nim. Siedział ze zmarszczonym czołem, spuszczonymi oczami, pomarszczonymi brwiami. Wzdrygnął się i spojrzał niepewnie na kapitana.

— Marcelu — odezwał się — chciałem o coś zapytać.

— Słucham.

Znajdowali się w pomieszczeniu kontroli projektu.

— Jeśli tam jest coś, czy raczej ktoś, kto był w stanie zbudować dom albo drogę, czy nie powinniśmy pomyśleć o jakiejś akcji ratunkowej?

Marcel zastanawiał się nad tym problemem, ale nie przychodził mu do głowy żaden praktyczny sposób jego rozwiązania. Jak się ratuje obcych?

— „Wildside" ma tylko jeden lądownik — rzekł. — I to wszystko. Jak sądzisz, ilu moglibyśmy zabrać? Gdzie ich umieścić? I jak zareagowaliby na jakąś bandę kowbojów, która wpada i próbuje ich osaczyć?

— Jeśli jednak tam są inteligentne istoty, chyba ciąży na nas obowiązek moralny uratowania choć kilku. Nie sądzisz?

— Jakie masz doświadczenie z obcymi formami życia?

Beekman potrząsnął głową.

— Niewielkie.

— A jeśli to ludożercy?

— Mało prawdopodobne. Mówimy o istotach, które budują drogi. — Beekman wyglądał, jakby czuł się naprawdę nieswojo. — Wiem, że lądownik jest mały i że mamy tylko jeden. Ale kilku moglibyśmy zabrać. Pewnie tak chciałaby Akademia. — Miał na sobie szarą kamizelkę, której poły zaciskał, jakby było mu zimno. — Ilu się tam zmieści? W lądowniku „Wildside"?

Marcel zwrócił się z pytaniem do Billa. Na ekranie wyskoczyły liczby. Jedenaście osób plus pilot.

— Może powinniśmy poczekać do chwili, aż staniemy w obliczu tego problemu.

Beekman skinął wolno głową.

— Pewnie tak.

— Zabranie paru może nie być dobrym pomysłem — zastanawiał się Marcel. — Uratujemy ich tylko po to, żeby mogli patrzeć, jak ich planeta umiera. — Potrząsnął głową. — To może być niebezpieczne. Nie mamy pojęcia, co zrobią, jeśli pojawimy się i powiemy „Cześć". Nie będziemy w stanie się porozumieć. No i jest kwestia puli genetycznej.

Beekman wstał z krzesła i podszedł do ekranu ściennego, na którym było widać piętrzące się cumulusy i chłodne, błękitne morza.

— Pewnie bylibyśmy w stanie dokonać syntezy genów. Dać im szansę na przetrwanie. — Zapatrzył się w Deepsix.

— To nie jest nasza sprawa — odparł Marcel. — Akademia wie, co znaleźliśmy. Jeśli chcą, żebyśmy przeprowadzili akcję ratunkową, niech nas o tym poinformują.

W ciągu kolejnych kilku dni dokonano następnych odkryć: ruin

budowli, która mogła być magazynem, nad rzeką w Północnym Tempusie; drewnianej palisady ukrytej w lesie; Porzuconej łodzi zamarzniętej w Porcie Urazy. Łódź leżała na boku; miała około dwunastu metrów długości i maszty.

Jej proporcje sugerowały jednak, że żeglarze byli znacznie mniejsi od ludzi.

— Wygląda jak galera — rzekła Mira. — Z tyłu widać nawet kabinę.

Chiang Harmon zgodził się.

— Dla nas byłaby za mała, prawda? Ale jest tam. Ile lat ma ten lód?

— Pewnie jest tam od początku.

Mira miała na myśli to, że lód jest tam od spotkania układu z obłokiem Quiveras. Port Urazy, jak sądzono, był zamarznięty od trzech tysięcy lat i nigdy nie tajał. Znajdował się daleko na północ od wschodniego wybrzeża Gloriamundi.

— Co jeszcze da się powiedzieć o tej łodzi? — spytał Beekman.

— Dziób ma kształt węża morskiego — rzekł Chiang. — Taki wikiński akcent.

— A wiesz — odparła Mira — że tego nie zauważyłam? Masz rację. Tubylcy znają sztukę.

Sztuka była dla Miry ważna. Pracując na statku Akademii nabrała przekonania, że to sztuka określa cywilizację. Pod względem osobistym żywiła przekonanie, że właśnie po to się żyje. Pracowało się, by móc w wolnym czasie korzystać z wyrafinowanych przyjemności. Zwierzyła się Marcelowi, że ludzie Beekmana, z nielicznymi wyjątkami, są strasznie zaściankowi i tak się uganiają za różnościami świata fizycznego, że nie nauczyli się, jak korzystać z życia. Uważała się za sybarytkę w najbardziej wyrafinowanym sensie tego słowa.

Była jedną z najstarszych osób na pokładzie. Według jej własnych słów, Mira wkroczyła w wiek średni i wyszła drugą stroną. Była smukła, atrakcyjna, energiczna. Jedna z tych obdarzonych szczęściem kobiet, które przepływający czas omija.

— Znali — poprawił ją Beekman.

— Gdybyśmy tylko mogli rzucić okiem — rzekł Chiang — może udałoby się nam określić, jak wyglądali. Wystarczyłoby tylko poszukać.

Mira skinęła głową.

— Następnym razem powinniśmy dopilnować, żebyśmy mieli ze sobą lądownik.

Powiedziała to takim tonem, jakby ktoś czegoś nie dopilnował, i patrzyła prosto na Beekmana.

Później Pete Reshevsky, matematyk z Oslo, poskarżył się, że nie

wie, o co to całe zamieszanie.

— Tam na dole nie ma nic oprócz ruin — oznajmił. — I jest oczywiste, że byli dość prymitywni. Więc i tak nie dałoby się niczego od nich nauczyć. — Reshevsky był niski, miał szpiczasty nos i potężne mięśnie człowieka, który spędza pół życia w siłowni. W jego ciemnych oczach rzadko gościł uśmiech. — Lepiej byłoby — mówił dalej — gdyby wszyscy przestali wtykać nos w cudze sprawy i nie zapominali, po co tu jesteśmy.

Rankiem przybył „Wildside".

— *Kapitan chce z panem rozmawiać* — oznajmił Marcelowi Bill.

Marcel lubił Priscillę Hutchins. Zdarzało mu się już z nią pracować i uważał ją za osobę kompetentną i łatwą we współpracy. Dwadzieścia lat temu stała się żywą legendą: była pilotem ekspedycji, która odkryła obłoki Omega.

Marcel zazdrościł jej tej misji. Pracował wtedy dla Kosmik Inc. i co parę miesięcy latał na Quraquę. To było zniechęcające doświadczenie. Płacili nieźle, ale on był ambitny i walczył o awans. Hutchins była bardzo młoda, kiedy to się stało, i cały ten incydent wywołał swoistą modę na bycie pilotem; to właśnie wtedy Marcel doszedł do wniosku, że już dość ma latania tam i z powrotem, a właściwie donikąd. Po paru miesiącach złożył wypowiedzenie i zatrudnił się w Akademii.

Ucieszył się, że Hutch znajdzie się w pobliżu. Co za dziwny zbieg okoliczności — kobieta, która miała tak wielki, choć pośredni, wpływ na jego karierę, ma się tu pojawić właśnie teraz. Jeśli przyjdzie mu podejmować decyzje związane z ewentualnym istnieniem obcych, dobrze będzie zapoznać się z jej zdaniem.

— Przełącz ją — polecił.

Nie była wysoka: ledwo spełniała dotyczące wzrostu wymagania dla pilotów. Miała ciemne oczy, krótkie, ciemne włosy, żywe rysy — jej uśmiech mógł rozświetlić cały pokój, jeśli akurat miała na to ochotę. Przywitała go radośnie.

— Marcel! Jak miło cię znowu widzieć. Podobno trafiłeś w dziesiątkę?

— Mniej więcej. Jak sądzisz, dostanę premię?

— Pewnie taką jak zwykle.

— Jak dużo wiesz?

— Tylko tyle, że są dowody na istnienie tam mieszkańców. Wieża. Czy jeszcze ktoś tam żyje?

— Nikogo nie widzieliśmy. — Zaczął streszczać jej aktualny stan badań. — Miasta, które znaleźliśmy, są rozproszone. W kilku miejscach odkryliśmy ślady osadnictwa. — Wywołał na ekran mapę. — Największe z miast jest w Tempusie Południowym. —

Wskazał miasto na mapie. Było całe pokryte lodem. Nie podejrzewał, żeby w tak krótkim czasie udało jej się tam przedostać.

Ile tak naprawdę mieli czasu?

— Zderzenie ma nastąpić w porze kolacji, 9 grudnia. Podejrzewamy, że planeta zacznie się rozpadać jakieś czterdzieści godzin wcześniej. — Był późny wieczór, sobota, 25 listopada. — Ale nie jesteśmy pewni i nie chcemy, żebyś ryzykowała.

— Co wiemy o tubylcach?

— Niewiele. Byli mali. Prawdopodobnie wzrostu pięciolatka. I mamy dowody na ich występowanie na czterech kontynentach.

— Jak sugerujesz, gdzie powinniśmy wylądować?

— Wieża to dobre miejsce jak każde inne. Można tam coś zobaczyć, nie kopiąc za dużo. Ale jest pewien problem: ten obszar znajduje się bezpośrednio na linii uskoku tektonicznego.

Zawahała się.

— Myślisz, że wytrzyma przez parę dni?

— Nie wiem. Nie chcę, żeby ktokolwiek brał na siebie odpowiedzialność za takie zgadywanki.

— Pokaż mi, gdzie to jest.

— Północna Transitoria.

— Gdzie?

Marcel wydał Billowi polecenie wyświetlenia mapy. Spojrzała na nią, pokiwała głową i spytała:

— Co dokładnie ma się wydarzyć? I kiedy?

— Dobrze. Gunther — Gunther Beekman, szef misji — mówi, że warunki powinny być stosunkowo stabilne do chwili, gdy zacznie się rozpad. Ale jak już się zacznie, wszystko rozegra się bardzo szybko. Więc musicie się stamtąd szybko wynieść. Sugerowałbym, że jakiś tydzień wcześniej. I żadnej brawury. Lecicie, zabieracie artefakty, uciekacie.

— Prawdopodobnie będziecie mieli do czynienia z trzęsieniami ziemi, wielkimi burzami, takimi tam, dość wcześnie. Kiedy Deepsix wejdzie w coś, co nazywa się horyzont Turnera, cała atmosfera ucieknie, podobnie jak oceany, a skorupa planetarna zmieni się w płatki owsiane. A wszystko to w ciągu paru godzin. Do zupy wpadnie już samo jądro. Kawałek żelaza.

Znów patrzyła na niego.

— Dobrze. Rozumiem, że nie możemy tracić czasu.

— Chcecie zostać i obejrzeć zderzenie?

— Jasne, skoro już tu jesteśmy. I jeśli moi pasażerowie nie będą za głośno krzyczeć.

Milczeli przez dłuższą chwilę.

— Dobrze cię znowu widzieć, Hutch.

Minęły już dwa lata. Przylatywała z Pinnacle, miała dokować, a

on właśnie wylatywał z ekipą badawczą. Porozmawiali parę minut przez radio, jak teraz.

Nie zdarzyło im się jednak przebywać razem w jednym pomieszczeniu więcej niż dwa razy. Byli na seminarium o nawigacji, na Kole. Czuł, że go pociąga, spędził z nią część wieczoru przy kolacji. Ale jakoś się nie składało. Zawsze lecieli w przeciwnych kierunkach.

Przyglądała się zdjęciom.

— Nie jest to jakaś duża wieża, prawda?

Była okrągła, kamienna, z ośmioma oknami, każde na innym poziomie, wychodzącymi na różne strony. Wznosiła się na wysokość dwunastu metrów. Czujniki wskazywały, że pod powierzchnią śniegu rozciąga się jeszcze na piętnaście metrów do ziemi i tam łączy z czymś, co wygląda na wewnętrzną część muru miejskiego. Niewykluczone, że wykorzystywano ją w charakterze bramy miejskiej.

Marcel wyświetlił na swojej konsoli jeszcze dwa zdjęcia. Jedno było zbliżeniem. Na drugim widniała wieża na tle ponurego otoczenia.

— Kiedy planujecie zacząć? — spytał.

Przekrzywiła głowę.

— Jak tylko spakujemy kanapki.

— Hutch, mój pierwszy oficer chce z tobą lecieć.

Zrobiła minę, jakby ją to mile połechtało.

— Jasne, jeśli tylko chce, przyślij go.

— Ją. Kellie Collier. Jest dobra. Może pomóc, gdybyście wpakowali się w kłopoty.

— Przyda się. Pewnie nie masz żadnych archeologów na pokładzie, co?

— Nie. Ale mam pełno matematyków, fizyków, klimatologów.

Hutch skinęła głową.

— A jakiś laser przemysłowy?

Zaśmiał się.

— Coś ty.

— No nic, przynajmniej się starałam.

— Hutch, jeszcze jedno.

— Tak?

— Jak pewnie wiesz, nie mamy lądownika. Jeśli coś wam się przytrafi, nie będę w stanie przyjść z pomocą.

— Wiem. Nie martw się. Będziemy uważali.

— Dobrze. Wyświadczysz mi przysługę, kiedy będziecie na dole?

— Jasne.

— Miej cały czas otwarty kanał. Żebym słyszał, co się dzieje.

Hutch do ostatniej chwili odkładała poinformowanie Nightingale'a, że zdaniem Gomez powinien dołączyć do ekspedycji. Była przekonana, że i tak nie poleci, a jeśli nawet udałoby się go

namówić, to i tak na nic się nie przyda. W tej chwili jednak cały zespół składał się z niej, Toni i Kellie Collier. Przydałoby się paru ochotników do stania na straży i noszenia artefaktów. Jeśli tylko znajdą jakieś.

Nie znosiła tego aspektu swojej pracy. Zmuszano ją do robienia czegoś, o czym niewiele wiedziała, a znała politykę Akademii na tyle dobrze, że zdawała sobie sprawę z konsekwencji: Gomez przypisze sobie wszystkie zasługi, a w razie niepowodzenia okryje ją niesławą na wieki.

Jak po stracie Richarda Walda dwadzieścia lat temu.

Wald był słynnym archeologiem, którego Hutch przerzucała na Quraqu̧e. Archeolodzy wdali się tam w próbę sił z ekipą terraformującą i Walda zabiła fala przypływu. Ten epizod obrósł legendą. Wald został za długo na podwodnym stanowisku, nie opuścił go, gdy zbliżała się fala, a w końcu Hutch nie udało się go bezpiecznie wydobyć. Niektórzy obwiniali ją za to niepowodzenie, twierdząc, że była jedyną osobą, która wiedziała, co się święci, i zbyt długo zwlekała z ostrzeżeniem go.

Zastanawiała się, czy Nightingale jest kolejnym przypadkiem etatowych kozłów ofiarnych Akademii.

Trzeba było wreszcie coś z tym zrobić. Skończyła rozmawiać z Marcelem, wpadła do wspólnej sali po kanapkę, po czym poszła do kajuty Nightingale'a i zapukała.

Otworzył ze zdziwioną miną.

— Cześć, Hutch — rzekł i wpuścił ją.

Pracował przy komputerze. Na ekranie ściennym unosił się obraz Deepsix. Spojrzała na błękitne morza, masy chmur, pokryte lodowcami kontynenty.

— Piękna planeta — rzekła.

Skinął głową.

— Zimna. Z orbity wszystko zawsze dobrze wygląda.

— Randy, bardzo mi przykro z powodu tego opóźnienia.

— Hutch — spojrzał na nią uważnie — nie przyszłaś tu, żeby rozmawiać o rozkładach lotów. O co chodzi?

Podała mu wydruk wiadomości. Przeczytał, spojrzał na nią, znów popatrzył na kartkę, uniósł wzrok.

— Tego chce Gomez. A ty czego chcesz?

Spodziewała się natychmiastowej odmowy.

— Ucieszyłabym się, gdybyś poleciał. Przydałaby się pomoc.

— Kto jeszcze leci?

— Pierwszy oficer z „Wendy".

— I tyle?

— I Toni.

— Rozumiesz, że wbrew temu, co się wydaje Gomez, nie wiem

niczego szczególnego? Wiem, że ta planeta jest niebezpieczna, ale każdy żyjący świat taki jest. Nie muszę ci tego mówić. I nie jestem archeologiem.

— Wiem.

— Gdyby ktoś mnie pytał o zdanie, Hutch, powiedziałbym: dajcie sobie spokój. I trzymajcie się z dala od tego miejsca.

— Nie mam takiej możliwości.

— Wiem. I nadal chcesz, żebym leciał?

— Tak. Gdybyś się zdecydował, bardzo by mnie to ucieszyło.

Marcel zauważył ze zdumieniem, że planowana wyprawa na powierzchnię nie wzbudza większego zainteresowania wśród pasażerów. Wszyscy raczej zgadzali się co do tego, że jeśli nawet na powierzchni Deepsix żyją jacyś tubylcy, nie ma to już znaczenia. Nikogo to nie obchodziło. Kultura była prymitywna i nie można było się od niej niczego nauczyć.

Wiedział, że egzologia, dziedzina nauki zajmująca się strukturami społecznymi istot pozaziemskich, nie jest ich dziedziną, ale mimo to przypuszczał, że ktoś może chcieć być obecny przy tak znaczącym odkryciu naukowym. Kilka osób wspomniało, że może ewentualnie by poleciały, kiedy jednak powiedział, że spyta Hutch, natychmiast się wycofały.

Za dużo pracy. Tyle eksperymentów do przeprowadzenia. W przeciwnym razie mógłbym polecieć choćby zaraz. No, sam rozumiesz.

Zgłosił się tylko Chiang Harmon, a Marcel przypuszczał, że jedynym powodem jest kandydatura Kellie.

Teoretycznie misja naziemna była łatwa. Wylądować, zrobić zdjęcia, pobrać próbki i wracać. Jeśli pojawią się tubylcy, im też zrobić zdjęcia. Hutch nie podejmowała delikatnego tematu ratowania mieszkańców, więc Marcel również o tym nie wspominał. Uznał, że jeśli jacyś się pojawią i jeśli dadzą do zrozumienia, że pomoc jest mile widziana, on i jego ludzie spróbują coś zrobić. W przeciwnym razie po prostu nie będą się tym zajmować. Ta decyzja sprawiła, że nie mógł spać po nocach, ale wydawało się, że to jedyne praktyczne podejście.

Był jeszcze jeden aspekt misji, który go martwił. Wiedział, jak działa umysł naukowców. Zespół Hutch wyląduje tam i zobaczy niesamowite, nowe rzeczy, na pewno odkrywając kwestie trudne do wyjaśnienia. I będzie chciał wyciągnąć jeszcze jeden artefakt, znaleźć jeszcze jedną odpowiedź. Bez problemu wyobrażał sobie, że oto Deepsix pędzi ku katastrofie, a on błaga Hutch, żeby wreszcie wystartowała, ona zaś mu powtarza, że zaraz startuje, jeszcze tylko godzinka.

Och, ale Hutch oficjalnie nie była naukowcem. I obiecywała, że

wystartuje z odpowiednim zapasem czasu. Czemu jej więc nie uwierzyć?

Na pokładzie „Wieczornej Gwiazdy” Gregory MacAllister właśnie znalazł sobie jakąś wymówkę na resztę wieczora i opuścił bar Nawigator, kierując się do swojej kajuty, kiedy jakaś młoda kobieta podeszła do niego i zapytała, czy może z nią krótko porozmawiać. Rozpoznał ją: była w bistrze podczas wieczornej dyskusji na temat ruchu postmodernistycznego w rosyjskim teatrze. Siedziała z tyłu i nie odzywała się, ale widać było, że uważnie słucha.

Była bardzo ładna, ale to nie wzbudziło w nim żadnych cieplejszych uczuć. MacAllister nigdy nie miał problemu z kolekcjonowaniem pięknych kobiet. Zdolność do skoncentrowania się czasem jednak robiła na nim wrażenie, gdyż zwykle sugerowała, że osoba ma jakiś talent.

Nie miał też poszanowania dla pieniędzy ani pozycji, pretensjonalność zwana przez niektórych charyzmą także nie robiła na nim wrażenia. Przeżył już jakieś sześćdziesiąt lat, więc wiedział, że w klasach wyższych jest tyle samo chamów, co ignorantów w niższych warstwach społecznego spektrum. Uważał, że interesuje go tylko intelekt, choć miał skłonności do oceniania intelektu jako bezpośredniego następstwa szacunku dla poglądów MacAllistera.

— Nazywam się Casey Hayes — rzekła. Pogrzebała w kieszeni żakietu i wyciągnęła wizytówkę. — Pracuję dla Interweb.

MacAllister zamknął na sekundę oczy. Dziennikarka.

Była wysoka, miała ciało modelki i piękne, brązowe włosy, zaczesane do tyłu zgodnie z najnowszą modą. Ubrana była w szare spodnie i ciemną marynarkę z brylantową szpilką. To nie jest zwykła dziennikarka, pomyślał.

— Co mogę dla pani zrobić? — spytał ostrożnie.

— Panie MacAllister, słyszał pan doniesienia na temat układu Maleiva?

— O ruinach? Tak, śledzę je na bieżąco.

Zwolnił kroku, ale nie zatrzymał się. Kroczyła obok niego.

— Przyszło mi do głowy — zaczęła — że takie wydarzenie powinno pana zainteresować. Samotna wieża gdzieś daleko.

— Naprawdę?

Dziennikarze często dostrzegali w nim potencjalny materiał i chętnie stwarzali okoliczności, które zmusiłyby go do powiedzenia czegoś ciekawego. Nikt nie wiedział, kiedy MacAllister powie coś skandalicznego i uderzy w czuły punkt społecznej wrażliwości albo obrazi całą grupę ludzi. W zeszłym roku wygłosił ciekawą uwagę w Notre Dame, gdzie odbierał nagrodę, a mianowicie stwierdził, że wszyscy, którzy chcą w sobie rozwinąć prawdziwą tolerancję wobec

innych ludzi, powinni zacząć od wyzbycia się wszelkich poglądów religijnych. Kiedy ktoś z gości podjął z nim dyskusję, spytał niewinnie, czy są w stanie wymienić choć jeden przypadek zamordowania lub wygnania kogoś z domu przez ateistę z powodów religijnych. Gdyby rozmówca był inteligentniejszy, pomyślał MacAllister, zacząłby kwestionować słynną nietolerancję dziennikarza. Dzięki Bogu, ludzie tak szybko nie myślą.

— Tak — mówiła dalej. — Czytam pana teksty od studiów.

Zaczęła wygłaszać krótki pean na temat wspaniałości jego tekstów i przez chwilę chciał, by to trwało jak najdłużej, ale było późno, a on był zmęczony, więc zachęcił ją, żeby przeszła od razu do sedna.

— Na Maleivie III — zaczęła — szukamy zaginionej cywilizacji. Może jacyś tubylcy nadal tam żyją. — Posłała mu promienny uśmiech, który miał w zamierzeniu stłumić jego opór. — Jak pan sądzi, jacy oni byli? Od jak dawna zamieszkiwali planetę? Czy takie zakończenie sugeruje, że ich cała historia, wszystko, co osiągnęli, jest bez znaczenia?

— Młoda damo… — zaczął.

— Casey.

— Młoda damo, skąd miałbym wiedzieć, u licha? A jeśli już o tym mówimy, dlaczego miałoby mnie to obchodzić?

— Panie MacAllister, czytałam *Refleksje bosonogiego dziennikarza.*

Zaskoczyła go. *Refleksje* były zbiorem esejów z początkowych lat jego twórczości, natrząsającym się ze wszelkich obserwowanych w społeczeństwie nonsensów, od kultu piersi po tchórzostwo mężów. Zawierały jednak długi esej broniący dziwacznego pomysłu, pierwotnie głoszonego przez Rousseau, że można się wiele nauczyć od ludzi nietkniętych dekadenckim wpływem cywilizacji. Było to oczywiście zanim pojął, że dekadencja jest stanem bardzo kuszącym.

— To coś innego — odparł. — Fakt, że na Deepsix żył ktoś, kto umiał układać kamienie jeden na drugim, nie ma wielkiego znaczenia. Zwłaszcza w obliczu faktu, że i te istoty, i kamienie zaraz przeniosą się do lepszego świata.

Spojrzała na niego i dostrzegła w jego oczach determinację.

— Panie MacAllister, pewnie jest pan ciekaw, czemu chciałam z panem rozmawiać.

— Niespecjalnie.

— Bardzo chciałabym…

— Przeprowadzić ze mną wywiad.

— Tak. Rzeczywiście chciałabym. Gdyby poświecił mi pan chwilę.

Sam kiedyś był młodym dziennikarzem. Dawno temu. I czuł, że tej kobiecie trudno będzie odmówić. Dlaczego? Czyżby jakoś przełamała jego bariery?

— O czym? — spytał.

— Taka ogólna rozmowa. Może pan mówić, o czym pan tylko chce. Choć oboje przylecieliśmy tu, żeby obserwować katastrofę, więc na pewno ten temat by się pojawił.

Przyszło mu do głowy, że powinien zażądać przysłania pytań z wyprzedzeniem. Nie chciał jednak, żeby rozeszła się wieść, iż jeden z najbardziej spontanicznych myślicieli świata musi mieć wszystko przygotowane zawczasu.

— Proszę mi powiedzieć… — Zawahał się, nie wiedząc, co mówić. — Proszę mi przypomnieć, jak się pani nazywa.

— Casey Hayes.

— Casey, proszę mi powiedzieć, jak to się stało, że pani się tu znalazła? Miała pani jakieś informacje wcześniej?

Przekrzywiła głowę i spojrzała na niego. Uznał, że mu się podoba. Była inteligentna jak na dziennikarkę.

— Ależ skąd — odparła. — Właściwie nie jestem tu w pracy. Bilet dostałam w prezencie na urodziny od rodziców.

— Gratulacje — rzekł. — To musi być szczęście mieć takich rodziców.

— Dziękuję. Muszę przyznać, że perspektywa oglądania zderzenia planet niesie w sobie pewien potencjał. Jeśli oczywiście podejść do tego odpowiednio.

— Zobaczmy więc, czy pani się to udało. Jak pani miała zamiar do tego podejść?

— Znajdując jednego z najbardziej błyskotliwych dziennikarzy na świecie i przedstawiając czytelnikom jego reakcję.

Ta kobieta była bezwstydna.

Patrzyła na niego. Pomyślał, że dostrzegł w jej oczach błysk obietnicy, sugestię nagrody czekającej na końcu drogi, ale przypisał to temu samemu męskiemu oprogramowaniu, które trzymało go w miejscu i uniemożliwiło mu szybki powrót do kajuty.

— Może porozmawialibyśmy jutro przy lunchu? — zaproponowała. — Ma pan czas? Restauracja na górnym pokładzie jest całkiem miła.

Restauracja na górnym pokładzie była najbardziej eleganckim miejscem na statku. Skóra i srebro. Świece. Bach grany na fortepianie. Bardzo barokowa.

— Wolałbym gdzie indziej — odparł.

— Dobrze. — Była układna. — Gdzie pan woli?

— Wybór miejsca pozostawiam pani jako inteligentnej dziennikarce. Gdyby miała pani rozmawiać z kimś o znaczeniu „Titanica” albo „Rancocas”, jakie miejsce by pani zaproponowała?

Obrzuciła go niepewnym spojrzeniem.

— Nie mam pojęcia — odparła.

— Oba zostały wydobyte i do pewnego stopnia odbudowane, więc

chyba nic nie byłoby lepsze niż kajuta?

— Och — odparła. — Chce pan powiedzieć, że dobrze byłoby polecieć na powierzchnię?

Czy rzeczywiście chciał? Ale z drugiej strony, czemu nie? To ważne historyczne doświadczenie. Bycie w samym sercu wydarzeń nie zaszkodzi jego reputacji. Może byłby w stanie właściwie zinterpretować wydarzenia. Pocieszyciele, sentymentaliści i moraliści całego świata będą w wyjątkowej formie, opowiadając, jaką to lekcję daje nam zagłada inteligentnego gatunku. (Oczywiście nikt nie pokusi się o refleksję, w jakim stopniu ten gatunek rzeczywiście jest inteligentny). Będzie się dużo mówić o tym, że katastrofa to ostrzeżenie Wszechmocnego. Przyszło mu do głowy, że gdyby istotnie znaleziono któreś z tych nieszczęsnych stworzeń, rozpoczęto by rozdzierającą serce akcję ratunkową mającą na celu ewakuację tych istot, być może z wykorzystaniem „Wieczornej Gwiazdy".

Więc czemu nie?

— Tak — oznajmił. — Jeśli chcemy rozmawiać o Deepsix, Deepsix jest właściwym miejscem.

Miała niepewną minę.

— Nie wiem, czy uda się to załatwić — rzekła. — Przecież nie organizują wycieczek na powierzchnię?

Zaśmiał się.

— Nie. Ale jestem pewien, że coś można wymyślić. Mamy jeszcze parę dni.

Wróciwszy do swojej kajuty, MacAllister zamknął drzwi i opadł na fotel.

Ta dziennikarka przypominała mu Sarę.

Nie fizycznie. Sara miała delikatniejsze rysy twarzy i włosy ciemniejsze o kilka tonów, no i nie była tak wyniosła. Były mniej więcej tego samego wzrostu i wagi, ale poza tym fizyczne podobieństwo właściwie nie istniało.

Ale coś w tym było.

Może oczy. Tyle że Sara miała zielone, Casey zaś niebieskie. Mimo to było coś w ich spokojnym spojrzeniu, w uśmiechu błąkającym się w kącikach ust albo delikatnym tonie głosu, kiedy sądziła, że nie uda jej się w inny sposób dopiąć swego.

Czy może była to tylko gra wyobraźni, bo brał udział w tak pamiętnym rejsie i bardzo chciałby, żeby Sara tu była.

Po dwudziestu latach bezlitosnych ataków na małżeństwo jako instytucję dla upośledzonych umysłowo płci obojga, ewolucyjną pułapkę, poznał ją pewnego wieczora podczas spotkania z grupą młodych dziennikarzy. Zaprosiła go na kolację, bo pracowała nad pewnym zleceniem, które wymagało przeprowadzenia z nim

wywiadu. Był wtedy chyba najbardziej znanym mizoginistą Ameryki. Głosił, że wielka namiętność zawsze przemija. Uważał, że najdłuższy okres to jeden rok, trzy miesiące i jedenaście dni.

W przypadku Sary nie miał okazji sprawdzić tych wyliczeń. Osiem miesięcy od ich pierwszego spotkania, trzy tygodnie po ślubie, zginęła w bezsensownym wypadku na łodzi. Nie było go tam, kiedy to się stało — siedział w biurze i pracował nad *Premierem.*

Minęło już wiele czasu, a jednak nie było dnia, żeby o niej nie myślał.

Sara była osobą o zmiennym nastroju: czasem sceptyczna, czasem zachwycona, na przemian melancholijna i roześmiana. Jej nazwisko brzmiało „Dingle" i czasem mawiała, że jedynym powodem, dla którego zgodziła się wyjść za mąż, była chęć jego zmiany. Twierdziła, że zawsze ją wprawiało w zakłopotanie.

Nie wiedział dlaczego, ale miał wrażenie, że duch Sary opanował całą kajutę.

Dureń. Chyba zaczął się starzeć.

Wziął z automatycznego baru drinka truskawkowego i uruchomił katalog biblioteki. Była tam powieść Ramseya Taggarta, której chciał się przyjrzeć. Taggarta był jednym z jego odkryć, ale zaczął się psuć. MacAllister porozmawiał z nim raz, wyjaśniając mu, w których punktach nie ma racji. Niestety, jego ostatnia książka, posępny melodramat o cudzołóstwie w górach, nie wykazywał poprawy. Jeśli ten trend się utrzyma, MacAllister będzie musiał zagonić go do roboty w bardziej formalny sposób. Publicznie.

Przeanalizował w myślach rozmowę z Casey, bo miał wrażenie, że coś mu umknęło. Nie był typem człowieka, który pakuje się w kłopoty, żeby przeżywać coś za innych, a mimo to zgodził się na przeprowadzenie wywiadu w miejscu ze wszech miar dla niego niedogodnym. Dlaczego to zrobił?

Stopniowo dotarło do niego, że po prostu chce udać się na powierzchnię Maleivy III. Chodzić pośród ruin i napawać się podniosłą atmosferą. Sycić się poczuciem nadciągającej katastrofy. Jakie to uczucie: stać na powierzchni planety i patrzeć na zbliżającego się giganta?

Żeby to się udało, musiał zapewnić sobie pomoc Erika Nicholsona.

Nicholson był kapitanem „Wieczornej Gwiazdy", człowieczkiem małym zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Był, na przykład, bardzo dumny ze swojej pozycji i puszył się jak paw.

Mówił w sposób równocześnie nieobecny i anemiczny, jakby wydawał boskie instrukcje ze szczytu góry i miał nadzieję, że ktoś mu uwierzy.

MacAllister był umówiony na obiad z kapitanem następnego

wieczora. Będzie okazja wciągnąć go w pogawędkę na boku i uruchomić machinę. Cały trik polegał na tym, żeby znaleźć jakiś powód na tyle ważny, by przekonać Nicholsona, że wysłanie lądownika na powierzchnię planety będzie leżało w jego interesie. Oczywiście lądownika z MacAllisterem w środku.

Książka się pojawiła i MacAllister przystąpił do lektury. Raz albo dwa odrywał się od niej, by sprawdzić, czy jest w kajucie sam.

V

Wszystkie ważne rzeczy w życiu przytrafiały mi się, gdy byłem gdzie indziej.

Gregory MacAllister, Notatki z Babilonu

Wahadłowcem „Wendy” przyleciało na pokład „Wildside” dwóch pasażerów: mieli dołączyć do ekipy badawczej udającej się na powierzchnię. Hutch przywitała ich w doku i tam nastąpiła prezentacja.

Kellie Collier była o głowę wyższa od Hutch i miała na sobie standardowy biały kombinezon z błękitnymi obszyciami, jakie noszono na „Wendy”. Potrząsnęła radośnie dłonią Hutch i powiedziała, że bardzo się cieszy z tego spotkania.

Azjatyccy przodkowie Chianga Harmona uwidaczniali się wyłącznie w jego rysach i nigdzie indziej, przynajmniej o ile była w stanie to stwierdzić. Miał brązowe włosy, grubokościstą budowę ciała i szerokie ramiona. Hutch od razu pomyślała, że go lubi. Zauważyła także, że jego zainteresowanie Kellie wykracza poza sprawy zawodowe.

— Czy ktoś z was kiedyś był na planecie pogranicza? — spytała.

Kellie była. Wyznała jednak, że nigdy nie podróżowała poza bazy i stacje.

— Nigdy nie byłam w miejscu, które mogło być rzeczywiście niebezpieczne — przyznała.

Z drugiej strony, potrafiła używać miotacza.

— Nie mamy na pokładzie miotaczy — rzekła Hutch.

Kellie uniosła brwi.

— Mamy polecieć na planetę, gdzie istnieje śmiertelne niebezpieczeństwo, bez żadnej broni?

Hutch pokazała jej laser tnący.

— Co to jest?

— Laser — wyjaśniła Hutch. — Tnie wszystko.

— Nie sądzę, żeby miejscowym aligatorom chciało się aż tak blisko podchodzić.

— Przykro mi — oznajmiła Hutch. — Niczego innego nie mamy. Musimy sobie jakoś poradzić.

Mieli ich na pokładzie pół tuzina. Były pewnie o stopień czy dwa bardziej skuteczne od lasera tnącego, którego Biney Coldfield używała

podczas walki z kardynałami. Zasadniczo było to narzędzie dla archeologów, ale we właściwych rękach stanowiło potężną broń. Hutch nie była jednak pewna, czy jej ochotnicy są ludźmi, którzy chcieliby zawierzyć swoje bezpieczeństwo takiej broni. Uznała, że jeśli nie, nie powinna jej zabierać.

Rozmawiali długo o zagrożeniach związanych z fauną Deepsix. Nie wolno było dopuścić do powtarzania starych błędów. Określiła zbiór wymagań operacyjnych, których wszyscy mieli bezwzględnie przestrzegać. Wręczyła wszystkim po kopii, a potem uparła się, żeby je przeczytali i podpisali. Wyjaśniła, że w razie jakiegokolwiek odstępstwa winowajca zostanie odesłany na orbitę. Natychmiast.

Czy wszyscy zrozumieli?

Zrozumieli.

Oprowadziła ich po „Wildside". Znaleźli we wspólnej sali Scolariego i Embry. Chiang spytał ich, czy zamierzają lecieć na powierzchnię. Kiedy odpowiedzieli, że nie, zakłopotani i z nutką oburzenia w głosie, Kellie spojrzała na Hutch i nie dało się nie zauważyć, że właśnie dokonała oceny.

— Czemu nie? — zapytała niewinnym tonem. — Taka okazja już się nie zdarzy.

— Nie jestem archeologiem — oznajmił obronnym tonem Scolari. — I szczerze mówiąc uważam, że to głupi pomysł. Ta planeta jest pełna dzikich zwierząt i w każdej chwili może zacząć się rozpadać. Nie zamierzam tam być, kiedy to się zacznie. Nie będę ryzykował życia dla paru skorup.

Embry uśmiechnęła się chłodno i milczała. Hutch wolałaby mieć w grupie więcej młodych mężczyzn, bo przypuszczała, że będą wycinać ze ścian rzeźbione kamienie i nosić je do lądownika. Grawitacja na Deepsix wynosiła 0,92 ziemskiej i 0,89 grawitacji Pinnacle i Toni była do takiej przyzwyczajona. To mogło być pewną pomocą, ale i tak czekał ich spory wysiłek fizyczny.

Dołączył do nich Nightingale i nastąpiły kolejne prezentacje, a potem szkolenie. Hutch wyjaśniła, dlaczego zdobycie zdjęć jest tak ważne, podobnie jak pomiary i tworzenie szkiców rozmieszczenia wszystkiego, co znajdą.

— Trzeba to zrobić — wyjaśniła — zanim czegokolwiek dotkniemy.

Opisała zagrożenia wiążące się nie tylko z drapieżnikami, ale i z przebywaniem w starych budynkach.

— Musicie uważać. Podłogi mogą usunąć się spod nóg, a sufity zwalić wam na głowy. Ostre przedmioty nie zrobią dziur w skafandrach, ale w waszych ciałach — owszem.

Poprosiła Nightingale'a, żeby opowiedział o swoich doświadczeniach. Nie był zbyt chętny, ale poradził, żeby nie

lekceważyli niczego.

— Drapieżniki na Deepsix miały dodatkowy miliard lat na ewolucję. Mają bardzo ostre zęby, choć wiele z nich wygląda nieszkodliwie. Nie wolno niczemu ufać.

Rozdała im lasery tnące i opowiedziała, jak należy z nich korzystać oraz co może pójść nie tak, jak powinno. Obserwowała ich, jak próbowali, i kazała każdemu zademonstrować, że wszystko opanował.

— Uważajcie w ciasnych zaułkach, jeśli przyjdzie wam ich tam użyć. Laser jest niewątpliwie bardziej niebezpieczny niż cokolwiek, co można tam spotkać.

Nightingale skrzywił się, słysząc tę uwagę, ale milczał.

Odprawiła resztę zespołu i zafundowała Chiangowi krótki kurs korzystania z e-skafandra. Pozostali mieli już doświadczenie z pracą w polu Flickingera.

Dołączyli do Scolariego i Embry, by zjeść kolację. Wszelkie napięcie znikło. Embry próbowała nawet stanąć po stronie Hutch i wyartykułować coś na kształt przeprosin.

— Mam nadzieję, że nie bierzesz tego do siebie — powiedziała. — Moje zastrzeżenia dotyczą kierownictwa. Gdyby wcześniej nie mieli okazji zrobić tego jak trzeba…

— Rozumiem — odparła Hutch.

Lądownik był załadowany i gotów do drogi. Hutch otworzyła klapę ładowni i zwróciła się do czwórki swoich pasażerów.

— Mamy racje żywnościowe na dziesięć dni — oznajmiła.

— To nawet więcej, niż potrzebujemy. Temperatura w pobliżu wieży wynosi kilka stopni Celsjusza poniżej zera. Powietrzem można oddychać, choć ma trochę więcej azotu niż to, do którego jesteście przyzwyczajeni. Po dłuższym czasie czulibyście się ogłupieni i rozleniwieni. Więc na zewnątrz nosimy e-skafandry. Nie są nam znane żadne zagrożenia mikrobiologiczne.

— Chcę podkreślić jedną ważną rzecz: nikt się sam nie oddala.

Rozejrzała się, nawiązała z każdym z nich kontakt wzrokowy, by się upewnić, że wszyscy zrozumieli, i wytłumaczyć samej sobie, że na pewno będą wypełniali polecenia. Była przygotowana na wyrzucenie z lądownika każdego, kto by odmówił.

— Dzień na Deepsix trwa trochę ponad dziewiętnaście godzin. Wylądujemy blisko wieży w środku nocy i zostaniemy w lądowniku do rana. A potem improwizujemy.

— Będziemy lądować na śniegu. Nie przypuszczamy, żeby był bardzo głęboki, bo lądujemy blisko równika, ale nie ma możliwości, żeby to stwierdzić z całą pewnością. — Spojrzała na Nightingale'a. — Randy, masz coś do dodania?

Wstał.

— Chciałbym tylko podkreślić to, co powiedziała Hutch. Uważajcie. Zabezpieczajcie tyły. Nie chcemy, żeby ktoś tam został.

Mówił z widocznym napięciem.

— Zwykle proszę ludzi, żeby coś zrobili — mówiła Hutch — zamiast wydawać polecenia. Bardzo trudno mi pozbyć się tego nawyku. Oczekuję jednak, że wszystkie moje prośby będą spełniane bez dyskusji.

— Dostaniecie kamizelkę, którą włożycie po uruchomieniu e-skafandra. Możecie wkładać narzędzia, kanapki, co tylko chcecie, do kieszeni kamizelki. Tam też macie trzymać laser tnący i nie wolno wam go wkładać do kieszeni spodni czy koszuli. Powód jest prosty: jeśli będziecie coś trzymać w skafandrze, nie zdołacie się do tego dostać. A jeśli nawet wykombinujecie, jak się do niego dobrać, i uruchomicie laser, będziecie kuleć przez wiele, wiele dni.

— Jakieś pytania?

Nie było pytań.

Hutch sprawdziła godzinę.

— Startujemy za osiem minut. To tak na wypadek, gdyby ktoś chciał skorzystać z łazienki.

Jeśli eksperci mieli rację, zostało im dwanaście standardowych dni, zanim planeta zacznie się rozpadać, czyli jakiś tydzień do chwili, gdy warunki na powierzchni staną się naprawdę niebezpieczne. Nie zamierzała więc zwlekać z powrotem.

Entuzjazm Kellie najwyraźniej udzielił się pozostałym pasażerom lądownika. Wszyscy byli podekscytowani, nawet Nightingale otrząsnął się z ponurego nastroju.

Ktoś zaczął klaskać, gdy wystartowała. Pół godziny później wpadli w śnieżycę, by wreszcie wynurzyć się pod ponurym, zasnutym chmurami niebem na wysokości czterech tysięcy metrów. Krajobraz poniżej był całkiem ciemny. Z danych czujników wynikało, że lecą nad falującymi wzgórzami i szerokimi równinami, tu i ówdzie porośniętymi lasem. Kilka dużych płaskich powierzchni mogło być zamarzniętymi jeziorami. Ocean Corragia znajdował się kilkaset kilometrów na północ, za górskim łańcuchem.

Lądownik był wyposażony w dwufunkcyjne silniki rakietowo-odrzutowe, dzięki czemu mógł manewrować zarówno w kosmosie, jak i w atmosferze. Był to niezmiernie elastyczny pojazd, w dużej mierze dzięki technologii antygrawitacyjnej — to ona zapewniała mu tak duży udźwig oraz to, że mógł unosić się nieruchomo, lądować w dowolnym płaskim miejscu i opuszczać atmosferę, nie wioząc na pokładzie dużych ilości paliwa wodorowego.

Energię dla wszystkich układów zapewniał reaktor konwersji

bezpośredniej Bussarda-Ligona.

Hutch słuchała, jak jej ochotnicy niecierpliwią się, by dostać się do wieży, i zastanawiała się, czy ściąganie ich tu było odpowiedzialnym pomysłem. Nie byłaby w stanie wykonać tej pracy sama, ale miała wrażenie, że tylko Nightingale zdaje sobie sprawę z zagrożeń. Nigdy dotąd nie zdarzyło jej się prowadzić akcji w tak niebezpiecznych warunkach. Wiedziała, ile kosztowały Nightingale'a błędy, co się z nim potem stało, i zastanawiała się, dlaczego podejmuje aż tak wielkie ryzyko. Co ona, u licha, wiedziała o ratowaniu życia ludzi w środowisku, które Kellie określiła jako śmiercionośne? Zaczęła poważnie myśleć o odwołaniu wszystkiego, powrocie na „Wildside" i wysłaniu Gomez rezygnacji.

Jeśli jednak to zrobi, nigdy się nie dowiedzą, kto zbudował tę wieżę.

Hutch wywołała pochodzący z czujników obraz budowli i wrzuciła go na ekran. Był to rozjaśniony obraz nocny i wydawał się jaśniejszy niż w świetle dziennym. Ale wieża i tak wyglądała na starą, mroczną, porzuconą. Nawiedzoną.

Ostrożnie schodziła w dół, prawie pionowo, korzystając z antygrawitacji i silników manewrowych. Jej instrumenty nie informowały, czy pokrywa śnieżna pod nimi jest na tyle gruba, by utrzymać ciężar statku.

Zostawiła już za sobą śnieżycę, ale za szybą dalej pojawiało się trochę płatków śniegu. Poza tym noc była spokojna, wiał lekki wiatr. Temperatura na zewnątrz wynosiła –31°C. Na częściowo zachmurzonym niebie gdzieniegdzie było widać gwiazdy.

Hutch włączyła światła lądowania.

Kellie siedziała przy niej; w poświacie instrumentów widać było jej ciemne rysy. Patrząc na nią, Hutch przypomniała sobie o jednej ważnej rzeczy, którą mieli zrobić.

— Kellie jest naszym drugim pilotem — rzekła. — Gdyby stało się coś nieprzewidzianego, a mnie się coś… przytrafiło, Kellie przejmuje dowodzenie. Jest pierwsza po mnie.

Kellie spojrzała w jej kierunku, ale milczała.

— Jestem pewna, że nic się nie stanie — dodała Hutch.

Teren dookoła wieży był płaski, pusty, ponury. Na zachodzie majaczyły na horyzoncie jakieś wzgórza, kępa krzaków, parę samotnych drzew.

— Wyląduję najbliżej, jak się da.

Śnieg pokrywał wszystko i ginął gdzieś w mroku. Przydałby się księżyc, pomyślała.

Lądownik zakołysał się lekko i wieża, zimna i ciemna, zbliżyła się do nich.

Hutch mogła użyć SI przy lądowaniu, ale w tych warunkach

wolała lądować na ręcznym sterowaniu. Nie chciała, żeby pojawiło się jakieś zagrożenie, gdyby SI miała problem z podjęciem decyzji w nieprzewidzianych okolicznościach.

Opuściła podwozie. Pokrywa śnieżna wyglądała na nienaruszoną.

Trudno było uwierzyć, że pod tą gładką, białą powierzchnią kryje się całe miasto.

Spróbowała wyobrazić sobie jego rozmiary. Mur, do którego mogła przylegać wieża, ciągnął się pod śniegiem na jakieś półtora kilometra, po czym zakręcał na północ, szedł odrobinę zygzakiem, aż znów łączył się z wieżą w południowo-zachodnim rogu umocnień.

Miasto najwyraźniej leżało na szczycie niskiego wzgórza.

Lądownik opadał przez ciemność.

— Spokojnie — rzekła Kellie tak cicho, że Hutch pomyślała, iż słowa te nie są przeznaczone dla jej uszu.

Trzymała dziób lądownika w górze, wyłączyła antygrawitację i zaczęła lądować jak ktoś, kto wpada do ciemnego pokoju.

Dookoła nich wiał wiatr, a Hutch nieomal czuła, jak wokół kadłuba tworzy się zaspa. Przełączyła moc, a masa lądownika zmalała. W kabinie panowało milczenie.

Usiedli na śniegu.

Odczekała, aż pojazd osiądzie, i wyłączyła zasilanie. Na szybę spadło kilka płatków śniegu.

— Piękny pokaz — rzekł Nathingale.

— Hutch, wylądowałaś? — dobiegł głos Marcela.

— Dokładnie na miejscu.

W ciągu całej swojej kariery Hutch przebywała pewnie na dwudziestu planetach i księżycach. Ze światów, na których lądowała, ten był piątym, o którym niewiele wiedziano. I po raz pierwszy to ona dowodziła.

Byli dwadzieścia metrów od wieży.

Hutch włączyła reflektory lądownika. Nadgryziona zębem czasu, zniszczona przez długie zimy wieża była okrągła i wznosiła się na jakieś trzy piętra — jeśli mierzyć według wzrostu ludzi. Nie była szeroka; można ją było obejść w minutę.

Miała osiem okien na różnych poziomach, każde wychodzące w innym kierunku. Do najniższego można było łatwo się dostać. Górną część otaczał podwójny pierścień gzymsów, wystających tuż powyżej najwyższego okna. Budowlę zwieńczał wypukły dach.

Uruchomiła e-skafander i poczuła znajome odepchnięcie od siedzenia i oparcia, jakby dookoła niej utworzyła się poduszka powietrzna. Kellie przeprowadziła test radia i skinęła głową. W porządku. Wyjęła kamizelkę i poprosiła o podanie mikroskanera z tylnego fotela. Przypięła go i włożyła laser do kieszeni.

— Co robisz? — spytał Nathingale. Wyglądał na zmartwionego.

— To historyczna chwila. Trzeba ją uwiecznić. Otworzyła klapę wewnętrznej śluzy, wyregulowała ciśnienie w kabinie, żeby je zrównać z zewnętrznym, i wstała.

— Proszę wszystkich o włożenie e-skafandrów. Moduł oddychania ma być ustawiony w trybie konwersji. Będzie pobierał powietrze z otoczenia i nie będziemy musieli zużywać go z butli.

Kellie rozdała generatory Flickingera. Przypinali je do pasków i włączali skafandry. Konwertery zaskoczyły i zaczęły przetwarzać powietrze.

— Mój nie działa — oznajmiła Toni.

Kellie przyjrzała mu się, wyregulowała coś i zresetowała go.

— Spróbuj teraz.

Pole zaszumiało i Toni uniosła kciuk w górę.

— W porządku.

— Myślałem, że czekamy do rana — powiedział Chiang.

— Czekamy. Chciałabym, żebyś pełnił wartę w śluzie.

— Dobrze — odparł i spytał: — A po co?

— W razie jakichś problemów, niespodzianek, czegokolwiek. — Sprawdziła godzinę. — Mamy mniej więcej dwie godziny do wschodu słońca. Jak tylko się rozjaśni, wchodzimy do budynku.

— Przecież nic nas tu nie dopadnie — rzekł Chiang. — Czemu nie pójdziemy rzucić okiem?

— Jak tylko zrobi się jasno.

Przestawiła czujniki, żeby omiatały kawałek lasu. To było jedyne miejsce, w którym mógł czaić się drapieżnik. Jeśli nie liczyć samej wieży.

Zabłysnęły zielone światełka i otworzyła się zewnętrzna klapa.

— Jeśli coś się tam poruszy, informujcie.

Hutch wspięła się na drabinkę.

Chiang wyjął latarkę i zaczął się bawić promieniem światła na śniegu.

— Jak w Boże Narodzenie.

Hutch zeszła na dół, zbadała grunt i zapadła się do połowy łydek. Pole sprawiało, że miała suche i ciepłe stopy.

— Śnieg jest trochę miękki — zameldowała.

— Rozumiem.

Wieża sterczała nad nią. Morgan był jasną, zieloną gwiazdą na zachodnim niebie, a jego światłość przyćmiewała nawet Deneba. Znajdowały się o 84 miliony kilometrów od siebie i pędziły sobie naprzeciw z łączną prędkością jakichś siedemdziesięciu kilometrów na sekundę.

Sama wieża nie wyglądała na ciekawą. Sterta kamiennych bloków i tyle. Hutch zrobiła zdjęcie. I jeszcze jedno.

Nie spuszczała oczu z linii drzew. Ktoś, chyba Nightingale,

niedyplomatycznie spytał, czy Kellie umie pilotować lądownik.

Hutch nie usłyszała odpowiedzi. Pewnie Kellie odpowiedziała spojrzeniem.

Stanęła przodem do statku, ustawiając kadrowanie w skanerze, wyregulowała światło i zrobiła zdjęcie lądownika.

— Wystarczy! — zawołała Kellie. — Wracaj już.

Chciała zrobić jeszcze jedno zdjęcie: zdjęcie, które kiedyś powiesi w każdym mieszkaniu, jakie będzie miała. Przesunęła się dalej od lądownika, oddaliła na tyle, żeby złapać jego przód, oznaczenie „Wildside" i wieżę, wszystko na jednej klatce.

— Doskonale — rzekła.

Świt wstał szary i ospały.

Gwiazda była większa od Słońca. Ale wyglądała na przykurzoną i jakąś nierealną, jakby było to jedno z tych złudzeń optycznych występujących na Wielkich Równinach, a zwanych słonecznymi psami.

Obrót Deepsix trwał osiemnaście godzin, sześć minut, jedenaście sekund. Była o kilka milionów kilometrów bliżej swojej gwiazdy, niż ma to miejsce w przypadku odległości Ziemi do Słońca, ale Maleiva była starsza i chłodniejsza.

Na dachu wieży leżał śnieg. Hutch zastanawiała się, kto kiedyś mieszkał w tym budynku i dokąd odszedł.

Niewykluczone, że wieża stała w miejscu ważnej bitwy, miejscu, gdzie starły się wrogie siły, by potem zawrzeć sojusz. Na tym wzgórzu w cieplejszych czasach Platon mógł prowadzić dysputy, a Solon stanowić nowe prawa.

Kto wie? Nikt się nie dowie, jedynym źródłem informacji będzie to, co zdołają uratować.

Wyszli z lądownika, sprawdzili sprzęt i zaczęli brnąć w śniegu w stronę najniższego okna. Wokół wieży cicho szumiał wiatr. Śnieg był zmrożony i z chrzęstem pękał pod stopami, co było wyraźnie słychać w ciszy.

Na północnym zachodzie, w pewnej odległości, pojawiły się dwa ptaki. Nightingale spojrzał na Hutch i zimny dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie. Milczał.

Ptaki zataczały wolno wielkie koła, szybując na prądach powietrza z szeroko rozstawionymi skrzydłami.

Okno na poziomie gruntu miało framugę, w której pozostały odłamki czegoś, co było kiedyś szkłem. W środku budynku dostrzegli pomieszczenie, puste, jeśli nie liczyć kilku patyków i kupki gruzu.

Widoczne przez otwór drzwiowy wąskie drewniane schody pięły się między belkami sufitu. Stopnie były bardzo blisko siebie, za blisko dla ludzkich stóp.

Hutch ustawiła skaner, żeby wszystko nagrywał, zawiesiła go na szyi i wspięła się przez okno. Ledwo się mieściła. Podłoga wyglądała solidnie. Pod warstwą śniegu i gleby widać było bale. Zbadała pokrytą tynkiem ścianę, pełną plam i dziur. Wbudowano w nią kilka regałów.

Sufit był nisko, jakieś dwa metry od podłogi. Nawet Hutch ledwo się mogła wyprostować.

Zajrzała do drugiego pomieszczenia, tego ze schodami, i dostrzegła trzecie.

Schody najprawdopodobniej prowadziły na samą górę. I kilka poziomów w dół. Były drewniane.

Hutch machnęła na pozostałych, żeby weszli.

Chiang dotknął sufitu. Uniósł się kurz.

Każde z pomieszczeń powyżej i poniżej miało po jednym oknie. Wyglądały na identyczne jak to na poziomie gruntu, jeśli nie liczyć okien w różnych miejscach.

Wspięli się do pomieszczenia piętro wyżej, a potem jeszcze wyżej. Cały czas musieli się kulić, żeby nie uderzyć się w głowę.

— Marcel miał rację, jeśli chodzi o tubylców — mruknęła Kellie. — Nie byli za wysocy.

Po dokonaniu wstępnych oględzin wrócili do lądownika i Hutch rozdała sprzęt: fluoryzujący sznur i kredę do zaznaczania znalezisk, lampy, butle ze sprężonym powietrzem, wszystko, co przychodziło jej do głowy. Jeśli znajdziecie cokolwiek niezwykłego, powiedziała, zawołajcie mnie. Choć właściwie wszystko, co znajdziecie, będzie niezwykłe.

Rozjaśniało się, a oni zajęli stanowiska w wieży. Nad poziomem gruntu znajdowało się osiem kondygnacji. Naliczyli jeszcze sześć w dół. Na najwyższym poziomie odkryli jedno pomieszczenie z zaskakująco wysoko umieszczonym sufitem: wszyscy oprócz Chianga mogli się wyprostować. Był tam hak, a na podłodze leżały dwa przedmioty: coś, co mogło być ogniwem łańcucha, i roztrzaskany drewniany trójnóg.

— Co o tym sądzisz? — spytała Toni.

— Może używano tego do ostrzenia toporów — odparła Kellie. — O, tu można włożyć kamień.

Na każdym poziomie znaleźli poczerniałą wnękę, która pewnie kiedyś była paleniskiem. Poza tym, na samym dole, odkryli drzwi wychodzące na północ. Do miasta. Były zamknięte, wykrzywione i nie dało się ich uchylić. Postanowili, że najpierw zbadają wieżę, a potem pomyślą, jak się wydostać.

Pomieszczenia były puste, jeśli nie liczyć oparcia krzesła, które wyglądało jak z kompletu dziecinnych zabawek, płaskiego kawałka drewna, który kiedyś mógł być stołem, kilku szmat, buta i kupek śmieci w takim stanie, że nie dało się określić, czym kiedyś były.

But był mały, jak na nogę elfa.

Ale stół okazał się odkryciem.

— Jest rzeźbiony — rzekł Chiang.

Rzeźbienia były wytarte, więc niewiele dało się z nich wydedukować. Hutch nie wiedziała nawet, czy symbole miały przedstawiać rzeczywiste przedmioty, czy też figury geometryczne, piktogramy albo litery.

Trójnóg także był rzeźbiony. Zdobiony. Zdobienia jednak wyblakły i nie dało się rozpoznać, czym kiedyś były. Przyglądali mu się, kiedy rozmyślania przerwał im głos Marcela:

— Dostałem właśnie raport z Akademii. Może was to zainteresuje: właśnie nadali nazwę waszemu miastu.

— Serio? Jaką?

— Punkt Burbage'a.

— Nazwali miasto na cześć Burbage'a?

Tak nazywał się senator, który słynął w Akademii ze sprzeniewierzania funduszy.

— Pewnie tak.

— Mój Boże. Może próbują mu w ten sposób coś przekazać?

— Chyba nie. Podejrzewam, że przymilają się sobie nawzajem.

— Coś jeszcze, Marcelu?

— Tak. Analitycy przyglądali się skanom i szukali miast. Dotąd znaleźli dziewięć, większość pod grubą warstwą lodu, w każdym razie czymś zakryte. I wszystkie mają umocnienia obronne. Mury.

— To już coś mówi.

— Tak. To była prymitywna cywilizacja. Jest jeden wyjątek, osada bez palisady, ale na wyspie. Poza tym nadają nazwy na cześć ludzi, od których mogą wyciągnąć pieniądze. Mamy już Blitzberg, Korman City, Campbellville…

— Nie mówisz serio.

Zaśmiał się.

— Czy ja uchodzę za żartownisia?

Wzrok Hutch napotkał spojrzenie Nightingale'a i od razu wiedziała, co tamten o tym sądzi. *Nadstawiamy karku za takich durni.*

— Marcelu — odezwała się. — Czy są jakieś informacje o Punkcie Burbage'a?

— Trochę. Wygląda na to, że toczyły się tu jakieś wojny. Pewnego dnia ktoś zajął miasto i zburzył ściany. Nietknięta została tylko wieża.

— Jaka jest nasza pozycja w stosunku do reszty miasta? Na dole budynku są drzwi, prowadzą na północ. Jakiś pomysł, co może być za nimi?

— Pewnie nic, tylko lód.

— Dobrze. Damy ci znać, jak się czegoś dowiemy.

— Słucham was cały czas, Hutch. Przestawiliśmy parę satelitów,

więc nie stracimy łączności, jak znajdziecie się za horyzontem.

— Dobrze.

Gdyby jednak załoga lądownika znalazła się w poważnych tarapatach, wiele by im to nie pomogło.

Zanieśli kawałki łańcucha i ostrzałkę do siekierek na niższy poziom, żeby włożyć je do worków i opisać. Kellie wypełniała etykietę dla znalezionych fragmentów i już miała zamknąć worek, kiedy Chiang spytał, czy może je zobaczyć.

Przyglądał im się przez chwilę, ustawił jedną z nóg na ziemi, spojrzał na klatkę schodową, w górę wieży.

— Wiesz, to chyba było obserwatorium.

— Tak sądzisz? — spytała Toni.

— Założę się, że dach się otwierał.

Kellie, zdumiona, patrzyła to na Chianga, to na trójnóg.

— Chcesz powiedzieć, że na tym stał teleskop?

Toni uśmiechnęła się do Kellie.

— A ty mówiłaś, że to ostrzałka do siekierek.

Kellie roześmiała się, oczy jej zabłysły.

— Może mimo wszystko miałam rację. Może otwierali dach, żeby wychodzić na blanki.

Hutch przyjrzała się bliżej.

— Wygląda na strasznie mały — rzekła. — Okular byłby na poziomie twoich bioder.

Chiang wskazał kciukiem sufit.

— Nie zapominaj, kto tu mieszkał.

Wspięli się na najwyższy poziom. Na środku sufitu był otwór. Szczelina. Pogrzebali w kurzu i roślinnych szczątkach, które pokrywały podłogę, i znaleźli małą metalową płytkę i przedmiot, który mógł być listwą boczną.

— Wiesz, że to może być prawda — rzekła Hutch, próbując wyobrazić sobie malutkiego astronoma z malutkim teleskopem, wyglądającego przez otwarty dach. — To by znaczyło, że wiedzieli coś na temat optyki.

VI

Pokażcie mi człowieka o niezłomnej prawości, a ja wam pokażę człowieka, któremu jeszcze nie zaoferowano właściwej ceny. Zjawisko to w gruncie rzeczy służy rozwojowi gatunku. W całej naszej długiej i smutnej historii to ludzie, którzy byli ideałami uczciwości, dokonali największych szkód. Każda krucjata, czy jej celem była przyzwoitość w literaturze, czy walka o zakrycie kobiecych ciał, czy też uwolnienie świętej ziemi, była organizowana, propagowana i z entuzjazmem realizowana przez ludzi z charakterem.

Gregory MacAllister „Porady dla polityków" (Prosto z góry)

— Drogi panie. — Kapitan Nicholson oparł łokcie na podłokietnikach krzesła i złączył czubki palców. — Jestem panu niezmiernie zobowiązany. Na pewno pan o tym wie.

— Oczywiście, kapitanie.

— Tylko że ja po prostu nie mogę niczego takiego zrobić. Mam przepisy dotyczące bezpieczeństwa. I w każdym przypadku byłoby to pogwałcenie polityki firmy. — Ukazał MacAllisterowi spody dłoni w geście bezradności.

— Rozumiem — odparł MacAllister. — Co za szkoda. W końcu jak często zdarza się coś takiego?

W usianych złotymi cętkami oczach kapitana pojawiło się coś na kształt niepewności. Było oczywiste, że nie chce obrazić wpływowego dziennikarza. Gdyby jednak MacAllister naciskał, Nicholson znalazłby się w niezręcznej sytuacji.

Tego MacAllister nie chciał.

Siedzieli w prywatnym gabinecie kapitana, sącząc bordeaux i żując tartinki. Prywatny brunch. Grodzie ozdobiono mosiądzem i skórą, po drugiej stronie pomieszczenia na półkach stały oprawione w skórę książki, a światło zapewniały lampy udające świece. Całą gródź zajmował schemat „Wieczornej Gwiazdy", a nad wirtualnym kominkiem widniało logo TransGalactic Lines — gwiezdny wir.

Siedzieli w wyścielanych fotelach, pod lekkim kątem.

— Rozumiem pańską niechęć — rzekł MacAllister rzeczowo, jakby chciał powiedzieć, że sam w takiej samej sytuacji czułby to samo. — A pan nie należy do ludzi, którzy dają się łatwo zastraszyć.

Nicholson wykonał gest, który zapewne oznaczał zgodę. Kapitan był niewątpliwie ostrożny. Konserwatywny. MacAllister przypuszczał, że musi mieć solidnych oficerów i niezłą SI, gdzieś schowaną, którzy razem pomagali mu, gdy trzeba było podjąć jakąś niestandardową decyzję. Niewykluczone, że Nicholson dochrapał się tej posadki dzięki wpływom, może dzięki małżeństwu, albo był synem kogoś ważnego.

— Istotnie — odparł kapitan — tak jest, drogi panie. Musimy postępować zgodnie z przepisami. Jestem pewien, że kto jak kto, ale pan to rozumie.

MacAllister zachowywał twarz pokerzysty. Kto jak kto?

— Oczywiście, panie kapitanie, zgadzam się z panem — mówił tonem, którego zwykle używał do rozładowania nagłego napięcia. — Szkoda tylko, że wymknie się nam taka okazja, jaką podsuwa nam sama natura.

— Okazja? — spytał Nicholson.

— Cóż. — Potrząsnął głową, pociągnął łyk wina i machnął ręką. — Może to bez znaczenia. Choć przypuszczam, że to będzie sensacja.

— Co będzie sensacją, panie MacAllister?

— Deepsix przejdzie do legendy. Czy możemy przejść na „ty”? — Ton MacAllistera uległ nagłemu ociepleniu.

— Tak, oczywiście. — Nicholson rozluźnił się, mile połechtany, że jest po imieniu z tak znanym gościem. — Oczywiście, Gregory.

— Za tydzień Maleivy III już nie będzie. Ludzie będą mówić o tym rejsie, spekulować o tych ruinach przez dziesiątki, a może setki lat. A tymczasem — spojrzał ze smutkiem w jakiś punkt ponad lewym ramieniem Nicholsona — kawałki tych ruin leżą tam sobie i tylko czekają, żeby je zabrać. — Wysączył resztkę wina i odstawił kieliszek na niski stolik. — Kilka eksponatów, wystawionych na pokładzie „Gwiazdy”, byłoby bezcenne.

— Pod jakim względem?

— Zrobiłoby niezłą reklamę. Pamiątki po zaginionej cywilizacji. Wystawione na statku, którego załodze udało się je ocalić. Co za świadectwo dla „Wieczornej Gwiazdy”. I jej kapitana. I TransGalactic. Zapewne pańscy pracodawcy byliby panu nieskończenie wdzięczni.

Nicholson wydał jakiś dźwięk, coś pomiędzy śmiechem a prychnięciem.

— Mało prawdopodobne — odparł. — Baxter i cała reszta są zbyt zajęci sobą, żeby w ogóle o tym pomyśleć.

— Być może.

— A jednak… — Kapitan zamyślił się. — To byłoby ciekawe.

— To byłoby łatwe.

MacAllister pomyślał, że udało mu się właściwie ocenić tego człowieka. Nicholson nie leciał na pieniądze. Sugestia, żeby sobie podkradł trochę artefaktów, nic by nie dała. Ale pomysł, że kierownictwo zacznie go doceniać, na pewno do niego przemówi. Och, tak. To działa.

Kapitan bawił się kieliszkiem.

— Nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiał, Gregory. Przestrzegam ściśle standardów i procedur, których wymaga bezpieczne prowadzenie tego statku.

— Każdy kompetentny oficer tak by postąpił. — MacAllister nalał wina do obu kieliszków. — Eriku, jestem pewien, że znajdziesz jakieś prerogatywy, wyjątkowe przywileje, które pozwoliłyby ci na interpretację procedur w taki sposób, by skorzystali na tym pasażerowie TransGalactic i sama firma.

— Tak — przyznał. — Pewnie tak.

MacAllister patrzył z zachwytem na schemat statku i pozwolił, by jego towarzysz ocenił sytuację.

— Naprawdę sądzisz — rzekł Nicholson — że to wszystko sobie tak po prostu leży na ziemi?

— Och, nie mam co do tego wątpliwości. Wystarczy to podnieść i załadować. Nic więcej. A jak sądzisz, kiedy już po tej planecie nie zostanie ani śladu, ile będzie wart bożek z kapliczki na Maleivie III?

— Och, tak. Na pewno masz sporo racji.

MacAllister widział, jak kapitan zmaga się ze strachem przed wpakowaniem się w kłopoty.

— To jest twoja szansa, Eriku.

— A nie sądzisz, że ten zespół archeologów, który teraz jest na powierzchni, będzie miał coś przeciwko?

— Niby dlaczego mieliby mieć? O ile wiem, mają tylko jeden lądownik. Ile można wpakować do jednego lądownika?

— Zrobił minę, jakby intensywnie nad czymś myślał. — Jest takie świetne miejsce na pokładzie B, koło basenu, idealnie nadaje się na muzeum.

— Hiperskrzydło. — W tym miejscu teraz wystawiano różne elementy budowy statku, zwłaszcza napędu nadświetlnego.

— Tak, to kuszące.

— Gdybyś tylko chciał — rzekł MacAllister — poleciałbym tam. Napisałbym reportaż. Nadałbym przedsięwzięciu wiarygodność, że się tak wyrażę.

— Napisałbyś esej?

— Jeśli chcesz, to oczywiście.

— Moglibyśmy umieścić te artefakty…

— W muzeum.

— Zorganizowalibyśmy ceremonię. Zechciałbyś wziąć udział? Może powiedziałbyś parę słów?

— To dla mnie zaszczyt, Eriku.

Nicholson pokiwał głową z namysłem, po czym rzekł, bardziej do siebie niż do MacAllistera:

— Pomyślę o tym, Gregory. Jeśli jest jakiś sposób, żeby coś załatwić, to bierzemy się do roboty.

Marcel nie wyłączał głośnika, żeby cały czas śledzić, co się dzieje na powierzchni. Miał dostęp do wszystkich rozmów w ogólnym systemie łączności. Transmisje były przekazywane z lądownika bezpośrednio do „Wendy" lub do jednego z satelitów komunikacyjnych.

Czuł się nieswojo. Planety, na których istniało życie, były nieprzewidywalne, a ta szczególnie, w miarę zbliżania się Morgana. Teraz jednak powinno być tam bezpiecznie. Beekman był pewien, że skutki przyciągania wielkiej planety dadzą się odczuć dopiero w ostatniej chwili, bo zderzenie planet miało być czołowe, jak zderzenie dwóch pędzących naprzeciwko siebie samochodów. Nie będzie powolnego opadania po spirali.

Słuchał, jak Hutch i jej ludzie przeszukują wieżę, oglądał obrazy przesyłane z mikroskanera, który Hutch miała na kamizelce. Nie było tam wiele do oglądania, gołe ściany i podłoga pokryta śniegiem i pyłem.

Wycięli dziurę w ścianie na poziomie gruntu, żeby nie musieć wchodzić i wychodzić przez okno. Hutch poleciła Chiangowi, by stał przy nowo powstałym otworze i wypatrywał ewentualnych drapieżników. Potem postawiła Toni przy oknie w komnacie astronoma, z tym samym poleceniem.

Kellie i Nightingale próbowali tymczasem przeciąć drzwi na dolnym poziomie. Nie rozmawiali wiele, ale słychać było syczenie lasera tnącego kamień.

Wszedł Beekman, spojrzał na niego i usiadł.

— Marcelu, wszystko w porządku?

— Pewnie. Czemu pytasz?

— Nie wyglądasz na zadowolonego.

Z głośnika dobiegł zdumiony głos Kellie.

— *Randy, uważaj z tym.*

Marcel założył ręce na piersi i przyjął postawę obronną.

— Tam ktoś zginie — mruknął. — Gdyby to ode mnie zależało, sugerowałbym, żeby zostawić to wszystko i uciekać.

Beekman zawsze miał kiepską opinię na temat grona zarządzającego Akademią. Marcel przypuszczał, że powie coś na ten temat, jednak on stwierdził tylko, że Marcel ma prawdopodobnie

rację, grupa działająca na powierzchni planety ma niewielkie szanse na znalezienie czegokolwiek ciekawego w tak krótkim czasie, a cała wyprawa jest niebezpieczna.

— *Dobrze* — dobiegł głos Hutch. — *To powinno starczyć. Odczekajcie minutę i zobaczymy, czy da się je wyjąć.*

— Wiesz — rzekł Beekman — mógłbyś jej przypomnieć, że powinni być bardziej ostrożni.

— Ona wie, z kim pracuje. — Założył ręce na głowę. — Wolałbym im się nie naprzykrzać.

— A jeśli coś się stanie?

— To niech kierownictwo się martwi.

— *Dobrze, rzućcie trochę śniegu* — to głos Kellie.

— Czułbym się lepiej — mruknął Beekman — gdybyśmy mieli tam archeologa z prawdziwego zdarzenia.

Marcel nie mógł się z tym zgodzić.

— Z Kellie i Hutch są bezpieczni. Może i nie zrobią wszystkiego jak trzeba, ale gdyby zaczęło się coś dziać, poradzą sobie.

— *Nie chce się otworzyć* — rzekł Nightingale.

— *Ja spróbuję.*

— Jak duże są te drzwi? — spytał Beekman.

— Mają jakiś metr wysokości. Wszystko tam jest małe.

— *Chyba nie przecięliśmy ich na wylot.* Beekman pochylił się i wcisnął klawisz nadawania.

— Co im chcesz powiedzieć? — spytał Marcel.

— Żeby uważali.

— Nie sądzę, żeby docenili twoją światłą radę. Już grozili, że mnie odetną.

Kolejny odgłos pracującego lasera.

— *Tak trzymaj* — to Nightingale. — *Dawaj. Jeszcze trochę.*

Trwało to kilka minut. W pewnym momencie Hutch powiedziała komuś, żeby się odprężył. Wyluzował. Uda się. Następnie Marcel usłyszał odgłos skrobania po kamieniu i jakieś pomruki, zakończone okrzykami zadowolenia.

Kiedy się uciszyło, spytał Hutch na prywatnym kanale:

— Co tam macie?

— To był jakiś korytarz — odparła. — Dużo tu kurzu i śniegu. Nie wiem nawet, gdzie są ściany.

Beekman przyniósł kawę i zaczął opisywać przygotowania do zderzenia. Większość z tego była dość nudna, ale Beekman zawsze popadał w taki entuzjazm, kiedy mówił o zbliżającej się katastrofie, że Marcel udawał bardziej zainteresowanego szczegółami, niż istotnie był. W rzeczywistości nic nie rozumiał z tego gadania o fluktuacjach fal grawitacyjnych i nie obchodziło go, jaki to ma wpływ na planetarne pole magnetyczne. Kiwał tylko głową we właściwych

momentach i próbował udawać zaskoczenie, kiedy Beekman najwyraźniej częstował go jakimiś nowymi przełomowymi danymi.

Tyradę przerwał głos Hutch.

— Marcelu, jesteś tam?

— Jestem. Macie coś?

— Chyba jesteśmy w prywatnych komnatach astronoma. Wszystko jest w dobrym stanie. To kilka pomieszczeń. Są tu szafy… — Przerwała na moment, żeby ostrzec kogoś, by uważał.

— Szafy? Co w nich jest?

— Opróżniono je. Ale są w dobrym stanie. I wyrzeźbiono na nich jakieś symbole.

— Dobrze — rzekł Marcel. — To coś ważnego, tak?

— Tak — odparła. — To coś ważnego.

Jak to zwykle w obecności Beekmana, próbował mówić z entuzjazmem w głosie.

— Coś jeszcze?

— Kanapa. Uwierzyłbyś? Dla kogoś malutkiego. Ty byś się nie zmieścił, ale dziesięciolatek pewnie tak.

To były naprawdę niesamowite wieści.

— Coś jeszcze?

— Stół. Paskudnie potrzaskany. I jeszcze jedne drzwi. Z tyłu.

— *Hutch, spójrz tylko na to* — głos Kellie.

— *Możecie poświecić?*

— *Niech mnie diabli* — rzekł Nightingale.

Beekman skrzywił się z niecierpliwości. Gdy jednak już mieli pytać, co się stało, odezwała się SI.

— Marcelu, przepraszam, że przeszkadzam, ale mamy anomalię.

— Co się dzieje, Bill?

— *Nadlatuje dziwny obiekt.*

— Wrzuć na ekran.

Marcel nie miał pojęcia, co przedstawia obraz. Wyglądało to jak długa szpilka. Bardzo długa. Rozciągała się na całą szerokość ekranu. A nawet dalej.

— Bill, co to jest? Podaj wymiary.

— Nie *potrafię określić funkcji. Ma w przybliżeniu trzy tysiące kilometrów.*

— Trzy tysiące kilometrów — rzekł Beekman. — To nie może być prawda.

— *Guntherze, dokładnie ma trzy tysiące dwieście siedemdziesiąt siedem kilometrów.*

Marcel skrzywił się i odsunął krzesło.

— Gunny, to coś niesamowitego.

Gdyby przyłożyć to coś do mapy Stanów, sięgałoby od Maine do Miami, a nawet dalej w Atlantyk.

— *Ma średnicę około siedmiu metrów.*

— Cóż — rzekł planetolog. — Siedem metrów średnicy i trzy tysiące kilometrów długości. — Spojrzał na Marcela i potrząsnął głową. — To niemożliwe.

— Jesteś pewien, Bill? — spytał Marcel. — Naszym zdaniem coś o takich wymiarach nie może istnieć.

— *Sprawdzę ponownie wyniki skanowania.*

— Tak, proszę.

— Wrzuć pełne powiększenie. Przyjrzymy mu się z bliska.

Bill wykonał polecenie. Wbrew przypuszczeniom obiekt nie był jednym długim cylindrem, ale składał się z kilku równoległych walców. Między walcami widać było ciemne niebo.

— *Wymiary zostały obliczone prawidłowo* — oznajmił Bill.

Marcel zmarszczył czoło.

— Gunther, co to jest? Co ono robi?

— Nie mam pojęcia.

— Bill, czy to statek?

— *Nie przypuszczam, Marcelu. Ale nie miałem dotąd doświadczenia z takimi obiektami.*

— Czy cała konstrukcja tak wygląda?

— *Tak* — odparł Bill. — *Te wały są jednolitymi bryłami, połączonymi w regularnych odstępach klamrami. Na jednym końcu zwisa kilka lin, a na drugim doczepiono asteroidę.*

Asteroida.

— Bill, czy ta konstrukcja coś robi?

— Nie *wykryłem śladów aktywności.*

— Masz odczyty wydajności energetycznej?

— *Brak.*

Beekman patrzył na obraz.

— To dla mnie nie do pojęcia, Marcelu. Taki długi obiekt nie może trzymać się kupy. Zacząłby się rozpadać z powodu naprężeń.

— A czy to nie zależałoby od tego, z czego jest zrobiony?

— Pewnie tak. Ale to musiałby być jakiś wyjątkowo wytrzymały materiał. Może diament. Nie wiem. To nie moja działka.

— Zasięg sześćdziesiąt dwa tysiące kilometrów i rośnie. Wygląda na to, że jest na orbicie wokół Maleivy III.

— Co o tym sądzisz? — spytał Marcel. — Gonimy za nim?

— Pewnie, u licha. Przyjrzymy się.

Marcel przekazał instrukcje Billowi i poinformował Hutch, co się dzieje.

— Wygląda na to — odparła — że Deepsix jest znacznie ciekawsza, niż się to Akademii wydaje.

— Wygląda na to, że istotnie. Jesteś pewna, że to miasto wygląda na coś z epoki preindustrialnej?

— Kamień, zaprawa, bale. Jak prosto ze średniowiecza.

— Dobrze — rzekł. — A tak poza tym to miałem wrażenie, że Kellie coś znalazła parę minut temu, ale byliśmy zajęci czym innym.

Hutch pokiwała głową.

— Nie wiem, czy jest aż tak ciekawe jak wasz słup, ale wygląda na zbroję. Była w szufladzie w jednej z szaf.

Obróciła się w stronę przedmiotu, żeby mógł go zobaczyć. Jak wszystko inne, zbroja była miniaturowa. Zapinało się ją z tyłu i była tak skonstruowana, żeby chronić noszącego po krocze. Była poważnie skorodowana.

Toni Hamner nie chciała się do tego przyznać sama przed sobą, ale to była prawda. Miała nadzieję, że ekspedycja okaże się ekscytująca, a powinna była wiedzieć, że szanse na to są niewielkie. Pracowała z archeologami na Pinnacle i wiedziała, jak nudne bywają wykopaliska. Na początku jej praca polegała głównie na grzebaniu w gruzie. Teraz stała na straży przy wejściu do wieży, gapiąc się na tę płaską, ponurą równinę, i marzyła, żeby to się wreszcie skończyło.

Nad nimi przeleciało stado ptaków. Były brązowe, miały długie dzioby i leciały w szyku. Przez kilka sekund wypełniały niebo, aż znikły, lecąc na południowy zachód.

Pozwoliła sobie na chwilę snu na jawie, wspominając swój krótki romans na pokładzie statku z Tomem Scolarim, który sprawił jej tyle przyjemności. Na początku nie miała o nim zbyt dobrego zdania, ale to zaczęło się zmieniać i była nim nieomal zauroczona — aż przylecieli tu, a on odmówił Hutch. Podlec. Albo tchórz. Nie wiedziała, co bardziej.

Tak bardzo chciałaby już być w domu. Spotkać się ze starymi przyjaciółmi i zacząć życie od nowa. Zobaczyć jakieś przedstawienie na żywo. Iść do drogiej knajpy. (Ile to już czasu minęło?)

Gdzieś poniżej dalej kopali.

Hutch właśnie zrobiła sobie przerwę, kiedy Marcel wywołał ją i powiedział, jak trudno wyjaśnić obecność konstrukcji. Czy mogłaby wypatrywać oznak mogących świadczyć o tym, że mieszkańcy planety byli jednak bardziej zaawansowani technicznie, niż się przypuszcza? Mogłaby, ale w wieży i w pobliżu nie znaleźli niczego, co by to sugerowało.

Otworzyli przejście za komnatą astronoma i teraz je poszerzali. Prace przebiegały wolno. Hutch przyniosła pojemniki i sprzęt do kopania, więc nie byli całkiem uzależnieni od laserów, które w małej przestrzeni korytarza mogły być niebezpieczne. Trzeba było usunąć sporo kamieni, gruzu i lodu, a to oznaczało dużo pełzania na kolanach.

W przejściu mogła kopać w danej chwili tylko jedna osoba. Druga wynosiła gruz, wlokąc go przez komnatę astronoma. Trzecia brała ładunek i niosła go korytarzem na dolny poziom wieży, gdzie go przetrząsała, szukając czegokolwiek, co mogłoby mieć jakąkolwiek wartość. Znaleźli kilka okruchów, złamany uchwyt z kawałkiem ostrza, kilka odłamków kamienia z rzeźbionymi symbolami. Gdy komnata zaczęła się wypełniać pozostałościami, zaczęli je przenosić na górny poziom.

W końcu przynieśli składany stół roboczy i ustawili go w pomieszczeniu na parterze. Sporządzili w pośpiechu plan lokalizacji i zaczęli zaznaczać na nim, gdzie znaleziono artefakty. Same przedmioty układano na stole, oznaczano i pakowano do worków.

Szafka, którą znaleziono w komnatach astronoma, była wykonana z drewna. Miała inkrustacje i metalowe zawiasy, gałkę do otwierania drzwi i jakieś mocowania. W środku było kilka zwojów, ale w tak kiepskim stanie, że nie ryzykowali rozwijania ich. Włożyli je do osobnych worków i szczelnie zamknęli.

— Nie sądzę, żeby to miało duże znaczenie — rzekł Nightingale. — Nikt tego i tak nie odczyta.

Hutch ostrożnie odłożyła worki.

— Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, ile można teraz zrobić.

Po południu Chiang, Hutch i Toni wrócili do tunelu. Kellie trzymała straż na górze, a Nightingale przy wejściu do wieży. Stał tam zaledwie od kilku minut, gdy coś wyszło z kępy drzew znajdującej się kilkaset metrów na południe od wieży. Poruszało się na dwóch nogach, przypominało kota i miało jakiś koci wdzięk. Nightingale, który stał w pełnym słońcu, wpełzł do środka. Kot postał może przez minutę, patrząc w stronę wieży. W ich stronę. Nightingale nie miał pojęcia, czy stworzenie go zauważyło. Kiedy jednak ruszyło wolno w stronę wieży, ostrzegł pozostałych. Po chwili wszyscy znaleźli się przy wejściu.

Stworzenie maszerowało równiną, jakby nie miało się czego obawiać.

— Król wzgórza — wyszeptał Chiang, ustawiając większą moc na laserze tnącym.

Stworzenie znacznie przekraczało wzrostem przeciętnego mężczyznę i ważyło zapewne dwa razy więcej. Było uosobieniem mięśni i wdzięku.

— Co robimy, szefowo? — spytał Chiang.

Tak, pomyślała Hutch. *Przypomniano mi, że ja tu rządzę.*

Szło w ich stronę, bez specjalnego zainteresowania rzucając okiem na lądownik.

Zasięg skuteczny lasera wynosił jakieś pięć metrów. Poczują jego

oddech.

— Randy — odezwała się — widziałeś już tego stwora?

— Skądże — odparł Nightingale, który trzymał się z dala od wejścia. — Ale coś wam powiem. To kot. A koty są wszędzie takie same.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał Chiang.

— Zjadają wszystko, co jest mniejsze od nich.

— Zastrzel go, Hutch — włączył się Marcel. — Jak tylko się zbliży.

Nie miała możliwości oddania strzału ostrzegawczego, bo laser nie wydawał żadnych odgłosów przypominających huk wystrzału. Zresztą stworzenie nie wyglądało na takie, które może wystraszyć się huku.

Nagle wszyscy zaczęli udzielać jej rad.

— Uważaj.

— Patrz.

— Nie pozwól mu podejść za blisko.

Od strony Nightingale'a doleciało przekleństwo.

Stworzenie zatrzymało się na sekundę, napięło mięśnie, zmieniło rozkład masy ciała.

— Hutch — to znów Marcel. — Co się dzieje?

Ukrywanie się nie miało sensu.

— Nie wchodźcie w jego pole widzenia — poleciła pozostałym, po czym stanęła tak, by stworzenie mogło ją widzieć w całości.

Wykrzywiło wargi, pokazując zęby. Podeszło jeszcze bliżej. Hutch uniosła broń i wycelowała.

— Strzelaj, na litość boską! — mruknął Nightingale.

Hutch kazała mu się zamknąć. Jej spojrzenie napotkało spojrzenie kota i natychmiast przerwała kontakt, odwracając wzrok.

Chciała, żeby pokazało, że ma wrogie zamiary. Chciała, żeby opadło na cztery łapy i skoczyło. Albo żeby przyspieszyło. Czy też uniosło pazury.

Nic z tych rzeczy. Po prostu szło. Hutch przypuszczała, że nigdy dotąd nie widziało broni. Nie widziało niczego, co mogłoby mu zrobić krzywdę.

Wycelowała laser w ścianę budynku, nacisnęła spust, zwęgliła kawałek ściany i znów wycelowała w stwora.

Zatrzymał się.

Chiang stanął bliżej.

Stworzenie stało przez chwilę, niepewnie. Hutch zrobiła krok do przodu. Cofnęło się.

— Głupi nie jest — zauważył Chiang.

Skręciło za lądownikiem, idąc tak, by pojazd był między nim a wieżą, i wycofało się w stronę kępy drzew, z której się wyłoniło.

Dzień był krótki, mniej niż dziesięć godzin od świtu do zmierzchu. Nikt nie był głodny, kiedy słońce zaszło, i wszyscy poza Nightingale'em chcieli dalej pracować. Hutch wyprowadziła ich z wieży.

Było już całkiem ciemno, kiedy odnotowali ostatnie znaleziska.

Były to głównie naczynia, sprzęty kuchenne i kilka małych noży myśliwskich. Był też fotel i torba, która chyba zawierała jakąś tkaninę.

Zanieśli znaleziska do kabiny lądownika i zabezpieczyli wszystko w ładowni. Potem ogłosili koniec pracy i wpełzli do środka.

Hutch otworzyła pakunek i wyjęła malutki, wyblakły niebieski płaszcz. Był marszczony, a do spinania kołnierza służył pierścień i łańcuszek. Płaszcz kiedyś mógł być fioletowy, teraz jednak wyblakł tak, że trudno było z całą pewnością określić kolor. Tkanina była krucha, a mały kawałek ułamał jej się w palcach. Podała go Kellie, która włożyła znalezisko do worka.

Następnym przedmiotem była koszula. I suknia.

Obie miały rozcięcia z boku, pewnie na kończyny, ale trudno było określić, jak te kończyny wyglądały albo ile ich było.

Znaleźli spodnie.

I parę butów.

Buty były nieproporcjonalnie szerokie.

— Kacze stopy — rzekła Kellie.

Na wielu sztukach odzieży widać było zdobienia w kształcie tarczy słonecznej z promieniami, rombów, kwiatów i drzew oraz różnych zawiłych symboli.

Byli zachwyceni. Nawet Nightingale trochę się rozluźnił i zaczął się uśmiechać. Opisali i spakowali wszystko, także samą torbę.

— Nieźle nam dziś poszło — zauważyła Toni z uśmiechem zadowolenia.

Hutch przytaknęła. Nieźle, jak na pierwszy dzień.

Lądownik miał łazienkę rozmiarów szafy. Nie była wygodna, ale musiała wystarczyć.

Jedno po drugim znikali w małej budce, by umyć się i przebrać. Trochę przy tym narzekali, szczególnie Chiang i Kellie, którym trudno było wykonywać w środku jakieś bardziej zamaszyste ruchy. Oboje w końcu poddali się i przebrali z tyłu kabiny.

Hutch wyciągnęła gotowe dania. Mogli wybierać między wieprzowiną, kurczakiem, placuszkami rybnymi, hamburgerem a pieczenią wołową. Do każdego dania dodano zakąski i sałatki.

Wyciągnęła dwie świece, zapaliła je i zgasiła lampy. Wyjęła pięć kieliszków i butelkę Avignon Blue, po czym odkorkowała ją i nalała wino do kieliszków.

— Za nasz sukces — wzniosła toast.

Drugi wypili za właściciela torby, który był na tyle myślący, że zostawił im ją pełną.

Skończyli pić i siedzieli w milczeniu w świetle świec, a Hutch pogratulowała im osiągnięć.

— To będzie krótka noc — powiedziała. — Wcześnie robi się tu jasno. Ale możecie się przespać, jeśli chcecie.

— Jutro kładziemy nacisk na poszukiwania. Akademii spodoba się to, co dotąd znaleźliśmy, ale mamy mało czasu i musimy znaleźć coś, co naprawdę rzuci trochę światła na życie tych istot. Na ich historię.

— Jak to mamy zrobić? — spytała Toni.

— Szukajcie rzeźb. Czegoś, na czym są rysunki. Pisma. Symboli. Piktogramów.

— Pewnie dużo nie znajdziemy, jeśli chodzi o dokumenty na papierze czy jakimś podobnym materiale. Mamy zwoje i może ktoś będzie w stanie coś z nimi zrobić, ale wolelibyśmy coś bardziej czytelnego. Oglądajcie skorupy. Sprawdzajcie, czy nie ma na nich symboli albo rysunków. Wszystkiego, co… — Poczuła jakiś ucisk w żołądku, coś nieokreślonego. Świece zamigotały.

— Co to było? — spytała Toni.

Spojrzeli po sobie. Wstrząs.

Przełączyła się na prywatny kanał Marcela.

— Chyba właśnie zaliczyliśmy małe trzęsienie ziemi.

— Nic się wam nie stało? — spytał.

— Nie. Był słaby. Ale to nie jest dobry znak.

— Mamy w gruncie czujniki, zaraz sprawdzę, co wyłapały.

— Mieliście rację — rzekł Marcel kilka minut później. To było 2,1.

— Ile to jest?

— Ledwo zauważalne.

— Tyle, żeby wystraszyć ptaki — powiedziała Hutch.

— Pewnie tak.

— Myślałam, że jeszcze jakiś dzień albo dwa nic nie będzie się działo.

— Nie sądzę, żebym kiedykolwiek coś takiego powiedział, Hutch. Ostrzegałem was, że tereny dookoła wieży nie są stabilne. Siedzicie na samym uskoku tektonicznym. Fachowcy mówią, że to nie jest dobre miejsce na oczekiwanie na przylot Morgana.

— Morgan jest ciągle daleko.

— Nie aż tak daleko. Jest wielki. Wyobraź sobie Jowisza.

— Może powinniśmy stąd zwiewać. Pakować się i w nogi.

— Jeśli wstrząsy zaczną się na serio, tak zrobimy.

— Myślę, że już się zaczęło. Może by tak przemieścić się w jakieś

lepsze miejsce?

— A co proponujesz?

— Jakieś inne miasto.

— A które jest dostępne?

Zamilkł.

— Co rozumiesz przez dostępne?

— Takie, do którego nie trzeba się przebijać przez dziesięć albo dwadzieścia metrów lodu.

— Nie przypuszczam, żeby gdziekolwiek dało się po prostu wejść frontowymi drzwiami. Ale jeśli nawet trzeba będzie kopać, ekipa będzie bezpieczniejsza.

— Nie po kilku dniach, które zużyjemy na to, żeby się tam dostać. — Wszyscy pozostali w kabinie przysłuchiwali się uważnie. — Nie będziemy ryzykować, Marcelu. Dobrze? Jeśli zaczną się wstrząsy, zwijamy się stąd.

Kiedy się wyłączyła, Chiang pochylił się w jej stronę.

— Parę lat studiowałem na Uniwersytecie Tokijskim — powiedział. — Lampy kołysały się przez cały czas. To wcale nie musi niczego oznaczać. — Miał na sobie uroczą koszulkę z krótkim rękawem, błękitną, z napisem „Huragany Miami".

— Wszystko będzie dobrze — dodał.

Zaczęli omawiać problem. Jak ważna była wieża i jej zawartość? Hutch wiedziała, że profesjonalny archeolog określiłby ją jako bezcenną. Wyznała jednak, że tak naprawdę nie ma sposobu, żeby się tego dowiedzieć.

W końcu udało im się dojść do kompromisu. Spędzą tu jeszcze jeden cały dzień. Potem znajdą jakieś miejsce, gdzie będzie się pracować bezpieczniej.

Wiał wiatr. Niebo było pełne gwiazd, a śnieg błyszczał.

Chiang doszedł do wniosku, że nie może spać, kiedy Kellie jest tak blisko. Wystarczyło, że siedzi przed nim. Nie przypuszczał jednak, że nie śpi — dopiero kiedy usłyszał, że się porusza, pochylił się i dotknął jej łokcia.

— Wszystko w porządku? — spytał.

Przechyliła fotel tak, żeby go widzieć. Miała śliczne, ciemne oczy. Włosy opadały jej na kołnierz, a on tak bardzo chciał ją wziąć w ramiona.

— Martwi mnie ten wstrząs — powiedziała, patrząc na wieżę. — To mogłoby się nam zwalić na głowy.

— Żałujesz, że tu przyleciałaś?

— Obeszłabym się. — Spojrzała na niego. — Z drugiej strony…

Wzięła głęboki oddech, a on próbował nie patrzeć na jej piersi. Nie dokończyła zdania.

VII

Zamiarem Stwórcy było uczynienie kobiet cheerleaderkami. Wystarczy przyjrzeć się uważnie ich anatomii i usposobieniu, by skonstatować ten smutny fakt. Dopóki zarówno one, jak i my nie zapominamy o tej prawdzie, obie płcie mogą wypełniać swoje zadania z zachwycającą biegłością.

Gregory MacAllister „Nocne myśli" (Notatki z Babilonu)

„Wendy" ciągle znajdowała się dwie godziny drogi od obiektu, ale na tyle blisko, żeby możliwa była obserwacja na optycznej. Na różnych ekranach w sali kontroli projektu widniały różne jego elementy. Całe pomieszczenie było wypełnione ludźmi Beekmana, którzy tłoczyli się przed monitorami i pochylali nad konsolami.

Obiekt okazał się składać z piętnastu osobnych walców połączonych klamrami rozmieszczonymi regularnie co około osiem kilometrów. Osiem walców znajdowało się na obwodzie, sześć tworzyło pierścień wewnętrzny, a jeden znajdował się w środku. Miały identyczne wymiary, a średnica każdego wynosiła jakieś trzy czwarte metra. Każdy był na tyle długi, żeby sięgać z Nowego Jorku do Seattle. Między nimi było sporo miejsca, więc Marcel przez prześwity widział gwiazdy po drugiej stronie.

Z jednego końca przyczepiono asteroidę omotaną siecią. Marcelowi przyszło do głowy, że całość wygląda jak lizak z patyczkiem sięgającym sąsiedniego okręgu.

Na drugim końcu obiekt po prostu się urywał. Zwisało z niego coś, co przypominało dyndające liny. Marcel zauważył, że piętnaście cylindrów robi wrażenie starannie wykrojonych, jakby był to samoistny obiekt, a nie coś, co oderwało się od większej konstrukcji.

— Coś takiego nie może istnieć — rzekł Beekman, zachwycony znaleziskiem. — Za duża masa przy za małej szerokości.

— A to naprawdę ma aż tak duże znaczenie? — spytał Marcel. — To znaczy w kosmosie. Przecież tu nic nie waży.

— To bez znaczenia. Masa to masa. Mnóstwo masy, na całej długości tego obiektu.

Marcel przyglądał się konfiguracji. Asteroida była w górze, niższy koniec całego zespołu wskazywał dokładnie na Deepsix.

Beekman spojrzał w to samo miejsce.

— Przynajmniej ma pozycję dokładnie taką, jak powinien.

— Stabilna orbita?

— Tak. Mógłby tu tkwić od tysięcy lat. Tylko…

— Tylko co?

Prychnął z niedowierzaniem.

— Tylko że to nie powinno trzymać się kupy. Dobrze byłoby zobaczyć, z czego jest zrobione.

John Drummond, młody matematyk z Oxfordu, oderwał wzrok od ekranu.

— *Niemożliwium* — rzekł.

Marcel przyglądał się obrazowi z fascynacją. Obiekt był tak długi, że nie dało się go umieścić na ekranie w całości, bo wtedy stawał się tak mały, że nie było go już widać. Jeden z techników wrzucił go na pięć monitorów w jednym rzędzie, z główką lizaka z lewej strony i długą cienką linią patyczka ciągnącą się aż do końca ostatniego ekranu z prawej.

— To nie jest statek, prawda? — spytał.

— Och, nie — odparł Beekman. — To na pewno nie jest statek. — Zdecydowanie potrząsnął głową. — Nie ma szans, żeby to był statek.

— Więc co to jest? — spytał Marcel. — Dok? Stacja paliw? — Przyjrzeli się bliżej jednej z klamer. Wyglądała, jakby wykonano ją z litego bloku metalu o grubości dwóch metrów. — Jak sądzicie, skąd to się wzięło?

Beekman potrząsnął głową.

— Z Deepsix. Bo niby skąd?

— Przecież nic nie sugeruje, żeby tubylcy kiedykolwiek dysponowali aż taką techniką.

— Marcelu, tak naprawdę dotychczas niczego nie odkryliśmy. Technika może się kryć pod lodem. Wieża Kellie może być bardzo stara. Tysiące lat. Paręset lat temu też nie wyglądaliśmy na zaawansowaną technicznie cywilizację.

Marcel nadal nie mógł uwierzyć, że ślady istnienia cywilizacji technicznej mogłyby tak po prostu zniknąć. Beekman westchnął.

— Dowody są tam, na zewnątrz, Marcelu. — Potarł skronie z nadzieją, że pozbędzie się bólu głowy. — Nie mamy jeszcze żadnych odpowiedzi. Cierpliwości. — Rzucił okiem na ekrany, po czym spojrzał na Drummonda. Najwyraźniej odbywała się tam jakaś dyskusja.

— To prawdopodobnie przeciwwaga — rzekł Drummond. Był średniego wzrostu i cały jakiś niespójny: młody człowiek z przedwcześnie przerzedzonymi włosami. Chyba miał problemy z przyzwyczajeniem się do niskiej grawitacji. Na pokładzie „Wendy” cieszył się reputacją geniusza.

— Przeciwwaga? — spytał Marcel. — Do czego?

— Windy orbitalnej. — Beekman spojrzał na Drummonda, a ten pokiwał głową. — Nie przychodzą mi do głowy inne możliwości.

— Masz na myśli windę z powierzchni na niską orbitę okołoziemską?

— Nie okołoziemską w tym przypadku, ale poza tym owszem, coś takiego mam na myśli.

Marcel dostrzegł kilka uśmieszków.

— Miałem wrażenie, że nie ma sensu budować windy orbitalnej. Mamy przecież antygrawitację. Pojazdy po prostu ulatują na orbitę. Po co zadawać sobie trud… — Zamilkł. — Och.

— Jasne — odparł Beekman. — Ktoś, kto to zbudował, nie miał takiej technologii. Ale może mieli coś, czego my nie mamy. My nigdy nie bylibyśmy w stanie czegoś takiego zbudować. Przynajmniej tak, żeby trzymało się kupy.

— Dobrze — odparł Marcel. — Mówicie mi, o ile dobrze zrozumiałem, że to część windy orbitalnej, która sterczy w stronę kosmosu i równoważy część, która sięga gruntu, tak?

— Tak.

— W takim razie powstaje pewne pytanie.

— Tak jest — odezwał się Beekman. — Gdzie jest reszta windy? — Wzruszył ramionami. — Wystarczy usunąć przeciwwagę i wszystko się rozleci.

— Nie zobaczylibyśmy tego, gdyby coś takiego się stało.

— Pewnie tak.

— Może odcięli ją przy podstawie. Jeśli właśnie coś takiego się stało…

— Większość odleciałaby w kosmos i zaczęła dryfować.

— Więc może tu gdzieś być reszta.

— Tak. Niewykluczone.

— Ale chcecie powiedzieć, że kiedyś była, a potem została zdemontowana?

— Albo rozpadła się.

Przeszli do biura dyrektora projektu i Beekman wskazał Marcelowi gestem krzesło. W kącie stał wielki globus przedstawiający Deepsix.

— To szaleństwo — rzekł Marcel. — Windy orbitalnej nie da się ukryć. W kosmosie ani na planecie.

— Może kawałki, które spadły, są pod lodem — podsunął Beekman. — Niewielką część powierzchni planety da się zobaczyć. — Wymierzył w równik i zaczął obracać globus. — Choć musiałyby być gdzieś tu. A w okolicach równika grunt jest widoczny.

Wrzucili na ekran obraz Maleivy III i zaczęli szukać. W okolicach równikowych był głównie ocean. Na Oceanie Corragia, na wschód od

Transitorii, znajdowało się kilka wysp. Dalej równik otaczał planetę prawie nie przecinając żadnego lądu, aż po Północny Tempus, przeskakiwał Morze Mgliste i wracał na Transitorię kilkaset kilometrów od Punktu Burbage'a. Od wieży.

— Tu — rzekł Beekman, wskazując archipelag. — Albo tu. Zachodnie wybrzeże Transitorii.

— Dlaczego akurat tu? — spytał Marcel.

— W obu tych miejscach są duże góry. Podstawa musi być jak najszersza. Więc taką wieżę stawia się na szczycie góry.

— Tylko że taka budowla byłaby wielka.

— Och, tak.

— W takim razie gdzie jest?

Marcel przyglądał się obu miejscom. Patrzył na archipelag, gdzie w niebo strzelało kilka olbrzymich gór, prawdopodobnie wulkanów. I na łańcuch górski na wybrzeżu, z kilkoma gigantami ukrytymi w chmurach.

— Nie wiem. — Beekman rozłożył ręce.

— Powiedz — rzekł Marcel — gdybyś miał windę orbitalną i coś się z nią stało, gdzie by upadła?

Dyrektor projektu uśmiechnął się.

— W dół.

— Nie. Serio pytam. Czy nie upadłaby na zachód?

— Pewnie wykazywałaby jakąś tendencję w tym kierunku. Ale budowla, o jakiej mówimy, to szyb windy o długości tysięcy kilometrów i Bóg wie co jeszcze. Większość poleciałaby po prostu w dół.

Ktoś zapukał. Nie przestając mówić, Beekman podszedł do drzwi i wpuścił Drummonda.

— Gdyby była tutaj, w Transitorii, podstawa mogłaby być ukryta na jednym z tych szczytów pod chmurami. Ale to nadal nie wyjaśnia, gdzie ukryłaby się ruina. Byłoby ją widać.

Marcel spojrzał na Drummonda.

— A może było inaczej — odezwał się Drummond. — Wyobraź sobie, że chcesz ją zlikwidować przy minimalnych szkodach dla otaczającego ją terenu. Co robisz?

— Nie mam pojęcia, John — odparł Beekman. — Ale przypuszczam, że należałoby odciąć wieżę w takim miejscu, żeby możliwie największa część odleciała, pociągnięta przez przeciwwagę. To, co zostanie…

— Spadnie na zachód.

— Do oceanu. — Beekman bębnił palcami po stole. — To możliwe. Gdybyś miał diabelnie dobrego inżyniera. Ale po co ktoś miałby ją likwidować? Poza tym, że taka budowla to przede wszystkim architektoniczny koszmar.

— Może udało im się stworzyć technologię antygrawitacyjną i już jej nie potrzebowali. Może stwarzała zagrożenie. Takie coś pewnie wymaga mnóstwa prac konserwacyjnych.

— Cóż — Beekman wzruszył ramionami. — W tym łańcuchu jest parę gór. Przestawimy tam satelitę. Porobi trochę zdjęć i zobaczymy.

INFORMACJA DLA KAPITANA
26.1114:27
Od: Bill
Statek wycieczkowy „Wieczorna Gwiazda" wyszedł z nadprzestrzeni cztery minuty temu. Wziął kurs na Maleivę III i wejdzie na orbitę za około dwie godziny.

Pasażerowie wsiadający na pokład liniowców zwykle korzystają ze standardowych pojazdów transferowych, które wykorzystują technologię antygrawitacyjną do wznoszenia się i zwykłe silniki na paliwo chemiczne do przyspieszania. Lądownik „Gwiazdy" był luksusowym pojazdem, rzadko używanym, który utrzymywano po to, żeby wozić nim ważne osobistości, które miały biznesowe lub polityczne powody, by unikać bardziej publicznych środków transportu.

Przypominał sporego pingwina. Miał czarno-biały kadłub z chowanymi skrzydłami i tępy, prawie kwadratowy nos z czarnym napisem „Wieczorna Gwiazda" poniżej przedstawiającego gwiezdny wir logo TransGalactic. Wnętrze wykończono skórą i mosiądzem. Był tam niewielki bar i rozkładany stół roboczy, żeby pasażerowie podczas jazdy mogli się zrelaksować lub poprzekładać papiery.

Załatwiwszy wszystko, co jest potrzebne do wysłania lądownika, Nicholson zaczął się martwić tym, czy inni pasażerowie przypadkiem się nie dowiedzą o tej wyprawie i nie zaczną się domagać miejsca w lądowniku. Prosił MacAllistera, żeby przypadkiem nikomu nie mówił. Wieści o tym, że chce tam zabrać innego dziennikarza, były niepokojące, ale w chwili, gdy Nicholson się o tym dowiedział, wszystko było już załatwione, no i nie chciał niepokoić swojego znakomitego gościa.

Nie był to pierwszy przypadek, kiedy znany dziennikarz przekonał się, jakie zalety ma jego reputacja — kiedy ktoś zasłużył sobie na jego gniew, MacAllister po prostu wybuchał jak wulkan. Dlatego właśnie on i Casey pozostali jedynymi osobami na pokładzie lądownika, jeśli nie liczyć pilota.

Pilot nazywał się Cole Wetheral. Był małomównym osobnikiem, który odniósłby sukces prowadząc ceremonie pogrzebowe. Miał posępny wyraz twarzy, długi nos i długie, białe palce, które biegały po

konsolecie, jakby to była klawiatura organów. Wszystkie polecenia przed startem i informacje podawał stentorowym tonem: „Proszę zająć miejsca", „Zanim państwo wstaniecie, proszę sprawdzić informację o statusie wyświetloną nad fotelem", „Chcemy, żeby ten lot był dla państwa przyjemnością; jeśli będą państwo czegokolwiek potrzebowali, proszę się do nas zwracać". Poinformował ich także, że w chwili ich przylotu na powierzchni będzie wczesny ranek.

Casey wyglądała na zachwyconą, a MacAllister zastanawiał się, czy przyczyną tego stanu jest szansa na odwiedzenie planety na kilka dni przed jej końcem, czy też jego obecność. Odczekał, aż kobieta znajdzie się w środku, po czym wsiadł sam i usiadł przy niej.

— Czy kiedyś był pan na innej planecie, panie MacAllister? — spytała.

Nie. Nigdy nie widział sensu. Postrzegał siebie jako ostateczny wytwór trzech miliardów lat ewolucji, działającej wyłącznie na Ziemi, gdzie miał pozostać.

— Przypuszczam — odparł — że to będzie jedyna wizyta na obcej planecie w moim życiu.

Jak się okazało, ona już bywała na innych planetach. Była na Pinnacle i Quraque oraz na pozbawionym atmosfery księżycu Quaraquy, z tajemniczym miastem na równinie. Wyjaśniła, że zbierała tam materiały do reportażu.

Pilot zamknął właz. Zapaliły się światła we wnętrzu. Spędził jakąś minutę nad panelem sterowania, po czym sięgnął i pstryknął kilkoma przełącznikami na górnym panelu.

— Teraz wypompowujemy powietrze z hangaru — oznajmił. — Startujemy za parę minut.

Pojazd lekko się uniósł.

— Bardzo jestem panu wdzięczna — rzekła Casey.

MacAllister uśmiechnął się dobrotliwie. Uwielbiał robić różne rzeczy dla ludzi. A nic nie było równie satysfakcjonujące jak wdzięczność młodej osoby, która chciała uszczknąć odrobinę jego sławy.

— Szczerze mówiąc, Casey — rzekł — cieszę się, że to zaproponowałaś. Gdyby nie twój pomysł, siedziałbym kolejny tydzień przy barze w Nawigatorze.

Uśmiechnęła się. MacAllister zrobił karierę atakując kobiety drukiem, podobnie jak atakował profesorów uniwersyteckich, kaznodziejów, rolników, lewicowych dziennikarzy i innych dobroczyńców oraz obrońców uciśnionych. Kobiety, dowodził, mają bezsensowną budowę anatomiczną, ze zbyt dużą masą w górnej części, przez co mają problemy z równowagą. Nie mogą chodzić bez kołysania się i pochylania, przez co rozsądni mężczyźni nie mogą ich brać poważnie.

Wiele kobiet postrzegało go jako najbardziej niebezpieczny typ: wyszczekanego i przekonującego demagoga. Wiedział o tym, ale godził się z taką sytuacją, uznając, że to cena mówienia rzeczy, o których wszyscy wiedzą, ale których się wypierają nawet sami przed sobą. W pewnym stopniu jego reputacja literacka chroniła go przed gniewem, który prędzej czy później doścignąłby kogoś mniej znanego. Dla niego było to dowodem na intelektualne bankructwo obu płci. Tu, w końcu, miał do czynienia z uroczą młodą istotą, która uśmiechała się do niego promiennie, mając nadzieję na to, że ten kontakt pomoże nadać tempo jej karierze, co skłaniało ją do pomijania milczeniem złośliwych uwag z jego strony, kiedy już zdecydował się je wygłosić, tylko dlatego, że stanowiły świetny materiał do reportażu. „To doskonały powód, moja droga, dla którego uciśnieni są uciśnionymi. Gdyby zasłużyli na coś lepszego, otrzymaliby to".

Klapa hangaru otworzyła się.

— Po starcie wystąpi wrażenie nieważkości — rzekł pilot.

Uprząż wysunęła się i objęła ich. Światła we wnętrzu zamrugały i zgasły. Opadli na fotele i ruszyli w ciemność. MacAllister obrócił się i obejrzał, spoglądając na wielką gródź „Wieczornej Gwiazdy". Światła zapalały się i gasły. Antena zamocowana tuż pod platformą startową powoli się obracała.

Potęga i majestat wielkiego liniowca nie były widoczne, kiedy znajdował się w doku. Statek nie zrobił na nim wielkiego wrażenia, kiedy wsiadał do niego na Kole. Tutaj jednak „Gwiazda" była w swoim żywiole, unosiła się między dziwnymi konstelacjami, w pobliżu słońca, które nie miało nawet właściwego koloru, nad planetą, której lodowe kontynenty miały nieznane mu kształty. Już ten widok, pomyślał, jest wart, by tu przylecieć.

— Czy ja panu kiedyś mówiłam — rzekła Casey — że mam licencję na pilotowanie takich pojazdów? — Wyglądała na szczerze zadowoloną z siebie.

MacAllister poczuł do niej coś na kształt szacunku. Wyglądało na to, że głęboki kosmos jest jej dziennikarską specjalnością, a zdobycie umiejętności pilota świadczyło o tym, że te zainteresowania są poważne.

— Znakomicie — rzekł. Odwrócił się od widoku i spojrzał na nią, po czym znów zapatrzył się w lśniącą atmosferę. — Jak ci się to udało?

— Mój ojciec ma jacht.

— Ach. — Teraz skojarzył nazwisko. — Twój ojciec to Desmond Hayes.

— Tak.

Zacisnęła zęby, jakby przyłapał ją na jakiejś niezręczności. I zrozumiał: córka bogatego człowieka, próbująca znaleźć własne

miejsce w życiu.

Desmond Hayes był założycielem Lifelong Enterprises, firmy, która miała na koncie liczne osiągnięcia w dziedzinie biotechnologii, w tym ostatni przełom związany z przedłużaniem życia. Był obrzydliwie bogaty, kochał władzę i często mówił o ubieganiu się o jakiś urząd polityczny. Rzadko widywano go bez pięknej kobiety u boku. W sumie — dziwaczna figura.

— Cóż — rzekł MacAllister — zapasowy pilot to nie jest taki zły pomysł.

Lecieli przez zbitki cumulusów, jasne w świetle gwiazd. MacAllister usłyszał i poczuł, że wlecieli w atmosferę. Wywołał menu automatycznego baru. Był nieźle zaopatrzony.

— Drinka, Casey?

— Niezły pomysł — odparła. — Poproszę miętowego, jeśli jest.

Wcisnął odpowiednie klawisze i podał jej szklankę, po czym zamówił sobie gorący rum.

— Wetheral — odezwał się — chcieliśmy trochę pooglądać krajobraz, zanim usiądziemy.

Krajobraz nie był specjalnie atrakcyjny: głównie śnieg i lód. W wąskim pasie równikowym widać było gęsty las wzdłuż południowego brzegu, otwartą przestrzeń na północny wschód i niskie, pofalowane wzgórza z kępami drzew w okolicy wieży.

O świcie lecieli nad linią brzegową zdominowaną przez olbrzymie szczyty.

— To jest południowe wybrzeże — wyjaśnił Wetheral.

Było tam kilka plaż. Wspaniały nadmorski krajobraz.

Nadal kontemplowali widok, a słońce wznosiło się coraz wyżej, aż w końcu MacAllister poinformował Wetherala, że już się dość naoglądali.

— Pogadajmy z ludźmi w wieży — zaproponował.

Pilot skierował się na południe, a trzydzieści minut później znaleźli się nad Punktem Burbage'a. Ze śniegu wystawało kilka drzew.

— Co za posępne miejsce — mruknęła Casey.

MacAllisterowi się jednak spodobało. Było coś majestatycznego w tym pustkowiu.

Choć noc była krótka, wstali wcześniej i wrócili do wieży natychmiast po wschodzie słońca. Hutch, Nightingale i Kellie wrócili do tunelu, żeby podjąć na nowo kopanie, Chiang objął straż przy wejściu, zaś Toni udała się na górę.

Drugi wschód słońca nad planetą był jasny i kuszący. Śnieg błyszczał w ostrym, zimnym świetle. Drzewa, wśród których pojawił się kot, połyskiwały zielenią i fioletem, a na niebie płynęły rozproszone białe chmurki.

Pracowali zaledwie od dziesięciu minut, gdy Kellie znalazła kilka ledwo widocznych symboli na ścianie.

Zrobiła zdjęcia mikroskanerem, po czym zdecydowali, że spróbują wyciąć napis ze ściany. Niestety, przy próbie wycięcia kawałka ściany mur się rozpadł.

— Jest jakaś technika wycinania takich rzeczy — mruknęła Hutch — ale nie wiem dokładnie jaka.

Marcel włączył się na prywatnym kanale.

— Hutch?

— Jestem. Co tam macie?

— Przypuszczamy, że to winda orbitalna.

— Żartujesz.

— Myślisz, że mógłbym żartować?

— Poczekaj. Przełączę cię na kanał ogólny, to powiesz wszystkim.

Przełączyła go, powtórzył nowinę, a Nightingale oznajmił, że jest zszokowany.

— Co na to Gunther? — spytała Kellie.

— To właśnie przypuszczenie Gunthera. Przecież ja się na tym nie znam. Ale mogę tylko powiedzieć, że nie bardzo mamy pomysł, czym innym mogłoby to być.

— To znaczy — rzekła Hutch — że to miejsce nie jest ani trochę reprezentatywne. Zawędrowaliśmy na jakieś zupełne odludzie, niemające wiele wspólnego z resztą planety.

— Na to wygląda. Ale nigdzie na powierzchni nie ma śladu dowodów, że tu kiedyś była cywilizacja techniczna.

— Przyszła epoka lodowcowa — rzekła Hutch — i wszystko znalazło się pod lodem.

— Nie przypuszczam, żeby nawet epoka lodowcowa zlikwidowała wszystkie ślady zaawansowanej kultury. Byłyby wieże. Prawdziwe wieże, a nie to fiasko, w którym się grzebiecie. Może przewróciłyby się, ale ruiny nadal byłyby widoczne. Istniałyby tamy, porty, różne takie. Beton się tak łatwo nie rozpada.

— Co się z nią stanie? — spytała Kellie. — Z tą windą orbitalną?

— Za jakiś tydzień skończy żywot razem z Deepsix.

— Jakie z tego wnioski? — spytała Hutch. — Czy my nie marnujemy tu czasu?

Usłyszała westchnienie Marcela.

— Nie mam pojęcia o archeologii — oznajmił. — Przekazaliśmy wszystko Akademii i archeologom na Nok. Są znacznie bliżej, może coś podpowiedzą.

— Tu coś jeszcze jest — rzekła Kellie. Znalazła kawałek metalu.

— Poczekaj, Marcelu. — Hutch zmieniła pozycję, żeby zapewnić oglądającym na „Wendy" dobre ujęcie.

Kellie próbowała zetrzeć pył.

— Ostrożnie — wtrąciła Hutch. — To wygląda na ostre. Nightingale wykopał z zamarzniętej gliny strzałę. Widniały na niej jeszcze resztki piór.

Kawałek metalu był przymocowany do poprzecznego elementu. A ten był czymś w rodzaju stelaża, do którego przyczepiono rurki.

Były wąskie i miały jakieś dwie trzecie metra długości. Hutch wyjęła jedną i obejrzała ją w świetle latarki. Była pusta, wykonana z lekkiego drewna, teraz dość kruchego. Jeden z końców zwężał się, tworząc coś, co mogło być ustnikiem.

— Myślisz to samo co ja? — spytała Kellie.

— Tak. To dmuchawka.

Znaleźli drugą strzałę.

I parę oszczepów.

— Kamienne groty — zauważyła Hutch.

Były małe. Miały jakieś pół metra długości.

Znaleźli też kilka tarcz zrobionych z żelaza i pokrytych skórami zwierząt, które teraz rozsypywały się pod dotknięciem.

— Dmuchawka i winda orbitalna — mruknął Marcel. — Ciekawa planeta.

— A jeśli chodzi o windę orbitalną… — wtrącił Nightingale.

— Tak?

— Gdyby rzeczywiście tu taka była, część nadal musiałaby gdzieś być? Przecież to ogromna konstrukcja. I musiałaby być na równiku, a nie gdzieś pod lodem.

— Randy, trochę cię wyprzedziliśmy. Naszym zdaniem podstawa musiałaby znajdować się na wybrzeżu, kilkaset kilometrów na południowy zachód od miejsca, gdzie jesteście, w łańcuchu górskim. Przestawiamy właśnie satelity, żeby mogły sfotografować to miejsce.

— Zachodnie wybrzeże — rzekła Hutch.

— Tak. Wygląda na to, że szczyty w tym regionie są zasłonięte chmurami. Jeśli coś znajdziemy, pewnie będziecie chcieli sami to obejrzeć. Może w ten sposób wybierzemy jakieś lepsze miejsce na wykopaliska.

Zanieśli dmuchawkę, oszczepy i kilka strzał na poziom gruntu. Na zewnątrz znów powiało, zaczął też sypać śnieg. Nie mieli wystarczająco dużych plastikowych worków, żeby zapakować to znalezisko, więc pocięli kilka mniejszych i owinęli w nie dmuchawkę najlepiej jak mogli. Kiedy jednak przenosili wszystko do lądownika, wiatr uderzył w plastikową płachtę jak w żagiel i prawie wyrwał im całą konstrukcję z rąk.

— Bendo i Klopp — mruknął Nightingale, nawiązując do popularnej pary komików specjalizujących się w komizmie sytuacyjnym.

Hutch skinęła głową.

— Chyba tak. Lepiej poczekajmy, aż się trochę uciszy.

Zrobili sobie przerwę. Kellie i Nightingale poszli na chwilę do lądownika, a Hutch usadowiła się na stole, żeby trochę odpocząć. Cały dzień na kolanach, w jakichś tunelach, przy kopaniu, skrobaniu i zamiataniu — to nie był jej ulubiony sposób spędzania wolnego czasu.

Toni odezwała się na kanale ogólnym.

— Hutch, mamy towarzystwo.

— Towarzystwo? — Machnęła do Chianga, który stał w drzwiach, i wyciągnęła laser, zakładając, że to znowu kot.

— Zbliża się lądownik — oznajmiła Toni.

Hutch wywołała Marcela.

— Kto tu jeszcze jest?

— Statek wycieczkowy. Przyleciał dziś rano.

— Wygląda na to, że wysyłają tu turystów.

— Co?

— Właśnie to. Chyba powariowali.

— Nic o tym nie wiem. Skontaktuję się z ich kapitanem. Zobaczyła sygnał nadchodzącego połączenia.

— Marcelu, zaraz wrócę.

Przełączyła na nowego rozmówcę.

— Ekipa naziemna, tu pilot lądownika „Wieczornej Gwiazdy". Chcielibyśmy wylądować w pobliżu.

— To nie jest dobry pomysł — odparła Hutch. — Teren jest niebezpieczny. Tu są dzikie zwierzęta.

Przez prawie pół minuty nie było odpowiedzi.

— Ponosimy odpowiedzialność za wszystkich obecnych na pokładzie.

— Co się dzieje? — spytała. — Co wy tu robicie?

— Mam na pokładzie dwóch dziennikarzy, którzy chcieliby zwiedzić wieżę.

— To niewiarygodne — mruknęła. — Wieża jest niebezpiecznym miejscem, może się w każdej chwili zawalić.

Odezwał się nowy głos, baryton z doskonałą wymową.

— Przyjęliśmy do wiadomości ostrzeżenie, zostało zapisane. Nie musicie się już więc przejmować.

— Czy mogę spytać, z kim mam przyjemność?

— Gregory MacAllister — odparł. — Jestem pasażerem „Wieczornej Gwiazdy".

Odniosła wrażenie, jakby chciał dodać „tylko", które to „tylko" miało zasugerować, że jest kimś o wiele bardziej znaczącym niż skromnym pasażerem.

Hutch zastanowiła się, czy to *ten* Gregory MacAllister.

— Wydaje mi się, że nie zrozumieliście — rzekła. — Zostaliśmy formalnie oddelegowani na to stanowisko archeologiczne. Jeśli

wylądujecie, złamiecie prawo.

— A który paragraf kodeksu pogwałcimy, droga pani?

Żeby to wiedziała. Był taki przepis. Ale nie miała pojęcia, gdzie go szukać.

— Więc kontynuujemy lądowanie zgodnie z planem.

Przełączyła się na inny kanał.

— Bill, połącz mnie z „Wieczorną Gwiazdą". Na kanale dowodzenia, jeśli taki mają.

Bill odpowiedział elektronicznym szumem, po czym odparł, że nie ma takiego kanału.

— *Jest tylko jeden główny kanał* — powiedział.

— Połącz mnie.

Usłyszała kilka kliknięć i melodyjkę, po czym odezwał się głos:

— *„Wieczorna Gwiazda" wita. Oferujemy loty kosmiczne* ***o*** *najwyższym standardzie w całym znanym kosmosie.* — Głos był żeński. — *Proponujemy luksusowe kabiny, szeroki wachlarz kuchni wielu krajów, bogaty program rozrywkowy, trzy kasyna i specjalne pomieszczenia do organizacji przyjęć. W czym możemy pomóc?*

— Nazywam się Hutchins — rzekła. — Jestem na powierzchni Deepsix, z grupą archeologiczną. Chciałabym rozmawiać z kimś z dowództwa.

— *Mam uprawnienia do rozpatrywania wszelkich zamówień i reklamacji, pani Hutchins. Z przyjemnością panią obsłużę.*

— Chcę rozmawiać z kapitanem.

— *Być może, gdyby wskazała pani cel rozmowy…*

— Wasz kapitan naraził na niebezpieczeństwo kilku pasażerów. Czy mogę prosić o połączenie mnie z nim?

Cisza, po czym szum niewyraźnych głosów.

W końcu odezwał się męski głos. Człowiek.

— Tu oficer dyżurny. Kim pani jest?

— Nazywam się Priscilla Hutchins. Kieruję pracami archeologicznymi na Deepsix. Mamy ekipę na powierzchni planety. Wasi ludzie przysłali tu jakichś turystów. A ja chciałabym was poinformować, że tu jest niebezpiecznie.

— Mamy turystów na powierzchni?

— Tak, macie.

— Rozumiem. — Chwila ciszy. — O jakie zagrożenia chodzi?

— Mogą zostać pożarci.

Znów pauza.

— Czy pani ma jakieś uprawnienia, o których powinniśmy wiedzieć?

— Proszę posłuchać. Wasi pasażerowie chcą przebywać na chronionym stanowisku archeologicznym. Poza tym to jest strefa trzęsień ziemi, ktoś może tu zginąć. Proszę ich zawrócić. Albo wysłać

gdzie indziej.

— Proszę o chwilę cierpliwości. Wyłączył się.

Pilot lądownika znów się odezwał.

— Pani Hutchins, lądujemy koło wieży. Wygląda na to, że pada śnieg, a widoczność na ziemi nie jest lepsza, więc proszę na chwilę wycofać swoich ludzi.

— Są dokładnie nad nami — poinformowała Kellie. Hutch zawołała wszystkich do wieży.

— Siedźcie w środku, dopóki nie wylądują — poleciła im, po czym przełączyła się znów na lądownik: — Jesteście tam jeszcze?

— Jesteśmy.

— Nasi ludzie są w środku. Możecie lądować. Skoro musicie.

— Dziękuję.

Znów włączył się Marcel.

— Hutch.

— No i co ci powiedzieli?

— Wiesz, kto jest na pokładzie?

— Gregory MacAllister.

— Wiesz, kto to jest?

Teraz sobie przypomniała. To był Gregory Wielki. Samozwańczy czempion zdrowego rozsądku, który zrobił fortunę atakując napuszonych i aroganckich lub, w zależności od tego, kogo się słuchało, po prostu mniej utalentowanych od siebie. Lata temu była na jednym z seminariów dyplomowych z historykiem, który chwalił się, że został publicznie złajany przez MacAllister a. Wrzucił nawet do sieci całą historię połajania i napawał się nią, jakby dotknął czegoś wielkiego.

— Tak — odparła. — Jedyny człowiek na Ziemi, który może przyczynić się do zjednoczenia Kościoła i świata naukowego. I jedni, i drudzy nie mogą się doczekać jego śmierci.

— To właśnie on. Mam nadzieję, że nie podsłuchuje.

— Co ja mam z nim zrobić?

— Hutch, kierownictwo wyraża nadzieję, że go nie obrazisz. Wydaje mi się, że to najlepsze, co możesz zrobić.

— A jeśli nakarmię nim wielkiego kota?

— Proszę?

— Nic takiego.

— Myślę, że dobrze byłoby traktować go przyzwoicie. Niech sobie ogląda, co chce. Niczego nie zepsuje. I uważaj, żeby nie upadł na główkę.

Śnieg był tak gęsty i ciężki, że MacAllister nie widział nic, dopóki nie wylądowali. Dostrzegł zarys drugiego lądownika i wieżę za nim i w tej samej chwili dotknęli ziemi, tak lekko, że nic nie poczuł.

Wetheral może i był rozmowny jak szyszka sosnowa, ale nie było wątpliwości, że jest doskonałym pilotem.

Obrócił się w fotelu i obrzucił ich smutnym spojrzeniem.

— Jak długo państwo planują tam zostać?

— Niezbyt długo — odparł MacAllister. — Jakąś godzinę.

Śnieg zbierał się na szybie.

— Dobrze. Muszę się zająć paroma rzeczami. Przed wyjściem muszą państwo uruchomić e-skafander, który ma być włączony przez cały czas pobytu na zewnątrz. Mogą państwo oddychać miejscowym powietrzem, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale skład nie jest najlepszy.

— Kapitan prosi także, by państwo uważali. Widziano tu dzikie zwierzęta.

— Wiemy — odparł MacAllister.

— Dobrze. Gdybyśmy kogoś z państwa stracili, czekają nas straszne biurokratyczne przejścia. — Powiedział to bez cienia ironii w głosie.

— Dziękujemy — odparła Casey.

Przeszli przez śluzę i opuścili lądownik, wchodząc prosto w burzę.

— Żeby coś w ogóle wyszło z tego wywiadu — zauważył MacAllister — musimy poczekać trochę, aż się uspokoi.

Trudne warunki pogodowe stanowiły zwykle świetne tło dla wywiadów. W tym przypadku jednak bohaterem miała być wieża i ludzie musieli ją zobaczyć.

— Wetheral, kiedy to ma się uciszyć?

We włazie pojawił się pilot.

— Nie mam pojęcia, proszę pana. Nie mamy tu prognozy pogody.

— Wydaje się, że bardzo by się przydała.

— Dla tego obszaru jej nie ma — odparł z powagą pilot. Rozejrzał się, potrząsnął głową i zszedł na dół.

Lądownik archeologów stał przed nimi. Był mniejszy niż pojazd „Gwiazdy” i smuklejszy. Bardziej elegancki.

Ze śnieżycy wyłoniła się kobieta. Miała na sobie niebiesko-biały kombinezon, a po sposobie chodzenia poznał, że to Hutchins. Była smukła, o chłopięcej budowie, i sięgała mu do ramion. Miała krótkie, czarne włosy i niezadowoloną minę. Nie przejął się tym jednak, traktując gniew jako naturalne zachowanie samic, które nie znają swojego miejsca.

— Pani jest dowódcą misji, jak przypuszczam? — spytał, wyciągając rękę.

Niedbale odwzajemniła uścisk.

— Jestem Hutchins — rzekła.

Przedstawił jej Casey i Wetherala.

— Może porozmawiamy w środku? — Odwróciła się na pięcie i odmaszerowała.

Wspaniale.

Ruszyli przez śnieg. MacAllister przyglądał się wieży, usiłując przyzwyczaić się do e-skafandra. Powinno być zimno, ale nie było. Jego stopy, odziane w sportowe buty, nurzały się w zaspach, a mimo to było mu ciepło.

Wieża górowała nad nimi, ledwo widoczna w zamieci. Na Ziemi byłaby zwykłą kupą kamieni. Tu, na tym odludziu, była wspaniała. Ale ci filistyni wybili dziurę w ścianie.

— Szkoda, że to zrobiliście.

— Tak się znacznie łatwiej wychodzi.

— Rozumiem.

Oczywiście, rozumiał. Tylko że ta wieża stała tu już od tylu lat. Mogliby wykazać więcej szacunku.

— Nie wiecie, ile to ma lat?

— Jeszcze nie — odparła. — Nie mamy na pokładzie urządzeń do datowania. To trochę potrwa.

Z powodu burzy mówił trochę głośniej niż zwykle. Trudno było się przyzwyczaić do korzystania z radia. Hutchins poprosiła, żeby tak nie krzyczał. Spróbował mówić ciszej.

— Jest tu coś jeszcze? Jakieś inne ruiny?

— Są, rozrzucone po całej planecie. I jest tu miasto pod lodem. — Wskazała na grunt.

— Naprawdę?

Spróbował sobie je wyobrazić. Miasto, z domami, parkami, pewnie więzieniem. Pod lodem.

— Niesamowite.

— Proszę uważać na głowę.

Poprowadziła go przez przejście, które wybili. Pochylił się i wszedł do niskiego pomieszczenia ze stołem, na którym leżały jakieś skorupy i strzały. Nie mógł się tam wyprostować.

— Ciasno tu — rzekł. Spojrzał na wąską klatkę schodową. — Mieszkańcy byli elfami albo czymś takim?

— Byli niewielkich rozmiarów.

— Czego się dotąd o nich dowiedzieliśmy? — Podszedł do stołu i sięgnął po jedną z filiżanek, ale Hutch poprosiła, żeby nie brał skorup do ręki. — Proszę mi wybaczyć. Co można o nich powiedzieć?

— Lubili korzystać z dmuchawek.

Odwzajemnił uśmiech.

— Prymitywny lud.

Ludzie Hutchins napłynęli, by się z nim przywitać. W większości uznał ich za niegodnych uwagi. Dwie kobiety były w miarę atrakcyjne. Kolejną osobą okazał się młody człowiek, bez wątpienia mający azjatyckich przodków. Był też drugi mężczyzna, ale dziennikarz jakoś nie mógł go umiejscowić. Niemłody, o wyglądzie

mola książkowego, miał słabo zarysowany podbródek i niechlujny wąsik. I gapił się na MacAllistera z jakąś irytacją.

Hutchins dokonała prezentacji. I tajemnica się wyjaśniła.

— Randall Nightingale.

Ach. Nightingale. Ten, który zemdlał. Który odniósł niewielkie obrażenia, a mimo to kobieta musiała go wynieść z pola walki. MacAllister zmarszczył czoło i udał, że przygląda się uważnie jego rysom.

— Czy ja pana skądś znam? — spytał z dostojeństwem w głosie.

— Tak — odparł Nightingale. — Zna pan.

— Pan jest…

— Kierowałem pierwszą ekspedycją, panie MacAllister. Jakieś dwadzieścia lat temu.

— Ach, istotnie. — MacAllistera stać było na szczątkowe współczucie i właśnie teraz dał Nightingale'owi do zrozumienia, że mu współczuje. — Bardzo mi przykro, że to się tak skończyło. To musiało być dla pana niełatwe.

Hutchins musiała wyczuć nadciągającą burzę, bo podeszła bliżej.

MacAllister zwrócił się do swojej towarzyszki.

— Casey, to jest Randall Nightingale. Legendarna postać.

Nightingale wykonał krok do przodu, ale Hutchins zdołała złapać go za ramię. Mała kobietka, pomyślał. I mały facecik. Nightingale pozwolił się powstrzymać.

— Nie zapomniałem o panu, panie MacAllister — wycedził.

MacAllister uśmiechnął się uprzejmie.

— Cóż, teraz ma pan nade mną przewagę.

Hutchins odciągnęła Nightingale'a i przekazała MacAllistera Azjacie. Wymienili uprzejmości, po czym Azjata pociągnął Nightingale'a w stronę miniaturowej klatki schodowej.

— O co chodzi? — spytała Casey.

— Ten pan nie lubi czytać o sobie. — MacAllister zwrócił się z powrotem do Hutchins. — Bardzo mi przykro z powodu tego, co zaszło. Nie przypuszczałem, że tu mogę go spotkać.

— Dobrze. Tylko bardzo proszę o zachowanie spokoju.

— Proszę pani, proszę to powiedzieć swoim ludziom. Ale, rzecz jasna, nie będę wchodził nikomu w drogę. A teraz, czy mogę prosić o oprowadzenie nas po tym miejscu?

— Dobrze — odparła. — Nie ubędzie go. Ale nie ma tu wiele do oglądania.

— Jak długo tu jesteście, jeśli wolno spytać?

— Drugi dzień.

— Czy wiemy cokolwiek o tubylcach, o istotach, które to zbudowały? Poza tym, że używały dmuchawek?

Hutchins streściła mu wszystko, czego się dowiedzieli: było to

społeczeństwo prymitywne, prowadziło zorganizowane wojny, miało jakąś formę pisma. Zaproponowała, że zaprowadzi go na szczyt wieży.

— Proszę mi powiedzieć, co tam jest, to podejmę decyzję.

Opisała mu komnatę i sufit, w którym prawdopodobnie był otwór. I dodała, że ich zdaniem tubylcy mogli korzystać z teleskopu.

— Optyka? — spytał. — To średnio pasuje do dmuchawek.

— Też tak uważamy. Mam nadzieję, że w ciągu dnia trafimy na jakieś odpowiedzi.

MacAllister uznał, że nie ma sensu wspinać się na górę. Wolał zejść do dolnych pomieszczeń, a Hutchins pokazała mu kominek i resztki krzesła.

Zajrzeli do tunelu blisko podstawy wieży.

— Właśnie tu teraz pracujemy.

Tunel był za mały, by dziennikarz się w nim zmieścił. Gdyby nawet tak nie było, wolał trzymać się od niego z daleka.

— Co tam jest?

— Tam właśnie znaleźliśmy dmuchawki. Wygląda na to, że to było coś w rodzaju zbrojowni. Naprawdę jednak szukamy próbek pisma albo rysunków. Albo rzeźb. Czegoś, co nam powie, jak wyglądali. Chcielibyśmy znaleźć odpowiedź na pańskie pytanie, panie MacAllister. — Słowo „pańskie" wymówiła z przekąsem.

— Oczywiście. — MacAllister rozejrzał się po pustych ścianach. — Dobrze byłoby mieć jakieś pojęcie, jak wyglądali. Na przykład, czy tę klatkę schodową zaprojektowano dla istot dwunożnych?

— Niewątpliwie — odparła. — Jesteśmy raczej pewni, że mieli cztery kończyny. Chodzili wyprostowani. I chyba tyle wiemy.

— Jak pani sądzi, kiedy będziemy wiedzieć coś o wieku tego miejsca?

— Jak tylko dostarczymy materiał do laboratorium. Do tego czasu możemy jedynie zgadywać.

Wetheral nadal stał przy fragmentach krzesła, próbując przyciągnąć uwagę Hutch.

— Tak? — odezwała się.

— Czy z tym zamierzacie jeszcze coś robić?

— Nie. Mamy już cały fotel w lądowniku.

— Dobrze. — Wyglądał na zadowolonego. — Dziękuję.

Zaskoczona Hutch patrzyła, jak dziennikarz zbiera fragmenty, poprzeczkę i kawałek materiału, który kiedyś mógł być draperią, i zanosi wszystko na górę.

— Chcemy zabrać trochę eksponatów na statek — wyjaśnił. Czuł, że plecy zaczynają go boleć od tego ciągłego schylania się. — Coś, co może zainteresować pasażerów interesujących się historią.

Nie zareagowała.

— Nie mam nic przeciwko.

— Dziękuję — rzekł MacAllister. — Nie przegapiliśmy niczego? — zwrócił się do Casey. — Może teraz wyjdziemy na zewnątrz i jeśli tylko pogoda pozwoli, zaczniemy ten wywiad?

VIII

Wyniki badań archeologicznych na Ziemi są przewidywalne, przynajmniej w obrębie pewnego zbioru parametrów, bo ogólny przebieg historii jest nam znany. W przypadku innych planet to zupełnie inna para kaloszy. Każdy, komu zdarzyło się wykopać meble na Syriuszu II czy Rigelu II powinien odłożyć wszelkie założenia na bok.

Gregory MacAllister, „Miejsca i dźwięki" (Wielkie tournee)

Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu Nathingale znalazł się w sytuacji, w której poważnie rozważał danie komuś po mordzie. To, że oparł się impulsowi, że nie przyłożył temu nadętemu, zadowolonemu z siebie skurwielowi, nie było wcale skutkiem gestu Hutch ani oporu przed zaatakowaniem kogoś, kto był rozmiarów dwukrotnie większych od niego. Było skutkiem odczucia, że przemoc w tej chwili byłaby czymś zdecydowanie nie na miejscu.

Nightingale'owi wpojono pewne zasady. Nie robi się scen. Zachowuje się godność w każdych warunkach. Przeciwników atakuje się najwyżej celną ripostą, z uśmiechem. Niestety, tym razem żadna celna riposta nie przychodziła mu do głowy.

Teraz, pracując w tunelu z Toni i Chiangiem, wstydził się swego wybuchu. Nie udało mu się wybrnąć z sytuacji, nie był nawet tego bliski. Ale, na Boga, udało mu się stanąć twarzą w twarz z MacAllisterem i pozbyć się choć w części tego ciężaru, jaki w sobie nosił przez te wszystkie lata.

MacAllister napisał artykuł o pierwszej ekspedycji, zatytułowany „Prosto i wąsko", który trafił na pierwszą stronę „Premiera". Ukazał się zaraz po powrocie Nightingale'a, kiedy jeszcze toczyło się dochodzenie, i zwalił na niego całą winę, oskarżył go o kiepskie dowodzenie lądowaniem i opisał jako bezradnego tchórza, który, zraniony, zemdlał. W artykule MacAllister zlekceważył jego obrażenia, nazywając je „zadrapaniami", jakby sam tam był.

Nightingale został publicznie napiętnowany, czego skutkiem — przynajmniej jego zdaniem — było orzeczenie komisji zamykające mu drogę do dalszych wypraw. Musimy dać sobie spokój z Maleivą III, powiedział mu jeden z członków komisji, zanim zerwał z nim

wszystkie kontakty. Nie chciał, żeby widziano ich razem.

„Prosto i wąsko” ukazało się po raz kolejny w zbiorze artykułów MacAllistera. Nowy atak. I ten facet udaje, że go nie zna.

— Wszystko w porządku? — spytał Chiang.

Pracowali nad oczyszczeniem komnaty, w której znaleźli dmuchawki; nazywano ją teraz „zbrojownią”. Nightingale spostrzegł, że przestał pracować i gapi się w przestrzeń.

— Tak — odparł. — Nic mi nie jest.

Toni i Chiang obserwowali go. Gdy szli na dół, spytali, co spowodowało ten wybuch, a on ich zbył. Przecież nie mógł im o tym powiedzieć. Żółć zalewała go jednak na samą myśl, że MacAllister, ten wyszczekany, nieodpowiedzialny, samozwańczy sędzia ludzkości, znalazł się w jego zasięgu, a on nie zrobił nic. Pewnie jawił mu się jako żałosny palant.

John Drummond zdobył sławę już rok po doktoracie, opracowując równania nazwane potem jego imieniem, które stanowiły poważny krok naprzód w zrozumieniu galaktycznej ewolucji. Niestety, przez kolejne dziesięć lat nie udało mu się dokonać niczego znaczącego. Teraz, mając lat trzydzieści pięć, Drummond stał na skraju przepaści. Fizycy i matematycy zwykle zdobywali sławę wcześnie. Geniusz ujawniał się u młodych ludzi.

Przystosował się do realiów i był przygotowany na to, że spędzi połowę swojej kariery na peryferiach, krytykując dzieła lepszych od siebie. Miał jakąś tam reputację i wiedział, że nawet jeśli już niczego spektakularnego nie osiągnie, zawsze może czuć satysfakcję, że mając dwadzieścia kilka lat był lepszy od prawie wszystkich na planecie.

Mimo własnych osiągnięć czuł się onieśmielony w obecności takich ludzi jak Beekman czy al-Kabhar, którzy byli znani i szanowani wszędzie, gdzie się pokazali. Drummond wyczuwał nutę protekcjonalności w zachowaniu kolegów. Podejrzewał, że postrzegają go jako kogoś, kto w ostatecznym rozrachunku okazał się rozczarowaniem — kto nie spełnił oczekiwań pokładanych w nim za młodu.

Dlatego też często przybierał postawę obronną. Miał wrażenie, że życie zawodowe przepływa obok niego, a decyzja o wysłaniu go na Deepsix była wyborem politycznym. Po prostu był zbyt znany, żeby nie wpisać go na listę zaproszonych. Czasem myślał, że lepiej byłoby od początku być miernotą, osobą, z którą nie wiązały się wielkie nadzieje, niż być kimś, od kogo tyle oczekiwano i kto przyniósł wszystkim takie rozczarowanie.

Podobnie jak Chiang, czuł jakiś pociąg do Kellie Collier, ale nigdy nie dał tego po sobie poznać. Pił z nią kawę, kiedy trafiała się okazja, spędzał z nią czas, kiedy się dało. Ale bał się odrzucenia, a odnosił

wrażenie, że ona bynajmniej nie postrzega go jako atrakcyjnego mężczyzny.

Nie był bardzo zaskoczony, kiedy Beekman zaprosił go do biura i spytał, czy chce dołączyć do ekipy, która ma zbadać artefakt orbitujący wokół Maleivy III. Była to propozycja, na którą większość kolegów patrzyłaby z zazdrością, a jego reputacja sprawiała, że dyrektor projektu nie miał zbyt wielkiego wyboru. Natomiast pomysł wychodzenia na zewnątrz Drummonda przerażał.

— Bardzo dziękuję, Guntherze. — Uwielbiał zwracać się do tego wielkiego człowieka po imieniu.

— Ależ drobiazg. Zasłużyłeś na ten zaszczyt.

— Ale inni…

— …zrozumieją. Zasłużyłeś na to zadanie, John. Gratulacje.

Drummond myślał intensywnie, jak się od tego wymigać.

— Chcesz wziąć w tym udział, prawda?

— Tak. Oczywiście, że tak. Po prostu myślałem, że starsi rangą członkowie grupy mają pierwszeństwo.

Serce waliło mu jak młotem. Wiedział, że wyjście w przestrzeń jest łatwe. Wystarczą butle z powietrzem, pas i magnetyczne buty. I wygodne ubranie. Zawsze podkreślali: wygodne ubranie. Nie lubił pracy na wysokościach, ale z tego, co czytał o pracy w próżni, wynikało, że w kosmosie nie stanowi to problemu.

Zanim otrzymał tę propozycję, zanim ją przemyślał, popełnił błąd: powiedział kilku osobom, że chciałby obejrzeć ten obiekt, chciałby go dotknąć i pospacerować po nim. Wiedział, że gdyby odrzucił tę propozycję, bez względu na wymówkę, wyszłoby to na jaw.

— Umiesz korzystać z lasera tnącego? — spytał Beekman.

— Oczywiście.

Wcisnąć guzik i nie celować w nogi.

— Dobrze. Wylatujemy za dwie godziny. Bądź przed śluzą ładowni. Na pokładzie C.

— Guntherze — wtrącił — nigdy nie nosiłem e-skafandra.

— Ja też nie — zaśmiał się Beekman. — Więc pewnie będziemy się uczyć razem.

Rozmowa została brutalnie przerwana, gdy otworzyły się drzwi biura. Beekman sięgnął po długopis.

— Aha, jeszcze jedno — rzekł, nie podnosząc wzroku — kapitan mówi, że jeśli chcesz coś zjeść, powinieneś zrobić to teraz i znaleźć sobie coś niewielkiego. Nie jest dobrze mieć w żołądku świeżo spożyty posiłek, kiedy wychodzi się w przestrzeń.

Drummond zamknął oczy i zaczął się zastanawiać, czy nie wykręcić się złym samopoczuciem.

Marcel żałował, że pozwolił Kellie na podróż na powierzchnię.

Gdyby tu była, mogłaby polecieć z ekipą oglądającą obiekt, a on sam zostałby na pokładzie na wszelki wypadek. Albo tylko po to, żeby spędzić mniej męczące popołudnie.

Nie podobał mu się pomysł, że Beekman zabierze ludzi na zewnątrz. Nikt z nich dotąd nie opuszczał śluzy podczas lotu.

Oczywiście niewiele się mogło wydarzyć. Pole Flickingera było dość bezpieczne. Mimo to czuł się niepewnie.

Na życzenie Beekmana Marcel podleciał „Wendy" w pobliże końca obiektu wycelowanego w Maleivę III, w okolice części najbardziej oddalonej od asteroidy, a zbliżonej do planety. Tu było widać wyraźnie, że odczepiono go od większej konstrukcji. Końce cylindrów miały zasuwy i łączniki.

Dostosował kurs, prędkość i pozycję, więc ich położenie względem obiektu było stałe. Miało to znaczenie zasadnicze, bo ustawienie śluzy kilka metrów od obiektu było wygodne, niemniej jednak widok dwóch obiektów poruszających się z różną prędkością na pewno przyprawiłby początkujących kosmicznych spacerowiczów o mdłości. Jedyny problem polegał na tym, że dwa ciała niebieskie widoczne na niebie, Deepsix i słońce, miały się poruszać. To wystarczy, żeby dostać mdłości, jeśli nie jest się przyzwyczajonym.

— Nie patrzcie na nie — poradził swojej ekipie. — Macie przed sobą prawdziwy obcy artefakt, nigdy w życiu czegoś takiego nie widzieliście. Skupcie się na nim.

Beekman wybrał na wyprawę dwie osoby. Obie młode, obie były znanymi naukowcami. Kobieta, Carla Stepan, miała na koncie jakieś pionierskie prace z dziedziny rozchodzenia się światła. Co za zbieg okoliczności, pomyślał Marcel. Sama była świetlistą istotą.

Reputacja Drummonda była szeroko znana. Ale on jako człowiek był tajemnicą. Cichy, zamknięty w sobie, nieco nieśmiały. Dziwny wybór, pomyślał kapitan.

Zademonstrował, jak korzystać z e-skafandra. Pole Flickingera miało wiele zalet w porównaniu z używanymi w zeszłym stuleciu skafandrami, a największą był fakt, że nie dało się go przebić.

Można było jednak łatwo wpakować się w kłopoty, przypadkowo odpiąwszy się z uwięzi. Samo pole także nie było całkiem odporne na głupie pomysły. Przy odrobinie wyobraźni można było wyłączyć osłonę antyradiacyjną i usmażyć się. Albo pogrzebać przy ustawieniach mieszanki powietrza i zginąć bądź zamienić się w warzywo. Dlatego też Marcel upierał się, żeby trzymali ręce z dala od modułu sterowania, kiedy już zostanie ustawiony.

Zasugerował, by Beekman jednak został. Planetolog odparł, że za bardzo się przejmuje.

Teoretycznie jego stan zdrowia był bez zarzutu, w przeciwnym razie nie znalazłby się na pokładzie. Ale rzadko wyglądał zdrowo.

Miał bladą cerę, którą podkreślała czarna broda, łatwo tracił oddech, a czasem wydawał świszczące dźwięki i czerwienił się przy najmniejszym wysiłku. Marcel miał uprawnienia, by zakazać mu wyjścia, ale to była impreza Gunthera, więc kapitan wolał nie negować doświadczenia kogoś, kto był w najlepszym punkcie swojej kariery zawodowej.

— Wszyscy gotowi? — spytał Marcel.

Stali w śluzie, Beekman i Carla niecierpliwili się, a John Drummond wyglądał na niezadowolonego. Sprawdził aparaty oddechowe i uruchomił ich skafandry. Carla miała jakieś doświadczenie z laserem tnącym, więc dał jej jeden, a sam wziął drugi. Przypięli latarki do nadgarstków. Rozdał kamizelki i czekał, aż je włożą. Każda kamizelka była wyposażona w zamek sprężynowy, do którego można było przypiąć linę.

Marcel przypiął im także plecaki rakietowe.

Sprawdzili radio i przeszli do śluzy. Marcel uruchomił pompy. Wewnętrzna klapa zamknęła się i zaczęło się wypompowywanie powietrza ze śluzy. Beekman i Carla wyglądali normalnie, tylko Drummond zaczął oddychać głębiej niż zwykle.

— Odpręż się, John — odezwał się Marcel na prywatnym kanale. — To nic takiego.

— Może to kiepski moment, żeby o tym mówić — odezwał się Drummond — ale ja mam lęk wysokości.

— Każdy ma lęk wysokości. Nie przejmuj się. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale nawet tego nie zauważysz.

Carla zobaczyła, co się dzieje, i posłała mu zachęcający uśmiech. Powiedziała coś do Drummonda, coś, czego Marcel nie usłyszał, ale Drummond pokiwał głową i zaczął wyglądać trochę lepiej. Przynajmniej trochę.

Zapaliły się światełka i zewnętrzna klapa zwinęła się jak migawka. Spojrzeli na kilka metrów pustej przestrzeni, na wiązkę równoległych walców. Były szarej, księżycowej barwy, o fakturze żużla, podziurawione. Marcel pomyślał, że każda z osobna ma grubość słoniowej nogi. Z perspektywy śluzy mogło to być piętnaście całkowicie oddzielnych rur, może rur z wodą, urywających się gwałtownie kilka metrów z ich prawej strony, za to z lewej ciągnących się w nieskończoność. Jakimś cudem znajdowały się w idealnej odległości od siebie, najwyraźniej oddzielone i utrzymywane jakąś niewidzialną siłą.

— Niesamowite — odezwał się Drummond, pochylając się lekko do przodu i rozglądając na boki.

Nie miały żadnych oznaczeń, zdobień, nitów, osłon ani brzegów. Po prostu piętnaście rur, ułożonych symetrycznie, osiem w zewnętrznym pierścieniu, sześć w środkowym, plus jedna w środku.

Marcel przyczepił linę do klamry na kadłubie i zachęcił gestem dyrektora projektu.

— Do dzieła, Guntherze — rzekł.

Beekman podszedł do klapy, nie spuszczając wzroku z długich, szarych walców. Wystawił głowę i wstrzymał oddech.

— Mój Boże — mruknął.

Marcel przypiął mu linę do kamizelki.

— Będę popuszczał linę, jak będziesz się oddalał, albo wciągnę cię w razie potrzeby.

— Jakie to jest długie?

— Dwadzieścia metrów.

— Chodzi mi o odległość do klamry.

Wzdłuż całego obiektu były rozmieszczone klamry. Najbliższa była…

— …pięćdziesiąt kilometrów stąd.

Beekman potrząsnął głową.

— Gdyby ktoś mi doniósł o istnieniu czegoś takiego — rzekł — powiedziałbym, że nie wierzę. — Wystawił stopę z dolnej krawędzi śluzy. — Chyba jestem gotowy.

— Dobrze. Uważaj. Kiedy ci powiem, odepchnij się. Nie próbuj skakać, bo będę musiał po ciebie wychodzić. — Marcel obejrzał się na pozostałych. — Jeśli komuś się zdarzy zdryfować, ja zajmuję się akcją ratunkową. A tymczasem wszyscy pozostają na swoich miejscach. Jasne?

— Jasne.

— Jazda — zwrócił się do Beekmana.

Beekman zgarbił się. Miał na sobie białe spodnie i zieloną koszulkę z nazwą jego uniwersytetu, Berlin, na piersi. Wyglądał, zdaniem Marcela, jakoś niestosownie żwawo. Oraz na całkiem zadowolonego. Czy wręcz zachwyconego.

Pochylił się, odepchnął się lekko i wrzasnął z radości, gdy wylatywał ze śluzy Patrzyli, jak dryfuje nieporadnie przez wąską przestrzeń, z jedną nogą zgiętą w kolanie, druga prostą, jak biegacz złapany w pół kroku.

Marcel stał we włazie, czując, jak lina rozwija mu się w dłoni, dopóki nie upewnił się, że Beekman nie leci za szybko. Dyrektor projektu doleciał do najbliższego cylindra, zderzył się z nim, objął go ramionami i wrzasnął coś po niemiecku.

— Marcelu — powiedział — jestem ci winien obiad.

— Chcę to na piśmie — odparł Marcel.

Beekman rozluźnił uścisk, oparł stopy na innym cylindrze, zajął wygodną pozycję i pomachał.

Carla przesunęła się i wystartowała.

Beekman i jego ludzie kręcili się dookoła obiektu, Marcel zaś stał na straży. Carla robiła zdjęcia, a Drummond zbierał odczyty czujników. Beekman gadał, opisywał, co widzi, wyciągał z kieszeni kamizelki różne mierniki i czujniki, po czym udzielał odpowiedzi ludziom w środku. Tak, wykazuje właściwości magnetyczne. Nie, nie wibruje po potraktowaniu falami dźwiękowymi niskiej częstotliwości.

Carla wyjęła laser i skonsultowała się z Beekmanem. Marcel nie słyszał tej rozmowy, ale na pewno ustalali najlepsze miejsce pobrania próbki. Powierzchnia obiektu niczym szczególnym się nie wyróżniała. Jedynym urozmaiceniem były klamry, ale stąd żadnej nie było widać.

Podjęli decyzję, Carla ustabilizowała pozycję, wycelowała w jeden z walców i zbliżyła do niego laser.

— Ostrożnie — wtrącił Marcel. Gdyby zrobiła coś nie tak, pole nie zapewniłoby jej żadnej ochrony.

— Dobrze — odparła.

Uruchomiła laser. Płomień zamrugał i pole widzenia wszystkich skafandrów pociemniało.

Zaczęła pracę. Zamierzali wyciąć z jednego z zewnętrznych walców kawałek o długości dwóch metrów.

Drummond odłożył wszystkie instrumenty i po prostu trzymał się obiektu. Wyglądało to, jakby przyglądał się walcom bardzo uważnie, nie patrząc w przestrzeń. Marcel wyszedł ze śluzy i zbliżył się do niego.

— No i jak tam? — spytał na prywatnym kanale.

— Chyba czuję się trochę nieswojo.

— To normalne — odparł. — Zdarza się. Chcesz wejść do środka?

— Nie — Drummond potrząsnął głową, ale nie spuszczał wzroku z obiektu.

— Tam się poczujesz lepiej. Jak będziesz chciał wrócić, polecę z tobą.

Mruknął coś, z czego Marcel usłyszał tylko „…pieprzony dureń”.

— Może nie. Może po prostu jesteś trochę bardziej wrażliwy od reszty.

Drummond zdołał się uśmiechnąć, ale nadal patrzył w metal.

— Marcelu — rzekł — może powinienem wrócić, zanim pojawi się jakiś problem.

— John, cokolwiek się stanie, nie ma sprawy, wszystko jest pod kontrolą.

— Dobrze.

Drummond nie chciał skakać. Choć znajdowali się w stanie nieważkości, jego zmysły, jak Marcel przypuszczał, reagowały na bliskość „Wendy Jay” i wyznaczały w stosunku do niej kierunek góra-dół. Utrzymywał pozycję, w której, w stosunku do statku, trzymał głowę w górze. A teraz znów musiał pokonać tę okropną pustkę.

Ludzie, którzy twierdzili, że w kosmosie nie ma poczucia wysokości, pewnie po prostu nigdy tam nie byli. Wyciągnął rękę, żeby poklepać Drummonda delikatnie po ramieniu, ale ten cofnął się.

— Dzięki — mruknął. — Poradzę sobie.

— Nieźle sobie radzi — oznajmiła Carla, patrząc z zachwytem na swój laser. Z perspektywy Drummonda wisiała głową w dół. Zamknął mocno oczy.

Przecięła już walec do połowy. Beekman wisiał na brzegu, żeby odcięta część nie odfrunęła w przestrzeń, kiedy już Carla skończy pracę.

Drummond otworzył oczy i spojrzał w stronę śluzy, jakby znajdowała się pół kilometra od niego. Światło sączyło się z niej w przestrzeń.

— Myślałam, że będzie trudniej — rzekła Carla.

— Nic ci nie będzie — rzekł Marcel do Drummonda. — Mogę coś zaproponować?

Drummond oddychał coraz szybciej, ale nie odezwał się.

— Zamknij oczy. A ja zajmę się resztą.

„Wendy" unosiła się zaledwie dwa metry od nich. Bill idealnie synchronizował położenie statku z artefaktem. Marcel zdawał sobie jednak sprawę z tego, że Deepsix powoli, ale nieubłaganie wspina się po niebie.

— Coś nie tak, John? — to głos Beekmana.

— Nie — odparł Marcel. — Wszystko w porządku.

— John? — tym razem Carla, z troską w głosie. — Wszystko gra?

— Tak. — Słychać było, że jest spięty i zły. — Spojrzał na Marcela. — Tak. Zabierz mnie stąd.

Marcel delikatnie objął go w pasie. Tym razem Drummond się nie odsunął.

— Powiedz, kiedy będziesz gotowy. Drummond zesztywniał i zamknął oczy.

— Daj mi chwilkę.

Było jednak za późno. Marcel, nie czekając, a chcąc jak najszybciej mieć to za sobą, odepchnął ich obu od artefaktu. Polecieli w stronę otwartej klapy i światła.

— Za sekundę tam będziemy, John.

Reszta zaczęła im się przyglądać. Carla wyłączyła laser i spytała, czy może jakoś pomóc. Marcel zauważył, że Beekman zmienia pozycję, jakby chciał do nich dołączyć.

— Zostań tam, Gunny — rzekł. — Poradzimy sobie.

— Co się stało, Marcelu? — spytał.

— Pewnie mały zawrót głowy. Nic poważnego. Zdarza się.

Drummond szarpnął się i uderzyli o kadłub, udało mu się jednak chwycić jedną ręką klapy i podciągnąć się do śluzy. Marcel nie

pomagał mu w tym. Gdy John znalazł się bezpiecznie na pokładzie, wspiął się za nim.

— Pieprzony tchórz — mruknął Drummond.

Znajdowali się już w sztucznym polu grawitacyjnym statku. Marcel przysiadł na ławce.

— Chyba jesteś dla siebie zbyt surowy.

Drummond spojrzał na niego tępo.

— Posłuchaj. — Marcel usiadł wygodnie i odprężył się. — Niewiele osób zrobiłoby to co ty. Większość, gdyby się tak czuła, jak ty się musiałeś czuć, nie wyszłaby w ogóle na zewnątrz. — Spojrzał na artefakt i na gwiazdy za nim. — Chcesz, żebym zamknął klapę i żebyśmy weszli do środka?

Drummond potrząsnął głową.

— Nie — odparł. — Nie możemy tego zrobić. Oni są na zewnątrz.

Beekman i Carla wrócili kilka minut później ze swoim łupem. Wsunęli go ostrożnie do śluzy, do pola grawitacyjnego o natężeniu równym połowie ziemskiego, jakie panowało zwykle na statkach podczas lotu. (Utrzymanie ziemskiej grawitacji powodowałoby zbyt duże zużycie energii). Długość elementu była prawie równa wzrostowi Marcela. Sądzili, że na pokładzie statku będzie dość ciężki.

Tymczasem na twarzy Carli pojawiło się zdumienie. Machnęła do Beekmana, żeby puścił, i z łatwością podniosła przedmiot sama.

— *Niemożliwium* to właściwe słowo — oznajmiła. — To prawie nic nie waży.

Beekman spojrzał.

— Są chyba całkiem niezłymi inżynierami, nie?

— Tak — odparła.

— Z powodu masy? — spytał Marcel.

Drummond oddychał już prawie normalnie. Widać było, że chce coś powiedzieć, więc Marcel dopuścił go do głosu.

— Problem z taką konstrukcją — rzekł, wymawiając słowa ostrożnie, jakby mówił w obcym języku — polega na tym… — Zamilkł na sekundę, by zaczerpnąć oddechu. — Problem polega na tym, że mamy za dużo masy w obiekcie o tak wielkich rozmiarach.

Spojrzał na Beekmana, który skinął głową.

— Wytrzymałość konstrukcji w dowolnym miejscu jest za mała, żeby wytrzymać naprężenia. Wyobraźcie sobie na przykład chicagowskie Starlite Center zbudowane z tektury.

— Zawali się — rzekł Marcel.

— Otóż to — dokończyła Carla. — Materiały, jakie znamy obecnie, użyte w takiej budowli — skinęła w kierunku drzwi śluzy, w stronę artefaktu — są nie lepsze niż tektura. Gdybyśmy próbowali coś takiego zbudować, zawaliłoby się pod własnym ciężarem.

Beekman podjął wątek.

— Jeśli chcesz zbudować coś rozmiarów Starlite, szukasz materiałów, które wykazują dwie cechy.

— Wytrzymałość — podsunął Marcel.

— I niski ciężar właściwy — dokończyła Carla. Spojrzała na próbkę. — Wiemy, że to coś jest wytrzymałe, bo artefakt się jeszcze nie rozpadł. A teraz znamy drugi powód, dla którego się nie rozpadł. Bardzo mało waży.

Zamknęli właz. Kilka minut później lampki zamrugały i otworzył się wewnętrzny właz. Wyłączyli skafandry i wyszli ze śluzy.

— Co teraz? — spytał Marcel.

Beekman wyglądał na zadowolonego.

— Poślemy do analizy. Dowiemy się, jak oni to zrobili.

Zdaniem Augusta Canyona nazwa Deepsix{Deepsix, Deep-6 — (ang.) pozbyć się czegoś, zarzucić (np. projekt), zrezygnować *(przyp. tłum.)*.} była wybrana idealnie. Jego lot na tę nieszczęsną planetę w charakterze zbiorowego przedstawiciela różnych koncernów prasowych, w celu napisania reportażu, który i tak nikogo nie obejdzie, był czytelnym sygnałem, jak kierownictwo wyobraża sobie jego dalszą przyszłość zawodową. Strajk robotników na Syberii? Wyślijcie Canyona. Znaleźli wodę gdzieś po ciemnej stronie Księżyca? Wyślijcie Canyona, niech porobi jakieś wywiady.

— To nie jest takie tragiczne — rzekła Emma Constantine, producentka i jego jedyna towarzyszka na pokładzie „Edwarda J. Zwicka", nie licząc pilota.

— Dlaczego nie? — dopytywał się. Kisił się tu przez całe pięć tygodni lotu na miejsce, nie wypowiadając ani razu słów, które cisnęły mu się na usta. Był jednak zmęczony ciasnotą, zmęczony spędzaniem czasu na wirtualnych plażach, kiedy inni ludzie w jego wieku dostawali poważne zadania dziennikarskie, tropiąc korupcję w Londynie, seks w Waszyngtonie i głupotę w Paryżu.

— To będzie dobry reportaż — powiedziała. — Zderzenie planet. Duża sprawa, jeśli właściwie to rozegramy.

— Byłaby — odparł — gdyby było z kim przeprowadzić wywiad.

Canyon miał wszelkie kwalifikacje: kończył studia na Harvardzie, potem zdobywał doświadczenie w „Washington Online", a potem w „Samie Brewsterze". „Brewster" był niezmiernie skutecznym szmatławcem i Canyon pracował tam półtora roku, wystarczająco długo, żeby zauważyć, że brakuje mu dostatecznie mocnego jak na dziennikarza szmatławca żołądka, wskutek czego zrażał do siebie wszystkie ośrodki władzy w stolicy. Po niespecjalnie przyjaznym rozstaniu Canyon miał dużo szczęścia: załapał się do „Toledo Express".

— Będziesz miał cały statek naukowców, z którymi będziesz mógł porozmawiać.

— Jasne. Próbowałaś kiedyś zmusić fizyka, żeby powiedział cokolwiek, czym będą zainteresowani ludzie?

— Zdarzało mi się.

— Pewnie. Teoria sześcianu. Fale grawitacyjne. Koordynacje sił. Sensacyjne wieści.

— Chyba korelacje sił.

Wziął głęboki oddech.

— A co za różnica. Potrzebny nam dobry polityk. Ktoś, kto wygra ze zderzeniami planet.

— Posłuchaj — mruknęła. — Przestań się użalać nad sobą. Mamy bazę danych tych ludzi.

— Wiem — odparł. — Na „Wendy" jest Tasker i on coś powie, tylko problem w tym, że jak zacznie, to już nie skończy.

— Zmontujemy to w razie potrzeby. Augie, posłuchaj, jesteśmy tu i mamy zrobić, co do nas należy. Ja też się do tego zadania nie zgłaszałam. Ale będzie o wiele ciekawiej, niż ci się wydaje.

— A niby dlaczego miałoby tak być?

— Bo planety nie zderzają się codziennie. — Skrzywiła się, może złoszcząc się nie z powodu samego przydzielonego zadania, ale partnera. — Bo na Deepsix są ruiny.

— Ale ani śladu cywilizacji. Sądzisz, że kogokolwiek obchodzi kupa kamieni, która rozleci się razem z całą resztą?

— Augie, kto zbudował tę kupę?

— Wątpię, czy ludzie, których teraz posyłają na tę planetę, zdołają cokolwiek wyjaśnić.

Uśmiechnęła się łagodnie.

— Właśnie to mam na myśli. Posłuchaj, zapomnij o „Wendy". To jest planeta, która została zrujnowana. Od trzech tysięcy lat trwa tam epoka lodowcowa. Nie ma śladu miast. Jeśli ktokolwiek przeżył, są to dzikusy. Dzikusy są straszliwie nudne. Ale zaginione cywilizacje? To jest sensacja. Ludzie, z którymi chcemy rozmawiać, są na powierzchni planety, szperają w tej wieży. Nie chodzi o ludzi w statku. Dowiedz się, z kim trzeba rozmawiać w tej sprawie, i mamy reportaż.

Oparł głowę na fotelu i gapił się w sufit.

— Wiesz, Emmo — oznajmił — ja czasem naprawdę nienawidzę tej roboty.

IX

Archeologia to robota dla niedorozwiniętych umysłowo. Archeologowie to śmieciarze z dyplomem.

Gregory MacAllister, „Wieczór karier” (Porty wezwania)

„Wendy” przemieszczała się wolno wzdłuż całego artefaktu. Robiono zdjęcia, choć żadna sekcja nie różniła się od pozostałych, razem z łącznikami (było ich trzydzieści dziewięć), które spinały ze sobą walce, aż po doczepioną na końcu asteroidę.

Była raczej skalista niż metaliczna i miała kształt nieomal doskonałej kuli. Dookoła niej owinięto metalową siatkę i przymocowano ją do artefaktu za pomocą prostokątnej płyty. Płyta miała kilka metrów grubości i zaokrąglone brzegi i rogi.

Niezwykła długość całego artefaktu sprawiała, że asteroida wydawała się przy nim malutka, aż do chwili, gdy się do niej zbliżono. W rzeczywistości miała ponad kilometr średnicy.

Marcel i Beekman obserwowali ją z centrum kontroli projektu, gdy statek się zbliżał. Beekman wyglądał na rozczarowanego, a Marcel, zastanawiając się, jakim cudem można mieć taką minę w tak doniosłej chwili, spytał, co się stało.

— Miałem nadzieję — odparł — dowiedzieć się czegoś, dzięki czemu moglibyśmy mieć jakieś pojęcie, kto to zbudował. Jakie miało przeznaczenie. Myślałem, że może tu, na końcu, jest jakaś sterownia. Cokolwiek.

Marcel położył mu rękę na ramieniu.

— Jak się coś takiego zostawia, to powinno się w pobliżu położyć instrukcję obsługi, nie?

— Mówię serio.

— Wiem. — Głupia uwaga.

Wyszli znów na zewnątrz, we dwóch, i obejrzeli asteroidę. Unosili się dookoła skały, korzystając z plecaka Marcela.

Siatka była prawie w całości pokryta warstwą pyłu. Wyglądało na to, że metalowe ogniwa wykonano z tego samego materiału co walce. Miały zaledwie parę centymetrów grubości i były sczepione ze sobą łącznikami o długości około trzy czwarte metra.

Zatrzymali się, by przyjrzeć się płycie łączącej, i spotkało ich miłe zaskoczenie w postaci odkrycia kilku rzeźbionych symboli. Wszystkie znaki były ze sobą połączone, jak w przypadku pisma odręcznego.

— Wreszcie — rzekł Beekman. — Chcę to zabrać ze sobą. Zabrać to do domu.

Było duże. Marcel próbował ocenić rozmiar w przybliżeniu i doszedł do wniosku, że nie przejdzie przez właz ładowni.

— Może by to przeciąć na pół.

— Jeśli będzie trzeba…

Unosili się nad artefaktem i spoglądali w kierunku, z którego przylecieli, wzdłuż gigantycznej linii prostej, w stronę Deepsix.

Pobrali próbki wszystkiego: skały, pyłu, sieci, płyty. Kiedy skończyli, wrócili do środka i zasiedli przy kawie. Była 2:00 w nocy czasu pokładowego, 27 listopada.

Beekman podsunął pomysł, że nieznani architekci odkryli technologię kwantową i winda orbitalna stała się zbędna. Marcel był tak zmęczony, że w ogóle go to nie obchodziło. Gdy już miał się udać do swojej kwatery, odezwał się Bill:

— *Kapitanie, mamy skany satelitarne nadmorskiego pasma gór.*

— Świetnie, Bill. — Zwykle chciałby je obejrzeć. Ale nie o tej porze. — Coś ciekawego?

— *Na jednym ze szczytów jest budowla o znacznych rozmiarach.*

Drzwi otworzyły się pod pierwszym dotknięciem lasera. Za nimi były ściany z wnękami i sklepiony sufit. Hutch omiotła światłem latarki pusty drewniany stół. Z wnęk spoglądały na nich mroczne postaci.

— Bingo — oznajmiła Toni.

Rzeźby. Było tam sześć wnęk i kiedyś stało w nich sześć rzeźb. Pięć leżało strzaskanych w pyle, który pokrywał podłogę. Jedna ocalała.

Ocalony przypominał jastrzębia. Stał jednak prosto i miał na sobie szatę i spodnie o kształcie pantalonów. Z szyi zwisał mu medalion o niedającym się odszyfrować kształcie. Całość przypominała Hutch Horusa.

— Sądzisz, że tak właśnie wyglądali? — spytała.

— Może — odparł Nightingale. — Pasuje. Małe stworzenia, które wyewoluowały z ptaków.

Wszystko inne, co mogło stać na półkach, przestało już istnieć.

Przesłała zdjęcia na pokład „Wendy". Spodziewała się, że Marcel się odezwie, ale na statku był wczesny ranek. W ramach działań dyplomatycznych wysłała zdjęcie MacAllisterowi, który jadł brunch w lądowniku „Gwiazdy".

Przyjął to raczej chłodno — przynajmniej tak pomyślała — ale podziękował i poprosił o informowanie go na bieżąco. W sposób, który sugerował, że uważa to za coś bez większego znaczenia.

Przypuszczała, że pomieszczenie było pracownią. Lub biblioteką.

Nightingale zgodził się z Hutch.

— Szkoda, że nie możemy odczytać ich zwojów. Istotnie. Te informacje byłyby bezcenne.

Pozostałe rzeźby najprawdopodobniej przedstawiały tego samego jastrzębia, tylko w różnych pozach. Pozbierali kawałki, zapakowali każdą z sześciu rzeźb osobno, przynajmniej w takim stopniu, w jakim było to możliwe, zanieśli je do lądownika i włożyli do ładowni.

Śnieg przestał padać i późnym rankiem ostatnie chmury znikły. MacAllister uznał, że pogoda jest odpowiednia do przeprowadzenia wywiadu.

Wetheral zaniósł do ładowni kilka przedmiotów wyglądających jak mebelki dla lalek, parę szafek, krzesło, stół. Wszystkie były w kiepskim stanie, ale nie miało to znaczenia.

TransGalactic jakoś sobie poradzi i będą wyglądały jak antyki po solidnej renowacji. Szczegóły nie miały znaczenia, dopóki pozostał choć fragment oryginału.

Wetheral podprowadził im nawet jeden oszczep. Miał metalowy grot i MacAllister zastanawiał się, czy rzeczywiście używano go w warunkach bojowych. Próbował wyobrazić sobie jastrzębie w spodniach, podfruwające i próbujące godzić się nawzajem tymi tyczkami do grochu. Jest tylko jedna rzecz bardziej absurdalna od cudzej cywilizacji: cudze poglądy religijne, pomyślał.

Casey przyniosła kilka składanych krzeseł, żeby mogli usiąść na zewnątrz podczas wywiadu, z wieżą w tle. Albo może nawet w samej wieży.

— Atmosfera nie jest zbyt sprzyjająca — odparł. — Nie chcemy być na zewnątrz. Ani na śniegu, ani w budynku.

— Dlaczego?

— Bo wygląda, jakby było zimno, Casey.

— Widzów nie będzie to obchodziło.

— Jeśli będziemy wyglądać, jakby było nam zimno, widzowie nie będą mogli skupić się na rozmowie.

— Żartuje pan.

— Mówię całkiem poważnie.

— Przecież będą wiedzieli, że jesteśmy w e-skafandrach.

— Co oni tam wiedzą o e-skafandrach? Tyle co z symulacji. Zobaczą śnieg, zobaczą ciebie i mnie siedzących w koszulkach bez rękawów. Nie zobaczą e-skafandrów. To nie będzie wyglądało na przytulne miejsce.

— A ma tak wyglądać?

— Oczywiście. Westchnęła.

— Dobrze. W takim razie co robimy? Siedzimy w lądowniku?

— W rzeczy samej. Trochę go podpicujemy, ale nie za bardzo.

Obdarzyła go pobłażliwym uśmiechem i wiedział, co sobie pomyślała. Byli za daleko od wieży. Gorzej, wieża była częściowo ukryta za innym statkiem.

— Poproszę Wetherala, żeby nas przemieścił bliżej.

— Mam lepszy pomysł — rzekł MacAllister. Dwie kobiety, Hutchins i Toni „Jak jej tam", niosły w stronę swojego statku stół. Porozmyślał chwilę na temat Hutchins i doszedł do wniosku, że jej problemem jest brak poczucia humoru. Nie była na pewno kobietą, z którą chciałoby się przebywać dłużej. Traktowała samą siebie zbyt serio, nie zdając sobie sprawy z tego, że jest nikim.

Stół był wielki i widać było, że się męczą. Przeprosił, wyszedł z pojazdu, podszedł i wspaniałomyślnie spytał, czy może jakoś pomóc. Hutch spojrzała na niego podejrzliwie.

— Tak — odparła w końcu. — Jeśli ma pan ochotę.

Stół był prostokątny, tak stary, że trudno było określić materiał, z którego go wykonano. Był duży w porównaniu z innymi meblami, prawdopodobnie mogło przy nim zasiąść dwunastu tubylców. Po bokach wyrzeźbiono dekoracyjne figury geometryczne, które być może miały przypominać liście i kwiaty.

Casey dołączyła do grupy i zaoferowała pomoc.

Ładownia była tak wypełniona, że zaczęli się zastanawiać, czy stół w ogóle się tam zmieści, ale po przestawieniu kilku rzeczy udało się go wcisnąć.

— Dzięki — rzekła Hutchins. — Okazał się cięższy, niż myślałam.

— Cieszę się, że mogłem pomóc.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

— Chce mnie pan o coś poprosić?

Nie jest tak całkiem głupia, pomyślał.

— Istotnie, chciałem zapytać, czy może mi pani w czymś pomóc. Casey i ja chcemy zarejestrować wywiad. Zastanawiałem się, czy moglibyśmy użyć waszego lądownika.

— W jaki sposób? — Spojrzała na niego, po czym rzuciła okiem na wypełnioną ładownię w sposób, który sugerował, że wcale jej się to nie podoba. — Co pan ma na myśli?

— Chcemy tam po prostu usiąść i porozmawiać. Jest tam ciepło i nie ma śniegu, ale jest coś z atmosfery wykopalisk. I doskonały widok na wieżę.

— Ale lądownika nie można zamknąć.

Domyślił się, że chodzi jej o to, iż nie można szczelnie zamknąć kabiny i wypełnić jej powietrzem.

— Nie szkodzi. Widzowie niczego nie zauważą.

Wzruszyła ramionami.

— Mogę wam udostępnić lądownik na godzinę. Potem potrzebujemy go z powrotem.

— To nam wystarczy. Dziękuję bardzo.

Odwróciła się. Co za śmieszna kobieta.

Weszli do kabiny. Casey wyjęła łącznik, przypięła do niego mikroskaner, postawiła go na tacy i wycelowała w swojego rozmówcę. W strategicznych miejscach ustawiła dwa inne.

Z tyłu kabiny znajdowało się trochę artefaktów, które dodatkowo tworzyły klimat. MacAllister usadowił się tak, by za nim znalazł się stojak na broń, a przez okno widać było wieżę. Casey przesuwała przedmioty tak, by nie przeszkadzały w ujęciach pod różnymi kątami.

Coś dużego i ciemnego wyłoniło się z drzew na zachodzie, zatoczyło krzywe koło i znikło. Dziwne stworzenie, czymkolwiek było. *Tak,* pomyślał, *niech przyjdzie Armageddon na ten zimny świat i wszystko, co na nim żyje.*

Hutch odwróciła się od MacAllistera i stała w drzwiach wieży, rozmawiając z Nathingale'em, gdy włączył się Chiang.

— Hutch — oznajmił — chyba mamy coś jeszcze.

— Co? — spytała. — Co takiego?

— Wygląda jak inskrypcja. Jest w kawałkach, ale to jakiś rodzaj pisma. Przebiliśmy się też do otwartego korytarza.

— Gdzie jesteście?

— Na tyłach biblioteki.

— Już tam idę.

Zeszła po schodach i weszła to tunelu, minęła zbrojownię i szła dalej, aż zobaczyła światła. Toni i Chiang oglądali ścianę pokrytą symbolami.

Toni podniosła wzrok, pomachała i odsunęła się, by Hutch mogła wszystko wygodnie zobaczyć. Duża część ściany osypała się i na ziemi leżało kilka dużych fragmentów. Była jednak pokryta rzędami rzeźbionych znaków, z których kształt większości był wyraźnie widoczny.

— Cudne — rzekła Hutch.

Nie były to piktogramy i liczba poszczególnych znaków była ograniczona, co sugerowało, że istotnie mają do czynienia z alfabetem. Poza tym tekst był podzielony na części.

Akapity.

Pismo było na swój sposób piękne. Przypomniało arabskie, miało krzywizny i jakąś płynność.

— Zrobiliście zdjęcia?

Toni poklepała mikroskaner.

— Mamy wszystko.

Kilka elementów pisma, na samej górze, było zaznaczonych wyraźniej od pozostałej części tekstu.

— To mogą być imiona — podsunął Chiang.

— Może. Być może to jakaś inskrypcja pamiątkowa. Upamiętniająca bohaterów. Byli tacy a tacy i robili to i to.

— Naprawdę tak sądzisz? — spytała Toni.

— Kto wie? — odparła Hutch. — To może być cokolwiek.

Światło latarki Toni padło na jakiś kawałek ceramiki.

— Przydałoby się więcej czasu, żeby trochę pokopać — rzekła Hutch.

I dokopać się do miasta, odkryć, jakich narzędzi używały te istoty, odkopać ich domy, znaleźć jakieś wizerunki. Może znaleźć odpowiedź na takie podstawowe pytania jak to, czy korzystali ze zwierząt pociągowych, jak długo żyli, jakich bogów czcili.

— Dobrze — dodała. — Zabierzmy to na górę, a potem wrócimy i zobaczymy, co jeszcze mamy.

Wycięli środkową część ściany. Chiang próbował ją podnieść, ale okazała się za ciężka, by nią manewrować w ciasnym pomieszczeniu.

— Zostawmy to na razie — zaproponowała Hutch. — Potem coś wymyślimy.

Skinął głową, podniósł kilka kawałków i ruszył z powrotem. Toni uniosła jeszcze dwa, więc Hutch pozostało zebranie mniejszych kawałków.

Nightingale stał przy wejściu do wieży i próbował myśleć o czymś innym. Nie mógł jednak powstrzymać się przed spoglądaniem co chwila na lądownik „Wildside", gdzie MacAllister zasiadał, przybrawszy oficjalną postawę, gestykulując i wygłaszając mowy. Nagle odwrócił się w fotelu i spojrzał w jego kierunku. Wstał, przeszedł przez kabinę, zszedł na dół i ruszył ku niemu. Nightingale przygotował się wewnętrznie do walki.

— Panie Nightingale — rzekł dziennikarz, gdy podszedł bliżej — czy mógłby pan coś dla nas zrobić?

Nightingale obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

— Czego pan chce?

— Chcemy, żeby cały ten teren posłużył nam za tło. Czy mógłby pan nie wychodzić? To lepiej wygląda, jak nie widać w tle żadnych ludzi.

Casey znów włączyła nagrywanie, uśmiechnęła się nerwowo i wróciła do wywiadu.

— Panie MacAllister, za tydzień planety Deepsix już nie będzie. Jest zimna i pusta, a ta wieża, którą widać za panem, jest najprawdopodobniej jedynym budynkiem, jaki pozostał. Co pana sprowadza w to wymarłe miejsce?

— Niezdrowa ciekawość.

— Serio pytam.

— Nigdy nie odpowiadałem bardziej serio. Po co ktokolwiek miałby tu przylatywać? Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało ponuro, ale strata jest jedyną rzeczą, jaka jest wszechobecna w naszym życiu. Tracimy rodziców, przyjaciół, krewnych. Tracimy miejsce, w którym się wychowaliśmy, i tracimy całe kręgi znajomych. Spędzamy nieprzyzwoite ilości czasu na zastanawianiu się, co się stało z naszymi byłymi nauczycielami, kochankami i harcmistrzami.

— A tu tracimy całą planetę. To coś absolutnie niespotykanego w ludzkim doświadczeniu. Cała planeta, o której teraz wiemy, że dała początek inteligentnemu życiu, i na której jakaś forma życia nadal trwa, przestanie istnieć. Całkowicie i ostatecznie. Jeszcze kilka dni i pozostanie z niej tylko to, co zabierzemy ze sobą.

Pokiwała głową, dając mu do zrozumienia — co i tak wiedział — że to jest dobre.

— Miał pan sposobność odwiedzić dziś wieżę. Podzieli się pan z nami wrażeniami? Co jest w niej istotnego, pana zdaniem?

MacAllister spojrzał z namysłem w kierunku budowli.

— Wiemy, że ten, kto ją zbudował, zostawił tam teleskop, więc można powiedzieć, że oni także pragnęli gwiazd.

— Ale już ich nie ma, Casey. Pewnie mieli swoje własne wersje Homera, Mojżesza, Jezusa i Szekspira, Newtona i Quirta. Widzieliśmy dmuchawki, wiemy też, że otaczali miasta murami, zakładamy więc, że toczyli wojny. Musieli prowadzić kampanie, jak Aleksander Wielki, Napoleon i Nelson, musieli doświadczyć wojen domowych. A teraz wszystko, co było dla nich ważne, zaginie na zawsze. To katastrofa w pełnym znaczeniu tego słowa. I sądzę, że warto było tu przylecieć, żeby ją zobaczyć. Prawda?

— Zapewne ma pan rację, panie MacAllister. Nie sądzi pan, że coś takiego mogłoby też przytrafić się nam?

Zaśmiał się.

— Bardzo bym się z tego cieszył.

— To oczywiście żart.

— Chciałbym wierzyć, że kiedy nadejdzie na nas pora, odejdziemy z takim wdziękiem jak mieszkańcy tego świata. Te dmuchawki — niczego więcej nie musimy o nich wiedzieć. Byli bez wątpienia równie perfidni, przebiegli, kłamliwi i głupi jak nasi bracia i siostry. Ale to już bez znaczenia. Katastrofa przydaje im dostojeństwa, na jakie nigdy by nie zasłużyli w inny sposób. Na swoim pogrzebie każdy wygląda dobrze.

— Nie wiemy nawet dokładnie, jak wyglądali. Więc zapamiętamy ich z aureolą nad głowami. Będziemy mówić o mieszkańcach Maleivy III szeptem, z wielkim szacunkiem. Pewnie jakiś dureń z Kongresu albo z rządu wymyśli, że należy postawić im pomnik. A tymczasem jedyne, co o nich wiemy z całą pewnością, to fakt, że odeszli w

niepamięć i nie dali się na tym złapać.

Nightingale nie mógł sobie przypomnieć, żeby w całym swoim życiu kogokolwiek nienawidził. Poza MacAllisterem. Kiedy dziennikarz poprosił go o schowanie się w wieży, Nightingale usiłował rozpaczliwie wymyślić jakąś ciętą ripostę, która przekłułaby ten balon samozadowolenia.

Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Mógł rzucić „ty bufonie", „pozerze", ale MacAllister strzepnąłby to z siebie jak natrętną muchę.

Pilot lądownika „Gwiazdy" przeszedł koło niego z kolejnym naręczem patyków.

— Krzesło — powiedział.

— W porządku.

— Hutch powiedziała, że mogę je zabrać.

— W porządku.

Ostatecznie podporządkował się pokornie żądaniu i trzymał się z dala od zasięgu skanera. Niestety, z tego powodu nie mógł właściwie wykonywać swego zadania, bo schowany we wnętrzu wieży nie widział dokładnie całego przedpola, nie widział też kępy drzew, z której wyłonił się dwunogi kot. Wychodził więc co kilka minut w ramach aktu nieposłuszeństwa, trochę spacerował, po czym chował się w środku.

Przysłuchiwał się rozmowom w tunelach. Toni, wlokąc kawałki muru z inskrypcjami, ogłosiła, że znalazła monetę.

— Jaką? — spytał Nightingale. — Co na niej jest?

Stał na zewnątrz, patrząc na drzewa. I na Wetherala.

— Momencik — powiedziała.

A gdy tak czekał, grunt się poruszył.

Usunął się pod nim. MacAllister i kobieta w lądowniku przestali rozmawiać i odwrócili się, gapiąc się na niego. Wetheral zatrzymał się w połowie drogi między wieżą a własnym lądownikiem i stał tak, z krzesłem nienaturalnie uniesionym nad głową.

Ziemia drgnęła znowu, rzucając Nightingale'a płasko na śnieg. Usłyszał w komunikatorze okrzyki przerażenia i zobaczył, jak lądownik „Wildside" zaczyna się pochylać w kierunku jednej z gąsienic, aż ta całkiem się zapadła. Ziemia znów zadygotała, tym razem krótko. Ziemia i niebo wyglądały, jakby na coś czekały. Wiedział, że będą następne: doskonale wiedział, co będzie dalej.

Przyszło mu do głowy, żeby skryć się w wieży. Ale to byłoby głupie. *Kamienie nad głową?* Oddalił się więc od budowli, ale udało mu się zrobić zaledwie kilka kroków, kiedy nastąpił kolejny wstrząs. Tym razem duży. Nightingale znów upadł. Przez krajobraz przebiegła fala. Śnieg załamał się pod nogami Wetherala. Pilot próbował biec, w

jakimś absurdalnym geście nadał trzymając krzesło. Ziemia rozstąpiła się i pochłonęła go. Po prostu znikł. Jego lądownik przechylił się, po czym osunął się do dziury.

Wszystko to stało się w absolutnej ciszy. Jeśli Wetheral protestował, krzyczał, wzywał pomocy — nie było go słychać, pewnie miał radio przełączone na jakiś inny kanał. Dopiero po chwili do uszu Nightingale'a dotarł ryk, jakby ocean uderzył w skalisty ląd, a ziemia nadal się trzęsła. Grunt zakołysał się i uspokoił. Po czym znów się zatrząsł. Potężny blok kamienia upadł zaledwie parę metrów od niego. Spojrzał w górę i zobaczył, że blok oderwał się z dachu. Wieża przechyliła się na bok.

Dziura, w którą wpadł Wetheral wraz z lądownikiem, powiększyła się. Rozszerzyła. Stawała się rozpadliną.

MacAllister siedział w lądowniku „Wildside", gapiąc się na niego, a może na wieżę, szeroko otwartymi oczami. *A teraz,* pomyślał Nightingale, *zobaczymy, jak sobie z tym poradzisz.*

Włączył się Marcel, domagając się informacji na temat tego, co się stało. Chiang poinformował, że ściany się walą. Z wieży wydostała się chmura pyłu. Hutch wołała na kanale ogólnym, nakazując wszystkim wyjść na zewnątrz.

Kellie, która była na jednym z wyższych poziomów, wychyliła się przez okno, zobaczyła go i wyskoczyła. Lot nie był krótki, ale najwyraźniej nic jej się nie stało.

— A pozostali już wyszli? — spytała.

Hutch była nadal na kanale, coś mówiła. Potrzebował chwili, żeby sobie wszystko uporządkować.

— Randy, jesteś tam?

— Jestem — odparł. — Jestem z Kellie.

Chiang pojawił się w otworze, chwiejąc się na nogach.

— Tutaj! — zawołała Kellie.

Nightingale kątem oka dostrzegł lądownik, który wystartował i znajdował się w powietrzu, próbując uciec przed wstrząsem.

— MacAllister ukradł nam lądownik — zameldował.

— Potem o tym porozmawiamy. Gdzie Toni?

— Nie wiem. Chyba w środku.

— A Chiang?

— Chiang jest tu z nami.

— Toni? — zawołała Hutch.

Cisza.

— Toni!

Bez odpowiedzi.

— Nie ma jej tam z tobą na dole? — spytał Chiang.

— Szła do góry.

Nightingale został znów rzucony na ziemię i w tej samej chwili

gdzieś daleko usłyszał wybuch. Hutch nadal wywoływała Toni.

Przemieszczając się tunelem z artefaktami, Toni dość dokładnie zdawała sobie sprawę z masy skały, ziemi i lodu, jaką miała nad głową. Gdyby dano jej wybór, wolałaby cały czas pełnić wartę, najchętniej na samej górze.

Poruszała się na rękach i kolanach, z kamiennymi płytami umocowanymi w pakunku na ramionach, rozmyślając o Scolarim. Był teraz sam na pokładzie „Wildside" z Embry. Nie miała powodów do zazdrości, ale poczuła jakieś ukłucie.

Trudno było się łudzić, że przez ostatnich parę nocy nie wylądowali razem w łóżku.

Próbowała właśnie ustalić, w jakim stopniu Hutch jest odpowiedzialna za tę stratę, gdy nastąpił wstrząs.

Podłoże się zatrzęsło. Pył zaczął się na nią osypywać, pomieszczenie zapadało się. Belka spadła tuż przed nią. Wszystko nadal się trzęsło; Toni upadła na brzuch i osłoniła głowę rękami. Latarka zgasła. Próbowała czołgać się wzdłuż leżącej belki, ale pomieszczenie nadal poruszało się, przekrzywiało, a gdzieś nad nią rozległo się upiorne zgrzytanie. Sufit sypał się, zgrzytał i piszczał. Coś trzasnęło, potężnie i głośno, jak złamane drzewo. Albo kręgosłup.

Spadło na nią coś ciężkiego, wypychając jej powietrze z płuc, przygniatając ją do podłoża. Ogarnęła ją ciemność, głębsza i czarniejsza niż w komnacie. Nie mogła się ruszyć, nie mogła oddychać, nie mogła nikogo zawołać.

Gdzieś usłyszała głos. To Hutch, pomyślała, ale nie była w stanie rozróżnić słów.

W ostatniej chwili pomyślała, że wszystkie jej plany legły w gruzach: jej nowa praca, Scolari, powrót do domu, dziecko, które chciała kiedyś urodzić — nic z tego się nie wydarzy.

A ona nawet nie wydostanie się z tej przeklętej planety.

Hutch pełzała w ciemnościach, kiedy włączył się Nightingale.

— Chyba mam złe wieści.

— Co się stało? — spytała, sztywniejąc.

MacAllister patrzył z przerażeniem, jak najpierw Wetheral, a potem lądownik „Gwiazdy" znikają w rozpadlinie, która nadal się poszerza, niczym para ogromnych szczęk. Wetheral zamarł, nie wiedząc, w którą stronę uciekać, pośliznął się, upadł na kolana, a potem rozpadlina podeszła go jak tygrys jelenia, gdy tak bezsensownie machał tymi żałosnymi patykami, jakby w ten sposób chciał się obronić. Nadal nimi machał, gdy upadł, a rozpadlina pożarła go, by po chwili pochłonąć także lądownik.

Ich własny pojazd trząsł się, jakby miał rozpaść się na kawałki. MacAllister spojrzał na Casey. Miała oczy szeroko otwarte ze strachu.

Grunt pod nimi rozdarł się, a lądownik zaczął się zapadać. Właz, który był tylko przymknięty, otworzył się i MacAllister spojrzał w przepaść.

Musimy stąd uciekać. Zginiemy, jeśli tu zostaniemy. Ale jedyne wyjście było przez właz, a ten zwieszał się nad rozpadliną.

Rozejrzał się za czymś, czym mógłby wybić okno. Casey domyśliła się, co chce zrobić, i potrząsnęła głową.

— Nie da się ich rozbić — krzyknęła.

Drzwi z tyłu prowadziły do ładowni, ale w nich MacAllister by się nie zmieścił. Lądownik przechylał się coraz bardziej. Zsuwali się w szczelinę. MacAllister oparł się na prawej ręce, w przeciwnym kierunku, jakby to miało spowolnić proces.

— Mój Boże, Casey — jęknął drżącym głosem. — Zabierz nas stąd.

— Ja? — pobladła. — A co mam robić?

— Mówiłaś, że potrafisz latać czymś takim.

— Powiedziałam, że mam jakieś doświadczenie z lądownikami. A to jest autobus!

— Spróbuj. Spróbuj, na litość boską…

Wstała i usiadła w fotelu pilota, starając się nie patrzeć na właz.

— Użyj automatycznego pilota — podpowiadał MacAllister. — Po prostu każ mu wystartować.

— On nie wie, kim jestem — odparła. — Trzeba go przeprogramować, żeby na mnie reagował.

— To przeprogramuj. Cały czas się osuwali.

— To może potrwać. — Wyrzuciła z siebie kilka słów.

— Casey…

— Wiem. Myśli pan, że nie wiem? — Pochyliła się nad panelem sterowania.

Trzymał się mocno, usiłując odepchnąć się jak najdalej od śluzy.

— Zrób coś!

— Muszę wymyślić, jak wyłączyć autopilota.

— Może to coś tam w górze. — Wskazał na żółty przełącznik.

— Byłoby znacznie lepiej, gdyby pan tyle nie gadał. Ja spróbuję… — Nacisnęła przycisk, najwyraźniej znalazłszy to, czego szukała.

MacAllister usłyszał kilka elektronicznych piknięć, po czym poczuł delikatne drżenie zasilania gdzieś pod fotelem. Uprząż zamknęła się wokół niego. Złapał mocno poręcze fotela i zamknął oczy.

Fotel uniósł się i wyglądało na to, że cały pojazd zaczął wyrównywać pozycję. MacAllister zaciskał mocno powieki, więc nie

widział, co się dzieje, a bał się spojrzeć. Żałował swojej głupoty, która sprawiła, że zachciało mu się przylecieć do tego przeklętego miejsca. Sprzedał życie za stertę śmieci.

Ciążenie znikło, a lądownik zaczął się wznosić.

— Dobrze, Casey — powiedział MacAllister, doskonale wiedząc, że należy chwalić ludzi, którzy robią właśnie coś, czego bardzo chcemy. Jakby się bał, że Casey roztrzaska statek, jeśli on tego nie zrobi.

Powoli otworzył oczy. Ciągnęła za wolant, cofając go, powoli, ostrożnie, i widział, że jest równie przerażona jak on. Ziemia była parę metrów pod nimi i oddalała się. Dzięki Bogu.

Unosili się nad rozpadliną. Wyglądało na to, że nadal się poszerza. Sterty ziemi i śniegu wpadały do środka.

Pojazd nagle zanurkował, a Casey walczyła o odzyskanie nad nim kontroli.

— Świetnie sobie radzisz — powtarzał MacAllister. — Wręcz wspaniale.

— Niech pan się wreszcie zamknie — warknęła.

Tak bardzo chciał, żeby w jej głosie brzmiało więcej pewności siebie. Chciał, żeby poleciała na północ, gdzie było dużo miejsca, całe mnóstwo miejsca, nad spokojną równinę, i wylądowała. To wydawało się dość łatwe. Najgorszą część miała za sobą. Mimo to walczyła z wolantem, a silnik wydawał dziwne odgłosy; pędzili po niebie, a Casey nagłe zwolniła i uderzył w nich podmuch wiatru.

— Coś nie tak? — spytał MacAllister.

Pojazd podskoczył.

— Antygrawitacja — odparła przez zaciśnięte zęby. — To inny system niż ten, na którym mnie uczono.

— Tylko spokojnie.

— Muszę użyć silników sterujących — powiedziała.

— A potrafisz?

— Jeśli tylko wymyślę, jak je wycelować. MacAllister zauważył kątem oka klęczącego w śniegu i patrzącego w ich stronę Nightingale'a. *Miał szczęście, drań,* pomyślał. *Wyciągnął lepszą kartę. Rozpadlina otworzyła się pod nami, nie pod nim. W końcu przeżywają nie najlepiej przystosowani, tylko szczęściarze. To wyjaśnia, jak naprawdę działa teoria Darwina.*

W tej chwili zawyły silniki sterujące. Fotel uniósł się i uderzył MacAllistera w plecy. Grunt pod nimi rozmazał się, a Casey wrzasnęła i zaczęła rozpaczliwie walić rękami w konsolę. Uznał, że jego myśl o Darwinie będzie ostatnią, i przygotował się na nieuniknione. Zginie w wypadku statku kosmicznego na dalekiej planecie. Ale przynajmniej nie zasypany w rozpadlinie.

Pędzili w stronę wzgórz na północnym zachodzie, a on

uświadomił sobie, że nie będzie możliwe zabranie jego ciała na Ziemię, by go właściwie pochować. Przecież ta szalona kobieta zaraz roztrzaska lądownik. A nikt z własnej woli nie przyleci tu z orbity, żeby zabrać szczątki.

Lądownik skręcał, a nie wyglądało na to, żeby Casey wiedziała, co robi. Wycie silników sterujących wypełniło kabinę, po czym nagle ucichło. Pewnie znalazła jakiś wyłącznik, a teraz szuka czegoś, co służy za hamulec.

Wzgórza zbliżały się szybko, a jedyne dźwięki, jakie było słychać, to uderzenia wiatru o kadłub i rozpaczliwe krzyki pilotki.

— No dalej, dawaj, skurwielu.

Szarpnęła wolantem. Wzgórza znikły pod nimi. Grunt był znów płaski. Pojazd, najwyraźniej wyczerpawszy energię, po wyłączeniu antygrawitacji zaczął opadać.

— Cholera — mruknęła Casey.

MacAllister chwycił mocno poręcze fotela i uderzyli w ziemię. Siła uderzenia złapała go za kark, odrzuciła mu głowę go tyłu, wykręciła kręgosłup. Ale na szczęście wytrzymał. Casey zwisła w uprzęży. Zaczął odpinać swoją, usłyszał z tyłu wybuch i poczuł dym.

Wypełzł z fotela i zauważył, że nie zamknęli włazu. No i dobrze, nie będzie teraz musiał go otwierać.

Fotele były zgniecione razem, więc wydobycie Casey okazało się niełatwe. Była zalana krwią, miała odrzuconą do tyłu głowę. Na jej twarzy zaczynał wykwitać potężny siniak, oczy miała wywrócone do tyłu. Kolejna eksplozja wstrząsnęła lądownikiem. Płomienie zaczęły lizać szyby.

Wydobył ją z uprzęży i wyciągnął przez właz, częściowo niosąc, częściowo wlokąc. Ledwo zdołali się oddalić, lądownik eksplodował kulą ognia.

Nightingale obserwował słup dymu unoszący się zza wzgórz na północnym zachodzie. Nie docierało do niego, co się tak naprawdę stało, aż usłyszał w słuchawkach głos Kellie:

— Marcelu, chyba straciliśmy oba lądowniki.

X

Wiara ma swoją cenę. Kiedy nieszczęście spada na prawdziwie wierzącego, zakłada on, że zrobił coś, co zasługuje na karę, ale nie jest do końca pewien, co to mogłoby być. Realista, zdający sobie sprawę z tego, że żyje we wszechświecie, w którym rządzi darwinizm, po prostu cieszy się, że dożył następnego zachodu słońca.

Gregory MacAllister, „Przedmowa" (James Clark, Dzieła wszystkie).

Czas do rozpadu (prognoza): 255 godzin

— Oba lądowniki? — Marcel był przerażony. — Kiedy?

— W tej chwili.

— Na litość boską, Kellie, jak to się mogło stać?

— Lądownik „Gwiazdy" wpadł do rozpadliny. Nasz poleciał za wzgórza i eksplodował. Randy i ja właśnie tam idziemy. Widać dużo dymu.

— Kto był w lądowniku?

— MacAllister i ta kobieta, z którą przyleciał. Pewnie próbowali uciec, ale najwyraźniej to z nich, które pilotowało, niespecjalnie wiedziało, co robi.

— Komuś jeszcze coś się stało?

— Ich pilot wpadł do rozpadliny. Pewnie nie żyje. Wpadł do tej samej dziury co lądownik.

Marcel gapił się z otwartymi ustami na obraz Billa, widoczny na głównym monitorze. Do tej pory nic się nie stało żadnemu z pasażerów obu statków Akademii, ale najwyraźniej ludziom z „Gwiazdy" nieźle się oberwało. Do licha, przede wszystkim co ci ludzie tam robili?

— Dobrze — powiedział. — Zawiadomię kapitana Nicholsona. I ściągnę tu jakiś inny lądownik. Informuj mnie, co się dzieje.

— Dobrze, Marcelu. Idziemy teraz na miejsce katastrofy. Marcel rozłączył się i potarł czoło.

— Bill — odezwał się — kto jest na tyle blisko, żeby dotrzeć tu na czas?

— *Sprawdzę* — odparła SI. — *Ktoś powinien być.*

Skulona w tunelu Hutch miała bardziej konkretny problem. Dach spadł i odciął ją od wyjścia. Implikacje tego, co usłyszała, były jednak dla niej przerażające.

— Oba? To rzeczywiście dobra wiadomość. — Oświetliła kamienie, krokwie i odłamki, które zagrodziły przejście. — Nie chciałabym dokładać się do waszych problemów, ale mnie samej też przydałaby się pomoc.

— Chiang powinien zaraz tu być.

Jedna osoba nie żyje. Może trzy albo cztery.

— Kellie — powiedziała — wywołaj Marcela i powiedz mu, co się stało. Będziemy potrzebowali jakiegoś lądownika.

— Już tak zrobiłam. Zajął się tym. Powiedział, żebyśmy się nie martwili.

— Aha. Zawsze się denerwuję, jak ludzie mi to mówią.

— Nie martw się.

— Hutch. — to Chiang. — Jak się czujesz?

— W porządku. Nic mi się nie stało.

— Mamy tu być wszyscy, dopóki cię nie wydostaniemy?

— Nie. Zostawcie tylko Chianga. Ale zobaczcie, co się da zrobić dla MacAllistera i tej kobiety. I jeszcze jedno, Kellie…

— Tak?

— Spróbujcie odzyskać lądownik. Chyba nie muszę wam mówić, jakie to ważne. — Przełączyła się na kanał Chianga. — Gdzie jesteś?

— W tym dalszym korytarzu, blisko zbrojowni.

— Nie widać nigdzie Toni?

— Jak dotąd nie.

Poczuła chłód.

— Zaczynam kopać — oznajmił Chiang.

— Tylko uważaj. Niewiele trzeba, żeby to wszystko się zawaliło.

— Dobrze.

— Ja zacznę z tego końca.

— To pewnie trochę potrwa.

— Nie spiesz się, Chiang. Nigdzie się nie wybieram. Usłyszała, jak włącza laser. Odłożyła lampę i zabrała się do pracy.

MacAllister nie miał pojęcia, co robić. Wyłączył e-skafander Casey i próbował ją ratować, ale najwyraźniej bez skutku. Trzydzieści metrów od nich leżał na śniegu lądownik, poczerniały, pognieciony, płonący, dymiący.

Zbadał miejsce, w którym się rozbili: płaskie, nagie wzgórza, kilka

drzew, jakieś krzaki. Czuł się straszliwie samotny. Gdzie była ta idiotka, która chciała tu wszystkim rządzić? Przydałaby się, a jakoś nie było jej nigdzie widać.

Zastanowił się, jakie były szanse wystąpienia trzęsienia ziemi akurat wtedy, gdy udzielał wywiadu, i nie po raz pierwszy doszedł do wniosku, że wszechświat jest naprawdę złośliwy.

Przecięli linię wzgórz, więc wieży nie było już widać. Siedział bezradnie, trzymając w ramionach ciało Casey, czując ciężar odpowiedzialności, zastanawiając się, jak mógł być tak głupi, żeby opuścić bezpieczną kajutę na pokładzie „Gwiazdy".

Poczuł olbrzymią ulgę, gdy zobaczył dwie postaci wynurzające się z wąwozu. Jedna z nich była kobietą imieniem Kellie. Drugą był Nightingale. Zatrzymali się i spojrzeli w jego stronę. Pomachał im. Odwzajemnili gest i ruszyli ku niemu, próbując iść jak najszybciej po głębokim śniegu.

— Panie MacAllister — usłyszał głos Kellie. — Nic się panu nie stało?

— Casey nie oddycha — odparł.

Podeszli do niego i Kellie opadła na śnieg. Zaczęła szukać bicia serca, potem pulsu.

— I jak? — spytał MacAllister.

Kellie potrząsnęła głową.

— Nic.

Zabrali się do pracy, na zmianę.

— Wygląda na to, że rozwaliliśmy wam lądownik — rzekł MacAllister.

— Co się stało? — spytał Nightingale. — Nie umie pan tym latać?

— To nie ja pilotowałem — odparł. — Casey. Ja nie umiem latać czymś takim.

— Co się stało?

— Casey nie miała doświadczenia z takim sprzętem. Był za duży. Albo coś takiego. — Spojrzał na jej poskręcane ciało. — Rodzice zafundowali jej tę podróż w prezencie urodzinowym.

Po chwili zrezygnowali. Kellie westchnęła i delikatnie położyła głowę Casey na śniegu, po czym podeszła do wraku lądownika. Okrążyła go kilka razy, po chwili usłyszeli, jak wali w coś po drugiej stronie.

— Co o tym sądzisz? — spytał ze zdenerwowaniem Nightingale.

Wyłoniła się zza ogona.

— Wrak. Ale zobaczę, co mi się uda z niego wyciągnąć. MacAllister próbował czytać w jej oczach, dostrzec, czy się martwi. Pokazywała jednak twarz pokerzysty.

— Może zawiadomimy kogoś, kto tym kieruje — podsunął.

— To już załatwione.

Był znużony, wyczerpany, przerażony. Ściągnął tu ze sobą dwie osoby i obie zginęły.

Przez lata MacAllister wyćwiczył w sobie umiejętność pozbywania się poczucia winy. Kiedyś napisał, że należy tak długo bić się z sumieniem, aż się podporządkuje, bo sumienie nie jest tak naprawdę częścią nas samych. To program, wpisany nam za młodu przez Kościół, rząd albo grupę społeczną mającą własne cele. Unikaj seksu. Szanuj autorytety. Czuj się odpowiedzialny za różne rzeczy, które się nie udały, ale na które nie miałeś wpływu.

Cóż, na trzęsienia ziemi stanowczo nie mam wpływu.

Na ekranie pojawiła się brodata twarz Billa z wyrazem zatroskania.

— *Tak, Marcelu, co mogę zrobić?*

— Poinformuj „Gwiazdę", w prywatnej wiadomości dla kapitana, że na stanowisku było trzęsienie ziemi. Poproś, żeby się ze mną skontaktował.

— *Zaraz się tym zajmę.*

— I powiedz mu, że ich lądownik się roztrzaskał. Spytaj, czy mają inny na pokładzie.

— *Marcelu, z danych w moje bazie wynika, że na pokładzie „Gwiazdy" jest tylko jeden lądownik.*

— Spytaj go tak czy inaczej. Może jest gdzieś błąd. A tymczasem przepytaj inne statki. Może ktoś znajduje się w odległości sześciu dni drogi. Ktoś z lądownikiem.

Większość statków nie miała lądowników. Zwykle nie było takiej potrzeby, porty posiadały wszelkie urządzenia zapewniające transport z orbity i na orbitę. Lądowniki zabierano tylko na loty na planety pogranicza, gdzie czasem konieczne było lądowanie, albo na statki wycieczkowe, kiedy umożliwiano turystom zwiedzanie jakichś dalekich miejsc.

Wszedł Beekman.

— Słyszałem — oznajmił. — Kellie i Chiangowi nic się nie stało?

— O ile mi wiadomo, nie. Musimy ściągnąć ich do domu. To koniec misji na planecie.

— Zgadzam się — przytaknął Beekman. Marcel był wściekły, sfrustrowany i znużony.

— Ile mamy czasu, żeby ich stamtąd wydobyć?

Beekman spojrzał na kalendarz.

— Powinni być dość bezpieczni do końca tygodnia. Potem można już tylko zgadywać.

Marcel próbował wywołać Hutch na prywatnym kanale, ale nie złapał nawet fali nośnej.

— Czy ona jest nadal w wieży? — spytał Beekman.

— Tak. Takie mam ostatnie wieści.

— *Marcelu* — to SI. — *Przepraszam, że wam przerywam, ale twoja wiadomość dotarła na pokład „Gwiazdy”. I znalazłem tylko jeden statek z lądownikiem, który jest w zasięgu. To „Athena Boardman”. Jego właścicielem jest…*

— Wiem, kto jest jego właścicielem — odparł Marcel. „Boardman” był częścią floty Kosmika. Sam kiedyś pilotował ten statek, kiedy pracował dla owej dotowanej przez rząd firmy terraformerskiej, na początku swojej kariery. — Jak daleko od nas są?

— *Mogą tu być za cztery dni. I mam wiadomość z „Gwiazdy”. Kapitan Nicholson chce z tobą rozmawiać na kanale kobaltowym.*

Szyfrowanym.

— Przełącz go, Bill.

— Kto zginął? — spytał Beekman. — Znamy nazwiska?

— Wiemy o dwóch. Pilot lądownika „Gwiazdy”. I ta młoda pasażerka. Może ktoś jeszcze. Na razie nie wiem. — Marcel pisał coś w notatniku. — Bill!

— *Tak, Marcelu.*

— Wyślij wiadomość o najwyższym priorytecie do „Boardmana”: „Wendy Jay” ogłasza alarm. Na powierzchni Deepsix są ludzie, którzy ucierpieli z powodu wydarzeń związanych ze zbliżającym się zderzeniem. Potrzebujemy pilnie lądownika i pomocy przy akcji ratunkowej. Czas nagli. Prosimy o natychmiastowe podjęcie działań. Clairveau. Standardowe zakończenie, podaj mu nasze współrzędne.

— *Dobrze, Marcelu. Przełączam kapitana Nicholsona.*

Marcel poprosił wszystkich, którzy przyszli z Beekmanem, o opuszczenie pomieszczenia, po czym zamknął drzwi i poprosił SI, by kontynuowała. Na ekranie pojawił się Nicholson.

— Kapitanie Clairveau — odezwał się. — Bardzo tragicznie to wygląda?

— Tragicznie — odparł Marcel.

Nicholson zauważył Beekmana i zawahał się.

— To profesor Beekman — rzekł Marcel. — Dyrektor projektu Morgan, wzór dyskrecji. Ktoś z jego ludzi jest na dole. I paru innych.

Nicholson pokiwał głową.

— Co się dokładnie stało?

Marcel opowiedział mu. Kapitan zbladł i zamknął oczy.

— Boże, dopomóż — mruknął i zamilkł na chwilę. — Proszę mi wybaczyć, ale czy powiedział pan, że oba lądowniki zostały zniszczone?

— Tak. I dlatego pytałem, czy nie ma pan przypadkiem jakiegoś w zapasie.

Trudno to sobie wyobrazić, ale Nicholson zbladł jeszcze bardziej.

— Więc pan go nie ma?

— W ogóle nie mieliśmy lądownika, kapitanie. Hutchins korzystała z tego z „Wildside”.

— Rozumiem. — Skinął głową i przez chwilę zdawało się, że trudno mu oddychać. Marcel pomyślał przez moment, że grozi mu zawał. — Dobrze — rzekł wreszcie kapitan. — My też nie mamy, więc będziemy musieli prosić o pomoc.

— Już to zrobiliśmy. „Boardman” jest zaledwie o parę dni stąd.

— Dzięki Bogu. — Zadrżał. — Da pan znać, jak sprawy stoją?

— Oczywiście.

— Hutch, znalazłem ją.

W jego głosie słychać było smutek i serce jej zamarło. Hutch siedziała pod ścianą, próbując złapać oddech. Robiło się duszno.

— Nie żyje — rzekł cicho. — Wygląda na to, że zginęła na miejscu. Chyba nie cierpiała.

Hutch zacisnęła powieki.

— Hutch, słyszysz mnie?

Wyłączyła nadajnik i włączyła go dopiero wtedy, gdy mogła zapanować nad głosem.

— Tak. — Długa cisza. — Możesz ją wydostać?

— Tak, potrzebuję paru minut. Dobrze się czujesz?

— Tak, nic mi nie jest.

— Kellie mówi, że próbowała się z tobą skontaktować.

— Sygnał nie dociera. Co się dzieje?

— Przełączę ją do ciebie. Jak Kellie skończy, Marcel chce zamienić parę słów.

Z głosu Kellie wyzierał strach.

— Ta pasażerka nie żyje. MacAllisterowi nic się nie stało.

— Co z lądownikiem?

— Wrak.

— Zero szans?

— Zero.

Trzy osoby nie żyją. A reszta utknęła. Mój Boże.

— Dobrze — rzekła. — Rozmawiamy o lądowniku „Wildside”, tak?

— Tak.

— A ten drugi? Ten, który wpadł do rozpadliny?

— Nie patrzyliśmy.

— Zobaczcie. Może będziemy mieli więcej szczęścia.

— Hutch — spytała Kellie — a co z tobą?

— Wszystko będzie grało, jak tylko zobaczę światło dnia. Wiesz o Toni?

— Chiang mi powiedział. Tak mi przykro.

— Wszystkim nam przykro.

Po chwili znów włączył się Chiang:

— Wyciągnąłem Toni i przebijam się przez twoją ścianę. Trzymaj się z daleka.

— Dobrze. Odsunęłam się.

— Przełączam Marcela.

— Dzięki.

Marcel usiłował brzmieć pocieszająco.

— Chiang mówi, że za parę minut cię wyciągnie. Nic ci się nie stało, prawda?

— Nie. — Rozejrzała się po rumowisku.

— „Boardman" jest w pobliżu. Powinien tu być za parę dni.

— Za parę dni? Nic lepszego nie wymyślimy?

— Nic. Przykro mi. Nic nie mamy. — Po tonie jego głosu domyśliła się, że i tak mają dużo szczęścia. — Trzymaj się tam, Hutch. Wyciągniemy was najszybciej, jak się da.

Włączył się Bill.

— *Mam dla pani pocztę. Chce pani odsłuchać?*

— Pewnie. — I tak nie miała nic lepszego do roboty. — Odtwórz.

— *Cześć, Priscilla. Tu Chanie Ito.*

Wyświetliła obraz na środku komnaty. Mężczyzna wyglądał jak uwielbiający swoją pracę poborca podatkowy. Uśmiechał się obłudnie i kogoś jej przypominał.

— *Pamiętasz mnie? Poznaliśmy się na przyjęciu urodzinowym cioci Ellen zeszłej wiosny. Może sobie przypomnisz: opowiadałaś mi, że kiedyś chciałabyś przeprowadzić się na Cape Cod. Właśnie wczoraj dowiedziałem się o fantastycznej okazji i od razu o tobie pomyślałem. Mamy na sprzedaż luksusowy dom nad morzem. Wiem, co sobie w tej chwili pomyślałaś, ale posłuchaj jeszcze przez chwilkę…*

Przełączyła na następną wiadomość.

— *Cześć, Priscilla.*

To jej matka. Piękna, promienna i jak zwykle nie w porę.

— Nie *mogę się już doczekać, kiedy wrócisz do domu. Byłoby świetnie, gdyby udało nam się wybrać na parę dni w góry. Tylko my, dziewczynki. Daj mi znać, to zarezerwuję domek.*

— *Wiem, że nie lubisz, jak zabieram ze sobą facetów, ale wujek Karl ostatnio przedstawił mi zupełnie niesamowitego młodego architekta. Moim zdaniem czeka go świetlana przyszłość…*

Spróbowała jeszcze raz.

— *Cześć, Hutch.*

Tym razem była to transmisja wyłącznie audio. Takie mniej kosztowały.

— *Wiem, że już minęło trochę czasu, odkąd rozmawialiśmy, i słyszałem, że byłaś na „Wildside", kiedy skierowano go na Deepsix.* — Ta wiadomość była od Franka Carsona, archeologa, z którym spędziła

dużo czasu w jednym z najciekawszych okresów jej życia. — *Wygląda na to, że znowu działasz. Zazdroszczę ci. Oddałbym wszystko, żeby tam być z tobą. My dalej kopiemy na Beta Pac i zaczęliśmy tłumaczenie z kilku lokalnych języków, ale pewnie cię to nic nie obchodzi. Chciałem ci tylko powiedzieć, że myślę o tobie. Szczęściara z ciebie.* Udało jej się uśmiechnąć.

— *Pani Hutchins.*

Znów tylko audio. Tym razem głęboki baryton.

— *Jak pani może pamięta, spotkaliśmy się podczas ostatniej konferencji Zjednoczonego Związku Pilotów. Nazywam się Harvey Hutchins, tak, nosimy to samo nazwisko i dlatego zwróciłem na panią uwagę. Ale do rzeczy. Jestem kierownikiem projektu w firmie Centami Transport. Szukamy doświadczonych pilotów. Wozimy zaopatrzenie i ludzi przez sieć. Mogę pani obiecać ciekawą pracę, wysoką premię za samo podpisanie umowy i szeroki wachlarz świadczeń dodatkowych. Te wakaty oczywiście nie będą czekały w nieskończoność, ale gdyby była pani zainteresowana…*

Młoda kobieta z przesłodzonym bostońskim akcentem:

— *Witam, pani Hutchins. Reprezentuję Komisję Finansowania Absolwentów Uniwersytetu Northwestern i chciałam także w tym roku prosić panią o pomoc…*

Było jeszcze kilka wiadomości, mniej lub bardziej bezosobowych, wszystkie od ludzi, którzy znali ją na tyle dobrze, by uniknąć filtrów odsiewających śmieci — które i tak rzadko działały.

Ani słowa od nielicznych mężczyzn w jej życiu. W takich chwilach zastanawiała się, czy jej urok całkiem ją zawiódł. Rozumiała jednak, że faceci nie palą się do związków z kobietą, której nigdy nie ma w domu. To było samotne życie. I może rezygnacja z niego nie była takim złym pomysłem. Wracaj do domu i zacznij żyć normalnie.

Słyszała, że Chiang się zbliża, i po chwili do tunelu wdarło się światło.

Pomogła mu zabrać ciało Toni i zanieść je do wieży. Te dwadzieścia minut, kiedy próbowali to zrobić, nieśli ją wąskimi korytarzami, męczyli się na tych irytujących, malutkich klatkach schodowych, było chyba najdłuższymi dwudziestoma minutami w jej życiu. E-skafander był włączony, więc ciało utrzymywało ciepło i wyglądało na żywe. Patrzyła na nią, wyobrażając sobie ukryte za powiekami oczy, spoglądające na nią oskarżycielsko. *Ty mnie tu przywiozłaś…*

Drżała, kiedy w końcu zanieśli ją na poziom gruntu, wynieśli na zewnątrz i położyli w słońcu.

MacAllister podniósł ciało Casey i ruszyli z powrotem. Kellie

przeszukała lądownik i zabrała wszystko, co uznała za przydatnie: trochę ubrań, jakieś przekąski, dodatkowy laser. Gotowe posiłki spłonęły, więc na razie będą musieli przetrwać na pączkach.

Próbowali podzielić się obciążeniem, ale tylko MacAllister był na tyle silny, żeby podnieść Casey. Reszta próbowała mu czasem pomagać, ale potykali się, więc jego cierpliwość się wyczerpała i uparł się, że będzie ją niósł sam. Robili częste przerwy, starając się poruszać w jego tempie. Chiang spotkał ich w połowie drogi i odtąd nieśli ją na zmianę.

Kiedy wrócili do wieży, znaleźli Hutch siedzącą przy Toni z kamiennym wyrazem twarzy. Położyli przy niej Casey.

— A co z lądownikiem „Gwiazdy"? — spytała Kellie. — Patrzyłaś na niego?

Skinęła głową. Kellie nie doszukała się w tym geście nadziei. Po minucie podeszła do rozpadliny.

Lądownik nie spadł daleko. Jakieś piętnaście metrów. Zaklinował się między skalnymi ścianami, nad długim zboczem kończącym się pokrytym śniegiem dnem. Nigdzie nie było widać śladu Wetherala.

Eliot Penkavic był kapitanem „Atheny Boardman", lecącej na Quraquę z ładunkiem luster słonecznych, próbek DNA jedenastu tysięcy gatunków ryb, ptaków, roślin, traw i drzew oraz ponad trzydziestu tysięcy gatunków owadów. List przewozowy zawierał mnóstwo sprzętu przeznaczonego do terraformowania Quaraquy. Statek wiózł również sześćdziesięciu czterech ekspertów i techników różnych specjalności. Znajdowali się o trzy dni lotu od celu, kiedy nadeszło wezwanie alarmowe z „Wendy Jay".

Nie miał ochoty na dodatkową wycieczkę, ale zasady postępowania i przepisy prawa były jednoznaczne. Jeśli ktoś ogłosi alarm, jeśli czyjeś życie znajdzie się w niebezpieczeństwie, każdy statek musiał udzielić pomocy. Po kilku tygodniach na pokładzie „Boardmana" nikt nie będzie zadowolony z przedłużenia podróży o jakieś dziewięć dni. Zwłaszcza Ian Helm, który leciał na planetę jako nowy dyrektor operacyjny.

Penkavic sprawdził swoją bazę danych w poszukiwaniu innego statku, który mógłby przyjść z pomocą grupie Akademii. Było kilka w okolicy, ale żaden nie miał lądownika. Tylko „Boardman".

Co za pech.

Jakim cudem te przygłupy wpakowały się w aż takie tarapaty?

Napisał odpowiedź, po czym odczytał ją SI:

— Siedźcie grzecznie. Kawaleria nadciąga. „Boardman" będzie tam za cztery dni i sześć godzin. Penkavic.

— Sądzę, że to ładnie podsumowuje sprawę, proszę pana — rzekła SI.

— Ja też. Wyślij to, Eve.

— Gotowe, kapitanie.

— Dobrze. — Penkavic wstał z fotela. — A teraz najtrudniejsza rzecz.

— *Wyjaśnienie wszystkiego doktorowi Helmowi?*

— W rzeczy samej.

XI

Dobre życie jest jak spacer po linie bez siatki. To kwestia znalezienia właściwego miejsca i balansowania w nim na przekór programowaniu wpojonemu przez społeczeństwo. Jesteśmy otoczeni szczątkami tych, którzy spadli, reformatorami, uczciwymi, różnymi bojownikami i wierzącymi, którzy sądzą, że reszta potrzebuje ich pomocy.

Gregory MacAllister „Najlepsza zemsta" (Zagubiony w bazie księżycowej)

Czas do rozpadu (prognoza): 252 godziny

— *Marcelu* — odezwała się SI — *mamy odpowiedź od „Boardmana". Mówią, że zrozumieli, na czym polega problem, i są w drodze.*

Marcel odetchnął z ulgą.

— *Przewidywany przylot za cztery dni i sześć godzin.*

Poinformował Hutch, która próbowała nie dawać po sobie poznać, że wstrzymywała oddech. Potem wywołał „Gwiazdę". Nicholson, który był szczęśliwy, gdy dowiedział się, że MacAllister nadal żyje, uniósł pięść w rzadko spotykanym geście podziękowania za dobre nowiny. Poinformował Beekmana, który mógł przekazać to swoim ludziom. Zrobiwszy to, przekazał informacje dwójce pasażerów czekających na pokładzie „Wildside". Rozmawiał z kobietą, która odparła, że bardzo się cieszy z tego, iż pomoc jest w drodze, że mają masę szczęścia, i że ona od początku była przeciwna tej misji. Dała mu do zrozumienia, że jest przynajmniej w części odpowiedzialny za tę sytuację, która wymknęła się spod kontroli.

Kapitan Nicholson sięgnął po środek uspokajający i patrzył, jak ekran ścienny zmienia się, by wyświetlić hologram z leśnym krajobrazem. Bogu niech będą dzięki, że przynajmniej nikt już więcej nie zginie. Maleiva leżała z dala od szlaków handlowych, więc mogło się równie dobrze okazać, że nie ma nikogo, kto mógłby przybyć im

na ratunek.

Oczywiście tragedia, która się już wydarzyła, wystarczy, by go zniszczyć. Zginęli pasażerka i członek załogi. Lądownik uległ zniszczeniu. Podczas lotu, który odbył się z pogwałceniem przepisów. Jak on się z tego wytłumaczy?

Był to najmroczniejszy moment w jego życiu, dotąd stosunkowo wolnym od kłopotów i rozczarowań. Wiedział jednak, że — niezależnie od tego, co się teraz stanie — on z tego nie wyjdzie. Zostanie postawiony przed komisją dyscyplinarną, która jasno mu wytłumaczy, jaki z niego drań. Otrzyma naganę i zostanie wyrzucony z pracy. W świetle reflektorów.

A potem zostanie pozwany o odszkodowanie przez rodziny dwóch ofiar i skazany. I za utratę lądownika. Może nawet zostanie postawiony w stan oskarżenia. Nie tylko dlatego, że TransGalactic będzie żądna krwi i sprawiedliwości, ale dlatego, że z oskarżonym będzie im się łatwiej rozstać.

Jak on mógł być aż tak głupi?

Ledwo trzy minuty minęły od jego rozmowy z Clairveau, a nadeszła wiadomość od oficera dyżurnego, że pasażer, który ocalał, pan MacAllister, chce z nim rozmawiać.

To on był odpowiedzialny za trudną sytuację, w jakiej kapitan się znalazł. *Będzie pan mógł zbudować kapliczkę na cześć zaginionej planety,* mówił. *Ludzie będę zachwyceni. A kierownictwo doceni pańska zdolność przewidywania. Pańską odwagę.*

— Wie pan, co się stało?

— Tak, słyszałem. — Próbował mówić spokojnie. — Panie MacAllister, nic panu nie jest?

— Dziękuję, nic mi się nie stało. — Dziennikarz sprawiał wrażenie zgaszonego. Pełna czaru arogancja, którą charakteryzowało się jego zachowanie, gdzieś się ulotniła. — Jak sądzę, ma pan pewne problemy z powodu tego… incydentu.

— Nie sądzę, żeby istniało jakiekolwiek wyjaśnienie, które mogłoby usatysfakcjonować moich zwierzchników.

— Istotnie. Chciałbym przeprosić, panie kapitanie.

— Oczywiście. Dziękuję.

— Nigdy bym nie przypuszczał, że coś takiego może się zdarzyć.

— Ja również. Kapitan Clairveau informował mnie, że na razie tam utknęliście.

— Tak, obawiam się, że tak. Musimy czekać, aż pojawi się jakiś lądownik, który będzie mógł nas uratować.

— Jest w drodze. A teraz, choć niezręcznie mi prosić, mam do pana jedną prośbę.

— Rozumiem, panie kapitanie. Nie ma potrzeby, żeby roztrząsać publicznie szczegóły naszej niefortunnej transakcji.

— Tak. Otóż to. — Nicholson zawahał się. Zawsze istniała możliwość, że ktoś podsłuchuje. Może nawet nagrywa tę rozmowę. Nie dysponował bezpiecznym połączeniem z MacAllisterem. — Tak pewnie będzie najlepiej.

Kapitan rozłączył się, wrócił do swojej kajuty i oddał się kontemplowaniu galowego munduru, który czasem nosił na kolacjach z pasażerami.

To może być jakiś sposób.

Mógłby usunąć zapis z dziennika pokładowego i zeznać, że lot był nieautoryzowany. Wówczas cała odpowiedzialność spadnie na Wetherala.

Nie był zwolennikiem załatwiania sprawy w ten sposób i wiedział, że nie wpłynie to dobrze na jego poczucie własnej wartości. Ale Wetheral nie żył i oskarżenia komisji w żaden sposób mu nie zaszkodzą. Poza tym jedyna żyjąca osoba, która brała udział w spisku, nie piśnie ani słowa. On też będzie miał swoje powody, żeby trzymać język za zębami, bo jeśli prawda wyjdzie na jaw, zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Nikt inny nie zaprzeczy, że Wetheral wziął lądownik na własną rękę. Trzeba będzie tylko uzgodnić zeznania co do tego, jak MacAllister i Hayes znaleźli się na pokładzie. A to już betka.

Może, pomyślał, wszyscy wyjdziemy z tego cało.

Koledzy MacAllistera nigdy nie posądzaliby go o posiadanie nadmiernie aktywnego sumienia. Wystarczyło się z nim nie zgodzić w jakiejś sprawie związanej z oceną literatury czy interpretacją jakichś zdarzeń historycznych, a już MacAllister przystępował do kwestionowania czyjegoś osądu i smaku oraz publicznego wyśmiewania jego inteligencji. Uwielbiał unieszkodliwiać ludzi, którzy aż się prosili o to, żeby ich unieszkodliwić, nadętych, zadufanych w sobie, aroganckich durni, którzy zawsze próbowali narzucać innym, jak mają się zachowywać, jak postępować czy w co wierzyć. I nigdy nie oglądał się za siebie.

A mimo to stał długo na brzegu rozpadliny, patrząc na potrzaskany lądownik „Wieczornej Gwiazdy", rozmyślając o pilocie, który zginął, a którego zapamiętał jako niezbyt inteligentnego, o Casey, która była za młoda, by ujawnić talent, choć go zapewne miała. Nie ponosił bezpośrednio winy za to, że nie żyli. Rozumiał jednak, że gdyby nie uległ mrocznemu impulsowi, który sprowadził go do tego przeklętego miejsca, teraz by żyli. Przesadą byłoby sugerować, że — nawet przez sekundę — zastanawiał się, czy nie rzucić się do rozpadliny. Prawdą jednak było, że oto po raz pierwszy w całym swoim dorosłym życiu zastanawiał się, czy świat bez niego nie byłby lepszym miejscem.

Lądownik był mocno zaklinowany. Poniżej niego przepaść sięgała setek metrów. Na samym dnie, jeśli to rzeczywiście było dno, zalegały zwały śniegu. A gdzieś tam, daleko w dole, Wetheral znalazł spoczynek.

Nadal patrzył w dół, gdy uświadomił sobie, że ktoś go wywołuje.

Hutchins.

— Panie MacAllister, nic się panu nie stało?

— Nie. — Wyprostował się trochę. — Nic mi nie jest.

Nie było możliwości, żeby zachować ciała, więc po kilku naradach między Nicholsonem, Marcelem i Hutch podjęto decyzję, że Toni i Casey zostaną pochowane na równinie, gdzie zginęły.

Wybrali miejsce znajdujące się jakieś trzydzieści metrów od jednego boku wieży, odgarnęli śnieg i wykopali dwa groby.

Uzbrojona grupa składająca się z Chianga, MacAllistera i Kellie udała się do lasu, ścięła kilka drzew i przygotowała dwie prowizoryczne trumny.

Tymczasem Hutch i Nightingale poprosili statki o dostarczenie dodatkowych informacji. Wycięli ze ściany wieży trzy płyty, które miały posłużyć za kamienie nagrobne, i wyrzeźbili je. Owinęli ciała w plastikowe worki, w które mieli zawijać artefakty. Kiedy zapadła noc, a reszta grupy wróciła, umieścili trumny w wieży, zapalili ognisko i spali na otwartej przestrzeni.

Było w tym coś upiornego. Pola Flickingera na ogół były niewidoczne, ale odbijały światło w zakresie 6100-6400 angstremów. Pomarańczowe i czerwone. Wszyscy więc byli otoczeni delikatną poświatą, której natężenie wahało się w zależności od jasności płomieni. Kiedy płomień strzelał w górę, widać było złotą aurę, która miała w sobie coś anielskiego. Albo diabelskiego, jak kto woli. Hutch miała nadzieję, że bez względu na to, jak to wygląda, wystarczy, by trzymać na odległość wszelkie stworzenia polujące w pobliżu.

Objęła pierwszą wachtę. Byli dość oddaleni od wieży, żeby osoba trzymająca straż, wyposażona w noktowizor, miała dobrą widoczność we wszystkich kierunkach. Na pustej równinie nic się nie poruszało, więc po dwóch godzinach przekazała wachtę Nightingale'owi i zwinęła się w śnieżnej zaspie.

Nie mogła zasnąć. Obserwowała Nightingale'a, przechadzającego się nerwowo po obozowisku. Padał śnieg, a niebo było zachmurzone.

To był błąd, że go tu zabrali. Nawet informacja, że pomoc jest w drodze, najwyraźniej go nie uspokoiła. Cała reszta zbiorowo odetchnęła, a samej Hutch udało się wyzbyć przerażenia, jakie ją ogarnęło, kiedy uświadomiła sobie, że równie dobrze pomoc mogła okazać się niemożliwa. Nightingale nie zareagował.

— Dobrze — mruknął. — Dzięki Bogu.

Ale mówił to tak bezbarwnym tonem, jakby nie robiło mu to większej różnicy.

Nightingale nie był młody, a najbliższe kilka dni, jakie mieli przetrwać bez jedzenia, mogło być niełatwe. Zastanawiała się, jak on sobie poradzi. Jak oni wszyscy sobie poradzą. O ile wiedziała, nikt z nich nie posiadał żadnych umiejętności, które mogłyby im pomóc w przetrwaniu. Mieli tylko pączki i parę innych przekąsek. Do licha, jak się będą czuć po czterech dniach? Jeśli to będzie konieczne, mogą żuć liście. Żeby tylko mieć cokolwiek w żołądku.

Nightingale stał w poświacie ognia, rozglądając się po okolicy. Wyglądał na zniechęconego. Na pewno przyczyną były straty, jakie ponieśli, i zastanawiała się, czy bardziej przeraziła go śmierć ludzi, czy podobieństwo do tragedii, jaka wydarzyła się podczas jego pierwszego pobytu na tej planecie. Wiedziała też, że mężczyzna nie ma o niej zbyt wysokiego mniemania. Nie wyraził tego wprost, ale widziała to w jego oczach. Zwłaszcza od chwili, gdy sytuacja stała się trudna. Kim ty jesteś, pytał całą swoją postawą, żeby podejmować tu decyzje? Jakie masz wykształcenie? Na czym się znasz? Nie jesteś nawet archeologiem.

Przez noc przetoczyło się lekkie drżenie. Było trudno wyczuwalne, ale zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej oddalić się stąd jutro rano. Poprosić Marcela o odczyty i udać się w bezpieczniejsze miejsce.

Nightingale ukląkł przy Chiangu i zgarnął śnieg z jego konwertera. Oczywiście nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo, nawet gdyby urządzenie zostało zasypane. Gdyby został odcięły dopływ powietrza do pola Flickingera, uruchomiłby się alarm.

Wymiennik ciepła Hutch wydawał ledwo słyszalny szum, otaczając ją warstewką krążącego w skafandrze ciepłego powietrza. Usłyszała, jak zmienia ton, i spojrzała na moduł sterujący. Temperatura na zewnątrz wynosiła minus piętnaście stopni. Z północnego zachodu wiał jednostajny wiatr, a śnieg padał coraz bardziej.

Cztery dni i ćwierć — tyle mieli czekać na nadejście pomocy. Sytuacja nie była bardzo trudna. Mieli e-skafandry, które chroniły ich przed zimnem, choć czasami musieli je wyłączać, żeby coś zjeść albo wykonać inne czynności fizjologiczne. Wyznaczyli prywatne miejsce za wieżą, choć nie było ono tak bardzo prywatne, gdyż Hutch upierała się, żeby udawać się tam z eskortą. MacAllister, który często wypowiadał się przeciwko głupocie purytańskich poglądów, najwyraźniej był bardzo zakłopotany z powodu tego systemu. Jeśli ktoś chciał skorzystać z tego miejsca w nocy, konieczne było obudzenie innej osoby. Jego zdaniem nie była to sytuacja, która działa

budująco na morale.

— Bycie pożartym też nie podziała nam budująco na morale — odparła Hutch.

Rankiem, pod zachmurzonym niebem, poprowadzili ceremonię pożegnalną. Kellie nagrała ją, żeby przekazać nagranie rodzinom.

Toni była uniwersalistką, Wetheral metodystą. A Casey nie była związana z żadną grupą religijną.

Hutch wygłosiła mowę pożegnalną dla Toni, co było trudnym zadaniem, bo uniwersaliści nie wierzyli w żadne mantry czy formalne modlitwy. Zawsze improwizowali. Wszyscy ubolewamy z powodu śmierci kogoś, kto był tak młody, powiedziała. Nic, co stąd zabiorą, nie będzie warte ceny, jaką zapłacili. Dodała, że sama zapamięta Toni jako osobę, która nigdy nie pozwala jej samotnie wchodzić do wieży.

Kapitan Nicholson, korzystając z systemu VR, wygłosił mowę dla Wetherala. Mówił o oddaniu służbie, o zaangażowaniu w pełnienie obowiązków, o chęci, gdy trzeba było zrobić coś dodatkowego. Hutch dodała, że Nicholson i jego oficer nie znali się bliżej i ten człowiek umarł, nie mając przy sobie nikogo, kto znałby go po prostu jako osobę. Dowiedziała się, że miał na imię Cole. Szkoda, powiedziała, że nie udało się odnaleźć jego ciała.

Na kamieniu dla Toni napisano „Wierna do śmierci". Na kamieniu dla Wetherala widać było napis „Pogrzebany przez nieznajomych".

MacAllister zaskoczył ją, prosząc o możliwość wygłoszenia mowy dla Casey.

— Krótko ją znałem — powiedział. — Była uczciwą kobietą, wykonującą uczciwy zawód. Nic więcej nie trzeba mówić. Jak Toni Hamner, była dopiero u progu dorosłego życia. Będzie mi jej brakowało.

Popatrzył na kamień, na którym, na jego prośbę, wyryto tylko imię, nazwisko, daty i jedno słowo: „Dziennikarka".

Kiedy skończyli, włożyli dwie trumny do grobów i przysypali je ziemią.

— Chwileczkę — rzekł Helm. — Proszę powtórzyć. Co niby mamy zrobić?

— Pięć osób utknęło na powierzchni Maleivy III. To ta planeta, która…

— Wiem, co to jest Maleiva III. Ale po co MY tam lecimy?

— Żeby ich uratować — wyjaśnił Penkavic.

Na jego biurku stała szachownica. Helm grał czarnymi, a jego chłodne, niebieskie oczy intensywnie wpatrywały się w Penkavica. Przeczesał długimi palcami cienkie siwe włosy i skinął głową, bynajmniej nie kapitanowi, ale wskutek jakiegoś wewnętrznego impulsu.

Znajdowali się w prywatnej kajucie Helma. Blat, na którym stała szachownica, był zasypany dyskami, notatkami, schematami, wydrukami.

— Ale dlaczego miałoby to nas obchodzić? — spytał uprzejmym tonem. Jakby naprawdę był ciekaw. — Jesteśmy kilka dni od nich, tak?

— Tak, proszę pana.

Helm był głównym inżynierem Kosmika i dyrektorem projektu terraformowania Quraquy.

— Więc po co my tam jesteśmy potrzebni?

— Potrzebny im lądownik. Nie mają jak zabrać ludzi z powierzchni.

— A co się stało z ich lądownikiem?

— Uległ uszkodzeniu wskutek trzęsienia ziemi.

— Co za krótkowzroczność.

— Nie znam szczegółów. Tak czy inaczej, wyszliśmy z nadprzestrzeni. Manewrujemy do nowego punktu styku i wykonujemy następny skok. Im prędzej…

— Zaraz, zaraz. Mamy pełną ładownię sprzętu, na pokładzie zaopatrzenie i ludzi. Wszystko to jest potrzebne na Quaraquie. Mam ograniczenia co do daty przylotu. Nie możemy tak po prostu włóczyć się po okolicy.

— Rozumiem, proszę pana, ale w okolicy nie ma nikogo, kto mógłby pomóc.

Helm przemawiał takim tonem, jakby był wujkiem próbującym przemówić do rozsądku nastolatkowi.

— Musi ktoś być.

— Sprawdziłem, proszę pana. Jesteśmy jedynym statkiem, który znajduje się wystarczająco blisko. Jedynym z lądownikiem.

— Proszę posłuchać. — Helm wstał, obszedł stół dookoła, usiadł i wskazał kapitanowi krzesło. Penkavic nie ruszył się. — Nie możemy przetrzymywać ładunku. Ani ludzi. — Pochylił się i spojrzał na kapitana. — Proszę mi powiedzieć, ile spóźnimy się na Quraquę, jeśli tam polecimy.

— Jakieś dziewięć dni.

— Jakieś dziewięć dni. — Skrzywił się. — Ma pan pojęcie, ile to będzie kosztowało?

— Tak, proszę pana, ale nie przypuszczam, żeby miało to znaczenie.

— Kapitanie, to zawsze ma znaczenie.

— O ile mi wiadomo — odparł Penkavic, starając się utrzymać nerwy na wodzy — zarówno prawo, jak i nasze wewnętrzne regulaminy obligują nas do udzielenia pomocy wszystkim, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji. Nie możemy zignorować wezwania. Ci

ludzie tam zginą.

— Sądzi pan, że Akademia pokryje nam koszty?

— Sądzę, że nie.

— Może zatem powinniśmy rozpatrzyć inne opcje.

— Nie mamy innych opcji, panie doktorze.

Helm wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. — Pewnie nie — odparł. — Dobrze, kapitanie. Lećmy i uratujmy tę bandę idiotów. Może choć zrobimy sobie reklamę.

Po zakończeniu ceremonii poszli do wraka lądownika „Wildside" i próbowali z niego wyciągnąć, co tylko się dało, głównie artefakty. Stoły i krzesła były zwęglone i częściowo zamieniły się w pył. Zwoje spłonęły, ceramika się stopiła. Nie mogli nawet znaleźć paczki z ubraniami. Ocalało parę dmuchawek, kilka strzał i oszczep.

Wolnym krokiem wrócili do wieży, oczyścili i zapakowali pozostałe artefakty.

MacAllister cały czas wyglądał na wściekłego, a kiedy Chiang spytał go, co się stało, spojrzał na Hutch z autentyczną złością.

— Problem w tym — rzekł — że to wszystko to śmieci. Stare śmieci, ale to wiele nie zmienia.

Hutch podsłuchała tę rozmowę — nie ulegało wątpliwości, że taki był jego zamiar. Tego już nie mogła znieść.

— Panie MacAllister — odparła — pan po prostu ma za dużo opinii o różnych rzeczach. Czytałam trochę pańskich dzieł. Umie pan pisać, ale przeważnie nie ma pan pojęcia, o czym mówi.

Spojrzał na nią z nieskończoną cierpliwością. Biedna kobieta.

Przeprowadzili inwentaryzację nowego zbioru artefaktów, broni, kawałków materiałów, które kiedyś były odzieżą, szafkami, krzesłami i stołami i odłożyli je na bok, by tam czekały na przybycie lądownika.

— A co z jedzeniem? — spytał nagle MacAllister.

— Będziemy musieli coś załatwić — rzekł Chiang. — Czy ktoś poluje?

MacAllister skinął głową.

— Ja. Ale nie z tym. — Spojrzał na laser. — Poza tym nie wiem, czy ktoś zauważył, ale w okolicy jakoś nie pokazuje się zwierzyna. No i nie wiadomo, czy tu w ogóle jest coś, co można zjeść.

— Wątpię — rzekł Nightingale — żeby miejscowa fauna miała jakieś wartości odżywcze. Nigdy nie przeprowadzaliśmy badań, ale może przynajmniej wystarczy do napełnienia brzuchów. Pod warunkiem, że nie będzie zawierała toksyn ani nie pojawią się inne problemy.

— Dobrze — odparł MacAllister. — Jak coś złapiemy, może pan skosztować.

— Może jest łatwiejszy sposób — odezwała się Hutch.

Oczy Kellie zwęziły się.

— Niby co? Mamy znaleźć lepszego królika doświadczalnego?

— Lądownik „Gwiazdy” nie spadł zbyt daleko. Może da się tam zejść i wyciągnąć porcje obiadowe. Jakoś byśmy na nich przeżyli do chwili przybycia „Boardmana”.

— Nie warto — odparła Kellie. — Lepiej wypróbujmy lokalne menu.

— Wątpię, czy to ma sens — mruknął MacAllister.

— Hutch — rzekł Marcel. — To nie jest twoja wina. Weź się w garść.

Rozmawiali na prywatnym kanale.

— Wiesz, Marcelu, po prostu nigdy… — Głos jej drżał i musiała przerwać, żeby go opanować. — Po prostu nigdy nie przychodziło mi do głowy, że coś takiego może się przydarzyć. — Słyszał, jak oddycha. — Nie prosiłam o coś takiego. Jestem pilotem. A tu muszę podejmować decyzje w sprawach życia i śmierci.

— Hutch — mówił najłagodniej, jak umiał. — Próbowałaś wykonać przydzielone ci zadanie. Wszyscy, którzy tam polecieli, to dorośli ludzie. Wiedzieli to samo co ty. To nie była twoja decyzja.

— Mogłam przerwać wszystko po pierwszym wstrząsie. Wpakować ich do lądownika i wrócić na „Wildside”. Powinnam była tak zrobić.

— Gdybyśmy wszyscy byli tak samo mądrzy z góry, jak po fakcie, wszyscy bylibyśmy milionerami.

Milczała.

— Hutch, posłuchaj. Oni cię potrzebują, do chwili, aż się stamtąd wydostaniecie. Przestań użalać się nad sobą.

— *Użalać się nad sobą?* Myślisz, że się użalam?

— Tak, właśnie tak. Twoje zadanie polega teraz na zapewnieniu tym ludziom bezpieczeństwa do chwili, aż ich stamtąd wydostaniemy. Nie możesz już nic zrobić dla Toni. Ale możesz coś zrobić, żeby nie przydarzyło się to nikomu innemu.

Przerwała połączenie i wzięła głęboki oddech. Rozumiał, że przydarzyło jej się coś strasznego, ale chyba więcej od niej oczekiwał. Gdyby rozmowa trwała dalej, pewnie zasugerowałby, żeby przekazała dowodzenie Kellie. Zastanawiał się, czy nie powinien jej wywołać i zaproponować czegoś takiego.

Nie. Jeszcze nie. Jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, wystarczy, że przeczekają do chwili nadejścia pomocy. Opuścił mostek i poszedł do sali kontroli projektu, gdzie kilku techników próbowało badać materiał, który nie mógł istnieć. *Niemożliwium.*

Na pobliskim ekranie pojawił się obraz Billa.

— *Marcelu? Nadeszła wiadomość tekstowa.*

„Wendy” unosiła się w pobliżu artefaktu, choć Marcel wolałby wrócić na orbitę, żeby być jak najbliżej rozbitków. Nie mógł jednak zrobić nic, tylko patrzeć, więc poszedł na rękę badaczom, którzy chcieli przebywać blisko gigantycznego artefaktu. Unosili się więc o kilka metrów od niego, a instrumenty statku mierzyły go, oglądały, skanowały i sondowały.

Nie mieli odpowiednich urządzeń laboratoryjnych, żeby zbadać próbki na pokładzie, ale próbowali określić punkty topnienia i wrzenia, ciepło właściwe i przewodnictwo cieplne, gęstość, moduł Younga, moduł odkształcenia postaciowego i objętościowego. Chcieli wyznaczyć rozszerzalność i wytrzymałość, przewodnictwo elektryczne i przenikalność magnetyczną w różnych temperaturach, przy różnych natężeniach i częstotliwościach. Chcieli się dowiedzieć, jaka jest szybkość rozchodzenia się dźwięku i załamanie fali przy różnych częstotliwościach. Beekman i jego ludzie zaczęli sporządzać wykres naprężeń i wytrzymałości. Marcelowi wiele to nie mówiło, ale badacze z otwartymi ustami wpatrywali się w wyniki.

— Wyświetl.

DO: NCA „WENDY JAY”
OD: NCK „ATHENA BOARDMAN”
TEMAT: RAPORT O STATUSIE

DO KPT. CLAIRVEAU. LECIMY ZGODNIE Z PLANEM, ZA KILKA MINUT DOKONAMY SKOKU. POKŁADOWY LĄDOWNIK BĘDZIE PRZYGOTOWANY I GOTOWY DO LOTU. MARCELU, JESTEŚ MOIM DŁUŻNIKIEM.

— *Będzie odpowiedź?*

— Powiedz mu, że jestem mu winien obiad.

XII

Nic nie zabija apetytu tak skutecznie jak wyrok śmierci.

Gregory MacAllister „W obronie pobożnych” (Dzieła wybrane)

Czas do rozpadu (prognoza): 252 godziny

Była prawie osiemnasta, czterdzieści dwie minuty od skoku w przestrzeń transwymiarową, gdy Penkavic zarządził inspekcję lądownika i wrócił do swojej kajuty. Właśnie wszedł, kiedy Eve, SI „Boardmana”, zameldowała, że wszystko jest w porządku.

Na statku robiło się cicho. Wielu pasażerów udawało się na spoczynek. Wspólna sala opustoszała, w salach rozrywkowych zostały tylko dwie albo trzy osoby. Mała grupa techników i klimatologów siedziała w sali zielonej, oddając się rozgrywce RPG — pewnie potrwa to do rana. Kilku biologów siedziało w sali kontroli projektu, kłócąc się o procedury zaopatrzeniowe, a kilka innych osób zebrało się na oddalonej Werandzie Apollina, gdzie można było popatrzeć na gwiazdy.

Penkavic był bardziej zdenerwowany konfrontacją z Helmem, niż był skłonny przyznać sam przed sobą. Nie chodziło tylko o to, że właśnie obraził jedną z najbardziej wpływowych osób w korporacji. W końcu zrobił tylko to, co do niego należało, uratował przed kłopotami i siebie, i Helma. W głównym inżynierze korporacji było jednak coś, co niepokoiło Penkavica, coś, co dalece wykraczało poza zwykły niepokój związany z tym, co może on, a czego nie może zrobić, by zaszkodzić karierze kapitana. Helm nie robił wrażenia, jakby chciał mu grozić albo zastraszyć go, ale rozsiewał wokół siebie atmosferę, jakby był jedynym człowiekiem, który wie, jak naprawdę powinno się postąpić. W jego obecności Penkavic odruchowo chciał zrobić coś, żeby go zadowolić, nawet jeśli stanowczo się nie zgadzał z wyciąganymi przez niego wnioskami.

Zdjął mundur, wziął prysznic i wskoczył do łóżka. Światła ledwo zgasły, gdy w pomieszczeniu zabrzmiał głos Eve.

— *Kapitanie, mamy problem.*

Usiadł.

— Co się dzieje, Eve?

— *Lądownik przygotowuje się do startu.*

— Zatrzymaj go. — Odrzucił kołdrę, postawił nogi na podłodze i czekał na jej odpowiedź.

— Nie *mogę. Odebrano mi uprawnienia.* Zapalił światło i narzucił na siebie szlafrok.

— Przejdź na czerwony obwód — polecił. — Wyłącz go. Wyłącz wszystko w doku startowym, jeśli musisz.

— *Brak reakcji* — odparła. — *Lądownik się zamyka.* Wrzuciła obraz na ekran. Patrzył, jak pojazd się obraca, a właz otwiera.

— Kto to robi? — spytał.

— Nie *mogę stwierdzić, czy to czyjeś celowe działanie. Wygląda na to, że mamy awarię w systemie Delta.*

System Delta służył Eve do komunikowania się z różnymi automatycznymi układami.

Patrzył, jak światła w doku zapałają się i gasną, jak to zwykle ma miejsce podczas rutynowego startu, a lądownik znika w szarej mgle.

Penkavic wiedział, że teraz jemu przyjdzie tworzyć historię. To jedyny przypadek, kiedy statkowi przyszło manewrować w nadprzestrzeni: kapitan skręcił na bakburtę, po czym próbował obliczyć pozycję lądownika i przejąć go.

Musiał pracować ręcznie, bo stan Eve nadal się nie ustabilizował. Jack Castor, drugi pilot, pełnił wachtę.

Przełączył Castora na czujniki, mimo jego protestów, że to i tak nic nie da.

Mimo to próbowali. Krótki zakres, długi zakres, wymierzyć z maksymalną precyzją i strzelić. To nie miało znaczenia: wszystkie wyniki były negatywne. Wyglądało na to, że nie ma tam niczego poza pustą przestrzenią. Widoczność była ograniczona do kilkuset metrów, a wszystkie próby aktywowania SI lądownika zawiodły.

Nikt nie wiedział, jak trafić do określonego miejsca w transwymiarowej przestrzeni. Ponieważ jedynym poza statkiem fizycznym obiektem był lądownik, a nikt nie wiedział, gdzie on jest, pojęcie pozycji było zupełnie pozbawione sensu.

Włączyła się Eve.

— *Zakłócenie zostało usunięte* — zameldowała.

— Czy potrafisz określić źródło problemu? — spytał Castor.

Odpowiedź nie miała znaczenia. Penkavic wiedział, czyja to robota.

— *Lambda.*

Zapasowy obwód sterowania kontroli misji.

Helm był ubrany i czekał na niego.

— Czy pan ma pojęcie, co pan zrobił? — dopytywał się Penkavic.

— Oczywiście — odparł. Siedział z spuszczonymi oczami i robił wrażenie dziwnie melancholijnego. — Zawsze wiem, co robię.

— Skazał pan tych ludzi na śmierć. Byliśmy ich ostatnią szansą na wydostanie się z tej planety.

— Kapitanie. — Skinął głową, jakby zgadzał się z oskarżeniem. — Żałuję, że nie ma innego sposobu. Ale operacja na Quarquie nie może sobie pozwolić na dziewięciodniowe opóźnienie. Niektóre z materiałów, które mamy na pokładzie, są bardzo wrażliwe na upływ czasu. Niezmiernie wrażliwe. Podobnie jak dwie operacje o znaczeniu krytycznym, które czekają na szybką dostawę. Firma poniosłaby wielkie straty. Olbrzymie. W najlepszym razie milionowe. Bóg raczy wiedzieć, ile operacji w toku musielibyśmy zaczynać od nowa. Gdybyśmy polecieli na tę akcję ratunkową, nikt nie byłby nam wdzięczny, proszę mi wierzyć.

— Nie obchodzi mnie…

— Ale mnie obchodzi, kapitanie. I pana też by obchodziło, gdyby pan znał ludzi biorących w tym udział, gdyby pan wiedział, jak oni ciężko pracują, żeby zmienić Quraque w drugą Ziemię. I o jaką stawkę toczy się gra. Ci idioci wpakowali się w jakiś kanał, więc niech się sami martwią, jak się z niego wydostać. — Przyglądał się uważnie szachownicy. Penkavic zauważył, że układ się nie zmienił. — Bóg mi świadkiem, że chciałbym, żeby było inaczej.

Penkavic nie spuszczał z niego wzroku.

— Pan zrobiłby to samo — upierał się Helm — gdyby na panu ciążyła taka odpowiedzialność jak na mnie. Gdyby pan wiedział to, co ja wiem.

— Nie sądzę — warknął Penkavic.

— Kapitanie. — Serdeczny wujek znów się objawił. — Pańskie śledztwo ujawni uszkodzony przełącznik w układzie centralnym i zwarcie w skrzynce R w systemie Lambda. Znajdzie je pan i usunie jak najszybciej, żeby problem z SI już się nie powtórzył. Co za pech, że sekwencja startu została zainicjowana właśnie wtedy, gdy sygnał, który miał usunąć ten bałagan, został błędnie przekierowany do układu startowego. Skrzynka R została uruchomiona prawie natychmiast, Eve została więc zablokowana na kilka minut i nie mogła przerwać sekwencji. Co za niefortunny zbieg okoliczności. Jeden na milion. Ale łatwy do wyjaśnienia. Wina zostanie zrzucona na SI, które przeprowadzały przegląd na Kole, albo na błędy projektowe. W każdym razie nie ma potrzeby szukania winnych.

Przez długą chwilę obaj milczeli.

— Chyba że będzie się pan upierał.

Penkavic usiadł i próbował oprzeć się impulsowi, by spojrzeć w inną stronę.

— Teraz musi pan dokonać wyboru — mówił dalej Helm. — Może pan oskarżyć mnie i donieść o wszystkim, co pan wie. Może pan też zapomnieć, że nasza rozmowa miała miejsce, a incydent pozostanie tym, czym obecnie jest — przykrym zbiegiem okoliczności. Chciałbym panu przypomnieć, że postęp zawsze ma swoją cenę. I nie zyskamy nic, posyłając kogoś na szubienicę. — Dotknął czarnej królowej. Podniósł ją, przesunął po przekątnej i ustawił tak, by chroniła króla. — Oddaję się w pańskie ręce, kapitanie.

— *Marcelu, nadeszła wiadomość.*
— Wyświetl.
— Nie *spodoba ci się* — dodała SI.

DO: NCA „WENDY JAY”
OD: NCK „ATHENA BOARDMAN”
TEMAT: PROBLEM Z LĄDOWNIKIEM MARCELU, Z PRZYKROŚCIĄ INFORMUJĘ, ŻE WSKUTEK PRZYPADKOWEGO ODPALENIA W CZASIE LOTU W NADPRZESTRZENI STRACILIŚMY ŁĄDOWNIK. WSZYSTKIE PRÓBY ODZYSKANIA GO ZAWIODŁY. NIE MAMY WYBORU, KONTYNUUJEMY LOT NA QUARQUĘ. PRZYKRO MI, ŻE NIE MOGŁEM POMÓC.

ELIOT.

Marcel czytał wiadomość po raz drugi i trzeci, kiedy włączył się Beekman.

— Jak, u licha, można przez przypadek odpalić lądownik?

— Nie wiem. — Marcel czuł, jak w żołądku rozpełza mu się chłód.

— I nie mają drugiego?

— Nie mają.

Usłyszał westchnienie Beekmana.

— Musi być ktoś jeszcze.

— Nie ma nikogo. Sprawdzaliśmy. W pomieszczeniu zapadła cisza.

— Co więc robimy?

Marcelowi nie przychodziło do głowy nic, co mogliby zrobić.

— Nie sądzę, by było warto próbować — oświadczyła Kellie. — A co będzie, jak ktoś wejdzie do tego draństwa, a ono wtedy osunie się na dno rozpadliny?

Przyglądali się lądownikowi „Gwiazdy”. Był zaklinowany bokiem,

sterburtą do góry. Kadłub był porysowany, a dach kabiny wgnieciony. Jedno ze skrzydeł zgięte, dysza przestawiona. Obie gąsienice oderwane.

Hutch pomyślała, że zejście w istocie byłoby mniej niebezpieczne, niż wygląda. Zapiszczał komunikator i głos Marcela wyszeptał jej imię.

— Jestem — odparła. — Co tam słychać?

— Obawiam się, że nie mam dobrych wieści.

Wyczuła to w jego głosie. Wiedziała, co powie, jeszcze zanim to nastąpiło.

— Co się stało?

— „Boardman". Przypadkowo wystrzelili lądownik podczas lotu w nadprzestrzeni.

— Stracili go.

— Tak.

Hutch widziała, że pozostali ją obserwują.

— Jak to się mogło stać, u licha?

— Nie wiem.

— Co się dzieje? — spytała Kellie.

Wszyscy wyglądali na przerażonych. Nawet MacAllister. Przełączyła rozmowę na kanał ogólny.

— Nikogo innego nie ma w okolicy?

— Nie. Nikogo.

— A patrol?

— Za daleko.

— Żadnych prywatnych statków? Może jakiś korporacyjny jacht?

— Nie, Hutch. Nie ma nikogo z lądownikiem. — Słyszała, jak oddycha. — Przykro mi.

— Co się stało? — spytał Nightingale.

— Jeszcze się nie poddaliśmy — rzekł Marcel.

— Nie sądzę, żebyście mieli jakiś pomysł.

— Jeszcze nie mamy.

— Co się stało? — dopytywał się Nightingale, tym razem głośniej.

Pytanie zawisło w powietrzu.

— Co teraz?

Hutch nie była pewna, kto zadał to pytanie. Stali na brzegu rozpadliny, patrząc na lądownik, pochyleni pod ciężarem implikacji.

MacAllister spojrzał w niebo, jakby chciał dostrzec „Wendy".

— Kapitanie Clairveau. Jest pan tam?

Chwila ciszy.

— Jestem, panie MacAllister.

— Co pan zamierza teraz zrobić? — spytał. — Co my mamy robić?

— Jeszcze nie wiem. Nie miałem jeszcze czasu… — …żeby przeanalizować sytuację. — MacAllister potrafił przybierać ton rozwścieczonego boga i właśnie to zrobił. — O ile poprawnie interpretuję nasze położenie, ratunek jest niemożliwy. Czy mam rację?

— Na to wygląda.

— Czy mam rację?

— Tak. — Po chwili wahania.

— W takim razie proszę nam wyświadczyć przysługę, kapitanie. Nasza sytuacja znacząco się pogorszyła. Będzie miło, jeśli ograniczy się pan do faktów i przestanie bawić się w cheerleaderkę.

Marcel milczał.

MacAllister miał rację. Hutch poczuła się przytłoczona ciężarem faktów.

— Marcelu — powiedziała — wyłączymy się na chwilę…

— Dobrze. — Nie usłyszał jednak kliknięcia i wiedział, że kobieta nadal go słyszy. — Jestem tu — powiedział. — Gdybym mógł jakoś pomóc…

Wyłączył się.

Chiang kopnął śnieg, który wpadł do rozpadliny.

— Równie dobrze moglibyśmy sami tak skoczyć — powiedział. — Skończyć to wszystko.

— Daruj sobie ten wisielczy humor — prychnęła Kellie.

— To nie był żart. — Założył ręce na piersi i przez nieznośnie długą chwilę Hutch myślała, że naprawdę chce to zrobić. Ruszyła ostrożnie w jego kierunku, ale Kellie była szybsza, złapała go za rękę i odciągnęła go od przepaści. Zaśmiał się.

— To chyba nie robi większej różnicy — powiedział.

Hutch zmieniła ton głosu na znak, że teraz muszą się nad tym poważnie zastanowić.

— Ile czasu nam zostało? — spytała. — Czy ktoś wie?

— Zderzenie ma nastąpić dziewiątego grudnia — rzekła Kellie. — O 17:56 czasu Zulu. — To czas pokładowy.

MacAllister spojrzał na zegarek.

— O jakim czasie my mówimy?

— Czas Zulu — uśmiechnął się złośliwie Nightingale. — Orbitalny. GMT. Czas na pana zegarku.

Było kilka minut po północy, dwudziestego ósmego. W okolicy wieży było kilka godzin po wschodzie słońca.

— Ale planeta zacznie się rozpadać — rzekł Nightingale — jakiś dzień przed zderzeniem.

— Co za szkoda. — MacAllister potrząsnął głową. — Mamy miejsca w pierwszym rzędzie na najbardziej spektakularnym przedstawieniu w historii ludzkości i nie będziemy na czas.

Chiang nie wyglądał na rozbawionego.

— Trzeba się nad czymś zastanowić — rzekł. — Jest jakiś sposób, żeby odejść bezboleśnie? Kiedy nadejdzie czas?

MacAllister wetknął ręce do kieszeni kamizelki.

— Środki uspokajające?

— Chyba za wcześnie, żeby o tym rozmawiać? — rzekła Hutch.

— Naprawdę? — MacAllister spojrzał na nią z wyżyn swojego wzrostu. — Musimy zadbać o to, żeby nie tracić ducha. Przecież tego nam właśnie trzeba, nie?

— Dość, panie MacAllister — warknęła. — Może by pan przestał histeryzować?

— Wie pan — rzekł Nightingale — gdybyście nie spanikowali, nie próbowali uciekać lądownikiem, cała ta sytuacja nie miałaby miejsca. — Wyglądał, jakby był zadowolony z tego, co się stało.

— Proszę posłuchać, lądownik osuwał się do rozpadliny. Próbowaliśmy go ratować.

— Próbował pan ratować swój tłusty tyłek.

— Panowie, to nam nie pomoże — wtrąciła się Hutch.

— Pewnie, że nie — rzekł Nightingale. — Ale trzeba zawsze stawiać sprawę jasno. Czyż nie tak, panie Mac? Zawsze pan to powtarzał. Nieważne, komu stanie się krzywda, ważne, żeby prawda wyszła na jaw. A prawda jest taka, że próbował pan uciekać. Drugiego lądownika już nie było, a pan…

— Dość, Randy — użyła najbardziej groźnego tonu, na jaki było ją stać.

Obrzucił ją niechętnym spojrzeniem i odwrócił się.

— O co wam chodzi? — spytała Hutch, patrząc na MacAllistera.

Dziennikarz wzruszył ramionami.

— Jemu się nie podoba coś, co kiedyś napisałem.

— Panie MacAllister, pan ma wszędzie przyjaciół.

— Tak. Nawet na końcu świata.

Nightingale stał, patrząc w przepaść. Reszta skuliła się na śniegu. Milczeli. Hutch podciągnęła kolana pod brodę.

Nightingale wetknął ręce do kieszeni kamizelki. Wiatr nawiał już śnieg na groby. Chiang wziął Kellie za rękę i spytał, czy dobrze się czuje. MacAllister patrzył co kilka minut na zegarek, jakby na kogoś czekał.

Hutch pogrążyła się w czarnych myślach, z których wydobył ją głos Nightingale'a.

— Może jest jakiś sposób, żeby się dostać na orbitę.

Spojrzała na niego obojętnie. Nie da się dojść piechotą z powierzchni planety na orbitę.

— Jak?

— Tu gdzieś jest lądownik. Niezbyt daleko stąd.

— „Tess"! — rzekł MacAllister.

Nightingale skinął głową.

— Znakomicie — rzekł. — Zapamiętał pan nazwę.

— Zapamiętałem, że zostawiliście tu lądownik. Dwadzieścia lat temu.

— Nie powiedziałem, że czeka na nas transport. Powiedziałem, że może być jakiś sposób. — Kopał śnieg czubkiem buta, spychając go do szczeliny. — Na pewno lepszy niż próba podskoczenia na orbitę.

Hutch poczuła napływ nadziei. Każda szansa wydawała się teraz wybawieniem.

— Powiedziałeś, że niezbyt daleko, Randy. Jak daleko?

— Nie wiem. Na południowy zachód stąd. Jesteśmy na północ od równika.

Dwadzieścia lat. Kellie potrząsnęła głową.

— Paliwo nie będzie się już do niczego nadawać.

MacAllister patrzył to na Kellie, to na Hutch albo Nightingale'a, mając nadzieję, że ktoś powie coś pocieszającego. Odezwała się Hutch.

— A może nie. Marcelu, jesteś nam potrzebny. Odezwał się po kilku sekundach.

— Co mogę dla was zrobić, Hutch?

— Czy macie dostęp do dokumentacji „Tess"? Lądownika, który został tu po pierwszej ekspedycji?

Słyszała, jak powtarza pytanie Billowi i powraca do rozmowy z nimi.

— Poszukamy.

— Jaki ona ma reaktor?

— Konwersji bezpośredniej Bussarda-Ligona.

— Dobrze. — Poczuła, jak poprawia jej się humor. — Może jest szansa.

— Widzę, do czego zmierzasz — rzekł Marcel.

Kellie była zaskoczona.

— Nadał nie wiem, skąd chcemy zdobyć paliwo.

— Pomyśl minutkę — rzekła Hutch. — Większość lądowników zaprojektowano do jednego celu: dostać się z orbity na powierzchnię planety i z powrotem. Na dół i w górę. Przemieszczanie zaopatrzenia i ludzi między bazą naziemną a statkiem. Lądowniki używane do eksploracji planet, jak ten, którym przylecieliśmy, albo „Tess", mają też inne zastosowanie: mają służyć do poruszania się po planecie. Lądujemy i zostajemy na powierzchni. Pomagają w eksploracji, ale muszą być tak zrobione, żeby nie musiały co chwila wracać na statek po paliwo. Kellie zaczęła wykazywać zainteresowanie.

— Dlatego właśnie mają konwerter Bussarda-Ligona — mówiła dalej Hutch.

— Co to znaczy? — spytał MacAllister.

— Ich silniki spalają wodór, jak u wszystkich lądowników.

Reaktor zapewnia zasilanie lądownika. Ładuje akumulatory, dostarcza prąd do kondensatorów, zapewnia oświetlenie.

— No i?

— No i można go użyć do wytwarzania wodoru.

MacAllister rozpromienił się.

— Czyli także do wyprodukowania paliwa?

— Wystarczy trochę wody — odparła Hutch. — Tak. Właśnie to możemy zrobić.

— Tam w pobliżu była rzeka — wtrącił Nightingale.

— Cóż, może się uda. — rzekł MacAllister. — Chociaż raz mamy szczęście.

Nightingale pozwolił sobie na uwagę, która miała wyrażać pogardę dla niewiedzy MacAllistera.

— Miejsca lądowania egzobiologów są zawsze blisko wody. Na plażach, koło jezior i tak dalej. Tam zbierają się zwierzęta.

— A pilotów szkoli się, żeby lądowali w takich miejscach — dodała Hutch — jeśli tylko się da. Dzięki temu mogą napełnić zbiorniki.

— A na czym pracuje reaktor? — spytał Nightingale. — Z jakiego paliwa korzysta?

— Z boru — odparła Hutch.

Zgromadzeni posmutnieli.

— A skąd weźmiemy bor?

— Powinno być trochę w lądowniku. Musi być.

— Ile nam potrzeba? — spytał Nightingale.

Rozstawiła kciuk i palec wskazujący w odległości kilku centymetrów.

— Niedużo. Myślę, że parę łyżeczek wystarczyłoby do naszych celów. Sprawdzimy dane później.

MacAllister złożył ręce.

— W takim razie do roboty — rzekł. — Musimy dotrzeć do lądownika i wydostać się stąd. — Zwrócił się do Chianga. — Chiang, muszę ci powiedzieć, że przez chwilę naprawdę się o ciebie martwiłem.

— Cóż — rzekła Hutch — jeszcze nie wydostaliśmy się z tego bagna. Dzięki silnikom będziemy mieli wystarczającą moc, żeby tu się poruszać. Ale żeby się stąd wydostać…

— …żeby się stąd wydostać, będziemy potrzebowali antygrawitacji — dokończyła Kellie.

— Można przypuszczać — rzekła Hutch — że po tylu latach kondensatory będą zużyte. Poważnie zużyte. Potrzebujemy sprawnych kondensatorów, żeby skorzystać z antygrawitacji.

— Chce pani powiedzieć — spytał MacAllister — że nie będziemy w stanie dostać się na orbitę?

— Otóż to.

— To o czym my w ogóle rozmawiamy?

Hutch spojrzała w dół, na lądownik „Gwiazdy”.

— Potrzebujemy nowych kondensatorów. Jakiś pomysł, skąd możemy je wziąć?

Komora silnikowa lądownika „Wildside” spłonęła, ale z lądownikiem „Wieczornej Gwiazdy” sprawy miały się zupełnie inaczej. Tkwił zaklinowany w rozpadlinie jak gigantyczny, czarno-biały owad.

— Marcelu — zawołała Hutch — to jest duże. Ile ważą kondensatory?

Nastąpiła długa cisza.

— Hm.

— Żadnych „hm”. Mów.

— Na Deepsix 43,4 kilograma. Każdy. — Sama prawie tyle ważyła.

Transportowanie ich drogą naziemną nie było sensowne.

— Wyciągniemy je — oświadczyła — i zostawimy w wieży. Wrócimy po nie, kiedy uruchomimy „Tess”.

— To się nie uda, prawda? — spytał Beekman. — Przecież nie można używać lądownika bez kondensatorów?

— Kiedy uzyskamy wodór, będzie można. Po prostu nie będziemy mieli za dużej siły ciągu.

— Dobre wieści — włączył się Marcel. — Znaleźliśmy „Tess.

— Jak daleko?

— Plus minus sto siedemdziesiąt pięć kilometrów. Obliczyliśmy, że dotarcie tam zajmie wam jakieś dwanaście dni. Może jedenaście. Jedenaście maleivskich dni. — Jedenaście dziewiętnastogodzinnych dni.

— Nie wygląda na to, żeby to było daleko — oznajmił MacAllister. — Niektórym z nas powinno się udać dotrzeć tam wcześniej.

— To nie jest dobry pomysł, żeby tu zostawać — rzekła Hutch.

— Dlaczego nie? Ja nie dam rady przejść 175 kilometrów.

— Jeśli pan tu zostanie, może pan zostać pożarty.

Zrobił niepewną minę.

— Zostawcie mi broń.

— A jak zamierza pan spać?

— Mamy mnóstwo czasu — podsunął Chiang. — Powinien pan dać radę.

— Proszę pomyśleć o wielkim kocie — rzekł Nightingale.

— Dobrze — odparł. — Punkt dla was.

Hutch znów zajęła się rozpadliną.

— Skoro to ustaliliśmy, to wyciągamy kondensatory i w drogę.

Wyglądało na to, że można się dostać do komór kondensatorów. Wystarczyło tylko się do nich opuścić.

— Jest jeszcze jedna możliwość — zaproponował MacAllister. — Może spróbować tym polecieć?

— Jest nieźle poobijany — rzekła Hutch.

— Mamy SI. Nie musimy wchodzić na pokład, żeby wystartować.

Z wyrazu twarzy Kellie widać było, że się zgadza.

Pomysł był realny. Jeśli lądownik nie był zbyt ciasno zakleszczony, może dzięki silnikom sterującym udałoby się go uwolnić. Może udałoby się wystartować, wylądować przy wieży, wsiąść na pokład i polecieć do domu.

Ale wyglądał na nieźle zakleszczony. I pewnie tak było.

Dziób lądownika był pochylony o jakieś dziesięć stopni.

MacAllister dostrzegł powątpiewanie na twarzy Hutch.

— Czemu nie? — upierał się. — Jeśli jesteśmy w stanie zmusić go do współpracy tak, żeby nie musiała pani ryzykować życia, schodząc tam i otwierając komorę silnika, to czemu nie? — Użycie tej formy było celowe. Przypomniał jej, kto tu dowodzi i kto zatem powinien podjąć ryzyko.

— Najprawdopodobniej uda się tylko rozwalić dach kabiny — rzekła Hutch.

— I co z tego? Jeśli nie możemy go wydostać, to chyba jest nam wszystko jedno, czy jest w jednym kawałku? Kellie potrząsnęła głową.

— Ryzykujemy wybuch — rzekła. — Jeśli rozwalimy kabinę i pękną zbiorniki paliwa, wszystko spłonie. Łącznie z kondensatorami.

— Nawet jeśli spróbujemy go tylko poluzować? — spytał Nightingale.

— Możemy spróbować — rzekła w końcu Hutch. Miała na linii oficera dyżurnego „Wieczornej Gwiazdy” i opowiadała mu, co chcą robić.

— Jest pani pewna? — spytał.

— Nie — odparła, po czym poprawiła się: — Tak. Potrzebujemy pomocy.

Oficer dyżurny przemówił do SI lądownika:

— Glory, słyszysz mnie?

— *Słyszę cię, Mark.*

— W jakim jesteś stanie?

SI działała w oparciu o dane liczbowe i warunki. Hutch pomyślała, że szkoda może być mniejsza, niż wygląda. Mogło dojść do uszkodzenia obwodów, co oznaczało problemy ze sterowaniem. Może dałoby się je wymienić na części z drugiego lądownika. Może dałoby się nim polecieć do „Tess” i złożyć w pełni sprawny statek z tych dwóch.

SI zameldowała, że silniki sterujące są w porządku, podobnie jak ciąg główny. — Mogą być jednak problemy z równowagą.

— Jest przechylony na jedną stronę — rzekła Kellie.

Pojazd ważył jakieś osiem ton.

— Glory — rzekł oficer dyżurny — następny głos, jaki usłyszysz, będzie głosem Priscilli Hutchins. Chcę, żebyś ją zakodowała. Potem wypełniaj jej polecenia.

— *Tak jest, Mark.*

— Dalej, Hutch. Jest twoja.

— Glory, mówi Priscilla Hutchins.

— *Cześć, Priscilla.*

— Włącz system unoszenia i podnoś nos, aż powiem ci, żebyś przestała.

Usłyszeli zgrzyt metalu o ścianę rozpadliny Spadł kawałek skały, a lądownik osunął się głębiej.

— Glory, stop.

— *Priscillo, nie mam swobody ruchów.*

— Spróbujcie odpalić rakiety — podsunął MacAllister. — To powinno go uwolnić.

— Raczej rozwalić — mruknęła Kellie. Pochyliła się i spojrzała w dół. — Moglibyśmy spróbować odciąć trochę skały.

Nightingale skrzywił się.

— Osunie się jeszcze głębiej. Jeśli zmieni pozycję, możemy stracić dostęp do kondensatorów.

Miał rację. Największe szanse wiązały się z pierwotnym pomysłem: wymontować kondensatory, potem dotrzeć do drugiego lądownika. Ale tak dobrze, tak elegancko, byłoby uwolnić ten statek.

Chiang dostrzegł wahanie na jej twarzy.

— To twoja działka, Hutch. Wywołaj ją.

MacAllister spojrzał w niebo.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jesteśmy w rękach fachowców. Sądzę, że powinniśmy postawić wszystko na jedną kartę, kazać SI, żeby próbowała się uwolnić. Skończyć z tym.

Poniżej statku ściany opadały, stopniowo zwężając się, aż zagłębiały się w śniegu. Każdy, kto by tam spadł, już na zawsze stałby się częścią rozpadliny.

— Nie — odparła. — Glory to nasz bilet powrotny. Musimy o nią dbać.

— Ja tam zejdę — podsunął Chiang.

Dostrzegła, że nie podchodzi do tego pomysłu ze szczególnym entuzjazmem. Sama też nie przepadała za urwiskami. MacAllister miał jednak rację: to był jej obowiązek, który z przyjemnością by z siebie zrzuciła, gdyby tylko Chiang nie wyglądał na tak wystraszonego.

— Nic z tego — rzekła, starając się mówić stanowczo — ja to

zrobię.

Miała nadzieję, że ktoś, może Kellie, będzie próbował jej to wyperswadować. Chiang skinął głową z ulgą. Spytał, czy jest pewna.

— Tak — odparła.

Kellie zrzuciła kamień i patrzyła, jak w ciszy toczy się po śniegu aż na dno.

— Hutch, tam jest głęboko.

Dzięki, Kellie. Tego mi było naprawdę trzeba. Głośno jednak nie powiedziała nic. Nightingale zbadał sytuację.

— Po prostu opuścimy cię i wyciągniemy. Nie ma możliwości, żebyś spadła. Będziesz bezpieczna, chyba że lądownik osunie się w niewłaściwym momencie.

— W ten sposób na pewno ją pan pocieszy — mruknął MacAllister.

Hutch zwróciła się do oficera dyżurnego, by potwierdzić, że nadal ma kontrolę głosową nad SI. Gdy była zajęta rozmową, Kellie i Nightingale wrócili do wieży i przynieśli dwa kawałki liny. Hutch obwiązała sobie jeden wokół pasa i podała drugi koniec Chiangowi, na drugim sznurze zawiązała zaś pętlę i oddała go Kellie.

— Rzuć mi ją na dół na mój znak.

— Tylko uważaj — włączył się Marcel.

MacAllister zaskoczył ją. Wyglądał na szczerze zatroskanego, ale zastanawiała się, czy przypadkiem nie jest to raczej troska o to, czy nie spadnie, zanim nie odzyska kondensatorów.

— Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Nie ma takiej potrzeby. Przecież wystarczy powiedzieć SI, żeby dała po gazie.

Była wzruszona.

— Wystarczy, jak pan pomoże Chiangowi.

W pobliżu nie było żadnego drzewa ani innego obiektu, do którego można by przywiązać linę, więc Chiang i MacAllister wbili w ziemię kilka słupków. Kiedy skończyli i przywiązali ją, Hutch wzięła głęboki oddech, podeszła tyłem do rozpadliny, poczuła pustkę za sobą i uśmiechnęła się niepewnie do Kellie.

Kellie pokazała jej uniesiony kciuk.

Wiedziała, jak to robią profesjonaliści, zapierając się stopami o ścianę i schodząc w dół. Nie potrafiła jednak aż tak dobrze utrzymać równowagi, więc po prostu przykucnęła nad brzegiem i zawisła nad przepaścią.

— Dobra, chłopaki — rzekła. — Opuszczajcie.

Zrobili, co im kazała, a ona starała się patrzeć na ścianę koloru ziemi, chropowatą i pełną drobnych kamyczków. Kellie obserwowała ją i przekazywała obu stronom instrukcje i słowa zachęty.

— Hej, Hutch, świetnie ci idzie.

— Uwaga, teraz będzie pokonywać przewieszkę. Bryłki śniegu i

kamyczki obluzowywały się i spadały do rozpadliny.

Nie było czego się złapać. Poniewczasie zorientowała się, że powinna była obwiązać liną uda zamiast przywiązywać ją do pasa. Lina przesuwała się do góry, podciągając jej pas pod kamizelkę. Pole Flickingera nie zapewniało wystarczającego oporu.

— Wszystko w porządku, Hutch?

— W porządku. Opuszczajcie dalej.

Trzymała się mocno liny, tak mocno, że mięśnie zaczęły ją boleć. Powtarzała sobie, że powinna się trochę rozluźnić, i usiłowała dostrzec lądownik, zarazem starając się nie patrzeć w przepaść. Osypało się na nią trochę ziemi i śniegu.

Kellie i Nightingale spoglądali przez krawędź i pomyślała, że powinni bardziej uważać. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, było, żeby jedno z nich wylądowało jej na kolanach, ale kiedy im to powiedziała, oboje wyglądali na zaskoczonych.

— Jeszcze trochę — powiedziała Kellie do dwójki trzymającej linę.

Lądownik był bezpośrednio pod nią. Sięgnęła lewą stopą i trafiła w pustkę, więc rozluźniła trochę pas, spróbowała ponownie i tym razem dotknęła metalu. Odetchnęła, gdy nie poruszył się pod ciężarem jej ciała.

— OK — oznajmiła. — Jestem na pokładzie.

Choć była przypięta liną, bezpieczniej czuła się klęcząc, a nie stojąc na kadłubie statku. Kadłub wyglądał trochę kanciasto, ale był opływowy i aerodynamiczny. Gdziekolwiek go dotknęła, miała wrażenie, że się zakrzywia. Przycupnęła nad sterburtą i zajrzała przez okna do kabiny. Drzwi między ładownią a kabiną były otwarte. Bagaż wypadł z bębnów i leżał oparty o dolną gródź.

Najważniejsze najpierw. Sięgnęła do modułu komunikacyjnego, otworzyła go i wyjęła tyle części, ile tylko zdołała. Wzięła też łączniki i upchała je w kamizelce.

Kadłub zwężał się w stronę ogona. Przesunęła się ostrożnie w tym kierunku, tam, gdzie znajdowały się komory kondensatorów.

Były rozmieszczone po obu stronach statku, po jednej z każdej burty, mniej więcej w połowie długości. Z perspektywy Hutch jedna była skierowana w górę, druga w dół. Podeszła do tej, która była łatwiej dostępna.

— Glory — odezwała się — słyszysz mnie?

— *Słyszę cię, Priscillo.*

— Mów mi Hutch. Jakbyś mogła otworzyć komorę na sterburcie.

Klapa odskoczyła. Kondensator nie przypominał tych, które znajdowały się w jej lądowniku. Był szeroki, srebrzystobrązowy i płaski. U niej było to ciemnoniebieskie pudło. Zastanowiła się, czy uda się wcisnąć do „Tess”, i doszła do wniosku, że nie, ale to nie problem,

bo można je ułożyć na tylnym siedzeniu i podpiąć kablami.

— Glory — powiedziała — odepnij kondensator.

Usłyszała ciche kliknięcie. Moduł wysunął się.

— OK, Kellie. Dawajcie tu drugą linę.

Kellie udało się zrzucić linę po kilku próbach. Hutch przywiązała ją starannie do kondensatora, zawiązała węzeł i spojrzała w górę. Kellie pomachała jej.

Hutch wrzuciła różne części zapasowe z modułu łączności do torby i także przywiązała ją do liny.

— W porządku. Możecie ciągnąć.

Pociągnęli. Hutch pomagała im, aż wyciągnięty z komory kondensator zawisł z dala od statku. Kellie wychyliła się, starając się trzymać go z dala od ściany, by nie uszkodzić. Kołysał się, wędrując do góry, aż zniknął za krawędzią. Chwilę później lina spadła z powrotem w jej kierunku. Hutch złapała ją.

Zaczęła właśnie przemieszczać się w kucki do tyłu, kiedy statek opadł o kilka centymetrów. Nie było to wiele, ale serce jej zamarło. Wszyscy zaczęli dopytywać się, co się stało i czy nic jej nie jest.

— W porządku — odparła, starając się, by głos jej nie drżał. — Schodzę na dół.

Zsunęła się po kadłubie i zawisła na linie.

— Opuście mnie trochę. Powoli.

— Powiedz nam ile — rzekła Kellie.

— Jeszcze trochę.

Opuszczała się po kadłubie, aż dostrzegła klapę. Tę dolną.

— Glory, czy drugi kondensator tkwi nadal bezpiecznie w komorze?

— *Tak, jest tam, Hutch.*

— Otwórz komorę.

Cisza.

— *Nie mogę, Hutch. Nie reaguje.*

— Dobrze. Spróbuję ręcznie.

Otworzyła klapkę, znalazła dźwignię i pociągnęła ją. Ale klapa nie drgnęła.

— Nie działa. Kellie?

— Tak?

— W wieży jest metalowy drążek. Niech ktoś go przyniesie.

Kellie rozmawiała z nią, opowiadając, że kondensator wygląda na sprawny i wszystko jest pod kontrolą, a ktoś poszedł poszukać narzędzia. Po chwili włączył się MacAllister.

— Mamy go.

Minutę później opuścili jej drążek na linie. Złapała go i wróciła do pracy.

Komora kondensatora wisiała nad jej głową. Hutch podniosła

wzrok i spróbowała włożyć drążek pod krawędź metalu.

— *Od góry* — podpowiedziała Glory — *Problem jest gdzieś w górnej części.*

Trudno było pracować bez podparcia i naciskać mocno na drążek, kiedy nie miała nawet na czym oprzeć stopy.

— Radzisz sobie jakoś? — spytał Chiang.

Drążek był ciężki. Szybko zaczęły ją boleć ręce, a raz o mało go nie upuściła. Klapa komory zacięła się na amen.

— W porządku — odparła.

Walczyła dalej, aż Chiang powiedział, że to za długo trwa: powinni wyciągnąć Hutch i pozwolić jemu spróbować.

— Chiang uważa — zameldowała Kellie — że przydałby się na dole ktoś silniejszy.

— Pewnie ma rację. — Hutch wsunęła drążek do kamizelki i przez minutę pozwoliła rękom odpocząć. Choć miała chłopięcą budowę ciała, jak większość kobiet miała trochę masy w górnej jego części i musiała walczyć, żeby się nie wywrócić. — Spróbuję jeszcze raz — zapowiedziała. — Jeśli mnie się nie uda, chętnie przekażę sprawę Chiangowi.

Kamizelka wpijała się jej w ciało pod pachami prawie do krwi. Zmieniła pozycję, wyjęła drążek i spróbowała jeszcze raz. Pracowała z coraz większą zawziętością i w końcu udało jej się wsunąć drążek do komory. Pociągnęła w dół, wepchnęła go głębiej i pociągnęła jeszcze raz. Coś w środku ustąpiło i klapa stanęła otworem. Kondensator wypadł i zawisł.

— Mam go — rzekła. Włożyła pręt za pas, sięgnęła do komory, pomacała i uznała, że ma tam wystarczająco miejsca. Obwiązała kondensator wokół przedniej i tylnej części i zabezpieczyła go.

— Dobrze — rzekła. — Pociągnijcie trochę. Tylko delikatnie.

Wykonali polecenie. Hutch wyszła spod komory.

— Glory — odezwała się.

— *Tak, Hutch?*

— Zwolnij kondensator.

Wypadł z komory i zakołysał się. Lina wytrzymała, węzły też. Hutch poczuła wielką ulgę, że nie spadł na dno rozpadliny.

Gdy wyciągnęli drugi kondensator, oparła się pokusie, by natychmiast wydostać się z rozpadliny, i wcisnęła się do środka przez śluzę.

Wygrzebała tyle gotowych dań, ile tylko zdołała: śniadania, obiady i kolacje zapakowane w samoczynnie podgrzewane opakowania. Nie były jakimś dziełem sztuki kulinarnej, ale jako coś, co można zjeść podczas wędrówki na obcej planecie, były aż za dobre. Wzięła kilka paczek kawy, dwie butelki wina, jakieś kanapki i owoce z

lodówki. W kuchni były nietłukące naczynia, sprzęty i kubki. Zatrzymała się przy zbiorniku na wodę. To im się podczas długiej podróży przyda. Wyjęła go, opróżniła, poskładała i włożyła do kamizelki.

Były tam inne przydatne rzeczy: ręczniki, ściereczki, szczoteczki do zębów, mydło, dodatkowy skafander, latarnia, para kombinezonów „Wieczornej Gwiazdy", więcej liny, dwa plecaki i apteczka.

Lądownik osunął się o kolejne kilka centymetrów.

Spakowała wszystko do plastikowych toreb, a tamci wyciągnęli je na linie. Kellie błagała ją, żeby nie kusiła losu.

— Już wychodzę.

— *Hutch?* — odezwała się Glory.

— Tak, Glory?

— *Wychodzisz?*

— Tak.

— *I nie wrócisz?*

— Nie, Glory. Nie wrócę.

— *Wyłączysz mnie?*

Na kondensatorach była nazwa producenta, Daigleton Industries, data produkcji — zeszłoroczna — i logo Daigleton, stylizowany atom.

Położyli je na stole i osłonili plandeką. MacAllister wywołał Hutch na prywatnym kanale.

— Może powinniśmy zostawić tu kogoś, żeby ich pilnował do naszego powrotu.

— A kto niby miałby coś z nimi zrobić?

— A kot?

— Ciekawe, na co mu one. — Poprawiła plandekę. — Nie, bezpieczniej będzie, jeśli będziemy trzymać się razem. Jeśli ta planeta jest aż tak niebezpieczna, jak Randy sądzi, nie powinniśmy nikogo tu zostawiać.

— Gratulacje, Hutch. Dobra robota. — W głosie Marcela słychać było zachwyt, ulgę i odprężenie. Czy on naprawdę cały czas śledził to, co się działo?

— Dzięki, Marcelu. Banda rozbitków się cieszy.

— Rozumiem. A tak poza tym, mam dla was wiadomość z Akademii.

— Przeczytaj.

— Temat brzmi: „Obcy na Deepsix". Treść: „Priscillo, niniejszym polecamy, byś podjęła próbę uratowania wszystkich tubylców Deepsix, jakich znajdziesz. Tego wymaga od nas człowieczeństwo. Podpisano: Przewodnicząca Komisji".

MacAllister prychnął.

— Gomez wydaje się, że tworzy historię. „Tego wymaga od nas człowieczeństwo”. Co za idiotka. Będą się z niej śmiać przez kolejne tysiąc lat.

CZĘŚĆ II
PODRÓŻ LĄDOWA

XIII

Jedną z podstawowych cech durnia jest to, że papla w kółko o tym, jak to wspaniale jest na łonie przyrody. Światło księżyca. Ostre, rześkie powietrze. Wiatr szumiący wśród drzew. Przelatujące w górze ptaki. Możecie być pewni, że znają to tylko z VR. W ten sposób nawet nie naniosą sobie błota do domu.

Gregory MacAllister, „Harcerstwo i inne zboczenia" (Dziennikarz na wolności)

Czas do rozpadu (prognoza): 240 godzin

Stopili śnieg, przegotowali wodę i wypili ją. W lądowniku była woda, ale nie mieli sposobu, żeby ją odzyskać. MacAllister krakał, że do wieczora wszyscy dostaną wysypki. Po czym dodał, już poważniejszym tonem, że chyba powinni zacząć uczyć się polować. Obliczyli, że mają jedzenie na sześć dni. A to oznaczało, że przy „Tess" zjawią się o pustych żołądkach.

Mieli iść na południowy zachód, ale nie mogli iść prosto, bo nie było sposobu, żeby pokonać rozpadlinę, która teraz rozcinała krajobraz po horyzont.

Zrobili rakiety śnieżne, spakowali sprzęt i żywność do toreb na próbki i dwóch plecaków, które Hutch wyciągnęła z lądownika. Hutch wręczyła MacAllisterowi laser tnący i pokazała, jak go używać. Ostatni raz rzucili okiem na wieżę i kondensatory, po czym ruszyli równiną.

— Za dzień albo dwa śnieg się skończy — powiedział Marcel. To była dobra wiadomość. Mając glebę pod nogami będą mogli szybciej się poruszać. Dla obu starszych mężczyzn była to jednak męka. Nightingale już po kilometrze marszu dorobił się bąbla. Hutch posmarowała go maścią z apteczki. Po kolejnej godzinie MacAllister zaczął utykać i narzekać.

Pierwszym niełatwym zadaniem, jakie przed nimi stało, było obejście wąwozu. Maszerowali wzdłuż północnego brzegu, na tyle wolno, żeby najsłabsza dwójka mogła dotrzymać im kroku. Hutch zastanawiała się, czy MacAllister przypadkiem nie miał racji, że jego i

Nightingale'a należy zostawić, bo zwiększyłoby to ich szanse.

Na leśnej polanie ogłosili postój i zrobili dla wszystkich kije.

— Nie potrzebuję czegoś takiego — zaprotestowała Kellie.

— Ale używaj ich i tak — upierała się Hutch. — Będziesz się mniej męczyć.

Nightingale przyjął swój z wdzięcznością. MacAllister mężnie walczył z dyskomfortem i uśmiechał się.

— Wszyscy dobrze wyglądamy z kijami — rzekł. — Dodają nam rozmachu.

Obchodzenie wąwozu zakończyli dopiero późnym popołudniem. Rozpadlina zwężała się, aż wreszcie zaczynała się gładka równina. Skręcili na południowy zachód.

Widzieli kilka ptaków, na co Nightingale reagował zawsze tłumionym przerażeniem, aż wreszcie spotkali pierwszy większy okaz miejscowej fauny. Był rozmiarów łosia, kudłaty, z białym futrem i niepokojącymi błękitnymi oczami, które spokojnie wpatrywały się w nich, jak pomyślała Hutch, z jakąś chłodną inteligencją. Stworzenie nie wyglądało na szczególnie groźne. Wetknęło pysk do lodowatego strumienia i nie podniosło głowy, gdy się zbliżyli.

Wyjęli broń, włączyli zasilanie i rozproszyli się.

Spojrzało na każdego z nich po kolei, ze szczególną uwagą wpatrując się w Hutch, jakby wiedziało, że to ona jest przewodnikiem tej grupy.

Hutch spojrzała na wystraszone twarze i drżące dłonie towarzyszy, doszła do wniosku, że oni stwarzają większe zagrożenie niż ten stwór, i przemieściła się poza linię strzału MacAllistera.

Kiedy ostatnia osoba mijała stwora, przeraził ich, stając na tylnych nogach i strosząc twardy kostny grzebień otaczający jego szyję. Kołnierz kończył się dwoma długimi kolcami, po jednym z każdej strony przy szczęce. Stworzenie miało pełen pysk zębów przypominających rekinie i permanentny uśmiech, przypominający Hutch aligatora.

— Chyba miało dobrego dentystę — szepnął MacAllister.

Stworzenie przyjrzało się Nightingale'owi i pokazało mu zęby. Nightingale zamarł.

Zaostrzone grzebienie chroniły brzuch i plecy zwierzęcia. Jego pazury wyglądały jak sztylety.

— Tylko spokojnie — rzekła Hutch. Egzobiolog stał bez ruchu, z szeroko otwartymi oczami. Hutch powoli wsunęła się między niego a stworzenie. Zakołysało długimi szczękami w jej stronę, spojrzało na Nightingale'a i zawahało się.

— Nie należymy do jego łańcucha pokarmowego — rzekł Chiang.

MacAllister prychnął.

— Zanim dojdzie do tego wniosku, komuś się oberwie.

Patrzyło na nich, pewnie czekając na jakiś nieprzyjazny gest z ich strony.

Wadą lasera tnącego był fakt, że miał on ograniczony zasięg. Ustawiony na pełną moc, trafiał zaledwie na kilka metrów. MacAllister wycelował broń i przesunął palec na spust. Widać było, że ma zamiar strzelić.

— Nie. — Hutch nie spuszczała oczu ze zwierzęcia. — Niech pan tego nie robi. Cofnijcie się wszyscy.

— Dlaczego po prostu go nie zabijemy, skoro możemy? — upierał się dziennikarz.

— Powoli — dodała Hutch.

MacAllister skrzywił się.

— Popełnia pani błąd.

— Róbcie, co mówię — z głosu Hutch emanował chłód.

Zwierzę poobserwowało ich jeszcze przez chwilę, po czym najwyraźniej straciło zainteresowanie. Opadło na cztery nogi i znów zaczęło pić.

Oddalili się na bezpieczną odległość.

— Uff — Kellie najwyraźniej ulżyło.

Nightingale pomyślał, że nawet udało mu się wyjść z twarzą z tego doświadczenia. Nie uciekł i był gotów do użycia broni, gdyby zaszła taka potrzeba. Z trudem jednak opanował drżenie nóg.

— Wszystko w porządku? — zwróciła się do niego Hutch.

Pokiwał głową i próbował się uśmiechnąć.

— W porządku — odparł.

Nie mieli kompasu. Marcel śledził ich drogę z pokładu „Wendy" i czasem podawał im korektę kursu. Krajobraz był nadal pusty, zimny, nieprzyjazny. Pod koniec dnia zobaczyli dalsze wzgórza. Czasem przeleciało jakieś stado ptaków.

Nightingale stanowczo nie cieszył się kondycją wystarczającą, by brać udział w takich eskapadach. Wszystko go bolało. Trochę pocieszała go świadomość, że MacAllisterowi wcale nie jest lepiej. Hutch, która była świadoma tego, że jest obarczona dwoma osobami z zasady preferującymi taksówki, często zarządzała przerwy.

Pozostała czwórka nieustannie gadała. Chiang i dwie kobiety najwyraźniej zaakceptowały MacAllistera mimo jego szorstkości. Nightingale'owi znów życie utrudniała jego naturalna skromność i defensywna postawa. Próbował rzucać cięte uwagi i złośliwe przytyki, ale nie udawało mu się to. Nikt nie chciał go słuchać. Był autsajderem, więc coraz częściej rezygnował i skupiał się na tym, żeby po prostu posuwać się do przodu.

To nie powinno tak wyglądać. W końcu byli jedynymi istotami ludzkimi na tej planecie. Już ten sam fakt powinien skłonić ich, by trzymali się razem, nie dzieląc się na grupy i nie wyłączając nikogo ze

społeczności.

To nie było fair, zwłaszcza w świetle tego, że dzięki niemu zyskali szansę przetrwania.

O zachodzie słońca potężnie utykał i Kellie musiała mu pomagać. Wyszli na polankę i Hutch zarządziła przerwę. Nightingale z ulgą opadł na ziemię, wyłączył pole, zdjął buty i potarł stopy. Boże, co za miłe uczucie.

Nałożył sobie trochę balsamu z apteczki. Ciepło rozeszło mu się po stopach, poczuł ulgę.

Pozostali milczeli.

Coś poruszyło się w krzakach.

Sięgnęli po broń.

Stworzenie wyglądało jak wielki skorpion, skorpion rozmiaru dziecinnego wózka. Miało parę czułków, które podrygiwały rytmicznie. Żuwaczki wydawały głośny dźwięk. Ciało wieńczył krótki, składający się z dwóch części ogon. Zwierzę stało na ośmiu nogach.

— Nie ruszajcie się — zarządziła Hutch.

To nie pomogło. W tej samej chwili stworzenie skoczyło w stronę Chianga. Chiang upadł na plecy, strzelając szaleńczo. Hutch i Kellie strzeliły równocześnie. Stwór odskoczył, wydając rozpaczliwy dźwięk, zmienił kierunek i ruszył w stronę Hutch. Znów zaliczył trafienie, uderzył w skałę, przetoczył się na grzbiet i upadł, podrygując nogami.

— To największy owad, jakiego w życiu widziałem — rzekł Chiang, wstając.

MacAllister przyjrzał się laserowi.

— Niezła broń. Kiedy się wyładuje? Ile zużywa energii?

— Naładuje się sama — odparła Hutch. — Tak jak skafander. Ale oczywiście są pewne ograniczenia. Proszę się tym nie bawić.

Stworzenie nie było, rzecz jasna, skorpionem. Różniło się od niego nie tylko rozmiarami i kształtem ogona, który zresztą nie był zakończony żądłem. Zwężenie między głowotułowiem a częścią brzuszną było jakieś inne. Oczy nie pasowały. Segmenty były niezwykłe. Szczypce — mniejsze. Głowa — silniej opancerzona. Nie po raz pierwszy Nightingale pożałował, że nie dane im było poznać biologii tego świata.

Niektórzy sugerowali, by zatrzymać się na noc, ale w końcu ustalili, że lepiej będzie brnąć do przodu.

Nightingale nie mógł przyzwyczaić się do krótkich dni. Kiedy wreszcie rozbili obóz, godzinę później, był śmiertelnie głodny i zmęczony. Znajdowali się w rzadkim lesie, na skraju długiego, łagodnie zakrzywionego wąwozu. Ściemniało się.

Gdzieś wysoko w górze, między gwiazdozbiorami, latały statki nadświetlne, a on tak bardzo chciał znaleźć się na pokładzie jednego z nich. Jakoś się jednak trzymał. Rozdzielili gotowe posiłki.

Nikt nie był ubrany odpowiednio do klimatu. Najgrubszym elementem odzienia, jakie mieli, był prawdopodobnie sweter MacAllistera. Dwie kobiety miały na sobie kombinezony. Chiang — lekką koszulę i szorty. Cienkie spodnie i sportowa koszula Nightingale'a także były przeznaczone do znacznie łagodniejszego klimatu. To oczywiście nie miało większego znaczenia, ale musieli wyłączać e-skafandry, żeby jeść.

Pozbierali drewno i zapalili ognisko. Kiedy już paliło się równo, uruchomili samoczynnie ogrzewające się pojemniki. Po chwili, jak na sygnał, podeszli najbliżej do ogniska, jak się tylko dało, wyłączyli skafandry i zaczęli przeżuwać drób, wołowinę i inne rzeczy, które znalazły się w ich porcjach. Wszystko smakowało tej nocy wspaniale.

Kellie przygotowała kawę. Nightingale przełknął ją szybko i włączył e-skafander. Nienawidził szybko jeść, kiedy był tak bardzo głodny. Ale było mu też tak zimno, że nie zamierzał zwlekać.

Odbyli naradę wojenną i ustalili, że nadszedł czas, by skosztować miejscowej flory i fauny i oszczędzać porcje. Gdyby miało się okazać, że rodzime twory są niejadalne, zarządzą wydzielanie racji. W lesie powinna być jakaś zwierzyna, a Kellie, ku przerażeniu pozostałych, zaproponowała, żeby skosztować skorpiona. Jeśli jakiś się pojawi.

Nikt nie podjął tematu.

Zwrócili się do Nightingale'a, miejscowego eksperta. Czy ma jakieś pojęcie, co tu można znaleźć? Czy lokalna żywność jest jadalna?

— Nie wiem — odparł. — I nikt nie wie. Zakończyliśmy misję w pośpiechu, a to, czego się dowiedzieliśmy, trudno uznać za wiążące. Miejscowe życie oparte jest na lewoskrętnych, nie prawoskrętnych białkach — to dobrze. Do budowy białek wykorzystuje DNA. Pewnie można się jakoś pożywić, ale mam wątpliwości. Tak samo prawdopodobne jest, że się czymś strujemy. A przecież mamy gotowe porcje, i chodzi zaledwie o parę dni.

— Chciałem tylko powiedzieć — zamilkł na sekundę, po czym mówił dalej — że nie musimy się o to bardzo martwić. Chodzi jedynie o zaspokojenie głodu. Możemy wydzielać żywność po pół porcji. Ale to nam nie pomoże w marszach na długie dystanse. I nie mamy jak sprawdzić, czy coś nie zawiera trucizn albo alergenów. Jeśli trafi się jakaś trucizna, może się zdarzyć, że nasz układ odpornościowy w ogóle jej nie rozpozna, a jeśli nawet — nie będzie w stanie z nią walczyć. Wydaje mi się, że jesteśmy raczej bezpieczni, ale nie mogę tego zagwarantować.

Hutch pokiwała głową, wywołała Embry na „Wildside" i poprosiła o radę.

— Najlepiej byłoby nie zbliżać się do niczego miejscowego.

— To wkrótce wszyscy będą bardzo głodni.

Embry nie lubiła tracić czasu na rozmowy, które ją irytowały.

— Lepiej być głodnym niż martwym. — Nastąpiła cisza, po czym kobieta dodała: — Jeśli już naprawdę musicie, to niech ktoś najpierw zje mały kawałek. Ale naprawdę mały. Bardzo mały. Potem poczekajcie trochę. Co najmniej pół godziny. Jeśli królik doświadczalny nie zacznie wymiotować ani nie dostanie biegunki…

— …ani nie padnie na ziemię — wtrącił MacAllister.

— …ani nie padnie na ziemię, możecie próbować dalej. — Embry wzięła głęboki oddech. — Hutch — odezwała się — jest mi naprawdę przykro z powodu tego, co cię spotkało.

— Daj spokój. Przecież to nie ty wywołałaś to trzęsienie ziemi.

— A jednak… Cóż, życzę wam dużo szczęścia. Jeśli mogę wam jakoś pomóc, to chętnie.

— Wiem.

Pierwszego dnia przeszli jedenaście kilometrów. Nie tak źle, biorąc pod uwagę, że rozpoczęli marsz późno, musieli obejść rozpadlinę i wędrowali po śniegu. Oczywiście nie mieli niczego, co mogłoby posłużyć za posłanie. Nightingale ułożył się przy ognisku najwygodniej jak mógł i zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie się czuł naprawdę komfortowo.

Zdecydowali, że przestaną dzielić dziewiętnastogodzinną dobę zgodnie ze standardowym pojęciem czasu, bo nikt nie wiedział, co dokładnie oznacza dziewiąta. Ustalili, że zamiast godzin będą się posługiwali określeniami: świt, zmierzch, północ, południe. Noc trwała jakieś dziewięć godzin, które dzielili na cztery wachty. Północ była wtedy, gdy wschodził Morgan.

Nightingale odpiął konwerter tlenu i położył go obok siebie, żeby nie gniótł go w ramiona, a dalej pracował. Zasnął na chwilę, obudził się, zauważył, że ogień przygasł, usłyszał, że ktoś dorzucił nową gałąź, znów zasnął, aż wreszcie obudził się i patrzył w gwiazdy.

Morgan przesunął się na zachód. Wyglądał, jakby otaczała go ramka z gwiazd. Kilka innych gwiazd ułożyło się pod kątem prostym, tworząc coś w rodzaju podstawy albo pnia. Ludy prymitywne uznałyby, że to gwiazdozbiór. Może kwiat. Albo drzewo. Albo puchar.

Morgan. Tak powszechnie określano planetę-zabójcę.

Lśniła w gałęziach, najjaśniejsza gwiazda na niebie.

Z zachodu nadciągały chmury. Kiedy Chiang ukląkł przy nim i powiedział, że teraz jego kolej, jedynym widocznym źródłem światła było ognisko.

Sprawdził laser i włożył noktowizor. Zatrzymali się na szczycie wzgórza, z którego roztaczał się widok na kilka kilometrów w obu kierunkach. Następnego dnia mieli pokonać płytką nieckę i zacząć długą wspinaczkę w gęstym lesie.

Kilka płatków śniegu spadło mu na ramię.

Nightingale spojrzał na śpiących. MacAllister zrobił sobie poduszkę z kupki śniegu. Kellie chyba się coś śniło, a sądząc z wyrazu jej twarzy — musiało być całkiem przyjemne. Przypuszczał, że Hutch nie śpi, ale leżała nieruchomo, z twarzą w cieniu. Chiang próbował się jakoś ułożyć.

W normalnych warunkach Nightingale byłby wściekły, że musi pełnić wachtę. Uwielbiał mieć myśli czymś zajęte. Czas nie spędzony na czytaniu książki czy rozwiązywaniu jakichś problemów był czasem straconym. Nie interesowało go włóczenie się po lesie i dwie godziny gapienia się w ciemność. Tej nocy jednak, stojąc na szczycie wzgórza i patrząc na wirujące płatki śniegu, Nightingale odczuwał przyjemność z tego, że żyje i czuje.

Marcel sprowadził „Wendy" z powrotem w okolice Deepsix. Czuł się lepiej, przebywając bliżej załogi naziemnej. Kończyli właśnie pierwsze okrążenie, kiedy Beekman wszedł na mostek.

— Marcelu, skończyliśmy analizę materiału pobranego z artefaktu.

— No i?

— To są ulepszone nanorurki węglowe.

— Co to jest?

— Dokładnie taki materiał, z jakiego chciałbyś zbudować windę orbitalną. Są bardzo lekkie i nieprawdopodobnie wytrzymałe. — Beekman opadł na krzesło i sięgnął po kawę. — Zabieramy ze sobą zupełnie nową technologię. To pewnie będzie rewolucja w budownictwie. — Spojrzał ze zdumieniem na kapitana. — O co chodzi?

— Nie mamy pomysłu, jak zabrać stamtąd tych ludzi.

— Czemu?

— Zbyt wiele rzeczy może pójść nie tak, jak powinno. „Tess" może okazać się niezdatna do lotu. Może im się nie udać dotrzeć tam na czas. Kondensatory mogą odmówić współpracy z napędem „Tess". Kolejne trzęsienie ziemi może pogrzebać wszystko tak, że nie da się niczego odzyskać.

— Nie mam pojęcia, co moglibyśmy zrobić, żeby to zmienić.

— Chciałbym mieć jakiś plan B.

Beekman uśmiechnął się cierpliwie.

— Pewnie, że chciałbyś. Wszyscy byśmy chcieli. A co proponujesz?

— Ten statek lecący na Quraqué. „Boardman". Jest wielki i pełen sprzętu budowlanego. Większość z tego sprzętu ma być używana do montażu baz naziemnych. Oglądałem listy przewozowe. Setki kilometrów lin. — Marcel położył nacisk na ostatnie słowo i Beekman od razu zrozumiał, do czego zmierza.

— Mów dalej — rzekł z kamienną twarzą.

— Dobrze. Gdybyśmy wzięli trochę lin z „Boardmana”, związali je razem w jedną linę o długości czterystu kilometrów i przywiązali jeden koniec do wahadłowca…

— …i rozbili wahadłowiec — dokończył Beekman.

— Właśnie. Niech leci najdalej jak się da, czyli parę kilometrów od powierzchni, zanim stracimy nad nim kontrolę. Rozbija się. Ale lina jest na dole. Na powierzchni.

— I za jej pomocą ich wyciągamy.

Marcel pomyślał, że to wydaje się za proste.

— To nie zadziała?

— Nie.

— Dlaczego nie, Guntherze?

— Ile waży lina?

— Nie wiem.

— Dobrze. Powiedzmy, że jakieś trzy kilogramy na metr bieżący. To wcale nie tak dużo.

— Dobrze.

— To znaczy, że jeden kilometr liny waży trzy tony. Marcel westchnął.

— Tylko jeden kilometr. A to coś ma sięgać na powierzchnię z orbity? Trzysta kilometrów?

Policzył szybko w pamięci. Lina ważyłaby około dziewięciuset ton.

— Rozumiesz, na czym polega problem, Marcelu.

— A gdyby ją zrobić z lżejszego materiału? Może z włókien konopnych? Mają konopie na pokładzie.

Beekman chrząknął.

— Taka lina miałaby bardzo niską wytrzymałość na rozciąganie. A jak myślisz, ile ważyłby jeden metr?

Siedzieli, pili kawę i patrzyli na siebie. Wywołali Nightingale’a, gdy miał wachtę, i spytali, czy wszystko w porządku, o której godzinie zamierzają wyruszyć rano i czy wszyscy sobie jakoś radzą.

Ostatnie pytanie miało sprowokować Nightingale’a do poinformowania ich o jego własnym stanie, ale ograniczył się tylko do stwierdzenia, że wszystko w porządku.

Marcel zauważył, że przestaje odczuwać związek z tymi, którzy zostali na powierzchni planety. Jakby ich już utracił.

XIV

Marsz przez ten las, wypełniony istotami z innego biosystemu, to niezwykłe przeżycie emocjonalne. Wszystkie już wymarły albo wymrą za parę godzin. Sześć miliardów lat ewolucji zostanie wymazane jednym pociągnięciem i nic nie zostanie. Nawet pióro z ogona.

I krzyżyk na drogę!

Gregory MacAllister, Dziennik Deepsix

Czas do rozpadu (prognoza): 226 godzin

Wszystkie wschody słońca na Deepsix były przygnębiające. Niebo było zasnute chmurami i wyglądało, jakby burza właśnie nadciągała albo już gdzieś szalała.

Kellie Collier stała na szczycie wzgórza, przyglądając się lasowi i równinie dookoła. W tej głuszy nic się nie poruszało, jeśli nie liczyć jakiegoś ptaka lecącego tak wysoko, że ledwo było go widać nieuzbrojonym okiem. Przyglądając mu się przez lornetkę, doszła do wniosku, że to wcale nie ptak. Miał futro, zęby, czaszkę jak dziobak i długi wężowy ogon. Gdy go obserwowała, opadł na kępę drzew i chwilę później wynurzył się z czymś wijącym się w szponach.

Odwróciła się w stronę południowego zachodu. Grunt opadał tam i stopniowo się wznosił, po czym wspinał się ostro, tworząc długie wzniesienie. Wzniesienie ciągnęło się od horyzontu do horyzontu. Trudno będzie tam przejść, wlokąc za sobą Nightingale'a i tego słynnego człowieka. Poczuła uderzenie wiatru; o mało nie zdmuchnął jej ze szczytu. Przypomniał jej, że mają sporą odległość do pokonania i mało czasu.

Hutch leżała w milczeniu przy ogniu i Kellie zauważyła, że ma otwarte oczy.

— No i jak tam? — spytała cicho.

— Trzeba ruszać — odparła Kellie.

Hutch skinęła głową.

— Dajmy im jeszcze pospać.

— Chyba powinniśmy jednak przyspieszyć.

— Nic nam nie pomoże, jak zaczną się załamywać.

MacAllister chrapał spokojnie z głową na jednym z plecaków. Nightingale leżał przy ognisku. Jego buty stały obok.

Kellie przysiadła koło niej.

— Mamy kawał drogi do przejścia.

— Damy radę — odparła Hutch. — Jeśli tylko nikt nie wysiądzie. — Spojrzała w ogień. — Nie chciałabym nikogo zostawić.

— Moglibyśmy po nich wrócić.

— O ile nie zostaliby pożarci. Myślisz, że którykolwiek z nich zdołałby przetrwać sam?

— Ktoś mógłby z nimi zostać.

Hutch potrząsnęła głową.

— Będzie bezpieczniej, jak będziemy się trzymać razem. Jeśli się rozdzielimy, na pewno ktoś jeszcze zginie. — Wzięła głęboki oddech i spojrzała na Kellie. — Będziemy się trzymać razem, dopóki się da. A jeśli ktoś opóźni marsz, zobaczymy, co się da zrobić.

Kellie myślała czasem o sobie jako o ostatnim pilocie myśliwców. Zaczynała karierę w siłach pokojowych jako pilot bojowy. Kiedy siły pokojowe przestały być potrzebne, jak to się zdarza średnio co pół stulecia, kiedy skończyła się ostatnia runda wojen domowych, a dyktatorzy zostali uciszeni, opanowała pilotaż statków kosmicznych i przeniosła się do Patrolu. Praca ta okazała się jednak bardzo rutynowa. W Patrolu nigdzie się nie latało. Jak sama nazwa wskazuje — patrolowało się. Kiedy ktoś się upił, nie dopilnował naprawy albo zachował się bezmyślnie, Kellie i jej koledzy pędzili na ratunek.

Nigdy jednak nie podróżowała naprawdę. Przypisano jej strefę i w niej latała, odwiedzając w kółko te same osiem czy dziewięć miejsc. I przez te wszystkie lata patrzyła na nadświetlne statki Akademii, powracające z planet, których nawet jeszcze nie nazwano. Albo z badań prowadzonych nad obłokami Omega. Albo z tych poświęconych zaginaniu przestrzeni przez gwiazdy neutronowe i czarne dziury.

Wytrzymała mniej niż rok i zgłosiła się do Akademii. Wynagrodzenie było o połowę mniejsze, statki bardziej spartańskie, dodatkowe świadczenia prawie nie istniały. Ale ludzie, z którymi podróżowała, mieli o wiele szersze zainteresowania. I kochała tę pracę.

Tego ranka jednak przychodziły jej do głowy różne myśli. Jak powiedziałby MacAllister, to tyle, jeśli chodzi o nudę.

Nightingale usiadł, rozejrzał się i westchnął.

— Podoba mi się ta kwatera — oznajmił. Wstał z trudem. — Wracam za minutkę.

Obudziła Chianga.

— Obowiązek wzywa. Idź z nim.

Chiang skrzywił się, zastanowił się przez sekundę, czego od niego chcą, wstał i ruszył za starszym mężczyzną. Nikt nie oddalał się sam. Latryna znajdowała się w połowie zbocza, w małym wąwozie. Odległość była wystarczająca, żeby zachować choć krztynę prywatności.

Kellie napełniła garnek śniegiem i postawiła go na ogniu.

MacAllister przetoczył się z boku na bok i spojrzał na nią.

— O której godzinie wyrusza wycieczka?

— Im szybciej, tym lepiej — odparła Kellie.

Hutch potarła oczy, zamknęła je, po czym otworzyła i spojrzała w szare niebo.

— Jeszcze jeden piękny poranek na Deepsix.

Wzięła głęboki oddech i wypuściła wolno powietrze, po czym zaczęła szukać swojego kubka i szczoteczki do zębów.

Na zachodzie coś się poruszało. Kellie uniosła lornetkę i spojrzała w dół trawiastego zbocza. Zbliżało się stado pokrytych futrem zwierząt. Były to wielkie, ospałe stworzenia, z trąbami i ciosami. Miały wyjątkowo brzydkie głowy, przypominające trochę głowy nosorożców. Patrzyła, jak obracają się od wiatru i znikają w lesie, ale jeszcze długo potem je słyszała.

Rozdali trochę gotowych dań. Kellie posiliła się bekonem, jajkami i duszonymi jabłkami, popijając wszystko kawą.

— Może podczas marszu spróbujemy coś upolować — zaproponowała Hutch.

— Dobrze. — MacAllister uniósł kubek z kawą. — Pewnie wszyscy nie możemy się doczekać, żeby skosztować lokalnych specjałów.

Kellie zastanawiała się, czy on potrafi zapytać o godzinę tak, żeby nie brzmiało to cynicznie.

Zeszli w dół południowym zboczem, mijając kępy drzew, i ruszyli pod górę. Pojawiły się jakieś niewielkie zwierzątka, nieco podobne do wiewiórek, i kilka większych zwierząt, które wyglądały na potencjalne źródło mięsa. Gdyby oczywiście komuś udało się podejść do nich z laserem. Niestety, nie pozwalały się do siebie zbliżyć.

— Przydałaby się jakaś broń strzelająca na większe odległości — podsunął Chiang.

Hutch spytała, czy ktoś kiedyś strzelał z łuku. Okazało się, że nikt.

Dolina się skończyła i ruszyli ostro pod górę, długim, coraz bardziej stromym zboczem, któremu Kellie przyjrzała się z ich wzgórza wieczorem. Śnieg stał się miękki i szło się coraz trudniej. Nightingale dorobił się kolejnych pęcherzy, a MacAllister męczył się i narzekał. Hutch zarządziła przerwę.

Słońce świeciło dokładnie nad ich głowami; została im jeszcze

jakaś godzina marszu do szczytu. Podzielili się pączkami. MacAllister upierał się, że czuje się dobrze i że powinni iść dalej. Nightingale zgodził się, choć widać było, że nie czuje się najlepiej. Wyruszyli.

Dotarli do grani i odkryli, że za nią grunt opada gwałtownie, by potem znów piąć się pod górę, ale już nie tak stromo. MacAllister skomentował, że ta cała planeta chyba jest pod górę.

Szli jeszcze przez godzinę, po czym zatrzymali się, zapalili ognisko i przygotowali kawę.

— Jeśli ktoś jest głodny, niech się zgłosi — ogłosiła Hutch. Dziewiętnastogodzinny dzień był jednak krótki, a lunch jedli tuż po śniadaniu. Nikt więc nie wykazywał chęci do zbędnego opóźnienia. — Zjemy wcześniej kolację — obiecała.

Podczas popołudniowego marszu Nathingale zameldował, że jest mu zimno.

Hutch sprawdziła jego sprzęt i odkryła, że plecak z zasilaniem nie działa jak powinien. Wymieniła kilka części na elementy zabrane z lądownika.

Rozpętała się dziwna burza. MacAllister skomentował, że przy tak niskich temperaturach nie powinno być błyskawic.

— Niektórzy z naszych ludzi mówią — odezwał się Marcel — że jest to skutek zbliżania się Morgana. Powoduje duże różnice między obszarami o małym i dużym ciśnieniu. I dlatego pogoda jest niestabilna.

Maszerowali wśród ulewy, w huku grzmotów. Deszcz zmienił się w śnieg, a ten w mokrą breję. Dzięki e-skafandrom nie mokli, więc brnęli do przodu.

Nathingale robił wrażenie pogrążonego we własnych myślach. Gdy szli, rzadko zdarzało mu się zatrzymać na czymś wzrok, a gdy Kellie się do niego odezwała, prosił o powtórzenie.

Trzymał się z dala od innych, nie reagując na próby podejmowania przez nich niezobowiązującej konwersacji. Nie odburkiwał i nie reagował gniewem, ale robił wrażenie, jakby przez te zamarznięte lasy szedł sam.

Kellie zauważył, że lampka na jego module łączności cały czas miga. Widziała, że nie rozmawia z pozostałymi. Może z kimś na „Wendy”?

W jej głowie zalęgło się pewne podejrzenie.

— Randy? — zwróciła się do niego na prywatnym kanale. Spojrzał na nią, jakby przebywał myślami gdzieś daleko.

— Tak, Kellie? Mówiłaś coś?

— Czy mogę zapytać, czego słuchasz?

— Teraz? *Agronomii na Quraquie* Bergdorfa. — Spojrzał na nią i uśmiechnął się. — To dla zabicia czasu.

Tak jak przypuszczała, połączył się z biblioteką jednego ze

statków.

— Tak — odparła. — Rozumiem. Ale chyba lepiej byłoby, gdybyś to wyłączył. To jest niebezpieczne.

— Dlaczego? — Przyjął postawę obronną.

— Bo w okolicy mogą być zwierzątka, które omyłkowo wezmą cię za hamburgera. Mamy pięć par oczu i potrzebujemy ich wszystkich. Wolałabym, żebyś nie dumał o niebieskich migdałach, kiedy wędrujemy po tej dzikiej krainie.

— Kellie — rzekł — to mi nie sprawia problemu. Mogę słuchać i rozglądać się…

— Randy, proszę. Po prostu zrób to.

— Bo jak nie, to dasz mi żółtą kartkę?

— Bo jak nie, to zabiorę ci laskę.

Westchnął demonstracyjnie, jedyny kulturalny człowiek pośród wszystkich barbarzyńców świata. Obserwowała go, dopóki nie nacisnął przycisku modułu łączności. Lampka zgasła.

— Teraz dobrze? — spytał. — Zadowolona?

Kellie dostrzegła, że Hutch też rozmawia. Rozejrzała się po pozostałych. Zawsze wiedziała, kto z kim rozmawia, bo ludzie patrzyli na siebie, gdy to robili. Chiang i MacAllister nie korzystali jednak z modułów. Pewnie oznaczało to, że Hutch rozmawia z Marcelem.

Tęskniła za Marcelem.

Kellie nie zdawała sobie dotąd sprawy z tego, ile dla niej znaczyło towarzystwo wysokiego Francuza. Pomyślała, że spojrzał na nią z zazdrością, kiedy zapytała, czy może polecieć na powierzchnię.

Teraz siedzieliby na „Wendy” i jedli wieczorny posiłek. Dużo by dała za to, by móc usiąść z nim przy jednym stole i porozmawiać o elegancji Duprego i Prousta.

Po chwili deszcz ustał i wyszło słońce. Niestety, poprawa była tylko chwilowa. Na zachodzie gromadziły się chmury.

Deszcz na zmianę ze śniegiem dręczyły ich przez prawie całą resztę dnia. Choć dzięki e-skafandrom nie mokli i nie marzli, wiatr utrudniał marsz, a deszcz zmniejszał widoczność. Poza tym Hutch zdawała sobie sprawę z istnienia pewnego zjawiska psychologicznego: kiedy oczy informują cię, że jest zimno i mokro, i zdajesz sobie sprawę z tego, że masz na sobie tylko dres, mózg dochodzi do wniosku, że powinieneś drżeć z zimna i czuć się paskudnie; trudno wtedy czuć się wygodnie. Nazywano to efektem McMurtriego.

Wyszli na grań i ruszyli w dół, ale stok był stromy, a raz musieli wręcz pomóc MacAllisterowi zejść ze skalnej półki. W końcu dotarli do rzeki. Wyglądała na głęboką, ale niezbyt rwącą.

— Jak tam z czasem? — spytała Kellie.

Marcel czuwał nad ich postępami, ale przesyłał raporty tylko

Hutch.

— Dziś przeszliśmy trzynaście kilometrów.

Kellie zmarszczyła brwi. Nie było to wiele, ale wystarczyło.

— Wszyscy potrafią pływać? — spytała Hutch.

Ku jej zaskoczeniu tylko Chiang nie posiadł tej umiejętności.

Rzeka była szeroka i wyglądało na to, że na środku jest dość głęboka. Z obu brzegów zwisały grube, poskręcane liście. Przyjrzeli się okolicy, wypatrując miejscowego odpowiednika aligatora, ale niczego nie zauważyli.

— Nadal nie wiemy, co jest w wodzie — rzekł Nightingale. — Powinniśmy zbudować tratwę.

— Nie mamy czasu — odparła Hutch. — Jeśli nawet coś tam jest, e-skafandry powinny sprawić, że nie będziemy postrzegani jako zwierzyna. W końcu nie będziemy wydzielać żadnego zapachu.

— Nie sądzę, żebyśmy mogli na to liczyć — rzekł Nightingale.

Hutch weszła do wody po uda. Czekali. Serce mocno jej biło, ale próbowała zachować spokój. Obserwowała rzekę i brzegi w poszukiwaniu jakiegoś gwałtownego ruchu. Nic się jednak nie pojawiło, a z każdą upływającą minutą czuła się coraz pewniej. Kiedy już wszyscy przekonali się, że powinno być bezpiecznie, znaleźli martwy pień, którego mógł chwycić się Chiang. MacAllister okazał się doświadczonym pływakiem. Chiang nie odzywał się, kiedy holowali go przez rzekę, ale Hutch dostrzegła, że jest zawstydzony. Byłoby mu o wiele łatwiej, pomyślała, gdyby Kellie tu nie było. Zauważyła z przyjemnością, że dla Kellie również jest to jasne, więc Hutch trzymała się blisko niego, co wywołało rozbawiony uśmiech MacAllistera, który zauważał wszystkie subtelności relacji między swymi towarzyszami.

Dotarli na drugą stronę bez przeszkód i ruszyli dalej. Teren stał się znów górzysty. Chiang, który dotąd prowadził, teraz zwolnił. Kellie wysunęła się przed niego i objęła prowadzenie. Odezwała się do niego na prywatnym kanale.

Właśnie jej odpowiadał, kiedy zaspa śnieżna podskoczyła, zawyła i rzuciła się w ich stronę. Hutch zauważyła tylko szpony, zielone oczy i zakrzywione zęby. Sięgnęła po laser, złapała go, ale wyśliznął jej się z dłoni i spadł.

Kellie, która znajdowała się bezpośrednio przed potworem, padła na ziemię i próbowała usunąć mu się z drogi. MacAllister sprawiał wrażenie, jakby zapomniał o laserze: uniósł swój kij i zdzielił stwora po głowie. Stworzenie splunęło, zawyło, po czym tuż przy twarzy Hutch wystrzelił promień lasera. Zwierzę zawyło wyższym tonem, po czym zamilkło. Hutch stanęła na nogach z pomocą Nightingale'a: potwór leżał, wijąc się. Miał wielką ranę na głowie; wylewała się z niej czerwonobrązowa, lepka ciecz. Patrzył na nią martwymi oczami.

Był mniej więcej rozmiaru niedźwiedzia. Chiang stanął przy nim z uniesionym laserem. Dostrzegł Hutch, skinął głową, wyłączył laser i opuścił broń.

Hutch sprawdziła, czy jest cała. Wyglądało na to, że wszystko ma na swoim miejscu.

— Nie widziałam go — rzekła, poklepując MacAllistera po ramieniu. — Dobra robota z tym kijem.

Kellie objęła Chianga i cmoknęła go w policzek.

— Co to jest? — spytał Chiang.

— Obiad — odparł MacAllister. — Jak dobrze pójdzie.

Powycinali kawałki mięsa i zapakowali je do plastikowych torebek.

Późnym popołudniem pokonali ostatnie wzniesienie; grunt zaczął łagodnie opadać. Burza ustała i po raz pierwszy od chwili opuszczenia wieży zobaczyli bezchmurne, błękitne niebo. Maszerowali do zachodu słońca, a nawet wtedy Kellie upierała się, by szli dalej. Tempo okazało się jednak za duże dla MacAllistera i Nightingale'a, więc Hutch ogłosiła postój koło kępy starych drzew, z których można było pozyskać drewno na ognisko i które zapewniały trochę prywatności. Przez cały dzień pokonali 18 kilometrów.

Całkiem nieźle.

— Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że szliśmy w tak trudnym terenie — oznajmił Nightingale, opadając na zwalony pień drzewa. — Teraz będzie bardziej płasko. I nie będzie śniegu.

MacAllister także wyglądał na wyczerpanego.

— Chiang — odezwała się Kellie — przynieśmy trochę drewna.

Podniosła uschniętą gałąź i wtedy, jak na sygnał, grunt się zatrząsł. Tylko trochę, przez kilka sekund.

Rozpalili ognisko i upiekli mięso. Pachniało dobrze, trochę przypominało sarninę.

— Kto zamierza spróbować?

Hutch wzięła kawałek, myśląc, że bycie liderem wiąże się też z niemiłymi obowiązkami. Zrobi to zgodnie z poleceniem Embry, bardzo wolno.

— Odkroję ci kawałek — rzekł Nightingale. Uciął wąski pasek, podniósł go tak, żeby widziała, a potem zaskoczył wszystkich: wyłączył skafander i ugryzł kawałek.

Obserwowali go.

— Dzięki — rzekła Hutch.

Wzruszył ramionami, przeżuł powoli, powiedział, że dobre, i przełknął, po czym znów włączył pole.

Hutch zastanawiała się, dlaczego to zrobił. Nightingale nie

stwarzał wrażenia kogoś, kto lubuje się w demonstracyjnych gestach. Podejrzewała, że na jakimś poziomie reaguje tak na obecność MacAllistera. Pokazuje mu, jak bardzo się mylił.

Minęło pół godziny. Mięso wyglądało na gotowe. Chiang nastawił wodę na kawę.

Nightingale nie wykazywał żadnych niepokojących objawów i ogłosił, że jeśli chcą, mogą sobie jeszcze czekać, ale on zabiera się do jedzenia. Rozejrzeli się po sobie, wyłączyli pole i rzucili się na jedzenie. Było całkiem smaczne.

Konwersacja podczas posiłków była dość ograniczona z powodu niskich temperatur. Jedzenie na Deepsix ograniczało się do czynności niezbędnych. Hutch pomyślała, że jeśli uda jej się wyjść cało z tej przygody, zawsze będzie wspominać te szybkie, pozbawione osobistego rysu posiłki: wszyscy jedzący w milczeniu, starający się trzymać jak najbliżej ognia, wrzucający w siebie jedzenie i popijający kawą, w powietrzu tak zimnym, że aż kłuło.

Szczęśliwe dni na prerii.

Nie mieli soli ani żadnych przypraw, ale to wydawało im się nieistotnym szczegółem.

Podczas posiłku Hutch ogłosiła:

— Marcel mówi, że media są zaledwie o parę dni stąd. Najpierw wszyscy trąbili o zderzeniu, teraz — tylko o nas.

— To jasne — rzekł Chiang.

— Wszyscy pytają, czy będą mogli przeprowadzić z nami wywiad, jak tu dotrą.

Kolacja najwyraźniej MacAllisterowi smakowała.

— To doprawdy intrygujące — rzekł między kęsami. — Mamy relację z końca świata w Universal News, które podają tylko fakty. Bez uprzedzeń, bez zasad. — Była to delikatna aluzja do sloganu reklamowego Universal News, który brzmiał: „Bez uprzedzeń, bez przeinaczeń”. Spojrzał na wschodnie niebo, jaśniejące od nieznanych gwiazdozbiorów. Było za wcześnie, by móc zobaczyć Morgana. — Tak — dodał — jeśli to właściwie rozegrają, będą mieli największą oglądalność w roku. No, może po Pucharze Świata.

— Hutch, mamy odpowiedź z Akademii w sprawie twoich pierwszych raportów na temat wieży. Przekazują ci gratulacje i proszą, żebyś kontynuowała prace. Takiego właśnie zwrotu użyli. *Prosimy szukać dalszych dowodów dotyczących zaawansowania ich nauki,* tak piszą. Chcą, żebyś udała się w inne miejsca, bo czasu jest mało.

— Dobrze — odparła. — Powiedz im, że podporządkujemy się.

— Piszą też, żebyście uważali. Macie unikać niebezpiecznych sytuacji.

— Augie, obudź się.

Emma nie zawsze dobrze sypiała, a czasem włóczyła się nocą po statku. Nie pamiętała potem, co robiła. Może nawet wdała się w jakiś przelotny romans z kapitanem. Nie obchodziło go to specjalnie. O ile tylko była dostępna, kiedy jej potrzebował. Teraz jednak szarpała go za ramię, usiłując obudzić z naprawdę głębokiego snu. Pierwszą rzeczą, która przyszła mu do głowy, było, że „Edward J. Zwick" ma wyciek.

— Co się dzieje? — spytał, spoglądając na nią. Była cała w skowronkach.

— Augie, mamy temat.

Próbował wymyślić, co to może być. W każdym razie, pomyślał, to mogłoby poczekać do rana.

— Oni mieli wypadek — powiedziała. — Niektórzy z nich tam utknęli. Próbują znaleźć jakiś statek, który ich wyciągnie, i jak dotąd im się nie udało.

To go obudziło.

— Jaki wypadek? Ktoś zginął?

— Tak. Dwie albo trzy osoby. A wiesz, kto jest pośród rozbitków? MacAllister.

— Mój Boże. To pewne?

— Całkowicie.

— Jak to się mogło stać?

— Nie wiem. Nie podali jeszcze żadnych szczegółów. Ale mamy fantastyczny temat. — Cmoknęła go w policzek. — Kontaktowałam się już z nimi. Z Clairveau. I nie ma żadnej konkurencji w odległości wielu lat świetlnych. — Klasnęła w ręce, dygocząc z radości.

Canyon nadal próbował zrozumieć, o co jej chodzi.

— Próbują ich stamtąd wydostać, tak?

— Do licha, Augie, nie wiem. Na razie na dwoje babka wróżyła. Ale jak będziemy mieli szczęście, trochę to jeszcze potrwa. Przynajmniej aż tam dolecimy.

— Niewykluczone, że będziemy mieli problem — rzekł Beekman.

Na ekranie widać było ocean i północną linię brzegową. Okolica wyglądała na szarą i skutą mrozem, a przypływ się cofnął. Marcel nie był pewien, czy chce usłyszeć, co Beekman ma do powiedzenia.

— Tak się dzieje — rzekł Beekman — kiedy nadciąga tsunami.

Marcel czekał z niecierpliwością. Trudno mu już było odczuwać jakiś poważny niepokój. Wybrzeże było długim łańcuchem wysokich gór. Był przygotowany na to, że coś się może dziać na morzu, ale był też przekonany, że linia brzegowa jest dość dobrze chroniona.

— A nadciąga?

— Niezupełnie. — Siedzieli w fotelach w gabinecie Beekmana.

Dyrektor projektu miał na sobie zakupioną w Hongkongu koszulkę z nadrukiem przedstawiającym swawolne smoki. — To będzie kolejny bardzo wysoki przypływ. Problem polega na tym, że w miarę zbliżania się Morgana te przypływy będą coraz wyższe. Codziennie. Pole grawitacyjne Morgana oddziałuje na wody oceanu. Piętrzy je. To jest pierwszy etap.

— A jaki jest ostatni?

— Wody oceanu zostają wyrwane z miejsca.

— Gunny, to się nie zdarzy jutro.

Beekman skinął głową.

— Nie zdarzy się.

— Jeśli to jest problem, czemu wcześniej o tym nie rozmawialiśmy?

— Bo nie wyglądało na to, żeby ten czynnik miał okazać się istotny. Pasmo nadmorskie wyglądało na dostatecznie wysokie, by skutecznie odeprzeć ocean. Do chwili, aż dotrze on tak daleko na wschód, że przestanie to mieć znaczenie.

— Co się więc zmieniło?

— Niektóre części pasma mogą nie wytrzymać i po prostu się zapaść.

— Gdzie?

Beekman pokazał mu.

— Kiedy?

— Nie wiem. Może wytrzymają do chwili, aż woda przeleje się przez szczyty. Jeśli tak, nie mamy się czym przejmować. Ale mogą się też rozpaść.

— Dobrze. A kiedy najprawdopodobniej rozleci się pierwszy?

— Tego też nie wiemy. Nie mamy wystarczająco szczegółowych informacji.

— A zgadując?

— O północy w czwartek. Naszego czasu. Marcel zajrzał do kalendarza.

— Mają osiem dni. Czasu miejscowego.

— Tak.

— Parę dni już stracili.

— To nie powinien być problem. Mają dość czasu. Ale pamiętaj, Marcelu, że to tylko przypuszczenie.

Marcel pokiwał głową.

— Ostrzegę Hutch. — Odniósł wrażenie, jakby grodzie zacisnęły się wokół niego. — Mamy jakieś pomysły na plan B?

— To znaczy, jeśli „Tess” nie poleci?

— Otóż to. Potrząsnął głową.

— Jakoś nie mam nadziei na boską interwencję. Jeśli „Tess” nie poleci, to już po nich. Po prostu.

XV

Człowiek nigdy nie docenia w pełni cywilizacji, dopóki nie zgaśnie światło.

Gregory MacAllister, „Patrioci w szopie” (Dzieła wybrane)

Czas do rozpadu (prognoza): 210 godzin

— Musi być jakiś sposób.

Beekman miał przekrwione oczy.

— Gdyby był, byłbym niezmiernie uradowany, wiedząc, co to jest.

— Dobrze. — Marcel wstał i spojrzał na niego z góry. — Mówiłeś o wytrzymałości tego czegoś, co wycięliśmy z artefaktu. A gdybyśmy wycięli z niego kawałek?

— Po co?

— Żeby do nich dotrzeć. Żeby mogli wydostać się z powierzchni planety.

— Marcelu, to musiałoby mieć trzysta kilometrów długości.

— Gunny, mamy tu cztery statki nadświetlne, które można wykorzystać.

— Dobrze. Moglibyśmy mieć i czterdzieści. I załóżmy, że mamy długą rurę. Co z nią robimy?

— Wtykamy w atmosferę. Nie urwałaby się przecież pod własnym ciężarem, prawda?

— Nie — odparł Beekman. — Nie urwałaby się. Ale nie byłoby nad nią żadnej kontroli. Siły atmosferyczne ciągnęłyby ją wzdłuż ziemi z naddźwiękową prędkością. — Uśmiechnął się smutno. — Nie, nie chciałbyś się czymś takim przejechać.

Marcel był znużony całym tym defetyzmem.

— Dobrze — rzekł. — To ja ci powiem, co zrobimy. Masz na tym statku kilka niezłych mózgów. Zbierz tych ludzi razem, i to natychmiast, niech odłożą wszystko inne. I znajdźcie jakieś rozwiązanie.

— Marcelu, przy odrobinie szczęścia odlecą na „Tess”.

— Zbyt wiele rzeczy może pójść nie tak, jak powinno. A jeśli poczekamy aż do tego momentu, nie będzie już czasu na wymyślenie innej opcji. — Pochylił się i chwycił Beekmana za ramię. — Możesz

uznać to za wyzwanie intelektualne, jeśli chcesz. Tylko coś wymyśl.

Chiang nadal nie spał, gdy na wschodzie pojawił się Morgan. Otaczające planetę gwiazdy zbladły w jego poświacie, która miała niebieskawe zabarwienie. Była znacznie jaśniejsza niż poprzedniego wieczora. Nieomal było widać tarczę.

Pełnił wachtę przy tym złowrogim świetle. Kiedy przejął ją Nightingale, Chiang długo leżał i patrzył, jak planeta przemieszcza się wśród drzew. Miał wrażenie, że dopiero zasnął, kiedy Kellie obudziła go.

— Czas ruszać, chłopie.

Siedzieli, niewyspani, wokół ogniska, jedząc na śniadanie resztki mięsa stwora. Hutch ogłosiła, że ma wieści z „Wendy".

— Podejrzewam, że niezbyt dobre — rzekł MacAllister.

— Istotnie, niezbyt. Mamy o dzień albo dwa mniej — wyjaśniła Hutch. — Na północnym wybrzeżu powstają wysokie przypływy. Z powodu zbliżania się Morgana. Są tam góry, ale istnieje możliwość, że woda wedrze się na równiny.

— Za parę dni?

— Mamy nadal sporo czasu.

— Przypuszczają, że jak się wedrze, dojdzie aż do wieży? — spytał Nightingale.

— Tak sądzą.

— To musimy się pośpieszyć — rzekł Chiang.

Krótkie dni zaczęły im dokuczać i podjęli dyskusję: czy próbować znów przestawić się na dwudziestoczterogodzinny zegar i po prostu ignorować wschody i zachody słońca?

Embry podsunęła, że to nie jest zbyt dobry pomysł, bo ich metabolizm już przystosował się do lokalnych warunków.

— Tak czy inaczej — dodała — nie sądzę, żebyście chcieli maszerować po ciemku.

Kiedy wyruszyli, zostało im tylko jakieś siedem godzin do zmroku.

— Dziś wyjdziecie poza linię śniegu — poinformował ich Marcel. — Wygląda na to, że odtąd będzie się wam szło łatwiej.

— Dobrze — odparła Hutch.

— I będziecie mieli jeszcze jedną rzekę do pokonania. Tym razem szeroką. Dotrzecie do niej pod koniec dnia.

— Jakieś mosty?

— Coś ty.

— Serio pytam; możesz nas naprowadzić na jakieś miejsce, gdzie będzie można łatwo się przeprawić?

— Wolicie szerokie, z łagodnym nurtem, czy wąskie z rwącym?

— Jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy po prostu przejść na drugą stronę.

— Stąd nie da się tego określić.

— To niech będzie szerokie z łagodnym.

Chiang nie przepadał za MacAllisterem. Ten traktował Kellie i Hutch, jakby były pachołkami i chłopcami na posyłki, osobami, których jedyną rolą jest ułatwianie życia ludziom takim jak on. Nightingale'a całkowicie ignorował. W stosunku do Chianga zachowywał się przyzwoicie, choć traktował go z pewną nutą protekcjonalności — tylko że dziennikarz zachowywał się tak wobec prawie wszystkich.

Jego celem stał się nawet gazowy gigant. Choć inni wyrażali się o zbliżającym się horrorze z trwogą, MacAllister zaczął mówić o planecie, używając pełnego imienia i nazwiska jej odkrywcy. Najpierw mówił o niej „Jerry Morgan", potem po prostu „Jerry".

— Cóż, zauważyłem, że Jerry jest dziś wyjątkowo jasny.

Albo:

— O, Jerry zmienił się w rogalik.

Chiang rozumiał, że słynny dziennikarz się boi, może nawet bardziej od pozostałych, bo musi też bronić swojej reputacji i pewnie nie wie, jak się zachowa, jeśli sytuacja się pogorszy zamiast poprawić.

Pokrywa śnieżna była coraz cieńsza. Zaczęli się pozbywać rakiet śnieżnych.

Wyszli na szeroką równinę. Czasem pojawiały się niskie, falujące wzgórza, kępy drzew i gęstych krzewów. Wczesnym przedpołudniem dwa dwunogi o jesiennych barwach, które wyglądały, jakby były zbudowane z kłów i pazurów, przypuściły skoordynowany atak z dwóch stron. Ukryły się między wzgórzami i zaatakowały przechodzącą grupę. Udało się je odgonić za pomocą laserów, a MacAllister skomentował, że prymitywne formy życia nie miały szans przy kimś, kto ma jaja i niezłą broń. Spojrzał znacząco na Nightingale'a, ale Hutch wkroczyła między nich.

Twarda, włóknista trawa przebijała się spod śniegu, który koło południa całkiem znikł. Pojawiły się fioletowe i żółte krzewy z grubymi gałęziami i szerokimi liśćmi, które wyglądały na tak ostre, że mogły przeciąć skórę do krwi. Minęli linię drzew i słońce zbladło za baldachimem liści i gałęzi. Ośmionogie stworzenia wspinały się na drzewa i po raz kolejny Nightingale pożałował, że nie mają czasu na badania.

Były małe i na tle lasu prawie niewidoczne. Ich tylna część przypominała skorupę orzecha, a głowy miały trójkątne. Miały czułki, dzioby i żuwaczki, które nieustannie się poruszały. Zauważył, że kiedy

się do nich zbliża, czułki przemieszczają się w jego kierunku. Niektóre stworzenia przemieszczały się na drugą stronę pnia, poza zasięg wzroku. Jedno schowało się do skorupy jak żółw i tkwiło nieruchomo, przyczepione do grubej kory. Kiedy Chiang się zbliżył, spryskało go czarną cieczą. Celowało w stronę oczu. Spłynęła po polu siłowym.

Wystraszony Chiang cofnął się i upadł. Pomagając mu wstać, Nightingale rzekł:

— Masz szczęście. Nic nie wiemy o tych stworzeniach. Dobrze jest nie osądzać po wyglądzie. Jeśli zobaczysz coś, co wygląda jak pręgowiec, to nie zakładaj, że będzie się tak samo zachowywać.

— Musimy iść — odezwała się Hutch. — Nie ma czasu na podziwianie zwierzątek.

Niektóre z drzew wyglądały na źródło twardego drewna — jak dąb czy klon. Inne miały miękkie, giętkie pnie i krótkie, kolczaste gałęzie. Zwieszały się z nich pękate, fioletowe owoce. Hutch odłamała kawałek, wyłączyła pole i spróbowała. Na jej twarzy pojawiło się zadowolenie.

— Niezłe — mruknęła.

Chiang również chciał skosztować, ale potrząsnęła głową.

— Poczekajmy chwilę. Zobaczymy, co się stanie.

Przedzierali się przez gęste poszycie, gdy Chiang o mało nie wpadł do wąwozu. Wyglądało to, jakby grunt znikł mu spod nóg. Najpierw pomyślał, że to po prostu dziura, ale tam, gdzie poszycie było mniej gęste, widać było sześciometrową rozpadlinę i twarde skały wśród mocnych roślin. MacAllister chwycił go za ramię i po nerwowych kilku sekundach, kiedy walczyli o odzyskanie równowagi, odciągnął go od przepaści.

— Oboje mamy wobec ciebie dług, Mac — odezwała się Kellie, po raz pierwszy zwracając się do niego w ten sposób bez drwiny w głosie.

Teren stawał się coraz bardziej nierówny, poorany wąwozami i rozpadlinami.

Znów pojawił się problem sprowadzenia MacAllistera ze stromizny. Próbowali użyć liny, ale była cienka i gładka, więc trudno było się jej trzymać. Zaś owinięcie go w pasie i opuszczenie urągało jego godności.

Hutch rozejrzała się po okolicy, znalazła jakieś pnącza, które wspinały się na pnie i zwisały z gałęzi, i spróbowała je zerwać. Pnącze opierało się i musieli się wszyscy przyłożyć, żeby oderwać je od drzewa. Kiedy już mieli wystarczająco długi kawałek, Hutch odcięła je i MacAllister, który wtedy był już cały posiniaczony i otwarty na wszelkie rozwiązania, zgodził się. Mógł się go trzymać, kiedy schodzili w dół, a nawet pomagać innym w schodzeniu. Kiedy grunt się wypłaszczył, wczesnym popołudniem, wyrzucił pnącze, ale Hutch podniosła je, zwinęła w pętlę i założyła na ramię.

Chiang zauważył, że MacAllister już nie proponuje, żeby wszyscy szli szybciej, podczas gdy on zostanie w tyle. W milczeniu walczył, by nie dopuścić do poniżenia, i ciężko pracował, żeby utrzymać tempo.

Zatrzymali się przy stawie ukrytym wśród drzew i skał.

— A może by tak się zatrzymać — zaproponowała Hutch — i trochę umyć?

Kellie już ściągała bluzę.

— Jestem za — odparła. — Wy, chłopaki, oddalcie się trochę i rozpalcie ognisko. I pilnujcie szlaku.

— A jeśli coś ci się przytrafi?

Zaśmiała się.

— Moje ubrania pobiegną po pomoc.

Mężczyźni oddalili się. Hutch wyjęła mały kawałek mięsa i rzuciła go do wody, żeby zobaczyć, co się stanie. Nic się nie stało, więc stanęła na straży. Kellie wyłączyła pole i założyła ręce na piersi, by nie tracić ciepła. Wzięła głęboki oddech i zdjęła kombinezon.

— Mamy coś na zapalenie płuc? — spytała.

— To co zawsze — uśmiechnęła się Hutch. — Kawę.

Miejsce wyglądało na bezpieczne. Żeby nie tracić czasu, Hutch podała jej mydło i myjkę, położyła dwa ręczniki i jeszcze jedną myjkę, odłożyła broń na kamień na brzegu, po czym zdjęła sprzęt i ubranie i weszła do wody. Była lodowata.

— Nie ma to jak szybki skok — rzekła Kellie, dygocząc zębami tak bardzo, że ledwo była w stanie wypowiedzieć słowo.

Lodowaty wiatr zmarszczył powierzchnię wody.

— Klub morsów nudystów — rzekła Hutch.

— Woda jest cieplejsza od otoczenia. Jak już się przyzwyczaisz.

— Jasne.

Tak w istocie było. Zimna woda była szokiem, ale kiedy Hutch weszła głębiej, czując, jak zimna woda omywa jej uda, biodra, a następnie sięga do piersi, jej ciało przystosowało się do niskich temperatur. Przykucnęła, by w jak najmniejszym stopniu mieć kontakt z zimnym powietrzem.

Kellie natarła się mydłem i podała je Hutch, która szybko natarła nim myjkę, a następnie zaczęła zdrapywać z siebie nagromadzony przez kilka dni brud i pot.

Kellie umyła się najlepiej, jak mogła, i zanurzyła się. Wynurzyła się na zimne powietrze, dygocząc. Hutch, także na wpół zamarznięta, przysunęła się bliżej niej i objęły się, dzieląc się ciepłem ciała. Kiedy wspólny dygot nieco zelżał, przynajmniej na tyle, że mogły mówić, Hutch spytała Kellie, czy nic jej nie jest.

— W porządku — odparła Kellie.

Wróciły na płyciznę, dokończyły mycie, chwyciły ręczniki i

wytarły się do sucha. Potem, nadal nagie, włożyły pasy, uruchomiły pole i włączyły ogrzewanie.

Co za rozkoszny moment. Hutch stała w słońcu i odruchowo założyła ramiona na piersi, by napawać się ciepłem.

— Niezły numer — rzekła Kellie. — Musimy to kiedyś powtórzyć.

— Na zawsze razem — rzekła Hutch.

Spojrzały po sobie, a Hutch nie była całkiem pewna, co właściwie się stało.

Kiedy wróciło czucie, zajęły się praniem ubrań. Od czasu do czasu Chiang wołał i pytał, czy im nie pomóc. Kellie zapewniała go, że sobie świetnie radzą, ale Hutch widziała, że czerpie z tej gry ogromną przyjemność.

Kiedy skończyły, wręczyły ubrania Chiangowi, a on przyniósł im koce. Ubrania zawiesiły nad ogniem, po czym objęły wachtę, w kocach, zaś mężczyźni udali się nad staw. Godzinę później wszyscy byli ubrani i znów ruszyli w drogę.

Chiang nie był pewien, co myśleć o Kellie. Zagrożenie, w jakim oboje się znaleźli, tylko podsyciło jego pożądanie. Poważnie zastanawiał się nad oświadczynami. Kilka dni temu, na „Wendy", taki pomysł wydałby się absurdalny. Teraz jednak wydawało mu się, że to dobra myśl — zaproponować tej niezwykłej kobiecie wspólne życie i przekonać się, czy ona też tego chce. Uznał, że tego chce, i podejrzewał, że nigdy nie będzie lepszej okazji.

Dziś wieczorem zapyta.

Robiło się ciemno, kiedy dotarli do brzegu rzeki.

— Marcel powiedział, że jest szeroka? — warknął MacAllister. — Toż to Mississippi!

Była szeroka, ale w zamierającym świetle wyglądała na spokojną i leniwą. Chiang ocenił, że gdyby była zamarznięta, można by ją pokonać w dziesięć minut.

— Marcelu, czy ona przypadkiem nie płynie w kierunku lądownika? — spytała Hutch.

— Przykro mi, nie. Nie da się podróżować łódką.

— Jak się przedostaniemy na drugą stronę? — spytał MacAllister.

Miała stabilny nurt.

— Nie będziemy pływać — rzekła Hutch.

Nightingale pokiwał głową.

— To dobra decyzja z kilku powodów.

Wskazał coś i Chiang zobaczył parę oczu unoszących się nad poziom wody i spoglądających w ich stronę.

— Aligator? — spytała Kellie.

— Nie wiem — odparła Hutch.

Nightingale powtórzył test Hutch i rzucił do wody mały

kawałeczek mięsa. Na powierzchnię natychmiast wystrzeliła jakaś płetwa, a potem woda się zakotłowała.

Coś zawyło w listowiu po drugiej stronie rzeki. Potem rozległ się głośny hałas, pisk i odgłos bicia skrzydłami. Duże stworzenie, przypominające lisa z czarnymi skrzydłami, wzbiło się w powietrze i znów zapanowała cisza.

Chiang przyjrzał się drzewom.

— Ktoś ma doświadczenie w budowaniu tratw?

— Wystarczy powiązać ze sobą kilka pali, nie? — spytała Kellie.

— To powinno być dla nas wszystkich budujące doświadczenie — oświadczył MacAllister.

Dowcip słowny wywołał mniej lub bardziej szczery śmiech.

— Bierzemy się do roboty — oznajmiła Hutch. — Zetniemy teraz drzewa, zostaniemy tu do jutra, a z samego rana zbudujemy tratwę.

— Ile dziś przeszliśmy? — spytał MacAllister.

— Nieźle — odparła Hutch. — Dwadzieścia kilometrów.

— Dwadzieścia?

— No, dziewiętnaście. Ale to i tak nieźle.

Chiang spędził cały wieczór dodając sobie odwagi. Kiedy pnie były ścięte, a pnącza zebrane, Kellie usiadła z boku, jedząc. Gdy skończyła i włączyła z powrotem skafander, pomyślał, że to chyba dobry moment. Przełączył się na prywatny kanał i przystąpił do dzieła.

— Kellie. — Glos mu drżał.

Zwróciła się w jego stronę, w świetle ogniska nie było wyraźnie widać jej twarzy. Patrzył na tańczące na niej cienie i wydała mu się najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu.

— Tak, Chiang?

Ruszył w jej stronę, by natychmiast uznać, że lepiej będzie zostać na miejscu.

— Ja… chciałem ci powiedzieć, że cię kocham.

Długa cisza. Cienie nadal tańczyły.

— Szukałem okazji, żeby ci o tym powiedzieć.

Skinęła głową.

— Wiem.

To wytrąciło go z równowagi.

— Wiesz?!

Nigdy jej nic nie mówił.

— Pewnie.

Wstał, czując, że musi coś zrobić, ale przysiadł i pogrzebał w ognisku.

— A mogę spytać, co ty na to?

— Lubię cię — odparła cicho.

Czekał.

Chyba była trochę zagubiona. Zastanawiał się, czy szuka w sercu jakichś uczuć do niego, czy też myśli, jak tu bezboleśnie dać mu kosza.

— Nie wiem — rzekła łagodnie. — Okoliczności, w jakich się znaleźliśmy, są takie, że… Trudno mi dojść do jakichś wniosków.

— Rozumiem — rzekł.

— Nie wiem, czy rozumiesz, Chiang. Wszystko jest teraz jakieś takie… intensywne. Nie ufam własnym uczuciom. Ani twoim. Bardzo emocjonalnie do wszystkiego podchodzimy. Poczekajmy, aż znajdziemy się z powrotem na pokładzie „Wendy". Kiedy już nie będziemy stali okrakiem między życiem a śmiercią. Jeśli wtedy spróbujesz jeszcze raz, z przyjemnością to usłyszę.

Nightingale objął wachtę. Obejrzał teren biwaku, od razu znalazł kilka miejsc, z których coś mogło niepostrzeżenie się podkraść, i uznał, że najlepiej będzie zająć stanowisko przy rzece, gdzie znajdowała się połać pustej ziemi. Chiang wziął pojemnik na wodę i poszedł nad rzekę. MacAllister nazbierał trochę gałęzi i rozpalił ogień. Kobiety podjęły dyskusję nad planowanym wyglądem tratwy.

Nightingale przyglądał się wodzie. Przy brzegu była płytka, ale błotnista i ciemna. Zobaczył, że Chiang się krzywi i wchodzi do wody. Nightingale spytał go, co robi, a Chiang wyjaśnił, że tam woda jest czystsza. Nabrał trochę i chyba nadal nie był zadowolony z wyniku, bo ją wylał i wszedł głębiej.

— To nie jest dobry pomysł — mruknął Nightingale. — Daj sobie spokój. Wymyślimy coś innego.

— To nie… — Wyraz twarzy Chianga zmienił się nagłe. Zaczął krzyczeć. Coś złapało go za stopę. Upadł i zniknął pod wodą.

Nathingale wyszarpnął laser, włączył go i pobiegł w stronę Chianga. Nie wiedział, dlaczego Chiang upadł, ale dostrzegł szaroniebieskie macki.

Coś go złapało, owinęło się wokół jego kostki i próbowało wciągnąć go pod wodę. Potem złapało go za ramię. Nathingale strzelił w wodę. Skądś trysnęła ciecz koloru błota. O mało nie upuścił lasera.

Przybiegł MacAllister z laserem w dłoni i rzucił się w sam środek bitwy. Strzelał dookoła jak szalony. Woda zasyczała, macki eksplodowały. Nathingale uwolnił siebie, a potem Chianga. Zanim przybiegły kobiety, było już po wszystkim, parę sekund po tym, jak walka się zaczęła.

— Wszystko w porządku, drogie panie — oświadczył MacAllister, dmuchając w laser jak w lufę staroświeckiego rewolweru. — Już po strzelaninie.

Tej nocy widzieli już wyraźnie tarczę Morgana. Przypominała

malutki półksiężyc.

Rankiem zmontowali tratwę. Powiązali pnie ze sobą i przycięli je. Hutch, niepewna swoich umiejętności inżynierskich, zarządziła zamocowanie elementów skośnych, które miały wzmocnić tratwę. Wycięli wiosła i drągi, odbyła się też dyskusja na temat żagla, ale Hutch ją ucięła, mówiąc, że i tak nie potrafią go zmontować.

Wyglądało na to, że nocowali przy wodopoju. Zwierzęta pojawiały się od czasu do czasu, patrzyły z ciekawością na przybyszów, utrzymywały dystans, zanurzały pyski w wodzie, po czym znikały w lesie.

Gdy tratwa była gotowa, słońce świeciło już wysoko. Ciesząc się, że mogą znów wyruszyć, weszli na pokład i odbili od brzegu.

Dzień był nienaturalnie ciepły. Prawie tak ciepły, że można było wyłączyć skafandry. MacAllister usiadł na przodzie z zamiarem czerpania przyjemności z przejażdżki.

Wypatrzyli wcześniej miejsce nadające się do lądowania. Był tam kawałek plaży i wyglądało na to, że nie ma skał. Miejsce znajdowało się jakieś pół kilometra w dół biegu rzeki.

Nightingale przyglądał się mijanym brzegom. W końcu zwrócił się do Hutch.

— To była zbrodnia, zostawić tak tę planetę — mruknął.

— Akademia twierdzi, że mieli ograniczone środki.

— To takie oficjalne gadanie. Tak naprawdę chodziło o walkę o władzę na dość podrzędnym poziomie. Dyskusja nad eksploracją była jak przeciąganie liny. Wygrała niewłaściwa strona i już tu nie wróciliśmy. — Spojrzał na czubki drzew. — Nigdy nie miało to ze mną nic wspólnego, ale wziąłem winę na siebie.

MacAllister zasłonił oczy przed słońcem.

— Przerażająca dzicz — rzekł.

— Nie wiedział pan o tym, panie MacAllister? — spytał Nightingale.

— Nie wiedziałem o czym?

— Że przyczyną decyzji była polityka wewnętrzna. I że zrobiono ze mnie kozła ofiarnego.

MacAllister wydał długie westchnienie.

— Randall — rzekł — zawsze istnieje coś takiego jak polityka wewnętrzna. Nie sądzę, że ktokolwiek przypuszczał, iż to ty jesteś winien zakazu eksploracji. Po prostu ułatwiłeś to ludziom, którzy mieli inne priorytety. — Spojrzał w dół rzeki. — Co za szkoda, że nie możemy popłynąć tą tratwą aż do lądownika.

Kellie obserwowała coś za nimi. Nightingale obrócił się i zobaczył stado ptaków lecących wolno z tyłu, ze stałą prędkością. Nie, nie ptaków, poprawił się. Przypominały raczej nietoperze.

Ustawiły się w klucz w kształcie litery V, z węższą częścią

skierowaną w ich stronę.

Nie, to nie były także nietoperze. Zmylił go rozmiar, ale w rzeczywistości przypominały raczej ważki.

Ważki? Ich ciało było podzielone na segmenty długości przedramienia. Miały podobną rozpiętość skrzydeł jak pelikany. Zaniepokoiła go szczególnie jedna rzecz: miały trąbki przypominające sztylety.

— Spójrzcie w górę — rzekł. Wszystkie oczy skierowały się do tyłu.

MacAllister wstał i wyjął laser.

— Dobrze — powiedział. — Witajcie na Deepsix, gdzie komary obalają ludzi na ziemię i dopiero wtedy kąsają.

— Chyba są nami zainteresowane — zauważyła Hutch.

Zauważyli, że pojawił się kolejny problem: byli już prawie na środku rzeki i prąd znosił ich szybciej, niż przewidywali. Było oczywiste, że nie trafią w wyznaczony punkt.

Rzeka była zbyt głęboka, by użyć drągów. Chiang i MacAllister złapali za wiosła i szaleńczo wiosłowali, ale nie udało im się wiele zyskać i mogli tylko patrzyć, jak mijają upatrzoną plażę.

Ważki trzymały się tuż za nimi.

Widać było, że się jakoś porozumiewają. Wykorzystywały wiatr, czasem tylko machając skrzydłami, by nieco przyspieszyć.

— Jak sądzisz, czy one mogą być mięsożerne? — zwróciła się do Nightingale'a Hutch.

— Jasne — odparł. — Ale jest bardziej prawdopodobne, że żywią się krwią.

— Paskudne są — mruknął MacAllister.

Hutch zgodziła się z nim.

— Jeśli podlecą bliżej, zestrzelimy je.

— Może to wcale nie takie złe — podsunął Chiang — że ta planeta niedługo przestanie istnieć.

MacAllister zaśmiał się głośno, aż echo poszło po rzece.

— To nie jest specjalnie naukowe podejście — odparł. — Ale popieram cię, chłopcze.

— Och, niechże się pan zamknie — warknął Nightingale. — Te stworzenia są niebywale skuteczne, a przez to ciekawe. To jest jedyna tak stara planeta, jaką znamy, jedyna, na której widać skutki sześciu miliardów lat ewolucji. Dałbym się pociąć za możliwość prowadzenia tu poważnych badań.

— Już raz o mało się pan nie dał pociąć. — MacAllister potrząsnął głową, a w jego oczach było widać rozbawienie.

— Pan i ta cała mania szalonego naukowca…

Chiang odłożył wiosło i położył je na pokładzie.

— Szykują się do ataku.

Nightingale też to dostrzegł. Przedtem leciały w kluczu w kształcie luźnego V, rozciągnięte na długości jakichś czterdziestu metrów. Teraz zbiły się w ciasną grupę i leciały prawie skrzydło przy skrzydle.

MacAllister patrzył, jak Nightingale wyciąga laser.

— Nie jestem pewien — rzekł — że to jest najlepsza broń w tej chwili. — Włożył swój laser do kieszeni i sięgnął po wiosło. — Taaa — mruknął i zamachnął się kilka razy. — To powinno starczyć.

Ważki cały czas się zbliżały, co chwila zmniejszając dystans o kilka metrów. Potem zrobiły coś zdumiewającego. Podzieliły się na trzy oddzielne eskadry, jak miniaturowe myśliwce. Jedna trzymała się tyłu, dwie odsunęły się na prawo i lewo i zbliżyły do tratwy.

Hutch wyciągnęła rękę. *Czekajcie.*

Zaczęły ich otaczać.

Tratwa dryfowała, znoszona w dół rzeki.

— Czekajcie.

Te z tyłu znalazły się w zasięgu broni. Kellie i Chiang stali tam twarzą do nich.

— Jeszcze nie — rzekła Hutch. — Jeśli nas zaatakują, uważajcie, gdzie strzelacie. Nie chcę, żeby ktoś został przez przypadek postrzelony.

Hutch stała na bakburcie, MacAllister na sterburcie. Nightingale przyklęknął przy Hutch na jednym kolanie. Osaczające ich formacje znalazły się w zasięgu.

— Na trzy — powiedziała. — Raz…

— To wcale nie musi być agresywne zachowanie — zauważył MacAllister.

— Dwa…

— Dopóki rzeczywiście nie zaatakują, nie dowiemy się. Wyglądają na inteligentne. Może próbują nawiązać kontakt.

— MacAllister zmienił pozycję, żeby stawić czoło niebezpieczeństwu.

— Powiedz im „cześć”, Randy.

— Trzy. Strzelajcie.

Rubinowe promienie przeszyły powietrze.

Kilka stworzeń od razu upadło w wodę, wijąc się, z dymiącymi skrzydłami. Jedno wylądowało w miejscu, gdzie natychmiast wychynęła para głodnych szczęk, i znikło pod powierzchnią wody.

Reszta ruszyła do ataku. Powietrze wypełniło się szumem skrzydeł i kakofonią wrzasków i pisków. Jedno ze stworzeń wbiło trąbkę w ramię Hutch i MacAllister rzucił się w jej kierunku, przewrócił ją, o mało nie zrzucając do wody, ale złapał stwora, szarpnął go i cisnął nim o pokład. Promienie laserów trafiły dwa następne stworzenia w powietrzu. Nightingale stanął za MacAllisterem i zdjął dwa jednym

strzałem.

MacAllister stał nad leżącą Hutchins jak pretorianin, machając wiosłem i waląc po łbach zbliżających się napastników. W całym zamieszaniu wypełnionym krwią, krzykami, furią i elektrycznym sykiem laserów Nightingale z niechęcią zauważył, że ten dureń stał się bohaterem dnia.

I nagłe wszystko się skończyło. Ważki odleciały. Nightingale naliczył tylko pięć ocalałych. Zgrupowały się i przez chwilę myślał, że zaraz nastąpi drugi atak. Odleciały jednak z wiatrem, ledwo ruszając skrzydłami, i skierowały się w stronę brzegu.

Rozejrzał się, upewnił, że nikt nie został poważnie ranny, i słuchał, jak Hutch uspokaja Marcela. Siedziała na pokładzie, trzymając się za zranione ramię.

— Boli — powiedziała.

Marcel słuchał i milczał. Kiedy Hutch skończyła mówić, usiadł koło jednego z ekranów ściennych, na których mógł oglądać obraz z powierzchni Maleivy III.

Nigdy nie czuł się aż tak bezradny.

XVI

Jeśli jest jakaś cecha charakterystyczna, którą wykazują wszystkie istoty rozumne, jest to przekonanie o ich znaczeniu jako jednostki. Można to dostrzec w zostawianiu po sobie różnych śladów. Zatem jedyna znana nam rasa obcych, która sięgnęła gwiazd, zostawiała w rozmaitych dziwnych miejscach pomniki samych siebie. Nokowie, ze swoją dziewiętnastowieczną technologią, umieszczali swoje podobizny we wszystkich parkach. Na Ziemi mamy piramidy. Płacimy też szkołom i kościołom, żeby nazywały naszymi imionami budynki, nagrody i parkingi. Każdy przygłup, który otrzyma awans na majstra, jest przekonany, że reszta ludzkości będzie patrzeć na niego z zachwytem i będzie z zapałem polować na wszystkie informacje na jego temat, jakie tylko uda jej się zdobyć.

Gregory MacAllister, „Dureń w siodle” (Dziennikarz na wolności)

Czas do rozpadu (prognoza): 180 godzin

Na pokładzie „Wendy” nie było jednego pomieszczenia, w którym wszyscy mogliby się pomieścić. Beekman uciekł się więc do kompromisu, zapraszając kilka najważniejszych osób do sali konferencyjnej. Kiedy już się tam zebrali, poprosił technika o połączenie ich z resztą statku.

Rozpoczął spotkanie od podziękowania im za przybycie.

— Panie i panowie — mówił dalej. — Wszyscy jesteśmy świadomi sytuacji na powierzchni. Jeśli będziemy mieli szczęście, nie będziemy musieli podejmować działań alternatywnych. Ale jeśli nie, taka

potrzeba się pojawi, bo pięć osób może zginąć.

— Zaproszono nas do wzięcia udziału w tym locie, bo ktoś uznał, że jesteśmy twórczy. Mamy teraz szansę udowodnić, że to prawda. Mówiłem kapitanowi, że jeśli plan odzyskania i zainstalowania kondensatorów się nie powiedzie, nie mamy żadnej alternatywnej metody ocalenia tych ludzi. Chciałbym, żeby państwo mi udowodnili, że się mylę.

— Nie muszę państwu mówić, że mamy mało czasu. I chyba nie muszę także informować, że sam nie dostrzegam żadnych możliwości. Dlatego właśnie jesteście nam potrzebni. Naciągnijcie coś, co jest możliwe. Wymyślcie jakiś plan. Znajdźcie rozwiązanie.

— Nie chcę, żebyście marnowali czas, siedząc tu. Ale będę czekał. Dajcie znać, jak będziecie coś mieli.

Wciągnęli tratwę na brzeg, wyszli z wody i padli na ziemię. Kellie przyniosła apteczkę, a Nightingale zajął się opatrywaniem rannych. Przez pole nie przenikały żadne toksyny ani czynniki biologiczne, więc jedynym problemem była utrata krwi.

Mimo optymistycznego raportu złożonego dla „Wendy", tylko Nightingale nie został ranny w ataku.

Na szczęście rany były powierzchowne, ale Kellie i MacAllister stracili zbyt dużo krwi, żeby mogli iść dalej.

Napastnicy dwukrotnie ukąsili Kellie w prawą nogę, Hutch w ramię, MacAllistera w szyję. Rana wyglądała na bolesną, ale MacAllister tylko skrzywił się i zrobił to co zwykle, czyli wygłosił jakąś kąśliwą uwagę na temat przodków ważek. Chiang miał ukąszenia na brzuchu i na ramieniu.

Nikt nie protestował, kiedy padła propozycja odpoczynku, i gdy tylko oddalili się trochę od rzeki, rozsiedli się. Wszyscy zżymali się z powodu straty czasu, ale po prostu nie było sposobu, żeby temu zaradzić. Nightingale był tak wyczerpany emocjonalnie, że najchętniej by zasnął, ale był jedynym członkiem grupy, który nie odniósł ran, więc objął wachtę.

Odpoczywali przez cztery godziny, po czym Hutch obudziła ich i zarządziła wymarsz.

Las był pełen owadów, kwiatów, włochatych krzewów i płożących lian. Owady bzyczały na kwiatach, przenosząc pyłek sposobem uświęconym od dawna, znanym w każdej biosferze. Był to kolejny dowód na prawdziwość zasady, że natura zawsze wybiera sposób najprostszy. Zwierzęta różniły się wyglądem zewnętrznym, ale głównie w szczegółach. Czasem pojawiały się stworzenia przypominające małpy i wilki. Bardzo przypominały spokrewnione z nimi zwierzęta spotykane na innych planetach. Małpy miały długie uszy i bezwłose twarze i przypominały malutkich ludzi. Wilki były

większe od ich dalekich kuzynów i miały potężne ciosy. Było nawet koniowate stworzenie, które od biedy mogło uchodzić za jednorożca.

Różnice nie kończyły się na wyglądzie. Obserwowali grupę wilków, omijających z daleka długoszyją pseudożyrafę, która z zadowoleniem żuła gałąź, nie zwracając na nich żadnej uwagi. Czy jej mięso było trujące? Czy może potrafiła żądlić na odległość? Albo spryskiwać odorem jak skunks? Nie wiedzieli i nie mieli czasu ani ochoty (z wyjątkiem Nathingale'a) zostawać tu na tyle długo, żeby się dowiedzieć.

Pojawiły się dwa kolejne potencjalne zagrożenia. Jednym z nich był zielonoszary wąż rozmiarów pytona. Patrzył na nich oczami czarnymi jak paciorki. Ale albo nie był głodny, albo wyczuł, że przerośnięte małpy nie będą łatwą zdobyczą.

Drugim był kot, identyczny jak widziany w okolicach wieży. Ten wyszedł z krzaków i podszedł do nich, jakby byli starymi przyjaciółmi. Pewnie spodziewał się, że zaczną uciekać. Kiedy się nie ruszyli, zawahał się na moment, po czym pokazał im paszczę pełną siekaczy. To wystarczyło: zastrzelili go bez cienia żalu i bez problemu.

Rosnące wszędzie rośliny reagowały na światło, a uważny obserwator mógł dostrzec, że ich płatki obracają się za wędrującym po niebie słońcem. Pojawiające się gdzieniegdzie cienie, dziwne organy i struktury sprawiły, że Nightingale zaczął podejrzewać, iż las ma oczy. W jakiś roślinny sposób był świadomy ich marszu. I śledził ich z czymś w rodzaju boskiego spokoju.

Za jakieś kilkaset lat Maleiva i otaczające ją planety wyjdą z obłoku i znów zapanują normalne warunki. To znaczy zapanowałyby, gdyby planeta nadal tu była. Las robił wrażenie wiecznego.

Nightingale zastanowił się, czy las, w jakiś nieokreślony sposób, wie, co się stanie.

A jeśli tak, czy go to w ogóle obchodzi?

— Hej, Hutch — to głos Chianga. — Tylko spójrz na to. Chiang i Kellie poszli nazbierać drewna na ognisko.

Hutch siedziała na kłodzie i ćwiczyła rękę. Wstała i znikła w lesie. MacAllister, który pełnił wachtę, trzymał się blisko, ale nieustannie zerkał w stronę Nightingale'a ze znużeniem w oczach, jakby chciał powiedzieć, że nie ma cierpliwości do cudzego entuzjazmu. Mogliby spotkać tu brontozaura i nic by go to nie obeszło. Dla niego nie liczyło się nic poza powrotem do domu. Wszystko inne było bez znaczenia.

— To mur! — rzekła Kellie. Nightingale widział światło ich latarek w ciemności.

MacAllister sprawdził godzinę, jakby miała ona cokolwiek wspólnego ze zmianami dni i nocy. Na orbicie była prawie dwunasta, ale Nightingale nie miał pojęcia, czy chodzi o północ, czy południe.

MacAllister zresztą też nie.

Nightingale był straszliwie znużony. Siedział z zamkniętymi oczami i pozwalał, by głosy przepływały obok niego. Jakiś mur nie wydawał mu się ani trochę istotny.

Przez kilka minut nic się nie działo, choć słyszał, jak się przemieszczają. W końcu, nie mogąc opanować ciekawości, zapytał, co mają.

— To tylko mur — rzekł Chiang. — Sięga nam do ramion.

— Budynek?

— Mur.

W krzakach się zakotłowało. Zwierzęta o coś walczyły.

— Bardzo zarośnięty — poinformowała Kellie. — Musi być strasznie stary.

Nightingale'owi przyszło do głowy, że mógłby wstać.

— Jest z kamienia?

— To wygląda raczej jak cegła.

— Widać koniec?

— Tam dalej. Zakręca.

— Tam jest brama. Z łukiem.

Przez kilka minut miotali się po krzakach, nie wydając żadnych odgłosów poza mruknięciami. Potem odezwał się podekscytowany Chiang.

— Wydaje mi się, że tam jest budynek.

Nie widzieli żadnych budowli od chwili opuszczenia wieży. Nightingale poddał się i sięgnął po laskę. MacAllister dostrzegł, że tamten ma kłopoty, i ruszył mu na pomoc.

— Wszystko w porządku, Gregory — rzekł Nightingale. — Poradzę sobie.

MacAllister zatrzymał się w pół kroku.

— Przyjaciele mówią do mnie „Mac".

— Nie wiedziałem, że masz jakichś przyjaciół. — Nightingale sięgnął po latarkę i włączył ją.

Mac spojrzał na niego z lekkim uśmiechem, ale bez oznak gniewu.

— Co to za łuk?

— Zakrzywiony. Nad dwoma połówkami żelaznej bramy. Niewielkiej. Dość zardzewiałej. Ale są na niej jakieś symbole. Na tym łuku.

Nightingale, opierając się na lasce, ruszył w ich kierunku.

— Wyglądają tak samo jak te w wieży?

— Niewykluczone — odparła Hutch. — Trudno powiedzieć.

Zapiszczał metal. Ktoś otworzył bramę.

— Czemu nie widać, co jest w środku? — spytał Chiang.

Chodzenie było niełatwe. MacAllister westchnął głośno.

— Wyluzuj. Jak znajdą coś ważnego, dadzą znać.

— Już znaleźli coś ważnego, Gregory. — Położył nacisk na ostatnie słowo. — Może to jakaś wiejska posiadłość. Kto wie, co jest w środku?

— A co cię to obchodzi? To nie twoja działka.

— Bardzo chciałbym się dowiedzieć, kim byli tubylcy. A ty nie?

— Szczerze?

— Domyślam się odpowiedzi.

— Jasne. Wiem, kim byli tubylcy. Najprawdopodobniej byli kurduplami o twarzy jastrzębia, którzy walczyli za pomocą dmuchawek. Mordowali się w wojnach, a gdyby oceniać po tej wieży, byli gdzieś na poziomie średniowiecza. Hutch bardzo chciałaby wiedzieć, jakich bogów czcili i jak wyglądał ich alfabet. A kogo to obchodzi? Byli bandą dzikusów i tyle.

Nightingale podszedł do muru. Istotnie wyglądał na zbudowany z cegły. Był niski, prosty, zniszczony, pokryty roślinnością i pnączami. Randall zastanawiał się, jakie ręce go zbudowały.

Szedł dalej, aż dotarł do bramy. Była żelazna, kiedyś chyba pomalowana na czarno, ale teraz tak zardzewiała, że trudno było z całą pewnością określić. Jedno ze skrzydeł nadal poruszało się na zawiasach.

Brama miała raczej funkcje dekoracyjne niż obronne. Poszczególne elementy odlano w kształcie liści i gałęzi. Motywy wyglądały na dość nieciekawe, pewnie spodobałyby się babci Nightingale'a. Były jednak ozdobne i mówiły coś o tubylcach.

Usłyszał, że MacAllister idzie za nim. Wydawał odgłosy jak słoń kroczący w głębokiej trawie. Światło jego latarki padło na zwieńczenie bramy.

Było zbudowane z ułożonych w łuk cegieł. Symbole, o których wspominała Kellie, były wyrzeźbione na kawałku kamienia wbudowanym z przodu. Nightingale pomyślał, że to pewnie nazwa posiadłości.

— Porzućcie wszelką nadzieję — rzekł.

— Uważaj — mruknął MacAllister.

Grunt był całkowicie pokryty roślinnością. Jeśli kiedyś była tu droga albo ścieżka, nic z niej już nie zostało.

Przeszli przez bramę i zobaczyli, że pozostali przyglądają się małemu, doskonale zachowanemu budynkowi. Nightingale pomyślał, że jest niewiele większy od domku dla lalek. Miał kształt koła i był zbudowany z szarego kamienia, z dachem opadającym z podwyższonego środka.

Dostrzegł drzwi i okno. Oba otwory były pokryte roślinnością.

Chiang wyciął laserem drogę do wejścia. Odsunął jeszcze trochę roślin i weszli do środka, pod niski dach. Najpierw kobiety, potem Chiang, a na końcu Nightingale.

Wnętrze składało się z jednego pomieszczenia i wnęki. Były zdobione motywami roślinnymi: kwiatami i ukwieconymi gałązkami, które wyrzeźbiono w glinianych płytkach pokrywających ściany. Na końcu pomieszczenia stał kamienny stół.

Cuchnęło rozkładem. MacAllister w końcu przecisnął się przez drzwi i kucnął, żeby nie musieć się schylać.

— To wcale nie wygląda na takie stare — mruknął i podparł się jedną ręką.

Chiang stanął przy stole.

— Co o tym myślicie? — spytał, dotykając go opuszkami palców. — Czy to ołtarz?

Wszystkie rasy, które poznali ludzie, na wczesnych etapach rozwoju tworzyły religię. Nightingale przypomniał sobie klasyczną rozprawę Barashki *Aspekty inteligencji,* w której ten dowodził, że pewnie elementy ikonografii występowały u wszystkich inteligentnych gatunków, i tak na przykład wszędzie znajdowano symbole słońca, gwiazd, skrzydeł i krwi. Często występował umęczony bóg. I prawie wszędzie powstawały ołtarze.

— Tak — odparła Hutch — chyba nie ma wątpliwości co do tego, co to jest.

Był niezbyt precyzyjne ociosany, para kamiennych bloków połączonych trzpieniami. Hutch poświeciła na niego latarką, przetarła powierzchnię i przyjrzała się jej.

— Czego szukasz? — spytał Nightingale.

— Plam. Na ołtarzu zwykle składano ofiary.

— Och.

— Jak tu.

Wszyscy podeszli, żeby spojrzeć z bliska. Nightingale wszedł w jakąś dziurę, ale Kellie podtrzymała go i nie dała mu upaść. Były tam jakieś plamy.

— To mogła być woda — podsunął.

Hutch zeskrobała próbkę, włożyła ją do torebki i wsunęła torebkę do kieszeni kamizelki.

MacAllister niezdarnie przeniósł ciężar ciała i rozejrzał się. Był znudzony.

— Ołtarz stoi na podwyższeniu — rzekła Kellie. Istotnie, prowadziły do niego trzy małe stopnie.

MacAllisterowi udało się wreszcie stanąć jakoś stabilnie i podszedł bliżej.

— Kaplica w lesie — powiedział. — A jak myślicie, jaki bóg ją zamieszkiwał?

Hutch skierowała światło latarki do wnęki.

— Tam — powiedziała.

Przyklękła, zebrała trochę odłamków i pyłu i wygrzebała kawałek

niebieskiego kamienia.

— Wygląda jak kawałek statuy.

— Tam jest więcej — podsunął Chiang.

Zebrali trochę odłamków. Ułożyli je na ołtarzu i robili zdjęcia pod różnymi kątami. Bill spróbował złożyć z tego jakiś obraz.

— *Fragmenty pochodzę z kilku różnych rzeźb* — poinformowała SI po kilku minutach. — *Tylko jedną udaje się złożyć w całość.*

— Dobrze — odparła Hutch. — Pokażesz nam?

Marcel wysłał jej obraz i Hutch wyświetliła go. Nightingale od razu dostrzegł, że statua nie przedstawia podobnej do jastrzębia postaci, które widzieli w wieży. Postać, która się pojawiła, była całkiem odmienna. Nie miała piór. Miała za to oczy na szypułkach. Długą szyję. Długie, wąskie ręce zakończone pazurami. Cztery palce. Jajowatą czaszkę. Wyraźnie zarysowane czoło. Nie miała uszu ani nozdrzy. Usta bez warg. Zielonkawą barwę skóry, chyba że kolor wyblakł. I błękitną szatę.

Przypominała trochę świerszcza.

— A co się stało z jastrzębiami? — spytał Nightingale.

— Jedne lub drugie są pewnie postaciami mitycznymi — rzekła Hutch.

— Które? Które są mityczne, a które przedstawiają tubylców?

Zmarszczyła czoło, patrząc na obraz.

— Moim zdaniem jastrzębie są mityczne.

— Dlaczego? — spytał Chiang.

— Bo w jastrzębiach jest jakieś dostojeństwo. Nie przypuszczam, żeby stworzenia wyglądające jak jastrzębie wyobrażały sobie bohaterów i bogów wyglądających jak świerszcze.

Nightingale wypuścił głośno powietrze.

— Czy to przypadkiem nie jest jakieś uprzedzenie kulturowe?

— Może, ale to nie czyni teorii mniej prawdopodobną. Nie wszystkie uprzedzenia kulturowe są błędne.

Szata była rozcięta przez środek i otwierała się na piersi. Jej właściciel miał na nogach sandały i trzymał laskę, której górna część była odłamana. Prawe ramię także było złamane w łokciu. Nightingale był pewien, że gdyby tam było, unosiłby je w stronę nieba. W modlitwie. Próbując zjednać sobie boską pomoc. Dając sygnał do czegoś.

Wśród odłamanych kawałków był czułek, noga, odłamek czegoś, co mogło być fragmentem tułowia. Głowa pozostała jednak nietknięta. Nightingale'a uderzyło, że wbrew opinii MacAllistera ze stworzenia emanuje jakaś godność.

— Co o tym sądzisz?

Pytanie było przeznaczone dla Nightingale'a, ale odpowiedział MacAllister.

— Nienajgorzej to jest zrobione.

W obrazie było coś, co zrobiło wrażenie na Nightingale'u. Stworzenie przeżyło stratę i prosiło o coś, może po prostu poddawało się czemuś. Czemu? Powszechnej śmierci, stanowiącej punkt wyjścia dla wszystkich religii? Wiecznemu zimnu, które stało się częścią naturalnego porządku rzeczy?

— Warto byłoby wiedzieć — rzekła Hutch.

Nightingale zgodził się z nią.

Odszedł na samym końcu.

Włożyli kilka fragmentów do torebek, rozejrzeli się po raz ostatni i wyszli. Hutch zatrzymała się przy drzwiach i obróciła się w jego stronę.

— Pewnie nie żyją już od setek lat — powiedziała.

Spojrzała na niego i zrobiła zmartwioną minę. Zapewne wyglądał blado i nieciekawie.

— Może jacyś przeżyli. Gdzieś na wzgórzach.

Nightingale pokiwał głową.

— Ale ich cywilizacji już nie ma. Zginęło wszystko, co kiedyś robili. Cała wiedza. Wszystkie akty odwagi czy hojności. Wszystkie debaty filozoficzne. Jakby to wszystko nigdy się nie wydarzyło.

— Czy to ma jakieś znaczenie? — spytała.

Nie odpowiedział. Wyszedł wolno z kaplicy i zatrzymał się w drzwiach.

— Chyba nie. Ale wolałbym myśleć, że w przyszłym tygodniu Jerry połknie tylko bryłkę z kamienia i wody. A nie kawałek historii.

— Wiem — pokiwała głową Hutch.

Spojrzał na torbę z artefaktami.

— Bóg. Kto uratuje boga?

Spojrzała na niego i zauważył smutny, zadumany uśmiech.

— My. Zabierzemy go do domu.

— Gdzie nie będzie miał żadnych wyznawców.

— Uważaj, Randy. Jak będziesz tak gadał, ludzie wezmą cię za archeologa.

Po kilku minutach, gdy przechodzili pod łukiem, ziemia zadrżała. Zatrzymali się i czekali, aż wstrząs minie.

Na ekranie pojawił się Beekman z tryumfalnym uśmiechem.

— Mieliśmy rację, Marcelu. Jest tam.

Marcel, pogrążony we własnych ponurych myślach, patrzył na powierzchnię planety.

— Co tam jest, Guntherze?

— Podstawa windy orbitalnej.

— Znaleźliście ją!

— Tak. Jest dokładnie tam, gdzie przypuszczaliśmy.

— Na zachodnim wybrzeżu.

— Góra Błękitna. Na szczycie jest wielka budowla. Sześciokątna. Szeroka na jakieś dwieście metrów. Olbrzymia.

— Jak wysoka?

— Ma jakieś sześć, siedem pięter. Wygląda, jakby była ułamana na górze.

— A reszta?

— W oceanie. Całe dno morskie jest pokryte gruzem. Ruina o powierzchni setek kilometrów kwadratowych. — Wyświetlił zdjęcia.

Marcel spojrzał na zarys budowli na szczycie góry, a potem na potężne rumowisko na dnie morza. Niektóre kawałki wystawały nad powierzchnię wody.

— To się stało dość dawno temu — rzekł Beekman. — Fragmenty, które wystają nad powierzchnię wody, przypominają skaliste wyspy. — Miano je zbadać podczas pierwotnej, pośpiesznej ekspedycji „Wendy". — Nie mamy ani ludzi, ani sprzętu do przeprowadzania takich analiz, ale podejrzewam, że gdybyśmy poskładali kawałki z dna, otrzymalibyśmy kawałek windy orbitalnej o długości stu kilometrów.

— Ciekawe, gdzie jest sama stacja? — zastanawiał się Marcel.

Beekman wzruszył ramionami.

— Żebym to ja wiedział. Nie wiemy nawet, kiedy się zawaliła. Ale jak się dowiemy, to Akademia powinna przysłać tu jeszcze jedną misję, żeby to zbadać.

Marcel przyjrzał się obrazom.

— Czegoś tu nie rozumiem — rzekł. — Ci ludzie umieli zbudować windę orbitalną, ale nie zostawili niczego rozmiarów wieżowca. Ani żadnego technicznego artefaktu. Wszystko zostało pogrzebane pod lodem?

— Nie mamy pojęcia — odparł Beekman. — I nie mamy ani czasu, ani sprzętu, żeby się tego dowiedzieć. Powinniśmy zebrać tyle dowodów, ile zdołamy. I dopuszczać różne możliwości.

— Chcesz mi powiedzieć, że na te pytania pewnie nigdy nie dostaniemy odpowiedzi.

Beekman właśnie to chciał powiedzieć.

— Masz zupełną rację.

Marcel westchnął.

— Coś powinno być. Jakieś budowle. Przecież nie można mieć cywilizacji, która zamieszkuje oświetlone świecami miasta i równocześnie korzysta z windy orbitalnej. — Rzucił pióro na konsolę. — Sprawdzili to, prawda? Wieża nie miała instalacji elektrycznej? Ani jakiegoś zasilania? Miał na myśli Hutch i jej grupę.

— Miała polecenie, żeby szukać śladów techniki — rzekł

Beekman — ale pewnie założyli, że i tak ich nie znajdą. Wszyscy tak zakładaliśmy.

— Może o to chodzi. Że nie szukali wystarczająco starannie.

— Nie przypuszczam. W końcu to była kultura korzystająca z dmuchawek.

— A nie przyszło ci do głowy, że ta wieża była jakimś muzeum? I że te artefakty były artefaktami innej cywilizacji?

— To byłby zupełnie nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

— Guntherze, kiedy dostaniemy jakieś dane na temat datowania tej windy orbitalnej?

— To nie powinno długo potrwać. Zeskanowaliśmy próbki i wysłaliśmy wyniki. Poprosiliśmy o zbadanie tego jak najszybciej, więc za parę dni powinna przyjść odpowiedź. — Założył ręce na piersi. — To naprawdę smutne. Wiem, że ludzie Akademii daliby wszystko, żeby móc obejrzeć podstawę windy orbitalnej.

Marcel milczał.

— Może jeśli lądownik zadziała, poproszę Hutch, żeby rzuciła okiem. Zanim wrócą na orbitę.

— Nie ma mowy — odparł Marcel. — Jeśli lądownik zadziała, zabieramy ich do domu. Bez żadnych przystanków po drodze.

Kapitanowi Nicholsonowi udało się zrzucić całą odpowiedzialność za wypadek na Wetherala, który, jak poinformował Nicholson, zagarnął pojazd bez zezwolenia. Prawdopodobnie, zasugerował, pasażerowie zaproponowali mu za to jakąś znaczną kwotę pieniędzy. Dodał, że być może nie zdawali sobie sprawy z tego, iż to nielegalne. Ponieważ jednym z pasażerów był znany dziennikarz i eseista Gregory MacAllister, kapitan doradził korporacji, żeby znalazła jakiś sposób na zatuszowanie tego incydentu. Jeśli MacAllister przeżyje, argumentował Nicholson, będzie dla TransGalactic niebezpiecznym przeciwnikiem, gdyby założyć, że jest w jakiś sposób odpowiedzialny, i gdyby TransGalactic podjął przeciwko niemu kroki prawne. Jeśli nie, ściganie go po śmierci nie będzie miało sensu. Niewątpliwie można by coś uzyskać z jego majątku, ale korporacja mogłaby sobie w ten sposób bardzo popsuć wizerunek. Najlepiej uznać, że był to nieszczęśliwy wypadek.

Jadł apatycznie śniadanie, próbując podtrzymać konwersację z rozgadanymi pasażerami przy stole, odbierając nowe wieści od Clairveau. Grupa została zaatakowana przez olbrzymie owady i odkryła jakąś świątynię w lesie. Najważniejsze, że marsz w stronę „Tess” przebiegał zgodne z planem. W tej chwili tylko to się liczyło.

To doświadczenie nauczyło go jednego: już nigdy nie da się nikomu namówić na pogwałcenie procedury. Nigdy. Z żadnego powodu. Czasem ktoś z gości wyrywał go z zadumy pytaniami o kiosk

z pamiątkami na Pokładzie Gwiaździstym albo zaplanowane na sobotę imprezy związane ze zderzeniem. Przesuwał jajka po talerzu i odpowiadał najlepiej, jak potrafił.

Jedna niewłaściwa decyzja, pozwalająca MacAllisterowi dostać to, co chciał, może teraz przekreślić dorobek całego życia. A to wcale nie był nawet jego pomysł. Wywarto na niego nacisk. Postawiono go w sytuacji bez wyjścia, a zrobił to bezczelny pasażer mający wpływy i kierownictwo, które nie poparłoby go, gdyby MacAllister się obraził.

Co za nonsens.

Bransoleta zaczęła wibrować sygnałem połączenia. Podniósł ją do ucha niedbałym gestem.

— Kapitanie — rzekł oficer dyżurny — wiadomość od zarządu. Poufne.

Była to pierwsza wiadomość od zarządu od czasu katastrofy.

— Za minutę przyjdę — rzekł. *Boże, spraw, żebym z tego wyszedł.* Przycisnął serwetkę do ust i wstał, przepraszając i oznajmiając, że musi podjąć ważną decyzję. Uśmiechnął się czarująco do dam, uścisnął dłonie ich towarzyszom, po czym wyszedł, słysząc, jak mówią o nim „co za miły człowiek".

Poszedł prosto na mostek, gdzie oficer dyżurny, który zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji, przywitał go skinięciem głowy. Nicholson odwzajemnił ten gest, zasiadł w fotelu i polecił SI wyświetlić wiadomość.

OD: DYREKTOR DS. OPERACYJNYCH
DO: KAPITAN, „WIECZORNA GWIAZDA"
DATA I GODZINA: 28.1116: 25
POUFNE/USUNĄĆ PO PRZECZYTANIU
ERIKU!

ZDAJESZ SOBIE SPRAWĘ Z TEGO, ŻE MOŻEMY ZOSTAĆ POCIĄGNIĘCI DO ODPOWIEDZIALNOŚCI. ZRÓB WSZYSTKO, CO MOŻESZ, ŻEBY URATOWAĆ MACALLISTERA. INFORMUJ NAS NA BIEŻĄCO.

BYĆ MOŻE CHCIAŁBYŚ SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z PRESCOTTEM.

BAKER

Skontaktować się z Prescottem.

Prescott był firmą adwokacką specjalizującą się w nie ściganych z urzędu sprawach związanych z podróżami kosmicznymi. Dali mu do zrozumienia, że może zostać pociągnięty do odpowiedzialności. To oznaczało, w najlepszym razie, koniec jego kariery. Jeśli wytoczą mu

proces, Bóg wie, co z nim będzie.

Siedział, z rozpaczą wpatrując się w wiadomość. I zazdrościł MacAllisterowi.

XVII

Patrzenie na śmierć Hartcourta dało mi teologiczną nauczkę: życie jest krótkie; nigdy nie rezygnuj ze zrobienia czegoś, co naprawdę chcesz zrobić, tylko dlatego, że boisz się zostać złapanym.

Gregory MacAllister, „Ostatnie chwile Abbeya Hartcourta” (Pokaż mi forsę)

Czas do rozpadu (prognoza): 153 godziny

Wieści o znalezionej podstawie windy orbitalnej nie pocieszyły nikogo na powierzchni. Byli za bardzo zaabsorbowani martwieniem się o własną skórę.

— Szkoda, że jej już nie ma i nie działa — rzekł Chiang. — Moglibyśmy skorzystać.

— To jest dość blisko — rzekła Hutch.

— Naprawdę? Gdzie?

— Na zachodnim wybrzeżu kontynentu. Na szczycie góry.

— Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby rzucić okiem, zanim się stąd ulotnimy — rzekł Nightingale.

MacAllister potrząsnął głową. Czy ci ludzie się nigdy niczego nie nauczą?

— Chyba nie powinniśmy kusić losu — rzekł. — Skupmy się na tym, żeby wynieść stąd nasze drogocenne tyłki.

— Może jest jakiś sposób.

Szarość, która malowała się na twarzy Beekmana, nieco się ulotniła. Tylko trochę, ale Marcel dostrzegł błysk nadziei.

Pewność siebie, z jaką Beekman mówił o braku alternatywnych sposobów na uratowanie rozbitków, przekonała Marcela. Kapitan sterczał na mostku przez dwie godziny, obserwując zdumiewający spektakl, jaki zapewnił im zbliżający się gigant, i rozmyślając, czy nie przesadził z brawurą, rzucając wyzwanie najpotężniejszym umysłom, jakie miał do dyspozycji, w sytuacji, gdy było dość jasne, że nikt nie będzie w stanie niczego wymyślić.

Teraz musiał stawić czoło temu samemu człowiekowi, który

zachowywał się, jakby oszalał. Marcel nie wierzył mu.

— Jak? — spytał.

— Właściwie to ty na to wpadłeś.

— Ja?

— Tak. Powtórzyłem naszą rozmowę kilku z nich. John myśli, że coś może w tym być.

— John Drummond?

— Tak.

— Że na co wpadłem?

— Żeby spuścić im linę. Odciąć kawałek artefaktu. Zastanawiamy się, czy nie da się zbudować takiego… podbieraka.

— A naprawdę jesteśmy w stanie coś takiego zrobić? Mówiłeś, że to niemożliwe.

— Cóż, nie będziemy w stanie spuścić jej aż do ziemi. Muszą się dostać na jakąś wysokość. Jeśli jednak uda im się to zrobić, jeśli tylko „Tess" się wzniesie, choć trochę, tak, to może być realne. — Usiadł i złożył dłonie. — Nie mówię, że to będzie łatwe. To będzie wręcz wariacka operacja. Ale jeśli się postaramy, jeśli będziemy mieć odrobinę szczęścia, może nam się udać.

— Jak? Co będziemy musieli zrobić?

Beekman wyjaśnił, na czym polega ich pomysł. Narysował parę diagramów i odpowiadał na pytania. Wyświetlał obrazy komputerowe i pokazywał schematy.

— Najważniejszy czynnikiem — zakończył — jest czas. Może nam go braknąć.

— W takim razie zaczynajmy. Co mam zrobić?

— Przede wszystkim będziemy potrzebowali mnóstwa ludzi. Ludzi, który będą mogli wyjść na zewnątrz i pracować.

— Ja mogę. Mira też.

— Ja nie mam na myśli dwóch osób. Potrzebny mi cały szwadron.

— Dobrze. Znajdziemy ochotników. I zorganizujemy jakieś podstawowe szkolenie.

— To jest zadanie, które będzie wymagało jakiejś koordynacji. Nasi ludzie to teoretycy. Żeby tylko się nam nie pozabijali tam na zewnątrz.

— Więc jaka koordynacja będzie nam potrzebna?

— Na początek będziemy potrzebowali spawaczy.

— Spawaczy?

— Tak. I muszę ci powiedzieć, że nie mam pojęcia, skąd ich wziąć.

— Spawanie jest trudne?

— Nie mam pojęcia. Nigdy tego nie robiłem.

— Wydaje mi się, że wystarczy jedna osoba, która wie, jak to robić. I nauczy pozostałych.

— A skąd weźmiemy tę jedną osobę?

— Nie mamy nikogo takiego?

— Już szukałem.

— Dobrze. W takim razie poszukamy na „Gwieździe". Jest tam tysiąc pięćset osób. Ktoś powinien coś o tym wiedzieć. — Nabazgrał coś w notesie. Nagle podniósł wzrok i skrzywił się. — Nie. To na nic.

— Czemu nie?

— Będziemy potrzebowali masy e-skafandrów. A na pokładzie mamy cztery. Może na innych statkach parę się znajdzie.

— Już sprawdzałem. Hutch wiozła cały transport. Są na pokładzie „Wildside". Generatory, buty, wszystko, czego potrzeba.

— Dobrze. — Marcel poczuł nagły napływ nadziei. — A co ze spawami? Wytrzymają? Będą solidnie obciążone.

Beekman skinął głową.

— Jesteśmy pewni, że tak. Tyle ci mogę powiedzieć. Mamy cztery statki i dużo wolnego miejsca. Materiał jest superlekki. A więc, jeśli mnie zapytasz, czy to wytrzyma, to jestem pewien, że tak. Jeśli tylko zrobimy wszystko jak trzeba.

— Dobrze. Czego jeszcze potrzebujemy?

— Nadal nad tym pracujemy.

— Dobrze — rzekł. — Przygotuj listę. Przyślij mi ją natychmiast, jak skończysz. Aha, Guntherze…

— Tak?

— Załóżmy, że jednak będziemy musieli użyć tego podbieraka.

Nicholson kręcił się po salonie z kilkoma pasażerami, kiedy zabrzęczał komunikator.

— *Kapitan Clairveau, panie kapitanie* — oznajmiła SI.

Przeprosił gości i przeszedł do gabinetu.

— Przełącz go, Lori.

Marcel Clairveau zmaterializował się.

— Eriku, potrzebuję twojej pomocy.

— Oczywiście. Co mogę dla ciebie zrobić?

— Zdajesz sobie sprawę z tego, że nie mamy żadnej gwarancji, iż tym ludziom uda się dostać na orbitę.

— Mam świadomość tego, jaka jest sytuacja.

Nicholsonowi, w obliczu dymisji i poniżenia, trudno było się tym wszystkim przejmować, ale starał się przynajmniej okazywać, że się martwi.

— Być może jest inny sposób. Jeśli okaże się konieczny. Nie chciałbym być pesymistą, ale dobrze byłoby mieć jakąś inną opcję. — Zamilkł, patrząc Nicholsonowi w oczy. — Potrzebna nam twoja pomoc.

— Wiesz, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

— Dobrze. Potrzebujemy ochotników, zwłaszcza takich, którzy mają doświadczenie z pracą w kosmosie, jakichś inżynierów, wszystkich, którzy mieli do czynienia z dużymi konstrukcjami. I spawacza. A najlepiej paru. Ale musimy znaleźć co najmniej jednego.

Nicholson potrząsnął ze zdumieniem głową.

— Kapitanie, a mogę zapytać, po co?

— Niektórzy z nich, ci, którzy będą chcieli, zostaną przeszkoleni. Potem, jeśli będziemy musieli skorzystać z tego planu, większość z nich będzie pracowała na zewnątrz.

— Mój Boże, Marcelu. — Nicholson poczuł, że serce zaczyna mu walić jak młotem. — Czyś ty oszalał?

— Będziemy bardzo ostrożni, Eriku. Ten plan zrealizujemy tylko wtedy, jeśli naprawdę nie będzie innego wyjścia.

— Nie obchodzi mnie, jak zamierzacie być ostrożni. Nie zamierzam zezwalać moim pasażerom na wychodzenie na zewnątrz. Czy ty masz pojęcie, jak zareaguje korporacja, jeśli im na coś takiego pozwolę?

— Korporacja może jakoś to przełknie, jeśli uda się uratować MacAllistera.

— Nie — odparł. — Nie ma mowy.

Obraz Marcela spojrzał na niego.

— Pewnie wiesz, że jak będzie po wszystkim, odbędzie się dochodzenie. I wtedy nie będę miał wyboru: będę musiał złożyć na ciebie skargę.

— Składaj i idź do diabła! — warknął Nicholson. — Nie będę ryzykował życia moich pasażerów.

Kiedy zapadła ciemność, z pokładu „Wendy" poinformowano ich, że przeszli kolejne dwadzieścia cztery kilometry. To był ich najlepszy wynik do tej pory. Główną przyczyną był fakt, że teren stał się łatwiejszy, ale MacAllister i Nightingale także zaczynali przyzwyczajać się do tempa.

Zatrzymali się nad strumieniem, nałowili ryb i usmażyli je. Tym razem królikiem doświadczalnym był MacAllister. Przełknął mały kawałek i prawie natychmiast zachorował. Wyrzucili resztę i zjedli ostatnie gotowe dania.

O północy, o wschodzie Jerry'ego, MacAllister nadal wymiotował. (Wszyscy nabrali nawyku mówienia o planecie z użyciem imienia odkrywcy. W ten sposób wydawał im się mniej groźny). Tarcza była wyraźnie widoczna. Planeta znajdowała się w fazie półksiężyca.

Gazowy gigant wzeszedł już wysoko ponad wierzchołki drzew, kiedy sensacje żołądkowe przeszły MacAllisterowi na tyle, by dał radę zasnąć. Rano był już sobą: oschły jak zwykle. Gdy Hutch zaproponowała, żeby jeszcze parę godzin odpoczął, odmówił.

— Nie ma czasu — rzekł, przypominając im o Morganie. — Zegar tyka.

Wyruszyli w niezłym tempie. Rany odniesione w bitwie zaczęły się goić. Nightingale wymoczył pęcherze w wodzie z jakimś medykamentem, więc też czuł się lepiej.

Teren był płaski i szło się łatwo. Późnym popołudniem zatrzymali się nad strumieniem, a Marcel poinformował ich, że są siedemdziesiąt pięć kilometrów od lądownika.

Dużo czasu.

— A jak tam północne wybrzeże?

— Trzyma się.

— Jak to wygląda? Dobrze, źle?

— Na dwoje babka wróżyła — odparł. — Ale sądzimy, że się uda.

Choć wieści były dobre, postanowili nie odpuszczać. Hutch zarządziła krótsze przerwy i podczas marszu mało jedli. Dwa razy zostali zaatakowani, raz przez jakieś rośliny, które wyglądały jak szarłat, ale próbowały żądlić i przewróciły Hutch; za drugim razem było to stado kardynałów.

Nightingale rozpoznał je: były to te same ptaki, które pokonały pierwszą ekspedycję. Teraz było ich mniej i poradzili sobie z nimi dość łatwo. Kellie i Chiang odnieśli rany, ale nie było to nic poważnego.

Późnym popołudniem natknęli się na pole olbrzymich fioletowych kwiatów. Przypominały gigantyczne orchidee na cienkich, zielonych łodygach. Znajdowali się sześćdziesiąt cztery kilometry od lądownika i zostały im cztery dni.

A przynajmniej taką mieli nadzieję.

Nightingale wyglądał na wyczerpanego, więc Hutch zarządziła godzinę przerwy. Poza tym, pomyślała, byli nawet w dobrej kondycji.

Zebrali kilka rodzajów owoców i znaleźli wśród nich takie, które im smakowały. Były to głównie jagody, dość twarde, przystosowane do klimatu, ale jadalne, a niektóre wręcz smaczne. Znaleźli kilka, rozdali je i z przyjemnością zjedli.

Hutch nie była głodna, zjadła więc coś tylko dla smaku. Potem wstała.

— Dokąd idziesz? — spytał Chiang.

— Do łazienki — odparła. — Za minutę wracam.

— Poczekaj — podskoczyła Kellie. — Stanę na straży.

Hutch machnęła ręką. Poletko orchidei było oddzielone, a za nim rozciągał się widok aż po horyzont. Nic nie mogło zbliżyć się niezauważone.

— Daj spokój. Jakby coś się działo, będę wrzeszczeć. Odeszła w stronę krzaków.

Kiedy skończyła, skuszona niezwykłym pięknem gigantycznych kwiatów, uznała, że przez kilka minut nacieszy się uczuciem spokoju,

jakiego zwykle doznawała w lesie. Dzień był niezwykle ciepły, i spodobał jej się zapach lasu, mięty i piżma, a może i pomarańczy. Wyłączyła e-skafander.

Podeszła do jednego z ogromnych kwiatów i stanęła przed nim. Pogłaskała płatek. Był miękki i sprawiał jakieś erotyczne wrażenie.

Hutch żałowała, że te olbrzymie kwiaty wyginą, i zaczęła się zastanawiać, czy nie dałoby się zebrać trochę pyłku i zabrać go na Ziemię, by tam je odtworzyć. Szła od kwiatu do kwiatu, przyglądając się im. Miały delikatne, złote pręciki i długi, zielony słupek, sterczący z okrągłej puszki. Zatrzymała się przed jednym z kwiatów. Las dziwnie ucichł. Rozejrzała się dookoła, patrząc, czy nikt jej nie obserwuje, zastanowiła się, czemu się tym przejmuje, i delikatnie dotknęła słupka czubkami palców. Pogłaskała go i poczuła, jak pulsuje pod jej dotykiem.

— Wszystko w porządku, Hutch?

Podskoczyła, myśląc, że Kellie podeszła do niej od tyłu, ale to było tylko radio.

— W porządku. Za minutkę wracam.

Ogarnęła ją fala niewyobrażalnie dobrego samopoczucia. Ujęła słupek oboma rękami, przyciągnęła go do policzka i rozkoszowała się jego ciepłem.

Kwiat poruszył się.

Miękkie płatki omiotły jej twarz. Wdychała słodki, zielony zapach, czując, jak opada z niej ciężar ostatnich kilku dni.

Potarła ramiona dłońmi, przytuliła policzek do kwiatu. Zamknęła oczy. Żałowała, że nie da się zatrzymać czasu. Ogarnęła ją fala ekstazy. Czuła, że naprawdę żyje, jakby pędziła na jakiejś fali; zrozumiała, że oto doświadcza czegoś, co zapamięta do końca życia.

Kołysząc się lekko, wsunęła się w objęcia kwiatu. Popieściła słupek. Poczuła, jak znikają ostatnie zahamowania.

Kwiat poruszał się w jej rytmie. Oplatał ją. Pieścił.

Zdjęła bluzkę.

Świat zewnętrzny zbladł.

Poddała się.

Omdlewała, ale jakieś głosy ściągnęły ją z powrotem. To tylko radio; ci ludzie byli daleko stąd. Bez znaczenia. Zapomniała o nich.

Wszystko wydawało się tak odległe. Napawała się chwilą, śmiejąc się, bo było w tym wszystkim coś nieprzyzwoitego, coś, czego nie umiała określić, ale ani trochę jej to nie obchodziło. Miała tylko nadzieję, że nikt nie wyjdzie z lasu i nie zobaczy, co robi.

Po chwili tym też przestała się przejmować.

Nie pamiętała dokładnie, kiedy to erotyczne uczucie się ulotniło, kiedy światło stało się ostre, czysta, niezmącona radość przygasła, a

ona miała wrażenie, jakby wyglądała z jaskini, jakby pogrzebano ją gdzieś na tyłach jej umysłu, niezdolną, by czuć, niezdolną, by panować nad ciałem. Przyszło jej do głowy, że musiała być w niebezpieczeństwie, ale nie mogła nawet się tym przejąć. Coś ją szarpało i głosy stały się natarczywe. Ktoś ją popychał i przenosił. Płatki ustąpiły twardej ziemi, na której ją położono. Wszyscy klęczeli wokół niej, a Kellie nakładała jakąś maść, powtarzając, żeby się nie ruszała, że nic jej nie będzie.

— Próbowałaś przelecieć drzewo?! — spytał MacAllister, używając pierwszego określenia, jakie przyszło mu do głowy. — Chyba w życiu czegoś takiego nie widziałem.

Kwiat leżał obok, poczerniały i poskręcany. Delikatne płatki były porozrzucane dookoła, a słupek złamany. Zmartwiło ją to.

— Dalej, Hutch, mów do mnie.

Inne kwiaty zakołysały się jak na komendę. A może to bryza?

Piekła ją szyja, ramiona i twarz.

— Niezły odlot — powiedziała i zachichotała.

Kellie spojrzała na nią z dezaprobatą.

— W twoim wieku powinnaś być mądrzejsza.

— Pewnie wydzielał jakiś alergen — podsunął Nightingale.

— Dość mocny.

— Pewnie tak. — Hutch czuła się oderwana od rzeczywistości, jakby siedziała skulona we wnętrzu swojego umysłu. I czuła się dotknięta.

— Chyba byłaś dla niego za duża — wyjaśnił Nightingale.

— Kiedy się zjawiliśmy, poczynał sobie w najlepsze.

— Czemu wszystko mnie boli?

— On próbował cię strawić, Hutch.

Kellie skończyła nakładanie maści, więc włączyli e-skafander Hutch. Zaczęła oddychać powietrzem, z którego odfiltrowano dziwną substancję, więc uczucie, że wszystko jest śmieszne i że powinni zostawić ją w spokoju, zaczęło ustępować. Wyciągnęła ręce i spojrzała na pociemniałe plamy na skórze.

— Enzymy zaczynały już działać, kiedy cię wyciągnęliśmy — powiedziała Kellie.

— Psychotyczny kwiatek — mruknęła Hutch.

— I napalone laski z Ziemi — zaśmiał się Chiang.

Ubranie Hutch było w strzępach, więc Nightingale wyjął kombinezon przeznaczony dla załogi „Gwiazdy”, który zabrali z lądownika.

— Chyba będzie trochę duży, ale mniejszego nie mamy.

Drżała. I czuła wstyd. Boże mój, co ona mogła robić, kiedy ją znaleźli?

— Nie mogę uwierzyć, że coś takiego mi się przytrafiło.

— Pamiętasz swoją pierwszą zasadę? — spytał Nightingale.

— Tak. *Nikt nie oddala się sam.* Nie mogła chodzić.

— Nieźle cię poparzył — rzekła Kellie. — Zatrzymamy się tu na noc i zobaczymy, co będzie jutro.

Nie sprzeciwiała się, kiedy ją przenosili. Ułożyli ją i rozpalili ogień. Zamknęła oczy i przypomniała sobie, co jej się przytrafiło, kiedy miała trzynaście lat: wtedy po raz pierwszy pozwoliła jednemu chłopakowi włożyć jej rękę pod bluzkę. Byli w szopie na narzędzia na tyłach domu i jej matka ich tam znalazła. Chłopiec usiłował zbagatelizować cały incydent, mówiąc, że nic się nie stało, ale Hutch czuła się poniżona: poszła do swojego pokoju, myśląc, że świat się zaraz skończy, choć matka obiecała, że nic nie powie ojcu. W zamian za obietnicę, że nic takiego się nie powtórzy. Nie powtórzyło się. Przynajmniej nie tamtego lata.

Teraz czuła się podobnie poniżona. Leżąc z zamkniętymi oczami, nie słysząc żadnych rozmów, bo wszyscy się wyłączyli, żeby jej nie przeszkadzać, słuchała trzasku ognia i czasem odgłosu kroków i marzyła o tym, żeby zniknąć. Jej reputacja legła w gruzach. I to na oczach MacAllistera i wszystkich pozostałych. MacAllister na pewno to wszystko opisze, a Hutch i jej kwiatuszek zostaną gwiazdą Universal News.

Czy w całej historii gatunku był ktoś, kto próbował robić to z rośliną?

Gdy się obudziła, było ciemno. Ogień przygasł. Dostrzegła Kellie siedzącą na kłodzie obok niej. Delikatne migotanie wydobywało z ciemności jej rysy.

Gigantyczny kwiat powrócił w snach, czasem przerażających, czasem zachwycających. Przez chwilę leżała cicho, myśląc o nim, z nadzieją, że to wszystko jej się przyśniło. Niestety, to była rzeczywistość.

Zdecydowała, że kiedy wróci do domu, pozwie Akademię.

— Nie śpisz? — spytała Kellie.

— Niestety.

Kellie uśmiechnęła się i odpowiedziała cicho:

— Nie przejmuj się tym. — Po czym dodała po chwili:

— Naprawdę było to aż tak dobre?

— Co masz na myśli?

— Wyglądałaś, jakbyś świetnie się bawiła.

— Tak, chyba tak. — Hutch usiadła. — Która godzina?

Morgan świecił wysoko nad nimi, coraz większy. Połowa gigantycznej planety była w cieniu.

— Zmieniasz temat.

— Co ja ci mam powiedzieć, Kellie? Straciłam kontrolę nad

wszystkim.

Kellie pogrzebała w ognisku. Iskry wzbiły się w ciemność.

— Wielka rosiczka. Co za dziwna planeta.

— Tak, dziwna.

— To mogło się zdarzyć każdemu z nas. Wszyscy rozumieją. — Spojrzała na prawe ramię Hutch. — Rano nic ci nie będzie. — Najwyraźniej podczas swojej przygody Hutch zdołała pozbyć się całego ubrania. Miała oparzenia na obu nogach, prawym ramieniu, na biodrach, w pasie, na piersiach, szyi i twarzy. — Strasznie wyglądałaś, jak cię tu przenieśliśmy — dodała z uśmiechem.

Hutch zapragnęła zmienić temat.

— Straciliśmy dziś sporo czasu.

— Niekoniecznie. Sporo przeszliśmy. A Randy też miał dość.

Hutch zapatrzyła się w ciemność. Widziała sylwetki gigantycznych kwiatów na tle nieba.

— Randy uważa, że one mają oczy — rzekła Kellie.

Hutch zadrżała. Przypisywała to doświadczenie pierwotnej, zaprogramowanej sile natury. Ale oczy! Przez to całe doświadczenie stawało się czymś osobistym.

— Może nie dokładnie są to oczy — mówiła dalej Kellie — ale dość skomplikowane receptory świetlne. Mówi, że jego zdaniem rośliny na tej planecie przewyższają wszystko, co dotąd spotkaliśmy.

Hutch czuła się nieswojo, będąc tak blisko nich. Miała wrażenie, że dokonano na niej gwałtu.

— Uważa, że mają coś w rodzaju układu nerwowego. Przyglądał się kilku mniejszym. Reagują, jak się próbuje je wyrwać albo uciąć.

— Reagują?

— Poruszają się.

— Jasne — odparła.

„Edward J. Zwick” przybył do układu Maleivy bez większego rozgłosu. Canyon spojrzał na Morgana przez teleskop, potem przyjrzał się Deepsix i poczuł smutek z powodu ludzi uwięzionych na jej powierzchni.

„Zwick” otrzymał nazwę na cześć dziennikarza, który zginął pod koniec stulecia, zbierając materiały o licznych wojnach granicznych w Ameryce Południowej. Jego kapitanem był trzydziestoośmioletni były żołnierz sił pokojowych Miles Chastain. Miles był wysoki, smukły, spokojny. W jego zachowaniu było coś, co sprawiało, że Canyon czuł się nieswojo. Ten facet zawsze wydawał się taki poważny.

Był to rodzaj człowieka, którego — zdaniem Canyona — dobrze było mieć u boku, gdyby wybuchła wojna, ale niekoniecznie taki, którego chętnie zapraszało się na obiad. Nigdy nie zdołał zbliżyć się do kapitana w czasie długiej podróży z Ziemi.

Emma skarżyła się, że lepszym towarzyszem jest nawet Wilfrid, pokładowa SI. Na pewno był bardziej uprzejmy. Jej podejście miało dać Canyonowi do zrozumienia, że jego podejrzenie, jakoby nocą na korytarzach „Zwicka" miały miejsce jakieś miłosne przygody, było całkowitym absurdem.

Kapitan spędzał mnóstwo czasu w kokpicie i prywatnej kwaterze. Nigdy nie zaczynał rozmowy, chyba że w sprawie służbowej. A kiedy przybyli na orbitę Deepsix, właściwie nie miał do roboty niczego poza czekaniem na kolizję.

Komunikator Canyona zawibrował. To była Emma.

— Auguście — rzekła — właśnie podsłuchałam dziwną rozmowę między Kelly Collier a Clairveau.

— Tak? O czym?

— Clairveau zastanawiał się, czemu tak późno wyruszyli. Kellie Collier odpowiedziała mu, że Hutchins odpoczywa, bo została zaatakowana przez roślinę.

— Roślinę?!

— Tak powiedziała.

XVIII

Umieść w jednym pomieszczeniu mężczyzn i kobiety, a IQ spadnie im o trzydzieści sześć punktów. Psychologowie zaobserwowali to zjawisko, prowadzono nad nim badania, wyniki nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Namiętność czyni z nas głupców.

Gregory MacAllister, „Miłość i czekolada" (Przedmiot sposobności)

Czas do rozpadu (prognoza): 140 godzin

Na ekranie Nicholsona pojawiło się dostojne oblicze Lori. SI miała na sobie formalny kostium i biały szal. Miało to dać mu do zrozumienia, że chce z nim poważnie porozmawiać. Oczywiście wiedział o czym.

— *Sądzę, że odmówienie im pomocy to błąd* — oznajmiła.

— Moim najważniejszym obowiązkiem jest dbanie o bezpieczeństwo pasażerów, Lori.

— *Przepisy dla takich sytuacji są niejasne. W każdym razie jeden z twoich pasażerów znalazł się w trudnej sytuacji. Poza tym otrzymałeś od korporacji instrukcję, żeby zapewnić wszelką pomoc w akcji ratunkowej.*

— Ta instrukcja nie będzie warta funta kłaków, jeśli ktoś z tych pieprzonych ochotników zginie.

— *Zgadzam się, kapitanie. Ale muszę przypomnieć, że jeśli nasza obecna sytuacja się nie zmieni, a pan MacAllister zginie, znajdziesz się w bardzo trudnej sytuacji z powodu odmowy udzielenia pomocy.*

— Wiem.

— *Jedyne działanie, które pozwoli ci wyjść z tego z twarzą, to udzielenie im pomocy, w nadziei, że nikomu się nic nie stanie. Jeśli coś takiego się przydarzy…*

Nicholson przeczesał włosy palcami. Nie mógł zdecydować, która droga będzie bezpieczniejsza.

— *To nie jest moja decyzja, kapitanie* — powiedziała. — *Ale moim obowiązkiem jest służyć radą. Czy mam skontaktować się z kapitanem Clairveau?*

Marcel polecił Beekmanowi kontynuować prace nad alternatywnym planem akcji ratunkowej. Miał zamiar ponownie zwrócić się do Nicholsona z prośbą o pomoc. Chciał jednak dać mu trochę czasu na przemyślenie decyzji. Na to, żeby się trochę pomartwił.

Dodatkowy ekran zaczął migać.

KAPITAN NICHOLSON NA LINII.

Szybciej, niż przypuszczał.

— Potrzebny nam także ktoś, kto potrafi zmontować pompę zdalną.

— Pompę zdalną?

— Posłuchaj, Eriku. Wiem, jak to wszystko wygląda. Ale nie mam czasu teraz omawiać tego wszystkiego. Zaczęliśmy późno i musimy nadgonić. Po prostu mi zaufaj.

— Dobrze, Marcelu. Ogłoszę to dziś przy kolacji.

— Nie. Nie przy kolacji. To będzie za późno. Zbierz wszystkich ochotników już teraz. Ja też będę chciał z nimi rozmawiać. Ci, którzy chcą pomóc, którzy mogą się przydać, niech się stawią natychmiast.

— Mój Boże, Marcelu, strasznie naciskasz. Mam to ogłosić w tej chwili?

— Tak, w tej chwili.

— A powiesz mi, co chcecie zrobić?

— Budujemy windę orbitalną, Eriku.

— Bill.

— *Tak, Marcelu?*

— Jutro rano wszystkie statki mają się stawić przy artefakcie. Dogadaj się z pozostałymi SI.

Nicholson uruchomił publiczny system komunikacyjny „Gwiazdy” i poinformował załogę i pasażerów o tym, że choć wszyscy zdają sobie sprawę z trudności, jakie napotkała grupa pracująca na powierzchni Maleivy III, pozwoli sobie krótko o nich wspomnieć.

— Nadal próbujemy ich uratować — powiedział. Patrzył odważnie w kamerę, wyobrażając sobie, że jest słynnym wojownikiem, prowadzącym swoje zastępy do bitwy. — Aby dołożyć wszelkich starań, by nam się to udało, musimy skorzystać z waszej pomocy.

— Pozwolę sobie przedstawić kapitana Clairveau z „Wendy Jay”, który wyjaśni, co chcemy osiągnąć. Proszę, żebyście wysłuchali go uważnie, a jeśli dojdziecie do wniosku, że możecie nam pomóc, zgłaszajcie się.

— Kapitan Clairveau.

Marcel przedstawił im ogólny plan i zwrócił się z emocjonalnym apelem do pasażerów i załogi, by się zgłaszali, nawet jeśli nie mają jakichś specjalnych umiejętności.

— Zamierzamy wyszkolić parę osób i mamy tylko parę dni na wykonanie tej pracy. Większość ochotników będzie musiała pracować na zewnątrz. Wszystko będzie zależało od tego, co się stanie na powierzchni planety.

— Chciałbym podkreślić, że praca na zewnątrz wiąże się z pewnym ryzykiem, ale nie jest jakoś szczególnie niebezpieczna. E-skafandry stanowią wystarczającą ochronę. Mimo to chciałem was o tym poinformować z góry. I dziękuję za to, że mnie wysłuchaliście.

W ciągu dziesięciu minut od zakończenia przemowy Nicholson został zasypany zgłoszeniami.

— Jest jeszcze coś, Eriku.

Mój Boże, czego ten człowiek jeszcze może ode mnie chcieć?

— Obaj wiemy, że ta operacja będzie wymagać wyjątkowo precyzyjnej koordynacji wszystkich czterech statków. Nie mamy żadnego marginesu błędu.

— Rozumiem. Czego potrzebujesz?

Marcel odwrócił wzrok od ekranu. Nicholsona uderzyło, że ten mężczyzna postarzał się w jego oczach.

— Chciałbym, żebyś podczas całej operacji wyłączył sterowanie „Gwiazdą". Będziemy wszystkim sterować stąd.

— Nie mogę tego zrobić, Marcelu. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym. To wbrew przepisom.

Marcel zastanowił się chwilę przed udzieleniem odpowiedzi.

— Jeśli tego w ten sposób nie zrobimy, nie może się udać.

Nicholson potrząsnął głową.

— Nie mogę spełnić twojej prośby. To zbyt wiele. Bez względu na to, jaki będzie wynik całej operacji, to ja za to zawisnę.

Marcel przyglądał mu się przez kilka sekund.

— Coś ci powiem. A jeśli my przylecimy do ciebie? I poprowadzimy całą operację z pokładu „Gwiazdy"?

Rzadko się zdarzało, by Embry przez całą godzinę ani razu nie pomyślała o tym, ile zdrowego rozsądku wykazała, odmawiając Hutch uczestnictwa w misji. Płakała po śmierci Toni i żałowała, że nie może zrobić czegoś dla pozostałych. To doświadczenie nauczyło ją jednego: nie należy przyjmować potencjalnie śmiertelnych zadań. Takie operacje wymagały odpowiednich przygotowań i planowania. Smutna prawda była jednak taka, że ktoś w Akademii nie wywiązał się ze swoich obowiązków, po czym próbował wyjść z tego z twarzą, wysyłając tam Hutchins, a teraz biedna Hutch płaciła za to wysoką

cenę.

Przez kilka pierwszych dni, zanim wszystko się popsuło, ona i Tom byli po prostu wściekli z powodu opóźnienia. Wysyłała wiadomości do domu, narzekając, że musi spędzić kolejny miesiąc albo i więcej, siedząc pośrodku pustki. Powiedziała nawet paru przyjaciołom, że rozważa pozwanie do sądu Hutchins i Akademii.

Tom był bardziej tolerancyjny. Najwyraźniej był przyzwyczajony do nieudolnego zarządzania w wydaniu Akademii i nie spodziewał się po tej instytucji lepszej organizacji. Nie był zaskoczony tym, że pierwsza ekipa nie zauważyła na Deepsix ruin. Planeta ma sporą powierzchnię, wyjaśnił jej. Jeśli cywilizacja jest na wczesnym etapie rozwoju, a tak najwyraźniej było w tym przypadku, niewiele jest miast, które łatwo znaleźć. Nic dziwnego, tłumaczył jej, że nie mieli pojęcia, z czym mają do czynienia. Byłby pod wrażeniem, gdyby udało im się coś odkryć.

Zamieszanie, jakie panowało na powierzchni, odzwierciedlały lęki na pokładzie „Wildside". Embry cierpiała z powodu poczucia winy, ilekroć uświadamiała sobie, co oznacza utrata obu lądowników. Oczywiście w żaden sposób nie mogła być za to odpowiedzialna, ale mimo to czuła ciężar odpowiedzialności. Co za absurd.

Ona i Tom od początku siedzieli przy monitorach, słuchając rozmów między ekipą naziemną a dowództwem na „Wendy". Kiedy Clairveau skontaktował się z nimi, informując, że statek ratunkowy jest w drodze, zapytała, jakim cudem coś takiego mogło się w ogóle zdarzyć. Przeprosił, ale wyjaśnił, że nie są w stanie przewidzieć wszystkich zagrożeń. Czy ktoś mógł przewidzieć coś takiego jak zniszczenie obu lądowników?

Chciała odpowiedzieć, że drugiego lądownika, pojazdu „Wieczornej Gwiazdy", w ogóle nie powinno tam być. Nie uwzględniono go w planach Akademii. Tak naprawdę tylko jeden lądownik był dostępny, więc ryzyko od początku było znaczne.

Okoliczności. Wszystko sprowadzało się do okoliczności. Po rozmowie z kapitanem „Wendy Jay" Tom tłumaczył jej, że nie zawsze da się wyeliminować element ryzyka. To nie ma znaczenia, powiedział, co ktoś zrobił, czy czego nie zrobił, dwadzieścia lat temu. Znaczenie miało tylko to, co jest teraz. Hutchins otrzymała polecenie, uznała, że zyski mogą być warte ryzyka, i przyjęła to zadanie. Nie można jej za to winić.

Tylko że tam zginęli ludzie i mogli zginąć następni. Embry trudno było zaakceptować fakt, że nikt nie jest za to odpowiedzialny. Jej zdaniem, kiedy coś idzie nie tak, jak powinno, zawsze ktoś ponosi odpowiedzialność.

Coś pozytywnego jednak wynikło z całej tej katastrofy. Ona i Scolari, pozostawieni samym sobie i zapomniani na pokładzie

„Wildside", pocieszali się nawzajem w swoich ramionach, z wyjątkiem chwil, kiedy ktoś potrzebował pomocy medycznej.

Przysłuchiwali się regularnym reportażom Canyona, pojawiającym się w mediach, ona z pewną pogardą. Tom, jak zwykle, z tolerancją.

— Pewnie myśli to samo co my — powiedział. — Pewnie sądzi, że powinien przejawiać uczucia na użytek publiczny. To jest obrzydliwe.

Nie wierzyła w to. Canyon wyduszał z katastrofy, ile się dało, czerpiąc z niej zyski, i pewnie dziękował swoim szczęśliwym gwiazdom, że go tu przysłano.

Siedziała z Tomem, omawiając ich plany na przyszłość. Zastanawiali się, co będą robić, kiedy wrócą do domów. Mieszkali po przeciwnych stronach kontynentu północnoamerykańskiego, więc przez jakiś czas ich znajomość musiała pozostać wirtualna. I tak żadne z nich nie czuło się jeszcze gotowe na podejmowanie zobowiązań. To jednak nie było poważnym utrudnieniem. W epoce zaawansowanych technologii niewiele pozostawało dziedzin, nawet tych intymnych, których nie można by uprawiać na duże odległości.

Tom mówił właśnie, że mogą być ze sobą w wakacje, kiedy zabrzęczał monitor. Rozmowa przychodząca.

— Połącz, Bill — zwrócił się do SI.

Pojawił się obraz Clairveau. Pomyślał, że wygląda na zmęczonego. Wyczerpanego.

— Tom — odezwał się. — O ile wiem, macie na pokładzie jakieś lasery. Są przenośne?

— Tak. Gdzieś tu są.

— Dobrze. Muszę ci je zabrać. Wysyłam po nie wahadłowiec.

— Co zamierzacie zrobić? — spytała Embry. — Po co ci lasery?

— Żeby uratować waszą panią kapitan.

— Serio? — spytał Tom. — Jak?

— Później ci powiem. Teraz muszę lecieć.

— Potrzebujesz jakiejś pomocy?

— Jasne — odparł Clairveau. — Przyda się każda pomoc. Wyłączył się, a Embry poczuła panujące w pomieszczeniu napięcie.

— Tom — rzekła wreszcie — ty nie masz pojęcia o spawaniu.

— No tak — odparł. — Myślisz, że to bardzo trudne?

— Panie i panowie, mówi kapitan Nicholson. Jak państwo wiedzą, pierwotny plan zakładał, że opuścimy naszą obecną pozycję za dwa dni, w poniedziałek, i oddalimy się o jakieś siedemdziesiąt milionów kilometrów, aby być wystarczająco daleko, kiedy w sobotni wieczór nastąpi zderzenie.

— Zaoferowaliśmy jednak naszą pomoc w akcji ratunkowej. To

oznacza, że zostaniemy w najbliższym otoczeniu planety nieco dłużej. Chciałbym podkreślić, że „Wieczorna Gwiazda" absolutnie nie będzie narażona na żadne niebezpieczeństwo. Powtarzam, statek nie będzie w żaden sposób zagrożony. Zdążymy się oddalić w porę, więc nie ma powodów do obaw.

— Prawdopodobnie zastanawiają się państwo, jaką rolę odegra „Wieczorna Gwiazda" w ratowaniu rozbitków. Przygotowaliśmy szczegółową prezentację objaśniającą, na czym będzie polegać akcja ratunkowa, i udostępniliśmy ją w sieci statku. Proszę po prostu przejść do strony „Akcja ratunkowa". Specjalny, wytłaczany folder, który będą państwo mogli zatrzymać na pamiątkę, będzie rozdawany dziś po południu.

— Wręczymy także państwu na pamiątkę broszkę przedstawiającą windę orbitalną.

— Dziś wieczorem będziemy podawali posiłki na koszt linii InterGalactic. Godzina tanich drinków rozpocznie się, jak zwykle, o siedemnastej. Jeśli mają państwo jakieś pytania, nasi oficerowie z przyjemnością państwu pomogą.

— Dziękuję państwu za cierpliwość w tych trudnych chwilach. Będziemy państwa o wszystkim informować na bieżąco.

Po kilku minutach od przemowy kapitana pojawił się Marcel z kilkoma osobami. Byli to matematycy i fizycy, którzy zgłosili się, by pomóc w planowaniu alternatywnej akcji ratunkowej. Zaprowadzono ich do prowizorycznego centrum dowodzenia, które przygotował Nicholson.

Nicholson siedział w milczeniu, oni zaś omawiali odłączenie asteroidy, odczepienie walca i sieci od pozostałej części artefaktu, obrócenie go prawie o 360 stopni i umieszczenie na trajektorii prowadzącej w stronę Deepsix. Śledzili przewidywane zmiany naprężeń przy odczepianiu walca. Obliczali, w jaki sposób cztery nadświetlne statki mogą obrócić walec, nie łamiąc go.

Określili, że idealna długość walca to 420 km. Walec miał zostać odczepiony na końcu, na którym znajduje się asteroida, powiedział wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna, który przedstawił się jako John Jakiś-Tam, uśmiechając się, jakby to miał być żart.

Kiedy skończyli, padło kilka pytań. Jedno zadał sam Nicholson:

— Czy jesteśmy pewni, że spaw między walcem, wykonanym z nieznanej nam substancji, a kadłubem statku, wytrzyma?

— Wytrzyma — powiedział niski człowieczek uszczypliwym tonem. — Już to wypróbowaliśmy.

Rozmowa przeszła na tematy techniczne i Nicholson przestał z niej cokolwiek rozumieć, więc po chwili się wymknął. Wyglądało na to, że wszyscy wiedzą, co robią. Może nawet to wszystko jakoś dobrze

się skończy. Może nawet on sam zostanie bohaterem.

Przysłali wahadłowiec po Toma i już po dwudziestu minutach Embry odkryła, że nie lubi być sama na „Wildside". Statek wypełniały echa i głosy Różne układy włączały się i wyłączały. Syczało ciepłe powietrze sączące się z wentylatorów i kanałów. Pokładowe instrumenty elektronicznie nieustannie ze sobą rozmawiały. Bill, SI, pytał, czy Embry dobrze się czuje, a ona odpowiadała, że tak; w przeciwnym razie chciał zdiagnozować problem. Nie mogła go zignorować, bo powtarzał zapytanie, a cierpliwość miał nieskończoną.

A raczej: to urządzenie miało nieskończoną cierpliwość. Trzymajmy się faktów.

Nie należała do osób, którym sprawia przyjemność konwersowanie z SI. Bill był w końcu symulacją, nie żywą osobą. Wiele osób o tym zapominało. Ona najchętniej wysłałaby takich ludzi do psychiatry.

Siedziała w kokpicie, w fotelu pilota. Deepsix rozciągała się pod nią: masa oceanów i lodowców, z wyjątkiem wąskiego, brązowo-zielonego pasa w okolicach równika. Potężna burza śnieżna grasowała na kontynencie, który nazwali Północny Tempus.

Na niebie nie było widać żadnego z pozostałych statków. Czuła się zupełnie sama. Zaprosili ją, żeby się przeniosła na „Wendy", ale odmówiła. Pakowanie było niewygodne, a i tak musiałaby tu wrócić, gdyby akcja została uwieńczona sukcesem. Tak czy inaczej, chodziło tylko o parę dni.

Z drugiej strony, jeśli skończy się to katastrofą, diabli wiedzą, kiedy uda jej się wrócić do domu. Nie chciała wyjść na bezduszną, zimną sukę, ale też nie chciała spędzić tu zimy. Jeśli Hutch i pozostali zginą, prawdopodobnie opóźnienie będzie znaczne, co najmniej parę tygodni, dopóki nie przyleci nowy pilot i nie przejmie „Wildside".

Komunikator zawibrował. Ucieszyła się, że ktoś przerwał jej rozważania.

— Tak?

— Embry. — Na bocznym ekranie pojawił się obraz Marcela. — Jak sobie radzisz?

— W porządku.

— Wyświadczysz mi przysługę?

— Słucham cię.

— Jeśli dojdzie do realizacji planu awaryjnego, będą nam potrzebne wszystkie cztery statki. I musimy wszystko przygotować tak, by natychmiast wystartować, jeśli będzie to konieczne. Chciałem cię więc poinformować, że „Wildside" będzie trochę manewrować.

— Marcelu, tu nie ma pilota.

— Wiem. Lori będzie pilotować.

— Kto to jest Lori?

— SI „Gwiazdy”.

— SI „Gwiazdy”? A dlaczego nie Bill?

— To długa historia. Opowiem ci kiedyś, jak będzie więcej czasu.

— Czy to jest bezpieczne?

— Jasne. A teraz, czy mógłbym cię prosić o wystukanie kodu na konsoli sterowania? Jest przed fotelem pilota.

— Czarny panel z migającymi lampkami?

— Tak. — Podał jej ciąg cyfr, a ona posłusznie je wprowadziła. — Teraz będę mógł porozmawiać bezpośrednio z SI — rzekł. Dostrzegła, że oczy mu się zwęziły. — Jesteś pewna, że dobrze sobie radzisz?

— Tak jest, kapitanie.

— Dobrze. Więc tak: jutro zabieramy „Wildside” z orbity. Lecimy w okolice windy orbitalnej, razem z całą resztą. Jak tam dolecimy, będzie trochę zamieszania. Parę osób wejdzie na pokład twojego statku. Nie musisz nic robić. Po prostu siedź grzecznie. Nie ma żadnego zagrożenia.

— Skoro tak mówisz. A co z Hutch? Jakie ona ma szanse?

— Szczerze?

— Oczywiście.

— Powiedziałbym, że nienajgorsze.

Wyłączył się, a ona patrzyła na pusty ekran. Wywołała „Wieczorną Gwiazdę”. Pojawiła się symulacja: młoda rudowłosa kobieta.

— Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

— Kiedy „Gwiazda” wraca na Ziemię?

— Zgodnie z planem start przewidziany jest w niedzielę, dziesiątego.

Dzień po kolizji.

— Czy możliwe jest zarezerwowanie miejsca?

Symulacja wykonała gest, jakby patrzyła na monitor, choć Embry wiedziała, że nie jest to konieczne.

— Tak, mamy kilka doskonałych kabin na Pokładzie Festiwalowym. Zarezerwować jedną dla pani?

Przy odrobinie szczęścia będzie mogła obciążyć Akademię.

— Ile? — spytała.

— Sto dziesięć.

Drogo.

— Zastanowię się i jeszcze się skontaktuję.

Nie ma potrzeby się spieszyć. Jeśli wszystko pójdzie jak trzeba i akcja ratunkowa się powiedzie, nie będzie to potrzebne. A głupio byłoby siedzieć na „Gwieździe”, jeśli Hutch i reszta wrócą na pokład.

XIX

Nie ma wielkiej różnicy między jednym dzikusem a drugim, bez względu na to czy, znajdziemy go w dżungli, czy na ulicach współczesnego miasta. Najlepiej pozostawić ich samym sobie, a warto się nimi zajmować tylko wtedy, jeśli kogoś interesuje, jak zbudować lepszą dmuchawkę.

Gregory MacAllister, Współczesny świat a powodzenie

Czas do rozpadu (prognoza): 129 godzin

— Wieczorna Gwiazda". W czym możemy pomóc?

— Mówi John Drummond z „Wendy Jay". Mogę prosić o specyfikację siły ciągu dla „Gwiazdy"?

— Nie ma problemu. Już wysyłamy specyfikację statku. Proszę o podanie kodu transmisji.

Spec od elektroniki, którego szukali, objawił się w postaci osobnika, który był nieomal nastolatkiem. Nazywał się Philip Zossimov. Ukończył Uniwersytet Moskiewski i pracował jako konsultant techniczny dla brytyjskiej firmy Technical Applications Ltd. Miał grube, brązowe włosy, zachowywał się spokojnie i miał taki wyraz twarzy, jakby był zdolny do wszystkiego.

Beekman objaśnił, jak planują przeprowadzić akcję ratunkową.

— Musimy jakoś otworzyć tę sieć — powiedział.

Zossimov poprosił o zdjęcia asteroidy.

— Jak chcecie się pozbyć asteroidy? — spytał.

— Jeśli uda nam się przytrzymać sieć po jej rozszerzeniu — rzekł Beekman — odleci sama. Możemy wprowadzić poprawki, jeśli to ci w czymś pomoże.

— Nie — odparł Zossimov. — Zróbcie, jak mówicie. Ale będzie wam potrzebna okrągła kryza. Macie taką?

— Nie. I między innymi dlatego ty jesteś nam potrzebny.

— Tak. Bardzo dobrze. W takim razie musimy ją zrobić. —

Rozejrzał się po pracujących w pomieszczeniu, ale nie wydawało się, by zrobiło to na nich wielkie wrażenie. — To jest problem składający się z dwóch części. Zainstalujemy kryzę z przodu, żeby otworzyć sieć, a potem, jak lądownik będzie w środku, musimy ją zacisnąć, żeby go tam utrzymać.

— Zgadza się.

— Doskonale. Chcę zobaczyć specyfikację.

— Czego?

— Statków. Wszystkich.

— Dobrze — odparł Beekman. — Załatwię to. — Wydał Billowi polecenie udostępnienia danych, po czym zwrócił się znów do Zossimova. — Philipie, potrafisz to zrobić?

— Och, tak, oczywiście, tylko będzie mi potrzebnych parę części.

— Bierz wszystko, czego potrzebujesz. Katie będzie z tobą pracować. Jest specjalistką od grawitacji kwantowej. Ty nie będziesz musiał się o to martwić. Ważne, że ona zna „Wendy". Rób, co chcesz, byleby to działało.

— Niewykluczone — powiedział — że trzeba będzie wyłączyć jeden statek.

— Nie możemy tego zrobić. Potrzebujemy wszystkich czterech do manewrowania.

— Rozumiem. A systemy podtrzymywania życia?

— Możemy w razie potrzeby ewakuować ludzi.

Hutch nadal cierpiała z powodu skutków ubocznych spotkania z kwiatkiem. Pozwolili jej pospać przez kolejną godzinę.

— Nie mamy tyle czasu — narzekała, kiedy w końcu ją obudzili.

— Randy też musiał trochę dłużej odpocząć — powiedziała Kellie. Wydawało jej się, że w ten sposób przedstawia wszystko tak, by nie obciążać winą za opóźnienie żadnego z nich.

Zjedli szybko śniadanie i wyruszyli.

Gdy szli, rozmawiała z Marcelem, który wydawał się wyjątkowo rozdrażniony. Zaprzeczył, jakoby był nie w humorze, ale domyśliła się, że się martwi: byli spóźnieni w stosunku do planu. Robiła, co mogła, żeby uśmierzyć jego obawy. Jesteśmy już blisko, powtarzała. Nie powinno być żadnych problemów. Spróbuj się nie przejmować.

Spytał o orchideę. Hutch rzuciła Kellie oskarżycielskie spojrzenie.

— Nie podałam mu żadnych szczegółów — broniła się Kellie na prywatnym kanale.

— Mała potyczka z rośliną-ludojadem — wyjaśniła Hutch.

— Rośliną? Masz na myśli przerośniętą rosiczkę? Coś takiego?

— Tak — odparła. — To było coś takiego.

Kiedy rozłączyła się kilka minut potem, Kellie posłała jej złośliwy uśmieszek.

— Raczej rośliną-kobietojadem.

Przeszli jeszcze kawałek, gdy MacAllister odebrał sygnał. Przychodzące połączenie na wizji.

— Ktoś chce rozmawiać — poinformował pozostałych. Obraz uformował się, rzucany przez komunikator MacAllistera. Spojrzeli na młodego człowieka. Wymuskany, przystojny. Smukły, kwadratowa szczęka. Ładny uśmiech. Starannie przystrzyżone ciemnobrązowe włosy. Miał na sobie białą koszulę i szare spodnie, a wyraz jego twarzy sugerował, że doskonale wie, iż przeszkadza, ale ma nadzieję, że mu wybaczą.

— August Canyon — rzekł MacAllister.

Gość wyglądał na zadowolonego.

— Dzień dobry, panie MacAllister. Miło pana poznać. — Siedział na obitym w tkaninę krześle. Wyglądało to, jakby unosił się jakiś metr nad ziemią przed nimi, gdy szli. — Wiem, że przeżywa pan teraz trudne chwile, ale jestem pewien, że oczy całego świata są zwrócone właśnie na pana. Czy chciałby pan coś powiedzieć na ten temat?

— Na temat Deepsix?

— Tak.

— Pewnie. Ta planeta to szambo. A ja jestem bliski narobienia w portki ze strachu.

— Cóż. Nic dziwnego. — Rozmówca uśmiechnął się sympatycznie. — Ale pomoc jest przecież w drodze?

— Nie. O ile mi wiadomo, pomoc nie jest dostępna. — MacAllister pozostawał w tyle za resztą, więc trochę przyspieszył. Obraz Canyona, rzecz jasna, podążał za nim. — Niech mi pan powie, nie macie przypadkiem lądownika na pokładzie?

— Obawiam się, że nie. Bardzo żałuję. Przylecieliśmy tu oglądać zjawisko astronomiczne. Nie przypuszczaliśmy, że coś godnego uwagi będzie się działo na powierzchni.

— Tak. — MacAllister spojrzał na Hutch, której również przez sekundę przyszło do głowy, że mogą mieć szczęście. Ale Marcel miałby ten statek w swojej bazie danych i wiedziałby o nim. A jednak w duchu tliła mu się nadzieja, że ktoś coś przeoczył.

— To idzie na żywo? — spytał MacAllister. — Jesteśmy gdzieś na antenie?

— Nie — odparł Canyon. — Nagrywamy to, ale na żywo nie idzie. Nie puścimy bez pańskiej zgody. Ludzie jednak wiedzą, co się tu dzieje. I martwią się. Czy pan wie, że w kościołach na całym świecie trwają modlitwy za powodzenie akcji ratunkowej? Wczoraj była nawet wspólna modlitwa na trawniku przed Białym Domem.

— Modlą się za mnie? — MacAllister najwyraźniej doznał szoku. — Przecież większość mnie potępiła jako ateistę.

Canyon wyglądał na zakłopotanego.

— Wszyscy pragną, żeby pan wyszedł z tego cało, panie MacAllister. To znaczy, żeby wszyscy państwo wyszli z tego cało.

— Cóż, Auguście, myślę, że to jeden wielki pic, jeśli wiesz, co mam na myśl.

Canyon uśmiechnął się.

— Pan sobie chyba nie zdaje sprawy z tego, jakie jest zainteresowanie. Czy pan wie, że Parabola zaczęła robić symulację?

— Naprawdę? I jak im wyszło?

Canyon wyraźnie się speszył.

— Chyba czekają, jak się to skończy.

Kellie wydała z siebie dziwny odgłos.

— Auguście — rzekł MacAllister — jeśli chcesz się dowiedzieć, jak sobie radzimy, rozmawiasz z niewłaściwą osobą. Pani Priscilla Hutchins tu dowodzi. Ona wie na temat sytuacji więcej ode mnie.

Obraz Canyona odwrócił się w jej stronę, a Hutch weszła w zasięg skanera, żeby mógł ją zobaczyć. Canyon widział ją, ale zwrócił się do swojej publiczności, przyciszonym, pełnym napięcia tonem.

— To Priscilla Hutchins, która wczoraj wieczorem została zaatakowana przez morderczą roślinę. Opowie nam pani, co się dokładnie stało?

— Złapała mnie od tyłu — odparła.

— Co to była za roślina?

— Duża. — Hutch zerknęła na Kellie. — Wie pan, nie chciałabym, żebyśmy wyszli na niechętnych do współpracy, ale czas nagli.

— Rozumiem. W takim razie rozłączam się, może znajdziemy jakiś bardziej sprzyjający moment. Naprawdę bardzo chciałbym zorganizować wywiad na żywo. W dogodnym dla państwa momencie. O tym, co czujecie. Jak to jest znaleźć się w takiej sytuacji. — Przybrał wyraz twarzy, który miał wyrażać współczucie. Czy myślicie, że uda wam się stamtąd wydostać, zanim, no wiecie… — Pokazał im uzębienie w uśmiechu, dając im do zrozumienia, że ta cała sprawa w ogóle go nie obchodzi, ale sytuacja wymaga od niego, żeby udawał.

— Co za palant — rzekła Kellie na prywatnym kanale. — Nie zgadzajmy się na nic.

— E, zgódźmy się — odparł Nightingale w ten sam sposób. — Możemy na tym skorzystać, jeśli tylko właściwie to rozegramy. Może jednak z nim współpracować?

Taka sama myśl przyszła do głowy Hutch. Może przyjdzie jej wygłaszać odczyty dla kierownictwa, osiem tysięcy za sztukę. Albo wynajmie murzyna, żeby spisał jej wspomnienia. To niezły pomysł. Jej stara przyjaciółka, Janet Allegri, niedawno opublikowała wspomnienia o badaniach obłoków Omega, *Boża maszyneria,* i zarobiła na tym sporo kasy.

A, do licha. Canyon też jakoś musi zarobić na życie. Dlaczego

mieliby to mu utrudniać? Poza tym, dzięki niemu na chwilę się od tego oderwą.

— Dobrze — rzekła. — Da się zrobić. Dziś wieczorem, po kolacji.

XX

Pomysł, jakoby ludzkie zwierzę zostało zaprojektowane przez boską istotę, zaprzecza wszelkiej logice. Przeciętny człowiek jest zaledwie ambitną małpą, jest durny, zadufany w sobie, tchórzliwy, zastraszony przez innych ludzi, w strachu, że inni dowiedzą się, czym naprawdę jest. Można jedynie zakładać, że jego stwórca albo się spieszył, albo na Olimpie zaliczał się do biurokratów. Bardziej pobożni spośród nas powinni modlić się, żeby następnym razem nie spartolił roboty. Żeby oddać mu sprawiedliwość, należy wymienić jedną cnotę: jest uparty.

Gregory MacAllister, Most do Polinezyjczyków

Czas do rozpadu (prognoza): 123 godziny

— Naprawdę możemy to zrobić?

John Drummond skinął głową. Fizycznie znajdował się na „Wendy", wirtualnie — w centrum dowodzenia na „Gwieździe".

— Marcelu, to zależy od tego, na jaką wysokość mogą dotrzeć lądownikiem.

— A jak wysoko powinni?

— Co najmniej dziesięć tysięcy metrów. Poniżej będą problemy ze sterowaniem tą konstrukcją.

Beekman kiwnął głową na znak, że się zgadza.

— Im wyżej będą w stanie dolecieć lądownikiem, tym większe mamy szanse.

— Musimy to wiedzieć jak najszybciej — mówił dalej Drummond — żeby zaplanować umieszczenie konstrukcji w atmosferze.

— Nie mamy możliwości określenia…

— Marcelu, to by nam bardzo pomogło.

— Nie obchodzi mnie, jak bardzo by to wam pomogło. Nie mam

możliwości, żeby się dowiedzieć. Załóżmy, że mogą dolecieć na dziesięć tysięcy metrów, i zaplanujmy wszystko, jakby tak rzeczywiście było.

Drummond miał minę, jakby go coś zabolało.

— Jesteś pewien? Nie możemy im kazać wykonać próbnego lotu, jak już dojdą do lądownika? Gdybyśmy tylko wiedzieli, z czym mamy do czynienia…

— Nie mogę kazać im wykonać próbnego lotu, bo w ten sposób mogą wyczerpać energię systemu antygrawitacyjnego. A to znaczy, że mogą boleśnie spaść.

— A symulacja komputerowa?

— Dane z lądownika będą bardzo wątpliwie. Załóżmy po prostu, że mogą dolecieć na dziesięć tysięcy metrów i już. Dobrze? — Próbował nie okazywać rozdrażnienia, ale niespecjalnie mu się to udawało.

Drummond westchnął.

— Marcelu, to będzie ćwiczenie spekulacyjne.

— Oczywiście, John. Robimy co możemy. A może odczepić walec od artefaktu i wycelować go we właściwym kierunku? Możemy to zrobić?

— Tak — odparł. — Tylko musimy go obrócić. Nie sądzę, żeby to był problem, choć całą operację trzeba przeprowadzić bardzo delikatnie.

— Mamy cztery statki. Jeden z nich jest naprawdę mocny…

— „Wieczorna Gwiazda".

— „Wieczorna Gwiazda" — przytaknął Beekman. — Ale nadal mamy tylko cztery statki, które będą próbowały ustawić odpowiednio czterystukilometrowy walec. Nie rozwalając go. To niełatwa sprawa. Jeśli naprężenia będą zbyt duże, walec pęknie i to będzie koniec całej zabawy. Ale możemy to zrobić.

— W takim razie dobrze. — Marcelowi poprawił się humor, po raz pierwszy od trzęsienia ziemi. — Do roboty, John. Chcę, żebyś pomógł w opracowaniu harmonogramu. Mamy kilku projektantów układów, przylatujących z ludźmi z „Gwiazdy". Możesz ich wykorzystać, jeśli będą ci potrzebni. Niech Bill dogada się z pozostałymi SI. — Spojrzał na Beekmana. — A jak tam poszukiwania spawacza?

— Znaleźliśmy. Nazywa się Janet Hazelhurst. Spędziła parę lat przy budowaniu konstrukcji na orbicie, zanim wyszła za mąż. Mówi, że się na tym zna, ale dawno już tego nie robiła, więc nie nalega na branie w tym udziału, jeśli znajdzie się ktoś lepszy. Twierdzi, że jak trzeba będzie, to zrobi wszystko, co należy.

— A mamy kogoś lepszego?

— Nie, kapitanie, nie mamy.

— Dobrze. Miejmy nadzieję, że okaże się dobrą nauczycielką. Przydziel jej czterdziestu ochotników i niech nauczy ich spawania. Zaczynajcie od razu.

— A kto będzie uczył korzystania z e-skafandrów?

— Miles Chastain ze „Zwicka". To sensowny facet i na pewno nam pomoże. Zaraz go tu ściągniemy. — Marcel zajrzał do swoich notatek. — Guntherze, potrzebne nam klipsy do spięcia sieci. Mamy ślusarza?

Mieli dwóch. Jeden był emerytem z Hamburga, drugi — chińskim biznesmenem. Marcel sprowadził ich i wyjaśnił, co należy zrobić. Da się?

— Ile mamy czasu?

— Najwyżej trzy dni.

— Tak. To powinno starczyć. Ale potrzebna będzie pomoc.

Marcel przydzielił im w tym celu kilku światowej klasy fizyków.

I będą potrzebowali metalu. Dużo metalu.

To może być problem. Na statkach kosmicznych rzadko trafia się zbędny metal. Włączył się Bill.

— *Kapitanie, ludzie z „Wieczornej Gwiazdy" zebrali się w Audytorium Bryanta i czekają na polecenia.*

Marcel przytaknął.

— W takim razie trzeba się przywitać z ochotnikami.

Po godzinie na „Wendy" ruszyły grupy, które zaczęły przeszukiwać statek kajuta po kajucie, wymontowując metalowe osłony z łóżek i ścianek oraz wszystko, co tylko było zrobione z metalu. W tym czasie emeryt i biznesmen zaczęli przygotowywać sprzęt. Nie było to łatwe zadanie, ale, na Boga, musiało się udać.

W chwili, gdy rozmontowywano łóżko Beekmana, cztery statki nadświetlne opuściły orbitę.

Komunikator Canyona zawibrował. To Chastain. Włączył obraz. Kapitan siedział w kokpicie.

— Auguście — oznajmił — gdybyś się zastanawiał, co się dzieje, to właśnie lecimy w kierunku artefaktu. Możesz nakręcić niezły materiał.

— Dobrze — odparł. — Zrobiłem na ten temat parę wywiadów. Coś ci powiem, Miles, szkoda, że to nie jest obcy statek. To wielki kawał metalu, ale nic poza tym.

— Wiem. Dostałem także prośbę od kapitana Clairveau z „Wendy" Oni nadal próbują wyciągnąć stamtąd swoich ludzi i proszą o pomoc. Więc oddaję im „Zwicka" do dyspozycji.

— Dobrze — odparł Canyon, zastanawiając się, jak to rozegrać. UNN bieży z pomocą. — Po co jesteśmy im potrzebni? Co oni

zamierzają zrobić?

— Nie dostałem jeszcze żadnych szczegółów. — Zerknął na zegar. — Ale za cztery minuty jest narada. Wrzucę ją na ekran. Możesz zawiadomić Emmę.

Canyon skinął głową. Bez względu na to, co się tam stanie, oglądalność poszybuje w górę. Kto mógłby być aż tak zblazowany, żeby nie chcieć tego oglądać?

Janet Hazelhurst przejęła swoich ochotników w Audytorium Bryanta. Kazano im podpisać dokument zwalniający TransGalactic z wszelkiej odpowiedzialności, gdyby przytrafiło im się coś złego. Gdy to załatwiono, kapitan Clairveau z „Wendy Jay" opowiedział im, jakie zagrożenia wiążą się z tą sytuacją.

— Mam nadzieję, że nie będziecie musieli wychodzić na zewnątrz — powiedział. — Chciałem podkreślić, że cała ta akcja to tylko środek ostrożności.

Janet zauważyła, że niektórzy z ochotników wyglądają na rozczarowanych tym stwierdzeniem. Cóż, pomyślała, to niezły początek.

— Jeśli będziecie musieli wyjść na zewnątrz — mówił dalej Clairveau — zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by zminimalizować ryzyko. Ale, szczerze mówiąc, wszystko będzie w waszych rękach. Prawdziwe niebezpieczeństwo jest związane z waszym brakiem doświadczenia w tym, o co was prosimy. Będziecie pracować w nieważkości i używać laserów.

— E-skafander, który będziecie mieli na sobie, jest bardzo wygodny Będzie wam w nim ciepło i jest prawie niezawodny. Ale nie wytrzyma smagnięcia laserem, więc musicie uważać. Pokażemy wam, jak używać laserów, jak spawać i jak się zachowywać w zerowej grawitacji. I jak to robić bezpiecznie. Będziecie mogli poćwiczyć w zerowej grawitacji na pokładzie statku. Przez następne trzy dni będziecie mogli tylko ćwiczyć.

Clairveau był wysoki, przystojny, pewny siebie. Janet była skłonna mu zaufać.

— Jak wiecie — mówił dalej — Morgan się zbliża. To będzie oznaczało, że wszędzie dookoła jest mnóstwo śmieci. Kamienie, pył, lód. Kto wie…

— Mamy czujniki, które cały czas badają przestrzeń. Ale nie ma sposobu, żeby zapewnić stuprocentowe bezpieczeństwo. A więc, gdyby ktoś chciał zrezygnować, rozumiemy go.

Kilka osób zrezygnowało.

— Mam rodzinę na utrzymaniu.

— Przykro mi. Chciałem pomóc, ale nie wiedziałem, że to aż tak niebezpieczne.

— *Mam dzieci.*

— *Mam lęk wysokości.*

Większość została.

Janet niedawno owdowiała. Nie przejmowała się tym specjalnie. Jej świętej pamięci mąż był nudziarzem. Nie miał wyobraźni. Całe życie potrafił tylko wyobrażać sobie samego siebie jako Robin Hooda, Jerzego Waszyngtona i Leonidasa pod Termopilami (tylko że w jego wersji zwyciężali Spartanie), a jego pomysł na romantyczny wieczór ograniczał się do kolacji z kumplami w myśliwskiej chatce.

Za każdym razem, gdy zbliżała się data przedłużenia kontraktu małżeńskiego, Janet zastanawiała się, czy to zrobić. Nigdy jednak nie podjęła decyzji o rezygnacji — jej mąż ją kochał. Był wierny, Bóg jej świadkiem, i zawsze pamiętał o urodzinach i rocznicach. Mieli dwójkę wspaniałych dzieci, a mąż był ideałem ojca. Nie mogłaby mu tego zrobić, to by go załamało, nie potrafiłaby się do tego zmusić. Zostawała więc z nim, znudzona, żądna rozrywki, przez te wszystkie długie lata.

Wszyscy uważali ich za idealną parę. *Jaka szkoda, że mój George nie jest taki jak twój Will.* Will do późnego wieku zachował niezły wygląd, choć jego uśmiech nie był już tak porywający. Kiedy zabił go niewykryty tętniak, pozostała w żałobie przez odpowiednio długi czas, a potem zarezerwowała miejsce na „Wieczornej Gwieździe", mówiąc przyjaciołom, że robi to, żeby było jej łatwiej zapomnieć o stracie.

Spotkani na pokładzie pasażerowie nie mieli o tym wszystkim pojęcia. Janet odkryła, że uwielbia odzyskaną wolność, i doskonale się bawiła.

A teraz miała okazję, żeby przypomnieć sobie dawne umiejętności i jeszcze dokonać bohaterskich czynów.

Marcel usiadł przy niej i zaplanowali wspólnie całą operację.

Zaczęła od pytania, czy ochotnicy wiedzą, co to jest spaw.

Zademonstrowała to, łącząc dwa kawałki metalu.

— To proste — powiedziała.

Kazała to zrobić jednemu z ochotników.

Cały trik przy tworzeniu właściwego spawu, poinformowała swoich słuchaczy, polega na intymnym kontakcie między dwoma powierzchniami. Odsłonić czysty metal. Wtedy atomy mogą się właściwie połączyć. Intymnie. To było jej ulubione słowo. Kiedy skończymy, atomy obu kawałków będą tak blisko siebie jak w każdym z nich z osobna. Właśnie taki był cel.

Objaśniła im właściwą technikę, zademonstrowała, pozwoliła spróbować, i kazała im powtarzać, aż potrafili to robić prawie bezmyślnie. Ćwiczyli, tnąc regały, które nie były już potrzebne, demontując beczki i rozcinając szafki. Potem spawali wszystko z powrotem.

— Tutaj łatwo nam idzie — ostrzegła ich — ale kiedy wyjdziecie na zewnątrz, będziecie musieli myśleć o wielu rzeczach naraz. Praca jest taka sama i technika jest taka sama. Tylko trzeba uważać, żeby się nie dać rozproszyć.

Miała kilka kawałków dziwnego materiału, z którego wykonano artefakt. Ćwiczyli na nich cięcie i spawanie. Janet kładła duży nacisk na bezpieczeństwo i zbeształa kilka osób, które poczynały sobie zbyt beztrosko.

— Pomyłki mogą drogo kosztować — powiedziała. — Wasza nieostrożność może zabić. Was albo kogoś innego. — Po czym dodała: — To nie jest trudne. Ale musicie się skupić na tym, co robicie.

Odesłała ich na kolację, każąc przyjść później na kolejną rundę.

Gdy tym razem zapytała, czy ktoś chce wyjść, wszyscy zostali.

Pracowali prawie do 23:00. Podziękowała im wszystkim za uwagę, pożegnała się i powiedziała, że następnego dnia zaczynają o szóstej.

— Jutro pracujemy w e-skafandrach — ogłosiła. — Musicie się do nich przyzwyczaić.

Ktoś chciał się dowiedzieć, czy to oznacza, że wyjdą na zewnątrz.

— Nie — odparła. — Jeszcze nie.

Ucieszyła się, słysząc, jak narzekają.

„Wieczorna Gwiazda” zaproponowała zespołowi Marcela kilka kajut. Niestety, nie znalazła się żadna luksusowa kabina dla samego kapitana. Nicholson, zgodnie z odwieczną tradycją, zaoferował więc gościowi własną kwaterę. Marcel, zgodnie z przewidywaniami, odparł, że to jest zbędne i że chętnie weźmie, co jest. Prycza przy przednim mieszaczu wystarczy. Dostał kwaterę na bakburcie, o wiele bardziej wygodną i przestronną niż jego własna na „Wendy”.

Był późny poranek, gdy opuścił spawaczy, a przecież nie spał przez całą noc. Zdjął mundur i położył się, planując krótką drzemkę. Ledwo zamknął oczy, zapiszczał komunikator.

— Marcelu? — To głos Abla Kindera. Abel był głównym klimatologiem na „Wendy”. Zarządzał zespołem klimatologów śledzących warunki na Deepsix, wypatrujących oznak rozpadu planety.

— Hej, Abel — odparł. — Co masz?

— Wygląda na to, że poważne burze. I intensyfikacja aktywności sejsmicznej.

— Coś się dzieje w okolicach wieży?

— Ta fala tam dotrze, ale najgorzej to wygląda na północny wschód od nich. Nad morzem.

— A burze?

— Dość spore się tworzą. Atmosfera reaguje na przyciąganie Morgana tak samo jak oceany. Duże masy wody i powietrza przemieszczają się po całej planecie. Wszystko podgrzewa się od przypływów. Normalny system ulega zaburzeniu. Zimna woda pojawia się na szerokościach geograficznych, gdzie jest ciepło, obszary wysokiego ciśnienia nad biegunami podlegają zakłóceniom…

— A w skrócie?

— Trudno powiedzieć. Machina pogodowa zmienia się w zupę. Wszystko się może zdarzyć. Ostrzeż swoich ludzi, żeby mieli się na baczności przed huraganami, tornadami, Bóg wie czym jeszcze. Nie mamy tylu czujników na powierzchni, żebyśmy mogli wszystko monitorować, więc nawet nie możemy ich ostrzec z wyprzedzeniem.

— Dobrze.

— Niech mają oczy szeroko otwarte.

— Dzięki, Abel.

— Jeszcze jedno. Te burze będą wielkie. Niepodobne do niczego, co znamy z Ziemi. Kategoria siedemnaście.

XXI

Wspomnienia to grzecznościowa proza, napisana po to, by udawać, że jesteśmy bezinteresowni i hojni, pełni współczucia dla ludzi w potrzebie, dzielni, gdy przyjdzie nam walczyć w sprawiedliwej sprawie, wierni po grób. Aby zdać sobie sprawę z absurdalności takich panegiryków, wystarczy przyjrzeć się przez chwilę sytuacjom, kiedy ochrona policji przestaje istnieć, nawet na krótko.

Gregory MacAllister, Odejść w chwale

Czas do rozpadu (prognoza): 107 godzin

Zanim zatrzymali się na spoczynek, pokonali osiemnaście kilometrów. Canyon pojawił się, by przeprowadzić swój wywiad, powiedział im, żeby się odprężyli, zrobili wszystko, co mają do zrobienia, i żeby pamiętali, że kiedy wrócą do domu, będą gwiazdami.

Wszystko okazało się zadziwiająco proste. Jakby rzucał im miękkie piłki. Czy się boją? Czy widzieli coś, co zrobiło na nich wrażenie? Czy na Deepsix były rzeczy warte ocalenia? Kim był astronom w tej wieży, którą znaleźli? Jaka była największa niespodzianka, która spotkała ich na tej planecie?

Hutch wiedziała, jaka była jej największa niespodzianka, ale wolała mówić o gigantycznych ważkach.

Spytał, jakie rany odnieśli. Nic poważnego, odparł MacAllister. Tylko otarcia i zadrapania. Przyznał jednak, że dostali gorzką lekcję, jeśli chodzi o utrzymanie przyzwoitej kondycji fizycznej.

— Nigdy nie wiadomo — zauważył — czy nie przytrafi ci się wylądowanie w lesie na obcej planecie, gdzie musisz przejść dwieście kilometrów. Polecam wszystkim jogging.

Potem wszedł Jerry Morgan, który miał już rozmiary ziemskiego Księżyca. Był nadal w fazie półksiężyca i taki już miał pozostać. Jego górne i dolne warstwy chmur, złowieszcze, w barwach jesieni, były upstrzone cętkami złota. Wokół równika rozciągał się ciemniejszy pas. Hutch widziała punkt na półkuli północnej, gdzie

miały dokonać żywota: Maleiva III, Transitoria i wieża.

W innych warunkach byłoby to wspaniałe ciało niebieskie.

GORĄCA LINIA Z AUGUSTEM CANYONEM

— Dziś spędziłem trochę czasu z tą piątką odważnych ludzi, rozbitkami na Maleivie III, którą niedługo połknie gazowy gigant nazwany na cześć Jeremy'ego Morgana, Czwórka z nich to naukowcy. Piąty to znany pisarz i dziennikarz, Gregory MacAllister. Przemierzają kontynent, podjąwszy rozpaczliwą próbę odnalezienia lądownika, który tkwi tam od dwudziestu lat. To ich jedyna nadzieja na wydostanie się z powierzchni planety, zanim przestanie ona istnieć, a stanie się to już za sześć dni.

— Czy im się uda? Tego oczywiście nie wie nikt. Będziemy z nimi rozmawiać dziś wieczorem, podczas specjalnej audycji. Kiedy państwo ich poznają, na pewno podzielą moje uczucia: że jeśli czegoś takiego w ogóle można dokonać, to zrobi to właśnie ta piątka dzielnych…

Marcel i Beekman przekazywali im przez radio instrukcje dotyczące kierunku. Rozbitkowie pozostawieni samym sobie w nieznanym terenie, bez żadnych rozpoznawalnych cech charakterystycznych — czy w ogóle bez cech charakterystycznych — bardzo szybko by się zgubili. Żartowali, że Hutch mogłaby ich prowadzić według pozycji Słońca, co oczywiście było niemożliwe. Nawet w nocy, kiedy było widać jasne niebo i gwiazdy, byłaby bezradna. Gdyby nawet istniała na niebie jakaś wyraźniejsza gwiazda, kobieta nie byłaby w stanie jej odnaleźć. Wątpiła nawet, czy taką gwiazdę widać z równika.

Nie miało to jednak znaczenia. Zawsze ktoś pozostawał w kontakcie i mógł im pomóc.

Idźcie wprawo.

Skręćcie w lewo.

Nie. Nie dookoła wzgórza. Przejdźcie szczytem.

I nagle, bez ostrzeżenia, Marcel poinformował ich, że mają misję do wykonania.

— Przed wami jest coś interesującego. Jest mniej więcej na waszej trasie i chciałbym, żebyście rzucili okiem.

— Co to jest?

— Nie wiemy. Jakaś budowla.

Hutch żałowała każdej minuty spędzonej poza szlakiem. Spojrzała na pozostałych, chcąc zasięgnąć ich opinii. Chcieli poświęcić na to minutkę. Ale tylko minutkę. Nightingale uważał, że to dobry pomysł. O ile to było rzeczywiście blisko.

— Dobrze — oświadczyła. — Rzucimy okiem i damy wam znać, co to jest. Ale potem ruszamy dalej.

To coś znajdowało się na brzegu jeziora, całe pokryte starymi drzewami i krzakami. Gdzieniegdzie prześwitywał metal i nie byli przekonani, czy to jest w ogóle budynek, tak bardzo był porośnięty lasem.

Wycięli trochę krzaków i w pierwszej chwili Hutch myślała, że znaleźli kopułę magazynową. Dopóki nie dogrzebali się linii okien. Większość z nich była nietknięta. Kellie podeszła do tyłu.

— To ma ogon — poinformowała.

— Ogon.

— Nawet rozgałęziony. To samolot.

Pojazd miał wypukłe dno. Z jednej strony były wyryte jakieś symbole, teraz już ledwo widoczne. Z przodu była szyba. Pojazd był wielkości aerobusu. Ale nie miał skrzydeł. Transport naziemny, pomyślała Hutch. Chyba że dysponowali antygrawitacją.

Gdyby oceniać po otaczających go drzewach, można by sądzić, że jest tu od stuleci. Hutch odeszła od niego na kilka kroków, żeby wysłać obraz na „Wendy". Miał trzydzieści osiem metrów długości i jakieś sześć średnicy. Był poważnie uszkodzony na sterburcie, w trochę lepszym stanie była bakburta.

Chiang wszedł na drzewo, wyjął latarkę i próbował zajrzeć do środka.

— Nic — powiedział. — Dajcie mi wilgotną szmatkę.

Kellie odłamała kilka płaskich liści, namoczyła je ostrożnie w jeziorze i podała mu. Chiang przetarł szkło.

— Wiesz — zauważyła Kellie — ze skrzydłami czy bez, to coś ma aerodynamiczny kształt. Spójrz tylko.

Miała rację. Miało opływowe kształty i zwężało się z przodu i z tyłu.

— Co się dzieje? — dopytywał się Canyon.

Wiedzieli, że nałogowo podsłuchuje zarówno rozmowy na kanale ogólnym, jak i te między rozbitkami a statkami na orbicie.

Hutch poinformowała go, co znaleźli.

— Podamy więcej informacji, jak się czegoś dowiemy. O ile się dowiemy.

Chiang przycisnął latarkę do szyby.

— W środku są rzędy siedzeń. Malutkich. Trochę poprzewracane.

— Malutkich siedzeń? — spytał MacAllister. — Takiego samego rozmiaru jak w wieży?

— Tak. Na to wygląda.

— To już jest naprawdę dziwaczne.

— Czemu? — spytała Hutch.

— Popatrz na drzwi.

Trudno je było dostrzec w plątaninie roślinności, ale były tam. Hutch zrozumiała, na czym polega dziwność: drzwi były takiego rozmiaru, że sama by się w nich zmieściła.

Znajdowały się prawie na poziomie gruntu i miały nawet klamkę, ale ta ułamała się, kiedy MacAllister próbował za nią pociągnąć. Wycięli więc otwór.

Wnętrze było ciemne. Hutch włączyła latarkę i przyjrzała się: było tam jakieś trzydzieści rzędów małych siedzeń z przejściem przez środek. Niektóre zostały oderwane od podłogi i walały się po całej kabinie. Nie dostrzegła śladu żadnych szczątków organicznych.

Podłoga skrzypiała. Była pokryta czarną tkaniną, która zachowała się w dobrym stanie.

Grodzie były lekko powykrzywiane. Widniały na nich plamy wody, a te z przodu były pęknięte. Widać było zwęglenia.

W kokpicie znajdowały się dwa fotele. W przeciwieństwie do tych w kabinie były normalnych rozmiarów, na tyle duże, że Hutch mogłaby w nich usiąść. Jeden był połamany, wyrwany z podstawy. Rama przedniej szyby także była uszkodzona. Hutch spojrzała na coś, co kiedyś było deską rozdzielczą.

— Rozbił się i porzucili go — powiedziała Kellie, stojąc za nią.

— Pewnie tak.

— A te duże fotele? Kto w nich siedział? — spytał MacAllister.

Nightingale omiótł światłem latarki cały pojazd, od przodu do tyłu.

— Jest oczywiste, że mieliśmy tu dwa odrębne gatunki. — oświadczył.

— Jastrzębie i świerszcze? — podsunęła Hutch. — Oba naprawdę istniały?

— Czy to możliwe? Na jednej planecie?

— Na naszej mamy więcej niż jeden inteligentny gatunek. Nie spodziewałbym się tylko dwóch wysoko rozwiniętych. Ale kto wie?

Zbadali dolny przedział, który kiedyś pewnie był ładownią, ale teraz świecił pustkami. I silnik. Był to silnik odrzutowy napędzany paliwem płynnym. Wloty powietrza. Plastikowy fartuch wokół postawy. Hutch wywołała Beekmana.

— Czy jesteśmy pewni, że tubylcy nigdy nie mieli wysoko rozwiniętej techniki?

— Tak twierdzi Akademia.

— Dobrze. To jakbyś kiedyś rozmawiał z kimś z Akademii, powiedz mu, że znaleźliśmy poduszkowiec.

— Idziemy — oświadczył MacAllister. — Dość marnowania czasu.

Hutch oderwała kilka kawałków od fotela i włożyła je do torby z próbkami.

Wyjęli też kilka wskaźników i zapakowali je. Na żadnym nie było

czytelnych symboli, ale może da się je powiększyć.

Chiang odciągnął Hutch na bok.

— Tam jest coś, co powinnaś zobaczyć. O, tam. W lesie.

Znalazł czarny, kamienny mur.

Miał jakieś sześć metrów długości. Był rzeźbiony. Było na nim kilka rzędów symboli i wizerunek poduszkowca.

Hutch przypuszczała, że kamień był kiedyś wypolerowany, miał ostre brzegi, a inskrypcja była wyraźna. Wiatr i deszcz jednak starły ją. Poza tym część inskrypcji znajdowała się już pod ziemią.

Sprawdziła godzinę.

— To potrwa tylko minutę — rzekł Chiang.

Skinęła głową i zaczęli kopać mimo ponagleń MacAllistera. Nad rysunkiem rozbitego pojazdu biegły dwie głęboko rzeźbione równoległe linie znaków. Pojazd przedstawiono, jakby był nowy i potężny, nieuszkodzony, pędzący w promieniach słońca.

Poniżej rysunku poduszkowca znajdowały się dwie grupy znaków, biegnące równolegle obok siebie, wyrzeźbione w postaci grubych, kanciastych symboli. Poniżej zaś — kolejna seria znaków, bardziej licznych, mniejszych, w sumie dziesięć linii. W każdym wierszu były po cztery znaki, z wyjątkiem ostatniego, który składał się tylko z trzech. Być może były to w ogóle znaki innego alfabetu. Mogło tak być, bo nie były tak kanciaste, lecz delikatne i skomplikowane.

— Co to tym sądzicie? — spytała Hutch. — Co tam jest napisane?

— Poduszkowce Ajax — rzekł MacAllister, który kręcił się niespokojnie z boku. — Dwie grupy na górze to regionalne centra dystrybucji, mniejsze grupy — filie lokalne.

— Ktoś jeszcze chce spróbować?

— Naprawdę powinniśmy już iść — rzekł MacAllister.

Nightingale dołączył do nich.

— Bliskość wraku sugeruje, że to pomnik. — Przyjrzał się murowi z namysłem. — Te linie na górze to imiona pilotów. A te — pasażerów.

— A górna linia? — spytała Kellie.

— Jeśli to pomnik — wtrącił MacAllister — to jest to inwokacja. Przechodniu, powiedz Sparcie, coś takiego.

— Co się więc tu stało? — spytał Chiang.

— To dość oczywiste — był wypadek. Pojazd się rozbił.

— To jasne. Ale dokąd lecieli?

— Może to byli migrujący robotnicy. Parobkowie. Robotnicy na kontraktach — podsunął MacAllister.

— Niewolnicy? — spytał Chiang.

Nightingale pokiwał głową.

— Może.

— Myślisz, że na pomniku umieszczaliby imiona niewolników? —

Hutch potrząsnęła głową. — To nie jest prawdopodobne.

— W historii ludzkości — zauważył MacAllister — zdarzali się ludzie, którzy mieli słabość do swoich niewolników. — Wzruszył ramionami. — Kto wie, jak to mogło wyglądać w obcej kulturze?

Maszerowali do późna, żeby nadrobić stracony czas. Kiedy w końcu zatrzymali się na noc, czekały ich kolejne rozmowy z Canyonem. Chiang najwyraźniej świetnie się czuł w roli bohatera na skalę międzynarodową, opowiadając rzeczy, których oczekiwała od niego publiczność. Uda nam się dostać do domu. Uśmiech do skanera. Tyle osób nam kibicuje. Tylko za każdym razem, kiedy spoglądał w stronę Kellie, dostrzegał w jej uśmiechu cień drwiny.

Kiedy skończył, poczuł zażenowanie. Inni zachowywali się podobnie. Nightingale starał się mówić niższym głosem, MacAllister wciągał brzuch, a Kellie mówiła, jakby jej to wszystko nie obchodziło. Nawet Hutchins, ich bezpośredni dowódca, nie mogła się oprzeć straszeniu piórek. Mieli swoje pięć minut sławy i pozostawiło to na nich piętno.

Canyon rozmawiał z każdym z nich po kolei. Kiedy skończyli, rozpalili ognisko i udawali, że nic szczególnego się nie zdarzyło. Potem jeszcze Canyon rozmawiał chwilę z Kellie, jak powiedział — po to, żeby zorientować się w kontekście.

Chiang nie znosił lasu nocą. Nie było sposobu, żeby zapewnić bezpieczeństwo. By zminimalizować prawdopodobieństwo ataku z zaskoczenia, trzy osoby musiałyby trzymać straż.

To była ich ósma noc na trasie wędrówki. A przynajmniej tak przypuszczał Chiang. Wszystko już zaczynało mu się mylić i nie był pewien. Dotąd żaden drapieżnik nie zaatakował ich w nocy. A zatem z rachunku prawdopodobieństwa wynikało, że gdyby coś takiego miało się stać, już by się zdarzyło. Mimo to Chiang martwił się i przejmował, taka już była jego natura.

Widział obraz Canyona, który wyglądał, jakby siedział na kłodzie naprzeciwko Kellie. Zadawał jej pytania i z uwagą słuchał, czasem kiwając głową, czasami popadając w namysł. „Och, tak", mówiła pewnie, „jestem przekonana, że zdołamy uruchomić lądownik, jak już tam dotrzemy." Albo: „Nie, nie rozważaliśmy takiej możliwości. Nie przypuszczamy, żeby do tego doszło". Choć z logicznego punktu widzenia nie było powodu do zazdrości, Chiang był rozdrażniony. W sposobie bycia Canyona było coś takiego, że wyglądało na nieporadny podryw.

Poza tym Canyon wcale nie ukrywał, że nie ma pojęcia, co czują rozbitkowie. Dawał im też do zrozumienia, że jego celem jest zwiększenie oglądalności, podlizanie się szefom i przemieszczenie się w górę w łańcuchu dziobania. Robienie zdjęć zderzających się planet

było dla niego idealnym zadaniem. Wygłosiłby parę ogólników, „Och, wygląda na to, że szykuje się niebywałe widowisko", porozmawiał z kilkoma astrofizykami na pokładzie „Wendy", którzy mogli coś atrakcyjnie skomentować, i wszystko byłoby w porządku.

Ale absolutnie nie nadawał się do rozmów z ludźmi w trudnej sytuacji.

Taka właśnie była ostatnia myśl Chianga. Stał na skraju światła z ogniska, przyglądając się otaczającej go ciemności, czasem świecąc latarką w mrok. I nagle świat znikł, jakby ktoś go poskładał i odłożył na bok.

MacAllister także był znudzony Canyonem. Wywiady z poprzedniego wieczora zostały wysłane na Ziemię parę godzin wcześniej. To była długa podróż, nawet z wykorzystaniem łączy nadświetlnych. Na ekranach relacja pojawi się za półtora dnia. Wtedy już pewnie dotrą do „Tess" i kwestia ich przeżycia zostanie rozstrzygnięta. Miał nadzieję, że na ich korzyść. Wyobrażał sobie, że znajdują porzucony lądownik, biegną w jego stronę, wspinają się do środka, włączają silnik i lecą w stronę wieży, siedząc w luksusowej pasażerskiej kabinie. Wyobrażał sobie, jak lądują i wyciągają kondensatory. Hutch i Kellie błyskawicznie je instalują. Potem wiwatują, a „Tess" wzbija się w powietrze i odlatuje na orbitę.

Drzewa zaszumiały na wietrze, a w ognisku coś zatrzeszczało. Patrzył na Kellie rozmawiającą z Canyonem, zobaczył, jak milknie, dostrzegł Canyona zadającego następne pytanie. Doskonale wiedział, jakie będzie. „Jakie myśli przychodzą wam do głowy, gdy widzicie Morgana wchodzącego co wieczór, coraz większego?" (Dziś w nocy powinien wyglądać jak chiński balon).

— Czy jest coś, co chciałabyś powiedzieć rodzinie i przyjaciołom na Ziemi?

Tak, pomyślał MacAllister. Kupę rzeczy. Na przykład: życie jest piękne.

Obraz dziennikarza wyglądał na całkiem solidny, w świetle ogniska prezentował się nawet równie wyraźnie jak drzewa w tle. Canyon pochylił się w stronę Kellie, udając, że uważnie słucha, choć MacAllister wiedział, że układa w myślach kolejne pytanie.

I nagle pośrodku tej spokojnej, sennej sceny rozległo się wycie.

Coś przeleciało koło głowy MacAllistera. Kilka dni temu popatrzyłby tępo w przestrzeń i zastanawiał się, co to takiego. Refleks jednak znacznie mu się poprawił. Wrzasnął ostrzegawczo i rzucił się na ziemię.

Kamienie świstały wokół niego. Jeden trafił go w ramię, drugi — w głowę. Rozległy się kolejne krzyki, przypominające wrzaski rozzłoszczonych dzieci. Zaczął szukać lasera. Rozległ się syk czyjejś

broni i zarośla stanęły w ogniu. Drzewo ścięte laserem upadło na ziemię.

Strzała utkwiła w jednej z kłód ogniska. MacAllister dostrzegł jakiś ruch wśród drzew i świerszcze odziane w futra wpadły do obozowiska. Dzikusy były nieprawdopodobnie brzydkie, zupełnie niepodobne do odzianej w szatę postaci z kaplicy.

Złapał broń w samą porę. Szły na niego dwa z dzidami. Przeciął je na pół, świerszcze i dzidy Potem załatwił kolejnego, który właśnie zamierzał dźgnąć Kellie od tyłu. Hutch rozkazała, żeby skupili się w niewielki krąg, ale MacAllister był zbyt zajęty obroną, żeby przejmować się tworzeniem jakiejś formacji. Zapanował chaos.

Świerszcze nie przestawały wrzeszczeć. Ktoś rozciął jednego na pół, od czaszki po mostek. Nightingale wkroczył w środek atakującej grupy i machał laserem na prawo i lewo. W powietrzu zaroiło się od uciętych kończyn i atak zelżał. Tak nagle, jak się pojawiły, świerszcze rozpierzchły się i znikły w lesie.

Kilka krzewów płonęło. Coś spadło z drzewa i uderzyło obok niego. Coś z dzidą. Próbowało wstać i uciec, ale MacAllister, rozwścieczony, sieknął laserem. Stworzenie zawyło i znieruchomiało.

Hutch i Kellie popędziły za napastnikami na skraj lasu. Nightingale stał nad zwłokami świerszczy, na szeroko rozstawionych nogach, z uniesionym laserem, jak współczesny Hektor. Może i trochę przesadzał z tą heroiczną postawą, ale MacAllister był pod wrażeniem. *Cóż, wystarczy, jak człowiek znajdzie się w sytuacji, gdy jego życie jest zagrożone, a już zaczyna sobie świetnie radzić.*

Napastnicy uciekali, a ich odgłosy oddalały się. Canyon, niewzruszony, przez cały czas siedział w swoim fotelu. Nie widział niczego poza niewielkim zasięgiem komunikatora, ustawionego na pniu. Domagał się tylko, by go poinformowano, co się dzieje.

Universal News Network, relacja na żywo, pomyślał MacAllister.

Nightingale w końcu wyjaśnił mu, że zostali zaatakowani.

Canyon gadał dalej, domagając się szczegółów. Przez kogo? Czy ktoś został ranny? MacAllister wyłączył kanał dźwiękowy dziennikarza i potarł się w głowę. Bolała, ale z powodu pola nie był w stanie określić, czy krwawi. Poza tym czuł się dobrze. Parę siniaków, to wszystko.

Na kanale pojawił się Marcel, zadając te same pytania.

— To świerszcze — wyjaśniła Kellie. — Za minutkę ci wszystko opowiem.

MacAllistera ogarnęła dziwna kombinacja przerażenia i euforii. Mój Boże, jakie to przyjemne. W głębi serca wszyscy jesteśmy dzikusami, pomyślał.

Hutch wróciła do obozu, spojrzała na niego i rozejrzała się.

— Nic się nikomu nie stało?

Nightingale dał jej gestem do zrozumienia, że nic mu nie jest. Poświecił latarką po krzakach, upewniając się, że świerszcze uciekły.

— Chyba właśnie poznaliśmy tubylców.

— A ty, Mac?

— Żyję i mam się dobrze. — odparł MacAllister. — Nie sądzę, żeby te małe skurwiele szybko wróciły.

— Gdzie jest Chiang? — spytała.

MacAllister spojrzał na jedno z ciał. Miało niezdrowy, blady, zielonkawy kolor skóry i włochatą, kanciastą czaszkę. Oczy miało otwarte, ale wyglądało na martwe.

Sięgałoby mu najwyżej do biodra. Kiedy je szturchnął, poruszyło się i wydało smutny, miauczący odgłos.

— Tutaj — odezwała się Kellie stłumionym głosem. — Znalazłam go.

Chiang leżał nieruchomo. Krew rozlewała się wewnątrz jego skafandra, sącząc się z kilku ran.

— Wyłączcie skafander — rzekł MacAllister.

— Nie. — Kellie rzuciła się na ziemię obok niego. Mówiła cichym i dziwnym głosem. — Tylko skafander utrzymuje go w całości.

Hutch uklękła i chwyciła go za nadgarstek.

— Mac — odezwała się — przynieś apteczkę.

MacAllister odwrócił się i popędził po plecak Hutch.

— Nie czuję pulsu — oznajmiła Hutch.

— On nie oddycha — rzekła Kellie zduszonym głosem. Ostrożnie wyłączyli skafander i Hutch podała mu powietrze bezpośrednio.

Ktoś musiał wywołać Embry, bo odezwała się na ogólnym kanale.

— Nie ruszajcie go.

Przemówił także Marcel.

— Wystawcie straże. Oni mogą wrócić.

— Rozumiem — rzekł Nightingale.

— Spalcie wszystko, co się rusza — to Kellie.

— Macie apteczkę? — znów Embry.

— Mac po nią poszedł.

— Mac, pośpiesz się. Jak wygląda to krwawienie? Pokażcie mi.

MacAllister wrócił z apteczką. Hutch wzięła ją i dała mu znak, żeby pomógł Nightingale'owi. Kellie wyjęła kilka bandaży ciśnieniowych i zaczęła je nakładać. Mac postał przez chwilę, patrząc na Chianga, po czym odwrócił się.

Nightingale oglądał kolejne zwłoki napastnika. MacAllister miał nadzieję, że jest wśród nich ten, który zaatakował Chianga.

Wspólnie okrążyli obozowisko. Egzobiolog wyglądał na wyczerpanego. MacAllister po raz pierwszy zastanowił się, czy może kiedyś, dawno temu, nie był dla Nightingale'a zbyt surowy.

— Już tu kiedyś byłeś, prawda, Randy?

— Tak. — Nightingale skrzywił się jak ktoś, kto właśnie ugryzł zgniły owoc. — Doznaję właśnie przykrego *déjà vu*. — Zamilkł i wziął głęboki oddech. — Nienawidzę tej planety.

MacAllister pokiwał głową.

— Tak mi przykro.

Nie był do końca pewien, co oznacza ten zwrot w tej sytuacji.

— Tak. Mnie też. — Rysy Nightingale'a stężały. Wyglądał, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć. Ale tylko wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

MacAllister przysłuchiwał się rozmowom na kanale ogólnym.

— Zróbcie mu masaż serca.

— Właśnie to robię.

— Kellie, musisz zatamować krwotok. Zaciśnij mocniej.

— To nie pomaga, Embry.

— Nie przerywaj. Jak z tętnem?

— Śladowe.

— Kellie, zrób coś, może owiń go kocem…

MacAllister patrzył na wschód, w stronę Deneba, gdy Chiang odszedł.

Pochowali go tam, gdzie zginął. Odprawili ceremonię o świcie. MacAllister, który chełpił się tym, że nie pozwala sobie na taki luksus jak sentymenty, znalazł kamień, wyrył na nim imię i nazwisko Chianga i daty, i dodał napis: ZGINĄŁ, BRONIĄC PRZYJACIÓŁ.

Wykopali głęboki grób i złożyli w nim ciało. Kellie chciała poprowadzić ceremonię, ale krztusiła się od płaczu i poprosiła Hutch o dokończenie.

Nie należał do żadnej organizacji religijnej, powiedziała Kellie, ale mocno wierzył. Hutch pokiwała głową, nie próbowała niczego podsumowywać, po prostu chciała złożyć go do gleby — nie użyłaby słowa „ziemia" — powiedziała tylko, że zginął przedwcześnie i że bóg, jakikolwiek by był, zatroszczy się o niego i będzie o nim pamiętał.

Kellie stała jak sparaliżowana, opierając się wszelkim ofertom pomocy, gdy zasypywali grób.

Nightingale ogłosił, że napastnicy byli kręgowcami, ale mieli puste w środku kości.

— Ptaki? — spytał MacAllister.

— Kiedyś, owszem — odparł. — Tak przypuszczam.

Opisał ścięgna między ramionami a żebrami, które wskazywały na to, że gatunek dość niedawno utracił umiejętność latania.

Przyjrzeli się odzieży stworzeń. Miały kieszenie, a w nich owoce, orzechy i gładkie kamienie. Pociski.

— Chodźmy — zaproponowała Hutch.

— A te zwłoki? — spytał Nightingale. — Nie powinniśmy ich pogrzebać?

Twarz Kellie stężała.

— Niech ich pobratymcy się nimi zajmą.

GORĄCA LINIA Z AUGUSTEM CANYONEM

— Dziś nie mamy dobrych wieści. Godzinę temu rozbitkowie zostali zaatakowani…

Gdy Marcel wszedł, Beekman spoglądał z wirtualnego klifu na wzburzone morze. Śnieg padał na wzgórzu i niknął w ciemności, ale to była zadymka blisko powierzchni, spowodowana silnym wiatrem, a nie śnieg sypiący z nieba, bo chmur nie było. Morgan wisiał wysoko w górze.

Przypływy na Maleivie III były zwykle łagodne. Nie było księżyca, więc jedyne widoczne skutki powodowało dalekie słońce. Dziś jednak, z powodu zbliżania się gazowego giganta, morze szalało. Potężne fale waliły o klify północnego wybrzeża Transitorii.

— Jutro wieczorem — rzekł, nie odwracając się w stronę Marcela.

Marcel oparł się o gródź.

— Mój Boże, Gunny. Stracili kolejny dzień.

— To pasmo jest słabe. Harry mówi, że tam są linie uskoków. Jest gorzej, niż myśleliśmy. Jutro wieczorem się rozleci.

— Jesteś pewien?

— Tak. Jesteśmy pewni. — Odwrócił się w stronę Marcela. — Skąd mogliśmy wiedzieć…

— Nie martw się. To nie jest niczyja wina. — Poczuł się, jakby zimna ręka dotknęła jego kręgosłupa. — Są trzydzieści kilometrów od celu.

Beekman pokiwał głową.

— Powinni się pospieszyć.

XXII

Przypływy są jak polityka. Przychodzą i odchodzą, robiąc dużo szumu, ale po ich odejściu plaża wygląda tak samo jak przedtem. A jeśli nawet czasem pojawia się jakaś większa zmiana, rzadko jest to zmiana na lepsze.

Wypowiedź przypisywana Gregory'emu MacAllisterowi przez Henry'ego Kilburna, Gregory MacAllister, Życie i czasy

Czas do rozpadu (prognoza): 78 godzin

Poniewczasie Canyon zorientował się, że ma do dyspozycji kolejny wspaniały temat: reakcję ludzi znajdujących się na statkach na trudną sytuację rozbitków.

Czuł się niepewnie rozmawiając z Hutch i resztą schwytanych w pułapkę. Za bardzo przypominało to rozmowy z kimś, kto już nie żył. Zmienił więc tryb pracy i zaczął rejestrować rozmowy z ludźmi znajdującymi się na nadświetlnych statkach. Znalazł młodą kobietę, towarzyszkę dziennikarki, która zginęła w katastrofie lądownika „Wieczornej Gwiazdy". Dziewczyna szlochała i cały czas walczyła, by nie poddać się atakowi histerii; w sumie dała niezłe przedstawienie. Było też kilka osób, którym osobiście oberwało się od MacAllistera lub których poglądy zostały przez niego skrytykowane. Jak się czuli, gdy życie MacAllistera znalazło się w niebezpieczeństwie? Podczas rozmowy wygłaszali peany na jego cześć i wyrażali nadzieję, że uda mu się wyjść z tego cało. Kiedy jednak wywiad się kończył, większość mówiła, że życzą mu wszystkiego najlepszego, że nikt nie zasłużył sobie na taki los, ale w ich głosie było coś, co przeczyło tym deklaracjom. Tylko jedna osoba, emerytowany polityk, który kiedyś prowadził kampanię na rzecz odnowy moralnej, potępiła go bezpośrednio.

— Nie mam nic przeciwko niemu osobiście — oznajmił — ale sądzę, że to kara. Świat byłby lepszym miejscem bez niego.

Wszyscy na „Wendy Jay" boleśnie przeżyli śmierć Chianga. Utrata

kogoś bliskiego, rzekł w zadumie reporter, to bardzo bolesne doświadczenie. Teraz martwili się o Kellie, a kilku młodych mężczyzn było przerażonych tym, że i jej mogłoby się coś stać. Jej szef, Marcel Clairveau, żałował, że pozwolił jej polecieć na powierzchnię. Czasem, gdy o niej mówił, głos mu drżał. Wyszedł z tego świetny materiał.

Przeprowadził wywiad o Nightingale'u z lekarką, która została na pokładzie „Wildside". Oczywiście wyrażała ubolewanie, ale wydało mu się, że podchodzi do tego raczej obojętnie. Jest cichy, powiedziała, bardzo zamknięty w sobie. Trudno go poznać bliżej. Canyon odrobił zadanie domowe i znał życiorys Nightingale'a. Co za ironia, pomyślał, że zawsze, gdy on dotknie stopą powierzchni tej planety, ludzie giną.

Canyon nie powiedział niczego takiego, przynajmniej nie publicznie. Taka sugestia pewnie pojawi się w jego materiale, kiedy już wszystko się wyjaśni. Wkładał dużo wysiłku w pisanie spontanicznych komentarzy, które miał wygłosić w przeddzień zdarzenia.

Wiedział, jakie pytania należy zadać i był w stanie doprowadzić większość rozmówców na skraj histerii. Jeśli Hutchins i reszta towarzystwa wyjdzie z tego cało, zostaną bohaterami pierwszej ligi.

Perspektywy jego własnej kariery nigdy nie przedstawiały się równie wspaniale. Otrzymał zadanie mające być rutynową relacją z wydarzenia astronomicznego, którym ludzie interesowali się dlatego, że było rzadkie, a oni lubili fajerwerki, a tymczasem trafił na jedną z większych sensacji dziesięciolecia. I nie musiał się nią z nikim dzielić.

— Marcelu, powinieneś trochę odpocząć. — W oczach Beekmana było widać troskę.

— Nic mi nie jest — odparł Marcel. — Po prostu trochę za dużo rzeczy dzieje się naraz.

— Ale to nie powód, żeby doprowadzać się do stanu wyczerpania. Jeśli to zrobisz, nie będziesz osiągalny, kiedy będziemy cię potrzebować. — Przez ostatnich kilka dni Marcel zdołał się tylko parę razy zdrzemnąć i był to niespokojny sen. — Teraz nie ma nic do roboty. Zejdź z mostka i połóż się.

Marcel zastanowił się przez chwilę. Różne elementy akcji ratunkowej były w toku, a on i tak był raczej kibicem.

— Tak — odparł. — Chyba tak zrobię. — Oparł podbródek na dłoniach. — Gunny, o czym zapomnieliśmy?

— Radzimy sobie. W tej chwili nie da się nic więcej zrobić.

Założył ręce na piersi i czekał, aż Marcel wyjdzie.

Embry siedziała w fotelu pilota, przysłuchując się rozmowom między rozbitkami, Marcelem i Augie Canyonem, który przeprowadzał wywiad z Randym Nightingale'em. Wyglądało na to, że są w

zdumiewająco dobrym nastroju, i zastanawiała się, jak to w ogóle możliwe.

„Wildside", wraz z pozostałymi trzema statkami, zakończył manewr przemieszczania się w okolice artefaktu. Siedzenie w pustym statku i słuchanie odgłosu silników sprawiało, że czuła się jeszcze bardziej samotna. SI były tylko SI i jak każdy praktykujący lekarz korzystała z nich regularnie. Z jakiegoś powodu jednak głosy, które diagnozowały problemy z kręgosłupem albo sugerowały terapię odmładzającą, różniły się od inteligentnego statku nadświetlnego, który sam podejmował decyzje i na pokładzie którego była jedynym pasażerem.

Zamrugała lampka wiadomości i na ekranie pojawiła się nieznana jej twarz.

— Pani Embry? — Rozmówczyni miała na ramieniu naszywkę Akademii.

— Tak. Słucham.

— Nazywam się Katie Robinson. — Mówiła z idealną dykcją i Embry przyszło do głowy, że może kiedyś była aktorką.

— Będzie pani musiała opuścić „Wendy". Właśnie nadlatujemy i za kilka minut wejdziemy na pokład. Proszę się spakować i zabrać wszystkie swoje rzeczy. Zabierzemy panią.

— A mogę spytać, w jakim celu?

— Bo musimy wymontować system podtrzymywania życia.

Przybyli pół godziny później i od razu zabrali się do pracy. Było ich ośmioro. Poszli do ładowni i zabrali stamtąd wszystkie metalowe elementy, jakie mogli znaleźć: beczki, pojemniki, szafki, regały i przepierzenia. Potem poszli na górę i zrobili to samo w kajutach i wspólnym pomieszczeniu.

Katie pomogła jej się spakować. Kiedy skończyły, zrobili to samo z jej kajutą: zabrali osłony łóżka, lampy, składany stolik, wbudowaną szafę. Podziękowali jej, przeprosili za kłopot, zapakowali do wahadłowca wszystko łącznie z nią i wystartowali.

Środek uspokajający nie działał. Kellie słuchała szumu dalekich fal — w końcu rozbili obóz w pobliżu Zatoki Złych Wieści — i patrzyła na Morgana, wielki, wzdęty księżyc, opadający w stronę wzgórz. Niebo na wschodzie zaczęło się rozjaśniać. Hutch stała na warcie. Widać było jej smukłą sylwetkę opartą o drzewo, tuż przy ognisku.

Poddała się w końcu, usiadła i objęła kolana ramionami.

— Kochałaś go, Kellie? — Głos należał do MacAllistera.

Zaskoczył ją. Leżał plecami do niej. Teraz odwrócił się na drugi bok, ale twarz miał nadal w cieniu, więc nie było widać jej wyrazu.

— Nie — odparła. Po chwili dodała: — Chyba nie.

— Przykro mi.

Usiadł i sięgnął po dzbanek z kawą.

— Wiem — rzekła. — Wszystkim nam przykro.

Nalał kawy i podsunął jej kubek, ale odmówiła. Nie chciała niczego jeść ani pić.

— Czasem wydaje mi się, że życie jest tylko długim ciągiem niewykorzystanych okazji.

Pokiwała głową.

— Wiesz, co mnie najbardziej złości? — spytała. — Że musimy go tu zostawić. W tym przeklętym miejscu.

— Nie jest gorsze niż jakiekolwiek inne, Kellie. Jemu to nie robi różnicy.

Poczuła jakąś pustkę.

— Był takim dobrym człowiekiem — powiedziała, zagryzając wargi, by nie poddać się wściekłości i łzom. Żal wezbrał w niej i nie mogła go opanować. Zacisnęła zęby i próbowała to powstrzymać. MacAllister wziął ją w ramiona.

— Nie duś tego w sobie.

Hutch z kimś rozmawiała. Kellie wstała, dusząc w sobie rozpacz, i poczuła się wyczerpana. Nalała sobie wody.

Hutch zesztywniała. Uniosła ręce w geście bezradności. Kellie znała ten gest i poczuła, jak jeżą jej się włosy na głowie.

Hutch skończyła rozmawiać i szybkim krokiem podeszła do ogniska.

— Zbieramy się. Musimy tam dojść dziś.

Uklękła przy Nightingale'u i potrząsnęła nim łagodnie.

— To nie może być prawda — rzekł Nightingale. — Przecież mówili, że mamy czas do jutrzejszego wieczora.

— Zmienili zdanie. Zbierajcie się, musimy iść.

Macowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Zaczął szukać szczoteczki do zębów.

— Ile jeszcze musimy przejść? — spytał.

— Trzydzieści kilometrów. Mniej więcej.

— Jednego dnia? To się w życiu nie uda.

— Uda się.

— Hutch — odezwał się Mac na prywatnym kanale — podejrzewam, że to nie będzie tak, że docieramy tam, przekręcamy kluczyk i odlatujemy tym cholerstwem. Ile czasu nam zajmie uruchomienie tej maszynki? Zakładając, że w ogóle się to uda?

— Kilka godzin — przyznała.

Spojrzał na zbliżający się wschód słońca i potarł stopy.

— A potem musimy dotrzeć do wieży i zabrać kondensatory, tak? Kiedy?

— Późnym wieczorem. Koło północy. Rozłożył ręce w bezradnym geście.

— W takim razie potrzebny nam plan B.

— Nightingale obserwował ich, próbując się pozbierać.

— O co chodzi? — spytał.

Wyjaśniła.

— Wrócę za minutę.

Pokuśtykał w kierunku potoku, żeby umyć twarz i wyszorować zęby. Mac poszedł z nim.

— Wszystko w porządku? — zwróciła się Hutch do Kellie.

Kellie wyglądała, jakby nigdy nie czuła się lepiej.

— My dwie chyba będziemy musiały sobie urządzić bieg.

— Wiem — odparła Hutch.

— Będziemy musiały ich zostawić.

— Mac już to zaproponował.

Fale rozbijały się w Zatoce Złych Wieści. Obie kobiety wyszły na wzniesienie i spojrzały w kierunku wody. Między nimi a morzem rozciągała się połać lądu, a daleki brzeg ginął na horyzoncie.

— Na południu grunt staje się nierówny — wyjaśnił Marcel. — Odbijcie od obecnego kursu i idźcie na południowy zachód przez jakiś kilometr. Jest tam małe jezioro. Okrążcie je i idźcie dalej w tym samym kierunku. Tam będzie łatwiej.

— Dobrze.

Daleko w dole zatoka wyglądała na spokojną. Mewy muskały powierzchnię i Hutch zobaczyła coś, co przypominało dużego żółwia wygrzewającego się w słońcu.

Odwrócili się i stanęli twarzą do siebie.

— Poczekamy tu na was — rzekł Nightingale. Hutch skinęła głową.

Kellie patrzyła to na jednego, to na drugiego.

— Wrócimy najszybciej, jak się da.

Porozumiały się z Marcelem. Znajdowali się dość wysoko, powinni być bezpieczni, gdy uderzy fala.

Cała czwórka szła wzdłuż skraju klifu, aż znaleźli otwartą przestrzeń, gdzie było dość miejsca, by posadzić statek.

— Czas nagli — oświadczyła Hutch — więc polecimy najpierw do wieży. Potem wracamy po was.

Kellie spojrzała w dół klifu.

— Nie spacerujcie po ciemku.

— Dobrze.

Mac otrząsnął się i zaczął się ocierać plecami o drzewo. Trochę jak słoń, pomyślała Hutch.

— Muszę wam powiedzieć — rzekł — że podoba mi się ten plan.

Każdy, który zakłada, że nie muszę nigdzie iść. — Wyciągnął rękę, a jego głos stał się cieplejszy. Bardziej osobisty.

— Powodzenia, moje panie.

Kellie odsunęła jego rękę i objęła go, po czym złożyła na jego ustach soczysty pocałunek.

— Jesteś strasznym palantem, MacAllister — oświadczyła. — Ale warto by cię uratować.

Hutch spojrzała na Nightingale'a, zawahała się, doszła do wniosku, że to i tak bez znaczenia, po czym powtórzyła ceremonię.

Kellie, rozbawiona, potrząsnęła głową.

— Niezła orgia — powiedziała. — Kto by pomyślał?

Kellie i Hutch przez jakiś czas maszerowały brzegiem, potem skręciły w miejscu, które wskazał im Marcel, po czym ruszyły na południowy wschód. Teren był mocno porośnięty lasem, poznaczony wąwozami i rozpadlinami, ze skalistymi urwiskami i wąskimi dolinami strumieni; czasem trafiały się też wzniesienia.

Stado szarych stworzeń o pyskach podobnych do wielbłądów i długich, obwisłych uszach przebiegło koło nich wielkimi skokami, po czym znikło za wzgórzami.

Marcel kazał im iść dookoła góry, a potem szlakiem. Wydeptały go zwierzęta czy coś innego? Oczywiście w świecie, w którym istoty latające atakowały, tworząc zorganizowane formacje, a łowne koty chodziły na dwóch nogach, linia między zachowaniem zwierząt i istot inteligentnych była nieco rozmyta.

Szły dalej.

Koło południa, w środku lasu, natknęły się na balustradę. Powyżej Hutch dostrzegła kopułę pokrytą fasetami. Dwie kopuły. Identyczne.

— Na Boga — rzekła Kellie. — Spójrz na to.

Kopuły były połączone gzymsem.

— Świątynia.

Hutch zatrzymała się w pół kroku i patrzyła.

Budowla miała sześć kolumn. Były żłobkowane i podpierały trójkątne zwieńczenie, na którym znajdował się rzeźbiony fryz. Na fryzie przedstawiono dwa świerszcze: jeden siedział w czymś, co przypominało muszlę, drugi stał. Ten siedzący podawał drugiemu jakiś walec.

Nie. Po bliższym zbadaniu Hutch dostrzegła, że to zwój.

— Śliczne — rzekła Kellie.

Hutch była rada, że mają pretekst, by zatrzymać się choć na chwilę.

— Jakie to barokowe — rzekła. — Jak w osiemnastowiecznym Paryżu. Kto by pomyślał…

Dostrzegła między kolumnami wejście i prowadzące do niego

marmurowe stopnie. Kellie ruszyła w ich kierunku.

— Nie ma czasu — zaprotestowała Hutch.

— Tam coś jeszcze jest.

Do świątyni dobudowano prostopadle walcowatą budowlę. Co kilka metrów wystawały z niej podesty, a dookoła niej, przynajmniej na tyle, na ile mogły to dostrzec, biegł rzeźbiony fryz. Budowla miała wielościenny dach na wspornikach i była ozdobiona gzymsem w kształcie wałka i małą kopułką. Na fryzie przedstawiono świerszcze w różnych pozach: rozmawiające, czytające, zrywające owoce z drzew, bawiące się z młodymi. Niektóre klęczały przed symbolem słońca.

W lesie prawdopodobnie kryło się całe miasto. Dostrzegła zarysy majestatycznych budynków, zdobionych łukami, okrągłymi oknami i parabolicznymi dachami. Z galeryjkami, przyporami i wieżyczkami. Zarośniętymi dziedzińcami i nieczynnymi fontannami.

To nie było miasto, w którym kiedykolwiek można by zobaczyć sztuczne oświetlenie czy prasę drukarską. Ale było cudowne i nieporównywalne do czegokolwiek, co Hutch dotąd widziała. Pozostałości stuleci zasypały je, pogrzebały, zamknęły w plątaninie gałęzi, krzewów i liści. Mimo to, stojąc przez tymi milczącymi budowlami, Hutch poczuła, że krew krąży jej żwawiej.

Nieziemskie piękno tego miejsca potęgował porastający je las, czy też poczucie bezczasowości, albo może jego niewielkie rozmiary.

Stały jak w transie, przesyłając obrazy na „Wendy". Odpowiadało im tylko milczenie. Nikt nie prosił, by poświęciły trochę czasu na eksplorację tego miejsca.

Spędziły tam niecałe dwie minuty, po czym popędziły dalej. Zmoczyła je burza. Niebo zasnuły czarne chmury, strzelały błyskawice.

Straciły kontakt z Marcelem na prawie dwie godziny. Deszcz padał monotonnie, po czym zmienił się w deszcz ze śniegiem. Ziemia drżała, czasem na tyle mocno, że upadały na ziemię.

— Świetny dzień na przechadzkę — zauważyła Kellie.

Przed nimi pojawiła się linia drzew. Wkroczyły do lasu. Coś w krzakach wydało z siebie serię oszalałych pisków. Hutch, nie w nastroju do stawiania czoła problemom, nie mając ochoty na strzelanie z bliska, oczyściła całą kępę laserem. Coś zapiszczało, zakotłowało się, zwierzęta zaczęły uciekać w głąb lasu. Kobiety nie miały okazji dobrze im się przyjrzeć.

Marcel znów się pojawił.

— Kiepska pogoda?

— Burze elektryczne.

— Widzimy je. Ale dobrze wam idzie. Wczesnym wieczorem powinnyście być na miejscu.

— Mam nadzieję.

— Hutch, mam dla ciebie kolejną wiadomość z Akademii.

— Czego chcą?

Zawahał się.

— Masz przedsięwziąć wszelkie kroki, żeby uniknąć dalszych ofiar w ludziach.

— Świetnie. Powiedz im, że sama nigdy bym na to nie wpadła.

— Hutch.

— Powiedz im, co chcesz. Nie obchodzi mnie to.

Przez chmury przedarło się słońce. Niebo oczyściło się i ruszyły dalej. Coś, czego nie mogły nawet dostrzec, śledziło je od chwili, gdy wspięły się na pasmo wzgórz. Poruszało się trochę jak małpa, ale najwyraźniej zrezygnowało z ataku i znikło z pola widzenia.

— Przeraża mnie trochę — rzekła Kellie.

— Czemu?

— Na Ziemi, jeśli kuguar, tygrys albo aligator jest głodny, po prostu atakuje. Większość tych stworzeń trzyma się na dystans.

— Chcesz powiedzieć, że…

— Są na tyle inteligentne, żeby wpaść na to, że możemy być bardziej niebezpieczne, niż wyglądamy.

Późnym popołudniem, kiedy światło zaczęło się zmieniać, wyszły znów na otwarty teren.

— Jesteście prawie na miejscu — poinformował je Marcel. — Pięć kilometrów.

Grunt był nierówny i pokryty grubą trawą. Hutch była wyczerpana. Kellie, która miała dłuższe nogi, radziła sobie trochę lepiej.

Czasem rozmawiały z MacAllisterem i Nightingale'em. Mówili, że siedzą i podziwiają widoki. Koło południa pojawiła się duża fala i woda wspięła się wysoko na klif, ale sądzili, że mają jeszcze spory margines bezpieczeństwa. MacAllister stwierdził, że tak wygodnie nie było mu od chwili opuszczenia „Gwiazdy" i nie wie, czy jeszcze będzie mu się chciało wstać.

Niebo stało się fioletowe i zaczęło wyglądać groźnie.

— Trzy kilometry. — W głosie Marcela słychać było zdenerwowanie. — Gdybyście zaczęły iść trochę szybciej, to nie byłby taki zły pomysł.

Plamka światła znacząca pozycję słońca znikła za linią wzgórz. Deszcz zaczął padać.

Lądownik, zimny i milczący, stał na brzegu rzeki tak wąskiej, że z trudem zasługiwała na to miano. Krajobraz był iście idylliczny: skraj lasu, kilka skał, rzeka, zachód słońca. Drzewa znaczyły skraj lasu, w którym załoga „Tess" znikła rankiem, tak wiele lat temu.

Wyglądał, jakby na nich czekał. Hutch z przyjemnością spojrzała na stare logo, zwój z gwiazdą na orbicie, tak wyraźnie odcinające się na włazie. Lądownik był biało-zielony, jak wszystkie pojazdy Akademii w tych czasach. Napis „Akademia Nauki i Techniki" lśnił dumnie na burcie.

Przebiegły ostatni odcinek, niezbyt szybko, bo nie widziały dziur ani bruzd. Hutch pamiętała o drapieżnych ptakach i spoglądała niepewnie na las.

— Znaleźliśmy „Tess" — zameldowała Marcelowi.

Marcel potwierdził komunikat; usłyszała aplauz w tle. Właz, na szczęście, był zamknięty. Drabinka była na swoim miejscu. Hutch wspięła się, otworzyła panel ręcznego sterowania przy śluzie, wysunęła uchwyt i przekręciła go. Właz odskoczył, a ona otworzyła go na całą szerokość. Jak dotąd wszystko gra.

Nie traciły czasu na przechodzenie do kabiny wewnętrznymi drzwiami. Warstwa brudu i kurzu pokrywała iluminatory i przednią szybę, więc w środku było ciemno. Hutch usiadła w fotelu pilota i rzuciła okiem na konsolę. Wyglądało na to, że wszystko zostało prawidłowo zamknięte.

Kellie otworzyła z tyłu pokrywę silnika i odsłoniła reaktor.

— Co mam robić? — spytała.

— Znajdź bor. Zaraz wracam.

— Dokąd idziesz?

Hutch uniosła składany pojemnik, który zabrała z lądownika „Gwiazdy".

— Nad rzekę, po wodę. Szukaj boru.

Hutch pożałowała, że pilot, dwadzieścia lat temu, nie był na tyle przewidujący, żeby wylądować na samym brzegu rzeki, która była oddalona o jakieś pięćdziesiąt metrów. Pobiegła, napełniła pojemnik i przywlokła go z powrotem. Gdy weszła do lądownika, Kellie pokazała jej pojemnik.

— Biały proszek? — spytała.

— Tak.

— Co teraz?

— Uruchomimy reaktor.

Z boku urządzenia znajdował się metalowy cylinder wielkości jej ramienia. Z boku miał korbkę.

— Jak to się robi? Jest tu jakiś włącznik?

— Musimy go uruchomić, korzystając z naszych generatorów — wyjaśniła Hutch. Wyłączyła skafander i wyjęła generator Flickingera. — Twój też będzie mi potrzebny.

Kellie wykonała polecenie, wyłączyła zasilanie i wręczyła jej generator.

Hutch pogrzebała w plecaku.

— Miałam gdzieś kabel łączący.

Kellie znikła z tyłu i wróciła z jakimś kablem. Podniosła go, żeby można było mu się przyjrzeć.

— Z dwoma końcówkami wejściowymi?

— Idealny.

Hutch podłączyła kabel do dwóch generatorów, a drugi koniec do gniazda w reaktorze. Następnie odłączyła cylinder i wlała do niego pół szklanki wody, po czym wsypała łyżeczkę boru.

— Dobrze — odezwała się wreszcie. — Chyba możemy zaczynać.

— Cieszę się.

— System ma wbudowany grzejnik Ligona. Wystarczy tylko go uruchomić.

Przyłożyła kciuki do wyłączników zapłonu generatorów Flickingera i nacisnęła.

Na reaktorze zapaliła się żółta lampka. Hutch poczuła, że nastrój trochę jej się poprawia.

— I co teraz?

— Cierpliwości. Będzie się chwilę grzał, żeby usunąć zanieczyszczenia i wyprodukować wystarczająco dużo wodoru dla reaktora.

Zamknęła oczy i dodała w duchu: taką mam przynajmniej nadzieję.

Kellie szturchnęła ją.

— Nie chciałabym cię budzić, Hutch, ale mamy zielone światełko.

Reaktor pracował bez wspomagania. Hutch ścisnęła rękę Kellie, poszła do łazienki, nalała na ręce trochę wody z rzeki i przemyła twarz.

— Musi się naładować — rzekła. — To chwilę potrwa i nie da się tego przyspieszyć. Ale jak dotąd wszystko gra.

Wyszła na zewnątrz i Kellie podsadziła ją na górę. Hutch przyklękła przy module łączności. Cięcie lasera było czyste, ale musiała wymienić uszkodzone części na elementy zabrane z lądownika „Gwiazdy". Przepięła wszystkie kable i zadowolona ze swojego dzieła zeszła na dół, po czym opadła na fotel pilota.

Odczekała kilka minut. Kellie nerwowo spacerowała po kabinie.

— Nie mamy czasu, Hutch.

Ściemniało się.

— Wiem. — Hutch oparła podbródek na dłoni i przyglądała się instrumentom. — Dobrze, pani Collier, jeśli ma pani szczęście, to zobaczmy, czy mamy zasilanie. — Włączyła tryb testowy. Wskaźniki i mierniki podskoczyły. — Grzeczny chłopczyk. Systemy wewnętrzne wyglądają na sprawne.

— Co teraz?

— Paliwo.

Deszcz przestał padać, ale niebo nadal było zasnute chmurami.

Hutch wlała resztę wody do zbiornika na paliwo. Znaleźli pompę z wężem, ale miał tylko dwadzieścia metrów długości.

— Za mało, żeby sięgnął do rzeki — stwierdziła Kellie. Hutch podała jej składany pojemnik.

— Możesz złożyć skargę, jak wrócimy do domu.

Wyjęła zbiornik na wodę pitną, którego nie dało się złożyć, i objęła go.

— Sporo nam tego potrzeba.

— Co reaktor robi z wodą? — spytała Kellie, gdy pędziły w stronę rzeki.

— Poddaje ją elektrolizie. Oddziela wodór od tlenu i pozbywa się tlenu.

Oczywiście lądownik potem wykorzystywał wodór jako paliwo.

Nosiły wodę z rzeki przez prawie trzy godziny. Wylewały zawartość pojemników do zbiornika, biegły znów do rzeki, napełniały zbiorniki, i tak dalej.

Kiedy miały już wystarczającą moc, żeby wznieść się w górę, Hutch wskoczyła na fotel pilota, wymruczała modlitwę i nacisnęła przycisk. Panel sterowania ożył i Hutch uniosła pięść w geście zwycięstwa.

— W drogę, chłopczyku.

Otworzyła menu poleceń i nacisnęła zielone pole oznaczone „Tess”. Nic się nie stało, tylko wskaźnik naładowania spadł.

— Tess? — spytała Hutch. — Jesteś tam?

Na monitorze stanu SI pojawiła się płaska linia.

— Wygląda na to, że Tess przeniosła się do lepszego świata — mruknęła Kellie.

— Chyba tak.

— Spróbujemy jeszcze raz?

— Nie ma sensu. Tylko zużywamy energię.

Wysunęła wolant i ustawiła go w odpowiedniej pozycji.

Zaczerpnęła powietrza i uruchomiła turbiny.

Zacharczały, zakaszlały, znów podjęły próbę, ale w końcu ożyły. Mówiła do nich i namawiała je, aż przepływ mocy wyrównał się.

— Mamy udźwig?

— Zaraz zobaczymy.

Hutch przełączyła moc na układ kolców. Wskaźniki zamrugały i uniosły się odrobinę. Działały w zakresie dwudziestu procent. Nieźle, jeśli wziąć pod uwagę wiek i prawdopodobny stan kondensatorów. To nie wystarczyłoby, żeby dolecieć na orbitę, ale od gruntu się oderwą.

Hutch otworzyła sekcję startu ręcznego i uruchomiła systemy lotu. Zamrugało kilka wskaźników: prędkości, wysokości, mieszanki paliwa, temperatury silnika.

Nie mogła kołować po polu i wystartować jak pojazd z dwudziestego pierwszego wieku, bo nie mieli kół. Antygrawitacja uniesie pojazd parę metrów w górę i będzie można wystartować.

Włożyła uprząż i zapięła ją. Aktywator antygrawitacji był podświetlaną na złoto tabliczką. Wcisnęła go. Lampki zmieniły kolor, a na ekranie pojawiło się słowo „Aktywne". Hutch poczuła się, jakby ważyła trochę mniej. Przełączyła silniki w tryb wznoszenia i uruchomiła je. Pojazd uniósł się.

Wysoko nie poleciał. Mogłaby z łatwością wyskoczyć. Ale tyle wystarczy.

Kellie cmoknęła ją w policzek.

Hutch poleciała nad rzekę i wylądowała na samym brzegu. Potem wyłączyła wszystkie systemy i wyskoczyła na zewnątrz.

Marcel wybrał akurat ten moment radości, by przekazać im wieści.

— Nie jest dobrze. Woda się przedostaje.

— Jakie mamy perspektywy?

— Na razie nic groźnego, ale będzie się szybko pogarszać.

Podłączyły wąż do zbiornika reaktora, wetknęły drugi koniec do rzeki i uruchomiły pompę. Dwadzieścia minut później zbiorniki były pełne.

Schowały pompę i wąż, odczekały cierpliwie kolejne pół godziny, a reaktor w tym czasie pracował. Potem wzbiły się w powietrze i ruszyły na północny wschód. Hutch uniosła klapy i dodała gazu.

XXIII

Przez te wszystkie lata nie znaleźliśmy niczego bardziej inteligentnego niż homo sapiens. Nokowie zajmowali się głównie niekończącymi się wojnami. Wszyscy inni nie żyją, zaginęli albo wrócili na drzewa. Wygrywamy walkowerem.

Gregory MacAllister, Czy ktoś nas słucha?

Czas do rozpadu (prognoza): 75 godzin

Gdy Hutch i Kellie znikły w lesie, Nightingale i MacAllister rozpalili ognisko. Cała adrenalina, która dotąd utrzymywała dziennikarza na nogach, ulotniła się, siedział więc prawie bez ruchu, z zamkniętymi oczami, oparty o drzewo. Nightingale także dotarł do kresu wytrzymałości, ale bał się, że zasną i nikt nie będzie pilnował obozowiska.

Zrobił kawę, wypił ją i poczuł się trochę lepiej.

Dzięki Bogu, że ta cała męka zbliża się do końca. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro o tej porze będzie na pokładzie „Wildside", korzystając z gorącego prysznica, wygodnego łóżka, i zamawiając wszelkie posiłki, jakie tylko przyjdą mu do głowy.

MacAllister coś mruknął, po czym jego oddech stał się regularny. Nightingale słuchał odgłosu wiatru wśród drzew i brzęczenia owadów.

Spojrzał na zatokę. Daleko w dole wielkie ptaki barwy morza zataczały leniwie kręgi, czasem nurkując w wodzie. Nalał sobie jeszcze kawy, pociągnął łyk, odstawił kubek, zdrzemnął się i obudził gwałtownie, gdy coś dotknęło jego nogi. Był to wielki żuk z dziesięcioma czy dwunastoma parami podzielonych na segmenty nóg i groźnie wyglądającymi szczypcami. Nightingale wrzasnął, odtoczył się na bok, i patrzył, jak stworzenie maszeruje, by zniknąć wśród krzaków.

Wielki żuk. Rzeczywiście, reakcja profesjonalisty.

MacAllister nawet się nie poruszył.

Incydent ten odniósł jeden pozytywny skutek: Nightingale błyskawicznie się obudził. Porozmawiał z Hutch i Kellie, potem

pozostał na linii, żeby słuchać ich rozmów, a od czasu do czasu wymieniał komentarze ze znajomą — matematykiem z „Wendy” — z którą pozostawał w stałym kontakcie. Potem zaczął znów przysypiać.

— Mam problem: jestem straszliwie senny — wyznał w końcu znajomej.

— Dobrze — odparła głosem aksamitnym jak burgund.

— Zdejmij komunikator, przełącz go na obraz szerokokątny i ustaw na las. Ja będę trzymać za ciebie wartę.

Wyjaśniła, że wszystkiego oczywiście nie zobaczą, ale to lepsze niż nic. Wyłączył pole, zdjął komunikator i ustawił go na skale, po czym włączył pole z powrotem.

— Jeśli coś zobaczę — rzekła — będę wrzeszczeć. Nightingale położył się, słuchając ponurego szumu fal.

Zamknął oczy.

Ledwo dotarło do niego, że pada. Potem usłyszał grzmot. Kolejny wstrząs obudził go na krótko. W końcu zauważył, że jest ciemno. MacAllister najwyraźniej obudził się na tyle, że dorzucił kilka kłód do ogniska. Teraz jednak twardo spał.

Przypływ się zbliżał. MacAllister siedział, gapiąc się obojętnie na zatokę.

— Co tam? — spytał Nightingale. — Panie znalazły lądownik?

— Ach. — MacAllister nalał sobie kolejny kubek kawy.

— Obudziłeś się. — Wyciągnął rękę i poklepał go takim gestem, jakim się klepie ulubionego pieska. — Tak — powiedział.

— Z przyjemnością informuję, że dotarły na miejsce cało.

— Nalał drugi kubek dla Nightingale’a. — O ile mi wiadomo, radzą sobie świetnie.

— Uruchomiły lądownik?

— Uruchomiły. Parę godzin temu. — Szeroki uśmiech. — Teraz tankują paliwo. Randy, zaczynam wierzyć, że wyniesiemy nasze tyłki z tej planety w całości.

— Też mam taką nadzieję.

Było za zimno, żeby wyłączyć skafander na dłużej, więc Nightingale dopił kawę i włączył pole. Tęsknił za tym: móc dokonywać codziennych czynności, nie zamarzając na śmierć.

Znad brzegu rozpadliny dobiegł szeleszczący dźwięk. Spojrzeli po sobie i wyjęli lasery. Nightingale podszedł do brzegu i spojrzał w dół. Całe czoło klifu poruszało się.

Idą tu.

— Uwaga! — krzyknął do MacAllistera.

Dwie pary kończyn ze stawami pojawiły się na skraju, znalazły oparcie, po czym na płaski teren wspięło się czarne stworzenie w skorupie, przypominające trochę mrówkę, ale rozmiaru psa

obronnego. Zakołysało się, wyprostowało, i ruszyło w ciemność, mijając ich.

Nightingale zdążył je obejrzeć. Miało kleszcze jak nożyce ogrodowe, osiem cienkich segmentowanych nóg i kilka par odnóży.

Drugie wspięło się na klif i przebiegło koło nich. Kilka następnych rozpaczliwie usiłowało uchwycić się nagiej skały.

Szeleszcząc i klekocząc, stworzenia w końcu się wydostały, minęły krąg światła i maszerowały dalej.

— Mac?

MacAllister opierał się o drzewo.

— Tak — odparł. — Tu jestem.

— Chyba nadciąga ich tu całe mnóstwo.

Kolejne stworzenia gramoliły się przez brzeg. Laser Maca błysnął.

Nightingale rozpaczliwie rozglądał się za jakąś kryjówką.

— Uciekają przed przypływem.

— Jakie one są?

— Wielkie i niezgrabne. I niebezpieczne.

Liczba stworzeń wyłaniających się zza skraju klifu wydawała się nieskończona.

— Randy, co robimy? Chowamy się za ogniskiem?

— Nie! To nie byłoby bezpieczne. Jeśli wpadną w popłoch, stratują nas. Znajdź sobie jakieś drzewo.

— Bo ja wiem… — Patrzył niepewnie na wysokie drzewo. — Są za wysokie, żeby na nie wejść.

— To schowaj się za drzewem.

Całe hordy stworzeń przemykały obok nich. Pędziły jak automaty, nogi zsynchronizowane, szczypce wycelowane do przodu, jakby stworzenia spodziewały się oporu. Te, które biegły za wolno albo wchodziły w drogę większym zwierzętom, traciły kończyny i czułki. Jedno wpadło na Nightingale'a, upadło i zanim zdołało wstać, zostało zadeptane. Kolejne wpadło do ognia, zapiszczało żałośnie i pobiegło dalej, ciągnąc za sobą smugę dymu.

Kiedy panika minęła, byli ze wszystkich stron otoczeni zdechłymi i zdychającymi skorupiakami.

Po chwili pojawił się maruder. Miał problem z wydostaniem się na płaski grunt. Po walce, która wydawała się nie mieć końca, udało mu się, i wtedy dostrzegli przyczynę: brakowało mu dwóch nóg i kilku czułków.

— Co będzie, jak wrócą? — spytał MacAllister.

— To nie to samo — odparł Nightingale. — Nie dojdzie do paniki.

— To nie znaczy, że nie będą niebezpieczne.

— To prawda. I będą wtedy szukały jakiejś przekąski. Może rozsądniej byłoby opuścić to miejsce.

Mac rozejrzał się wzdłuż brzegu klifu.

— Zgoda. W która stronę? Wracamy tam, skąd przyszliśmy?

— To zupełnie niepodobne do Gregory'ego MacAllistera.

Mac zaśmiał się i założył plecak.

— Doskonale. W takim razie idziemy dalej.

Obaj czuli się lepiej po długim odpoczynku na szczycie i ruszyli żwawo. Półksiężyc gazowego giganta wschodził za nimi, a w lesie było tak jasno, że nie musieli używać latarek. Ale już niedługo…

Rozmyślania przerwał mu nowy głos. Canyon.

— Słyszałem, że dzieje się coś nowego, doktorze Nightingale. Mogę prosić o kilka słów komentarza?

— To nie jest dobry moment — odparł Nightingale i przerwał połączenie.

— To jest właściwy sposób postępowania z mediami — rzekł MacAllister.

— Do licha, Mac, myślałem, że media to ty.

— Bo tak jest.

Trzymali się blisko skraju klifu. Zatoka rozpościerała się pod nimi, potężna odnoga morza, gładka i mglista w świetle Morgana. Duże połacie lasu, rozciągające się wzdłuż brzegu, znalazły się pod wodą.

— Woda sięga już wysoko — rzekł Nightingale. Podnosiła się w oczach.

— Randy, sądzisz, że jesteśmy wystarczająco wysoko?

Nightingale zaśmiał się.

— Och, czyżby to był ten wyrafinowany dowcip MacAllistera?

— Och, tak. Właśnie tak.

Las wdarł się na sam szczyt. Byli tak blisko rozpadliny, że nieostrożny krok mógł się skończyć katastrofą. Czasem jednak listowie rozrzedzało się i widoczność sięgała pół kilometra. Światło giganta było tak jasne, że nie używali latarek.

MacAllister dotknął ramienia Nightingale'a i wskazał w stronę wody. Płonęło tam światło.

— Właśnie się pojawiło — rzekł.

Kiedy tak patrzeli, światło zgasło.

Wpatrywali się w półmrok, ale nie było niczego widać. Światło znów się zapaliło.

— Co o tym sądzisz?

— Fauna i flora morska.

Zgasło. Nightingale uniósł latarkę, wycelował w morze i zamrugał.

Światło na wodzie zamrugało w odpowiedzi. Mac zmarszczył czoło.

— Chyba ktoś próbuje się z nami przywitać. Nie wydawało im się to możliwe.

— To pewnie świecąca kałamarnica albo coś takiego — powiedział. — Zew godowy.

— Zaprasza nas na gody?

— Latarkę.

Nightingale znów zamrugał. W odpowiedzi pojawiła się skomplikowana seria: długie, krótkie i średnie błyski. Mac niebezpiecznie zbliżył się do brzegu.

— To wygląda na jakiś kod.

— Wiesz, że niektóre ważki na Ziemi udają inny gatunek ważek? — spytał Nightingale. — Udają, że szukają partnera. A kiedy odbiorca się pojawia, zostaje pożarty.

Zmrużył oczy i wpatrywał się w ciemność. Wyglądało to po prostu jak światło na powierzchni. Wyobraził sobie rękę z latarnią, wystającą z wody.

— Widzisz coś, Randy?

— Tylko wodę.

MacAllister mrugnął latarką i spojrzał z nadzieją na wodę. W jego zachowaniu, pomyślał Nightingale, jest jakiś element zabawy. On się tu dobrze bawi.

Nadeszła odpowiedź, kolejna skomplikowana seria błysków.

— Nie wiem, co to jest — rzekł Nightingale. — Ale wygląda, jakby światło znajdowało się w wodzie. — Patrzył dalej. — Powinniśmy to nagrać.

MacAllister pokiwał głową.

— To wygląda prawie tak, jakby łódź rybacka próbowała z nami rozmawiać.

Ziemia zadrżała. Gdzieś poniżej wielki kamień oderwał się od klifu i spadł do zatoki.

Nightingale wstrzymał oddech, odsunął się od przepaści i czekał na kolejne wstrząsy. Nie nadeszły, więc przełączył skaner na nagrywanie. Na jego sygnał MacAllister zamrugał parę razy i światło znów odpowiedziało. Jeden błysk. Potem dwa. I trzy.

Nightingale poczuł zimny dreszcz wędrujący wzdłuż kręgosłupa.

— Twoja kałamarnica umie liczyć — zauważył Mac. — Sądzisz, że w morzu mogło rozwinąć się inteligentne życie?

Cóż, na Ziemi tak się stało. Wykrycie go zajęło jednak dużo czasu, bo nie korzystało z techniki. Delfiny i wieloryby były inteligentne. Kałamarnice także. Do korzystania z matematyki trzeba jednak było je namawiać.

— Miało dużo czasu, by ewoluować — rzekł Nightingale.

Mac błysnął raz.

Nadeszła odpowiedź: dwa.

Nightingale wyłączył latarkę Maca i uniósł swoją. Błysnął: trzy.

Odpowiedź: cztery. Spojrzał przez lornetkę.

— Mój Boże — rzekł. — Wrócimy z takimi historiami i bez żadnych odpowiedzi. Ludzie będą wrzeszczeć.

Grunt znowu zadrżał, tym razem mocniej.

— Randy — rzekł Mac — to nie jest dobre miejsce.

— Wiem.

MacAllister ujął go pod ramię.

— Chodźmy. Zanim obaj wpadniemy do wody. Nightingale pokiwał głową, wycelował latarkę w kierunku źródła światła i mignął raz. Żegnaj.

Światło na morzu mrugnęło dwa razy.

— Oni nadal liczą — mruknął Nightingale.

— Jak sobie radzicie, chłopaki? — W głosie Kellie dało się słyszeć radość i ulgę.

— Dobrze — odparł Nightingale, nie odrywając wzroku od zatoki.

— To świetnie. Mam dobre nowiny. Za parę minut startujemy.

Dzięki Bogu.

— Grzeczne dziewczynki — odezwał się MacAllister na prywatnym kanale.

XXIV

Szczęście jest w mniejszym stopniu wytworem talentu i energii niż wyczucia czasu. Bycia we właściwym miejscu, kiedy przewraca się ciężarówka z arbuzami. Właśnie tak dokonują się awanse i tworzą się fortuny. Pojawisz się na skrzyżowaniu minutę później, kiedy przyjedzie policja, i wszystko na nic.

Gregory MacAllister, Zagubieni w Babilonie

Czas do rozpadu (prognoza): 63 godziny

Kellie spojrzała na Zatokę Złych Wieści i wstrzymała oddech. Cała dolna linia brzegowa była pod wodą, a klif, którym maszerowali, zmienił się w cypel.

— Co o tym sadzisz? — Miała na myśli diagnostykę, nie sytuację w zatoce.

— Nie wiem, czemu SI nie działa. Pewnie z powodu złego stanu ogólnego.

— Dobrze. Co jeszcze?

— Mamy problemy ze sterowaniem temperaturą. Łączność, działa. Kondensatory ledwo zipią i dają tylko dwadzieścia jeden procent mocy. Wygląda na to, że więcej się nie da. Czujniki padły. Przednie amortyzatory wysiadły. Układ elektryczny zgłasza ostrzeżenia.

Hutch skrzywiła się.

— Ale nie melduje, że zaraz się wyłączy?

— Nie.

— Dobrze. Jak dotrzemy na miejsce, przyjrzę się. Mamy tam mnóstwo zapasowych części.

Zwykle pilot przeprowadzał diagnostykę sam, ale też wówczas statek pilotowała SI. A tym razem Hutch była zajęta.

Kellie streściła krótko inne problemy, dość drobne, raczej potencjalne niż rzeczywiste zagrożenia.

— Nie będziemy dużo nim latać. Ale do wieży powinniśmy dolecieć.

Hutch wzniosła się na poziom dwóch tysięcy metrów, poinformowała zastępczynię Marcela, że nie mają czujników, i z jej pomocą obrała kurs. Zastępczyni spytała, czy jest jakakolwiek szansa, by dolecieli tym lądownikiem do „Wendy". I jak sobie teraz radzą.

— Nie ma szans — odparła Hutch. — Możemy wystartować i wylądować. Nawet kawałek przelecieć. Ale na orbitę? Nie da rady.

Kellie skontaktowała się z Nightingale'em.

— Jak sobie radzicie, chłopaki?

— W porządku.

— Dobrze. Lecimy. — Po czym zwróciła się do zastępczyni: — Allie, mamy czas, żeby zabrać resztę załogi? — Skinęła głową i przyspieszyła.

— Nie. Równina cały czas napełnia się wodą. Masami wody.

W świetle rzucanym przez Jerry'ego Morgana krajobraz wyglądał upiornie. Kellie dostrzegła miejsce, gdzie zginął Chiang, i wydawało jej się, że rozpoznaje miejsce z poduszkowcem. Przeleciały nad rzeką, gdzie zaatakowały ich ważki.

Pojawił się Marcel.

— Hutch — powiedział — do doliny wdziera się woda. Dużo wody. Przypływ przybiera, duża część pasma gór już się zapadła.

I tak już będzie, pod dyktando przesuwającego się po niebie Morgana. Dostrzegli słup dymu na południu.

— Wulkan — rzekł Marcel. — Dziś wieczorem eksplodują na całej planecie.

— Jak wygląda sytuacja w okolicy wieży?

— Woda się tam jeszcze nie dostała, ale to długo nie potrwa. Nie oszczędzaj dopalaczy.

— Dopalaczy — odparła Hutch. — Tak jest.

To był oczywiście żart. Już leciały z maksymalnym ciągiem.

— Wieża jest na płaskiej równinie — mówił dalej Marcel. — Na północy jest coś w rodzaju lejka, którym dotąd woda odpływała, a teraz nim napływa. Kiedy uderzy w równinę, trochę się rozleje, ale jeszcze nie zaleje całości. Tylko że to nie będzie trwało wiecznie.

— Jakieś prognozy co do czasu?

— Ile ci zajmie dolecenie tam?

— Dwadzieścia minut.

— Powinno starczyć. Ale jak wylądujesz, biegnij.

— Mac?

— Tak, Priscillo?

— Mac, uważajcie na siebie. Wrócimy najszybciej, jak się da.

— Będziemy czekać.

— Dotrwacie?

— Jeśli nie dopadniecie tych akumulatorów, to pewnie nie.

— Kondensatorów.

— Wszystko jedno. Nigdy nie byłem elektrykiem. Ale dopadnijcie je. Zostawimy wam światełko.

Znów Marcel.

— Hutch.

Po jego głosie poznała, że cała rozpacz i beznadzieja, jakie w nim wzbierały, znalazły ujście w tej jednej chwili.

— Daj sobie spokój. Wracaj i…

— Co ty mówisz? Dać sobie spokój?

— Rób, jak powiedziałem. Nie mamy czasu.

— Marcel, do licha — włączyła się Kellie — nie możemy tak po prostu dać sobie spokoju. Nie mamy dokąd lecieć.

— Opracowujemy plan B. Dajcie sobie spokój z kondensatorami.

— Jaki plan B?

— To skomplikowane.

— Tak właśnie myślałam — rzekła Kellie. — A tak w paru słowach?

— Spróbujemy złapać was w locie.

— Co spróbujecie?

— Złapać was podczas lotu. Teraz nie będę tego wyjaśniał.

— Jakoś mnie to nie dziwi.

— Budujemy urządzenie, które może się sprawdzić.

— Marcelu — spytała Hutch — jaki jest twój poziom zaufania do tego planu?

Najwyraźniej musiał się już nad tym zastanawiać.

— Posłuchaj, nikt jeszcze czegoś takiego nie próbował, więc nie mogę obiecać, że się uda. Ale jest pewna szansa.

— Dobrze. — Kellie popatrzyła na Hutch. — Lecimy do wieży.

Hutch przytaknęła.

— Lepiej będzie, jak weźmiemy te kondensatory.

Pochyliła się w fotelu pilota, jakby mogła w ten sposób zmusić pojazd do szybszego lotu.

— Hutch… — W jego głosie pobrzmiewała rozpacz.

Kellie potrząsnęła głową. *Lecimy tam, w przeciwnym razie wszystko stracone.*

Leciały już z maksymalną prędkością, odkąd przeleciały nad rzeką.

— Ile jeszcze mamy czasu? — spytała Kellie. — Zanim woda dotrze do wieży?

— Woda właśnie podchodzi pod wieżę.

— Jak tam teraz jest? Jak to wygląda?

— Głęboko. Nie mamy czasu.

— Jesteśmy już nad równiną. I nie widzę żadnej wody.

— Uwierz mi na słowo.

— Będziemy się rozglądać, Marcelu. Damy ci znać. Kellie przeszła na prywatny kanał.

— Hutch, jeszcze nie jesteśmy nad równiną. Dopiero lecimy nad lasem i górami.

— Jesteśmy o parę minut od wieży. — Hutch przełączyła się do Marcela. — Wygląda na to, że może się udać, zamierzamy spróbować.

— Wolałbym, żebyście nie próbowały.

— Wolałabym nie musieć próbować. Powiedz mi, jak wygląda sprawa z wodą. Co tam będzie? Fale? Stopniowy przybór? Co?

— Tam przemieszcza się fala. A właściwie seria fal, jedna blisko drugiej.

— Jak daleko są? Od wieży? I jak wysoko?

— Na tyle wysoko, że woda mogła już zalać kondensatory. Są na poziomie gruntu, prawda?

— Tak. Na stole.

— Więc pewnie są już pod wodą.

— Czy jest jakaś szansa, że wyprzedzimy falę? W ogóle jakaś szansa?

— Macie jakieś piętnaście minut.

Były dziesięć minut od wieży. Plus minus.

— Dobrze, Marcelu. Wszystko albo nic.

— A jeśli już o tym mówimy: zeszłyście z kursu. Skręć dwanaście stopni w lewo.

Hutch przesunęła wolant w lewo i spojrzała na wskaźniki.

— Tak dobrze?

— Tak — odparł, przybity. — Tak dobrze.

Kellie słuchała jednostajnego szumu silników i patrzyła na przesuwające się w dole pokryte śniegiem góry.

— Mamy minimalny ładunek — wyjaśniła Hutch. — To znaczy, że prawdopodobnie będziemy musiały zainstalować nowe kondensatory, żeby w ogóle wystartować. Wtedy może się zrobić ciekawie. Rozejrzyj się z tyłu i sprawdź, czy mamy wszystko, żeby je podłączyć.

— Będziemy to robić tu, na tylnym siedzeniu?

— Jeśli zrobi się niebezpiecznie, to tak. Nie będzie czasu, żeby wyjąć stare kondensatory. Więc trzeba tylko wyciągnąć kable. Załadujemy te nowe najszybciej, jak się da, przyczepimy je i uciekamy. Trzeba przygotować kable i klucze.

Kellie przemieściła się do tyłu i zaczęła przygotowania. Lądownik przeleciał nad ostatnią linią wzgórz i znalazł się nad równiną. Tu była już pokrywa śnieżna i okolica wyglądała nierealnie, widmowy krajobraz, połyskliwe drzewa, cienie jak wyryte w srebrze. Potem kolory się zmieniły: znalazły się nad wodą.

Wyglądała na płytką — do połowy łydki albo po kolana. Nadal widać było krzewy. Kellie zameldowała, że z tyłu wszystko jest gotowe.

Hutch sprawdziła godzinę i zaczęła wypatrywać wieży.

— To nie może być już daleko — powiedziała, po czym zwróciła się do Marcela: — A co się stanie, jeśli kondensatory zamokną?

— Nie zaprojektowano ich tak, żeby były wodoodporne, Hutch. Jeśli zamokną, trzeba będzie je wysuszyć i może potem będą się do czegoś nadawały. Nie mogę tego powiedzieć z całą pewnością, a w naszej bazie nie ma takiej informacji. To jest jednak sytuacja, której chcielibyśmy uniknąć.

Hutch rozumiała, co Marcel ma na myśli. Powinny dostać się tam jak najszybciej. Zmniejszyła dopływ paliwa i obniżyła lot. Lądownik zwolnił.

— Kellie, miej oczy szeroko otwarte. Drzewa i wzgórza odznaczały się śladem na wodzie. Stado podobnych do wilków zwierząt, które widzieli wcześniej, podczas wędrówki na południowy zachód w górzystym terenie, uciekało przed powodzią. Nad wodą widać było tylko ich głowy. Nie uda im się.

— Hutch — to znów Marcel. — Zbliżasz się do wieży. Trzy stopnie na lewo, prosto, jakieś dwa tysiące metrów.

Wyłączyła silniki. Lądownik sunął w srebrzystym świetle.

— Może jest nadal na tyle płytko, że się uda — zasugerowała Kellie.

— Widzę ją. — Hutch pochyliła się nad sterami. — Spróbuję usiąść, nie używając antygrawitacji, jeśli tylko zdołam. Musimy oszczędzać ładunek na start.

Nie miała wyboru — musiała jednak użyć systemu, by utrzymać się w górze. Poziom mocy spadał. Reaktor automatycznie wyłączył się podczas lotu, więc leciały tylko na tym, co zostało zgromadzone w akumulatorach i kondensatorach. A z powodu pośpiechu było tam absolutne minimum.

— Macie jakieś sześć minut, zanim wedrze się tam ocean — poinformował je Marcel.

— Jak duża jest fala?

— Rozprzestrzenia się i maleje. Ale w tej chwili ma jakieś dziesięć metrów. — To prawie wysokość wieży.

— O, jest — oznajmiła Kellie. Nie było widać śladu rozpadliny.

Wieża wznosiła się nad poziom wody, ponura, zimna i opuszczona, ale nadal na miejscu. Wydała się Hutch czymś nieomal biblijnym, ostatnim śladem zaginionej cywilizacji, ostatnim nieposłusznym, skalistym palcem wzniesionym w stronę nieubłaganych niebios.

— Lądują.

Wysunęła podwozie.

— Może się uda — mruknęła Kellie.

Światła lądownika odbiły się w płynącej wodzie. Hutch wrzuciła wsteczny ciąg, prawie zatrzymując pojazd w powietrzu, po czym delikatnie opuściła go na ziemię.

Dostrzegła na północy przemieszczającą się szarą ścianę.

— Fala nadciąga — oznajmiła i uruchomiła e-skafander.

Przesunęła wolant do przodu i poczuła lekki wstrząs, gdy wylądowały. Kellie otworzyła śluzę i zeskoczyła do wody.

Prąd o mało jej nie przewrócił.

Hutch ruszyła za nią, ale zatrzymała się w śluzie i patrzyła na nadciągającą falę, pędzącą w ich kierunku. Ku rozpaczy Kellie, kazała jej wracać.

— Daj spokój — rzekła. — Nie ma czasu.

— Niech przejdzie — włączył się Marcel. — Potem spróbujecie.

— Nie! — Kellie zmagała się z prądem, by nie upaść. Prąd pędził od północy, od nadciągającej fali.

Głos Hutch brzmiał chłodno i spokojnie.

— Nie wyjdzie nam na dobre, jak stracimy lądownik.

— Potem nie będziemy w stanie ich już zabrać — odparła Kellie. — Śmierć teraz, śmierć później, co za różnica?

Była o parę kroków od wejścia i szła dalej.

— Jeśli ciebie nie znajdziemy, to też nam to nie pomoże.

Fala była niesamowita, wznosiła się coraz wyżej. Gigantyczny grzbiet załamał się i opadł. Kellie weszła do wieży Kondensatory leżały na stole, gdzie je zostawili, zakryte brezentem.

Woda zawirowała jej wokół kostek. Ryk nadciągającego morza był ogłuszający.

— Wracaj! — Hutch starała się mówić chłodno i bez emocji. — Kellie, musimy startować.

Dotknęła jednego z kondensatorów przez tkaninę. Nie wróci bez nich. Nie może wrócić bez nich. Wziąć i uciekać, ale potrzebowała Hutch. Sama obu nie uniesie…. muszę wystartować…

Kellie i fala. Miała piękny pierścień.

— Boże.

Nie ma szans, żeby go zanieść. Nie ma czasu. Zrezygnowała i ruszyła, brnąc w szlamie i potykając się. Przy wejściu upadła, wstała i zaczęła biec. Hutch stała przy włazie „Tess”, oglądając się przez ramię. Patrząc w górę Kellie przebiegła ostatnie kilka metrów, rozchlapując wodę, Hutch zanurkowała do środka. Usłyszała szum silników i wręcz poczuła cień fali. Lądownik zaczął się wznosić. Właz był nadal otwarty, ale Kellie musiała podskoczyć, żeby złapać się drabinki. Chwyciła dolny szczebel, zawisła w powietrzu, gdy „Tess” się unosiła,

i patrzyła, jak ściana wody spada na wieżę. Przewala się przez nią. Zalewa ją. Wznosiły się za wolno, woda dostała się do pionowych dysz, które zawyły. Chwyciła się mocniej, nagle ciężka jak kawał żelaza. Krzyknęła i fala przetoczyła się pod nią.

Silniki umilkły i Hutch obniżyła lądownik o kilka metrów. Kellie poprawiła chwyt, podciągnęła się o kilka szczebli i postawiła stopę na drabince.

Wieża znikła. Kellie poczuła zapach morskiej wody. Przepełzła przez klapę i zaczęła szukać czegoś, czym mogłaby rzucić w Hutchins, siedzącą przy sterach, niewzruszoną.

— Chciałaś mnie tam zostawić — powiedziała. — Chciałaś mnie zostawić tam na dole.

— Jestem odpowiedzialna jeszcze za dwie osoby. — Głos Hutchins ociekał gniewem. — Jeśli chcesz się zabić, twoja sprawa. Ale nie pozwolę ci zabić nikogo więcej.

— Mogło nam się udać, szlag by cię trafił. — Kellie zamknęła właz.

Hutch w końcu odwróciła się i spojrzała w jej stronę.

— Jak brnęłaś z powrotem, wcale nie szło ci tak łatwo. Dlaczego sądzisz, że udałoby ci się dojść, niosąc kondensator?

— Za wolno wychodziłyśmy z lądownika. Gdybyśmy tylko wybiegły szybko, bez ociągania się… Po prostu…

— Obie byśmy nie żyły.

Hutch zatoczyła koło i przeleciały nad rozszalałą wodą. Wieży nie było widać. I nadciągała druga fala.

Patrzyły w milczeniu. Nadciągnęła i przetoczyła się, wyższa od pierwszej.

— Powinnyśmy były choć spróbować — powiedziała Kellie.

Dostrzegła wieżę. Z okien wylewała się woda. To zdumiewające, ale najwyraźniej budowla wyszła z tego cało, jeśli nie liczyć drobnych uszkodzeń dachu.

— Następna fala będzie za trzy minuty — rzekła Hutch.

Trzecia była gigantyczna. Rosła, więc Hutch zwiększyła wysokość. Gałęzie kilku drzew wystawały dotąd z wody, ale ta fala zalała wszystko, drzewa i wieżę.

Czekały z nadzieją, że kamienny dach jednak się wynurzy.

Marcel spytał, co się stało.

— Jeszcze nie wiemy — odparła Hutch.

MacAllister i Nightingale także się zgłosili.

— Chyba zjawiłyśmy się za późno — powiedziała Hutch.

Pomyślała, że jeszcze nie wszystko stracone.

Uruchomiła silniki, zatoczyła łuk wokół miejsca, gdzie kiedyś była wieża, i wyłączyła antygrawitację, oszczędzając energię.

— Wszystko skończone — rzekła Kellie drżącym głosem.

— Nie. Jak woda się uspokoi, zejdziemy tam i zobaczymy.

Cała okolica była teraz dnem burzliwego jeziora. Poziom wody podnosił się i opadał na ich oczach. Nadciągały następne fale. Czasem nowo powstałe morze odsłaniało duże płaty lądu. Hutch nie była już jednak pewna, gdzie przedtem stała wieża.

— Hutch — to głos Marcela. — Za jakąś godzinę powinno się zacząć cofać.

— Teraz mamy tu ocean — odparła. — Mówisz, że się cofnie. Woda wyleje się z powrotem?

— Cóż, nie do końca. Częściowo tak. Ale większość zostanie tutaj. Przynajmniej przez parę dni.

— Cóż — rzekła Kellie. — Nie mamy nic lepszego do roboty. Po prostu…

— Dość — przerwała jej Hutch. Nadal zataczała kręgi. MacAllister znów się zgłosił.

— Posłuchaj, zrobiłyście wszystko, co się dało. Nie zamartwiajcie się tym.

Los tych wszystkich ludzi zależał od niej.

Kellie rzuciła Hutch zabójcze spojrzenie. Hutch doszła do wniosku, że to ją też drażni.

W ciągu następnych czterdziestu pięciu minut przez całą okolicę przetaczały się fale, mniejsze i większe. Morgan żeglował cicho po niebie na zachód, potężny, jaskrawy i piękny.

W końcu woda zaczęła się cofać, płynąc w stronę, z której nadeszła. Na sterburcie pojawił się ślad na tafli. To była wieża, zrujnowana i strzaskana.

Hutch wylądowała ostrożnie w środku cofającego się prądu i włączyła ładowanie reaktora. Siedziały w pełnym napięcia milczeniu prawie przez godzinę, aż siła cofającej się wody trochę zelżała. Potem weszły w nurt. Woda sięgała im do pasa.

Górna część wieży i najwyżej położone pomieszczenia zostały zmiecione. Stół znikł wraz kondensatorami. Przeszukały uważnie parter. Wzięły lampy i popłynęły na dolny poziom. Niczego nie znalazły.

Przeszukały całą okolicę, wytyczając sektory, chodząc, pływając i rozglądając się najstaranniej, jak umiały. Jerry zaszedł, a wstało słońce.

XXV

Szczęście nie bierze się z próżni. Jest produkowane w sposób zorganizowany.

Gregory MacAllister, „Sztuka Julia Agostina” (Dziennikarz na wolności)

Czas do rozpadu (prognoza): 60 godzin

GORĄCA LINIA Z AUGUSTEM CANYONEM

Mała grupa rozbitków, którzy znaleźli się na powierzchni Maleivy III, przegrała wyścig z morzem kilka godzin temu, gdy potężna fala wywołana zbliżaniem się planety Morgana zalała północne niziny kontynentu zwanego Transitorią, zabierając ze sobą dwa kondensatory, które umożliwiłyby rozbitkom dostanie się na orbitę. Dowództwo „Wieczornej Gwiazdy” mówi jednak, że jeszcze się nie poddaje.

Jest południe, czwartek, piąty grudnia. Nasi eksperci przypuszczają, że warunki na Maleivie III pogorszą się jutro, a do poważnego pogorszenia dojdzie w czwartek. Prawdopodobnie planeta zacznie się rozpadać w czwartek wieczorem. Ostatnia próba ratunku przewiduje zbudowanie konstrukcji przypominającej windę orbitalną. Wasz reporter będzie relacjonował całe przedsięwzięcie i jeszcze dziś przedstawi wam szczegóły w specjalnym reportażu.

Mówił August Canyonz orbity Deepsix.

Ochotnicy Janet kończyli trzydniowe szkolenie, gdy nadeszła wiadomość: będą pracować na zewnątrz. Dziś wieczorem.

Reakcje były mieszane. Usłyszawszy wielką nowinę, zastanawiali się przez chwilę, przetrawiając fakt, że stawka w ich przypadku znacznie wzrosła. Janet zauważyła moment przestrachu: teraz nadszedł czas na poważne zobowiązanie. Ale wrócili do pracy z ochotą.

A ona? Cieszyła się, że wyjdzie na zewnątrz.

Chastain wpadł do Audytorium Bryanta, by porozmawiać z ochotnikami o polu Flickingera. Ochotnicy teraz mówili o sobie „Autsajderzy".

Zaledwie jedna trzecia ochotników w ogóle kiedyś miała na sobie e-skafander, zanim zaczęli program szkoleń. Opowiedział im, jak działają poszczególne układy, odpowiedział na pytania, pokazał symulację i obejrzał uprząż. Udzielił wyjaśnień na temat pola Flickingera i tego, co może ono zrobić, a czego nie może. Opisał podstawowe procedury zachowania bezpieczeństwa, takie jak utrzymywanie fizycznego kontaktu ze statkiem czy obcym artefaktem, na którym będą pracować.

Po kolacji Autsajderzy zostali wezwali na wieczorną sesję, podczas której Janet przedstawiła Mercedes Dellamonica, oficer wykonawczą Nicholsona. Mercedes była chłodną, niezdradzającą emocji kobietą z Mexico City. Ona, Marcel i Janet towarzyszyli piętnastoosobowej grupie ochotników: każdy zajmował się piątką. Chodzili po kadłubie, przyzwyczajali się do warunków, nabierali wprawy w używaniu modułu komunikacyjnego i trenowali zachowanie w sytuacjach problematycznych: Mercedes celowo odpadła od kadłuba, odfrunęła i trzeba było ją ratować.

Spawali też w zerowej grawitacji. Potem kazano im zademonstrować, czego się nauczyli. Kiedy skończyli, dwie osoby zrezygnowały.

Dzięki uprzejmości kapitana Nicholsona na zewnątrz rozciągnięto dwie siatki tenisowe i ci, którzy mieli pracować na sieci utrzymującej asteroidę, mogli potrenować wspinaczkę.

Po zakończeniu sesji, koło jedenastej, zaproszono ich do sali jadalnej w osobistym apartamencie kapitana i podano przekąski na koszt „Wieczornej Gwiazdy". Byli tam ich instruktorzy, a kiedy już wszyscy się zebrali, pojawili się kapitanowie: Nicholson i Clairveau. Nicholson wygłosił krótką mowę, dziękując im za ich wysiłki i wyrażając przekonanie, że odniosą sukces. Potem wywoływano ich indywidualnie i wręczano certyfikaty z obrazkiem przedstawiającym kobietę w stroju na popołudniowe przyjęcie, ze sprzętem do spawania, siedzącą na dwóch walcach artefaktu.

Za oboma kapitanami, na grodzi, widniał transparent z tym samym obrazkiem. Pod kobietą był zielony napis „Wieczorna Gwiazda". Powyżej — „Autsajderzy".

Pindar Koliescu był zadowolony z siebie. Wyszedł na zewnątrz z całą resztą, poradził sobie znakomicie z e-skafandrem i wykazał się dużą zręcznością w używaniu lasera. Był przekonany, że wie już wystarczająco dużo, by ciąć i spawać z najlepszymi. Nie tak źle po

trzydniowym szkoleniu. Ale zawsze szybko się uczył.

Był założycielem firmy Harbinger Management Systems, która specjalizowała się w uczeniu ludzi, jak nadzorować podwładnych i kontrolować zasoby. Było to nudziarstwo, ale w świecie biznesu dwudziestego trzeciego wieku cieszyło się dużą popularnością. Dzięki firmie zarabiał wystarczająco dużo, żeby oddawać się ulubionemu hobby: lotom w nieznane w towarzystwie pięknych kobiet.

Tym razem była z nim Antonia Luciania, piękna i nienasycona młoda rzymianka, która od początku podróży dbała o jego dobry nastrój. Antonia próbowała go zniechęcić do brania udziału w akcji ratunkowej, uciekła się nawet do łez, kiedy się upierał, potem zaproponowała, że może też się przyłączy, ale obawia się, że w tak krótkim czasie nie zdąży się wszystkiego nauczyć. Przyznała, że perspektywa wyjścia na zewnątrz ją przeraża.

Jak przystało na doskonałego menedżera, zrozumiał jej obawy i pozwolił jej podziwiać własne heroiczne czyny — te w planach.

Pindar doskonale się bawił. Poddał się emocjonalnej histerii, jaka otaczała akcję ratowania rozbitków, czuł psychiczną więź z czwórką ludzi na powierzchni planety i rozumiał doskonale, że żadna demonstracja odwagi i umiejętności w jego wydaniu nie odniesie zamierzonego skutku, jeśli akcja ratunkowa się nie uda.

Ceremonia była krótka.

— Wszyscy powinniście się solidnie wyspać — powiedział na koniec kapitan Clairveau. — Przygotowaliśmy wam specjalne kwatery. Powiedziano mi, że już o tym wiecie i że wiecie, jak tam trafić. Ale i tak was tam odprowadzimy, jak skończymy — uśmiechnął się. — Możecie uważać się za pozostających w służbie wojskowej. Jutro rano wstaniecie wcześnie. Chciałbym tylko wam przypomnieć, że kiedy opuścicie to pomieszczenie, wszystko stanie się rzeczywistością.

Ostatnią mowę wygłosiła Janet. Podziękowała swoim kolegom — Autsajderom, zapewniając, że przez cały czas będzie z nimi, i przekazała im ostatnie instrukcje.

Co za szkoda. Antonia musi być nieźle podekscytowana jego planowanymi wyczynami. Pindar wytłumaczył sobie, że oto właśnie dokonał wielkiego poświęcenia, i odszedł wraz z pozostałymi.

Zadzwonił do niej, zanim udał się na spoczynek. Jej piękny obraz przybrał kształt i lśnił przed nim. Wybrała parametry tak, by jawić mu się jako eteryczna istota, co podkreślało jej naturalne piękno.

— Wszystko będzie w porządku — zapewnił ją. — Podzielą nas na dwu- i trzyosobowe zespoły. Ja będę liderem zespołu. Wyobrażasz sobie? Ja jako weteran przestworzy?

— Ale będziesz uważał? — prosiła Antonia. — Chcę, żebyś od mnie wrócił. — Próbowała czule zamruczeć, ale nie udało jej się, bo naprawdę się o niego martwiła, i to go naprawdę poruszyło, bo

stanowiło dowód na to, że zdobył ją nie tylko dzięki swojej pozycji i władzy. Znów pomyślał, że musi być niezwykłą osobą, żeby wywołać takie uczucia u kogoś tak cudownego.

— Nie bój się, *amante* — rzekł. — Odpręż się i oglądaj akcję.

— Pindar. — Spojrzała na niego, jakby chciała wejrzeć w jego duszę. — Naprawdę się nie boisz?

— Nie — odparł. — Wszystko będzie dobrze.

— Będę mogła cię oglądać? — spytała. Miała na myśli transmisję z akcji na ekranach.

— Pewnie tak.

Przechyliła głowę i uśmiechnęła się.

— Ależ będę szczęśliwa, kiedy to się skończy.

Rankiem obudzono ich wcześnie, koło piątej, i zaprowadzono do tej samej jadalni, gdzie podano im lekkie śniadanie. Potem przedstawiono mu jego partnerkę, atrakcyjną brunetkę, która nazywała się Shira DeBecque. On i Shira weszli na pokład wahadłowca lecącego na „Wendy". Po drodze omówili swoje zadania i przybili do statku w dobrych humorach. Tam poznali pilota wahadłowca, który miał z nimi pracować tego ranka, otrzymali plan zadań i zaczęli przygotowywać sprzęt.

Marcel dostrzegł w oczach Alego Hamira wielki niepokój. Ali był głównym technikiem na „Wendy". Pomyślał, że była pewna szansa, by zmienić konfigurację skanerów i zacząć szukać kondensatorów. Niestety, okazało się, że maksymalna rozdzielczość skanerów umożliwia znajdowanie przedmiotów mniej więcej rozmiaru człowieka. Fala porwała i przemieściła miliony kawałków skał i innych odłamków. Nie dało się określić, które akurat mogą być zaginionymi kondensatorami.

Marcel czuł się winny z powodu porażki akcji w wieży. Gdyby nie zaufał prognozom co do chwili nadejścia fali, byłoby dość czasu na zabranie kondensatorów. Powinien był ich pogonić. Powinien był wcześniej kazać im zrobić to, co w końcu zrobili: podzielić się i jak najszybciej pędzić do lądownika. On i Hutch dyskutowali o tym, ale uznali, że niebezpieczeństwo związane z pozostawieniem kogoś jest za duże. Marcel niechętnie się z nią zgodził. Teraz dostrzegł, jak wielki popełnił błąd.

Kilku ludzi Alego siedziało przy ekranach w pokoju operacyjnym, rozpaczliwie przeszukując setki migających wskaźników. Rumowisko w szlamie nowo powstałego morza.

— To beznadziejne — rzekł Beekman.

Moose Trotter, matematyk z Uniwersytetu Toronto, w wieku 106 lat najstarszy uczestnik misji, zawsze bywał niepoprawnym optymistą. Ale teraz nawet Moose wyglądał jak człowiek pogrążony w cierpieniu,

wędrując od stanowiska do stanowiska, zapominając o pracy, jaką miał tu wykonać.

Marcela zapytano, co się stanie, jeśli operacja z kosmiczną windą się nie powiedzie: czy łączność z rozbitkami zostanie przerwana, jeśli warunki się pogorszą. Benny Juarez, bliski przyjaciel Kellie, powiedział, że zapewnienia ofiarom prywatności w ostatnich godzinach ich życia wymaga zwykła przyzwoitość.

Nicholson przyglądał się aktualizacji otrzymanej od swojego inżyniera, gdy odezwała się Mercedes Dellamonica.

— Co masz dla mnie, Meche? — spytał.

— Delegację — odparła. — W tej chwili jest to kilkanaście osób, ale nachodzą następne. Są niezadowolone z akcji ratunkowej.

Lokalizator wskazywał, że rozmówczyni jest na mostku.

— Już idę — rzekł.

Skontaktował się z kuchnią i zamówił solidny transport przekąsek, po czym opuścił centrum operacyjne i wsiadł do windy jadącej na górę. Po drodze ćwiczył sobie, co chce powiedzieć. Liczba rozzłoszczonych pasażerów przeraziła go jednak. A już następni próbowali wcisnąć się do pomieszczenia.

Oficer stała za stołem i próbowała coś powiedzieć do mikrofonu. Wkroczył, podszedł do Mercedes i zwrócił się twarzą do tłumu.

Zgromadzeni mówili coraz głośniej. Nicholson znał wielu z nich. Był prawie idealnym kapitanem statku wycieczkowego. Jedną z jego zalet była umiejętność zapamiętywania nazwisk. Laramie Payton, przedsiębiorca budowlany z północnego zachodu Stanów, zadał Nicholsonowi pytanie, które — jak ten przewidywał — w końcu musiało się pojawić jako pytanie dnia:

— O co chodzi z tym przyspawaniem się do obcego artefaktu?

— Laramie — odparł gładko kapitan — przecież już to wyjaśnialiśmy. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Możecie państwo być pewni, że nie zrobiłbym niczego, co mogłoby zagrozić „Wieczornej Gwieździe". Tak, będziemy połączeni spawem, ale proszę pamiętać, że to wielki statek. Jeśli zajdzie taka potrzeba, możemy odłączyć się od artefaktu tak łatwo, jakbyśmy odłamywali suchą gałązkę. Proszę więc państwa, byście się tym nie martwili.

Hopkin McCullough, brytyjski magnat komunikacyjny, dopytywał się, skąd ta pewność.

— Mówimy o wetknięciu tego czegoś do atmosfery. Skąd mamy wiedzieć, że statek nie spadnie w ślad za artefaktem.

Nicholson uniósł ręce.

— Mamy silniki, Hop. To, że będziemy pomagali w wepchnięciu go, nie ma wpływu na naszą zdolność manewrowania, gdyby zaszła taka konieczność. To nie stanowi problemu. Ktoś jeszcze?

Uspokoił kilka kolejnych osób. Przyniesiono kawę i pączki. Zamieszanie ucichło, a kapitan przechadzał się wśród pasażerów, poklepywał jednych po plecach, plotkował beztrosko z innymi.

— Rozumiem, że pani się martwi, pani Belmont — mówił — ale naprawdę nie ma powodu do zmartwień. Uratujemy jutro tych ludzi i wracamy do domu.

CZĘŚĆ III
WINDA ORBITALNA

XXVI

Niewiele rzeczy jest niemożliwych w sytuacjach, gdy dysponuje się zarówno inteligencją, jak i energią. Przyczyną porażki jest najczęściej nasza gotowość do dochodzenia do wniosku, że czegoś nie da się zrobić. Doskonałym przykładem jest wychodek na zewnątrz — ileż to lat musieliśmy z niego korzystać?

Gregory MacAllister, Notatki z Babilonu

Czas do rozpadu (prognoza): 54 godziny

GORĄCA LINIA Z AUGUSTEM CANYONEM

— Tu August Canyon z orbity Deepsix, gdzie, jak widać, na niebie dominuje planeta Morgana. Właśnie patrzą państwo na tego gazowego giganta, który dziś wieczorem zawiśnie nad największym kontynentem planety, obdarzonym niefortunną nazwą Transitoria, miejscem, gdzie utknęła grupa Gregory'ego MacAllistera.

— Dziś zostanie przeprowadzona akcja ratunkowa ostatniej szansy. Universal News odegra w niej ważną rolę. W tej chwili statek badawczy „Wendy Jay" ustawia się wzdłuż przeciwwagi do windy orbitalnej, którą naukowcy znaleźli kilka dni temu.

— Kapitan Miles Chastain ze statku UNN „Edward J. Zwick" poda nam trochę szczegółów. W tej chwili znajduje się on na pokładzie „Wendy Jay", gdzie doradza zespołowi prowadzącemu akcję ratunkową.

— Kapitanie Chastain, jak to dokładnie ma działać?

Miles właśnie skończył montować lasery na dodatkowych podstawach na kadłubach czterech wahadłowców i przyglądał się rozmieszczeniu floty wahadłowców z punktu widzenia potrzeb całej operacji. Brało w niej udział w sumie siedem pojazdów: trzy z

„Wendy”, dwa z „Gwiazdy” i jeden z każdego z dwóch pozostałych statków. Wskutek tego miał wrażenie, jakby znalazł się w tłumie, kiedy włączył się na kanał Canyona. Udzielił kilku odpowiedzi, które można uznać za powściągliwe, i przeprosił uprzejmie. Canyon jakoś to wygładził, podkreślił, że operacja zbliża się do punktu, w którym wszystko przyspieszy, i nie ma czasu na pogawędki. Wszystko to miało bardzo dramatyczny wydźwięk.

Zasiadając do przestudiowania wymogów misji, Miles przypuszczał, że Canyon się obrazi, a tymczasem reporter wyraził wdzięczność za — jak to ujął — występ Milesa.

— To było świetne — rzekł. — Sam nie napisałbym tego lepiej. — Wyszczerzył zęby. — Miles, jak ci się znudzi pilotaż, to zawsze możesz zostać dziennikarzem.

Wylądowały koło jeziora, nabrały paliwa i popędziły po MacAllistera i Nightingale’a. Spotkanie było ponure. Mężczyźni pocieszali Hutch:

— Dobrze, że spróbowałaś. Zrobiłaś wszystko, co było w twojej mocy. Może z tą windą orbitalną się uda.

Kellie, nietypowo jak na nią, milczała.

Reaktor włączył się, gdy tylko wyłączono silniki, i zaczął ładować różne układy. Mac opadł na fotel i mruknął, że dobrze być znowu w pomieszczeniu.

Ziemia cały czas drżała.

— Po jakimś czasie już się tego nie zauważa.

Szeroki łuk Morgana schował się za drzewami. Wschodnie niebo błyszczało, chmury rozpierzchły się. Wyglądało, jakby zaczynał się słoneczny dzień.

— Co z tą windą orbitalną? To się uda? Kiedy zamierzają zacząć?

Hutch i Kellie otrzymały od Beekmana dalsze szczegóły. Planetolog jednak, jak to ujęła Kellie, nigdy nie nauczył się mówić po angielsku. Opis był zbyt techniczny, nawet dla Hutch. W ogólnym zarysie rozumiała, co zamierzają, ale po prostu nie przypuszczała, żeby *niemożliwium* rzeczywiście miało takie właściwości, jakie mu przypisywano. Z drugiej strony, co innego im zostało?

— Mówią, że pojutrze. Czasu miejscowego.

— Pojutrze? — Mac był przerażony. — Czy tu przypadkiem warunki nie będą zbyt nieciekawe?

— Robią, co mogą. Zabiorą nas z Morza Mglistego. Późnym rankiem.

— Gdzie to jest, u licha? — dopytywał się Mac.

— Morze Mgliste? Na zachodnim wybrzeżu. Punkt spotkania nie będzie daleko stąd.

— Konkrety — domagał się MacAllister. — Czy to się uda?

Na pewno fizycy Beekmana wiedzieli, o co w tym chodzi.

— Tak — powiedziała Hutch. — Łatwe to chyba nie będzie, ale powinno się udać.

— Nie będzie łatwe?

— Chodzi o czas.

— Jakoś nie czuję się pewniej, kiedy używasz słowa „chyba”.

— To wszystko przypuszczenia.

MacAllister miał problemy z opanowaniem głosu.

— Dobrze — rzekł. — Mówimy o przebywaniu tu jeszcze przez parę dni. A co się stanie, jeśli warunki się pogorszą, o czym cały czas mówimy? To znaczy, teraz mamy po prostu kiepską pogodę. A jak będzie jeszcze gorzej? Co się stanie?

— Naprawdę chcesz poznać szczegóły? — spytała Hutch.

— Oczywiście — odparł MacAllister i dodał cicho: — Proszę.

Wszyscy spojrzeli w jej stronę.

— Były już większe trzęsienia ziemi. Najwyraźniej nie w tym regionie. Ale będą. I będą coraz silniejsze. Poza skalą. Kawałki ziemi będą wylatywać w niebo na piętnaście albo dwadzieścia kilometrów. Będzie więcej wybuchów wulkanów. Coraz większe i silniejsze. I gigantyczne burze. — Zamilkła na chwilę, by usłyszeli wycie wiatru. — Przypływ będzie większy niż wczoraj wieczorem. O wiele większy. Musimy znaleźć sobie jakieś wysoko położone miejsce. Za trzy dni, mniej więcej, atmosfera zostanie wyssana. Wtedy nie powinno nas już tu być.

— Dobry pomysł.

— Oceany znikną parę godzin później.

— Zewnętrza skorupa się stopi. O ile mi wiadomo, będzie to skutek przypływów i działalności wulkanów. W tym momencie planeta zacznie się rozpadać naprawdę. Przypuszczają, że będzie to miało miejsce w czwartek o północy albo trochę później czasu statku, co przypadkiem pokrywa się z czasem planety. Jakieś czterdzieści godzin później resztki spadną na Jerry’ego i utoną.

— Mój Boże — rzekł MacAllister. — Musi być jakiś sposób, żeby się wydostać z tego przeklętego miejsca. Jeśli winda orbitalna nie zadziała. Może uda nam się zostać zdmuchniętymi, kiedy ulotni się atmosfera, i stamtąd nas zabiorą.

— Nierealne.

— Jest pewna szansa. — Oczy rozbłysły mu gniewem. — Chcecie tu siedzieć i mówić nam, że to nie zadziała. A co zadziała?

— Nie ma szansy — odparła Kellie. — Nawet jeśli zostaniemy wyrzuceni, zanim się ugotujemy, co nie jest specjalnie prawdopodobne, nie będzie tam nikogo, kto by nas zabrał.

MacAllister oddychał z coraz większym wysiłkiem.

— Dlaczego?

— Bo kolizja spowoduje wygenerowanie ogromnych ilości energii. Całe otoczenie eksploduje jak małe słoneczko, kiedy to się zacznie dziać. Statki będą musiały odlecieć na znaczną odległość.

— A jeśli już o tym mówimy — rzekła Hutch — to trzeba się zbierać w bezpieczniejsze miejsce.

Nie podobały jej się nieustanne drżenia i falowanie gruntu.

MacAllister westchnął. Wyglądało na to, że skończyły mu się pomysły na komentarze.

— Mówiłaś, że ludzie z „Wendy" nadal szukają kondensatorów. Czy to znaczy, że są jakieś szanse na znalezienie ich?

— Jakaś szansa jest — odparła Hutch.

— Może powinniśmy wrócić i sami poszukać — zaproponował Mac. — I tak nie mamy nic lepszego do roboty. — Z jego głosu wynikało, że czuje się oszukany.

— Nasze czujniki nie działają — odparła Hutch.

— Co oznacza — zauważył Nightingale — że możemy najwyżej parę godzin pobrodzić w wodzie po pas. Naprawdę tego chcesz? — Rzucił MacAllisterowi długie spojrzenie, po czym zwrócił się do Hutch: — Do licha, jak to się stało, że się w to wpakowaliśmy?

Zaczęło się wzajemne obrzucanie oskarżeniami. Hutch przypuszczała, że Kellie nie ujawniła szczegółów na temat swojej nieudanej wyprawy, mającej na celu odzyskanie kondensatorów. Wszyscy jednak byli zniechęceni, sfrustrowani, i wszyscy się bali. Na pewno słuchali podczas akcji z kondensatorami i słyszeli błagania Kellie. Hutch wiedziała, jak to musiało brzmieć. Tchórzliwy pilot ucieka w krytycznym momencie.

Nie mogła uniknąć rozważań, że przecież wszystko mogło się potoczyć inaczej. Była to zaledwie kwestia minut. Ile ich zmarnowali w ciągu dziewięciu dni marszu? Gdyby wyruszyli trochę wcześniej któregoś poranka… albo szli trochę dłużej któregoś wieczora… nie zatrzymywali się przy kaplicy… gdyby zostawili Nightingale'a i Maca wcześniej…

MacAllister z ponurą miną wyjrzał przez okno. Potężny strumień przepływał koło nich, wysokie, zielone drzewa, niepodobne do niczego, co znali z Ziemi, lśniły w porannym świetle, a złocisty ptak o skrzydłach w czerwone paski spacerował po skrzydle. Scena była idylliczna.

— Czy na pewno nie możemy tym czymś odlecieć? Przecież nie zaszkodzi spróbować.

— Jesteśmy pewni. Zasadniczo mamy do dyspozycji samolot rakietowy. Rakiety służą do manewrowania w zerowej grawitacji, ale nie mają wystarczającej mocy, żeby wynieść nas na orbitę. Możemy użyć antygrawitacji do zmniejszenia masy, ale tylko trochę. Na parę minut.

— A próbowaliśmy?

— Prawdopodobnie wznieślibyśmy się na dwanaście albo trzynaście tysięcy metrów. Może trochę wyżej. Parę minut moglibyśmy tam powisieć, potem byśmy spadli. A gdybyśmy wyczerpali energię systemu antygrawitacji, nie mielibyśmy jak wylądować.

— A może jeden z tych statków mógłby zlecieć na te dwanaście tysięcy i zabrać nas? — podsunął MacAllister.

— Nie — odparła Kellie. — Statki nadświetlne nie mogą manewrować w atmosferze.

— Wahadłowce też nie?

— Wahadłowce też nie.

— Więc zostaje nam tylko winda orbitalna.

— Nie. — Kellie zapatrzyła się w deszcz. — Hutch ma rację: nie mamy dużych szans na znalezienie kondensatorów. Ale nic się nie stanie, jeśli poszukamy. Może się uda.

Hutch zgodziła się z nią, jako że i tak nie mieli nic lepszego do roboty, a Nightingale zmienił zdanie i uznał, że to może być sensowna propozycja. Hutch uruchomiła silniki i ruszyli.

Przez kilka pierwszych minut lotu siedzieli w milczeniu, jakby cisza mogła zatrzymać czas i odsunąć nadejście końca. Nikt się już nie śmiał.

Opuszczali rejon zatoki, gdy komunikator Hutch zabrzęczał. To Marcel. Przełączyła go na kanał ogólny.

— Trzymacie się jakoś? — Brzmiał nienaturalnie radośnie.

Marcel był sympatycznym facetem i kompetentnym kapitanem, ale Hutch uznała, że jest najgorszym aktorem świata.

MacAllister mruknął coś, czego nie dosłyszała.

— Jakoś sobie radzimy — odparła.

— Mam wiadomość.

— Dla mnie?

— Dla was wszystkich. Tak naprawdę to mam całe mnóstwo wiadomości, tysiące wiadomości. Cały świat wam kibicuje.

— Miło być w centrum uwagi — prychnął MacAllister.

— Oczywiście — mówił dalej Marcel — są sprzed dwóch dni. Ludzie, którzy je wysyłali, nie wiedzieli o… — zamilkł, próbując znaleźć jakieś dyplomatyczne określenie — …o utracie kondensatorów.

— Powiedziałeś, że masz jakąś jedną szczególną wiadomość?

— Tak naprawdę to dwie.

— Przeczytasz?

— Pierwsza jest od Przewodniczącej Komisji Światowej. *Żywimy głęboki podziw dla waszych wysiłków na niwie poszerzania granic ludzkiej*

wiedzy i chęci stawienia czoła niebezpieczeństwom, z jakimi taka eksploracja jest w nieunikniony sposób związana. Cała ludzkość modli się za wasz bezpieczny powrót. Podpisano: Sanjean Romanovska.

— Świetnie — mruknął MacAllister. — Każdy z nas będzie miał pomnik. I nazwą ulice w Aleksandrii naszymi nazwiskami.

— Co jeszcze masz? — spytała Hutch.

— Wiadomość od Gomez. Dla ciebie.

— Dawaj.

— *Priscillo, chyba nie muszę Ci mówić, że tu, w Akademii, cieszymy się, iż Wasza niefortunna przygoda zbliża się do szczęśliwego końca. Bardzo się o Was martwiliśmy.*

— My też się o nas martwiliśmy — wtrącił MacAllister.

— A reszta, Marcelu?

— *Ponieważ teraz niebezpieczeństwo zostało zażegnane, chciałabym, żebyście rzucili okiem na okolice Góry Błękitnej, gdzie znaleziono ruiny podstawy windy orbitalnej. Ma to podstawowe znaczenie dla zdobycia wiedzy na temat tego, co stało się na Deepsix. Skąd się wzięła zaawansowana technika. Wiem, że proszę o wiele, po tym, co przeszliście, ale wiem też, że mogę na Was liczyć.* Podpisano: Irene.

— Irene?

— Tak mam napisane.

Kiedyś, w Akademii, Irene Gomez mogłaby się przewrócić o Hutch na korytarzu nie wiedząc, kim ona jest. Ale ci ludzie po prostu tak się zachowywali.

— Daj nam minutę — powiedziała Hutch Marcelowi i przełączyła go w tryb oczekiwania. — Co o tym sądzicie? — zwróciła się do swoich towarzyszy.

— To nie jest operacja neurochirurgiczna — rzekł MacAllister. — Mamy jedną szansę, żeby wyjść z tego z życiem: znaleźć kondensatory. Może mój głos się nie liczy, ale niespecjalnie mnie obchodzi, co jest na szczycie Góry Błękitnej, i powinniśmy się raczej skupić na tym, żeby się stąd wydostać. Cholera jasna, chcą nas posłać na kolejną poniewierkę, jakbyśmy nie mieli już dość.

— Randy?

Zastanowił się.

— Mac ma chyba rację. Powinniśmy najpierw przeszukać okolice wieży. Jeśli okaże się, że to beznadziejne, to możemy lecieć na Górę Błękitną.

Kellie potrząsnęła głową.

— Nie znoszę takiego negatywnego nastawienia, ale ja tam byłam, przy wieży, i nie sądzę, żebyśmy mieli duże szanse na znalezienie czegokolwiek. Tam przeszły potężne fale. Bóg raczy wiedzieć, gdzie te kondensatory teraz są. Ale z drugiej strony, na szczycie góry na pewno ich nie znajdziemy.

Hutch przełączyła się na kanał Marcela.

— Wracamy poszukać kondensatorów.

— Dobrze. Rozumiem.

— Przekaż Irene wyrazy ubolewania.

Zapadło niezręczne milczenie. Po chwili Marcel znów się odezwał i przypomniał, że wiadomości jest więcej.

— Centrum łączności jest przepełnione życzeniami dla was. Dla wszystkich.

To zrobiło na Hutch wrażenie.

— Przepełnione?

— Napływają tysiące wiadomości. Pewnie byłoby więcej, gdybyśmy mieli większą przepustowość. Mówią nam, że gromadzi się ich więcej na stacji przekaźnikowej. Czasem piszą do was całe klasy szkolne.

— Nie przypuszczam, żebyśmy mieli jakiś sposób wyłowienia tych bardziej osobistych?

— Nie tak łatwo. Nawet po nazwisku nie da się określić z całą pewnością. Mamy szesnaście wiadomości dla ciebie od osób nazwiskiem Hutchins. Osiemnaście dla Randy'ego od rozmaitych Nightingale'ów. Podobnie dla reszty.

— Doskonale — rzekła Hutch. — Dajmy sobie na razie spokój z moimi. Możesz kogoś poprosić, żeby przejrzał wiadomości z pozostałymi? Może pojawią się tam jakieś konkretne nazwiska, na których im zależy. — Podziękowała mu i rozłączyła się. Nightingale patrzył na nią i widziała, że już wyrobił sobie o niej opinię: *W całym twoim życiu nie trafił się nikt, z kim chciałabyś się skontaktować w takiej chwili?*

Z najbliższej rodziny Hutch żyła tylko matka. Stosunki między nimi były napięte, bo Hutch nigdy się nie ustatkowała i nie założyła rodziny. Jak każda normalna młoda kobieta. Hutch oczywiście nie była już młoda, ale ten fakt najwyraźniej umknął jej matce. Lub też wywoływał u niej jeszcze większą panikę. Choć była w szczytowej formie, jak zwykle ludzie w tych czasach przez jakieś pierwsze stulecie, od dawna nie przejawiała już radosnej niewinności, jakiej można by się spodziewać po pannie młodej.

Żyła już wystarczająco długo, żeby wiedzieć, czego chce od życia. Uważała, że tylko wczesne zamążpójście daje jakieś szanse na sukces. Pokrewne dusze muszą rozwijać się razem. Wiedziała, czego oczekuje od mężczyzny, a po prostu nikt taki jej się nie trafił. Choć bywała sama, a czasem samotna, przynajmniej nie była samotna w małżeństwie, a to wydawało jej się najgorszym, co mogłoby ją spotkać. Poza tym lubiła być niezależna.

Matka nigdy tego nie zrozumiała. I nigdy nie chciała zrozumieć.

Hutch siedziała, patrząc na swój notes. W końcu, niechętnie, otworzyła go i wystukała wiadomość:

Mamo!

Wygląda na to, że spędzimy tu jeszcze parę dni. Nie poszło nam tak dobrze, jak przypuszczaliśmy. Ale ciągle jest nadzieja. Zanim dostaniesz tę wiadomość, będziesz wiedzieć, jak to się skończyło.

Zastanawiała się przez chwilę, napisała jeszcze kawałek, przeprosiła za to, że nie była taką córką, jaką matka chciałaby mieć, wyjaśniła, że bardzo lubiła swoje życie i ma nadzieję, że matka zrozumie, iż ona, Priscilla, nie umiałaby inaczej.

Dokonawszy przełomu, napisała jeszcze do paru osób, głównie ludzi związanych z Akademią.

W tej chwili nie wygląda to obiecująco.

To było dobre czasy.

Myślałam o Tobie wczoraj w nocy.

MacAllister spojrzał jej przez ramię i uśmiechnął się.

— Uważaj, Priscillo. Nie pisz nic, czego mogłabyś żałować, jak wrócisz do domu.

Nie była teraz w żadnym związku. Oczywiście przez jej życie przewinęło się kilku mężczyzn. Jeden już nie żył. Reszta żyła w szczęśliwych związkach gdzieś na przedmieściach New Jersey albo na zachodzie.

Siedziała w milczeniu, zastanawiając się, co powiedzieć starym przyjaciołom, i poczuła, że żałuje wielu rzeczy, których nie zrobiła. Dla tylu ludzi nie miała dość czasu. Nigdy nie przeżyła wielkiej miłości. Nie urodziła dziecka.

Teraz, gdy groziło, że jej życie zbliża się do końca, wydało jej się dziwnie niepełne. Słyszała, że kiedy komuś grozi śmierć, nie żałuje on tego, co zrobił, różnych drobnych grzeszków, małych przewinień, nawet rzadkich aktów okrucieństwa. Żałuje się raczej tego, czego się nie zrobiło, przygód, których się nie przeżyło, doświadczeń, których się nie spróbowało, czy to z powodu bezsensownych zasad moralnych, czy też, co bardziej prawdopodobne, nieśmiałości czy strachu przed porażką.

Uśmiechnęła się do siebie. MacAllister powiedział gdzieś:

— …z powodu strachu przed byciem przyłapanym.

XXVII

Niewiele cnót jest naprawdę użytecznych. Wierność wiąże się z utratą okazji, prawdomówność z ranieniem ludzkich uczuć, dobroczynność z byciem nagabywanym. Najmniej produktywną i zapewne najbardziej przecenianą jest wiara. Wierni wyrzekają się rozsądku, bronią się przed rzeczowymi dowodami i zachowują absurdalny optymizm w obliczu porażki. Mają to, na co zasłużyli.

Gregory MacAllister „W drogę” (Wspomnienia)

Czas do rozpadu (prognoza): 45 godzin

Ludzie Janet Hazelhurst zostali przetransportowani na swoje stanowiska i byli gotowi do pracy.

John Drummond zameldował, że jego zespół omówił wszystkie szczegóły dotyczące artefaktu.

— Wszystko opanowali? — dopytywał się Marcel. — Każdy etap?

— Każdy etap.

— A reszta?

Beekman omówił z nim cały plan. Wahadłowce były zatankowane i gotowe. Phil Zossimov pracował zgodnie z planem nad kołnierzem i separatorami. Praca nad tym trwała i zbliżała się do finału. Pojawiły się, oczywiście, pewne problemy, ale przy takiej improwizowanej operacji były nieuniknione.

— Jakieś problemy nie do pokonania?

— Na razie żadnych.

Marcel spał przez kilka godzin i od tygodnia nie czuł się lepiej. Przyglądał się jednak Beekmanowi podejrzliwie.

— Co? — spytał Beekman. — O co chodzi?

— Czekam, aż ty mi powiesz.

— Marcelu, nic złego się nie dzieje. Radzimy sobie świetnie. Lepiej, niż przewidywaliśmy.

Znajdowali się o jakieś dwadzieścia minut lotu od wieży, gdy

Marcel poinformował ich, że ekipa z „Wendy” zrezygnowała z poszukiwania kondensatorów.

— Teraz wszystko zależy od nas — rzekł Mac. — Dobrze, że nie polecieliśmy na Górę Błękitną.

Hutch czuła się trochę lepiej, gdy lecieli, mając pełne zbiorniki paliwa i grunt gdzieś daleko pod sobą. Jej naturalny optymizm znów dochodził do głosu, gdy mogła dodać gazu. Nawet w tych warunkach nie mogła oprzeć się wrażeniu, że kiedy pracują silniki, wszystko jest możliwe. Zadumała się nad tą poprawą nastroju i zwierzyła się z niej Macowi, który zasugerował, że musiało się w niej utrwalić przekonanie, iż świat jest miejscem niezmiennym, a ostatnie wydarzenia ten pogląd podkopały, zaś tu, nad chmurami, życie znów wydawało się nieskończone.

Dzień skończył się prawie natychmiast, gdy wznieśli się w górę. Hutch oddaliła się od burzy i lecieli pod szarym, zasnutym chmurami niebem, pod którym unosił się pył.

— To pewnie z powodu wulkanów — rzekł Nightingale.

Kellie potrząsnęła głową.

— Chyba powiedzieliby nam, gdybyśmy mieli wulkany gdzieś w pobliżu.

Hutch zastanawiała się, czy istotnie by tak było. Marcel może niechętnie przynosiłby im kolejne złe nowiny. Istotnie, to był koszmar dla ludzi na „Wendy”. Nieomal pragnęli, żeby to wszystko się już skończyło.

Od czasu do czasu ktoś się z nimi kontaktował, na przykład Embry, pytając, czy wszyscy czują się dobrze fizycznie i czy może jakoś pomóc. Pewnie powodowało nią poczucie winy.

A Tom Scolari, w którego głosie także pobrzmiewały wyrzuty sumienia, mówił jej, że robią wszystko, żeby ich uratować. Scolari pracował wśród Autsajderów.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział. Jasne. Co on wiedział o lądownikach?

Z Kellie kontaktowali się jej przyjaciele z „Wendy”.

— Chciałabym, żeby dali mi spokój — zwierzyła się. — Mówią mi, żebym się trzymała. Co mam innego robić, u licha?

Mac rozmawiał raz z Nicholsonem, który zapewnił go, że „robią wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby wydobyć ich z tarapatów”. MacAllister podziękował mu uprzejmie i potrząsnął głową.

— Jak tam twoje tarapaty, Hutch? Wiesz, chyba po raz pierwszy usłyszałem żywego człowieka używającego słowa „tarapaty”.

Lądownik leciał aż do rana, dwunastego dnia czasu lokalnego od chwili ich przybycia na Deepsix. Hutch miała teraz wrażenie, jakby ich odlot z „Wildside” miał miejsce w innym życiu.

Czasem chmury zasnuwały niebo i nie wiedzieli nic. Na niebie nie

było innych statków i Hutch była przekonana, że lecą powyżej wszelkich pobliskich szczytów, ale nie znosiła latania na ślepo, przy zerowej widoczności i bez możliwości skorzystania z przyrządów. Była całkowicie zależna od wskazówek z „Wendy" i satelitów. Sprawa była o tyle trudniejsza, że stracili łączność ze statkami na orbicie prawie na sześć minut.

— Interferencja lokalna — powiedziała im osoba na dyżurze, gdy łączność powróciła. — Burze zaczynają wycinać psikusy systemom łączności.

Augie Canyon skontaktował się z nimi, zadał im kilka pytań i przypomniał, że wielu ludzi na Ziemi się za nich modli.

— Czy ktoś z was wierzy w życie po śmierci? — Kellie rozejrzała się po swoich współtowarzyszach.

— Ja — odparł ostrożnym tonem MacAllister.

— Ty?! — Nightingale stłumił uśmiech. — Zrobiłeś karierę, atakując moralistów i reformatorów, Mac. I całe połacie kraju, które twoim zdaniem brały swoich kaznodziejów zbyt poważnie. Co, jak rozumiem, oznaczało, że w ogóle się nimi przejmowały. Co to właściwie za dyskusja? Rozmowa na łożu śmierci?

— Rany. — MacAllister zrobił minę urażonego niewiniątka. — Jestem przerażony i zdegustowany tym, że możesz o mnie tak myśleć. Atakowałem tylko ludzi, którzy udawali, że znają odpowiedzi na wszystkie pytania. Głównie z tego powodu, że byli imbecylami albo szarlatanami. Ale nigdy nie twierdziłem, że życie nie ma wymiaru duchowego.

— Wymiaru duchowego? Naprawdę? — Nightingale uniósł brwi. — Panie, coś ty uczynił Gregory'emu MacAllisterowi?

— Poczekajcie — wtrąciła Kellie. — To dość ogólne stwierdzenie. Uważasz, że dotyczy to wszystkich, którzy wyznają zorganizowaną religię? A brat Dominie?

Tak, pomyślała Hutch. Brat Dominie był współczesnym świętym Franciszkiem, który przez czterdzieści lat pomagał biednym we wschodniej Azji.

— To wspaniały człowiek — zgodził się niechętnie MacAllister. — Muszę to przyznać. Ale system, do którego się ograniczył, zawęził mu perspektywy.

— Mówisz o Kościele?

— Mówię o dowolnym systemie ustanawiającym szereg dogmatów, które należy z góry przyjąć. Wyznawcy tak się zapętlają w swojej pewności, że giną im z oczu ważne rzeczy. Co brat Dominie wie o mechanice kwantowej?

— A co ty wiesz o mechanice kwantowej? — dopytywała się Hutch.

— Niewiele, przyznaję. Ale nie udaję, że jestem pobożny.

— Nie nadążam — rzekł Nightingale. — Wytłumaczysz mi, gdzie tu związek?

— Randy, nie zastanawia cię, że każdy, kogo naprawdę interesuje stwórca, jeśli rzeczywiście jest jakiś stwórca, albo stwórczym, chce poświęcić trochę czasu na przyjrzenie się jego dziełom? Albo jej dziełom? — Uśmiechnął się dobrotliwie do Hutch. — Nie sądzisz, że stwórca byłby trochę dotknięty na widok kogoś, kto spędza życie na podziwianiu architektury sakralnej, a nie obchodzą go gwiazdy?

— Ludzie, który demonstracyjnie wyznają jakąś religię, dużo mówią o chodzeniu do szkółki niedzielnej, czytaniu Biblii i czynieniu dobra. Nie ma w tym nic złego. Ale gdybym zadał sobie trud złożenia tego wszystkiego w całość — uniósł ręce w kierunki nieskończoności — a ludzie nigdy nie zwróciliby na to uwagi, nigdy nie przyszłoby im do głowy, żeby zbadać, jak działa świat, to trochę bym się wkurzył.

— To cieszę się, że nie ty rządzisz światem — rzekła Kellie.

— Na pewno zaobserwowalibyście o wiele więcej działań bezpośrednich — zgodził się MacAllister.

— A zatem — wtrącił Nightingale, który najwyraźniej nie chciał odpuścić — wielki ateista broni teologii.

MacAllister wzruszył ramionami.

— Nie teologii. Wiary.

Ta rozmowa przypomniała Hutch — jakby rzeczywiście ktoś musiał jej o tym przypominać — jak bardzo się boi. Martwiła się, jak zareaguje, jeśli plan ratunku się nie powiedzie.

Nightingale przyjrzał się jej uważnie i miała wrażenie, że jakieś mroczne spojrzenie wdziera się do jej duszy. Sięgnął i dotknął jej dłoni.

— Nie martw się — powiedział. — Wszystko jedno, co się stanie. Stanie się z nami wszystkimi.

NOTATKI RANDALLA NIGHTINGALE'A

Jak dobrze być w lądowniku. Choć nie może on nas stąd zabrać, przynajmniej mamy jakieś poczucie kontroli nad tym, co się dzieje. Nie mogę tego wyjaśnić, ale konieczność szwendania się po lesie przez parę dni wywołuje u mnie uczucie całkowitej bezradności. Może nie nastąpiła jakaś znacząca zmiana sytuacji, ale miło jest móc wystartować i spojrzeć na to wszystko z góry. Dzięki temu znów czuję się człowiekiem.

Z drugiej strony, może to skutek braku zagrożenia ze strony miejscowej fauny.

5 grudnia albo coś koło tego

Dzięki wytycznym z „Wendy” Hutch wylądowała na wyspie, by poczekać, aż cofnie się południowy przypływ. Znajdowali się jakieś piętnaście kilometrów na zachód od wieży.

— Jak długo tu będziemy? — spytał Mac.

— Rozsiądźcie się wygodnie — odparła. — To potrwa parę godzin.

— To okropna strata czasu, Hutch. Dlaczego po prostu nie polecimy i nie zabierzemy się do roboty?

— Bo zostalibyśmy spłukani przez falę. Cierpliwości.

Wyjrzał przez iluminator i zapatrzył się na olbrzymie morze wewnętrzne.

— Cierpliwość wymaga czasu, Priscillo.

— Guntherze — Janet była niezadowolona. — Właśnie zadano mi pytanie, na które nie znam odpowiedzi.

— Słucham.

— Wszystkie walce wyglądają tak samo. Nasze ekipy rozstawiły się na odcinku 420 kilometrów, co osiem kilometrów.

— Tam, gdzie są klamry — odparł Beekman.

— Właśnie. I zamierzamy odczepić jeden wał i asteroidę od reszty konstrukcji.

— Tak. W czym problem?

— Żeby to zrobić, musimy odciąć walec od klamer. Mamy pięć klamer, plus konstrukcja, gdzie artefakt łączy się z asteroidą, czyli ta płyta. Moje pytanie brzmi: nie chcemy wycinać środkowego walca, bo to za dużo cięcia i manipulowania. Poza tym najłatwiej jest wyciąć i wyjąć jeden z zewnętrznych walców.

— No i?

— Jak się upewnić, że ekipy wycinają ten sam walec? To jest strasznie długie. Wszystkie walce są identyczne. Nie ma sposobu, żeby je odróżnić.

— Ach. — Beekman najwyraźniej też o tym nie pomyślał. — Pewnie możemy wysłać wahadłowiec i jakoś go oznaczyć.

— Chcesz czekać, aż wahadłowiec namaluje na jednym z nich pasek farbą? To zajmie bardzo dużo czasu. A czasu nie mamy. Takiej farby pewnie też nie.

Beekman zmarszczył brwi.

— A może młotek?

— I co mielibyśmy zrobić z tym młotkiem?

— Uderzać nim w walec. Każdy zespół dostanie młotek lekarski. Wibracje powinny się przenieść na odległość ośmiu kilometrów.

Skrzywił się, dając jej do zrozumienia, że pomysł niespecjalnie mu się podoba.

— Nie znam się na akustyce — rzekł — ale walce są połączone

klamrami, więc wszystkie będą wibrować. Amplituda będzie pewnie inna, ale jakoś nie ufam takiemu rozwiązaniu.

— Co w takim razie?

Wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze. Kilku członków jej zespołu czekało poniżej, w miejscu, które nazwali Pokładem A — jak Autsajderzy.

— Zaraz do ciebie wrócę.

Wrócił po kilku minutach.

— Dobrze — rzekł. Na jednym z ekranów pojawiło się zbliżenie artefaktu. — Walce są równo rozmieszczone. Osiem na skraju. Sześć w kręgu wewnętrznym. Jeden w środku.

Detal na zbliżeniu zaczął się obracać.

— Jeśli spojrzysz prosto, zobaczysz, że jest tylko jedna pozycja, w której pięć walców znajduje się w jednej linii. Użyjemy jednego z walców zewnętrznych w tej pozycji.

— Którego?

— To dość łatwe. Jeden koniec artefaktu jest wycelowany dokładnie w Deepsix. Ktoś musi stanąć na górze artefaktu. Walec na górze, który pasuje, będzie walcem alfa. Tym, którego użyjemy.

— A jak określimy górę artefaktu?

— To proste. Policzymy w stosunku do planety. Biegun północny to góra.

— I jesteś pewien, że każdy będzie w stanie znaleźć biegun północny?

— Nie będą musieli. Powiemy pilotowi, żeby tak ustawił wahadłowiec, że biegun północny będzie na górze. — Zmarszczył brwi. — Nie widzę powodu, dla którego miałoby to nie zadziałać.

— To dobry pomysł, Guntherze — rzekła.

Roześmiał się.

— I za to mi płacą tyle pieniędzy. — Zastanawiał się przez sekundę. — Tylko trzeba wszystko tak urządzić, żeby wszystkie ekipy wybrały walec w tym samym momencie. Nie zapominaj, że one się poruszają.

Beekman właśnie skończył objaśniać swój pomysł Marcelowi, kiedy ekran zapłonął światłem. To Mark Bentley, kolega-planetolog, którego specjalnością były jądra gazowych gigantów. Obecnie był dyrektorem obserwatorium w bazie księżycowej Farside. Był też wieloletnim przyjacielem Beekmana. W wolnym czasie bawił się w aktorstwo i odnosił na tym polu niemałe sukcesy.

Nie miał zadowolonej miny.

— Nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiał, Guntherze — rzekł — ale marnujemy wszystko, po co przylecieliśmy.

Beekman zdawał sobie z tego sprawę. Większości doświadczeń w

ogóle nie zaczęto prowadzić. Specjaliści zostali oderwani od swoich zadań i oddelegowani do akcji ratunkowej. A co gorsza, „Wendy" znajdowała się po niewłaściwej stronie Deepsix i to, co się działo na planecie, można było obserwować tylko za pośrednictwem satelitów. Misja okazała się fiaskiem.

— Wiem — odparł. — A co miałbym zrobić, twoim zdaniem?

— Odwołaj to.

Beekman doznał szoku.

— Co?

— Gunny, chciałbym, żeby ci ludzie wrócili, tak samo, jak ty tego chcesz. Ale pomysł z windą nie ma dużych szans powodzenia. — Milczał przez chwilę, najwyraźniej zastanawiając się, jak obronić coś, czego obronić się nie da. — Mogę być z tobą szczery?

— Zawsze jesteś.

— Szansa oglądania takiego zdarzenia jest tak cenna, że nie możemy jej zaprzepaścić. Gunny, prawda jest taka, że to jest warte więcej niż życie paru osób, jeśli zajdzie taka konieczność.

Beekmana zaskoczyła jego własna reakcja: Bentley prawdopodobnie miał rację. Z jednego punktu widzenia.

— Daj sobie z tym spokój — mówił dalej. — Wiesz, co się stanie: coś pójdzie nie tak, jak powinno, cała operacja się nie powiedzie, oni i tak zginą, a my wyjdziemy na idiotów, bo przelecieliśmy taki kawał drogi i wracamy z pustymi rękami.

— Mark, ale co ja mam zrobić? Przecież nie mogę po prostu spisać ich na straty.

Bentley milczał przez długą chwilę. Wiedział. Rozumiał, że to nie jest łatwa decyzja.

— Moim zdaniem oni już są spisani na straty. Przez zbieg okoliczności. Ktoś wreszcie musi to powiedzieć Marcelowi.

Beekman poczuł, jak wzbiera w nim straszliwa słabość.

— Gunny, nie jestem jedyną osobą, która jest o tym przekonana. Nie chodzi tylko o mnie. — Mark rozłożył ręce.

— Posłuchaj, gdyby była jakaś realna szansa wydostania ich, byłbym za tym, żeby kontynuować. Ale nie ma realnej szansy. To tylko gest. I to wszystko. Robimy to, żeby Clairveau, kiedy wrócimy, mógł powiedzieć, że zrobił wszystko, co w jego mocy. A ty wiesz równie dobrze jak ja, że to nie może się udać.

— A ja sądzę, że może.

Bentley mówił dalej, jakby tego nie usłyszał.

— Taka okazja już się nie trafi. Nie tylko w naszym życiu. Ale może w ogóle w historii naszego gatunku.

Beekman nie wiedział, co należy zrobić.

— Jak u licha wytłumaczysz to, kiedy wrócisz na Ziemię? — dopytywał się Bentley. — Nie uratowaliśmy ich i nie widzieliśmy

kolizji. Byliśmy tam, ale byliśmy zajęci czymś innym.

Beekman zastanawiał się, jak w takich sytuacjach wygląda dowodzenie na „Wendy". Był dyrektorem projektu, którego zadaniem było postaranie się, by w jak największym stopniu wykorzystać czas i środki na rejestrację i badanie zjawiska. Marcel był dyrektorem statku.

— Porozmawiaj z nim. Clairveau cię wysłucha.

XXVIII

Jestem zawsze zainteresowany, kiedy jakiś duży projekt zostaje z powodzeniem ukończony. Z moich doświadczeń wynika, że w dowolnej organizacji liczącej więcej niż dwadzieścia dwie osoby nie można znaleźć ani jednej, która naprawdę wie, co się dzieje.

Gregory MacAllister, Odejść w glorii

Czas do rozpadu (prognoza): 44 godziny

Pindar i Shira weszli na pokład wahadłowca i patrzyli, jak otwierają się wrota startowe. Na zewnątrz, kilkaset metrów od nich, widać było artefakt. Wyglądał jak grupa niepołączonych wąskich rurek, idealnie równoległych, w idealnym stanie, rozciągających się w obu kierunkach.

— No to jazda — oznajmił pilot.

Wyśliznęli się cicho i ku zachwytowi Pindara opuścili luk prosto w ciemność, mijając boczne grodzie.

Na naszywce nad kieszenią pilota widniało nazwisko „Bomar".

— Klaus — przedstawił się oschle.

Zachowywał się, jakby sama ich obecność mu przeszkadzała. Był niski, mocno zbudowany i mówił z kanadyjskim akcentem. Pindar pomyślał, że to człowiek, który nie umie się dobrze bawić.

W rzeczywistości jednak nie zwracał specjalnej uwagi na pilota. Jego wzrok przyciągał obcy artefakt, równoległe rury rozciągające się ku nieskończoności, znikające na tle gwiazd.

Za nimi zaczął się przemieszczać luksusowy liniowiec. Przyspieszył, odpłynął, a jego potężne cielsko skurczyło się i znikło. Pindar wiedział, że leci w stronę asteroidy. Bomar ruszył w stronę artefaktu, zawrócił z boku, zahamował i zastopował.

— OK — oznajmił. — Jesteście na miejscu.

Co za ekscytujący moment. Pindar uruchomił e-skafander i Bomar sprawdził go, wyregulował coś na plecaku i spojrzał na Shirę.

— Wygląda dobrze — oznajmił.

— Nie dostaniemy plecaków odrzutowych? — spytała Shira,

zezując w kierunku uprzęży z silnikami odrzutowymi, wiszącej w szafce.

— Nie. — Na ponurej twarzy Bomara pojawiło się rozbawienie. — Nie potrzeba wam. Macie zrobić swoje i nie odpaść od artefaktu.

— Dobrze — odparł Pindar, jakoś ciszej niż zwykle.

Bomar otworzył wewnętrzny właz.

— Cały czas, jak będziecie na artefakcie, trzymajcie jedną stopę płasko na metalu, dobrze?

— Tak jest — rzekła Shira.

— Nie ma powodów do zadowolenia. I proszę, żadnych głupich wyskoków. Nie chce mi się wypełniać setek papierków. — Wypuścił powietrze i spojrzał na nich z miną człowieka, który nie lubi zajmować się amatorami. — Zostawiliście namiary na kogoś z rodziny?

Takie pytanie było w jednym z formularzy.

— Tak — potwierdziła Shira.

— No to nie zapominajcie o nich, jak będziecie na zewnątrz. A teraz jazda.

Shira i Pindar przemieścili się na Stanowisko Pierwsze. Nie było tam klamry; nie było niczego, co utrzymywałoby artefakt w całości. Znajdowali się 320 kilometrów od asteroidy, skały, która służyła jako przeciwwaga dla stacji kosmicznej — jeśli taka kiedyś była tam przyczepiona. Ich zadanie polegało po prostu na tym, żeby wejść na artefakt, znaleźć właściwy walec i oznaczyć go.

Shira nie była klasyczną pięknością. Miała trochę za duże uszy, trochę za długi nos, a e-skafander dodatkowo ją oszpecał, przyciskając jej bujne, brązowe włosy do głowy. Była opanowana, metodyczna i często śmiała się z samej siebie. A co najbardziej urocze, nie wykazywała w ogóle strachu przed wyjściem na zewnątrz.

— Jazda, Pindar — oznajmiła, biorąc plecak i przerzucając go przez ramię. Ruszyła pierwsza przez śluzę, a kiedy zamknął się wewnętrzny właz, odwróciła się w jego stronę:

— Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę — rzekła.

Pindar próbował nie wytrzeszczać oczu. Czuł to samo, ale nigdy nie zmusiłby się, żeby wypowiedzieć to głośno.

— Byłeś już kiedyś na zewnątrz? — spytała.

— Nie. Wczoraj wyszedłem po raz pierwszy.

Miał na myśli wczorajszy trening. Przedtem okazja pojawiła się tylko raz. Mógł włożyć e-skafander i postać sobie na kadłubie lecącego statku podczas wycieczki, ale spędził wieczór na grze w pokera.

Artefakt wypełniał cały monitor, a jego prędkość względna wynosiła zero. Bomar dostosował kurs, prędkość i kąt.

— Otwieram właz.

Właz otworzył się do góry. Shira miała na sobie szorty i białą bluzkę z obszytymi złotem kieszeniami na piersi. Wyglądała, jakby szła pograć w tenisa.

Przyłapała go na przyglądaniu się.

— Śmiejesz się ze mnie.

Spojrzał na własny strój: brązowe spodnie i czarny pulower. Pożałował, że nie pomyślał o zabraniu ubrania roboczego, czegoś, czego nie będzie mu szkoda zniszczyć. „Gwiazda" oferowała ochotnikom kombinezony, ale nie udało mu się znaleźć żadnego, w którym czułby się wygodnie.

— Chyba jesteśmy trochę za dobrze ubrani jak na to wyjście.

Artefakt był blisko, prawie na wyciągnięcie ręki.

Shira minęła Pindara, podeszła do brzegu włazu i po prostu poszybowała w stronę artefaktu, jak ją nauczono. Żadnych skoków, żadnych gwałtownych ruchów. Złapała się najbliższego walca, posłała mu uśmiech i przyczepiła magnetyczne buty do walca poniżej.

Pindar poszybował za nią, myśląc, że to pierwszy obcy artefakt, jakiego dotknie w życiu, i że będzie o tym opowiadał wnukom za pół wieku. To była wielka chwila i przeżywał ją.

Złapał walec Shiry i przyczepił buty.

— W porządku, Klaus — zwrócił się do pilota. — Dotarliśmy.

— Dziwne uczucie — zauważyła Shira.

Obejrzał się i zobaczył Morgana, potężny, kobaltowy łuk rozcięły na pół przez promienie słońca. Choć planeta znajdowała się w znacznej odległości, nieomal czuł jej wagę. Masę, przypomniał sobie. Używaj właściwej terminologii.

Deepsix, unosząca się dokładnie na linii będącej przedłużeniem artefaktu, była biało-niebieska i bezbronna. Przekąska, pomyślał. Mały kęs dla zbliżającego się potwora.

Shira dotknęła jego ramienia.

— Znajdźmy nasz walec.

Wahadłowiec przesunął się wzdłuż artefaktu.

Używając statku jako punktu odniesienia, wspięli się na artefakt. Shira prowadziła. Po dwóch krokach zatrzymała się, spojrzała w dół na walce, potrząsnęła głową i ruszyła dalej. Trzeci walec okazał się właściwym.

— Dobrze — rzekła, cofając się, by lepiej widzieć. — To jest ten. Bez dwóch zdań.

Pindar dołączył do niej i zobaczył, że cztery walce znajdują się w jednej linii z tym, na którym stał. Wyciągnął pistolet i trysnął żółtą farbą na metal.

— Nadaję ci nazwę „Alfa".

— Jesteście pewni? — spytał Bomar.

— Oczywiście — w głosie Shiry słychać było rozdrażnienie.

Beekman nie był w stanie podjąć decyzji. Stał obok Marcela, nie wiedząc, czy powinien domagać się wstrzymania tej bezsensownej akcji i zajęcia się zadaniami, które mieli tu wykonać, czy poinformować go, że są ludzie niezadowoleni z tego obrotu sprawy, ale nie powinien się martwić, bo Beekman to załatwi, tyle że kapitan powinien się przygotować na skargi.

Godziny mijały, a szanse były coraz mniejsze. Bentley i kilka innych osób przyglądali im się, czekając, co postanowią.

Głos Lori w regularnych odstępach czasu informował o tym, co się dzieje u poszczególnych ekip. Poza tym przełączono na głośnik rozmowy z kabiny lądownika. SI zameldowała, że wszystkie stanowiska na walcu oznaczonym jako Alfa zostały z powodzeniem oznaczone.

Marcel spojrzał na niego.

— Na razie wszystko gra.

— Tak. — Beekman spojrzał mu prosto w oczy. — Ale nie wygląda na to, żeby rozbitkowie pokładali dużą ufność w naszych działaniach.

— Ja chyba nawet tak wolę — rzekł Marcel, spoglądając na techników. — To dodatkowa zachęta. Chyba wszyscy chcieliby, żeby się okazało, że nie mają racji.

Może nie wszyscy, pomyślał Beekman. Marcel spojrzał mu w oczy i zmarszczył czoło.

— O co chodzi, Gunny?

— O nic — odparł. — Nic pilnego.

Canyon rozpoznawał sytuację, w której ważną rolę odgrywały uczucia, kiedy zobaczył jakąś na własne oczy. Rozbitkowie nadal tkwili na wyspie. Czas mijał. Czekali, aż woda opadnie, żeby zacząć prawie beznadziejne poszukiwania zaginionych kondensatorów.

Nie chcieli z nim rozmawiać. Bez względu na to, jak łagodnie próbował ich zagadywać, nie chcieli odpowiadać na pytania w stylu: „Co czujecie, pamiętając, że tylu ludzi trzyma za was kciuki?” i „Gdybyście mogli cofnąć czas, co zrobilibyście inaczej?”

— Nikt nie chciałby być nieuprzejmy — wyjaśniła mu Hutch — ale to nie jest dobry moment na wywiad.

— Dobrze — zgodził się. — Wiem, co czujecie. Ale gdybyś zmieniła zdanie, gdyby ktokolwiek zmienił zdanie, to dajcie znać, dobrze?

Było mu przykro z powodu ich sytuacji. I pomógłby, gdyby tylko potrafił. Siedząc w milczeniu, patrząc na obraz zbliżającego się giganta na ekranach, patrząc na olbrzymie morze otaczające wieżę, rozumiał ich frustrację. Nieomal zaczął żałować, że nie postąpił

zgodnie z radą ojca i nie został inżynierem.

Uznał, że spróbuje jeszcze raz, kiedy będzie bliżej końca. Jego szefowie nalegali, żeby przeprowadził — jak to określali — ostatni wywiad z MacAllisterem. „W końcu jego wszyscy znają". Canyon wolał jednak w tym przypadku zaufać własnym instynktom. Dwie kobiety prawdopodobnie wzbudzą w widzach całego świata więcej uczuć. Zwłaszcza Hutch. Smukła, spokojna, przypominająca elfa, idealna dziewczyna z sąsiedztwa. Canyon wiedział, że jeśli ona zgodzi się na rozmowę w tych ostatnich godzinach, zafundują publice wstrząs emocjonalny, jakiego ta nigdy dotąd nie doświadczyła. A jeśli Hutch nie będzie chętna do współpracy, zostaje jeszcze Kellie.

Co do pozostałych, Nightingale'a nie lubił, a MacAllistera się bał. Z takim to nigdy nie wiadomo, co powie.

Hutch próbowała wylądować przy wieży, ale jej wysiłki okazały się daremne: woda była za głęboka. Zawróciła i wylądowała na pobliskim wzgórzu, gdzie czekali przez kolejne czterdzieści pięć minut, patrząc, jak woda cofa się na północny wschód.

Za drugim razem się udało. Wylądowała i wskoczyli do wody sięgającej pasa. Najpierw obejrzeli dokładnie wieżę, upewniając się, że kondensatory gdzieś tam nie leżą, przeoczone przez Kellie i Hutch podczas pierwszych poszukiwań.

Potem, brodząc w wodzie, powędrowali na południe. Podzielili teren na sektory i każdy przeszukiwał przydzielony mu obszar, próbując robić to metodycznie. *Zostaniemy po tej stronie linii wytyczonej od wieży do tamtego drzewa.* Może nie był to bardzo skuteczny sposób, ale jakoś działał. Problem polegał na tym, że teren do przeszukiwania był olbrzymi.

Nightingale i Mac starali się podtrzymywać przekonanie, że kondensatory da się znaleźć, pewnie dlatego, że ich zdaniem była to jedyna realna szansa ocalenia.

Teren nie był wcale taki płaski, na jaki wyglądał. Woda nie miała jednolitej głębokości, w niektórych miejscach sięgała im do kostek, w innych nieomal ich zakrywała. Prąd był silny i w głębszych miejscach musieli z nim walczyć, żeby utrzymać się na nogach. Hutch od początku nie miała złudzeń co do ich szans. Gdyby to od niej zależało, postawiłaby wszystko na windę orbitalną, poleciała na Górę Błękitną i spędziła resztę czasu na badaniu sześciokątnej budowli. Ale była zmęczona, nie miała ochoty kłócić się z dwoma mężczyznami, którzy już teraz byli przekonani, że zawiodła, gdy jeszcze była szansa.

Przypuszczała, że Nightingale i Mac poddadzą się szybko, bo poszukiwania były bardzo męczące. A teren do przeszukania duży. Tymczasem mijały godziny, a ich determinacja — czy może desperacja, trudno było powiedzieć — tylko rosła. Oddalali się coraz

bardziej od wieży.

Kellie, która pracowała w parze z Nightingale'em, najwyraźniej się poddała. Trzymała się blisko swego partnera, pracowała ciężko, raz za razem zanurzała ręce pod powierzchnię wody, żeby zbadać kolejną skałę. Hutch widziała jednak, że Kellie straciła nadzieję na sukces; dostrzegała to w wyrazie jej twarzy, gdy ta przerywała na chwilę pracę, by odpocząć i spojrzeć na ogrom płynącej wody, czasem patrząc na północ i niewątpliwie zastanawiając się, czy kondensatory nie mogły zostać zmyte na drugą stronę wieży. Albo pięćdziesiąt kilometrów od nich. Słyszała także apatię w jej głosie. I któż mógłby ją za to winić?

W pewnej chwili wydawało im się, że jeden znaleźli, ale okazało się, że to coś w rodzaju skorupy żółwia.

Kiedy się ściemniło, zaprzestali poszukiwań. Byli wyczerpani, rozdrażnieni, sfrustrowani. Wszystko ich bolało od walki z prądem i nieustannego schylania się. Trudno było im się poddać, skoro przypuszczali, że kondensatory mogą leżeć kilka metrów od nich. W końcu jednak wpełzli z powrotem do lądownika, udali się do kabiny, po kolei skorzystali z łazienki i opadli na fotele.

Woda znów zaczęła się unosić. Hutch wystartowała.

— Mogę coś zaproponować? — odezwał się Marcel.

— Słucham.

— Przede wszystkim, czy dobrze mi się wydaje, że przestaliście szukać kondensatorów?

Hutch rozejrzała się dookoła. Wszyscy kiwali głowami.

— Dobrze. Chcę, żebyście w ciągu nocy przemieścili się w jakieś wysoko położone miejsce.

— Dobrze.

— A że na razie i tak nie macie nic do roboty, chciałbym was namówić na przemieszczenie się w jedno miejsce, które jest naprawdę wysoko.

— Góra Błękitna — rzekła Hutch.

XXIX

Wszyscy jesteśmy dotknięci syndromem samotnego strzelca: żywimy przekonanie, że istnieje zamaskowany nieznajomy, który zjawia się uzbrojony o świcie i rozwiązuje problem w najprostszy i bezpośredni sposób. Ta postać, która korzeniami sięga dwudziestego wieku, zawdzięcza swoją długowieczność temu, że łączy w sobie nasze najbardziej pierwotne impulsy i stanowi to, czym naprawdę chcielibyśmy być, gdybyśmy mogli. To, że nie możemy, wynika nie tylko z naszego braku odwagi czy zdolności, lecz także z tego, że świat po prostu nie jest tak skonstruowany. Kiedy robi się ciemno i nadciąga burza, lepiej nastawić się na to, że będziemy zdani wyłącznie na siebie. Jest bowiem absolutnie pewne, że nikt się nie zjawi, w masce czy bez.

Gregory MacAllister, wstęp do Ostatniej mitologii Eve Shiu-Chao

Czas do rozpadu (prognoza): 42 godziny

Na noc wylądowali na szczycie, wśród szalejącej zamieci, niedaleko Zatoki Złych Wieści. Ziemia trzęsła się przez cały czas. Hutch próbowała spać, ale ciągle się budziła. Ona i Kellie wolały nasłuchiwać z nadzieją doniesień małej armady w górze.

Słyszały, jak Janet Hazelhurst wydaje precyzyjne polecenia Autsajderom, którzy właśnie przygotowywali się do wycięcia z artefaktu elementu zwanego walcem Alfa; słyszały, jak zespół Johna Drummonda pracuje nad ustawieniem wszystkiego we właściwym kierunku. Słyszały też Abla Kindera debatującego z Drummondem nad wyborem miejsca, z którego mieliby ich zabrać.

— Łatwiej się tam dostać, ale pogoda jest gorsza, więc musimy się

przemieścić dalej na północ.

Słyszały, jak Miles Chastain i piloci wahadłowców dzielą się zadaniami. Nad ranem zgłosił się Marcel, żeby przekazać im szczegóły, współrzędne i czas akcji ratunkowej.

— Przesunęliśmy go trochę, ale niedużo.

Spotkanie miało nastąpić dokładnie za dwadzieścia pięć godzin i jedenaście minut. Trzy godziny po wschodzie słońca, pojutrze. Na wysokości 10276 metrów.

— Dziesięć tysięcy dwieście siedemdziesiąt sześć? — spytała Hutch. — A co będzie, jak uda nam się dolecieć tylko na siedemdziesiąt pięć?

Zaśmiał się.

— Wszystko będzie dobrze, ale jeśli chodzi o tę precyzję, to mówię całkiem poważnie. Sądzimy, że w najniższym punkcie otwór naszej chochli znajdzie się na wysokości siedemdziesięciu sześciu metrów. Otwór będzie miał pięćdziesiąt trzy metry średnicy. Lądownik ma jakieś piętnaście metrów w najszerszym miejscu. To znaczy, że z każdej strony macie dziewiętnaście metrów luzu.

— Dobrze. Będziemy w stanie to zrobić. A ile czasu będziemy mieli?

— Zaledwie parę sekund. Wyliczyliśmy to bardzo dokładnie, więc wszystko musi znaleźć się na właściwym miejscu dokładnie wtedy, gdy powinno się znaleźć. Ale to będzie moment. Macie jedną szansę. Winda wchodzi w atmosferę, schodzi na dół, rusza z powrotem. I koniec.

— Dobrze.

— Będę z wami przez cały czas. A gdyby nawet nie, poradzicie sobie.

— Miło mi to słyszeć, już zaczynałam się martwić. A dlaczego miałoby cię nie być?

— Istnieje możliwość, że stracimy łączność, jeśli pogorszą się warunki pogodowe. Ale macie wszystkie szczegóły i bedziecie w stanie dostrzec zbliżającą się sieć. Dobrze?

— Dobrze. W porządku.

Słuchali, jak Beekman i jego ekipa opracowują metodę przerobienia metalowej sieci, w której tkwiła asteroida, na sieć, która ma być użyta do wyłowienia lądownika. W locie. I wysłuchali nagrania ze spotkania z ochotnikami, którzy nazywali się Autsajderami. Marcel najwyraźniej uważał, że entuzjazm ratowników pomoże utrzymać ducha bojowego w rozbitkach. Tak też istotnie było.

Marcel wyjaśnił, że większość ochotników to pasażerowie statku wycieczkowego. Kilku było kolegami Kellie z „Wendy". Był tam też pasażer Hutch, Tom Scolari. („Mówisz serio?" spytała). Prawie nikt z nich nie był dotąd na zewnątrz.

Hutch była zaskoczona, widząc, jak Kellie ukradkiem wyciera łzę.

— Oni się naprawdę starają — skomentowała.

Niektórzy z Autsajderów pracujących przy artefakcie dowiedzieli się, że rozbitkowie nasłuchują.

— Lecimy po was — mówili. — Trzymajcie się. Nie martwcie się. Wyciągniemy was z tego.

Na zewnątrz wiatr nadał wył i padał śnieg. Mimo tych wszystkich rozmów ratunek wydawał się nierealny.

Obudzili się późnym rankiem. Niebo było czyste. Zamieć uciszyła się i gruba warstwa śniegu lśniła w słońcu. Zjedli ostatnie owoce, które już zmieniły się w prawie pozbawioną smaku maź w twardej skorupie. Porozmawiali o tym, jak dobrze byłoby zjeść prawdziwe śniadanie, i zgodzili się, że czas rzucić okiem na Górę Błękitną. Tak czy inaczej, to miał być ich ostatni cały dzień na Deepsix.

— Jak wygląda szczyt tej góry? — zwróciła się do Marcela Hutch. — Co powinniśmy o tym wiedzieć?

— Właściwie już wiecie, że samego szczytu nie ma. Został odcięty. Jest tam zupełnie płasko. Wygląda to, jakby ktoś po prostu skosił czubek. Ale go nie widać, bo zawsze jest w chmurach.

— Budynek jest na szczycie?

— Tak. To ruina. Ma siedem pięter wysokości. Z czaszami. To prawdopodobnie kolektory słoneczne, choć Bóg raczy wiedzieć, czy na tej wysokości udałoby się gromadzić jakąś energię.

— Może kiedyś były gdzie indziej — podsunął Nightingale.

— Może. Tak czy inaczej, to jest wielkie. Budynek jest sześciokątny, jeden bok ma jakieś dwieście metrów. I powinienem dodać, że wszyscy są przekonani, iż to była podstawa windy orbitalnej.

— Dlaczego? — spytał MacAllister.

— Bo jest dokładnie na równiku. A w morzu na zachód od niego jest pełno gruzu.

— Winda — rzekła Hutch.

— Tak. Wygląda na to, że winda albo się rozleciała, albo została celowo przecięta. Przypuszczamy, że pęknięcie nastąpiło na wysokości około jedenastu tysięcy metrów. Górna część odleciała w kosmos, dolna odłamała się od podstawy i spadła do oceanu.

— Jest tam gdzie wylądować?

— Oczywiście. Nie powinno być problemu.

Cóż, miło było słyszeć, że przynajmniej z jedną rzeczą nie będzie problemu.

— Dobrze — odparła Hutch. — Zrobimy to, Marcelu. Ale najpierw musimy zdobyć jakieś jedzenie i zatankować. Jaka tam jest widoczność?

— Zero.

— Oczywiście. Pamiętaj, że nie mamy czujników. Jak ja mam wylądować, skoro nic nie widać?

— Naprowadzę cię.

— Nie mogę uwierzyć, że się na to zgodziłaś — rzekł MacAllister, gdy ustaliła położenie dzięki danym ze statku i obrała nowy kurs.

Nightingale odchrząknął.

— Po to tu jesteśmy — rzekł. — Jeśli nie znajdziemy odpowiedzi, nigdy się nie dowiemy, jak to się skończyło. — Spojrzał na Maca.

Kellie zaśmiała się i napięcie gdzieś się ulotniło.

Kiedy ludzie Beekmana wymyślali nazwy dla kontynentów, mórz i innych miejsc na Deepsix, nazwali pasmo górskie rozciągające się wzdłuż zachodniej linii brzegowej Transitorii Górami Zasmuconymi. Było tam kilka z najwyższych szczytów na Deepsix, strzelających ponad siedem tysięcy metrów nad poziom morza. Góra Błękitna, mierząca zaledwie sześć tysięcy sześćset, nie była wcale najwyższa, ale była jedną z najbardziej malowniczych. Jej górną część zawsze spowijały chmury. Granitowe ściany opadały ostro kilometrami, by w końcu zmienić się w łagodniejsze zbocza, a potem — we wzgórza pokryte lasem.

Marcel oddelegował Mirę Amelię do podawania aktualnej prognozy pogody i śledzenia informacji o lądowniku. Podawała im także na bieżąco informacje o postępach akcji ratunkowej. Mira umiała zachować optymizm, nie drażniąc zarazem innych. Kellie zauważył, że kobieta jest dobrym analitykiem i nie wykazywałaby optymizmu, gdyby całe przedsięwzięcie nie miało szans powodzenia. Taką interpretację chcieli usłyszeć. Nawet MacAllister, którym wizja wlatywania w jakąś siatkę w powietrzu najwyraźniej wstrząsnęła, powoli się uspokajał.

Byli w chmurach od półtorej godziny, kiedy Mira poinformowała ich, że rzeka, do której się właśnie zbliżają, przepływa blisko Góry Błękitnej.

— Teren tam jest płaski. Będziecie mogli uzupełnić paliwo i może znaleźć coś do jedzenia.

Hutch zmniejszyła wysokość w trudnych warunkach pogodowych („Tu wcale jeszcze nie jest tak źle”, poinformowała ich Mira) i wylądowała w ulewnym deszczu na południowym brzegu. Drzewa uginały się od owoców. Zebrali trochę przypominających dynie bulw, które już wcześniej jedli. Część jadalna była całkiem smaczna, jak wielki, suszony rodzynek w twardej skorupie. Pobiegli szybko do lądownika, uciekając przed deszczem, i najedli się.

Proste przyjemności związane z życiem.

Wrzucili spory zapas do ładowni. Jak optymistycznie, zauważył

Mac. Potem wyjęli wąż i napełnili zbiorniki. Kiedy skończyli, znów unieśli się w powietrze.

Góra Błękitna była na wybrzeżu. Na zachód od niej morze cofnęło się, zostawiając wielkie obszary błota.

— Woda jest po drugiej stronie planety — wyjaśniła Mira. Podała im poprawkę kursu i poleciła Hutch wznieść się na sześć tysięcy osiemset metrów. Przesłała im także zdjęcia góry, wykonane przez satelitę.

— Tu jest coś dziwnego — poinformowała ich. Północna strona była jednym wielkim urwiskiem, od szczytu do podstawy. Praktycznie kąt prosty.

Nightingale wpatrzył się w obraz.

— Wygląda prawie na sztuczną.

— Tak właśnie myśleliśmy — rzekła Mira. — Jest coś jeszcze.

— Pokazała im zbliżenie.

Hutch dostrzegła na ścianie pionowe i poziome linie. Jakaś konstrukcja. Rozciągała się od szczytu aż do podstawy góry.

— Co to jest? — spytała Kellie.

— Nie mamy pojęcia. Jeśli wam się uda, rzućcie okiem.

Potem Mira pokazała im, co skanery zarejestrowały na szczycie góry: był idealnie płaski. W samym środku stał sześciokątny budynek.

Mira powiększyła obraz. Budowla była olbrzymia, zajmowała jakieś sześćdziesiąt procent powierzchni szczytu. Była częściowo pokryta roślinnością. Widać było jednak okna i drzwi. Hutch zauważyła nieomal klasyczną symetrię, w przeciwieństwie do napuszonego i przepełnionego zdobieniami stylu, obecnie preferowanego przez jej własną kulturę. Rogi miały rozszerzenia. Poza tym budowla nie miała żadnych ozdób.

Jej górna część była wyszczerbiona, jakby górne piętra zostały odłamane. Miała średnio sześć pięter wysokości, w niektórych miejscach więcej, w niektórych mniej. Góra — nie można było nazwać jej dachem, bo górne poziomy były otwarte — była pokryta śniegiem.

— A tak wygląda pod śniegiem.

Śnieg znikł z obrazu i patrzyli na komory, przejścia i klatki schodowe. Wszystko w dość kiepskim stanie.

Mira przesłała im rekonstrukcję, na której widać było, jak prawdopodobnie wyglądała kiedyś całość. Komputer zastąpił krzewy i rośliny rzeźbionymi podestami i wysypanymi żwirem dziedzińcami, wstawił lśniące okna i zakrzywione drzwi. Dach stał się owalną kopułą, która wznosiła się w chmury. Wyglądało to imponująco.

— Poza tym chyba znaleźliśmy brakujące kawałki.

— Masz na myśli resztę szczytu?

— I północną część klifu. To wzgórza, jakieś dwadzieścia kilometrów na wschód. Teraz jest tam dolina wielkiej rzeki. Większość

granitu porosła lasem.

— Co znaczy…

— …że to wszystko stało się dawno temu. Pewnie tysiąc lat temu. Albo o wiele więcej. — Zamilkła na chwilę. — Dobrze, jak będziecie gotowi, to was przeprowadzę.

— Jesteśmy gotowi.

— Na szczycie jest mnóstwo miejsca do lądowania — rzekła Mira.

— Czy ta zasłona chmur kiedykolwiek znika? — spytał MacAllister. Miał na myśli chmury, które otaczały szczyt.

— Nasze zapisy liczą zaledwie kilka tygodni — odparła Mira. — I odkąd tu jesteśmy, utrzymuje się przez cały czas. Podobnie wygląda sytuacja kilku innych szczytów.

Podała im poprawkę kursu. Hutch zwolniła i wleciała w chmury.

— Doskonale sobie radzicie — rzekła Mira. — Nie macie na trasie żadnych przeszkód. Jesteście dwieście metrów nad szczytem.

Mgła pociemniała.

Hutch włączyła antygrawitację. Fotel lekko ucisnął ją w plecy. Zmniejszyła prędkość, opuściła podwozie i przełączyła silniki sterujące w tryb pionowy.

Na przednią szybę zaczął padać śnieg, a z głośnika dobiegł trzask zakłóceń.

Głos Miry utonął w szumie.

Hutch przełączyła się na inny kanał i przywróciła odbiór.

— Teraz zbliżacie się do brzegu płaskowyżu — rzekła Mira. — Macie mnóstwo miejsca, więc nie ma się czym przejmować. Możecie schodzić z prędkością pięć metrów na sekundę.

Hutch wypełniła polecenie. Gdzieś pod nimi rozległ się grzmot.

— Trzydzieści sekund do lądowania, Hutch.

Patrzyła, jak upływają sekundy na konsoli, odpaliła silniki sterujące, zmniejszyła prędkość do zera i zaczęła dryfować.

— Priscillo — odezwał się MacAllister — a co się stanie, jeśli stracimy kontakt radiowy?

Była zbyt zajęta, by odpowiedzieć.

— Żaden problem — pospieszyła z odpowiedzią Kellie. — Polecimy wyżej. W górze nie ma chmur.

— Piętnaście sekund. Antygrawitacja na trzy czwarte. Opadali powoli we mgle, aż osiedli na ziemi.

Hutch opanowała odruch, by wziąć głęboki oddech. Wyjrzała przez iluminator, ale widoczność we mgle sięgała kilku metrów.

— Mira, dziękuję — rzekła.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Dam znać Marcelowi.

Cztery statki nadświetlne pod wodzą SI „Gwiazdy” zajęły pozycje wzdłuż artefaktu, przy miejscach oznaczonych żółtą farbą, przodem do

asteroidy. Najmniejszy z tej czwórki, „Zwick” zatrzymał się jakieś trzydzieści osiem kilometrów od skały. Pozostałe rozmieściły się na długości 322 kilometrów. „Wildside” był drugi, po nim „Gwiazda”, która miała największą siłę ciągu, i na końcu — „Wendy”.

Rozmieszczenie statków było najtrudniejszym zadaniem dla Johna Drummonda i jego zespołu. Siedząc w wahadłowcu unoszącym się nad powierzchnią asteroidy, po raz ostatni sprawdził obliczenia i doszedł do wniosku, że wszystko się zgadza.

Janet Hazelhurst siedziała obok niego, gotowa, by zapewnić porady techniczne Autsajderom. Miles Chastain, kapitan statku dziennikarzy, znajdował się w wahadłowcu gdzieś między „Gwiazdą” a „Wildside”, by spieszyć z pomocą każdemu, kto by takiej potrzebował. Inne wahadłowce rozmieszczono w punktach strategicznych, by również były na miejscu w razie kłopotów. Każdy, kto wychodził na zewnątrz, pozostawał pod opieką któregoś ze statków i gdyby się oddalił, lub gdyby znalazł się w tarapatach z innego powodu, natychmiast zostałby ogłoszony alarm.

Ponieważ na zewnątrz, w nieprzyjaznym środowisku, miało pracować tyle niedoświadczonych osób, wydawało się nieuniknione, że ktoś, w którymś momencie, ulegnie wypadkowi, odpadnie i zacznie orbitować albo utnie komuś nogę laserem.

E-skafandry były niezawodne. Nie dało się ich wyłączyć w próżni, chyba że znało się bardzo skomplikowaną sekwencję czynności. Były idealnie szczelne. Systemy podtrzymywania życia również działały doskonale. Mimo to Drummond przypomniał sobie własne doświadczenie z wyjściem na zewnątrz i zaczął się martwić.

„Wildside”, na pokładzie którego nie było nikogo poza ekipą Autsajderów i SI, zbliżył się do artefaktu, dziobem do przodu, i zatrzymał się tam, gdzie czujniki wykryły kleks żółtej farby. Barwnik znaczył miejsce, którym „Wildside” miał się zająć podczas operacji, i identyfikował Alfę, wybrany walec.

Bill obrócił statek tak, że jego podwozie znalazło się o parę centymetrów od artefaktu. Właz ładowni otworzył się i wyłonił się z niego dwuosobowy zespół. Chronieni ciemnymi okularami, wybrali nieoznaczony walec i wycięli z niego osiem kawałków, każdy o długości około sześciu metrów.

Z wyciętymi elementami wrócili na pokład „Wildside”. Dwa zostawili na statku, żeby można było użyć ich w przyszłości, a sześć ustawili na kadłubie, w miejscu najbliższym walca Alfa. To miał być, jak to określała Janet zgodnie ze spawalniczą nomenklaturą, ich wypełniacz.

Zmienili ustawienia laserów, przełączając je na promień ciepła. Skierowali promienie na wypełniacz. Trysnęły iskry Metal zaczął się

żarzyć i topić. Pracując szybko, przyspawali wypełniacz do kadłuba, korzystając z łyżek, drabinek i innych prowizorycznych narzędzi. Pod czujnym okiem Janet umieścili sprężysty metal na właściwym miejscu, tworząc zagłębienia i połączenia tak, jak im pokazano.

Jeden ze spawaczy, który nazywał się Jase Power, zauważył, że efekt wygląda całkiem profesjonalnie. Janet ostrożnie się z nim zgodziła.

— Masz nowy zawód, Jase, jeśli tylko chcesz. Mogę cię zarekomendować, kiedy wrócimy na Ziemię.

Kiedy skończyli przygotowania do połączenia, weszli na pokład, a SI oddaliła się na bezpieczną odległość.

— Co tam widzisz? — spytał Hutch Marcel. — Co tam jest?

— Mgła — rzekł MacAllister.

— Nic stąd nie widać — wyjaśniła Hutch. — Mgła jest za gęsta.

Widoczność wynosiła jakieś pięć metrów.

— Dobrze. Porozmawiajmy o tym, gdzie jesteście. Jak już wiecie, sam czubek góry został odcięty. Znajdujecie się na wschodnim skraju, pięćdziesiąt metrów od krawędzi. Macie ją z tyłu. Chyba nie muszę wam mówić, że tam iść nie należy.

— Jeden bok sześciokąta wygląda, jakby trochę sterczał nad przepaścią. Na północy, gdzie jest rozpadlina. Mira wam pokazywała? Cztery tysiące metrów prosto w dół. Jeśli więc podłoga się zapadnie albo przejdziecie przez drzwi, nie patrząc, co jest za nimi, możecie się nieźle zdziwić. Sugeruję więc, żebyście trzymali się z daleka od północnego skraja. Jasne?

— Będziemy uważać — odparła Hutch.

— Budowla jest bezpośrednio przed wami. Idźcie w kierunku, w którym wycelowany jest nos lądownika. Jakieś trzydzieści metrów. — Zawahał się. — Wydaje nam się, że posadziliśmy was tuż przy głównym wejściu. Szukajcie schodów. Z niskimi ścianami z boku.

Hutch potwierdziła.

— Powodzenia — rzekł. — Prześlijcie jakiś obraz, jeśli będziecie mieli chwilkę. A ja zaraz do was wrócę.

Hutch włączyła e-skafander, przypięła mikroskaner i uruchomiła go.

— Ktoś jeszcze chce iść?

— Ja nie — odparł MacAllister. — Dość się już nachodziłem na tej wycieczce. — Zrobił zakłopotaną minę. — To zabawa dla kogoś młodszego.

Zgłosiła się Kellie, ale Hutch oświadczyła, że to nie jest dobry pomysł.

— Jeśli obie tam pójdziemy i coś nam się stanie, nie będzie miał kto pilotować lądownika. Więc ty musisz zostać. Będziesz mogła

wyjść, jak wrócę.

— W takim razie zostałem ja — rzekł Nightingale.

— Chyba że nie masz ochoty.

— Skądże znowu. — Nightingale sięgnął po kamizelkę. — Szczerze mówiąc, nie przegapiłbym takiej okazji. — Wziął jedną z uprzęży. — Będą nam potrzebne butle? Jesteśmy dość wysoko.

— Nie — odparła Hutch. — Konwertery będą musiały trochę ciężej popracować, ale wytrzymają. Nic im nie będzie.

Zabrali lasery, plastikowe worki i notesy; powtykali je do kieszeni kamizelek. Wzięli plecaki, do których mieli chować artefakty. Przywiązała sobie latarkę do nadgarstka, zauważyła też linę, której używali w lesie, i przełożyła ją sobie przez ramię.

— Nigdy nie wiadomo, na co się przyda — powiedziała do — Kellie.

— Wyglądasz jak Jack Hancock — odparła Kellie, wspominając popularnego archeologa-awanturnika z symulacji.

Otworzyli właz. Hutch wyjrzała, nie dostrzegła niczego poza mgłą i zeszła na dół po drabince. Nightingale wyregulował temperaturę w e-skafandrze i ruszył za nią. Kellie poprosiła, żeby nie spadli, i zamknęła za nimi śluzę.

Zmarznięty, żwirowaty grunt chrzęścił pod stopami. Powietrze było całkowicie nieruchome. Śnieg padał.

Hutch miała wrażenie, jakby była sama. Nightingale nigdy nie był specjalnie towarzyski, a teraz tylko narzekał, przytłoczony ponurą atmosferą tego miejsca, że nic nie widać, że łatwo wpaść do jakiejś dziury. Co do widoczności, miał rację. Mgła oblepiała ich, tłamsiła, zmuszała do patrzenia do wewnątrz, bo na zewnątrz się nie dało.

W pewnej chwili Kellie spytała, czy ktoś z nich wierzy w nieśmiertelną duszę. Hutch oczywiście nie wierzyła. Świat był dla niej zimną, matematyczną maszyną, która wytwarzała wodór, gwiazdy, komary i pilotów statków nadświetlnych, ani trochę się nimi nie przejmując. Teraz jednak, gdy zrozumiała, że to mogą być ostatnie godziny jej życia, myśl, że może skończyć w brzuchu tego potwora, a jej atomy będą się unosić w szarej zupie przez następny miliard lat, była nieprzyjemna. *Jeśli tam jesteś,* rzekła w duchu, do nikogo szczególnego, *przydałaby mi się jakaś pomoc.*

— Tam jest mur — oznajmił Nightingale.

— Widzę.

Mur był płaski, zwyczajny, sięgał im do ramienia, może trochę wyżej. Powierzchnia pod czubkami palców sprawiała wrażenie chropowatej. Pewnie granit.

Dostrzegli stopnie, które opisał Marcel, i byli zaskoczeni, gdy odkryli, że ich wymiary odpowiadają stosowanym w ludzkiej architekturze. Za nimi Hutch dostrzegła wejście. Jeśli kiedyś były tam

jakieś drzwi, nie został po nich ślad. Wejście i wnętrze były zasypane śniegiem i ziemią. Po obu stronach progu rosły błyszczące, sztywne krzewy.

Nightingale przejął prowadzenie. Zachowywał się, jakby uważał, że to on jest osobą, która powinna pierwsza stawić czoło potencjalnemu niebezpieczeństwu. W tych warunkach, pomyślała Hutch, przy tak ograniczonej widoczności, prawdopodobnie jest wszystko jedno, kto gdzie stoi. Przyszło jej także od głowy, że raczej nie ma tam żadnych większych drapieżników, bo nie miałyby się czym żywić. Przypuszczała, że Nightingale doszedł do tych samych wniosków.

Wkroczyli do środka i weszli do szerokiego korytarza. Ściany były surowe, bez żadnych zdobień czy oznaczeń. Sufit znajdował się wystarczająco wysoko, by mogli wygodnie się poruszać. Włączyli latarki, żeby rozproszyć szarość. Mgła jednak zaczynała świecić i razić w oczy, więc je wyłączyli.

Uciekały przed nimi jakieś małe zwierzęta. Trudno było je zobaczyć, ale Hutch usłyszała szum skrzydeł i zobaczyła coś, co przypominało białego szympansa. Raz jakieś stonogopodobne stworzenie z mnóstwem nóg umknęło w boczny korytarz.

Po obu stronach korytarza znajdowały się pomieszczenia, do których światło docierało przez okna. Komory były całkiem spore. W większości wygodnie zmieściłaby się grupa piętnastu lub więcej osób. Nie było w nich żadnych mebli. Długie, prostokątne pasy na suficie mogły być jakimiś urządzeniami dającymi sztuczne światło.

— Wygląda na to, że to od dawna jest w tym stanie — powiedziała Hutch Marcelowi, wysyłając mu zdjęcie.

Krzyżujące się przejścia niczym szczególnym się nie charakteryzowały.

W przeciwieństwie do wieży, która wydawała się bezczasowa, jakby jej budowniczowie chcieli, by trwała na wieki, ta budowla sprawiała wrażenie państwowej prowizorki. Czegoś tymczasowego.

Zbadali boczne korytarze, przeszli przez kolejne drzwi i puste pomieszczenia o różnych rozmiarach, wypełnione tylko liśćmi i pyłem nawianym przez wiatr. Drzwi przeważnie nie było. Kilka spośród tych istniejących było otwartych, pozostałe zamknięte. Nie miały żadnych gałek ani klamek.

— Elektronika — rzekł Nightingale, przyglądając się jednej z par. — To wygląda na czujnik.

Przeszli przez pomieszczenie i drzwi po przeciwnej stronie, po czym wkroczyli w nowy korytarz. Na jednej ze ścian były okna, ale przezroczystego materiału, który je miał wypełniać, oczywiście już dawno zabrakło i wiatr wiał monotonnie w całym budynku.

Wkroczyli na rampę.

Hutch, choć niechętnie, zaczęła robić laserem znaki na ścianach, żeby mogli znaleźć drogę powrotną.

Cały czas rozmawiali z Kellie i Marcelem, którzy rejestrowali ich wrażenia, opinie, że budowla była po części biurem, po części pasażem handlowym, po części terminalem. Niektóre pomieszczenia były bardzo duże.

— Przeznaczone dla dużej liczby użytkowników.

— Dużej liczby?

— Szerokie korytarze.

— Ile osób korzysta z windy orbitalnej?

— Nie wiem.

Były tam też półki i nisze. Wszystkie powierzchnie pokrywała gruba warstwa pyłu, który gromadził się tam przez stulecia, ale gdy tylko Hutch go starła, powierzchnia pod spodem wyglądała na prawie nową. Materiał, którego użyto, uznała, opierał się działaniu czasu znakomicie.

Znajdowali się w korytarzu z kilkoma oknami wychodzącymi na zewnątrz.

— Hej. — Nightingale opadł na jedno kolano. — Spójrz na to.

Znak. Zawieszony na stelażu na ścianie. Nisko, na poziomie jej bioder. Było na nim kilka rzędów symboli. Symbole zblakły, poszarzały, ale nadal było je widać. Hutch zarejestrowała je, po czym z zachwytem odkryła, że można zdjąć tabliczkę ze stelaża. Dawała się zdjąć w całości.

— Dlaczego zawiesili ją tak nisko? — spytała. — Przecież powinna być na poziomie wzroku.

— Prawdopodobnie była na poziomie wzroku — rzekł Nightingale. — Dla świerszczy.

Przyjrzała się symbolom.

— To dziwne.

— Co takiego?

Było tam sześć wierszy. Styl i kształt znaków w każdym z nich znacząco się różniły. W obrębie jednego wiersza były dość podobne. Czasem nawet się powtarzały, ale tylko w jednym wierszu.

— Przypuszczam, że mieli sześć alfabetów — rzekła.

— A to ma jakieś znaczenie?

— A jeśli to ta sama informacja w sześciu różnych językach?

— Wzruszył ramionami.

— Nie sądzę, żeby to było istotne.

— To kamień z Rosetty.

— Być może. Ale myślę, że przypisujesz mu trochę zbyt duże znaczenie. Informacja jest za krótka, żeby mogła posłużyć za kamień z Rosetty. Pewnie napisano tu WSTĘP TYLKO DLA PASAŻERÓW. Nikt nie rozszyfruje języka na podstawie czegoś takiego.

— To tylko początek, Randy. A już sam fakt, że potrafimy umieścić ten napis w kontekście, sprawia, że będzie go łatwiej odczytać. To miejsce było punktem zbornym. Mnóstwo tubylców stąd wyruszało.

— Dokąd?

— Nie domyśliłeś się jeszcze?

Spojrzał na nią.

— Wiesz, co się tu działo? O co w tym wszystkim chodzi?

— Pewnie.

Hutch wykryła aktywność na kanale i nie była zdziwiona, gdy rozległ się głos Marcela:

— To była misja ratunkowa, Randy.

Nightingale spojrzał na nią, marszcząc brwi.

— Kiedy określimy datowanie, pewnie okaże się, że ma trzy tysiące lat — wtrąciła Kellie.

— Epoka lodowcowa — rzekł Nightingale. — Obłok Quiveras.

— Właśnie — odparł Marcel. — Ktoś próbował ewakuować tubylców.

— Populację całej planety?

— Nie — rzekła Hutch. — Oczywiście, że nie. To było niemożliwe. Nie za pomocą jednej windy orbitalnej. Bez względu na to, ile mieli czasu, tubylcy rozmnażaliby się szybciej, niż można było ich ewakuować.

Nightingale pokiwał głową.

— Spotkaliśmy paru, którzy zostali — zauważyła Hutch.

Na zewnątrz gałęzie zatrzeszczały pod nagłym naporem wiatru.

— Jastrzębie były tym większym gatunkiem.

— Pewnie tak.

— Tym, który przyszedł z pomocą.

— Tak.

— To niewiarygodne. Czy ktoś o tym wiedział, poza mną?

Nikt się nie odezwał.

Hutch owinęła tabliczkę, ale ta okazała się za duża, żeby ją schować do plecaka, więc wetknęła ją pod pachę.

Oznaczenia na ścianach, przeważnie dość wyblakłe, zaczęły się pojawiać z pewną regularnością. Rejestrowała wszystko, co mogła, i zaczęła sporządzać mapę z położeniem poszczególnych elementów, mając nadzieję, że łącze wizyjne wszystko prześle, żałując poniewczasie, że nie używała lasera przez cały czas i w końcu się zgubili. To nie stanowiło jednak problemu, bo mogli użyć sygnałów radiowych, by trafić na właściwy kierunek.

Weszli do dużej komory i znaleźli pierwsze meble. Malutkie ławki, jak dla świerszczy.

— Dla większego gatunku nie ma siedzeń — zauważył

Nightingale.

Były z jakiegoś plastiku, który bardzo dobrze się zachował.

Rampy prowadziły w górę i w dół. Poszli na dół, gdzie znaleźli dalsze inskrypcje, niektóre w korytarzach, niektóre w mniejszych pomieszczeniach. Te znajdowały się na poziomie oczu Hutch. Może trochę wyżej.

Biura i korytarze zostały zaprojektowane najwyraźniej dla jastrzębi. Rozmieszczenie inskrypcji i rozmiar drzwi były dowodem na prawdziwość tej tezy.

Hutch żałowała, że mgła się utrzymuje i nie można się rozejrzeć po okolicy.

— Przywozili ich tu zewsząd, pewnie drogą lotniczą, może poduszkowcami.

— Jak poduszkowiec miałby się tu dostać? Nigdy nie pokonałby tego zbocza.

— To szczegół, Randy. Pewnie przywozili ich na jakieś lotnisko i tam pakowali do samolotu.

— To musiało być niezłe przedsięwzięcie. Chciałbym kiedyś spotkać te jastrzębie.

XXX

Życie jest jak spacer we mgle. Większość ludzi o tym nie wie. Omamieni światłem słońca, są przekonani, że widzą, co jest przed nimi. I dlatego właśnie ciągle wpadają do rowu albo pakują się w niesatysfakcjonujące małżeństwa.

Gregory MacAllister,
Podręcznik małżeństwa

Czas do rozpadu (prognoza): 33 godziny

Asteroida miała kształt prawie idealnej kuli i jakiś kilometr średnicy. Tkwiła w metalowej siatce, umocowanej do artefaktu za pomocą płyty.

Janet patrzyła, jak zespół Autsajderów zbliża się do płyty i zaczyna odcinać ją od artefaktu. Kiedy skończyli, do płyty był przymocowany tylko jeden walec, Alfa. Który miał jedynie 320 kilometrów.

John Drummond przyglądał się operacji na kilku ekranach. Obarczono go monitorowaniem całej akcji Autsajderów: jednostkami działającymi na asteroidzie, czterema zespołami, które wkrótce miały opuścić każdy ze statków, pięcioma, które teraz były rozmieszczane wzdłuż artefaktu, by odczepić walec Alfa od klamer, które utrzymywały artefakt w całości, a element z siatką miał przypaść Milesowi Chastainowi.

Janet nie przepadała za Drummondem, który zachowywał się, jakby uważał, że każdy, kto nie zajmuje się matematyką, marnuje życie. Zdawała sobie sprawę z tego, że pracuje w dużym stresie, ale doszła do wniosku, że w normalnych warunkach też zachowywałby się jak palant.

Ich pilot miał na imię Frank. Frank niespecjalnie przejmował się Drummondem, pewnie z tych samych powodów. Słyszała to w jego głosie. Drummond, jeśli nawet to zauważył, nie dał tego po sobie poznać. Gdy Janet przyglądała się, jak poszczególne zespoły zajmują pozycje, Frank odwrócił się w fotelu i poinformował ich, że jeden z wahadłowców „Gwiazdy" zaraz znajdzie się w pobliżu. Na jego pokładzie byli Miles i Zossimov, którzy chcieli przyjrzeć się sieci.

— Dobrze, Frank. — Drummond przyjrzał się swoim instrumentom. — Zaczynamy za trzy minuty.

Przełączył obraz asteroidy na swój ekran, obrócił go, pochylił się, oparł podbródek na pięści i polecił SI nakreślić linię, wzdłuż której mieli przeciąć sieć. Miejsce, gdzie płyta łączyła się z resztą artefaktu, nazwano biegunem północnym. Kursor pojawił się z jednej strony płyty i obiegł asteroidę dookoła, przechodząc blisko bieguna południowego.

Janet spojrzała na sieć, którą było widać tylko wtedy, gdy padało na nią bezpośrednio światło z wahadłowca. Liny były wąskie, miały grubość palca, i były tak ciasno splecione, że człowiek nie przecisnąłby się przez szczeliny między nimi.

Drummond przyznał beztrosko, że kiedy już zaczną rozcinać sieć, nie da się dokładnie określić, w którym miejscu asteroida odpadnie. Z operacją wiązał się więc pewien stopień niepewności, ale panowało przekonanie, że skała nie spowoduje żadnych szkód ani nie zagrozi zespołowi po drugiej stronie płyty.

Mimowolnie zauważyła, że wahadłowiec jest bardzo blisko, i zastanawiała się, czy Drummond wziął pod uwagę możliwość, że asteroida może znaleźć się na ich drodze.

— A dlaczego miałaby gdziekolwiek odlecieć? — spytała. — Dlaczego sądzisz, że nie zostanie na swoim miejscu?

— Środek ciężkości się zmieni — odparł, nawet nie próbując ukryć lekceważącego tonu. — I dla asteroidy, i dla reszty artefaktu. Więc dynamika obu trochę się zmieni.

— Potrafimy przewidzieć, co się stanie? — spytała.

— Nie tak dokładnie, jak bym chciał. W normalnych warunkach to dość proste. Ale z powodu zbliżającego się gazowego giganta obliczenia są nieprecyzyjne. — Spojrzał na nią, najwyraźniej próbując wybadać, czy się boi. — Nie ma się czego bać, jeśli to miałaś na myśli. — Sprawdził ich pozycję na ekranach. — Dobrze — rzekł do mikrofonu. — Gotowi.

SI przejęła sterowanie. Przyspieszyła, zbliżyła się do powierzchni i wycelowała lasery zainstalowane przez zespół Milesa. Drummond ostrzegł ludzi pracujących na artefakcie, żeby schowali się za płytę i zostali tam.

— Trzymajcie głowy opuszczone — rzekł. — Zaczynamy.

Janet wiedziała, że wolałby wycofać wszystkich z artefaktu, kiedy odcinali asteroidę. Musieli jednak odciąć od płyty piętnaście walców, więc po prostu nie byłoby czasu na wykonanie tej pracy, gdyby nie zaczęli natychmiast, kiedy tylko przybyli, Wahadłowiec przemieścił się bliżej. Janet mogłaby wystawić stopę i kopnąć asteroidę. SI poinformowała ich złowieszczo, swoim bezbarwnym, męskim głosem, że zaraz uruchamia lasery.

Nastąpiło krótkie odliczanie i dwa promienie białego światła wystrzeliły w pył.

Wahadłowiec przemieścił się wolno z północnej części asteroidy na południową. Minął biegun północny z dużym zapasem i zaczął się cofać.

— Dobre cięcie — rzekł Frank. — Za jakąś minutę powinno dojść do oddzielenia. — Po czym dodał: — Och.

Janet poczuła, że serce bije jej mocniej.

— Uwaga wszyscy — rozległ się głos pilota Franka. — Nadciąga rój meteorów. Za jakieś trzydzieści sekund. Schowajcie się za płytę od strony walców.

Tom Scolari wyjrzał przez górny skraj płyty, żeby zobaczyć, czy jakieś da się dostrzec. Ta czynność ściągnęła na niego reprymendę Janet i natychmiast się schował. Pozostali członkowie zespołu posłusznie wykonali polecenie.

— Zostańcie za płytą — ostrzegła Janet. — Nadlatują od strony asteroidy. Nie wychylajcie się, a nic się wam nie stanie.

Coś niewyraźnego przeleciało koło niego, szybki, cichy cień na tle gwiazd. Potem drugi, cichy jak szept jego serca. Wszystko działo się tak szybko, że nie był pewien, czy dzieje się naprawdę. Słyszał oddech innych ludzi na kanale. Ktoś wydał z siebie odgłos przerażenia.

Poczuł wibrację, potem wstrząs. Coś rozbłysło przy artefakcie.

— Trafienie — rzekła Janet.

Poczuli kolejny wstrząs. Scolari spojrzał w oczy kobiety znajdującej się obok niego. Bała się.

Czekał, wsłuchując się w bicie serca, aż odezwał się Frank:

— Wygląda na to, że wszystko w porządku. Na ekranie jest czysto.

— Wszyscy cali? — spytał Drummond.

Odzywali się jeden po drugim, ale Janet zaczęła ich wywoływać po nazwisku. Odpowiadali, a Scolari liczył ludzi. Wszyscy są i wszyscy się ruszają.

Spojrzeli po sobie. Kobieta — miała na imię Kit — wróciła do pracy. Ale od tej chwili, niezależnie od tego, jaką wykazywał wcześniej nonszalancję, Scolari zrozumiał, że naraża życie. Cieszył się, że nie jest sam.

Jego zadania były proste: wykonać jak najwięcej nacięć. Ale tylko do połowy, przynajmniej do chwili, aż odczepią asteroidę. Kiedy załoga wahadłowca ogłosiła, że zaraz dojdzie do rozdzielenia, należało dopilnować, żeby wszyscy znaleźli się za płytą. Po zakończeniu, kiedy już mieli pozbyć się skały i dokończyć pracę, należało wszystko pociąć tak, bywalec Alfa, płyta i sieć pozostały sczepione razem, ale zostały oddzielone od reszty artefaktu.

Scolari był najstarszym członkiem swojej grupy. Nie wiedział wiele o życiu osobistym pozostałych, tylko tyle, czego się dowiedział z przypadkowych uwag. Ktoś wędrował w poszukiwaniu swojego miejsca, jakaś kobieta była matką dwójki dzieci. Po dwojgu widać było, że się boją. Pewnie wszyscy się bali, ale niektórym lepiej szło ukrywanie tego faktu. On też się bał. Adrenalina zadziałała jednak i było to miłe uczucie. Patrząc na tańczące światła laserów, które mrugały na obrzeżach płyty, poczuł, że naprawdę żyje. Pomyślał, że każdy powinien mieć choć raz w życiu szansę na dokonanie czegoś takiego.

Wzdłuż artefaktu, w stronę Deepsix, przemieszczały się światła. Rozpoznał te trójkątne na dziobie: to był wahadłowiec Akademii. Tom nie miał jednak pojęcia, czy to jego statek, czy „Wendy".

— Doskonale, proszę państwa — odezwała się Janet. — Teraz uwaga. To już za chwileczkę.

Światło przemieściło się na drugi koniec płyty. Oznaczało to, że opuścili biegun południowy i przemieszczali się w górę. Janet zapewniła ich, że kiedy skała zacznie się przemieszczać, w żadnym wypadku nie poleci w ich stronę. A oni jej uwierzyli, choć łatwiej im było uwierzyć w to na statku niż tutaj, siedząc za wąskim paskiem metalu, który był jedynym elementem oddzielającym ich od potwora.

Tom opierał się o płytę, więc poczuł drżenie.

— Asteroida została odcięta — rzekła Janet.

Jedna z kobiet, nauczycielka języków starożytnych w średnim wieku, nosząca rzadkie imię Cleo, cofnęła się odrobinę i patrzyła. Miała na sobie brązowy kombinezon i niebieski szalik. Światło lasera oświetlało rysy jej twarzy. Patrzyła w górę, na coś, co było za nim, nad jego ramieniem.

— Leci — rzekła.

Scolari dostrzegł czarny pierścień, powoli toczący się za krawędź płyty.

— Krzyżyk na drogę — dodała Cleo, machając na pożegnanie.

Potwierdzenie, że asteroida została odczepiona, było dla Lori sygnałem, by przemieścić „Wildside" bliżej walca Alfa. Poprowadziła statek tak, by walec nie znajdował się równolegle do osi statku, ale pod kątem jakichś osiemnastu stopni. „Zwick" również nie był ustawiony centralnie i zorientowany był w przeciwnym kierunku, dzięki czemu oba statki mogły rozpocząć obrót, którego skutkiem miało być wycelowanie przedniego końca walca Alfa w Deepsix. Kiedy „Wildside" znalazł się na swoim miejscu, Jase Power i jego załoga wyszli na zewnątrz i przyspawali walec do statku.

Ukończyli zadanie bez przeszkód, przyjrzeli się swemu dziełu, uznali, że wygląda dobrze, i czekali na werdykt Janet. Uparła się, że

musi obejrzeć zbliżenia, więc kilka minut później wahadłowiec podleciał, by zbadać spaw za pomocą czujników. Kazała im wrócić i wzmocnić jeszcze parę miejsc, po czym udzieliła swego błogosławieństwa.

— Bardzo profesjonalna robota — oznajmiła. — Wracajcie do środka. Proszę o informację, gdy wszyscy znajdą się w śluzie. Dziękuję.

„Zwick" zgłosił się pierwszy.

— Połączenie gotowe.

Statek był przyspawany do walca Alfa. „Wildside" zgłosił się parę minut później.

— Jesteśmy gotowi — zwróciła się Janet do Drummonda.

Asteroida, uwolniona od reszty układu, wchodziła na nową orbitę. Miała krążyć dookoła Deepsix przynajmniej przez jakiś dzień albo coś koło tego, nim Jerry Morgan zmieni geometrię całego układu.

Drummond obserwował go z zadowoleniem. W jego specjalności rzadko się zdarzała okazja do praktycznych zastosowań umiejętności. To prawda, że Marcel i Beekman podejmowali decyzje, ale korzystali z jego obliczeń. Na Boga, jakie to było miłe uczucie.

Na górze artefaktu widać było pustą sieć, która zaczęła się rozszerzać. Odcięli jakieś trzy czwarte wokół obwodu, gdy uwalniali asteroidę. Teraz sieć wisiała luźno za artefaktem, jak welon na wierzchołku nieskończonego patyka.

Kapitan Nicholson poinformował wszystkie statki i wahadłowce, że pierwszy etap został ukończony z powodzeniem i że wszystko odbywa się zgodnie z planem.

Wahadłowce teraz przemieszczały się, by rozmieścić dwuosobowe grupy Autsajderów przy każdej z pięciu klamer wzdłuż walca Alfa; mieli oni odciąć walec. Pindar i Shira znaleźli się na artefakcie o 420 kilometrów od płyty. Tu zaczęli ciąć walec, by oddzielić go od pozostałej części, mającej jakieś dwa tysiące sześćset kilometrów długości. Tom Scolari i jego ludzie, znajdujący się przy płycie, wrócili do pracy, by dokończyć cięcia, jakie rozpoczęli wcześniej. Kiedy skończyli, od reszty artefaktu oddzielił się jako całość tylko walec Alfa, płyta łącząca i sieć.

Wszystkie te działania uważnie obserwował Drummond i jego zespół. Jego głównym zadaniem w tej chwili było upewnienie się, że cięcia w różnych miejscach walca zostaną dokonane w tym samym momencie. Gdyby to się nie udało i jeden koniec walca zaczął się oddalać, a drugi koniec jeszcze nie był odcięty, walec mógł pęknąć.

Wahadłowiec, do którego zbliżał się Scolari, miał na pokładzie Milesa i Philipa Zossimova. Obraz tego drugiego pojawił się na ekranie Drummonda kilka sekund po odczepieniu asteroidy.

— Możemy się zbliżyć i rzucić okiem? — spytał Zossimov.

— Poczekajcie. Będę za kilka minut. — Drummond otworzył połączenie z „Gwiazdą”. Na ekranie pojawiło się oblicze Marcela, po którym widać było, że stara się opanować wyraz twarzy.

— Wszystko zgodnie z planem — rzekł Drummond. — Szykujcie się.

Ludzie Scolariego, którzy pracowali przy płycie, mieli jeszcze trzy minuty na ukończenie zadania. Przerwali pracę i czekali na sygnał Drummonda. Wzdłuż całego artefaktu wszyscy wykonywali tę samą pracę: każdy z pięciu zespołów, jeden po drugim, a Pindar i Jane na samym końcu walca Alfa, dotarli do miejsca, gdzie zostały im jeszcze trzy minuty cięcia, i zameldowali o tym Drummondowi, który patrzył na własny zegarek.

Gdy wszyscy się zameldowali, powiedział im, by czekali na sygnał. Porozmawiał znów z Marcelem, który polecił mu, by kontynuował.

— Panie i panowie — powiedział zespołom Autsajderów — odcinajcie.

Marcel i Nicholson, na mostku „Gwiazdy”, słuchali informacji docierających do Drummonda. Punkt dwa — odcięty. Najdalszy koniec — odcięty. Punkty jeden i pięć. Punkt trzy.

Drummond zapytał, co z czwórką.

— Momencik, John. — Po czym, po sekundzie: — Tak.

Poza rojem meteorów podczas akcji zdarzyły się dwa niepokojące momenty. Jeden miał miejsce w chwili uwolnienia asteroidy. Drugi, gdy zakończyli ciąć piętnasty walec i artefakt się oddzielił.

Scolari sądził, że oddzielenie będzie postępowało stopniowo. Odcięli większość walców i pracowali nad ostatnimi trzema, gdy po prostu zaczęły odpadać jeden po drugim, jakby się umówiły, a walec Alfa zaczął się szybko oddalać wraz z płytą i kilometrem wleczonej za sobą sieci.

Artefakt zadrżał, reagując w tej sposób na ubytek masy, po czym wszystko się skończyło.

— Płyta została odczepiona — zwrócił się do Drummonda Marcel.

— Wszyscy cali? — spytała Janet.

Scolari rozejrzał się.

— Wszyscy są — rzekł.

— Doskonale — odparła. — Dobra robota.

Spojrzał na artefakt. Rozsądek podpowiadał mu, że po oddzieleniu od płyty czternastu walców te albo odlecą osobno, albo oddalą się razem. Wydawało mu się niemożliwe, by walce pozostały idealnie równolegle, tak jak dotąd. Wiedział, że pozostałe klamry są

na swoich miejscach, utrzymując artefakt w całości. Odcięto tylko walec Alfa. Ale najbliższa klamra była osiemnaście kilometrów od niego. A mimo to walce pozostały równoległe.

Nadal trzymał w ręce laser. Złożył go i schował do kieszeni kamizelki.

— Taksówka jedzie, Tom — odezwał się głos w słuchawkach.

Wahadłowiec Akademii, który przywiózł ich tu dwie godziny wcześniej, właśnie się zbliżał. Ustawił się równolegle, a pilot poinformował ich, żeby wchodzili ostrożnie. Śluza otworzyła się. Weszli do środka, poczekali, aż wypełni się powietrzem, i pogratulowali sobie.

Cleo uśmiechnęła się do niego.

— Nie wiedziałam, że mam taki talent — powiedziała.

Marcel dał znak Nicholsonowi prawie niedostrzegalnym gestem. Nicholson nacisnął przycisk. Głos Lori potwierdził:

— *Zaczynamy etap drugi.*

Walec Alfa został skrócony do jakichś trzynastu procent pierwotnej długości. Lori, sterująca SI, czekała na dane z licznych czujników.

Kiedy uznała, że wszystko jest w porządku i nadszedł właściwy moment na rozpoczęcie odliczania, włączyła silniki sterujące „Zwicka" i „Wildside" tak, by odsunąć walec Alfa od pozostałej części artefaktu, by nie doszło do koziołkowania, i zaczęła długi obrót, który miał zakończyć się wycelowaniem sieci i płyty w kierunku Morza Mglistego, gdzie, jak mieli nadzieję, za dwadzieścia cztery godziny nastąpi spotkanie z lądownikiem Hutch.

Śledziła postępy. Wszystko odbywało się wolno, ale w sposób zadowalający. Kiedy warunki to umożliwiły, włączyła główne silniki „Wildside", a cztery minuty później — „Zwicka". Walec zaczął się obracać, by zająć właściwą pozycję.

Jakieś szesnaście minut po zapłonie silników „Wildside" wyłączyła silniki statku, a kilka minut później to samo zrobiła z silnikami „Zwicka".

Teraz miała nastąpić szybka szamotanina, która zdaniem wszystkich była najtrudniejszym elementem operacji, jeśli nie liczyć samego wejścia w atmosferę.

Autsajderzy znajdujący się na pokładach „Wildside" i „Zwicka" popędzili na zewnątrz i odczepili statki od walca. Nie było czasu na zabranie ich do środka, więc wisieli przyczepieni na linach i czekali. Kiedy zameldowali, że są bezpieczni, Lori przesunęła statki ostrożnie na nowe pozycje wzdłuż walca i ustawiła je: ich osie były teraz równoległe do walca. Poza zakończeniu operacji Autsajderzy ponownie przyspawali statki do walca.

Tymczasem dwa pozostałe statki, „Wieczorna Gwiazda” i „Wendy”, zajęły wyznaczone pozycje przy walcu. Kolejni ludzie Janet wysypali się ze śluz i przyspawali je do walca.

Problem, którego wystąpienie przewidziała, pojawił się w przypadku „Wendy”. Jedna z ochotniczek, badaczka z zespołu naukowców, zwymiotowała cały lunch, przebywając na kadłubie. Pole siłowe nie oferowało żadnego rozwiązania pozwalającego na radzenie sobie w takiej sytuacji. Było elastyczne i rozszerzało się, ale nieszczęsna kobieta skąpała się we własnych wymiocinach. Wpadła w panikę, odpadła od kadłuba i zaczęła dryfować.

Szybko zastąpiła ją inna osoba, a wahadłowiec pospieszył na ratunek.

Zastępca podjął swoje obowiązki błyskawicznie i prawie nie mieli opóźnienia.

Trudno było manewrować, bo wszystkie czynności należało wykonywać w określonych ramach czasowych: mieli na całą operację dwie godziny i musieli się w nich zmieścić. Jak się okazało, obawy były niepotrzebne. Praca została ukończona i wszyscy, łącznie z kobietą, która zmarnowała lunch, znaleźli się w środku z jedenastominutowym zapasem.

Na sygnał Lori cztery statki nadświetlne uruchomiły silniki i delikatnie przesunęły walec do przodu, zaczynając długą podróż w kierunku Morza Mglistego.

Było tam kilka miejsc, gdzie podłoga się zapadła albo sufit się wygiął. W małych pomieszczeniach z dala od głównej hali znaleźli kawałki jakiegoś włóknistego materiału. Najwyraźniej ubrań. Malutkich.

Hutch zebrała próbki, zarejestrowała, co się dało, i robiła obszerne notatki.

Odezwał się Canyon.

— Hutch, bardzo chciałbym zrobić program we wnętrzu budynku. Jeśli nie miałabyś nic przeciwko.

Już pokazywali nagrywane przez nią obrazy, miał nadzieję, że się nie pogniewa, ale wszędzie to wielka sensacja. I wszyscy chcieliby się czegoś od niej dowiedzieć.

— August, daj mi spokój, nie mam ochoty chodzić wszędzie i podstawiać wszystkiego pod kamizelkę.

— Wcale nie musisz. Spontaniczne ujęcia nam wystarczą. Możemy włączyć opóźnienie i zrekonstruować wszystko, co przegapimy. Nie musisz się przejmować, wytniemy wszystko, co uznamy za zbędne, jeśli tylko będziesz chciała. To będzie wspaniały reportaż. A ja będę twoim dłużnikiem.

— Tu nie widać wiele. Jest mgła.

— Wiem. Lubimy mgliste ujęcia. To takie klimatyczne. — Zaśmiał się z własnego żartu.

Akademia będzie zachwycona. Romantyzm początków archeologii. Spojrzała na Nightingale'a, który skinął głową na zgodę.

— To proponuję następujący układ — rzekła. — Ja będę od czasu do czasu komentować, jak coś przyjdzie mi do głowy. A ty nie zadajesz pytań. Po prostu pozwalasz mi spokojnie pracować, a ja spróbuję współpracować.

— Hutch, naprawdę chciałbym przeprowadzić z tobą wywiad.

— Jestem zajęta.

— Tak, jasne. Zrobimy, jak chcesz. Rozumiem.

— Mamy tu długi, pusty korytarz — rzekła. — Prawdopodobnie jest tu od trzech tysięcy lat.

— Od trzech tysięcy lat? To naprawdę jest aż tak stare?

— Augie, jesteś niereformowalny.

— Przepraszam.

— Nie szkodzi. To musi być frustrujące, siedzisz tam na górze, z dala od wszystkiego.

Natychmiast zmienił ton.

— Wiesz — rzekł cicho — czasami wam zazdroszczę. To fantastyczny temat.

— Prawie.

— Właśnie. Prawie.

Dziwne, ale zrobiło jej się go żal.

Hutch przyjrzała się dokładnie inskrypcjom. Sześć języków zawsze umieszczano w tej samej kolejności.

W pomieszczeniach z dala od głównej hali, wśród przejść i małych pomieszczeń, odkryli siódmy alfabet.

— Już to kiedyś widziałam — powiedziała, patrząc na inskrypcję, która wisiała na końcu korytarza, rozgałęziającego się pod kątem prostym. Dwie grupy znaków wyryto nad symbolami, które pewnie były odpowiednikami strzałek.

— To muszą być nazwy miejsc. Toalety. Tu pamiątki, tam lody. Bagaże po lewej.

Nightingale dotknął ust palcem wskazującym.

— Wiem, gdzie je widzieliśmy. Na pomniku przy poduszkowcu.

W tej chwili, gdzieś daleko przed nimi, usłyszeli stuknięcie. Hutch zamarło serce. Nightingale wstrzymał oddech.

— Jakieś zwierzę — powiedziała.

Czekali, próbując dostrzec coś we mgle.

Po obu stronach korytarza były zamknięte drzwi. Spojrzała na nie. Poruszyły się. Ruch był ledwo widoczny, otworzyły się może na palec i zatrzymały.

Stanęli bliżej siebie, żeby chronić się nawzajem. Hutch wyjęła laser. Milczeli.

Ponieważ nic się nie działo, Hutch podeszła do drzwi.

Zamknęły się. Hutch odskoczyła.

Znów się otworzyły.

— Może powinniśmy stąd pójść — wyszeptał Nightingale.

— Poczekaj.

Podeszła bliżej i próbowała coś dostrzec w szczelinie, ale na tyle, na ile było coś widać, nic ciekawego nie było w środku. Puste pomieszczenie i tyle.

Wzięła głęboki oddech i szarpnęła drzwi. Otworzyły się trochę szerzej. Puściła je, a wtedy zamknęły się, by znowu się otworzyć.

— Czujniki? — spytał Nightingale.

— Najwyraźniej. I nadal działają.

Przypomniała sobie, że budynek chyba był wyposażony w coś przypominającego kolektory słoneczne.

Drzwi miały niecałe trzy metry wysokości i wykonano je z jakiegoś tworzywa powszechnie spotykanego w tej budowli. Nie miały klamki ani gałki. Hutch dostrzegła jednak prostokątny zielony pasek, który mógł być czujnikiem. I kolejny zielony pasek z wyblakłymi znakami, które mogły informować o tym, kto zajmuje biuro albo jaka jest funkcja tego pomieszczenia.

Mimo obietnic Canyon znów się odezwał.

— Hutch, to szczególna chwila. Co czułaś, kiedy usłyszałaś ten dźwięk?

Hutch wiedziała, że słowa, które wypowie, obiegną świat. Pożałowała, że pozwoliła Augiemu i dwóm miliardom widzów podsłuchiwać. Chciałaby udawać zblazowaną, jak przystało na bohaterkę, ale nie mogła sobie przypomnieć, czy wydawała jakiś odgłos przerażenia.

— Bałam się — odparła.

Drzwi otworzyły się znowu.

Ziemia zatrzęsła się. Kolejny wstrząs.

Szli dalej. Drzwi zamykały się i otwierały. Poza tym nie było słychać żadnego dźwięku.

Wspięli się po rampie do części podzielonej na mniejsze pomieszczenia. Osiem czy dziewięć pokoi, wszystkie z niskimi sufitami. Oznakowania umieszczono na poziomie pasa. Były tam małe ławeczki i poręcze sięgające im kolan przy grodziach. Klatka schodowa — dla świerszczy, sądząc z rozmiarów — prowadziła na górne piętro.

W kilku pomieszczeniach były rzędy krzeseł. Bardzo przypominało to kabinę poduszkowca. W jednym z nich sufit w pewnym miejscu podniesiono do poziomu takiego, że mogli się

wyprostować.

Z kompleksu nie prowadziło żadne wyjście poza tym, którym weszli, rampą w dół i z powrotem do hali.

— Chyba właśnie dotarliśmy do pomieszczeń windy — rzekła Hutch.

Jeśli tak było, maszyneria, która wprawiała to wszystko w ruch, musiała być ukryta.

— Pewnie masz rację.

Spojrzał na malutkie poręcze.

— To nie była zaawansowana kultura — rzekła. — Jak sądzisz, jak zareagowały świerszcze, kiedy jastrzębie przybyły i kazały im się zbierać?

XXXI

Zwykle uważa się, że inteligencja stanowi przewagę ewolucyjna. Ale jakie mamy na to dowody? Jesteśmy otoczeni wielbicielami uzdrawiania metodami nadprzyrodzonymi, astrologii, wiary w sny i narkotyki. Czy mamy zaakceptować tezę, że te hordy nieszczęśników miały inteligentnych przodków?

Jestem gotów przyznać, że głupota nie pomaga w przeżyciu. W końcu każdy zrozumie, że tygrysa nie należy szturchać kijem. Ale inteligencja to ciekawość, a ciekawość nigdy nie pomagała w zachowaniu własnych genów w puli. Prawda musi tkwić gdzieś pośrodku. Bez względu na to, jaka jest przyczyna, to przeciętność żyje i rozkwita.

Gregory MacAllister, Refleksje bosonogiego dziennikarza

Czas do rozpadu (prognoza): 29 godzin

Kilkaset osób zebrało się w sali kinowej „Gwiazdy", gdzie można było oglądać akcję ratunkową na kilkunastu ekranach, popijając drinki z przyjaciółmi. Marcel wędrował po gigantycznym statku, próbując myśleć o czymś innym, i wszedł właśnie do kina, gdy Beekman wywołał go i spytał, gdzie jest. Po kilku minutach spotkali się w małej salce na pokładzie widokowym. Dyrektor projektu był blady.

— Co się dzieje, Guntherze? — spytał Marcel.

Stali koło eksponatu przedstawiającego budowę „Wieczornej Gwiazdy". Oto sam początek: Ordway Conover rozmawia z inżynierami, wyjaśniając im, że chce zbudować najbardziej spektakularny statek nadświetlny, jaki dotąd powstał. A oto „Gwiazda" na orbicie okołoziemskiej — a raczej jej zaczątek, czyli kil. Tutaj instalacja elektroniki, a tam basen na pokładzie Delta. A tu ważne osobistości, które wchodzą na pokład przed dziewiczym rejsem. I pierwszy kapitan, Bartlett Hollinger, brodaty, szarooki, białowłosy,

wyglądający na niesłychanie kompetentnego, a zarazem dobrego wujka, którego wszyscy uwielbiają.

— Wiesz — rzekł Beekman — niektórzy ludzie na „Wendy" uważają, że robimy coś złego.

To zdanie uderzyło Marcela. Sądził, że Beekman sugeruje, iż popełnili w akcji ratunkowej jakiś błąd, przegapili coś zasadniczego, coś, czego nie da się już naprawić.

— To znaczy? — spytał, nie mogąc wydobyć głosu innego niż szept. — Co ich zdaniem powinniśmy robić?

— Uważają, że zaniedbujemy właściwą misję.

Marcel poczuł ogromną ulgę oraz, gdy dotarło do niego, co to znaczy, niedowierzanie. W końcu stłumił w sobie falę gniewu.

— Ty też tak uważasz?

Beekman długo milczał, zanim udzielił odpowiedzi.

— Nie wiem — rzekł w końcu. — Nigdy już niczego podobnego nie zobaczymy. Na pewno nie za naszego życia. Możemy dowiedzieć się o grawitacji i budowie planet więcej niż przez sto lat teoretyzowania. Marcelu, to prawda, że oto właśnie bezcenna okazja wymyka nam się z rąk.

— Chcesz tam zostawić Kellie?

— Oczywiście, że nie.

— Nie da się załatwić obu rzeczy naraz, Gunny.

— Pytałeś, czy ja chcę zostawić Kellie. Nie chcę. Doskonale o tym wiesz. Ale i ty, i ja zdajemy sobie sprawę z tego, że pomysł z wielkim kijem prawdopodobnie się nie sprawdzi. Zbyt wiele rzeczy może pójść nie tak, jak powinno. Może lepiej byłoby, gdybyśmy sobie zdali z tego sprawę i z powrotem skoncentrowali się na tym, po co tu przylecieliśmy.

Marcel wziął głęboki oddech.

— Guntherze, odwróćmy tę sytuację na minutę. Wyobraźmy sobie, że to twoja decyzja. Co byś zrobił?

— A podporządkowałbyś się mojej woli?

Marcel uniósł wzrok i spojrzał na duży obraz, przedstawiający młodą kobietę jedzącą obiad przy promenadzie. Przez okno było widać Mgławicę Kraba.

— Tak — odparł. — Podporządkowałbym się twojej decyzji. W takim razie co robimy? Spisujemy Kellie na straty? I pozostałych razem z nią?

Beekman spojrzał na Marcela, przeniósł wzrok na portret, patrzył na niego przez dłuższą chwilę.

— To nierozsądne — odparł w końcu.

— Co?

— Wiesz, o czym mówię.

— Jasne. O podejmowaniu decyzji zamiast krytykowania.

Wydał dziwny dźwięk.

— Dobrze — oznajmił. — Zrób to po swojemu. Ale gdzieś po drodze będziemy musieli za to zapłacić.

Dowództwo na mostku „Gwiazdy” wydało z siebie serię „ochów” i „achów” na widok obcych inskrypcji, rozpadających się korytarzy i jastrzębi w królewskich szatach. Lori systematycznie usuwała mgłę i powiększała obraz. Oto kilka pustych pomieszczeń przylegających do dużej hali, dalej lekko zakrzywiający się korytarz, a w nim, z obu stron, drzwi ze znakami z obcych alfabetów. Marcel zastanawiał się, czy opisywały one funkcję pomieszczenia, czy też były po prostu imionami urzędujących tam istot.

Jastrzębie. Jak wyglądało ich życie? Czy wieczorami siadywali i grali w jakiś własny odpowiednik pokera? Czy lubili rozmawiać przy posiłkach? Czy znali muzykę?

Tak bardzo chciał, by mogli dowiedzieć się, jak podjęto decyzję o ratowaniu średniowiecznego świata, który wchodził w chmurę pyłu. To musiało wymagać gigantycznego wysiłku ze strony rasy, która nie znała nawet antygrawitacji. Ilu uratowali? Dokąd odlecieli?

Usłyszał, jak moc rośnie, poczuł, że statek dokonuje korekty kursu.

Budynek był gigantyczny. Na głównym ekranie ściennym powstawał jego plan. Pomieszczenia dla istot rozmiaru ludzi we wschodnim skrzydle, pomieszczenia, które mogły służyć za poczekalnie albo magazyny, górne poziomy, na które jeszcze się nie dostali. Marcelowi wydawało się, że zobaczył jakieś przedmioty na półkach w północnym skrzydle, ale nie było go akurat przed ekranem, kiedy przesłano ten materiał, więc widział tylko nagranie. Hutch i Nightingale albo nie zauważyli tych przedmiotów, albo uznali, że to nic ważnego i nie warto tracić na nie czasu. Potem nie chciał już o tym wspominać.

— To miejsce jest jak jaskinia skarbów — rzekł Drummond, obserwując wszystko ze swego wahadłowca. — Szkoda, że nie mamy czasu przyzwoicie się mu przyjrzeć.

Marcel pomyślał, że mają szczęście, iż w ogóle coś widzą. Podejrzewał, że materiału starczy naukowcom na wiele lat badań.

Nagle pojawił się przy nim Beekman. Od ich ostatniej rozmowy starał się nie patrzeć Marcelowi w oczy.

— Wiesz — odezwał się, jakby nic się nie stało — na górze szykują się duże zmiany, kiedy to wszystko się skończy. Gomez odejdzie.

— Tak sądzisz? — spytał Marcel.

Irene Gomez była dyrektorem Akademii od ponad dziesięciu lat.

— To ona była kiedyś w grupie, która podjęła decyzję o

nieszczęsnej wyprawie Nightingale'a. A teraz patrz, co się stało. Wszystko na marne. Materiały wychodzą od tego faceta z Universalu, jak mu tam?

— Canyon.

— Tak. Canyon. Dostaną to wszystko pojutrze. Zarząd zwoła spotkanie. Założę się, że Gomez odejdzie z końcem tygodnia. A z nią wszyscy jej szefowie departamentów.

Wyglądało na to, że rozmowa na ten temat sprawia mu przyjemność. Marcel nie miał powiązań z panią dyrektor, ba, nawet jej nie poznał osobiście. Ale wiedział, że nigdy nie cieszyła się szacunkiem ani lojalnością ludzi Akademii. Oczywiście, pomyślał, ten sam los spotkałby Beekmana, gdyby kiedykolwiek wydało się, że opowiedział się za pozostawieniem rozbitków swojemu losowi.

— Bezcenne — rzekł Beekman. Jego ton zdradzał, co naprawdę myśli: *Jeśli nawet stracimy tych ludzi, warto było.*

W rozmyślania Marcela wdarł się głos Lori:

— Wstępne manewry zostały zakończone. Znajdujemy się na kursie.

W jednym z mniejszych pomieszczeń znaleźli portret.

Wisiał na ścianie, pod warstwą kurzu. Hutch starła ją, po czym przetarła obraz szmatką i pojawiły się wizerunki.

Dwa świerszcze stały po bokach jastrzębia, który był ze trzy razy wyższy od nich. Miały szaty z kapturem: jeden z nich naciągnął go na głowę, drugi nie. Czaszki były pozbawione włosów, nie zauważyła też żadnych brwi. Mimo uprzedzeń, jakie wiązały się z tym, że świerszcze nie wykształciły zaawansowanej techniki, Hutch dostrzegła w ich twarzach inteligencję.

Groźny wygląd jastrzębia łagodziła trzymana przez niego łaska. Jedynym elementem stroju była ciemna wstążka zamotana wokół ramienia. Jastrząb miał szeroką klatkę piersiową i grzebień, który dumnie eksponował. Jego towarzysze wyglądali przy nim na maleńkich. Niewątpliwie jednak byli jego towarzyszami.

Stworzenie miało oczy drapieżnika, pazury i futro w miejscach, gdzie Hutch spodziewała się zobaczyć pióra. Hutch zaskoczyło opanowanie świerszczy, które łatwo mogły zostać przez nie pożarte.

Było tam coś jeszcze.

— Co? — spytał Nightingale.

Nie była w stanie wydedukować, jakiej płci są świerszcze. Ale jastrząb?

— To samica — powiedziała.

Nightingale westchnął.

— Skąd wiesz?

— Nie wiem, Randy. — Zastanowiła się nad własnymi

reakcjami. — Może ma coś w oczach.

Nightingale sięgnął po obrazek i ucieszył się, że da się go zdjąć. Był za duży, żeby się zmieścić w plecaku, więc Randy po prostu go niósł.

Do tego czasu stworzyli już mapę prawie całego parteru budowli. Winda na stację na orbicie została umieszczona we wschodnim skrzydle, na przecięciu linii północ-południe i wschód-zachód. Górne poziomy, jeśli oceniać po skali, były użytkowane przez jastrzębie. Wyglądało na to, że świerszcze korzystały tylko z parteru.

Ściemniało się, gdy dotarli do części północnej. Tu byli bardziej ostrożni, gdyż, jak twierdził Marcel, budynek znajdował się nad przepaścią.

Podeszli do zniszczonej rampy i w dole dostrzegli kolejny portret. Mimo protestów Nightingale'a, Hutch użyła swojej liany, żeby zejść na dół i zabrać go. Był to obraz jastrzębia w pełnych wymiarach.

Stworzenie nie miało skrzydeł.

— One są za duże, żeby mogły latać — rzekł Nightingale.

— Nawet gdyby miały duże skrzydła?

Nightingale zaśmiał się, ale szybko umilkł.

— Naprawdę duże? — odparł. — Coś o masie takiej jak my, a te stworzenia najwyraźniej miały podobne rozmiary, nigdy nie byłoby w stanie wzbić się w powietrze o własnych siłach.

— Może pochodzili ze świata o niższej grawitacji?

Oboje mówili przyciszonymi głosami, jakby normalny poziom głośności był czymś niewłaściwym. Jeśli któreś odezwało się głośniej, echo od razu im o tym przypominało.

— Możliwe — odparł Nightingale. — Ale grawitacja musiałaby być bardzo niska. A gdyby tak było, te stworzenia nie czułyby się najlepiej na Maleivie III. Nie, nie sądzę, żeby mogły latać. Założę się, że ich przodkowie też nie latali. To podobieństwo do jastrzębi sprawia, że myślimy w ten sposób.

Hutch wiedziała, że Kellie też chce rzucić okiem na budynek, więc byli w środku już za długo.

— Trzeba wracać — rzekła.

Nightingale zrobił zrozpaczoną minę. Włóczyłby się tu w nieskończoność, gdyby mu pozwolono.

— Dlaczego nie możemy zostać jeszcze chwilkę? — W północnej części budynku była podwójna rampa, która prowadziła na dolny poziom. — Rzućmy tam okiem i wracajmy, dobrze?

— Dwie minuty — powiedziała.

Zeszli na dół i znaleźli kolejny szeroki korytarz, którego ściany były pokryte inskrypcjami w sześciu językach. Czasem, zamiast kilku słów, w każdej grupie symboli było dwadzieścia albo więcej linii.

— Właśnie czegoś takiego potrzebowaliśmy — rzekła Hutch. —

Przetłumaczyliśmy jeden język z Quraquy, mając jeszcze mniej materiału.

Perspektywa była ekscytująca, ale ścianę najpierw należało oczyścić i odnowić, zanim dałoby się z niej skorzystać. Hutch użyła mikroskanera, wiedząc jednak, że niewiele będzie widać.

Były tam jeszcze inne inskrypcje. Były krótkie, zwykle stanowiły grupy składające się z dwóch albo trzech słów. Hutch rozpoznała znaki z górnej linii pomnika, który znaleźli w pobliżu poduszkowca.

Próbowała sobie wyobrazić tę halę w czasach świetności.

Podeszli do kilku drzwi po prawej stronie. Za każdymi było pomieszczenie szerokie na jakieś cztery metry. Nie było w nich żadnych mebli.

Wetknęła głowę, nie zauważyła niczego ciekawego i poszła do następnego.

Było ich osiem, o identycznych rozmiarach. Hutch zaglądała do każdego, mając nadzieję, że coś ją gdzieś zaskoczy. Miały niskie sufity. Zaprojektowano je dla świerszczy.

W końcu zatrzymali się w ósmym, na końcu korytarza. Nie było tam żadnych artefaktów, inskrypcji, niczego. Puste pomieszczenie.

— Chodźmy — rzekła.

Ruszyła i w tej samej chwili pomieszczenie drgnęło. Był to chwilowy wstrząs, jakby przez budynek przebiegł impuls. Trzęsienie ziemi, pomyślała.

Coś zaczęło zgrzytać w ścianach. Pomieszczenie podrygiwało.

— Uciekaj, Randy!

Skoczyła do wyjścia. Drzwi już się przemieszczały, trzeszcząc, opadając ze szczękiem z góry. Nightingale zastygł, a Hutch się odwróciła. I już było za późno. Podeszła, ale już nie dało się przez nie przejść. Drzwi zatrzymały się, na szerokość dłoni od podłogi, i opadły na pokrytą pyłem podłogę. Odcięły w ten sposób dopływ światła i Hutch przykucnęła w ciemności. Włączyła latarkę.

— Niedobrze — rzekł Nightingale.

Zgrzyt w ścianach stał się głośniejszy Podłoga przesunęła się odrobinę do góry. I opadła z powrotem. W komunikatorze rozległ się głos Miry:

— Co się stało?

— Nie wiemy. Czekaj chwilę.

Nightingale wycelował laser w drzwi i pstryknął przełącznikiem. Biały promień liznął szarą powierzchnię, która zaczęła czernieć. Nagle podłoga gwałtownie opadła. Wystraszony Nightingale stracił panowanie nad laserem i omiótł nim pomieszczenie, zanim go upuścił. Laser, jak przewidywała jego konstrukcja, natychmiast się wyłączył.

Pomieszczenie opadło. Zatrzymało się. Znów opadło o kilka metrów.

— Mój Boże — odezwał się Nightingale. — Co się dzieje?

— Kolejna winda. Wygląda na to, że działa. Komora znów opadła. Włączył się Marcel.

— Co się dzieje? Jak sytuacja?

Canyon nadal słuchał, ale poza słowem zachęty litościwie milczał. Pomieszczenie podskakiwało, wibrowało i opadało.

— Idę — rzekła Kellie.

— Nie. Zostań w lądowniku.

— Tu wam nie pomogę.

— Nie sądzę, żeby tu ci się coś udało zrobić.

Nightingale wyglądał na człowieka ogarniętego atakiem paniki. Ona pewnie też.

Coś zagrzechotało pod podłogą.

Sufit był za nisko, żeby mogli się wyprostować. Wybrali jeden z rogów pomieszczenia i przykucnęli tam.

Zgrzyt przycichł, ale winda nadal chaotycznie opadała. Hutch dokończyła swoim laserem dzieło Nightingale'a, wycinając solidny kawał podłogi. Na zewnątrz było ciemno, a mgła gęsta, jak przez cały czas. W świetle lampy nie było jednak widać ściany. Hutch dostrzegła tylko plątaninę belek i rozpórek.

— Co robimy? — spytał Nightingale.

Poszerzyła otwór, który teraz był na tyle duży, że można było przez niego wyskoczyć, gdyby nadarzyła się okazja.

— Brzegi będą ostre — ostrzegła. — Przygotuj się, może się uda.

Jazda trwała nadal. Nightingale podszedł, wyjrzał, ale był na tyle ostrożny, żeby się zanadto nie zbliżać. Nadal nie było widać niczego poza konstrukcją, którą wolno mijali.

— Chyba zjeżdżamy do jakiejś piwnicy — powiedziała, by chwilę potem dodać: — Widzę światło.

Winda zadygotała i zagrzechotała, z podłogi i sufitu dobiegły piski i zgrzyty. Nagle zobaczyli pustą przestrzeń. Mgła znikła, przez otwór wpadło światło dnia.

— Gdzie my jesteśmy, u licha? — dopytywał się Nightingale.

Spojrzała w dół, na jasnoszarą ścianę, która opadała ku zielonym wzgórzom.

— Właśnie tak świerszcze wyjeżdżały na górę. Nightingale wyjrzał i zadrżał.

— Nie sądzisz, że pojedziemy na sam dół?

— Przypuszczam, że tak. Chyba że ich technika się nie sprawdzi. Jeśli tak, winda zatrzyma się gdzieś po drodze i trzeba będzie się przesiąść do innej windy.

Trudno było określić, czy Nightingale uznał to za dobrą czy złą nowinę. Pod nimi było trochę chmur, kolejne na horyzoncie. Nightingale przygotował się, spojrzał w dół i westchnął.

— Mój Boże — rzekł.

— Nie podchodź. — Odciągnęła go do tyłu.

Kellie usłyszała ich.

— Mam gdzieś, co sobie myślisz — oznajmiła. — Wkładam sprzęt i idę tam.

— Nie ma sensu. Nie dotrzesz do nas. Poczekaj, aż zobaczymy, o co w tym chodzi. Tylko bądź gotowa, na wypadek, gdybyśmy cię szybko potrzebowali.

— Dobrze — westchnęła. — Nie rozłączaj się.

Łomoty i zgrzyty trochę ucichły, a jazda stała się bardziej płynna, bardziej stabilna, windą już tak nie trzęsło, jakby maszyneria wreszcie się rozgrzała.

Winda zwolniła, znów przyspieszyła, po czym szarpnęła i zatrzymała się.

Hutch spojrzała w dół, na dolinę rzeki, która była tak daleko w dole, że aż bolała głowa. Uświadomiła sobie, że są na północnym zboczu góry, w części, która wyglądała na sztucznie ukształtowaną.

— Co robimy? — wysapał Nightingale. — Chyba utknęliśmy.

Winda zadrżała.

— To chyba trzęsienie ziemi.

— Jeszcze tego nam trzeba. — Spojrzał na nią; w jej oczach malował się strach. — Hutch, przydałaby się nam jakaś pomoc.

— Ależ ty lubisz wszystko bagatelizować, Randy.

— Możecie nam opisać, gdzie jesteście? — włączyła się Kellie.

Hutch odpowiedziała jej i dodała:

— Dość wysoko. Chyba potrzebna będzie operacja „powietrze-powietrze".

— Co rozumiesz przez operację „powietrze-powietrze"? — spytał Nightingale na prywatnym kanale. — Chyba nie to, co mam na myśli?

— A chcesz schodzić na dół?

Ponad nimi widać było siatkę wsporników, belek i ukośnych elementów; była to konstrukcja, w której poruszała się winda.

Tylna ściana przesuwała się po zboczu góry. Znajdowali się jakieś pięćdziesiąt metrów poniżej szczytu. Klif, o ile była w stanie coś dostrzec, miał różne półki skalne i wybrzuszenia, było tam też parę drzew, ale nie dałoby się po nim bezpiecznie zejść.

— Czy oni naprawdę mogą nas stąd ściągnąć? — spytał Nightingale.

— Bułka z masłem — odparła.

Ta uwaga jakoś wcale go nie uspokoiła.

— Jak?

— Po prostu podlecą i nas wyciągną. Siedź spokojnie i czekaj, aż przylecą.

Spojrzał w dół i resztka koloru odpłynęła z jego twarzy. Winda

znów opadła, ale tylko o jakieś kilka centymetrów. Złapał gwałtownie powietrze i spojrzał na nią, przerażony.

— Lepiej się nie zbliżaj — doradziła.

— Jak zamierzamy to zrobić? Skoczyć?

— Coś w tym rodzaju, Randy. Ale będziesz przywiązany liną, więc nie spadniesz.

Potrząsnął głową.

— Hutch, nie przypuszczam, żeby udało mi się to zrobić.

— Ależ uda ci się. Przecież nie możemy tu zostać. Dostrzegła, że poza strachem odczuwa poniżenie. Zaczęli znów opadać, wolno i jednostajnie.

— Jedziemy na dół — rzekł. — Może, jak trochę poczekamy, dotrzemy tam i wszystko będzie w porządku.

Hutch nie odpowiedziała. Po prostu usiadła i czekała na pojawienie się lądownika.

— Na czym trzyma się ta winda? — spytał Marcel.

— Chyba na linie — rzekła Hutch, wsłuchując się w tak upragniony szum silników.

— Nie — odparła Kellie. — Nie widzę liny.

Marcel wydał z siebie odgłos zatroskania.

— Jesteś pewna?

— Tak. Nie ma liny.

— W takim razie to musi być jakiś inny system niż te, z których my korzystaliśmy — zauważył Marcel. — Może nie używali lin. Może windy jeździły w górę i w dół na jakiejś szynie magnetycznej.

— Chyba nie — rzekła Kellie. — Ta winda ma linę przyczepioną na górze.

— Jesteś pewna? — spytała Hutch.

— Zwisa z niej parę metrów liny.

XXXII

Wszyscy narzekają na pogodę, a teraz, gdy mamy technologię, która umożliwia zrobienie z tym czegoś, nic nie robimy. Prawda jest taka, że zła pogoda jest potrzebna. O wiele przyjemniej leży się na plaży ze świadomością, że gdzie indziej ktoś moknie w deszczu.

Gregory MacAllister „Refleksje”
(Eseje zebrane)

Czas do rozpadu (prognoza): 27 godzin

Abel Kinder przyglądał się liczbom płynącym po ekranie. Niedostrzeżony dotąd front wysokiego ciśnienia przemieszczał się nad Ocean Nirwany, by zderzyć się z wyjątkowo niskim frontem na wschodnim wybrzeżu Transitorii. Tornada pędziły w głąb lądu. Huragany omiatały wody, które w normalnych warunkach były za zimne, żeby mógł się nad nimi urodzić huragan.

Wcisnął przycisk Marcela.

— Co masz ciekawego, Abel? — spytał kapitan.

— Pogoda się pogarsza. Kiedy mamy ich zabrać?

— Za dziewiętnaście godzin z groszami.

— I pewnie nie da się nic przyspieszyć?

— Nie ma szans. Odkąd machina ruszyła, nie da się już nic zmienić. Jak to wygląda?

— Kiepsko. Nigdy nie widziałem takich odczytów. Powiedz im, że będzie wiało i padało. Szczególnie wiało.

— Jak bardzo?

— Bardzo.

Tom Scolari i Cleo, którzy z niekłamaną przyjemnością obserwowali, jak asteroida odpływa w noc, zostali zabrani na pokład „Zwicka”. Był to mały, kanciasty statek z mnóstwem anten. Na kadłubie miał błyszczący napis „UNIVERSAL NEWS”.

Janet poinformowała ich, że zostali przydzieleni do pokładowego zespołu Autsajderów.

— Za siedem godzin macie następne zadanie — powiedziała. — A

tymczasem możecie trochę odpocząć.

Przyjął ich niski, nierzucający się w oczy człowieczek, który wyglądał na bibliotekarza, i wysoka, smukła blondynka, która zachowywała się jak arystokratka udająca prostego człowieka.

— Nazywam się Jack Kingsbury — rzekł mężczyzna. — Jestem tu spawaczem. — Uśmiechnął się.

Kobieta nazywała się Emma Constantine.

— Miło mi państwa gościć na pokładzie — rzekła z jakimś przesadnym zainteresowaniem. — Wspaniale sobie radzicie. — Miała doskonałą wymowę.

— I, jak przypuszczam, stanowi pani resztę zespołu — rzekł Scolari.

Tak jednak nie było.

— Jestem producentem Augusta Canyona. — Przyjrzała im się uważnie. — Macie jakieś ubranie na zmianę? Do licha, nie potrafię tego zrozumieć. Obiecali mi, że będziecie mieli czyste ubrania.

— Kto obiecał? — spytała Cleo, zanim Scolari zdążył zareagować.

— Mój kontakt na „Wendy". Chcemy przeprowadzić z wami wywiad. Na żywo. Tylko że wyglądacie na trochę zmiętoszonych. Zobaczmy, czy da się znaleźć coś, co będzie na was pasować…

Marcel stracił kontakt z rozbitkami. Siedział niepocieszony na mostku „Gwiazdy", a Lori próbowała przebić się do „Tess" przez burze elektryczne, które przetaczały się przez atmosferę.

Pomieszczenia robocze „Gwiazdy" były bardziej luksusowe niż zatłoczony mostek na „Wendy". Na mostku były skórzane okładziny, delikatne oświetlenie, giętkie ekrany ścienne i fotel kapitana, który byłby całkowicie na miejscu w ekskluzywnym klubie.

Wiedział, dlaczego tak jest. Na „Gwieździe" mostek należał do miejsc udostępnionych do zwiedzania. Była to jedyna operacyjna część wielkiego statku, którą zwiedzali pasażerowie, więc potęga i bogactwo musiały być tam widoczne. Wizyty kończyły się dopiero przy wprowadzaniu ostatecznych poprawek kursowych.

Nicholson drażnił Marcela. Trudno mu było określić przyczynę. Ten facet był przecież przyjacielski. Kiedy już podjął decyzję o wzięciu udziału w akcji, błyskawicznie i skutecznie reagował na wszelkie potrzeby związane z operacją. Robił wszystko, co mógł, żeby Marcel i jego ludzie czuli się wygodnie, i nawet tolerował Beekmana, który czasem potrafił zachować się arogancko. Być może robił wszystko, żeby postępować zgodnie ze stereotypowym wizerunkiem kapitana statku. Mówił, jakby on, Marcel i Beekman działali na jakichś wyższych poziomach niż wszyscy pozostali. Szybko krytykował, był skory do twierdzenia, że ta misja miałaby większe szanse powodzenia, gdyby mieli na pokładzie więcej takich ludzi jak oni sami.

Szczególnie chętnie krytykował ochotników. To przecież amatorzy. Nie można od nich oczekiwać, że zrobią coś dobrze.

Ale ci amatorzy, zauważył kilka razy Marcel, całkiem nieźle sobie radzą.

Podczas krótkiego pobytu na pokładzie „Gwiazdy" Marcel doszedł do wniosku, że Nicholson nigdy nie nauczył się rozróżniać między utrzymywaniem dystansu od swoich oficerów a byciem powściągliwym. Kapitan sprawiał wrażenie samotnego człowieka, który pewnie nie miał żadnych przyjaciół wśród załogi statku.

Beekman i jeden z jego fizyków siedzieli stłoczeni w kącie. Beekman powołał zespół, który analizował kurs, prędkość i kąt walca Alfa po odczepieniu od reszty artefaktu. On i Drummond wykonali wszystkie obliczenia niezbędne do obrócenia walca i ustawienia go tak, by jutro rano o właściwej porze znalazł się we właściwym miejscu nad powierzchnią Deepsix.

Na mostku było kilkunastu zwiedzających, przeważnie otyłe pary w średnim wieku, rozmawiające o kolacji albo wieczornym przedstawieniu w teatrze „Gwiazdy" — miało to być *Indygo* Barry'ego Englisha. Marcel zasugerował, by odwołali spektakl, bo wieczorem miano dokonywać poprawek kursu, ale Nicholson bał się, że może to wywołać panikę, niezadowolenie czy obrazę. Ruchy statku miały być niewielkie. I oczywiście o wszystkim będzie wiadomo z góry.

Beekman skończył rozmawiać, przeprosił i podszedł do nich.

— Wszystko gra — oświadczył. — Wszystko na swoich miejscach.

— Doskonale — Marcel odsunął się od konsoli, a Beekman zajął miejsce. — Guntherze, jesteście niesamowici, ty i twoi ludzie.

— Dzięki. Martwiliśmy się, że podczas obracania walec zostanie poddany za dużym naprężeniom i gdzieś pęknie. Albo że spawy nie wytrzymają. Ale wygląda na to, że wszystko gra. Myślę więc, że możesz na razie zejść z posterunku.

— Obaj możemy, Gunny. Albo ty. Ty, John i cała armia spawaczy-hobbystów. Kto by pomyślał?

— No, o zasługach będziemy mówili, jak ich stamtąd wyciągniemy. Za dziewięć minut będzie poprawka kursu. Bardzo mała. Nicholson wie.

— Poprawiłeś mi humor, Gunny.

— Nie widać tego po tobie. Co się dzieje, Marcelu? Ta heca z windą?

— Tak. W tej chwili wygląda to dość przerażająco.

— Nic im nie będzie. Kellie ich wyciągnie. Rozmawiałeś z nimi?

— Nie. Nadal nie ma łączności.

Lądownik zajął miejsce z przodu windy. Padał deszcz, dookoła strzelały błyskawice. Kellie w fotelu pilota walczyła z silnym wiatrem,

który spychał ją na ścianę.

— Musimy zrobić to szybko, Hutch — rzekła. — Nie wiem, jak długo będę mogła tam wisieć. — Miała na myśli moc potrzebną do unoszenia się.

— Dobrze — rzekła Hutch.

— Coś jeszcze. Windy są we wnętrzu konstrukcji.

— Wiemy.

— Dobrze. Więc wiecie, że to plątanina belek, wsporników i płyt. Właśnie ona was podtrzymuje. Muszą tam gdzieś być szyny, bo windy poruszają się w górę i w dół po szynach. Wszystko jest stare i zniszczone. Metal musiał się pokrzywić i dlatego winda nie może zjechać w dół.

— Co ty nam próbujesz powiedzieć, Kellie?

— Jakieś pięćdziesiąt metrów pod wami jest dziura. Jeśli tam zjedziecie, po prostu spadniecie. Do widzenia.

— Doskonale. Na razie wygląda na stabilną. Do roboty.

— Kto pierwszy?

— Randy.

Nathingale spojrzał na nią błagalnie. Twarz miał barwy popiołu.

Co ona ma z nim zrobić? Zostawić go tu? Lądownik opadł trochę, aż ustawił się równo z windą. Kellie otworzyła klapę i MacAllister pokazał im linę.

— Jest przywiązana do wspornika fotela, Randy — powiedział.

Nathingale pokiwał głową niecierpliwie.

— Dobrze.

MacAllister popatrzył na Hutch, od której dzieliło go zaledwie kilka metrów. Też wyglądał na wystraszonego, ale próbował zachowywać się nonszalancko. Czemu nie? W końcu był żołnierzem.

Lądownik wznosił się i opadał, szarpany wiatrem. Podpłynął do windy, po czym oddalił się.

— Nie za blisko — rzekła Hutch.

— Strasznie tu wieje — odezwała się w słuchawkach Kellie.

Mac zwinął linę i ocenił odległość.

— Gotowa, Hutch?

— Tak.

Lina poleciała w jej stronę. Sięgnęła, ale nie udało jej się złapać. Mac znów zwinął linę i spróbował jeszcze raz. Znów nie doleciała.

— Jesteś za daleko — zwrócił się do Kellie.

Hutch usłyszała stłumione przekleństwo. Lądownik oddalił się, ciągnąc linę. Gdy Mac był znów gotowy, podjęli kolejną próbę.

Lądownik unosił się na poduszce powietrznej. Nagle opadł i ku przerażeniu Hutch MacAllister o mało nie wypadł. Nightingale zesztywniał.

— Przeklęty wiatr — rzekła Kellie.

Mac odszedł od włazu.

— Wszystko w porządku, Mac? — spytała Hutch.

— Widziałaś, co się dzieje?

— Tak — odparła Kellie. — Przywiąż się.

Znikł na chwilę, po czym pojawił się obwiązany w pasie liną. Problem oczywiście polegał na tym, że gdyby rzeczywiście wypadł, Kellie nie mogłaby odejść od sterów, żeby mu pomóc, i musiałaby polecieć na dół i wylądować, żeby mógł wsiąść z powrotem.

— Dobrze — rzekł MacAllister zaskakująco spokojnym głosem. — Spróbujmy jeszcze raz.

— To nie takie łatwe — rzekła Kellie. — Jak już złapiesz linę, musisz się naprawdę szybko ruszać.

Hutch zrozumiała. Gdyby podczas całej operacji uderzył silny wiatr, lądownik odsunąłby się, wyszarpując z windy linę wraz z osobą uwieszoną na jej końcu.

Kellie zbliżyła się. Hutch nie spuszczała oczu z Maca, który oceniał odległość. Linę trzymał zwiniętą w prawej ręce. Lądownik obracał się, opadał, wznosił się, aż zbliżył się do niej.

Mac dostrzegł szansę i lina poleciała w jej kierunku. Rozwinęła się; była mokra od deszczu, ale Hutch udało się ją złapać.

— Dobrze, Randy — rzekła. — Jazda.

Cofnął się i w jego oczach dostrzegła wewnętrzną walkę.

— Nie mamy czasu na głupoty — powiedziała cicho. — Jeśli tu zostaniemy, zginiemy.

— Wiem.

Czekała.

— Hutch — odezwała się Kellie. — Do roboty. Nie mogę tu wisieć wiecznie.

— Pracujemy nad tym.

Nightingale podszedł i zamknął oczy. Owinęła go liną w pasie, przełożyła ją pod pachami i związała z przodu. Nie było szans, żeby się z niej wyśliznął. Nightingale stawiał jednak opór, gdy popchnęła go w stronę otworu.

— Hutch — powiedział. — Nie mogę tego zrobić.

— Wszystko gra, Randy. Świetnie ci idzie. Winda znów opadła i zatrzymała się z hukiem.

— Hutch! — krzyknęła Kellie.

Nightingale podszedł do drzwi i spojrzał na lądownik. Deszcz lał się na niego.

— Nie patrz w dół — rzekła Hutch.

— Pospieszcie się! — wołała Kellie.

— Hutch?

— Tak, Randy?

— Jeśli się nie uda…

— Uda się.

— Jeśli się nie uda…

Sięgnął do brzegu otworu, znalazł go, zacisnął na nim palce. Lina łącząca go z lądownikiem naprężała się i rozluźniała, gdy Kellie próbowała zrekompensować prądy i wiatr nad przepaścią.

Hutch stanęła za nim i delikatnie oderwała jego palce.

— Zawsze się udaje — powiedziała i wypchnęła go. Poleciał w ciszy, choć przypuszczała, że będzie krzyczał.

Spadł. To musiało być kilka strasznych sekund, ale szybko było po wszystkim: lina naprężyła się i zawisł pod lądownikiem. Kellie szybko oddaliła się od ściany, a on huśtał się tam i z powrotem, trzymając się kurczowo liny i powtarzając w kółko: „O Boże”.

Mac zaczął wciągać go do środka. Hutch patrzyła, jak Nightingale rozpaczliwie wymachuje rękami i nogami i zaczęła się bać, że dostał ataku serca.

— Randy, uspokój się — powiedziała. — Nic ci nie będzie. Najgorsze za tobą.

Mówiła dalej, najbardziej kojącym tonem, na jaki mogła się zdobyć, aż Macowi udało się wyciągnąć rękę, złapać kamizelkę Nightingale’a i zacząć wciąganie go do środka.

Lądownik zakołysał się lekko i znów się zbliżył. Mac pojawił się we włazie z liną.

— Dobrze, ślicznotko — oznajmił. — Ty jesteś następna. Winda zadygotała. To pewnie kolejne trzęsienie ziemi.

Po chwili znów ruszyła w dół. Hutch odsunęła się od otworu i wstała. Deszcz bębnił po dachu. Winda dalej opadała i przez kilka sekund Hutch wydawało się, że spada swobodnie. Serce podpełzło jej do gardła. Metal zazgrzytał i winda zatrzymała się z hukiem.

Kellie krzyczała coś z przerażeniem.

— Wszystko w porządku — rzekła Hutch.

— Właśnie nie bardzo.

Hutch odniosła wrażenie, jakby jej rozdygotane serce się zatrzymało.

— Co się dzieje?

— Spadam.

Antygrawitacja przestała działać.

Hutch patrzyła, jak lądownik opada. Kellie spowolniła spadanie, włączyła silniki, i udało jej się trochę wznieść. Zbliżyła się.

— Musi nam się udać za pierwszym razem — rzekła.

Mac stał we włazie śluzy z liną. Kellie nadleciała od góry, wyłączyła silniki, odwróciła ciąg i zawisła. Natychmiast zaczęła opadać.

— Nie — rzekła Hutch. — To na nic.

Lądownik opadał za szybko. Mac spojrzał z rozpaczą w jej stronę.

— Muszę wylądować i doładować układ antygrawitacji — rzekła Kellie. — Hutch, przepraszam. Nie mam żadnego innego pomysłu.

Hutch pokiwała głową i pomachała im na pożegnanie.

— Leć na dół. Poczekam tu na was.

Robiło się ciemno. Wiatr się wzmagał, a oni nie mieli czujników. Nocna akcja ratunkowa nie miała szans powodzenia. Kellie walczyła z wściekłością i łzami.

— Nie możesz zostać w windzie, Hutch.

Hutch patrzyła, jak lądownik uruchamia silniki i odlatuje na wschód.

— Jest aż tak źle?

— Dobrze nie jest.

Wyjrzała. Na zewnątrz szalała burza. Spojrzała na konstrukcję, na belki, rozpórki i szyny prowadzące po obu stronach. Gdyby tylko udało się tam dostać.

Błyskawica eksplodowała gdzieś w górze, zalewając wszystko na sekundę ostrym światłem.

Zewnętrzna powierzchnia windy była gładka, bez żadnych uchwytów. Sufit był niski, ale nie dało się wyjść na dach. Nie widziała sensu w wychodzeniu na niego, nie mając czegoś, na czym można stanąć.

Winda znów się osunęła. Coś z łomotem uderzyło o jedną ze ścian.

Hutch cofnęła się i próbowała się zastanowić. Nie było łatwo jasno myśleć ze świadomością, co może się stać w każdej chwili.

Sięgnęła po swoją lianę, podeszła do otworu i wyjrzała na dach. Położyła się na brzuchu, wychyliła i spojrzała pod spód. Wisiała tam para lin. I dostrzegła tę przerwę, zaledwie kilka metrów poniżej. Brakowało szyn.

W tej sytuacji miała zaledwie parę minut.

Wyjęła laser, stanęła przy drzwiach i wycięła dziurę na wysokości pasa. Sekundę później — drugą, z lewej strony, na wysokości ramienia, tuż nad pierwszą. E-skafander chronił ją przez zimnem i upałem, ale nie była pewna, co się stanie, jeśli postawi stopę na gorącym metalu. Z drugiej strony, nie miała czasu czekać, aż wszystko ostygnie.

— Hutch — przez burzę przebił się głos Kellie. — Wylądowaliśmy i ładujemy kondensatory.

— W porządku.

— Dasz radę wyjść z windy?

— Dam ci znać.

Podeszła z powrotem do drzwi, zmierzyła odległość, spróbowała przekonać samą siebie, że nie ma różnicy między tym, co próbuje zrobić, a wspięciem się na dach garażu, co tyle razy robiła jako

nastolatka.

Wychyliła się i złapała najwyższy z uchwytów. Deszcz lał tak, że zapierało jej dech. Choć chronił ją skafander, z psychologicznego punktu widzenia wyglądało to, jakby pola tam nie było. Znów efekt McMurtriego.

Zebrała całą odwagę, wysunęła się na przód windy, włożyła stopę do dolnego otworu, wspięła się szybko do góry i wpełzła na dach. Mocowanie liny znajdowało się na środku, a dach był lekko pochylony. W pierwszym odruchu chciała podejść do środka, by odejść jak najdalej od brzegu. Ale to nic by nie dało.

Patrzyła, jak siatka skośnych i poziomych belek powoli się przesuwa. W górę. Były okrągłe i bardzo wąskie. Nie grubsze od jej nadgarstka. Jakiego materiału budowlanego używały te istoty?

Przesunęła się w stronę konstrukcji, przywiązała jeden koniec liany wokół nadgarstka i przeszła z dachu na belkę. Winda znów opadła, a Hutch odchyliła się i stała tak, aż winda zjechała niżej. Owinęła lianę wokół belki i ciasno zawiązała, po czym uświadomiła sobie, że przestała oddychać. Usiadła ostrożnie, z obiema nogami po jednej stronie szyny, choć wolałaby usiąść okrakiem, bo tak było bezpieczniej, choć mniej wygodnie.

— Hutch? — odezwała się Kellie.

— Wyszłam z windy.

— Wszystko w porządku?

— Tak. Chyba tak.

— Gdzie jesteś?

— Siedzę na belce.

Kolejne błyskawice. Łączność urwała się na chwilę. Kiedy wróciła, Kellie spytała:

— Jesteś bezpieczna?

— Wszystko gra.

— Za jakąś godzinę naładujemy kondensatory.

— Daj spokój. Zabijesz nasz wszystkich. Poczekaj do rana.

— Hutch…

— Rób, co ci mówię. W ten sposób wszyscy będziemy mieli większe szanse.

Winda nadal opadała wolno. Zatrzymała się, przez kilka minut wydawało się, że utknęła na dobre, po czym wypadła z konstrukcji, z szyn, i zaczęła spadać. Chwilę później Hutch usłyszała, jak rozbija się w lesie.

GORĄCA LINIA

Jedna z dwóch osób, które dziś rano utknęły w windzie, pozostaje nadal w niebezpieczeństwie…

Nicholson wolałby teraz siedzieć w swojej chacie w górach Adirondacks. Nigdy w życiu tak bardzo nie pragnął wycofania się z branży i tego, żeby wszyscy zapomnieli o jego roli w całej tej aferze. Miał nadzieję, że nic mu nie zrobią. Był jednak wstrząśnięty i nienawidził, jak zmuszano go do podejmowania decyzji, które kiedyś mogły odbić mu się czkawką. Rozpaczliwie pragnął, by już było wiadomo, że wyszedł z całej sytuacji bez szwanku. Jeśli to mu się uda, będzie mógł uważać się za szczęściarza.

A ponadto bardzo chciał, żeby akcja ratunkowa się udała. Nie tylko dlatego, że byłby to argument na jego korzyść, ale dlatego, że kiedy już trochę opanował osobiste lęki, zaczął odczuwać współczucie wobec ludzi, którzy tam utknęli.

Wiedział, że jego priorytety, gdyby ktoś się o nich dowiedział, nie świadczyłyby o nim dobrze. I ten osąd wprawiał go w zakłopotanie, nakładając mu na ramiona jeszcze cięższe brzemię. Nie mógł jednak nic poradzić na to, co czuje. Nie znosił Marcela, nie z powodu tego, czego kapitan „Wendy" dotąd dokonał, ale dlatego, że nie był w stanie wymyślić planu akcji ratunkowej, który nie wiązałby się z bezpośrednim ryzykiem dla Nicholsona.

Lekki wstrząs poinformował go o korekcie kursu. Nieomal czuł masę obiektu, który holowała „Gwiazda". Dostrzegał ją w zwolnionych reakcjach statku. I tak to wyglądało w tej chwili: „Gwiazda" była przyspawana do obcego artefaktu, a Nicholson był spętany swoją wcześniejszą decyzją, zezwalającą dwojgu pasażerom polecieć na planetę.

Moc, która przejawiała się drżeniem grodzi, pozwalała wszystkim czterem statkom nadświetlnym pchać swój ciężar wyznaczonym kursem. Statki właściwie nie miały możliwości manewrowania na boki. Mogły zmieniać nieznacznie kurs, korzystając ze strategicznie rozmieszczonych, bardzo wszechstronnych silników sterujących, ale tylko główne silniki mogły wykonywać manewry wpływające na pozycję walca Alfa. To oznaczało, że — praktycznie rzecz ujmując — całość leciała wyłącznie opierając się na polach grawitacyjnych i inercji, które miały załatwić resztę.

Dobrze po rozpoczęciu manewru Lori zameldowała, że lecą prosto na cel. Nicholsonowi cała ta operacja wydała się niepotrzebnie skomplikowana. Nie miał jednak żadnego powodu, by uważać, że plan się nie powiedzie. Poza własnymi przeczuciami.

Silniki pracowały w trybie jałowym. Ciąg był wytwarzany gdzie indziej, przez jeden lub więcej statków. Nie dało się tak skalibrować mocy, żeby tylko ją zwiększać lub zmniejszać, więc komputery dokonywały korekt, uruchamiając silniki różnych statków w różnych kombinacjach w zależności od tego, co chciały osiągnąć. Istna

symfonia.

Na jednym z bocznych ekranów widać było wygenerowany obraz „Wieczornej Gwiazdy". Statek widniał na tle gwiazdozbiorów, ciepły i rozświetlony na tle pustki. Walec przedstawiono jako kreskę grubości włosa, rozciągającą się do brzegów ekranu. Strzałki wskazywały: 44 km do „Zwicka" i 62 km do „Wildside".

Dolał sobie kawy i zobaczył, jak Marcel dyskutuje zawzięcie z Beekmanem. Zgodnie z planem, jaki mu przekazali, następny manewr miał być za kilka godzin — znów korekta ustawienia Alfy i umieszczenie walca na właściwej trajektorii.

Marcel skończył rozmowę, rozejrzał się i dostrzegł spojrzenie Nicholsona.

— Może jakieś śniadanie, Eriku?

Nicholson zerknął na Beekmana.

— Zastanawiam się, czy jednak nie byłoby lepiej, gdybyśmy tu zostali. Na wypadek, gdyby się coś stało.

— Coś się już dzieje — rzekł tamten. — Wiesz, że Hutch utknęła.

— Tak. Słyszałem.

Było już po czwartej rano.

— Nie przypuszczam, żebyśmy byli potrzebni przez następnych kilka godzin. Lori ma wszystkie potrzebne dane. Autsajderzy wyjdą na zewnątrz, jak tylko warunki na to pozwolą.

— A jeśli pojawi się jakiś problem?

— Jeśli będzie to mały problem, poradzimy sobie.

— A jeśli duży?

— To wszystko na nic — odparł Beekman rzeczowym tonem. — W tej chwili nie możemy już wykonać żadnej większej korekty.

A może jednak należy posiedzieć z Clairveau i z Beekmanem. Jeśli akcja się powiedzie, ludzie zapamiętają obraz dwóch kapitanów i szefa zespołu naukowców, wspólnie omawiających plany ratunku.

Burza elektryczna najwyraźniej nie zamierzała osłabnąć. Deszcz lał, wiatr wył.

Bezpośrednie niebezpieczeństwo wiązało się z możliwością, że jakiś piorun trafi w konstrukcję. E-skafander chronił przed wyładowaniami o małej mocy, ale bezpośredniego trafienia Hutch by nie przeżyła. Na szczęście konstrukcja windy nie sterczała w powietrzu. Znikała gdzieś w ruinach budynku. Ale i tak była to masa nieosłoniętego metalu. Trafienie wydawało się nieuniknione.

Nie przychodził jej do głowy żaden pomysł na zejście z tego żelastwa. Skalna ściana była gładka. Kilka wątłych krzewów, jakie na niej rosły, nigdy by jej nie utrzymało. Wyżej, nieco w bok, było drzewo. Wyglądało na stare i postrzępione, ale Hutch pomyślała, że może jednak zdołałoby ją utrzymać. Niestety, to musiałby być długi

skok i była raczej pewna, że się nie uda.

Kellie nie rozłączała się i w potokach zakłóceń regularnie pytała, czy wszystko w porządku.

Omywał ją deszcz. Dzięki skafandrowi była sucha, ale nie było nic widać.

— Jesteś pewna, że nie możesz jakość zejść z konstrukcji?

Hutch potrząsnęła niechętnie głową. Ciągłe wracały do tego tematu.

— To chyba mówi wszystko.

— Nie. Nie przylatujcie tu. Poczekajcie.

— Ale…

— Coś wymyślę. Największe szanse mam, jak poczekacie.

Kolejny piorun eksplodował gdzieś w górze. Podskoczyła i pewnie by spadła ze swojej grzędy, gdyby nie była przywiązana. Prawie przyzwyczaiła się do nieustannego przeżywania strachu, przez co czuła się wyczerpana i otępiała. Drzewo uginało się pod falami deszczu.

Konstrukcja zadrżała. Trzęsienie ziemi albo piorun, to już nie miało znaczenia. Spojrzała na wschód. Jerry miał niedługo wzejść, ale niebo było za bardzo zachmurzone, żeby dało się go zobaczyć. Niech Bogu będą dzięki za takie małe gesty.

Kiedy lądownik zaczął opadać, Kellie przyspieszyła, nabrała wysokości i wróciła na szczyt góry w nadziei, że tak będzie mogła wymyślić jakiś sposób ratunku. Niestety, mimo silnego wiatru szczyt był nadal zasnuty mgłą. Burza elektryczna odcięła ich od „Wendy", więc nie miał kto ich poprowadzić. Kiedy MacAllister nalegał, żeby jednak spróbowali, rozważnie wytłumaczyła mu, że jeśli wszyscy się zabiją, Priscilli Hutchins w ten sposób nie pomogą.

Opowiadała się więc za tym, żeby polecieć na dół, do połowy wysokości góry. Słyszeli szum wdzierającego się oceanu, więc i tam musieli trzymać się wysoko położonych miejsc.

MacAllister w szumie deszczu gapił się ponuro w iluminator, w migoczącą ciemność.

Powarkiwali na siebie i narzekali, że siedzą i nic nie robią. Późnym wieczorem MacAllister w końcu zasnął. Nightingale, nie mając się z kim kłócić, siedział obojętnie w swoim fotelu, aż Kellie zastanawiała się, czy nie śpi. Około północy stracili łączność z Hutch.

Pioruny waliły przez całą noc. Kellie zasnęła i spała twardo, obudziła się tylko raz, słysząc prowadzoną szeptem rozmowę między swoimi pasażerami. Nightingale obarczał się winą za opóźnienie akcji ratunkowej i brał na siebie odpowiedzialność za trudną sytuację, w jakiej znalazła się Hutch. Kellie wyobrażała sobie, co on może myśleć: że Priscilla została tam, żeby on mógł się wydostać. I znów kobieta

uratowała go za cenę własnego życia. Ku jej zaskoczeniu Mac odpowiedział mu, że to się mogło zdarzyć każdemu.

Trudno było ocenić, co on naprawdę myśli. Mac zwykle pokazywał światu twarz cynika. A jednak nalegał, żeby próbowali ratować Hutch, choć Kellie tłumaczyła mu, że to nie ma sensu, nie w ciemności, nie przy tym wietrze, że tylko zaryzykowaliby własne życie.

Niewiele mówił od chwili, gdy Hutch i Nightingale wyszli rankiem zbadać sześciokątną budowlę. *To musi być dla niego trudne,* pomyślała. *Zwykle pozostawał w centrum uwagi. Wszyscy traktowali go poważnie, zawsze liczyli się z jego opinią. Mieszkał w najlepszych hotelach, wszędzie cieszył się zainteresowaniem mediów. A teraz wszystkie jego czynności ograniczyły się do walki o przetrwanie, kurczowego trzymania się życia, balansowania na granicy życia i śmierci. Przez ostatnie dwanaście dni jedyną kwestią było: co potrafi zrobić?* A *przecież* okazało się, że jest zdolny do czynów, o które by go nie posądzała.

Kiedy wrócą do domu, pomyślała, jeśli wrócą, poprosi Marcela o rekomendację dla Maca. To będzie coś godnego oglądania, Gregory MacAllister odbierający nagrodę Akademii. Nigdy nie narzekał, czasem tylko krzyczał na jakieś obiekty nieożywione. Na przykład na Jerry'ego. Robił wszystko, co mógł, w granicach swoich fizycznych możliwości, i nie okazał się wrzodem na tyłku, o co wszyscy go na początku podejrzewali.

— Mój Boże — powiedział.

W kabinie pojaśniało i znów pociemniało. Grzmot rozdarł noc.

— Ten trafił w windy — rzekł Nightingale.

— Hutch! — Mac postukał w komunikator. — Priscillo! Odezwij się.

Był już prawie świt, pięć godzin do spotkania z podbierakiem Marcela. Nie zaczęło się jednak jeszcze robić jasno. Nightingale siedział zobojętniały, słuchając wycia wiatru; MacAllister skulony za nim, zaciskając zęby przy każdym uderzeniu pioruna.

Nigdy nie czuł się pewnie, używając przydomka „Hutch". Dla niego było to imię jak dla robotnika z fabryki, absolutnie nieodpowiednie dla walecznej, może nawet nieco lekkomyślnej kobiety. Zastanawiał się, czy ci ludzie nie mają słuchu.

Zaczął w myślach układać hołd dla niej. Miałby się ukazać w „Kwartalniku Łowcy Przygód", publikacji, w której redagowaniu Mac brał udział przez sześć lat i do której ciągle pisywał.

— Masz coś? — spytał Kellie, która znów próbowała nawiązać łączność.

Potrząsnęła głową. Tylko trzaski zakłóceń.

— Chyba już czas — rzekł Nightingale.

— Jeszcze nie — odparła.

MacAllister wrócił do swojej pracy.

Priscilla pochodziła z małego miasteczka w Ohio.

Skąd ona naprawdę była? Będzie musiał sprawdzić. Oczywiście nie miało znaczenia, czy to było Ohio czy Szkocja. Ani czy w ogóle było to małe miasteczko.

Priscilla pochodziła z dolnego Bronksu.

Brzmi równie dobrze.

Pracowała dla Akademii Nauki i Techniki jako pilot, za standardowe wynagrodzenie, wykonując nudne loty między Ziemią a stanowiskiem archeologicznym na Pinnacle czy czarną dziurą Marmara.

Dwadzieścia lat temu brała udział w ekspedycji do Obłoków Omega, dziwnych struktur, które rodziły się falami w centrum galaktycznym, po czym atakowały baseny i dwudziestopiętrowe wieżowce. Wszyscy uczestnicy tej ekspedycji wydali potem swoje pamiętniki, a Priscilla Hutchins po prostu wróciła do pilotażu.

Zapomnieliśmy o niej. I mogliśmy nigdy nie zauważyć, że ktoś taki istniał. Gdyby w końcu nie wysłano jej na Deepsix.

Chrząknął i wykreślił „centrum galaktyczne". Brzmiało jak nazwa domu towarowego.

Nightingale wstał i ruszył do ekspresu z kawą. Kellie próbowała czytać, ale szybko zauważyła, że nie robi żadnych postępów.

Mac prawie skończył, gdy Kellie się wyprostowała.

— Dobrze — rzekła. — Wiatr się trochę uciszył. Zapnijcie pasy.

Pomyślał, że na zewnątrz jest trochę jaśniej. Ale tylko trochę.

Usłyszał szum silników i zapiął uprząż. Światła na panelu zamrugały.

— Trzymajcie się — rzekła Kellie i MacAllister poczuł, jak pojazd unosi się i leci wśród burzy. W tej samej chwili Kellie włączyła światła. Wznosili się obok murów, wśród deszczu i uginających się drzew.

Lądownik z trudem unosił się w niebo, a Nightingale próbował znów połączyć się z Hutch.

Mac spoglądał z nadzieją w przepaść. Czasem, gdy kąt był odpowiedni, widział konstrukcję.

— Czy my wiemy, gdzie jej szukać? — spytał.

— Była tam daleko, po lewej stronie — odparła Kellie. — Na wysokości sześciu tysięcy trzystu metrów.

Mac zajął się obserwowaniem wysokościomierza. Siedzący przez nim Nightingale wstrzymywał oddech.

— Winda spadła — rzekła Kellie.

Nie było to dla nich zaskoczeniem.

Nightingale przyglądał się konstrukcji przez lornetkę.

— Widać ją? — spytał Mac.

— Powiem wam, jak coś zobaczę — burknął Nightingale.

Kellie nacisnęła przycisk komunikatora.

— Hutch, słyszysz mnie?

I nagle, wśród zakłóceń, usłyszeli jej głos.

— Tutaj…

Wszyscy próbowali mówić naraz. Kellie uciszyła ich.

— Gdzie jesteś? — spytała.

— Tam, gdzie mnie zostawiliście… — znów zakłócenia — … widzę światła.

— Dobrze, trzymaj się. Zaraz tam będziemy.

— Świetnie. Będę wdzięczna.

— Hutch, jak się czujesz?

— Powtórz!

— Jak się czujesz?

— W porządku.

— Widzę ją — rzekł Nightingale.

— Gdzie? — spytała Kellie.

— Tam — pokazał palcem.

Wisiała na jednej z belek Mac rzucił okiem, po czym sięgnął za siebie i wyjął linę. Zawiązał koniec wokół podstawy fotela i mocno szarpnął. Nightingale otworzył wewnętrzny właz śluzy.

— Nie zapomnij sam się przywiązać — rzekła Kellie.

Nie zapomniał. Nie po ostatnim razie. Wyciągnął uprząż i przypiął się do tego samego fotela.

Kellie kazała im uruchomić e-skafandry. Wyrównała ciśnienie powietrza.

— Gotowi — rzekła.

Podmuch wiatru uderzył w lądownik i Mac upadł na podłogę. Nightingale pomógł mu wstać.

Kellie otworzyła zewnętrzny właz. Wiatr i deszcz wdarły się do śluzy. A Mac zobaczył, jakim cudem Hutch udało się przeżyć. Zrobiła z liany coś w rodzaju nosidełka, przełożonego pod udami i pachami, i zwisała z belki. Nie dotykając metalu.

— Trzymaj się, Priscillo! — krzyknął, choć wiedział, że wśród wycia wichru go nie usłyszy.

— Jesteśmy wystarczająco blisko? — spytała Kellie.

Lądownik wznosił się i opadał.

— Nie! — odkrzyknął. — Musimy się bardziej zbliżyć.

— Nie wiem, czy dam radę.

Lina, którą trzymał Mac, była zwykłym, lekkim sznurem. Czymś, czego używano do zabezpieczania ładunków albo oznaczania miejsca wykopalisk. Na tym wietrze powiewała bardziej niż ciężka liana Hutch.

Próbował kilka razy i chybił, po czym wyłączył e-skafander i zdjął

but. Przywiązał linę do niego i czekał na właściwą kombinację warunków: mniejszy wiatr i zbliżenie się lądownika do konstrukcji. Kiedy wystąpiła, rzucił but z liną. But przeleciał za belkę. Hutch zakołysała się do przodu i do tyłu, po czym złapała linę. Przyciągnęła ją, obwiązała się dookoła i zawiązała ją pod pachami.

Mac trzymał linę i szykował się.

— Pośpieszcie się — błagała Kellie, walcząc z burzą i prądami.

W prawej ręce Hutch pojawił się laser. Pokazała im go, żeby wiedzieli, co zamierza zrobić.

Mac spojrzał na podstawę fotela i zacisnął mocniej dłonie na linie. Nightingale, stojący przy włazie, nie był przypięty. Mac odsunął go, żeby nic mu się nie stało.

Priscilla odcięła lianę i spadła, znikając im z oczu. Lina szarpnęła. Mac trzymał mocno. Nightingale podszedł i razem wciągnęli ją do środka.

Gdy już znalazła się bezpiecznie na pokładzie, wszystkich ogarnął atak śmiechu. Priscilla objęła Maca i pocałowała Nightingale'a. Kellie przyspieszyła i wyłączyła antygrawitację, żeby oszczędzać kondensatory. Hutch objęła także i ją. Byli szczęśliwi, wyczerpani, bliscy łez. Podziękowała im, wyplątała się z liny i liany, wyraziła swoją bezgraniczną radość z faktu znalezienia się znów w lądowniku i znów ich wszystkich przytuliła. Odwiązała but Maca i wręczyła go ceremonialnie.

— Witaj w domu — rzekła Kellie.

Mac opadł na swój fotel.

— Dobrze, że wróciłaś, Priscillo — powiedział.

Usiadła obok niego, potarła nogę w miejscu, gdzie miała zawiązaną lianę, i zamknęła oczy.

— Nie uwierzyłbyś, jakie to cudowne uczucie — rzekła — móc znowu tu być.

Kellie wznosiła się powoli. Nagle wynurzyli się nad chmury. Powietrze było tu mniej wzburzone, ale Nightingale'owi zaparło dech. Patrzył w górę.

Mac spojrzał w tę samą stronę. Widać było potężny łuk zbliżającej się planety. Całe południowo-zachodnie niebo truchlało na widok fioletowego potwora. Mogli prawie zajrzeć w głąb planety. Mac poczuł chłód.

— Co teraz? — spytał. — Lecimy na spotkanie?

— Jeszcze nie — odparła Hutch. — Za wcześnie. Mamy jeszcze ponad cztery godziny.

Skrzywił się i spojrzał na kotłujące się chmury.

— Naprawdę musimy tam wracać?

Bill i Lori zaskoczyli obecnych, pokazując się razem na mostku

„Gwiazdy”.

— Z przyjemnością ogłaszam, że manewr został ukończony — oznajmiła Lori. — Nie będzie już dalszych korekt kursu. Alfa pojawi się nad oznaczonym punktem na Morzu Mglistym na właściwej pozycji i w zaplanowanym czasie.

— Dobra robota — rzekł Bill. Miał minę, jakby rzeczywiście był zadowolony.

Kellie znalazła wysoko położony płaski teren blisko podstawy góry i wylądowała.

Hutch poszła do łazienki. Wyłoniła się z niej pół godziny później. Była wyszorowana i zawinięta w koc. Musiała poczekać, aż jej ubranie wyschnie.

— Mam nadzieję, że nikt nie ma nic przeciwko mojemu nieformalnemu strojowi — rzekła.

— Ależ skąd — odparł MacAllister, łypiąc na nią pożądliwie.

Wyciągnęli jedną z butelek uratowanych z „Gwiazdy”. Wiatr wiał, deszcz padał, ale choć przez chwilę odnosili wrażenie, że ze światem jest wszystko w porządku.

XXXIII

Istnieje kilka zawodów, w których wiara w Opatrzność jest niezbędna: pracujący wśród dotkniętych przez los i nauczyciele nastolatków; są też takie, w których pożądany jest ateizm. W szczególności przychodzą mi do głowy piloci. Kiedy dryfujesz wśród gwiazd albo obłoków, wolisz mieć ze sobą kogoś, kto ma do stracenia tyle samo co ty, jeśli coś się stanie.

Gregory MacAllister, Moje życie i miłość

Czas do rozpadu (prognoza): 20 godzin

Miles Chastain wrócił z Philem Zossimovem w pobliże sieci. Tym razem miał sprzęt, paru pomocników i ładunek materiałów w dwóch wahadłowcach. Drummond czekał z zespołem Autsajderów.

Miles pilotował statki nadświetlne od ponad czterech lat, przez ostatnie trzy lata dla Universal News. Była to dobrze płatna praca i ważny etap w jego życiu, jako że dzięki niej trafiał do miejsc, w których działo się coś ciekawego. Na przykład zawiózł ekipę dziennikarzy na Nok, jedyną planetę, na której istniała jeszcze obca cywilizacja, w samą porę, by zobaczyć pierwsze strzały w ostatniej rundzie wojny w dwudziestowiecznym stylu. Towarzyszył ekipie śledczej w locie na Kruger 60, kiedy „Aquilar" wrócił z pierwszego lotu sondażowego w kierunku Oriona bez załogi. Był pilotem podczas nagrywania przez Universal nagrodzonego reportażu z obcej stacji na orbicie Beta Pac III.

A teraz pomagał w organizacji akcji ratunkowej na Deepsix. Nieźle jak na dzieciaka z szeregówki w Baltimore.

Pojawił się w ciągu kilku minut po odebraniu wiadomości, że Alfa znajduje się na właściwym kursie i nie przewiduje się korekt. To oznaczało, że zespół Phila może rozpocząć realizację swojego etapu misji.

Aby uwolnić asteroidę, Drummond musiał naciąć sieć prawie na trzech czwartych jej obwodu. Teraz unosiła się w świetle słońca —

dwie połówki, częściowo zaplecione, jak jasny, postrzępiony sztandar na bardzo długim maszcie.

Pierwsze zadanie polegało na dokończeniu tego, co zaczął Drummond: cięcia. Należało pozbyć się jednej z dwóch połówek.

Wahadłowiec Drummonda wleciał między dryfujące połówki. Jeden z Autsajderów wyłonił się ze śluzy i przywiązał linę do połówki spisanej na straty. Potem wrócił do wahadłowca, który zaczął się oddalać, prostując kawałek sieci, która miała zostać pocięta laserem.

Miles zbliżył się drugim pojazdem i rozcinał ją, aż została całkowicie oddzielona. Teraz pilot Drummonda odholował pociętą sieć i zwolnił ją, by zajęła własną orbitę.

Wrócił i przyczepił pozostałą połówkę do wahadłowca. Potem zaczął powoli hamować, rozciągając ją. Kiedy był zadowolony z efektu, odpiął ją.

Miles wkroczył ponownie.

Pomysł polegał na tym, by przekształcić pozostałą część w coś w rodzaju worka. Część sieci przymocowana do płyty, po zanurzeniu w atmosferze, miała stanowić górę worka, a drugi koniec, dawny biegun południowy, miał stać się dołem. Zespół Milesa miał połączyć uszkodzone elementy na dole i związać je ze sobą, tworząc kształt, który miał zwieszać się w kierunku powierzchni planety, a w który za sześć godzin miał wlecieć lub wpaść lądownik.

Wahadłowce zajęły pozycje po obu stronach sieci, jakieś sto metrów od „dołu". Miles i trzech Autsajderów wspięli się na nią i użyli wahadłowców, by zebrać razem dolne części.

Reszta zespołu, który w sumie liczył osiem osób, włączyła się do akcji. Zostali specjalnie przeszkoleni, by móc wykonać to zadanie, ale Miles nie przestawał się martwić. Trenowali na siatkach tenisowych na pokładzie „Gwiazdy", ale nie była to specjalnie realistyczna symulacja.

Patrzył, jak jego ludzie przemieszczają się w wąskiej przestrzeni między siecią a śluzą powietrzną, łapiąc się unoszących się w próżni metalowych ogniw. Połączyli swoje liny zgodnie z instrukcją, wyjęli z plecaków spinki, które Marcia Keel zrobiła z krzeseł, ekspresów do kawy i regałów w ładowni, i rozpoczęli proces łączenia dolnej części sieci.

Niewątpliwy plus tej sytuacji polegał na tym, że nie korzystali z laserów. Miles nienawidził sytuacji, w których ludzie pracujący na artefakcie używali laserów, i gdyby coś takiego zaproponowano w przypadku sieci, pewnie by odmówił. Na szczęście nie było to konieczne.

Był jedyną osobą, która korzystała z odrzutowego plecaka. Jego zadanie polegało na nawigowaniu między brzegami i przyciąganiu ich do siebie tak, by Autsajderzy mogli je trwale połączyć. Tylko jeden z

nich odleciał podczas tej fazy operacji i Miles szybko go złapał.

Nie był pewien co do jednego aspektu strategii.

— Sieć ma trzy czwarte kilometra średnicy, Marcelu — odezwał się na prywatnym kanale. — Boję się, że się zaplącze. Wtedy zostaniemy z niczym.

— Co proponujesz?

— Wolałbym ją przyciąć do jakichś rozmiarów, nad którymi łatwiej zapanować. Jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Na pewno nie więcej.

— Ile czasu ci to zajmie?

Spojrzał na setki metrów kwadratowych dryfującej sieci. Będą musieli wejść do środka, wykonać kilka skomplikowanych manewrów, dociąć, wyjść, połączyć.

— Dwanaście godzin.

— To chyba rozwiązuje problem? — W głosie Marcela usłyszał zniecierpliwienie. — Zróbcie to zgodnie z planem.

Autsajderzy skończyli pracę i dolne sto metrów sieci połączono w worek. Wahadłowiec Milesa zabrał ich.

Teraz zaczęło się przedstawienie Phila Zossimova. Phil przywiózł rury, docięte i ukształtowane w pierścień. Miles był zachwycony młodym Rosjaninem. Jeszcze godzinę temu chłopak mówił, że boi się wyjść na zewnątrz i wejść na sieć. A teraz, stojąc przed grupą ochotników, bez wahania włączył skafander.

Rurę zbudowano z elementów podtrzymywania życia zabranych z „Wildside". Poszczególne elementy ponumerowano, żeby połączyć je jak najszybciej. Pod dowództwem Phila wyszli na zewnątrz.

Powyżej nowo powstałego worka sieć była otwarta aż do płyty. Rozcięli boki tuż powyżej worka, tworząc duży otwór, i zabezpieczyli jego brzegi rurami. Kiedy rury znalazły się na miejscu, Zossimov podłączył pompę i czujnik.

Pompował powietrze, aż rura stała się sztywnym pierścieniem, tworzącym otwór o szerokości dwudziestu pięciu metrów. Kryza miała zabezpieczać otwór, przez który miał wlecieć lądownik. Czujnik, wymontowany z urządzenia do zamykania klapy na „Wildside", miał uruchamiać zawór natychmiast po wykryciu lądownika Hutch. Zawór wpuszczał i wypuszczał powietrze, otwór poszerzał się i zamykał, co miało chronić lądownik przed wypadnięciem po znalezieniu się w sieci.

Następnie należało się upewnić, że tył sieci nie zacznie dryfować do przodu i nie zamknie worka ani nie zablokuje wlotu.

Aby tego dokonać, przywieźli spory ładunek prętów wykonanych z metalu wyciągniętego z ładowni „Wildside", zaopatrzonych w łączniki, za pomocą których można było łączyć je ze sobą na końcach. Mieli także różne klamry i wsporniki.

Każdy pręt był długi na pięć metrów. (Taka była maksymalna długość umożliwiająca włożenie ich i wyjęcie z wahadłowców). W sumie było ich czterdzieści sześć.

Autsajderzy zmontowali z nich dwie szyny wzmocnione wspornikami. Połączyli szyny równolegle, powyżej i po obu stronach pierścienia, z przodu i z tyłu worka. Kiedy zakończyli pracę, uzyskali pojemnik, w którym lądownik mógł swobodnie manewrować.

Wszyscy poza Philem i Milesem weszli na pokład wahadłowców. Phil ustawił czujnik.

— Jesteś pewien, że to zadziała? — spytał Miles.

— Całkowicie.

— Ile czasu zajmie zamknięcie otworu, kiedy lądownik znajdzie się w środku?

— Uruchomi się natychmiast, jak przelecą. Nie jestem fizykiem, więc nie wiem, jak szybko opróżnia się kryza, ale to nie powinno trwać więcej niż kilka sekund. Szczególnie na tej wysokości.

Miles przyjrzał się kołnierzowi.

— Chyba mamy całkiem przyzwoity podbierak.

Kiedy ludzie Milesa wspinali się na sieć, zespoły spawaczy zajmowały stanowiska na kadłubach czterech statków nadświetlnych. Tom Scolari, Cleo, Jack Kingsbury i starszy mężczyzna, który przedstawił się tylko jako Chop, odpowiadali za „Zwicka". To zadanie powinno być łatwe, bo Jack i Chop już robili coś takiego, gdy przymocowywali statek do walca Alfa.

Przedstawiciele Universal News zaprosili Scolariego do wzięcia udziału w wywiadzie. Emma znalazła kombinezony dla niego i Cleo, a plan zakładał zrobienie wywiadu na żywo zaraz po skończeniu pracy na kadłubie. Denerwowała go ta perspektywa, bał się wywiadu bardziej niż wyjścia na zewnątrz.

Pewnie łatwiej byłoby przeprowadzić wywiad z Chopem i Jackiem, którzy mieli dłuższy staż pokładowy, i Scolari zastanawiał się, dlaczego Emma tak nie zrobiła. Szybko stało się jednak jasne, że żaden z nich nie jest szczególnie rozmowny. Jack odpowiadał monosylabami, a Chop cały czas się drapał. Scolari obawiał się, że się obrażą, ale żaden z nich nie podejmował tematu. Kiedy im powiedział, że czeka go udzielanie wywiadu, Chop skomentował, że cieszy się, iż jego o to nie poproszono.

„Zwick" był najbardziej wysuniętym statkiem przyczepionym do walca, zaledwie trzydzieści osiem kilometrów od sieci, którą widzieli: lśniła w świetle słońca. Przypominała Scolariemu flagę.

Walec był przyspawany do spodu „Zwicka". Wyszli przez klapę ładowni na bakburcie i zeszli pod spód z wrażeniem, jakby cały kosmos się obracał, a kadłub był zawsze w dole. Takie wrażenie miało

się przy korzystaniu z butów magnetycznych.

Kiedy byli gotowi, Cleo i Scolari cofnęli się, a Jack i Chop przeszli do przodu. Uruchomili lasery i zaczęli ciąć spaw. Ponieważ walec przemieszczał się już bezpiecznie na kursie i korekty nie były potrzebne, mieli oddzielić go od statku i zmienić jego orientację.

— Tylko uważajcie — przypomniała im Janet ze swojego posterunku w wahadłowcu Drummonda, blisko sieci. Dla Autsajderów była to najbardziej niebezpieczna część operacji: jeśli zaczną ciąć za wysoko, przetną albo poważnie osłabią Alfę. Jeśli to zrobicie, powtarzano im w kółko, cała operacja pójdzie na marne. Rozbitkowie zginą. Jeśli wytniecie za wysoko, uszkodzicie kadłub statku. Była to sprawa życia i śmierci. Wszystkich przemieszczono z podatnych na przebicie pomieszczeń na wszystkich statkach. Ale, napomniała ich Janet, to byłoby nieprofesjonalne. To byłby bałagan, który ktoś musiałby po nich posprzątać.

Wskazówka była wyraźna: jeśli już macie coś sknocić, tnijcie nisko.

Odkrył, że właściwe cięcie nie jest trudne, jeśli człowiek się skoncentruje na tym, co robi. Widok gazowego giganta, rosnącego z każdą chwilą, jednak rozpraszał.

Zaczęli ciąć. Jack i Chop od początku radzili sobie świetnie. Przy pierwszym zadaniu otrzymali polecenie, by jak najściślej połączyć walec z kadłubem. Tak też zrobili i teraz czekało ich niełatwe zadanie odczepienia go. „Zwick” był najmniejszym ze statków nadświetlnych, ale przyspawano do niego walec na długości dwudziestu sześciu metrów, bo na tyle pozwalała krzywizna kadłuba.

Pracowali spokojnie, w cieniu giganta. Scolari słyszał, że do „Gwiazdy” przyspawano walec na długości prawie kilometra. Oderwanie czegoś takiego to będzie potężna praca, ale właśnie tam skierowano większość ochotników.

Janet, jak zwykle, obserwowała. Od czasu do czasu służyła radą lub zachętą. Poinformowała ich, kiedy drużyna „Wendy” skończyła, i dodała, że ludzie przygotowujący sieć na przyjęcie ładunku pracują zgodnie z planem. Zawsze mówiła o lądowniku jako o ładunku. Scolari uznał, że naoglądała się za dużo symulacji.

Potrzebowali jeszcze jakiejś godziny z kwadransem, żeby odczepić walec, i udało im się to zrobić bez większych szkód. Jack, który był szefem zespołu, poinformował Janet, że skończyli. Podziękowała im i poprosiła, żeby weszli na pokład statku.

— Ale nie oddalajcie się za bardzo — dodała.

— Ile jeszcze?

— Jakieś cztery godziny.

Trudno było uwierzyć, że słońce wzeszło półtorej godziny temu.

Wiatr szarpał lądownikiem. Deszcz bębnił o kadłub, a woda spływająca z góry zmieniła się w rwący strumień. Skulili się w mroku kabiny, a na zewnątrz szalała burza.

— Chyba warunki się pogarszają — rzekł Mac.

Hutch skinęła głową.

— Tak sądzę. Lepiej się przywiążmy, bo zdmuchnie nas do oceanu.

Wyszli na zewnątrz i z trudem przywiązali lądownik do drzew. Wiatr wiał z siłą huraganu, co oznaczało, że w powietrzu latają z siłą pocisku różne rzeczy — gałęzie, skały, a nawet ptaki.

Wszyscy ciężko dyszeli, gdy wrócili do środka. Opadli na fotele, czując się trochę bezpieczniej — ale tylko trochę.

Na mostku „Gwiazdy" Nicholson i Marcel słuchali sprawozdania Drummonda. Teraz tylko sam gigantyczny liniowiec był przyspawany do Alfy.

Nicholson spojrzał pytająco na Marcela.

— Teraz? — spytał.

Marcel skinął głową Nicholson zwrócił się do SI.

— Lori, zaczynamy następny etap operacji. Możesz obrócić „Zwicka".

— *Wykonuję* — odparła Lori.

— Lori? — odezwał się Marcel. — Czy może udało się nawiązać łączność z rozbitkami?

— *Nie, Marcelu. Nadal próbuję i poinformuję cię, jeśli tylko się uda.*

Skinął głową i zajął się tablicą informacyjną „Zwicka", wyświetloną na jednym z ekranów nawigacyjnych. Statek dziennikarzy, pod nadzorem Lori, zaczął oddalać się od walca. Jego silniki sterujące pracowały w zgodnym rytmie, przesuwając go w bok, obracając dookoła i z powrotem, ale w przeciwnym kierunku. Teraz jego główne silniki były wycelowane w Deepsix, a on sam ponownie zbliżył się do Alfy.

Podczas wykonywania manewru nadeszła wiadomość, że Autsajderzy uwolnili „Gwiazdę".

Na pokładzie „Zwicka" Scolari i inni ochotnicy wrócili na kadłub i zaczęli mozolny proces przyspawywania walca z powrotem. Teraz statek był ustawiony odwrotnie, rufą do Deepsix. Prawie natychmiast jeden z pilotów ostrzegł ich o zbliżającej się chmurze.

— Chmura? — spytał Scolari.

— Meteorów i pyłu. Wracajcie do środka.

Scolariemu i Cleo nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Schowali się w śluzie i ostrzegli Chopa i Jacka, żeby się nie ociągali.

Kilka dużych kamieni uderzyło o metal. Parę minut później, kiedy

sądzili, że już po wszystkim, jeden z nich przebił kadłub, zniszczył studio i bibliotekę, i byłby zabił Canyona, gdyby ten parę sekund wcześniej nie wyszedł do toalety.

Ostrzeżenie nadeszło od Klausa Bomara, który zabrał Pindara i Sharon, by oznaczyli walec Alfa. Jak zauważył Pindar, był on Kanadyjczykiem. Pochodził z Toronto i zajmował się transportem, wożąc towary ekipom terraformującym Quraquę; potem przez wiele lat pracował jako instruktor w Akademii Kosmicznej niedaleko Winnipeg. Zwolnił się dwa miesiące wcześniej, by zaciągnąć się na nadświetlny statek latający na nowe planety.

Żona Klausa nie żyła, dzieci były już dorosłe i wyprowadziły się, więc nie wahał się specjalnie, uznając, że ma dość tkwienia w klasie. Podpisał kontrakt z TransGalactic, bo dobrze płacili, a wielkie, luksusowe liniowce latały do miejsc, które chciał zobaczyć: czarnych dziur, gwiezdnych kolebek, gigantycznych słońc i kosmicznych latarni.

To była jego pierwsza podróż z TransGalactic.

Był zachwycony geniuszem Clairveau i Beekmana, i rozbawiony obserwowaniem, jak Nicholson udaje, że to on kieruje całą operacją.

Przesłał ostrzeżenie „Zwickowi" i drugiemu wahadłowcowi znajdującemu się na trasie obłoku, po czym skupił się na tym, by się wydostać z tarapatów.

Większość śmieci orbitujących wokół Morgana składała się z cząsteczek pyłu, za małych, by czujniki je wykryły. Gdy Klaus wyszedł z zakrętu, wpadł prosto w rój o dużej prędkości, który rozszarpał wahadłowiec na strzępy, zanim pilot zorientował się, że może mieć problemy.

XXXIV

Jest taki gen, który jest w nas wszystkich, a sprawia, że kiedy stajemy w obliczu trudnej sytuacji, zawsze wybieramy gorsze wyjście. Dlatego właśnie wiele rzeczy się nie udaje, marzenia się nie spełniają, ambicji nie udaje się zrealizować. Życie dla większości z nas jest serią niewykorzystanych możliwości.

Gregory MacAllister, Dziennik Deepsix

Czas do rozpadu (prognoza): 12 godzin

Hutch doszła do wniosku, że chętnie zażyłaby jakiś środek uspokajający. Te, które miał w plecaku Mac, teoretycznie nie powinny mieć skutków ubocznych, kiedy już zakończyły działanie, więc powinni być bezpieczni, ale Hutch czasem źle reagowała na takie substancje i wolała nie ryzykować utraty trzeźwego osądu przed ostatnim lotem.

Ostatni lot. W górę albo w dół.

Próbowała nie poddawać się emocjom, zdystansować się do tego wszystkiego. Myślała o tym, co ich czeka, o gigancie, który miał spaść z nieba.

Precyzja, powtarzał Marcel. Wszystko musi być zrobione bardzo precyzyjnie. Mają tylko jedną szansę. Sieć opadnie w dół i powędruje w górę. W najlepszym razie będzie miała minutę, by znaleźć kryzę i wlecieć w otwór.

W kabinie panował ponury nastrój. MacAllister próbował żartować, opowiadając, że jeśli wyjdą z tego cało, zwróci się do biskupa z New Jersey z prośbą o nauki religijne.

Wszyscy się zaśmiali, ale jakoś bez przekonania.

Czasem, bezskutecznie, Hutch próbowała nawiązać kontakt z Marcelem.

— Będę szczęśliwy — powiedział Nightingale — jak to wszystko się skończy. Tak czy inaczej.

Hutch pokiwała głową, jakby się z nim zgadzała; tak jednak nie

było. Życie było cudowne, a ona ze wszystkich sił chciała żyć. Tak, byłaby szczęśliwa, gdyby to oczekiwanie już się skończyło, ale wpadnięciem w niebiańską sieć Marcela i byciem odholowanym w bezpieczne miejsce. Trudno było sobie wyobrazić, że coś takiego naprawdę się stanie.

Mac przyniósł trochę owoców i orzechów, ale nie miała apetytu.

— To ci dobrze zrobi — upierał się.

— Wątpię.

Mimo to odnosiła wrażenie, że powinna coś zjeść. Wybrała ciemnoczerwoną kulę, która ze smaku i z wyglądu przypominała granat. Nightingale wybrał kilka orzechów i rozsiadł się, żeby się nimi rozkoszować. Mac zrobił kawę i napełnił filiżanki.

— Spodziewamy się jakichś problemów podczas lotu w górę? — spytał, mając na myśli burzę.

— Nic się nam nie stanie.

Mieli zapas paliwa nawet z nadmiarem. Wystarczy na lot do punktu kontaktu, a nawet z powrotem, gdyby pojawiła się taka konieczność. Gdyby to miało znaczenie.

— Poradzimy sobie. O ile nie będzie o wiele gorzej. Siedzieli przez chwilę, jedząc owoce i patrząc na deszcz.

— Wszystko w porządku, chłopaki? — spytała.

Nightingale skinął głową.

— Przykro mi z powodu windy — powiedział. — Ja…

— W porządku. Nie przejmuj się.

Mac pociągnął długi łyk kawy.

— Chwila zwierzeń.

— Z czego chcesz się zwierzyć, Mac? — spytała Kellie.

— Ja? — Zastanowił się. — Nie zawsze zachowywałem się racjonalnie.

— Wiemy — odparł Nightingale. — Cały świat wie.

— Po prostu pomyślałem, że chcę coś powiedzieć. Zrobiłem coś złego.

— Daj spokój. Nie sądzę, żeby ktoś ci to wypominał.

— Chyba nie całkiem masz rację, ale nie o to mi chodzi.

— Mac, kiedyś powiedziałeś, że ludzie, którzy się nad sobą użalają, tylko marnują energię.

Skrzywił się.

— Nie przypominam sobie. Co dokładnie powiedziałem?

— „Należy tak długo bić się z sumieniem, aż się podporządkuje, żeby wiedziało, kto tu rządzi”.

— Ja to powiedziałem?

Podczas całej tej wymiany zdań Nightingale wyglądał na zewnątrz, obserwując deszcz. Teraz odwrócił się i utkwił wzrok w MacAllisterze.

— Niezupełnie. Ale nie jestem wstanie sobie przypomnieć dokładnego cytatu. Daj spokój, Mac. Było, minęło.

Lądownik zatrząsł się, gdy przetoczyła się po nim kolejna fala. MacAllister chwycił swój talerz, zanim ten spadł mu na podłogę.

— Cała planeta się rozpada — rzekł.

Kellie poprawiła uprząż.

— Ile jeszcze?

— Niedługo — odparła Hutch.

Dziwne, ale wiatr wydawał się słabnąć. Deszcz zelżał, choć nigdy nie przestał padać. Hutch znów spróbowała użyć radia.

Niebo nagle wypełniło się ptakami. Wszystkie należały do jednego gatunku, czarne z białymi końcami skrzydeł, wielkie, wdzięczne, rozkładające skrzydła, by pochwycić wiatr. Ich lot był chaotyczny, niezorganizowany. W pewnym stopniu wyglądało to, jakby coś miotało nimi po niebie. Usiłowały jednak lecieć w kluczu. Wiatr zelżał, przegrupowały się, a potem, jak jeden organizm, skręciły na północ. *One wiedza,* pomyślała Hutch. *One wszystkie wiedzę.*

Kiedy bombardowanie się skończyło, Scolari i reszta Autsajderów wrócili na kadłub i dokończyli spawanie. Ustawili walec dokładnie równolegle do statku, jak poprzednio. Tę samą procedurę wykonywał zespół „Wieczornej Gwiazdy". Na pozostałych dwóch statkach ekipa spawała walec pod kątem dwudziestu siedmiu i trzydziestu jeden stopni. To miało pozwolić „Wendy" i „Wildside", które podczas operacji wyciągania miały być z przodu, na rozpoczęcie umieszczania walca na orbicie.

Wkrótce potem rozeszła się wieść o śmierci pilota wahadłowca, który ich ostrzegł.

Scolari i jego zespół skończyli pracę i po dwóch i pół godzinie wrócili do śluzy. Wszystkie cztery statki były znów przyspawane do Alfy, tylko że teraz były odwrócone.

Choć dopiero zaczął pracę dla TransGalactic, Klaus Bomar był najstarszym członkiem załogi „Gwiazdy", nie licząc samego kapitana. Ponieważ był pracownikiem tymczasowym, Nicholson czasem zapraszał go do siebie na drinka i bardzo go polubił. Marcel mylił się co do Nicholsona: ten miał na pokładzie kogoś, z kim się przyjaźnił.

Nicholson bardzo przeżył tę śmierć.

Jeden z wahadłowców „Wendy" ustawił się wzdłuż pojazdu Drummonda. Śluza otworzyła się i Drummond przyjął na pokład lekarza: Embry Desjardin.

Zadaniem Drummonda było trzymać się blisko sieci i przejąć rozbitków, gdy tylko oddalą się od atmosfery. Embry miała być w

pobliżu na wypadek, gdyby potrzebny był lekarz.

Przedstawili się i wymienili uściski dłoni. Potem Drummond zwrócił się do Janet.

— To już chyba wszystko. Jeśli chcesz wracać na „Gwiazdę", to transport czeka.

Odmówiła.

— Jeśli nie masz nic przeciwko, wolałabym tu zostać podczas akcji ratunkowej. Może się na coś przydam.

Drummond spojrzał na Franka, który uniósł kciuk w górę.

— W porządku, Karen — zwrócił się do drugiego pilota. — Ruszamy.

Karen mrugnęła światłami i ruszyła.

— Czas ruszać — oświadczyła Hutch. — Trzeba odciąć linę.

Marcel, Beekman i Nicholson udali się na mostek „Gwiazdy". Z zadowoleniem obserwowali napływające meldunki. Wszystko zabezpieczone. Wszyscy na stanowiskach.

Teraz musieli już tylko czekać, aż pęd nadany nowemu artefaktowi, czyli walcowi Alfa przyczepionemu do czterech statków nadświetlnych, wsunie sieć do atmosfery i zaniesie ją nad Morze Mgliste.

Nicholson był dziwnie milczący. Wreszcie obrócił się do Marcela i uścisnął mu rękę.

— Powodzenia — rzekł i powtórzył ten gest, zwracając się do Gunthera. — Powodzenia, Guntherze.

— *Marcelu* — na ekranie pojawiła się Lori — *Udało mi się nawiązać kontakt z lądownikiem, niestety na krótko.*

— Dobrze. A byłaś w stanie w ogóle z nimi porozmawiać?

— *Są w powietrzu. Lecą w stronę punktu kontaktu.*

Trzech mężczyzn pokiwało głowami, jakby chcąc dodać sobie otuchy.

— Dzięki Bogu. Hutch jest z nimi? Z kim rozmawiałaś?

— Z kapitan Hutchins.

Marcel przymknął oczy i wyszeptał słowa modlitwy.

Przelecieli nad morzem ciemnych chmur, migoczących błyskawic, grzmotów i połyskujących na czerwono wybuchów.

Kiedy wreszcie wydobyli się z najgorszej zawieruchy, Kellie udało się nawiązać połączenie z „Gwiazdą".

— *Miejmy nadzieję, że tym razem uda się podtrzymać połączenie* — rzekła Lori. — *Dobrze, że wszystko u was w porządku. Martwiliśmy się. Jesteście na kursie?*

— Tak, jesteśmy — odparła Hutch.

— *Chwileczkę. Powiadomię kapitana Clairveau.*

Marcel odezwał się po paru sekundach.

— Hutch — rzekł — jak miło cię słyszeć.

— Ciebie też, Marcelu.

— Jak się wydostałaś z tej windy? Co się stało?

— Powiem ci, jak będziemy na miejscu. Tutaj wszystko w porządku. Za jakąś godzinę i dziesięć minut będziemy w punkcie spotkania.

— Dobrze.

— A co u was?

Wdarły się zakłócenia.

— …zgodnie z planem.

Marcel uzupełnił przekazane poprzednio dane, podając im dokładną pozycję punktu spotkania. Przesłał też kilka obrazów.

— Jak widzicie, całość wygląda trochę jak worek zrobiony z siatki. Tu jest otwór. Ładny, okrągły wlot z przodu. Szeroki, z zapasem, żeby można było przez niego wlecieć. Będzie zwrócony na wschód i jest blisko dolnej części worka. Kiedy już wlecicie do środka, pod wami będzie pięćdziesiąt metrów pustej sieci. Kołnierz się zamknie. Wystarczy wlecieć do środka i opaść. Resztę już załatwimy.

— W porządku.

— Być może będą jakieś drobne poprawki dotyczące współrzędnych, w zależności od tego, jak sieć będzie się zachowywała w atmosferze, ale nie przejmujcie się, bo jakoś was zgarniemy.

— Znacie już dokładnie godzinę? — spytała.

— Osiągnie najniższy punkt za dokładnie siedemdziesiąt cztery minuty… — przerwał — …i trzydzieści sekund. Natychmiast potem zacznie się wynurzać. — Kolejna sekunda wahania. — Będziecie w stanie dolecieć na tę wysokość?

— Pewnie tak. Jeśli nie, nie czekajcie na nas.

MacAllister zbladł. Widać było, że chce, żeby ktoś dodał mu otuchy. Hutch pokiwała głową.

— Żartuję, Mac. Wszystko będzie dobrze. Pamiętaj — dodała, zwracając się do Marcela — że tym pojazdem niełatwo się manewruje. Nie jestem nawet całkiem pewna, gdzie jest wschód.

— Doskonale sobie radzisz. Zmniejsz prędkość o jakieś trzydzieści kilometrów i skręć w lewo o osiem stopni.

Hutch wykonała polecenie.

— Doskonale. Będę z wami. Jak pogoda?

— Trochę chmur.

Hutch delikatnie przyciągnęła do siebie wolant, korzystając wyłącznie z możliwości lotniczych lądownika. Wolała zachować system antygrawitacyjny do chwili, gdy będzie jej potrzebny.

Marcel przesłał jej kolejne obrazy dolnej części sieci. Będzie zwisać prawie prosto z nieba. Przodem w ich stronę.

— Kiedy ją zobaczycie — wyjaśnił — będzie się poruszać na południowy wschód z prędkością 180 km/h. Jej kurs wyniesie 228-228,7 stopnia. Będziecie blisko. Kiedy ci powiem, włącz antygrawitację, a po prostu wpłyniecie do sieci.

— Marcelu — odparła — trudno mi uwierzyć, że coś takiego jest możliwe.

— Dla Francuza nie ma rzeczy niemożliwych. — Posłał jej złośliwy uśmieszek. — Grawitacja wytrzyma do chwili, gdy się tam pojawicie, ale my będziemy już hamować.

— Dobrze.

— Złapiemy was tuż przed tym, zanim zaczniemy wyciągać walec z powrotem.

— Mówisz, że otwór ma pięćdziesiąt trzy metry średnicy?

— Zgadza się. Pół boiska.

— Nie da się nie trafić.

— Taką mamy nadzieję.

Potem powiedziała cicho, jakby nie chciała, by ktoś ją usłyszał:

— Nie wierzę, że wyjdziemy z tego cało.

Nightingale spojrzał w dół, na szalejące wśród chmur burze. Byli skąpani w ogniu. Upiornie podświetlone chmury kłębiły się na coraz większych wysokościach.

Z trudem panował nad oddechem. Bez względu na to, co się stanie, nie będą mogli wrócić na dół. Boże, nie chciał tu umierać. I nie chciał, żeby pozostali wiedzieli, co czuje. Wszyscy się bali: zdawał sobie z tego sprawę. Tylko że oni chyba lepiej sobie z tym radzili.

Boże, proszę, nie chciałbym zostać rozszarpany na kawałki.

Z odbiornika dobiegł głos Marcela. Polecił Hutch, by zmniejszyła prędkość, zmieniła kurs czy wyleciała trochę wyżej. Głos był opanowany i chłodny, Pozbawiony emocji. Pewny siebie.

Jemu łatwo było zachować pewność siebie. Nightingale oddałby wszystko, żeby w tej chwili być tam gdzie Marcel, bezpieczny na pokładzie jednego ze statków.

Hutch nie powiedziała ani słowa na temat tego, jak zachował się w windzie. O ile wiedział, nie powiedziała o tym nikomu z pozostałych. Z nim też nie rozmawiała na ten temat, poza jedną reakcją na jego kajanie się. Widział jednak w jej oczach rozczarowanie. Potępienie. Wiele lat temu, kiedy MacAllister poniżył go przed całym światem, był w stanie zracjonalizować jakoś swoje zachowanie. Każdy może zemdleć w stresie. Był ranny. Nie spał za wiele w tym czasie. No i…

…wszystko jedno.

Tym razem zawiódł w bardziej spektakularny sposób. W sposób, którego nie potrafił zracjonalizować, ani przed sobą, ani przed innymi.

Kiedy to wszystko się skończy — jeśli przeżyją — ucieknie do Szkocji i tam się ukryje.

— Marcelu, tu Abel. Deepsix zaczyna się rozpadać. Marcel przełączył klimatologa na ekran.

— Jak to? Co się dzieje?

— Co większe szczeliny się otwierają, w oceanach i na dwóch kontynentach. Na Endtime ożywiło się parę wulkanów. We wschodniej części Gloriamundi jest uskok tektoniczny. Jedna jego strona właśnie uniosła się o sześć tysięcy metrów. I nadal się wznosi. Na obu półkulach są potężne trzęsienia ziemi.

Wszędzie dochodzi do erupcji wulkanów. Parę nawet pokazało się na Morzu Mglistym, niedaleko pozycji lądownika.

— Powinni być bezpieczni. Są dość wysoko.

— Tak sądzisz? Jeden z wulkanów wybuchł na Gloriamundi. Wyrzucany materiał dolatuje aż na orbitę.

— Pokaż mi, gdzie są te wulkany na Morzu Mglistym.

Kinder nie mylił się: dwa znajdowały się blisko trasy przelotu lądownika. Nie mógł jednak polecić im, by ją zmienili — nie dotarliby na miejsce spotkania z siecią. Lepiej po prostu lecieć i mieć nadzieję, że nic się nie stanie.

— Dzięki, Abel.

Kinder mruknął, jakby coś sprawiało mu ból. Ktoś dotknął jego ramienia i wręczył mu jakąś notatkę. Skrzywił się.

— Co się dzieje? — spytał Marcel.

— Poczekaj. — Klimatolog spojrzał w bok, skinął głową, znów się skrzywił i zaczął z kimś rozmawiać. Marcel nie słyszał tej rozmowy. — Północny Tempus zgrywa Atlantydę.

— Tonie?

— Tak.

Na jednym z ekranów widać było kadłub „Wendy". Marcel dostrzegł jakiś ruch, — ale stało się to tak szybko, że nie był pewien, czy mu się to nie przywidziało.

— Dzięki, Abel.

Nadal patrzył na ekran. Jakiś cień przesunął się po „Wendy" i jeden z czujników znikł. Moduł łączności pękł i elektroniczne elementy wypłynęły w pustkę. Przełączył się na SI i usłyszał głos Billa w pół zdania:

— …kilka układów z przodu. Intensywność najwyraźniej maleje…

Głos zanikł, obraz zamrugał i zgasł. Wrócił na sekundę, w której Bill wypowiedział jeszcze jedno słowo, po czym umilkł.

Nicholson w fotelu pilota przeczytał, że stracili łączność z „Wendy".

Spytał technika, czy można coś z tym zrobić.

— Problem nie występuje u nas, kapitanie — odparła.

Inny technik odtwarzał zarejestrowany film wstecz.

Nicholson spojrzał na Marcela.

— Co tam się dzieje, u licha? Rozumiesz coś z tego?

— To pewnie następne meteory — odparł Marcel. — W miarę zbliżania się Jerry'ego będzie coraz gorzej.

Ekran był nadal ciemny.

— Co się stanie, jeśli nie przywrócimy łączności?

— Nie musimy. Bill wie, co robić. Jak wszystkie SI. Dopóki nie pojawi się jakaś niebezpieczna sytuacja, w związku z którą będziemy musieli dokonywać poprawek.

Canyon siedział w pozycji, którą można określić jako luz z elementami skupionej uwagi.

— Więc po raz pierwszy wyszedłeś na zewnątrz statku, Tom? Opowiedz nam, jakie myśli przechodziły ci przez głowę, gdy wszedłeś do śluzy.

Scolari bardzo chciał, żeby udało mu się odprężyć.

— Cóż, Auguście, myślałem tylko o tym, że mam zadanie do wykonania. Podjąłem się tego zadania, więc chciałem się wywiązać.

Była to głupia odpowiedź, ale Scolari czuł się, jakby stracił zdolność myślenia. *Jak ja się nazywam?*

— To znaczy, nie chciałem się wycofać. To sprawa życia i śmierci.

Spojrzał na Cleo, która z niewinną miną gapiła się w sufit.

— A ty, Cleo? — rzekł Canyon. — To musi być denerwujące, patrzeć w dół i nie widzieć niczego.

— Cóż, to prawda, Auguście, choć muszę powiedzieć, że nigdy nie miałam wrażenia, jakoby istniał jakiś „dół". To nie jest tak, jakby być po drugiej stronie budynku.

— Jak mi wiadomo, wpadliście w rój meteorów. Jaka była wasza reakcja?

— Przez jakąś minutę bałam się — odparła. — Schowaliśmy się i po minucie było po wszystkim. Nie widzieliśmy za dużo.

— Posłuchaj — wtrącił Scolari — czy mogę powiedzieć coś od siebie?

— Oczywiście.

— Wszyscy wtedy byli wystraszeni. Nigdy nie przypuszczałem, że jakaś część mnie może po prostu zniknąć. Wiesz, co mam na myśli? Nawet gdyby nie było tych meteorów, nie podobało mi się, że nie mam żadnej stałej powierzchni pod nogami. Ale cieszę się, że tam byłem. Mam nadzieję, że z bożą pomocą zobaczymy tę czwórkę znów wśród nas. Jeśli tylko tak się stanie, będę szczęśliwy, że miałem w tym swój udział. — Udało mu się uśmiechnąć. — Ja, i Cleo, i inni.

Miles Chastain odbywał podróż wzdłuż walca, przemieszczając się zgodnie z planem od jednego statku do drugiego i sprawdzając pracę Autsajderów.

Maleivę III było widać na tle gazowego giganta. Kontynenty i morza nie były już widoczne, a cała planeta wyglądała, jakby była spowita grubym, szarym całunem.

Zdumiało go, ile osób podczas całej operacji chciało ryzykować życie i zdrowie. Słyszał różne rzeczy, na przykład skargi pasażerów z „Gwiazdy" i naukowców z „Wendy". Już kiedyś znalazł się w niełatwej sytuacji i wiedział, że ludzie wtedy zrzucają wszelkie maski, ujawniają swoje prawdziwe oblicza, ukazują swoje najlepsze i najgorsze cechy w zależności od tego, na którą stronę przechyli się szala ich osobowości, jakby kłopoty odzierały ludzi z codziennych pozorów, tak jak Jerry odziera ze wszystkiego Maleivę III.

Był gdzieś pomiędzy „Zwickiem", własnym statkiem, a „Wieczorną Gwiazdą", pędząc wzdłuż walca w stronę sieci. Hutchins i jej ludzi miał przejąć wahadłowiec Drummonda. Marcel chciał, żeby opuścili sieć i lądownik natychmiast, gdy tylko będzie to możliwe. Miles miał czekać w gotowości.

Był sam. Zostawił Phila, pilota wahadłowca, asystentów i Autsajderów na „Gwieździe" i sam przejął stery. Zbliżał się do „Zwicka", ustawionego przodem do niego.

Kiedy nadejdzie sygnał i zaczną wyciągać walec nad atmosferę, zaczną wchodzić na orbitę. Wtedy będzie można wyjąć stamtąd grupę MacAllistera.

Zapaliła się kontrolka wiadomości. Transmisja z „Zwicka". To Emma. Na ekranie widać było jej zwykle poszarzałą twarz, która jednak tym razem aż błyszczała. Kiedy Emma z nim rozmawiała, sprawiała wrażenie, jakby myślała o czymś innym, a teraz tylko przekazywała polecenia. Jakby sam Miles był kimś zupełnie nieistotnym. W końcu doszedł do wniosku, że to pewnie od nadmiaru ważniaków, z którymi miewała do czynienia. Wszyscy inni byli wieśniakami.

— Tak, Emmo? — spytał. — Co mogę dla ciebie zrobić?

— Miles, gdzie teraz jesteś?

— Przed tobą. Właśnie nadlatuję.

— Z mojego planu wynika, że masz lecieć na miejsce, gdzie odbędzie się przejęcie rozbitków.

— Mniej więcej. Po prostu mam tam być na wszelki wypadek.

— Dobrze. Chciałabym, żebyś się zatrzymał i zabrał nas.

— Po co?

— To potrwa tylko minutkę.

— Po co? — powtórzył pytanie.

— Ty tak serio? Przecież tam ma się odbyć akcja ratunkowa, a ty pytasz, po co chcemy tam być?

Westchnął. Oczywiście miała rację.

— Dobrze. Zacumuję za jakieś sześć minut.

— Dobrze. Miles, a mogę cię prosić o coś jeszcze?

Czekał.

— Chciałabym, żebyś się skontaktował z drugim pilotem, tym, który ma ich przejąć. Powiedz mu, że chcemy nagrać, jak wchodzą na pokład. Spytaj go, czy jest chętny do współpracy.

— Dlaczego sama tego nie zrobisz?

— Cóż, myślę, że ty powinieneś porozmawiać jak pilot z pilotem. Wiesz, jak to jest. Jeśli ty go o to zagadasz, będzie bardziej skłonny do współpracy. Wielu ludzi tutaj nie przepada za nami. Uważają, że tylko przeszkadzamy. Chyba że z takiego czy innego powodu szukają rozgłosu. A ja nie chciałabym czegoś takiego przegapić. — Widać było, jak się tym przejmuje. — To będzie materiał dziesięciolecia, Miles.

— Emmo, a wiesz, że wahadłowce nie mogą się połączyć? Będziesz musiała wyjść na zewnątrz, żeby tam przejść.

— Nie wiedziałam. Ale to nie problem.

— Oni tam będą zajęci. Nie przypuszczam, żeby mieli czas dla dziennikarzy.

— Miles — spuściła z tonu — bardzo chciałabym, żeby to się udało.

Pilot Frank uniósł wzrok i spojrzał na Drummonda.

— John — odparł — nie mam nic przeciwko, dopóki nie będą nam włazić w drogę. A ty?

Instynkt podpowiadał Dummondowi, żeby natychmiast odmówić. Nie potrafił jednak powiedzieć, dlaczego właściwie nie lubi Canyona. W wahadłowcu było mnóstwo miejsca; poza tym uznał, że należy wykazać się życzliwością wobec mediów.

— Dobrze — rzekł. — Powiedz im to samo, co mnie powiedziałeś.

Grawitacja już zaczęła oddziaływać na siatkowy worek. Sieć stopniowo się rozciągała i zaczęła się ustawiać w stronę wzburzonej atmosfery. Kryza była otwarta i łatwo było ją dostrzec, a ludziom, którzy ją mocowali, udało się nawet zaopatrzyć ją w światła. Jeśli tylko nie będzie problemów z lądownikiem, jeśli tylko lądownik pojawi się w oznaczonym miejscu i czasie, łatwo będzie całość wyciągnąć. Prawie bez emocji.

Frank nie zgadzał się z tym.

— Kryza wygląda na dużą, ale to dlatego, że jesteśmy nad nią. I opadamy z tą samą prędkością co ona. Lądownik będzie się zbliżał na mniej więcej stałej wysokości. Sieć opada w dół, a potem ma pójść w

górę. Pilot będzie musiał wszystko zgrać, żeby wskoczyć we właściwym momencie. Jeśli się nie uda, wszystko na nic.

Lecieli w milczeniu. Embry, lekarka, patrzyła refleksyjnie w okno. Janet Hazelhurst przeglądała pokładową bibliotekę, ale wyglądało na to, że tylko przerzuca strony. Drummond sączył kawę w zamyśleniu.

— *Osiemnaście minut do kontaktu* — rzekła SI. — *Wszystko zgodnie z planem.*

Sieć nadal rozwijała się, opadając ku chmurom. Drummond nie dostrzegł, żeby gdzieś zaczęła się zaplątywać. Frank zwolnił tempo opadania.

— Niżej się nie da — oznajmił. Drummond pokiwał głową.

— Jak dotąd wszystko gra — rzekł Marcel.

Kolejny wahadłowiec pojawił się i zrównał z nimi.

— Dziennikarze przylecieli — zauważył Frank.

Drummond włączył e-skafander i wszedł od śluzy, skąd mógł obserwować dwie osoby gramolące się niezdarnie z drugiego wahadłowca. Przelecieli kilka metrów między wahadłowcami. Złapał każde z nich za rękę i wciągnął do środka.

Canyon nie był wcale tak wysoki, jak Drummond sądził, ale miał bardzo melodyjny głos. Przedstawił się cicho i skromnie.

— A to jest Emma Constantine — rzekł. — Moja producentka.

— Chcielibyśmy się tu rozlokować — wyjaśniła Emma. — Jeśli to nie problem. — Wskazała pomieszczenie przylegające do śluzy. — Chciałabym z panem porozmawiać, zanim zacznie się akcja.

— Dobrze — zgodził się.

— August będzie zadawał pytania o to, jak zamierzacie to przeprowadzić, kto wyjdzie z panem…

— Chwileczkę — przerwał jej Drummond. — Nie zamierzam wychodzić. To zadanie Franka.

— Och — odwróciła się od Drummonda z takim wyrazem twarzy, jakby właśnie został wymazany z pamięci ludzkości. Canyon uśmiechnął się do niego i wzruszył ramionami.

Frank zobaczył na ekranie nawigacyjnym coś, co mu się nie podobało.

— Wszyscy na miejsca — rzekł. — Pasy.

Nikt nie musiał tego Canyonowi powtarzać. Zanurkował w kierunku najbliższego fotela. Emmie szło to wolniej.

— Co się dzieje? — spytał Drummond.

— Pole odłamków.

Gdy tylko pasażerowie znaleźli się na swoich miejscach, statek zaczął przyspieszać.

SI rozmawiała z Frankiem, ale ten przełączył rozmowę na słuchawki, najwyraźniej nie chcąc wystraszyć pasażerów. Dopiero to zaniepokoiło Drummonda.

— Proszę wszystkich o pozostanie na miejscach — oznajmił pilot. — Nie ma się czym martwić. — Przyspieszył. — Są za nami — wyjaśnił. — Przegonimy je.

— Jak to wygląda? — spytał Drummond.

Frank spojrzał na jeden z ekranów.

— To duży rój. I prędko się zbliża. Nie chcielibyśmy się z nim spotkać.

Canyon za plecami Drummonda mówił coś do mikrofonu. Drummondowi udało się wyłapać parę fragmentów.

— …statek ratowniczy… w opałach… meteory… oddalić się z miejsca…

Nagle mikrofon został wycelowany w jego kierunku, — … rozmawiamy z Johnem Drummondem, który zaplanował większą część tej operacji. Jest z zawodu astronomem…

— Matematykiem — poprawił go Drummond.

— Matematykiem. Jak opisałby pan naszą obecną sytuację, doktorze Drummond?

Drummond był pod wrażeniem. Wyglądało na to, że przemawia do kilku milionów ludzi. Czy raczej: będzie przemawiał, kiedy sygnał do nich dotrze. *Jak opisać obecną sytuację?* Zaczął szybko mówić coś o pyle i odłamkach, które gromadzą się w polu grawitacyjnym.

— Szczególnie wokół ciała niebieskiego o takich rozmiarach.

Na jednym z monitorów było widać obraz Morgana. Zerknął na niego.

Coś walnęło w kadłub. Drummond wzdrygnął się i uświadomił sobie, że kilka milionów widzów także zobaczy jego przestrach.

— Czy obraz też wysyłamy? — spytał.

Siedząca z boku Emma skinęła głową. Wysyłali. Nagle odnieśli wrażenie, jakby wokół wahadłowca padał deszcz. Wyraźne staccato zabębniło po kadłubie.

— Panie i panowie — rzekł cicho Canyon, głosem, który podsycał przerażenie Drummonda — słyszą państwo, co się dzieje.

— Jakie to jest duże? — spytał Marcel.

— Duże. Tysiące kilometrów średnicy. Frank jest na brzegu. Ale porusza się bardzo szybko i za kilka sekund powinien się wydostać.

— A „Zwick”?

Wiedział, jaką otrzyma odpowiedź. Z tego, co było widać na ekranach, wynikało, że rój przemieszcza się dokładnie w kierunku statku dziennikarzy. A w przeciwieństwie do wahadłowca „Zwick” nie mógł uciec.

Gdy Emma i Canyon opuścili „Zwicka”, na pokładzie zostali tylko: Tom Scolari, Cleo, Jack Kingsbury i Chop. Scolari nie czuł się zbyt

komfortowo, przebywając na statku przyspawanym do słupa i pozbawionym załogi. Wiedział, że walec został już schwytany w studnię grawitacji Maleivy III i że wszystko przyczepione do niego spada w kierunku powierzchni planety.

Zapewniono ich, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Było to spadanie kontrolowane. SI statku, jak i SI pozostałych trzech, miały w odpowiednim momencie uruchomić silniki i wyciągnął Alfę ze studni razem z załogą lądownika.

Jakie to proste.

A mimo to Scolari wolałby, żeby na statku znalazł się ktoś z paskami na rękawach, ktoś, kto zorientowałby się, że coś poszło nie tak, i umiałby coś z tym zrobić. Dlatego właśnie statki nadświetlne, które właściwie mogły od początku do końca latać bez ludzkiej obsługi, miały na pokładzie kapitana.

Wszyscy byli we wspólnym pomieszczeniu. Cleo i Chop jedli kanapki, a Jack popijał jakiś napój. Scolari wolałby być na pokładzie „Gwiazdy", gdzie czułby się bezpiecznie wśród półtora tysiąca turystów. Tam, gdzie pełnili służbę ludzie, łatwiej było przekonać się, że wszystko jest w porządku.

Próbowali nawzajem dodać sobie otuchy, kiedy wtrąciła się SI.

— *Zbliża się rój pyłu i odłamków skalnych, z dużą prędkością* — oznajmiła stłumionym damskim głosem. Proszę *natychmiast przejść do pomieszczenia używanego podczas przeciążeń.*

Spojrzeli nerwowo po sobie.

— Czy jest jakieś niebezpieczeństwo?

— *Niebezpieczeństwo jest minimalne* — odparła SI. — *Jednak zgodnie z naszymi procedurami bezpieczeństwa musicie państwo włożyć e-skafandry.*

Pomieszczenia używane podczas przeciążeń składały się z paru prycz zainstalowanych w różnych miejscach na statku. Przy grodzi we wspólnym pomieszczeniu też było coś takiego: sześć prycz. Wzięli uprzęże i aparaty do oddychania z szafki alarmowej i włożyli je, po czym włączyli pola.

— Ona sądzi, że meteor może przebić kadłub — rzekła wystraszona Cleo.

Scolari uznał, że powinien ją pocieszyć.

— To tylko środek ostrożności — rzekł.

Chop rozglądał się nerwowo po wnętrzu statku. Kingsbury zacisnął rękę na ramieniu Scolariego.

— Jak to wszystko się skończy, zapraszam wszystkich i stawiam.

Weszli na prycze i zamknęły się nad nimi konstrukcje ochronne.

— To ja poproszę heberta — rzekł.

— *Poinformuję was, kiedy niebezpieczeństwo minie.*

Powtarzał sobie, że nie ma powodów do zmartwień.

— Zastanawiam się, jak daleko one są — rzekł Chop. — Te skały.

W ich słuchawkach rozległ się jakiś nowy głos.

— Tu kapitan Clairveau. Wasza SI właśnie poinformowała mnie, że jesteście sami na pokładzie „Zwicka". Wszystko w porządku?

— Tu Jack Kingsbury. W porządku, kapitanie. Może nam pan powiedzieć, co się dzieje?

Zanim odpowiedział, rozległ się potężny łomot, statek zadrżał, w słuchawkach rozległo się pstryknięcie, a potem szum fali nośnej się zmienił.

— Kapitanie — rzekł Scolari — jest pan tam?

Kolejne uderzenie, które odbiło się echem po całym pomieszczeniu.

Transmisja urwała się.

Automatyczny głos oznajmił:

— *Czternaście minut.*

— *Odzyskaliśmy łączność z „Wendy"* — oznajmiła Lori na mostku. — *„Zwick" nadal milczy.*

Marcel przyglądał się sytuacji na ekranie. Pole odłamków migało na żółto. Niektóre ze skał już wchodziły w atmosferę. Wyglądało jednak na to, że najgorsze wydarzy się za kilka minut.

— Lori — odezwał się Marcel — mamy gdzieś ich obraz? „Zwicka"?

— Nie. *Jedyny pojazd, który jest blisko, to Miles, ale nie ma odpowiedniego kąta. Dam znać, jeśli coś się zmieni.*

Na tablicy łączności zapaliło się światło.

— Kapitanie — odezwał się Drummond.

— Mów, John.

— Złe nowiny.

Marcel wstrzymał oddech. Drummond nadal mówił, więc nie mogło być bardzo źle.

— O co chodzi?

— Wysyłam obraz.

Ekran boczny rozjarzył się i Marcel zobaczył sieć. Dół sieci.

Worek.

Tylko że worka już tam nie było.

Tam, gdzie sieć miała się rozszerzać, by przyjąć lądownik, gdzie kryza miała go przepuścić, wszystko zwisało w stronę chmur, wiotkie i martwe.

— Co się stało?

— Nie wiem, Marcelu. Pewnie została trafiona. Chciał odsunąć od siebie ten obraz.

— Pewnie została trafiona bezpośrednio w kryzę. Albo któryś ze wsporników. Wszystko się zapadło.

— *Trzynaście minut* — oznajmił głos.

SI ostrzegła Scolariego i pozostałych, że „Zwick” zaraz uruchomi silniki. Zaczął się proces zwalniania i wycofywania walca Alfa.

Poinformowała także, że odzyskano łączność z pozostałymi statkami.

XXXV

Przeżycie w trudnej sytuacji jest często wyłącznie kwestią szczęścia. Jeśli komuś ono sprzyja, korpus sił pokojowych przybędzie na czas, generator prądotwórczy jednak nieoczekiwanie zaskoczy albo delikwent dostanie miejsce we właściwej części samolotu. A najczęściej jest to obecność właściwych ludzi.

Gregory MacAllister, Przewodnik duchowy dla nocujących pod namiotem

Czas do rozpadu (prognoza): 10 godzin

— …to nie jest problem nie do rozwiązania… — Obraz Marcela rozmywał się na ekranie. Nadal mówił, ale Hutch już go nie słuchała.

— …może uda wam się wśliznąć…

Popatrzyła do przodu, przez przednią szybę, na niebo barwy popiołu, które wyglądało, jakby rozciągało się w nieskończoność. Z prawej strony wisiał potężny słup dymu. Powiedziano jej, że to wulkan. Ktoś się za nią poruszył. Ale nikt się nie odezwał.

— …pech, ale spróbujemy coś wymyślić…

Chwyciła wolant mocno, jakby to mogło ją uratować. Przesunęła go do przodu, opuściła klapy i lądownik zanurkował. Przyjemna, przewidywalna fizyka.

— …nadal zdołamy…

Wyłączyła dźwięk i teraz Marcel poruszał tylko ustami, patrząc na nią oczami, w których nie było nic. Dziwne, ale było jej go żal. Zrobił więcej, niż ktokolwiek od niego oczekiwał, i przegrał w ostatniej sekundzie.

Uderzenie meteorytu. Jak mogli mieć aż takiego pecha?

— Co teraz? — spytał MacAllister.

Ledwo go słyszała.

— Mój Boże — jęknął Nightingale.

— A może spróbować się wepchnąć — zaproponowała Kellie. — Wiemy, że jest otwór. Wystarczy tylko go znaleźć.

— Tak. — Nightingale wyciągnął rękę i uścisnął jej ramię. — To nie powinno być jakoś szczególnie trudne.

Włączyła z powrotem Marcela.

— Powiedziałeś, że kryza się zapadła. Ale tam były światła. Można je włączyć?

— Nie — odparł. — Nie reagują.

— Jeśli znajdziemy kryzę, przecież możemy się przez nią przepchać, prawda?

— Prawdopodobnie tak. Nie planowaliśmy tego w ten sposób, ale pewnie się da. Jeśli tylko nie jest bardzo splątana. Trudno powiedzieć, jakie dokładnie warunki tam panują.

Pewnie. Jeśli.

— Marcelu, nie musimy się trzymać planu. — Spojrzała na przyrządy. — Głupio mi, że muszę to tak ująć, ale nie mamy już gdzie wylądować.

— Wiem.

— Nadal jesteśmy na kursie?

— Tak. Jak w pysk strzelił.

Niezbyt fortunne określenie. Zobaczyła, że Marcel się krzywi i żałuje, iż tak to ujął.

— Jest — rzekła Kellie.

Wyglądała jak długi, cienki element odzieży zwisający z nieba. Hutch patrzyła, jak opada, jak wiatry nią miotają, przepychając ją z jednej strony na drugą. Zaskoczyło ją to, na tej wysokości, i dopiero teraz uświadomiła sobie, jak lekki musiał być materiał, z którego ją wykonano.

Cała konstrukcja się zapadła. Nie tylko pierścień. Szyny podpierające, które oddzielały przód od tyłu i boki od siebie tak, że było to worek, także opadły. Widziała, że są gdzieś wplątane w ogniwa. Jedna z szyn odpadła, gdy Hutch na nią patrzyła. Widziała, jak wpada w chmury.

Nie było worka, do którego można by się wśliznąć.

— Co robimy? — spytał Nightingale, nie ukrywając przerażenia. — Na litość boską, co my teraz zrobimy?

W tej chwili dużą przyjemność sprawiłoby jej wyrzucenie go z lądownika.

— Lecisz za szybko — rzekł Marcel. — Zwolnij o dziesięć kilometrów na godzinę. Nie, dwanaście. Zwolnij o dwanaście.

Zwolniła. I równocześnie próbowała uspokoić bicie serca.

— Sześć minut — powiedział Marcel. — Nadal będzie w fazie schodzenia w dół. Na samym końcu. Tuż przed tym, jak zacznie się wynurzać. Będziecie mieli dziewięćdziesiąt sekund na załapanie się. Potem sieć ruszy znowu w górę.

— Nie możecie dać nam więcej czasu?

— Niestety nie. Gdybyśmy spróbowali, stracilibyśmy kontrolę nad walcem. Nie bylibyśmy w stanie go wycofać. — Spojrzał na Hutch, jakby konieczne były dodatkowe wyjaśnienia. — Hutch, jeśli nie wycofamy go w porę, spadnie do oceanu.

Przyjrzała się sekwencji, którą wysłał jej Marcel. W tej chwili dwa statki nadświetlne używały głównych silników, żeby powstrzymać opadanie walca. Za kilka minut ta moc spowoduje, że Alfa zwolni, zatrzyma się na krótko, po czym zacznie się cofać.

Wiedziała, gdzie mniej więcej ma być otwór, ale nie widziała go, nie przez tę plątaninę ogniw.

— Czy ktoś widzi tę kryzę? Marcelu, czy ona jest zwrócona w naszą stronę? Jest nadal na wschodzie?

— Nie wiem, Hutch. Macie lepszy obraz od nas. Atmosfera strasznie zakłóca obraz z teleskopów.

— Nic nie widzę — rzekła Kellie. — Jedna plątanina.

— Jak sądzisz? — spytał Marcel. — Potraficie to zrobić?

— To się nie uda — rzekła Kellie. — Za bardzo poplątane. Nie przepchniemy się przez to.

— Zgadzam się z tym — mruknęła Hutch.

— Hutch — Marcelowi łamał się głos. — Nie mamy nic innego.

— Może mamy. — Wzięła głęboki oddech. — Dobrze. Niech wszyscy się uspokoją. A teraz wam powiem, co zrobimy.

Jej wzrok napotkał ciemne oczy Kellie; bez słów zadała jej pytanie. Hutch skinęła głową.

Kellie otworzyła szafki i zaczęła wyjmować butle z tlenem. Podała jedną Nightingale'owi.

— Po co to? — spytał, wyglądając na szczerze zaskoczonego.

— Wszyscy wskakują w e-skafandry.

— Po co? — dopytywał się Mac.

Głos Hutch brzmiał całkowicie obojętnie.

— Opuszczamy statek.

— Hutch — odezwał, się Marcel. — Wolniej. Zmniejsz prędkość o jakieś sześć kilometrów.

Hutch wykonała polecenie. Czuła uderzenie adrenaliny i chciała zrobić wszystko jak najszybciej.

— Ile mamy uprzęży? — zwróciła się do Kellie.

Kellie przeszukała szafki. Hutch usłyszała, jak uruchamia się jeden ze skafandrów. Nightingale'a.

— Dwie — odparła Kellie i podała je Macowi i Nightingale'owi, po czym pokazała im, jak korzystać z zaczepów. — Wystarczy je przyczepić do sieci i zatrzasną się.

— Hutch — rzekł Nightingale — czy ty mi chcesz powiedzieć, że wychodzimy na zewnątrz? Będziemy skakać?!

Skinęła głową.

— Po prostu wysadzę was przy sieci, Randy. Złapiecie się jej.

— Mój Boże — jęknął.

Hutch zwróciła się znów do Marcela.

— Jakiej grubości są linki sieci?

— Cienkie. Jak twój palec wskazujący. A czemu pytasz?

— Chciałam się upewnić, że zaczepy się na niej zatrzasną. Ewakuujemy się stąd.

— Co? Nie możesz tego zrobić, Hutch.

— Dlaczego? Posłuchaj, to najlepsza możliwość i nie mam czasu się z tobą kłócić.

Kellie ucięła dwa kawałki liny i podała je Hutch. Hutch włożyła zbiorniki z tlenem i uruchomiła e-skafander.

— Ty i Hutch nie macie zaczepów — rzekł Mac.

— Poradzimy sobie — odparła Hutch. — A teraz słuchajcie: kiedy się wydostaniemy, ustawię lądownik dokładnie przy sieci. Dostosuję się do jej prędkości, więc będziecie musieli tylko wychylić się i złapać. I wspiąć się.

Nightingale był blady jak ściana.

— Wszystko będzie dobrze, Randy. Nie ma co się martwić. Kiedy już złapiesz się sieci, wystarczy się przypiąć. Dobrze? Wiem, że to groźnie wygląda, ale nic ci nie będzie. Jak już tam będziesz, przypniesz się, odprężysz i będziesz czerpał przyjemność z przejażdżki.

Chciała powiedzieć Nightingale'owi, że kiedy zbliżą się do sieci, nie będzie czasu na to, żeby się zastanawiać, stojąc w śluzie. Powstrzymała się jednak, wiedząc, że w ten sposób może tylko wywołać u niego atak paniki, którego wolałaby uniknąć.

Kellie patrzyła na nią spokojnie.

— Dlaczego ja nie mogę przejąć sterów?

Hutch potrząsnęła głową.

— Dzięki — odparła. — Ja to załatwię.

— Pomogę ci wyjść.

— Wszystko w porządku.

— Czekajcie chwilę — wtrącił Nightingale. — Co się dzieje?

— Nie będzie nikogo, ktoby pilotował lądownik tak, żeby Hutch się wydostała — wyjaśniła Kellie.

— Wydostanę się — odparła Hutch.

— Może powinniśmy jednak próbować znaleźć kryzę — upierała się Kellie.

— To się nie uda. Dajcie spokój. Poradzę sobie. Zbliżali się. Wyłonili się z warstwy chmur i zobaczyli światło słońca. Sieć zwisała z nieba bezpośrednio nad nimi.

Kellie miała oczywiście rację. Antygrawitacja mogła utrzymać lądownik na stałej wysokości, ale sieć się poruszała. Kiedy Hutch

wstanie od sterów, sieć i lądownik bardzo szybko zaczną się oddalać. Może się zdarzyć, że wyjdzie do śluzy, a sieć będzie już trzydzieści metrów od niej.

Ale nie było sposobu, żeby coś z tym zrobić.

Do licha.

— A wiatr? — spytał Nightingale.

— Na tej wysokości nie będzie z tym problemu. Patrzył na nią z rozpaczą. Biedny drań tak bardzo się bał.

Posłała mu pocieszający uśmiech. Nie było jednak czasu, żeby o tym porozmawiać. Zmniejszyła ciśnienie powietrza w kabinie, żeby odtworzyć warunki panujące na zewnątrz, i otworzyła wewnętrzny właz śluzy.

— Mac, ty pierwszy. MacAllister skinął głową.

— Dzięki, Hutch — rzekł, a potem spojrzał na nią tęsknie. — Dzięki za wszystko.

Wszedł do śluzy. Zewnętrzna klapa otworzyła się. *Nie patrz w dół.*

Sieć była beznadziejnie poplątana.

— Czekaj, aż ci powiem, Mac.

Lądownik zbliżył się do sieci, ogniwa otarły się o kadłub. Ostrożnie: nie możemy się zaplątać.

— Dobrze, Mac. Skacz.

MacAllister zawahał się, a Hutch wstrzymała oddech. *Boże, nie, tylko nie on.*

I już go nie było. Hutch odsunęła się szybko od sieci, żeby zrobić mu miejsce, zmniejszyć prawdopodobieństwo uderzenia go albo sieci przez lądownik.

Kellie wychylała się, patrząc w bok.

— Wszystko gra — poinformowała. — Złapał się.

— Kellie, teraz ty. Czekaj na sygnał.

W ten sposób, jeśli Nightingale spanikuje, zabije tylko siebie.

Kellie pochyliła się nad Hutch, przechodząc obok niej.

— Kocham cię, Hutch — rzekła. Hutch skinęła głową.

— Ja ciebie też.

Kellie weszła do śluzy.

Nightingale wyciągał jakąś linę z szafki. Chciała zapytać, co robi, ale była zajęta czym innym. Hutch znów zbliżyła się do sieci.

— Na mój sygnał — rzekła.

Kellie czekała z naprężonymi mięśniami.

— Teraz. Skacz.

Kellie wyszła prosto w niebo. Hutch odleciała w bok.

— W porządku — rozległ się w słuchawkach głos Kellie. — Jestem na pokładzie.

Dwoje na dwoje.

Prędkość opadania sieci spadała. Hutch dostosowała prędkość i

zbliżyła się.

— Teraz ty, Randy. Stał i patrzył na nią.

— A jak ty zamierzasz się wydostać?

— Wydostanę się.

— Jak?

Sieć zatrzymała się, znieruchomiała i zaczęła wędrować w górę. Hutch wyrównała kołysanie lądownika, zbliżyła się do sieci.

— Skacz.

Stał tuż za nią.

— Nie skaczę bez ciebie — oznajmił dziwnym tonem.

— Randy, nie mogę tu sterczeć na wieki.

Schylił się, pokazał jej kawałek liny, którą wyjął z szafki, i zaczął owijać ją tą liną wokół pasa.

— Co ty robisz? — dopytywała się.

Lina mierzyła jakieś czterdzieści metrów. Pobiegł do śluzy i zobaczyła, że drugim końcem owinął siebie.

— Kiedy wyskoczę — powiedział — policz do jednego i skacz.

— Randy, to szaleństwo. Jeśli mi się nie uda…

— Zostaniemy razem. W górze albo na dole.

Sieć wznosiła się coraz szybciej, przyspieszała, ale Hutch udało się zrównać prędkość. Kadłub stuknął o sieć.

Mogła odwiązać linę. Ale dzięki niej miała szansę. Do licha, i to niezłą szansę!

— Dobrze, Randy — rzekła. — Skacz!

Pobiegł do śluzy i znikł. Odsunęła lądownik od sieci, robiąc mu miejsce, nadsłuchując, czy powie, że wszystko w porządku. Musiał jednak stracić głos albo sparaliżowało mu struny głosowe. Lina, którą byli związani, wysuwała się z kabiny. *Mam nadzieję, że się czegoś złapałeś, chłopie.* Hutch puściła wolant, jednym susem pokonała kabinę i zanurkowała przez śluzę, zgarniając linę, żeby nie zaplątała się w lądowniku. Sieć była już poza jej zasięgiem, wznosząc się i dryfując w górę.

Nightingale niemal wolał zostać w kabinie, wśród wygodnych grodzi i foteli, i spaść razem z lądownikiem, niż skakać w niebo.

Była taka chwila, kiedy związywał siebie i Hutch liną, że szukał jakiejś wymówki, żeby tylko nie skoczyć. I może tak by się stało. Może miał nadzieję, że Hutch odmówi, a wtedy on będzie mógł zostać z nią, jakże prosto i wielkodusznie, oddzielony od tego okropnego włazu.

Ale ona mu zaufała i ta ufność podsyciła jego determinację: nie chciał się znowu upokorzyć. Sieć była blisko. Po prostu złapał ją, objął ramionami i odciągnął się od statku. Był sam, lądownik się oddalał, a on wisiał z zamkniętymi oczami.

Sieć falowała i poruszała się. Nightingale trzymał się jej

kurczowo, stał na niej, czuł jej załamania wokół siebie, stał się jej częścią. Otworzył oczy. Lądownik był daleko, lina, która łączyła go z Hutch, rozwijała się, on zaś czekał, bojąc się, że zostanie wyszarpnięty ze swojej grzędy. *Gdzie ona jest?*

Przypnij linę.

Żeby to zrobić, musiałby oderwać jedną rękę od sieci. Niemożliwe.

Skupił się na ogniwach, na gładkiej, poczerniałej powierzchni łańcucha, na tym, jak były połączone. Na przypięciu się do sieci, zanim Hutch wyjdzie z lądownika.

Na wszystkim, tylko nie na pustce, która go otaczała.

Puścił sieć jedną ręką, chwycił uprząż, która zwisała z jego kamizelki, i przeciągnął ją przez ogniwo. Szarpnął. Poczuł, jak się zahacza.

Sieć przyspieszała. Czuł, że jest coraz cięższy. Pod nim Hutch wyszła z lądownika i zaczęła koziołkować.

Stracił ją z oczu. Luźna lina wisiała na tle nieba, a on złapał się obiema rękami, obejmując linę, którą miał bezpiecznie obwiązaną w pasie, i zaparł się.

— Trzymam cię — powiedział.

Szarpnięcie wyrwało mu linę z rąk i poczuł silny ból w pasie. Lina zsunęła się mu w okolice kolan, potem zerwała się ze stóp i przez jeden potworny moment myślał, że oboje spadną. Uprząż jednak wytrzymała. Rozpaczliwie próbował schwycić linę i złapał ją jedną ręką, drugą trzymając się sieci.

Ktoś pytał, czy wszystko w porządku. Lina Hutch wymykała mu się z ręki. Zdobył się na odwagę i puścił sieć, żeby złapać lepiej linę. Spojrzał w dół i zobaczył Hutch, kołyszącą się łagodnie nad chmurami.

Bał się, że uprząż pęknie pod takim obciążeniem.

— Hutch! — krzyknął. — Żyjesz?

Cisza.

Zmieniła się w kotwicę, balast, i nie mógł jej utrzymać, nie mógł utrzymać tego ciężaru. Zacisnął powieki. Ręce zaczęły go boleć.

Próbował ją podciągnąć, wymyślić, jak ją przyczepić do sieci, ale nie mógł tego zrobić jedną ręką; bał się, że ją puści. Kellie pytała, co się dzieje.

— Trzymam ją końcami palców — odparł.

— Nie puszczaj jej — wtrącił Mac. Kochany, stary Mac, zawsze miał na podorędziu dobrą radę.

Ramiona i dłonie bolały.

— Hutch, pomocy.

Co za głupota. Kołysała się w przód i w tył, Bóg raczy wiedzieć, jak daleko poniżej sieci, i było oczywiste, że nie może pomóc sama

sobie.

Dlaczego nie odpowiada? Może nie żyje? Zginęła podczas upadku? Jak daleko spadła? Próbował to obliczyć, żeby podsunąć umysłowi coś, na czym mógłby się skupić.

— Nie wytrzymam dłużej! — krzyknął na kanale ogólnym, do wszystkich, którzy mogli go usłyszeć. Był zgięty wpół, Hutch ważyła za dużo, a nie mógł jej podciągnąć. — Pomocy!

— Randy, nie puszczaj — wtrącił Marcel.

— Ile jeszcze? — dopytywał się. — Ile jeszcze będą musiał ją tak trzymać?

— Aż znajdziecie się na orbicie. Czternaście minut.

Popadł w rozpacz. To niemożliwe. Nie ma szans. Czternaście minut. Równie dobrze mógł ją teraz upuścić.

Hutch odzyskała utracony w czasie upadku oddech. Słyszała głosy na kanale, ale aż to tej chwili były stłumione i niezrozumiałe.

— Randy, nie puszczaj — wtrącił Marcel.

— Ile jeszcze?

Spojrzała w górę, na linę, wygiętą łukowato, wyglądającą, jakby ciągnęła się w nieskończoność, aż do sieci. Aż do Nightingale'a, który wyginał się, ale trzymał. Odruch nakazał jej się wspiąć, ale to była daleka droga. Nie udałoby się w tych warunkach i nie chciała dodatkowo obciążać Nightingale'a.

— Żyję, Randy — powiedziała.

— Hutch! — W jego głosie rozbrzmiewała rozpacz. — Dasz radę się wspiąć?

— Chyba nie.

— Spróbuj.

— To chyba zły pomysł.

— Dobrze. — Było słychać, że jest przerażony i zmęczony.

— Trzymaj, Randy.

— Trzymam, Hutch. Boże, pomóż mi, utrzymam.

— Wyciągamy was — rzekł Marcel. — Trzymajcie się.

— A jak myślisz, co robię? — Wyrzucił z siebie wiązankę epitetów, miotając klątwy pod adresem lin, lądowników i kapitanów statków międzygwiezdnych.

— Randy — przebił się przez wściekłość głos Marcela.

— Tak? Do jasnej cholery, czego jeszcze chcesz?

— Spróbujemy coś zrobić.

Och, Boże, jak bardzo chciał puścić linę.

— Trzydzieści sekund — rzekł Marcel. — Potrzymaj ją jeszcze przez trzydzieści sekund.

Ramiona i plecy mu płonęły.

— Teraz stanie się trochę cięższa — mówił dalej Marcel. — Ale to potrwa tylko trzydzieści sekund, a potem wszystko będzie w porządku.

— Co? Dlaczego?

— Zaczynam odliczać do pięciu. Jeden.

— Na litość boską, pośpieszcie się.

Czekał. I nagle sieć gwałtownie szarpnęła. Lina wpiła mu się w ręce. Zdarła skórę do żywego mięsa. Rozcięła ciało do kości.

Wył. Krzyczał.

Nienawidził Hutchins. Nienawidził jej. Nienawidził. Puścić.

Na litość boską, puścić linę.

Lina wyginała się w łuk, ginąc gdzieś pod siecią.

Nie puszczę.

Jakiś głos, w jego głowie lub w słuchawkach, mówił, żeby trzymał.

Nie puszczę.

Jeszcze chwilka.

Już prawie koniec.

Nie zemdleję. Nie puszczę.

Głos Maca, ale nie udało się odróżnić słów.

Nie tym razem.

Nie tym razem.

I nagle ciężar znikł. Przez straszny ułamek sekundy Randy myślał, że ją puścił. Ale unosił się swobodnie. Nieważko. Grawitacja — zero.

Nadal trzymał linę.

— Randy — powrócił głos Marcela. — Masz jakieś czterdzieści sekund. Przywiąż ją do sieci. Mocno. Bo zaraz będzie tak samo jak przedtem. Ciężar zaraz wróci.

Bolały go palce. Nie mógł ich rozewrzeć.

— Randy? — to Kellie — Wszystko w porządku?

— Jestem.

— Zrób, co ci kazali.

— Pół minuty, Randy. Do roboty — w głosie Marcela pobrzmiewała desperacja.

Nie było już dołu. Unosił się swobodnie na tle nieba, czekając, aż zelżeje ból jego dłoni i ramion.

— Randy — głos Hutch był cichy i daleki. — Zrób to, Randy.

Tak. Pociągnął linę powoli, czując ból. Przyciągnął ją.

Przewlókł przez sieć. Przywiązał. Zaplótł. Węzeł prosty. Nie ma szans, żeby puścił. Nawet za milion lat.

Znów się poruszali, wznosili, masa wróciła.

— Wszystko gra — rzekł. — Przywiązałem ją. Bolało go. Wszystko go bolało.

I równocześnie ogarnęła go radość, jakiej nigdy dotąd w życiu nie

zaznał.

XXXVI

Większość z nas przeżywa życie jak lunatycy. Wszystko przyjmujemy jak coś, co nam się po prostu należy: chwałę, wino, jedzenie, miłość i przyjaźń, zachody słońca i gwiazdy, poezję, ognisko i śmiech. Zapominamy o tym, że doświadczenie nie jest, a przynajmniej nie powinno być spotkaniem obcych osób, ale raczej serdecznym uściskiem. I dlatego większość z nas, kiedy nasze życie dobiega końca, zastanawia się, co się stało z tymi wszystkimi latami. I odnosimy wrażenie, że nie żyliśmy wcale.

Gregory MacAllister, Dziennik Deepsix

— Hej! — Mac krzyczał jak oszalały. — Co to było?

— Przeszli w stan nieważkości — wyjaśniła Kellie. — Żeby Randy miał szansę się pozbierać.

— Jak to zrobili?

— Rozumiesz, że nie mieli zamiaru wyciągnąć sieci prosto z atmosfery? Rozumiesz, o co chodzi, prawda?

— Niespecjalnie. Ale mów dalej.

— Musieli zrobić to pod kątem, żeby wydostać nas na orbitę. Na orbicie panuje nieważkość i będą mogli nas wyciągnąć. Pewnie od początku miała to być parabola. Tylko musieli trochę przyspieszyć. Pamiętasz, że czułeś przyrost ciężaru?

— Jak przez mgłę, ale owszem.

— Dzięki temu zaoszczędzili trochę czasu. I potem wyłączyli silniki. Na wszystkich czterech statkach.

— I co to daje?

— Cały układ zaczyna spadać.

— O to nam chodziło?

— Nieważkość, Mac. Wszystko staje się nieważkie. Do chwili uruchomienia silników, a rzecz jasna musieli to zrobić jak najszybciej. Randy'emu wystarczyło jednak czasu, żeby przywiązać Hutch.

— A żeby to. Niezły numer.

Jeden z wahadłowców przemieścił się przed „Gwiazdę" i użył

lasera, by przeciąć walec Alfa. Cały układ podzielił się na dwie części. „Gwiazda” i „Zwick” były przyczepione do krótszej, która mierzyła jakieś osiemdziesiąt kilometrów i dało się nią jakoś sterować, a dwa pozostałe — do dłuższej części o długości ponad dwustu kilometrów, i tą już sterować się nie dało. Pozostałe wahadłowce właśnie pracowały przy uwalnianiu „Wendy” i „Wildside”. Oddzielane kawałki walca koziołkując odlatywały w ciemność.

„Gwiazda” i „Zwick” wlokły to, co zostało z walca i sieci — oraz czwórkę pasażerów, manewrując ostrożnie w kierunku orbity.

Hutch nadal wisiała na linie.

— Randy, odwaliłeś kawał dobrej roboty.

Odezwał się Nicholson, wypytując o samopoczucie swojego pasażera, pana MacAllistera, a po chwili i pozostałych. Kimkolwiek by byli, pomyślała Kellie. „Gwiazda” planowała uroczystości na ich cześć.

Wirtualnie objawił się także Canyon, by poinformować Kellie, że jest na antenie, i zapytać, jak się czuje.

— Nieźle — odparła Kellie.

Próbował przeprowadzić z nią wywiad. Odpowiedziała na kilka pytań, ale potem wykręciła się zmęczeniem.

— Mac na pewno chętnie porozmawia — dodała.

Kiedy w końcu znaleźli się na orbicie, nikt nie musiał ich o tym informować. Przestali odczuwać wagę. Tym razem na dobre.

Marcel, który sprawiał wrażenie tak samo rzeczowego i opanowanego jak przez cały czas trwania akcji, pogratulował im szczęścia.

— Pomyślałem, że będziecie chcieli usłyszeć, co się dzieje w głównej jadalni.

Usłyszeli wiwaty.

Niebo było czarne. Nie było to zadymione, spowite pyłem niebo umierającej planety pod nimi, ale czyste, upstrzone diamentami gwiazd niebo, jakie zwykle widać ze statku nadświetlnego.

Nightingale, nadal uczepiony sieci, pomachał jej nerwowo, jakby nie chciał okazywać emocji. Podpłynęła do niego.

— Hej, Hutch. — rzekł. — No i widzisz, nie stchórzyłem.

Nie, nie stchórzyłeś, pomyślała.

— Byłeś niesamowity, Randy.

— Witamy na pokładzie, Hutch — rzekła Kellie.

— Miło panią u nas gościć — dodał Mac. — Następnym razem postaramy się o lepsze miejsce.

Światła płynęły pośród gwiazd.

— Dobrze się czujesz? — zaryzykował Nightingale. Wyciągnął rękę i poczuł ostry ból w ramieniu, gdy odwzajemniła uścisk. Ale to nic.

— Dobrze — odparła.

— Nigdy bym cię nie wypuścił. — Nightingale mówił jakoś dziwnie.

Pokiwała głową. *Wiem.*

— Nigdy bym cię nie puścił. Przenigdy.

Ujęła jego głowę w dłonie, przyglądała mu się przez dłuższą chwilę i pocałowała go. A był to długi i głęboki pocałunek Przez pole Flickingera.

— Tu są. — Embry pokazała coś na ekranie, a Frank powiększył obraz. Byli nadal daleko, ale już było widać Hutch, nawet w tej plątaninie. Ktoś inny im pomachał. To chyba była Kellie.

Frank ustawił kurs i zameldował Marcelowi, że zaraz biorą rozbitków na pokład.

Embry już z nimi rozmawiała.

— Uważajcie na Hutchins — rzekła. — Z nią może być problem.

— Tak jest, pani doktor — odparł Frank. — Będziemy uważali.

Zbliżyli się do sieci.

— Najpierw Hutchins. Podleć do niej. Ja ją wciągnę.

— Pomóc ci? — spytał Frank.

— Chętnie.

Ponieważ sytuacja wymagała żywego pilota, Frank rozejrzał się wokół w poszukiwaniu ochotnika. Z różnych wypowiedzi i sygnałów niewerbalnych odniósł wrażenie, że Drummond nie jest zachwycony perspektywą wychodzenia na zewnątrz. Janet Hazelhurst napotkała jego spojrzenie i wstała z fotela.

— Powiedz, co mam robić.

Drummond zrobił minę, jakby właśnie chciał się zgłosić, tylko nie zdążył.

Hutch patrzyła na zbliżające się światła. Teraz mogła się odprężyć. Zamknęła oczy i unosiła się. Wahadłowiec zastopował i usłyszała jakieś rozmowy. Ktoś przecinał linę i zdejmował ją z sieci.

Poczuła ból w ramieniu. Ale była bezpieczna.

Gdzieś zamknął się właz. Pojawiły się dalsze światła. Najpierw jasne, potem przyćmione. Ściszone głosy. Nacisk na ramię. Założono jej osłonę. Poczuła, jak ogarnia ją spokój.

Ktoś mówił jej, że już po wszystkim, że wszystko będzie dobrze, że nie ma się czym martwić.

— Dobrze — odparła, nie wiedząc nawet, z kim rozmawia.

— Wyglądasz, jakby ci nic nie było, pani kapitan.

Kapitan? Otworzyła oczy i usiłowała dostrzec coś przez mgłę.

Embry.

— Cześć, Embry. Miło cię znów widzieć.

Randy nadal tam był. Z boku, ale trzymał się blisko. Nagle wszystko znikło, Embry, osłona, głosy, światła.

Marcel dyrygował flotą wahadłowców z mostka Nicholsona. Rozstawiły się w pobliżu „Gwiazdy” i „Zwicka” i odcięły je od walca. Zgodnie z sugestią Beekmana, zachowano sześć próbek, każda o długości czterech metrów. Pięć miało posłużyć do badań, a jedna miała być wystawiona w Akademii. Na prośbę Nicholsona odcięto też mniejszy kawałek, by można go było oglądać na pokładzie „Gwiazdy”.

Kolejny wahadłowiec zbliżył się do płyty łączącej i oddzielił ją od sieci i końcówki walca Alfa. Zawisła w próżni jeszcze tylko na chwilę, podczas której przyglądano się symbolom wyrytym na jej powierzchni. Następnie przecięto ją na dwie części o prawie identycznych rozmiarach. Wkrótce potem umieszczono ją w ładowni „Wendy”.

Pozostałe fragmenty Alfy i sieci odpłynęły w mrok.

Czas naglił, kapitanowie nie wracali więc na swoje statki. Miles pozostał na „Wendy” jako pełniący obowiązki kapitana. Hutch oczywiście nie była w stanie wrócić na „Wildside”. Ruchem wahadłowców kierowano z mostka „Gwiazdy”; pojazdy w końcu zadokowały przy najbliższych statkach, a kiedy do zderzenia pozostał niewiele ponad dzień, flota zaczęła się wycofywać.

W tej chwili warunki na powierzchni planety były już tak trudne, że orbitujące pojazdy znalazły się w niebezpieczeństwie. Marcel przypuszczał, że większość danych z sond zaginęła, gdy utracono łączność z „Wendy”. Przypuszczenie to potwierdził Miles.

— Ci tam nie są specjalnie zadowoleni.

Beekman solidaryzował się z nimi.

— Nie możesz mieć do nich o to pretensji. Niektórzy z nich przygotowywali się do tej misji przez dwadzieścia lat i wiele na niej nie skorzystali.

Przyglądał się spokojnie rzędom ekranów, na których było widać obszar kolizji, przesyłany z sieci satelitów.

Marcel tak naprawdę miał to gdzieś. Za dużo przeszedł przez ostatnie dwa tygodnie. Był zmęczony i rozdrażniony, ale udało się uratować Kellie i pozostałych, i tylko to go obchodziło. Chiang Harmon zginął. Stracili jedną pasażerkę Hutch, pasażerkę Nicholsona i członka jego załogi. W obliczu tego faktu trudno było specjalnie się przejmować, że umknęły im szczegóły na temat tworzenia się frontów wysokiego ciśnienia podczas zderzenia dwóch planet.

— Następnym razem będzie lepiej.

Beekman ściągnął usta i zamyślił się.

— Nie będzie następnego razu. Przynajmniej za życia naszego gatunku.

Szkoda, pomyślał Marcel, ale nie odezwał się.

Wyglądało na to, że cała atmosfera Deepsix zmieniła się w jedną wielką burzę elektryczną. Zamiecie szalały w okolicach równika, a gigantyczne huragany przetaczały się przez Corragio i Nirwanę. Przypływ sięgał tysiące metrów powyżej pierwotnego poziomu morza. Pasmo gór wzdłuż północnego wybrzeża Transitorii, które tak długo opierało się przypływom, znikło pod naporem wód.

Planety pędziły nieubłaganie ku sobie. Ale były tak różne, pomyślała Hutch, że jedna wyglądała przy drugiej jak kamyk wpadający do stawu.

Obserwowała wszystko w łóżka w ambulatorium „Gwiazdy". Konieczny był drobny zabieg w związku z zerwanym mięśniem i złamanym żebrem, kazano jej się za bardzo nie ruszać. Obok niej siedział Randy, z owiniętymi rękami i temblakiem. Maca nie było, udzielał gdzieś wywiadu, a Kellie pożywiała się w barze.

Komunikator Hutch zabrzęczał. To Canyon.

— Hutch, zajrzę do ciebie niedługo. A teraz chciałem tylko powiedzieć, że w domu zrobiliście furorę. Mają parę dni opóźnienia. Ostatnia audycja była o tym, że morze przelało się przez góry i zmyło te, jak im tam… Teraz myślą, że nie macie żadnych szans. Tylko poczekaj, aż obejrzą koniec. Jak wrócicie, będziecie gwiazdami pierwszej wielkości.

— Miło to usłyszeć — mruknął Nightingale.

— A nasza oglądalność bije wszelkie rekordy.

— Wygląda na to, że nieźle na tym skorzystałeś, Augie.

— Cóż, skłamałbym, gdybym powiedział, że mojej karierze to zaszkodziło. — Oczy mu błyszczały. — Poczekajcie, aż obejrzą sceny z lądownikiem!

— Taaa — mruknął Nightingale. — To była porażka.

— A tak w ogóle — ciągnął niezrażony Canon — na Ziemi dorobiliście się przydomku.

— Nie wiem, czy chcę o tym usłyszeć — prychnęła Hutch.

— Czwórka z Maleivy.

— Mój Boże — mruknął Nightingale — kto to wymyślił? Fantastycznie, Auguście. Moje gratulacje z powodu wzniesienia się na wyżyny banału.

Kiedy poszedł, Hutch spojrzała krzywo na Nightingale'a.

— Byłeś dla niego strasznie niesprawiedliwy. On się tak stara.

— Taaa. I byłby najszczęśliwszy, gdybyśmy spadli z tego draństwa.

— Czemu tak sądzisz?

— Większa sensacja.

Mac wszedł do pokoju, niosąc kwiaty wyhodowane w szklarniach

„Gwiazdy”. Uśmiechnął się do Hutch i wręczył jej bukiet.

— Wyglądasz na tyle dobrze, że można cię zaprosić na lunch.

Przyjęła kwiaty wraz z pocałunkiem i powąchała bukiet. Żółte róże.

— Piękne. Dzięki, Mac.

— Dla złotej dziewczyny. — Spojrzał na nią. — A co ci mówią? Znaczy, konowały?

— Jutro mnie wypuszczają. — Odwróciła się do Nightingale’a. — A ty powinieneś się trochę wyluzować. Pozwolić ludziom robić, co do nich należy, i przestać być takim zrzędą.

— Ale ja lubię być zrzędą.

Potężne chmury kłębiły się w atmosferze Maleivy III. Ogniste kule wybuchały i spadały. I znów wybuchały. Wyglądało to, jakby cała czarna atmosfera się rozszerzała, strzelając w niebo niczym płonąca rzeka, która zaczyna płynąć w stronę spokojnej tarczy gazowego giganta.

— Zaczyna się — rzekł Mac. Nightingale pokiwał głową.

— Wszystko, co jest jeszcze na Deepsix, zostaje wyrwane z korzeniami i wysłane w kosmos.

Mówił cicho, jakby był przygnębiony. Mac poprawił się na krześle.

— Nie ma się co rozczulać nad jakąś nieruchomością — rzekł.

Nightingale patrzył gdzieś w przestrzeń.

— Myślałem o tych światłach.

— Światłach? — Hutch zmarszczyła czoło.

— Chyba ci o tym nie powiedzieliśmy. Zapomnieliśmy w tym całym zamieszaniu. Na Zatoce Złych Wieści. Zobaczyliśmy coś na wodzie. Odpowiadało na nasze sygnały świetlne.

— Łódź?

— Nie mam pojęcia, co to było.

Deepsix parowała. Ogień i błyskawice szalały w pokrywie chmur.

Kellie wróciła z pączkami i kawą.

MacAllister był tam nadal, gdy pół godziny później Marcel, Nicholson i Beekman wpadli zobaczyć, jak się czuje Hutch. Pomyślała, że wszyscy wyglądają na zmęczonych, zadowolonych i uspokojonych. Wymienili uściski dłoni.

— Cieszymy się, że was wyciągnęliśmy — rzekł Marcel.

— Przez chwilę kiepsko to wyglądało.

— Naprawdę? — spytał Mac. — A myślałem, że cały czas mieliśmy wszystko pod kontrolą.

Nicholson posłał mu uśmieszek.

— Planujemy na jutro małą uroczystość — rzekł. Hutch wyłapała specyficzny ton jego głosu: kolacja w towarzystwie dwóch kapitanów

na pewno była wydarzeniem i wszyscy powinni się poczuć zaszczyceni. Ale cóż, próbował robić wszystko najlepiej. I, do licha, ten błąd nie był wielki.

— Z przyjemnością wpadnę — rzekł Mac.

— Ja także. — Hutch posłała mu ciepły uśmiech.

Marcel przedstawił Beekmana jako szefa całej akcji ratunkowej.

— Uratował ci życie — dodał.

Hutch nie zrozumiała, co Marcel ma na myśli.

— Chcesz powiedzieć, że uratował nas wszystkich.

— Ale w twoim przypadku jego wkład był szczególny. To Gunther wymyślił ten manewr z nieważkością.

Zadzwonił Tom Scolari. Jego obraz uformował się w nogach łóżka. Miał na sobie czarne spodnie i białą koszulkę, niesięgającą nawet pępka. Wyglądało to, jakby próbował coś w ten sposób przekazać.

— Cieszę się, że wyszłaś z tego cało. Martwiliśmy się.

— Gdzie teraz jesteś, Tom?

— Na „Zwicku".

— Dobrze. Robili z tobą wywiad?

— Chyba nie ma tu nikogo, kto nie miałby okazji porozmawiać z ludźmi z UNN. Posłuchaj — spojrzał na nią, po czym dostrzegł Maca — byliście niesamowici.

— Dzięki. Sporo ludzi nam pomagało. Także i ty. Słyszałam, że jesteś niezłym spawaczem.

— Bezrobocie mi nie grozi.

— Następnym razem, jak mi powiesz, żebym czegoś nie robiła, potraktuję to poważnie.

Uśmiechnął się krzywo i posłał jej pocałunek.

— Wątpię.

Obudziła się w środku nocy i zauważyła, że statek przestał przyspieszać.

Było po wszystkim.

EPILOG

Kataklizmy tak potężne, że trudno je było nazwać trzęsieniami ziemi, bo wyrzucały w niebo całe lasy i góry na wysokość dwudziestu tysięcy metrów, gdzie były rozszarpywane przez walczące ze sobą studnie grawitacji, wreszcie ustały. Pływy praktycznie rozdarły Maleivę III na strzępy. Wir gazów i odłamków w atmosferze stał się tak gęsty, że powierzchnia planety przestała być widoczna. Spokojne, pokryte śniegiem równiny wokół wieży, barokowa świątynia, która wyglądała nieomal, jakby ją zabrano z Paryża, światła na Zatoce Złych Wieści, pomnik i sześciokątna budowla — wszystko to zostało starte w pył.

Wszędzie, gdzie istniały szczeliny albo uskoki tektoniczne, skały były wyrywane z podłoża i zasysane w górę. Planeta ociekała lawą. Płaszcz Maleivy rozpadł się, odsłaniając jądro. Uwolniona energia była tak gigantyczna, że nie dało się przyglądać zjawisku z bliska. Naukowcy na pokładzie „Wendy", którzy wreszcie mogli skoncentrować się na tym, po co tu przylecieli, wpadli w zachwyt i zaczęli rozmyślać o przyszłych publikacjach.

Krótko przez kolizją Maleiva III eksplodowała i spłonęła jak mała supernowa. Światło przygasło i planeta rozpadła się na kilka rozżarzonych fragmentów, lecących przez mrok, by w końcu wpaść do kobaltowego morza na Morganie, zostawiając parę śladów przypominających siniaki.

W ciągu kilku godzin deszcz odłamków zniknął z nieba i jedynym śladem zdarzenia pozostały ciemne ślady na powierzchni planety. Morgan podążał dalej, obojętny na to, co się wydarzyło. Jego orbita nie zmieniła się znacząco. Potężna grawitacja planety namieszała trochę w księżycach układu. Tylko że to było kilkaset lat temu.

Hutch założyła, że kolacja ma być na cześć „Czwórki z Maleivy". Na początku istotnie tak to wyglądało. Przedstawiono ich, każdego z osobna, tłumowi zebranemu w sali jadalnej; tłum klaskał, a ich posadzono przy stole kapitana. Każdy chciał uścisnąć im dłonie, życzyć im wszystkiego najlepszego i zdobyć ich autografy.

Poproszono ich o wygłoszenie przemówień. („Ale prosimy, żeby nie były dłuższe niż pięć minut"). Kiedy Nightingale przekroczył czas, Nicholson zaczął ostentacyjnie spoglądać na zegarek. I każdy chciał sobie zrobić zdjęcie z kimś z ocalałych.

Było też mnóstwo zdjęć z samego pobytu na planecie — całe setki podtykano im do podpisu. Na niektórych widniała Wieża Astronoma (nikt już nie nazywał tego miejsca Punktem Burbage'a), inne pochodziły z wywiadów przeprowadzanych z grupą przez Augusta

Canyona, na jeszcze innych były tylko puste korytarze sześciokątnej budowli na szczycie Góry Błękitnej. Tu Hutch siedząca przy ognisku na początku wędrówki, tam Hutch zwisająca z sieci, widziana przez teleskop wahadłowca spieszącego na ratunek. Tu Gregory MacAllister wymieniający uściski dłoni z gratulującymi mu w chwili wejścia na pokład „Gwiazdy". Ktoś zdobył portret Kellie pozującej na tle nieba z Morganem w tle. Wyglądała tam pięknie i wyzywająco — to zdjęcie szybko stało się bardzo popularne. W końcu znalazło się na okładce *Dziennika Deepsix,* bestsellera, w którym MacAllister opisał całą historię.

Mimo to wieczór wcale nie należał do Czwórki, ale do jej wybawicieli. Trzej kapitanowie, Marcel, Nicholson i Miles Chastain, zbierali kolejne porcje oklasków. Beekman i jego zespół chwalono za opracowanie ogólnej strategii. John Drummond, który wykonywał obliczenia do manewrów na orbicie, rozdawał ukłony. Oklaski dla Janet Hazelhurst były prawie ogłuszające.

Autsajderów poproszono, by się zaprezentowali; orkiestra zagrała kilka taktów z hymnu wojskowego. Przedstawiono pilotów wahadłowców. Ablowi Kinderowi przypisano zasługę załatwienia odpowiedniej pogody do chwili zakończenia akcji. Phil Zossimov stworzył kryzę i szyny, które tak bardzo ułatwiłyby akcję ratunkową. Oczywiście, jak cierpko skomentował, gdyby tylko zadziałały.

I wreszcie przyszedł moment, by upamiętnić tych, którzy zginęli. Cole Wetheral, pilot lądownika „Gwiazdy". Klaus Bomar, pilot wahadłowca. Pasażerka „Gwiazdy", Casey Hayes, która — jak powiedział MacAllister — zginęła, próbując ratować jeden z lądowników. Chiang Harmon z zespołu naukowo-badawczego. I Toni Hamner, której wcale by tam nie było, powiedziała Hutch, gdyby nie to, że zdecydowała się zostać z przyjaciółmi.

Podano poczęstunek. Odkorkowano najlepsze wina, jakie były na statku. A kapitan Nicholson ogłosił, że impreza odbywa się na koszt TransGalactic. Pasażerowie i goście mogli jedynie zostawiać napiwki, wedle uznania.

Późnym wieczorem Hutch zauważyła, że jest na parkiecie sama z Marcelem. Kiedy tu przybyła, czternaście standardowych dni temu (naprawdę tak niedawno?), był tylko kolegą, głosem, który rozlegał się czasem w kokpicie, kimś, kogo raz czy dwa widziała na jakimś seminarium. A teraz myślała o nim jako o Eleganckim Francuzie.

— Mam dla ciebie nowiny — rzekł Elegancki Francuz. — Mamy wyniki badania walca. Ma trzy tysiące lat.

Tańczyła w jego ramionach, co w tych czasach było czymś egzotycznym. Przebywanie w czyichś ramionach było przyjemne, czy były to ramiona Maca, Kellie, Toma Scolariego czy Randy'ego Nightingale'a. Zwłaszcza Nathingale'a, człowieka, który łatwo nie

odpuszczał.

Trzy tysiące lat.

— W takim razie mieliśmy rację.

— Na to wygląda. To była akcja ratunkowa. Jastrzębie zabrały przedstawicieli mniej rozwiniętej cywilizacji z niebezpiecznego miejsca. Żeby przynajmniej dać gatunkowi szansę przeżycia gdzieś indziej.

— Ciekawe gdzie?

Marcel przycisnął usta do jej policzka.

— Kto wie? Może kiedyś ich znajdziemy.

Hutch przypomniała sobie drapieżny wygląd jastrzębi.

— Nie wyglądali na przyjaźnie nastawionych.

— Masz rację. Nie wyglądali. — Jej usta odnalazły drogę do jego ust. — Wygląd może być mylący.

Oczywiście zrobili o tym symulację. W roli Hutch wystąpiła Ivy Kramer, aktorka o naprawdę imponujących kształtach. Mac pojawił się w krótkim epizodzie, ale nie jako on sam, lecz jako Beekman. Erika Nicholsona przedstawiono jako prawdziwego bohatera akcji ratunkowej. Na interpretację wydarzeń na pewno wpływał fakt, że firma produkcyjna należała do tego samego koncernu międzynarodowego co TransGalactic.

Do akcji wprowadzono osoby działające na pokładzie „Gwiazdy", które próbowały aktywnie sabotować akcję ratunkową z jakichś tajemniczych powodów, nigdy nie ujawnionych, oraz przedstawiono załogę „Boardmana" jako walczącą bohatersko o odzyskanie utraconego lądownika, by móc przyjść rozbitkom na ratunek. Na Hutch i Nathingale'a polowała w korytarzach sześciokątnego budynku jakaś zmiennokształtna istota.

Pojawiły się też książki. Figurki bohaterów doskonale się sprzedawały. Z całą czwórką przeprowadzono wiele wywiadów, a Kellie w końcu została twarzą firmy Wartburton, producenta sprzętu sportowego. Elektroniczne kartki przedstawiające ją z kompletem kijów golfowych stały się cennymi okazami poszukiwanymi przez kolekcjonerów.

Próbowano namówić Nathingale'a, by kandydował na gubernatora stanu Georgia, ale odmówił. Jego była żona, córka emerytowanego dyrektora Akademii, podjęła kilka nieudanych prób ponownego nawiązania stosunków.

Mac nadal pisywał tu i tam jadowite felietony o różnych rodzajach hipokryzji, bez których, jak raz uznał, cywilizowane życie byłoby niemożliwe.

Hutch nadal pracowała dla Akademii.

Wszyscy czerpali zyski ze sprzedaży figurek, gier, różnych

ubiorów sportowych i sprzedaży kieliszków o nazwie „Czwórka z Deepsix” (choć firma produkująca figurki nalegała na zmianę nazwy na „Deepsix”). Miały długie nóżki i były zdobione motywem kobiecej postaci wiszącej na linie znikającej w chmurach i mottem *Nunquam dimitte.* Nigdy nie odpuszczaj.

Nigdy nie odpuszczaj.

Takie też było oficjalne motto przynajmniej trzech wyspecjalizowanych jednostek wojskowych stacjonujących w Niemczech, Chinach i Brazylii.

Szkoła średnia w Park South w Nowym Jorku otrzymała imię Kellie, centrum handlowe w Toronto — Hutch, a zoo w Lizbonie — Nightingale’a. Pojawiła się też Biblioteka Pamięci Cole’a Wetherala przy Fulham Palace w Londynie i Muzeum Nauki imienia Toni Hamner. Szkoła lotnicza w Winnipeg, gdzie nauczał kiedyś Klaus Bomar, nazwała jedno skrzydło jego imieniem. Maca nie spotkały takie zaszczyty, choć utrzymywał, że miejscowy biskup chciał umieścić tablicę z jego nazwiskiem na Centrum Religioznawstwa Porównawczego w Des Moines.

Praktycznie wszyscy biorący udział w akcji ratunkowej otrzymali jakieś nagrody. Najczęściej nagradzano Erika Nicholsona, który cieszył się wielkim uznaniem za to, że trwał na posterunku w najtrudniejszych chwilach. Beekman otrzymał Nagrodę Conciliara za Osiągnięcia w Nauce, zwykle zastrzeżoną dla odkryć, które owocowały przełomem dla ludzkości. Marcel otrzymał formalną pochwałę Akademii, a świat korporacji zaczął się nim poważnie interesować. W ciągu roku dostał ofertę i przyjął stanowisko dyrektora w TransGalactic. Teraz jest wiceprezesem, zarabia tyle pieniędzy, że nawet mu się o tym nie śniło, i dużo mówi o starych, dobrych czasach. Kiedy się go przyciśnie, przyznaje, że się nudzi.

Kellie, Hutch, Randy i Mac spotykają się, kiedy tylko się da. Często dołącza do nich Janet Hazelhurst, najsłynniejsza kobieta-spawacz na świecie. W zeszłym roku zaprosili jedenastu Autsajderów na kolację w Icemans w Filadelfii.

Icemans jest nie tylko najlepszą restauracją w Dolinie Delaware. Jest też na parterze.

POSŁOWIE GREGORY'EGO MACALLISTERA

Z Dziennika Deepsix

Załóżmy, że — choć pytania dotyczące nieprzyjścia z pomocą przez załogę statku „Athena Boardman" nie były bezpodstawne — nie zostały one zadane przeze mnie, jak twierdzą przedstawiciele Kosmik Inc. W istocie zaowocowały one powstaniem symulacji, w której przedstawiono kapitana „Boardmana" jako bohatera. To z kolei dało początek dochodzeniu, którego początkowym celem miało być przyznanie nagród. Moje jedyne powiązanie z tym postępowaniem polegało na tym, że byłem jedną z osób, które pozostawiono własnemu losowi, gdy „Boardman" zaginął w akcji.

Dla Kosmika szybko okazało się, że problem może się wiązać z potencjalną odpowiedzialnością, więc zareagowali na początkowe zapytanie tak, jak to przeważnie robią wielkie korporacje: najpierw unikali odpowiedzi, a kiedy uświadomili sobie, że to na nic, znaleźli na Kole jakiegoś mechanika i zwalili winę na niego, ogłaszając, że za awarię odpowiedzialna była wadliwa czarna skrzynka RX-17, która spowodowała niestabilność lądownika. Udzielono mu formalnej nagany, wyrzucono z pracy i podano jego nazwisko mediom.

Nie zniósł tego Eliot Penkavic, kapitan statku, który zwołał konferencję prasową, przyznał się do kłamstwa i oskarżył o ten niefortunny epizod Iana Helma, nowego dyrektora operacyjnego oddziału terraformerskiego Kosmika na Quraquie.

Helm wyparł się wszystkiego, a teraz toczy się dochodzenie wobec Penkavica.

Rzecznik firmy plącze się w zeznaniach, próbując wyjaśnić, co Penkavic miałby zyskać, nieprzychodząc komuś z pomocą, kiedy miał taką możliwość, czy też zmieniając zdanie po tym, jak wyraził zgodę.

Aby uzyskać wyraźny obraz tego, co się naprawdę stało, należy zadać sobie podstawowe pytanie, które zadaje każdy policjant, kiedy ma do czynienia ze sprzecznymi wersjami: kto odnosi z tego korzyść? Pilot, któremu nie robiło różnicy, czy leci na Maleivę III, czy na Quraquę? Czy też wielka firma, której spieszy się, by dostarczyć na czas ładunek szybko ulegających przeterminowaniu towarów i ludzi?

Kiedy piszę te słowa, pozostał tydzień do rozprawy Penkavica. Miło mi poinformować, że od chwili, gdy sprawą zajął się Archie Stoddard, prawnik wynajęty przez wydawcę tej książki, znany z wygrywania spraw

przeciwko korporacyjnym kombinatorom, pojawiły się plotki, że dochodzenie wewnętrzne przeprowadzone w Kosmiku dało wyniki. Helm prawdopodobnie zostanie rzucony wilkom na pożarcie, a proces zakończy się uniewinnieniem Penkavica.

Jack McDevitt
Boża klepsydra
Przełożyła Jolanta Pers
SOLARIS
Stawiguda 2007

Boża klepsydra
tyt. oryginału: Deepsix
Copyright © 2001 by Cryptic, Inc.
All Rights Reserved
ISBN 83-89951-70-0
Projekt i opracowanie graficzne okładki *Tomasz Maroński*
Redakcja *Iwona Michałowska*
Korekta *Bogdan Szyma*
Skład *Tadeusz Meszko*
Wydanie I
Agencja „Solaris”
Małgorzata Piasecka
11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A
tel./fax (0-89) 541-31-17
e-mail: agencja@solaris.net.pl
sprzedaż wysyłkowa:
www.solarisnet.pl